

A photograph of a woman from the chest down, wearing a light blue dress with intricate white lace detailing on the bodice and sleeves. She is holding a single, vibrant red rose in her right hand. The background is a soft, out-of-focus light color.

SZYFR
BLACKSTONE'A

ROSE MELIKAN

Melikan Rose

Szyfr Blackstone'a

Anglia, rok 1795. Młodziutka i nadzwyczaj urodziwa Mary Finch otrzymuje zaproszenie od bogatego stryja, którego nigdy nie poznała i rusza do położonego na wybrzeżu Suffolku. To szansa na naprawę kulejących od lat stosunków rodzinnych. Niespodziewanie ekscytująca przygoda zamienia się w walkę nie tylko o honor rodziny, ale własne życie. Spotkany po drodze umierający mężczyzna przekazuje jej zegarek z inicjałami stryja i niezrozumiałe dla niej ostrzeżenie, wciągając dziewczynę w niebezpieczną intrygę szpiegowską. Mary odnajduje zaszyfrowane dokumenty. Kluczem do ich odczytania okaże się Kodeks Prawny Williama Blackstone'a.

1

Zegar na kościele Najświętszej Marii Panny w Cambridge bił co pół godziny w szary, posepny październikowy poranek roku 1795. Deszcz przestał już padać, choć z ciężkich chmur lada chwila mogła spaść kolejna ulewa, a wiatr wiejący z północy miał w sobie zimową przenikliwość. Krótko mówiąc, był to tego rodzaju poranek, który z łatwością mógł zgasić erudycyjne zapały uczniów i studentów, a sprzedawców z King's Parade zniechęcić do otwarcia sklepów jeszcze przynajmniej przez kolejną godzinę. A jednak wokół panował duży ruch, ulicę przemierzało sporo prywatnych powozów, a Pod Orłem, w głównej gospodzie, liczni goście robili taki hałas, że nikt nie słyszał dzwonów kościoła uniwersyteckiego.

Drzwi gospody otworzyły się, początkowo nie bez przeszkód, gdyż ktoś się o nie opierał, aż wreszcie do środka weszła młoda kobieta. Nosiła płaszcz podróżny i czarny trójgraniasty kapelusz. W mniej zatłoczonym miejscu taki kapelusz mógłby wzbudzić niejakie zainteresowanie, szczególnie że reszta stroju jego właścicielki sugerowała oszczędność osoby nobliwej, lecz niebogatej. Jej płaszcz był znoszony i postrzępiony u dołu, trzewiki powtórnie podzelowano, szalik zaś wydzierały niewprawne palce, z których jeden wystawał obecnie z dziury w rękawiczce. Na tle całości zatem trójgraniasty kapelusz

2

bezsprzecznie się wyróżniał, ponieważ takiego nakrycia głowy nie można było nabyć za kwotę mniejszą niż dziesięć szylingów. W dodatku kapelusz ów, umieszczony filuternie na kasztanowych lokach, sugerował niezależność ducha i intelektu, której nie przytłoczyły jeszcze kiepskie warunki materialne. W wypełnionej ludźmi sali Pod Orłem nikt jednakże nie zwrócił uwagi na dziewczynę. Dostrzegł ją tylko jeden człowiek, i to wyłącznie dlatego, że ją znał. Doktor Smithson Nichols, nauczyciel akademicki w Trinity College, zwykle nie interesował się tym, co nie wiązało się z jego pracą. Młoda osóbką w progu niezwykle wszakże przypominała jedną z nauczycielek ze szkoły w pobliskim Saint Ives, gdzie była zatrudniona również jego siostra, panna Nichols. Dlatego doktor spokojnie zamachał ręką w kierunku dziewczyny, a po chwili — ponieważ siedzący obok niego mężczyzna palił szczególnie cuchnące cygaro — nawet pofatygował się i przeszedł salę, aby pomówić z przybyłą.

— Ach, panna Finch, nieprawdaż? — spytał głosem bez wyrazu, gdy stanął u jej boku. — Pozdrowienia z Alma Mater. Widzę, że moja droga siostra nie towarzyszy pani, ale mam nadzieję, że miewa się dobrze? Czy akademia pani Bunbury wciąż pozostaje najwspanialszą w naszym kraju świątynią kobiecej nauki?

Mary Finch nie lubiła doktora Nicholisa ani jego „drogiej” siostry, ale że była w tym momencie bardzo skrępowana, potraktowała go z większą życzliwością, niżby to uczyniła w innej sytuacji. Z braku doświadczenia nieszczególnie dobrze czuła się w hałaśliwej piwiarni, doktor Nichols miał zaś przy najmniej tę zaletę, że był osobą znajomą — nawet jeśli Mary uważała go za napuszonego gadułę.

— Tak — przyznała, usiłując się uśmiechnąć w uznaniu dla jego dowcipnego stwierdzenia — wszyscy mamy się dobrze, tylko że ja... jestem... w podróży.

— W podróży? — powtórzył doktor Nichols. Wymówił te

słowa w taki sposób, jakby niezupełnie spodobał mu się ich smak. — Rozumiem.

Nie istniał żaden powód, dla którego Mary miałyby się tłumaczyć doktorowi Nicholsowi, jednak coś w jego tonie sprawiło, że poczuła się zobowiązana do udzielenia wyjaśnień. A może po prostu obawiała się najbliższej przyszłości i pragnęła się usprawiedliwić sama przed sobą? Tak czy owak, odpowiedziała na niezadane pytanie doktora.

— Zgadza się, jadę do stryja, Edwarda Fincha. Ma posiadłość w Suffolku i zaprosił mnie do siebie w odwiedziny. Może pan przeczytać w *Atlasie Cary'ego* wszystko o tym... to znaczy o posiadłości stryja. Mary zrobiło się głupio natychmiast, gdy wypowiedziała te słowa, a doktor Nichols zmarszczył brwi na sugestię, że mógłby czytywać takie pospolite publikacje.

— Doprawdy — odparował wyniośle — niezwykle satysfakcjonująca jest bez wątpienia świadomość, że szczegóły naszego systemu kanalizacyjnego mogą poznać wszyscy czytelnicy *Atlasu Cary 'ego*. Kimkolwiek by się było — dorzucił po krótkiej pauzie.

— Tak, no cóż... Mary rozejrzała się wokół siebie bezradnie, myśląc, że doktor Nichols jest jeszcze bardziej niemiły niż jego siostra. Słuchając go, można by pomyśleć, że ma się do czynienia z... księciem Cambridge, podczas gdy w rzeczywistości mężczyzna zajmował skromne pokoje w kolegium i najprawdopodobniej nie wiedział nic o systemach kanalizacyjnych. A jednak możliwe, że mimo całej swej pychy jak najszybciej wróci do Trinity College i od razu przeczyta o posiadłościach jej stryja wszystko, co znajdzie w *Atlasie*.

Na szczęście Mary w żaden sposób nie ujawniła oburzenia w następnym stwierdzeniu; przynajmniej doktor Nichols niczego nie zauważył.

— Ależ tutaj panuje tłok — rzuciła. — Nie wie pan, czy tak jest tu zazwyczaj?

Co może zaskakujące, pytanie to spowodowało, że doktor

Nichols nieznacznie się wyprostował. Lubił, gdy zasięgano jego opinii — wydawał je zresztą swobodnie, nawet nieproszony, choć rzeczywiście wołał, gdy ktoś pytał go wprost.

— W istocie nie — wyjaśnił. — Dzisiejszy nieprzyjemny ścisk to skutek gonitw konnych.

— Gonitw konnych?! — zawołała Mary. — Tutaj? To znaczy... w Cambridge?

— Nie, nie, w Newmarket. Jak słyszałem, tych zawodów od dawna oczekiwano, w rezultacie więc wszyscy, którzy albo interesują się końmi, albo pragną się uwolnić od dużej sumki — co dotyczy, jak mniemam, naprawdę dużej części tutejszej ludności — spieszy do tej miejscowości wszelkimi możliwymi środkami lokomocji.

— O Boże — jęknęła Mary — przypuszczam zatem, że może być ciężko zarezerwować miejsce w powozie.

— Powiedziałbym raczej, że to prawie niemożliwe. Ale panna chyba nie interesujesz się przecież takim prostackim spektaklem. Ja w każdym razie nie zalecam.

— Może i się interesuję — sprzeciwiła się Mary choćby tylko dlatego, że nie chciała przyjmować od doktora żadnych zaleceń — ale i tak muszę pojechać do Newmarket. Leży na drodze do Suffolku, rozumie pan.

— Ach tak, bez wątpienia. — Doktor Nichols najwyraźniej zdążył zapomnieć o Suffolku albo raczej po prostu nie słuchał na początku swej rozmówczyni zbyt uważnie. — Niestety nie jest to dobry dzień na podróż do Newmarket — zawyrokował. — Radziłbym odłożyć wyjazd do jutra bądź do przyszłego tygodnia.

Mary przypomniała sobie niezbyt entuzjastyczną reakcję swej pracodawczyni, kiedy poprosiła o urlop. Gdyby musiała teraz wrócić, byłoby jej znacznie trudniej wyrwać się po raz drugi, zresztą okazałaby... słabość, przyznając się do porażki przy pierwszej przeszkodzie.

— Nie byłoby mi zbyt wygodnie odkładać wyjazd — odparła z takim opanowaniem, na jakie potrafiła się zdobyć.

Doktor przypomniał sobie, że panna Finch jest dość upartą młodą kobietą, uznał więc, że niewątpliwie zignorowałyby wszelkie sugestie, których mógłby jej udzielić człowiek rozważny (w osobie jego samego). W odpowiedzi wzruszył więc tylko ramionami, potwierdzając własną bezradność wobec jej uchybień, i rzucił uwagę, że może niech lepiej dziewczyna od razu spróbuje sobie zarezerwować to miejsce.

— Tak, pewnie tak — zgodziła się, wstała i nie oglądając się na swego towarzysza, wcisnęła się w szczelinę w tłumie. Doktor Nichols uznał jej zachowanie za wysoce niekulturalne, szczególnie że Mary umknęła przed ostatnim ostrzeżeniem dla młodych kobiet podróżujących samotnie publicznymi środkami transportu, którego chciał jej właśnie udzielić. Zamiast tego wydał usta i mruknął: „Do widzenia” w miejsce, w którym nauczycielka właśnie zniknęła.

Mary precyzyjnie się do sali barowej i w końcu dotarła do kontuaru, gdzie właściciel lokalu potwierdził, niestety, przepowiednię doktora Nicholasa: wszystkie miejsca w powozie do Ipswich były już zajęte, przynajmniej do postoju w Newmarket. W tym momencie na dziewczynę napało kilku mężczyzn w długich płaszczach podróżnych, rywalizując z nią o uwagę właściciela, toteż jej dalsza konwersacja z nim sprowadziła się do serii krzyków.

— Och! — wrzasnęła Mary, kiedy przepychał się obok niej jakiś zażywny jegomość.

— Trzeba było zarezerwować sobie miejsce wcześniej — odkrzyknął właściciel gospody. Wydał trzy kufle piwa z pianą i wytarł kontuar w miejscu, gdzie wylało się nieco płynu. — Dobra, słyszałem, dwa duże old reliable.

— No tak, ale co ja teraz zrobię? Kiedy jest następny powóz?

— Pojutrze!

— Co takiego?! Oj, przepraszam! — Tym razem to ona kogoś odepchnęła. — Nie ma żadnego innego?

Właściciel wytarł ręce i sprawdził w spisie, przesuwając palcem w dół po stronie.

— Przykro mi, proszę pani, niczego wolnego nie widzę... A nie, skłamałbym. Zostało jedno miejsce w pospiesznym do Norwich.

— Ależ ja chcę jechać do Ipswich! — przypomniała mu Mary, podczas gdy jakiś osobnik pochylił się nad jej ramieniem, aby odebrać swoje kufle. Dla równowagi oparła dłonie na kontuarze, a kiedy je podniosła, były całe lepkie od rozlanego piwa. Dlaczego wszyscy tak dziwnie się tu zachowywali, rozpychali się i wrzeszczeli? Niektórzy ze stojących za jej plecami mężczyźni wyglądali niemal na rozgniewanych, a przecież do początku gonitwy zostało jeszcze dobrych kilka godzin.

— Pospieszny wyprzedzi zwykły powóz do Newmarket. Niech pan chwilę poczeka, sir, teraz rozmawiam z tą młodą damą! Może pani się tam przesiąść, panienko, i kontynuować podróż do Ipswich!

— Hm, przypuszczam, że będę musiała tak zrobić. Mam nadzieję, że za Newmarket zwolnią się miejsca?

— Na pewno — potwierdził właściciel. — Takie tłumy mamy tylko z powodu gonitwy. Witaj, Bill! Ostatni na True Blue! Powiedz Jebowi, że może ruszać! Lepiej niech pani jak najszybciej idzie na dziedziniec. Jeb Miller przywiązuje dużą wagę do punktualności odjazdów.

Mary wyjęła z kieszeni płaszcza sakiewkę i szybko wydobyła z niej pieniądze, obawiając się, że ktoś jej wyrwie z ręki, zanim zdoła uiścić opłatę. W końcu rzuciła pieniądze na kontuar. Następnie przedarła się z powrotem przez tłum i wyszła na dziedziniec, gdzie panował jeszcze większy rwetes. Najrozmaitsze powozy stały przygotowane do odjazdu, a wierzchowce, których właściciele weszli do gospody odpocząć przed dalszą podróżą do Newmarket, prowadzano tam i z powrotem, żeby nie przemarzły. Głośny dźwięk rogu obwieścił przyjazd dyliżansu pocztowego z Londynu. Jego cztery zgrzane konie stanęły, drżąc i niespokojnie potrząsając głowami, tymczasem woźnica zażądał natychmiastowej obsługi ze względu na cenny ładunek.

— Poczta! Zrobić przejście, poczta! Zabrać konie!
— Gdzie pani bagaż, proszę pani? — spytał Bill, krzepki młodzieniec o jasnych włosach.
— Nie mam pojęcia — przyznała się Mary i rozejrzała wokół siebie z niepokojem. — Kiedy tu przybyłam, jakiś inny chłopiec, taki w skórzanym fartuchu, powiedział, że mogę zostawić torbę u niego.
— Niech się pani nie martwi — odparł Bill wesoło — bardzo dobrze pani zrobiła. Jaka to była torba? Ze skórzanym uchwytem?
— Tak, z dwiema rączkami. Jedna jest luźna... no, pęknięta.
— Niech pani wsiądzie, a ja przyniosę bagaż.
— Dziękuję bardzo.
— W porządku, proszę pani — uśmiechnął się Bill. Nieczęsto miał szansę usługiwać takiej ładnej młodej damie, a to zielone piórko w jej kapeluszu bardzo pasowało do jej oczu. — O rany, co za dzień, prawda? Czy chciałaby pani być przyczyną takiego zamieszania?
— Nie sądzę, żeby w ogóle istniała taka możliwość. — Mary roześmiała się. Nadal odnosiła wrażenie, że trafiła w dość niepokojące zamieszanie, ale zaczynała dostrzegać zabawną stronę całej sytuacji. Gospoda Pod Orłem przypominała tego dnia mrowisko, w które ktoś wsadził kij — z pozoru panował tutaj chaos, niemniej jednak wszyscy dobrze wiedzieli, co powinni robić. Dziewczyna żywiła nadzieję, że wyekspedują ją we właściwym kierunku.
— To wszystko sprawka lorda Seymoura — ciągnął Bill. — Mówi się, że pułkownik od miesiący próbuje wystawić Swif-tsure'a przeciwko Księciu Arabii, ale lord Seymour nie miał do tej pory żadnego konia. Doszli do porozumienia dopiero w ostatni poniedziałek i obstawiający od razu poszaleli! Proszę uważać pod nogi, proszę pani, dziedziniec nie jest już w tym stanie co kiedyś. Bill skierował ją do zgrabnego niebieskiego powozu, którego boczne drzwiczki zdobił napis: „True Blue. Cambridge. New

market. Thetford. Norwich". Między dyszlami stał zaprzęg czarnych, połyskujących koni.

— No i dotarliśmy, proszę pani. Ta młoda dama to twoja czwarta pasażerka, Jeb — oznajmił, kiwając głową w stronę spowitego w długi płaszcz osobnika, który chodził wielkimi krokami w tę i z powrotem wzdłuż pojazdu.

Woźnica uchylił przed Mary kapelusza.

— Zechce pani wsiąść, panienko? Jesteśmy gotowi do odjazdu.

Dziewczyna wsiadła do powozu, zerknęła na trzech siedzących w środku mężczyzn, po czym wślizgnęła się na wolne miejsce. Jej torbę umocowano, a po chwili powóz zakołysał się, gdy Jeb Miller wspiał się na kozła. Prawie natychmiast służący trzymający konie za grzywy zawołał: „Konie gotowe”, na co Jeb odkrzyknął: „Puszczaj je!”. Służący odsunął się i woźnica popędził zaprzęg. Od razu skręcili na King's Parade i Mary była w drodze. W drodze — pomyślała. — Cóż za fascynujące wyrażenie! Była w drodze, lecz nie wracała do szkoły! Mimo to, gdy usadowiła się wygodnie na siedzeniu, jej myśli nieubłaganie pobiegły ku życiu, które pozostawiała za sobą, być może na zawsze. Na to wspomnienie aż ścisnęło jej się serce. Trzy lata spędziła w szkole pani Bunbury, a trzy lata to długi okres dla kogoś, kto liczył ich sobie dopiero dwadzieścia. Rozkład zajęć szkoły Mary знаła na pamięć: poranne i wieczorne modlitwy prowadzone przez panią Bunbury, lekcje —jedne interesujące, inne nudne, większość nijaka; posiłki, wraz z nieodłącznym deserem w postaci rolady z dżemem i nigdy dość mleka do herbaty; kościół w niedzielę rano i długie niedzielne popołudnia spędzane na jakimś „użytecznym” zajęciu, takim jak cerowanie pończoch.

W myślach odfajkowała tych kilka składników typowego tygodnia u pani Bunbury i uśmiechnęła się do siebie ze smutkiem. Jakże mogłaby tęsknić za takim miejscem? Nie działo się tam zupełnie nic ekscytującego i nikt interesujący nigdy

nie przyjeżdżał. Najlepszą rzeczą, jakiej mogła się spodziewać, były nowiny o doktorze Nicholsie, triumfalnie przekazywane przez jego ukochaną siostrę. W jej życiu naturalnie istniały miłsze elementy i na pewno czasem wspomni inne nauczycielki — no, w każdym razie, niektóre z nich.

Wyrzała przez okno i zapatrzyła się na wiejski krajobraz, który mijali. Jeśli miała być szczerą, okolica wyglądała raczej nieciekawie. Teren wokół był płaski, porośnięty drzewami, z których deszcz pozrywał liście, stały więc bure i nagie. Gdyby choć słońce zaświeciło, ranek mógłby być całkiem przyjemny, bez słońca jednak świat wydawał się jednolitą paletą szarości i ziemistych brązów. Jeśliby Mary oglądała taki widok z okna swojej sypialni, wzbudziłby on u niej niewielkie zainteresowanie — tyle że oczywiście z żadnego okna akademii pani Bunbury nie dało się nic zobaczyć. A zatem ten widok, jazda pospiesznym powozem, współpasażerowie, nawet harmider gospody Pod Orłem były dla niej niewątpliwie czymś zupełnie nowym i stanowiły niezwykłą odmianę w jej życiu. Żaden uczeń, uciekający na końcu semestru przed trudami szkoły, nie mógłby mieć pełniejszego poczucia odzyskanej wolności.

2

Podróż do Newmarket odbyła się niemal w milczeniu. Mary nigdy wcześniej nie konwersowała z grupą obcych mężczyzn i nie miała pojęcia, jak rozpocząć rozmowę. Jej towarzysze z kolei wiedzieli bardzo dobrze, o czym chcieliby podyskutować, nie czuli się jednak na siłach podjąć któryś z takich tematów w jej obecności. Byli to trzej mieszczańscy w średnim wieku, którzy w chwili buntu przeciwko codziennej tyranii domu i pracy postanowili obejrzeć główny wyścig. Uważali jednak, że wyścigi konne, chociaż wyśmienity sport i rozrywka stanowczo warta postawienia paru dniówek, nie są odpowiednim tematem dla uszu młodej damy. Możliwe zatem były jedynie sporadyczne wzmianki dotyczące aktualnych zdarzeń, podczas gdy zabawne komentarze oceniające reakcje czyjejś żony w związku z dzisiejszą przygodą mężczyźni zachowywali dla siebie.

Ciszę panującą w powozie przerywały czasem uwagi woźnicy, który wyrażał się w bardzo bezpośredni sposób i z niewielką tolerancją dla każdego, kto utrudniał mu jazdę. Woźnica nie wydawał się szczególnie zaniepokojony, czy jego opinii słuchają jakieś młode damy, chociaż tak się zdarzyło, że szacował sytuację w sposób właściwy. Mary nie widziała wprawdzie przeszkód, które wzbudzały gniew mężczyzn,

odkryła jednak, że z nim sympatyzuje. Woźnica nie godził się po prostu na żadne „nonsensy” ze strony leniwych furmanów ani zadufanych w sobie dżentelmenów, którzy sądzą, że potrafią jeździć konno, „a nie odróżniają jednego końca wierzchowca od drugiego”. Zastanawiał się głośno, co ci ludzie robią na drodze, kiedy inne osoby mają do załatwienia bardzo ważne sprawy i nie życzą sobie być wstrzymane przez taką głupotę!

— Wynocha z tej cholernej drogi, ale już!

Mary pożałowała, że nie może nikomu powiedzieć, aby wynosił się z „cholernej drogi” — na przykład doktorowi Nicholsowi czy czasami nawet pani Bunbury.

Nie — pomyślała, marszcząc czoło — nie użyłabym takiego przymiotnika. Na pewno bym nie przeklęła. Może powiedziałabym „paskudnej”. „Wynocha z tej paskudnej drogi!”. O tak, to brzmiało niemal równie mocno.

Bliżej Newmarket na „paskudnej drodze” panował coraz większy tłok i Mary zaczęła myśleć o swoim krewnym. Co zrobię, jeśli spóźnię się na powóz albo, mimo zapewnień właściciela Pod Orłem, w powozie do Suffolku nie będzie wolnych miejsc? Wyobraziła sobie siebie taszczącą własny kufer przez opustoszałe ulice Newmarket, których mieszkańcy porzucili domy i firmy, aby obserwować rywalizację Swiftsure'a i Księcia Arabii.

— Przepraszam — odezwała się, obejmując jednym spojrzeniem wszystkich trzech towarzyszy — ale czy któryś z panów mógłby mi podać nazwę gospody, przy której zatrzymamy się w Newmarket? Rozumiecie panowie, muszę się tam przesiąść na powóz do Suffolku.

Jej słowa powitano ze zdumieniem; równie dobrze mogłaby im zaproponować podróż na księżyc.

— Suffolk, panienko?! — zawołał jeden z mężczyzn. Miał wydatną grdykę, która teraz poruszała się szybko w górę i w dół. — Przecież tam są obecnie Francuzi! Jeśli panią złapią, zetną pani głowę.

Mary popatrzyła na mężczyznę wstrząśnięta, na szczęście jego towarzysze wyśmiali go jako przekłętą głupca; oczywiście że w Suffolku nie ma Francuzów —jak można powiedzieć coś takiego młodej damie, przerażając ją i w ogóle... Sugerowali tamtemu, że powinien się za siebie wstydić. Chociaż być może Francuzi rzeczywiście przybędą tam lada dzień, skoro Suffolk leży tak bardzo blisko Francji, patrząc z geograficznego punktu widzenia. Na pewno nie jest to bezpieczne miejsce ze względu na groźbę wojny. Czy dziewczyna jest pewna, że chce tam jechać?

Wyglądali, jak gdyby zamierzali doradzić jej jakiś alternatywny cel podróży, ale kiedy potwierdziła swoje zamiary, potrząsnęli tylko głowami i zasznurowali usta, rezygnując z dalszych ostrzeżeń. (Mary skojarzyła im się z klientem, który obstaje przy serży, chociaż wystarczyłby mu bez wątpienia dobrej jakości filc za pół ceny. Ale skoro klient zdecydował się na serżę, niech bierze; lepiej się z nim nie spierać i tyle). Tak naprawdę Mary była znacznie mniej pewna siebie, niż twierdziła. Czyjej podróż jest rzeczywiście tak bardzo ryzykowna? Nie wiedziała zbyt wiele o tej wojnie, poza powszechnie znanym faktem, że Francuzi zgładzili swego króla, przy czym myśl ta już sama w sobie wydała się jej wyjątkowo makabryczna. Jeśli Suffolk miałiby najechać Francuzi o takich zamiarach, perspektywa jazdy tamże była jeszcze gorsza niż brak miejsca w powozie!

Mary wysiadała zatem przy Białym Jeleniu w Newmarket z pewnym niepokojem, lecz jej lęki zostały wkrótce rozproszone. W przytulnym salonie gospody otrzymała uspokajające informacje, że w powozie z Ipswich są wolne miejsca, a sam powóz jest oczekiwany wkrótce. Do dziewczyny nie dotarły też żadne dalsze niepokojące prognozy co do rychłej inwazji wroga. Wręcz przeciwnie, nie spotkała nikogo, kto by uważał jej podróż za nierozsądną w jakimkolwiek sensie, a obserwowała minę każdego ze swoich rozmówców uważnie, na wypadek gdyby próbowali zataić przed nią niebezpieczeństwo,

ażeby uzyskać od niej zapłatę za przejazd. Na szczęście nie zauważyła żadnych niecznych intencji i przeświadczenie, że bez problemów może kontynuować podróż, ogarnęło ją niczym fala spokoju. Poczula tak wielką ulgę, że lekkomyślnie zamówiła ciepłą bułeczkę i filiżankę herbaty. Podobnie jak w gospodzie Pod Orłem, w Białym Jeleniu również roiło się od ludzi. Jednakże Mary, pokrzepiona bułką i zadowolona ze swego miejsca przy ogniu, a niedługo także w powozie, bez niepokoju patrzyła na ruch wokół siebie. Wszyscy rozmawiali o najważniejszym wydarzeniu dnia i dziewczyna usłyszała całkiem dużo o dwóch koniach, ich dżokejach i potencjalnym wyniku, jeśli wystartuje również trzeci wierzchowiec, Blue Moon. O upływającym czasie informował ją wiszący naprzeciwko niej na ścianie wielki zegar o białej tarczy. Kwadrans po dziesiątej właściciel gospody zakomunikował, że powóz z Ipswich spóźnia się zapewne z powodu ruchu panującego w Cambridge w dniu wyścigu.

— Nie ma obaw, panienko — zapewnił ją — odjedzie pani najpóźniej za pół godziny. Taka zwłoka to drobiazg. Wie pani, czasami, gdy jest pełen zestaw gonitw, przejazdy zostają wstrzymane nawet na kilka godzin.

— Kto pana zdaniem zwycięży? — spytała Mary. Wyścigowy żargon rozbudził jej zainteresowanie, chociaż nie wiedziała, czy lepiej gdy koń ma „mocne stawy”, czy gdy cechuje go „zwrotność”. Oba te przymioty wydawały się wielce pożądane.

— No cóż — rozważył właściciel, przekrzywiając lekko głowę — gdybym był graczem, którym nie jestem, nie kusiłoby mnie postawienie na Swiftsure'a. Ale w tej okolicy trzeba mieć odwagę, aby stawiać przeciwko lordowi Seymourowi.

— To prawda, że Książę Arabii jest znacznie mniejszy niż Swiftsure? To nie wydaje się w porządku, że biedak musi się ścigać z większym koniem... Czy dostanie fory?

— Och, nie, panienko — odparł właściciel z uśmiechem. —

Ale proszę się nie martwić. Księżę jest może mały, lecz dzielny, rozumie pani? To bardzo odważny koń, który nienawidzi przegrywać. A poza tym niesie na swoim grzbiecie lżejszy ciężar, a widziałem konie jego rozmiaru przebiegające ponad dziewięć furlongów*...

Ale Mary nie interesowała się furlongami. Natychmiast jednak poczuła sympatię do dzielnego małego konika, który nie lubił przegrywać.

— Och, mam nadzieję, że wygra — zawołała. Nagłe zamieszanie oderwało uwagę właściciela.

— Ja również, panienko, ale już przybył panienki powóz, więc musimy iść. — Pospieszył na zewnątrz, a Mary za nim. Na dziedzińcu obserwowali, jak z powozu o niskim zawieszaniu wysiada trzech mężczyzn i pies, po czym kolejnych ośmiu osobników zeskoczyło z dachu pojazdu.

— W ten sposób łatwo zarżnąć konie, Sam — wytknął woźnicy właściciel Białego Jelenia. — A i ściągnąć na siebie karę możesz.

Woźnica wzruszył ramionami.

— Nie ja pozwoliłem im wsiąść. „Nie zwracam dodatkowych opłat”, powiedział mi człowiek w Cambridge, a potem kazał jechać ostrożnie. Jak gdybym mógł jechać szybko z całym tym tłumem!

— Ode mnie jest tylko jedna pasażerka, ta młoda dama, i postaraj się nie zamęczyć mojego zaprzęgu w drodze do Bury.

— Wiesz, że nie jestem okrutnikiem — odburknął woźnica. — A ty może przestaniesz wreszcie głądzić i zaprzęgiesz konie.

Sądząc po uwagach właściciela gospody i liczbie osób, które opuściły powóz, Mary oczekiwała, że będzie podróżowała do Bury samotnie. Zdumiała się przeto, gdy otworzywszy drzwi, odkryła w środku dwoje zajmujących już miejsca pasażerów. Pierwszym okazała się ogromna kobieta ubrana w staromodną

* Furlong — jednostka długości, ok. 201 metrów.

suknię z szarej satyny, futrzaną etolę i czepek ze związaną pod brodą koronką. Kobieta była tak szeroka w biodrach, że Mary początkowo podejrzewała ją o suknię z obręczą, zgodną z modą, w której nadal gustowały niektóre starsze damy. Bliższy ogląd ujawnił jednakże, iż kobieta bynajmniej nie musi się sztucznie poszerzać. Naprzeciwko niej siedział mały, sztywno wyprostowany mężczyzna w ubraniu z brązowego pluszu. Po obojgu widać było wyraźnie, że cierpieli z powodu warunków, w jakich jechali z Cambridge. Przedstawili się jako pani Oldworthy i pan Treadgill, i podczas gdy mężczyzna prostował sobie perukę i poprawiał płaszcz, dama opowiedziała Mary, co musieli znieść. — Panno Finch, zapewniam panią, że to było niewyobrażalne. Ścisk w tym powozie... Sądziłam, że zemdleję... A biedny pan Treadgill! Pan Treadgill podróżował po Indiach. Czy nie powiedział pan, że tłok panował tu gorszy niż wszelki, jakiego pan doświadczył w Indiach?

— O tak, znacznie gorszy.

— Mam nadzieję, że żadne z was nie zostało ranne? — spytała Mary ze współczuciem.

Pan Treadgill zrobił lekceważący gest, natomiast pani Oldworthy podjęła opowieść mocnym, pewnym głosem. Na dachu tkwiło ośmiu ludzi, co — każdy musi przyznać — było niebezpieczne. Wypadku uniknęli naprawdę jedynie dzięki serii cudów.

— I jeszcze jechał z nami wielki potwór, który szczekał i się ślinił. Nie wiem, jak to możliwe, że nie zostaliśmy wszyscy pogryzieni, taki był dziki.

Pan Treadgill wyjaśnił Mary półgłosem, że piesek, całkiem poczciwe stworzenie, spadłby, gdyby posadzono go na dachu.

— Pies to nie kot, wie panienka. Nie potrafi się trzymać podłoża, ponieważ nie posiada odpowiednich ku temu pazurów... to znaczy do trzymania. — Mężczyzna zamierzał dodać jakąś anegdotę o psach, lecz pani Oldworthy bezlitośnie mu przerwała.

— Niech sobie nie myślą, że nie złożę skargi — oznajmiła. — Z pazurami czy bez pazurów... To regularny skandal, oto czym była ta podróż i na pewno pożalę się komu trzeba w tej kwestii, kiedy wrócimy do Cambridge. Pan Treadgill nie powinien być zmuszony znosić takie rzeczy.

— Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej o tych wyścigach — jęknął mężczyzna. — Prawdopodobnie chciałbym je zobaczyć. Wiecie, że kiedyś wygrałem dwadzieścia funtów w Epsom, gdy byłem w domu na urlopie?

Okazało się, że pan Treadgill przeszedł na emeryturę i wrócił do Cambridge po długoletniej pracy w charakterze starszego buchaltera dla Ashton & Howell, handlowego przedsiębiorstwa korzennego współdziałającego z Brytyjską Kompanią Wschod-nioindyjską. Obecnie odbywał podróż do siostry w towarzystwie pani Oldworthy, swojej gospodyni.

— Jestem człowiekiem z Suffolku — wyjaśnił. — Moja siostra, pani Peny, mieszka w Hadley. Pan Perry... obecnie nieżyjący... urodził się w Sudbury, ale moja rodzina zawsze mieszkała w Hadley. Oczywiście oprócz mnie.

Mary z kolei opowiedziała co nieco o swojej sytuacji, wyjaśniając, że uczy historii i rysunków w szkole pani Bunbury w Saint Ives — może o niej słyszeli — i że jedzie z wizytą do stryja. Pan Treadgill nie znał szkoły, ale uważał nauczanie za bardzo zacne zajęcie, pani Oldworthy natomiast zastanowiła się głośno, dlaczego więcej osób nie odwiedza swoich krewnych. W końcu cała trójka przyznała zgodnie, że chętnie będą dzielić trudy podróży aż do Ipswich.

Do Bury dotarli jakieś dwa kwadransy po dwunastej w południe. Z powodu deszczu, który zaczął padać krótko po ich wyjeździe z Newmarket, i ponieważ woźnica pragnął nadrobić trochę czasu straconego na pierwszym etapie podróży, ich postój okazał się niezwykle krótki. Pan Treadgill był tym rozczarowany, gdyż miał nadzieję, że kiedy wysiądą z powozu na Angel Hill, pokaże Mary niektóre z głównych atrakcji miasta. Zadowolili się jednak otwarciem okien po obu stronach powozu

i wskazywał laską budynki, gdy tymczasem pani Oldworthy wypła mały kufel piwa. Nazbyt szybko jednak dama zamknęła okna i zaprzęgnięto świeże konie. Potem ponownie ruszyli w drogę.

Monotonny odgłos padającego deszczu i ruch powozu, nie wspominając o małym piwku, wkrótce uśpiły panią Oldworthy. Mary i pan Treadgill automatycznie obniżyli ton rozmowy, chociaż zupełnie niepotrzebnie. Pani Oldworthy nie tylko wydawała się odporna na wszelakie dźwięki, ale wręcz chrapała głośniejsz, niż jej towarzysze rozmawiali.

— Chciałabym, aby opowiedział mi pan coś o Indiach — poprosiła Mary. — To musi być ogromnie fascynujące mieszkać za granicą, tak jak pan.

Pan Treadgill wyjechał do Fort Saint George jako młody mężczyzna i spędził większość z następnych czterdziestu pięciu lat w biurach Ashton & Howell. Niemniej usiłował opisać rzeczy, które młoda dama — dobrze wykształcona młoda dama — uznałaby za interesujące. Właściwie nie był zbyt zręcznym gawędziarzem, ale nie miało to praktycznie znaczenia. Każde jego słowo tworzyło w umyśle Mary żywy obraz. Kiedy angielski deszcz zalewał okna powozu, dziewczyna chodziła po bazarach, pełnych ludzi sprzedających wszystko, od mała po szmaragdy, jeździła na słoniu w towarzystwie indyjskiego księcia oraz księżniczki ubranej w złote jedwabie i pachnącej egzotycznymi woniami. Odnosiła wrażenie, że słyszy wyznawców śpiewających w świątyni obcemu bogu; niektórzy składali w ofierze podarki z owoców i palili kadzidła, a z zewnątrz docierały odgłosy maszerujących i wojskowe okrzyki. Oczami wyobraźni obserwowała dzielnych żołnierzy Kompanii Wschodnioindyjskiej, którzy chronili Madras przed tygrysami ludojadami i niemal równie okrutnymi dzikimi tubylcami.

— Jakże ekscytująco to brzmi — szepnęła, drżąc na myśl o tygrysach. — Ależ pan miał przygody, gdy widział pan te wszystkie rzeczy.

— W istocie moje życie było naprawdę bardzo nudne —

zaprotestował pan Treadgill. — Spędzałem czas głównie wśród rachunków. Ale od czasu do czasu wielkie wydarzenia mogą stać się udziałem nawet takich zwyczajnych buchalterów jak ja. W tysiąc siedemset osiemdziesiątym roku na przykład... suponuję, że nigdy nie słyszała panienka o mężczyźnie nazwiskiem Hajdar Ali... tu, w Anglii? Mary potrząsnęła głową.

— Nie, u pani Bunbury nikt chyba o nim nie słyszał. Pan Treadgill dość dokładnie opowiedział, jak już wcześniej

drażliwe relacje między Kompanią Wschodnioindyjską i władcą Majsuru całkowicie się popsuły, w wyniku czego Hajdar Ali rozgromił siły Kompanii i oblegał miasto Madras. Tam przeciwstawili mu się — przeważnie cywilni — obrońcy, a wśród nich nieustraszony starszy buchalter Ashton & Howell.

— Nie wyobrażam sobie, że trafiłem kogoś z muszkietu, ponieważ nigdy nie miałem zbyt dobrego wzroku, ale przyznam, że strzelałem wiele razy z wielką werwą w kierunku wroga.

— Och, na pewno jest pan zbyt skromny. I co się zdarzyło?

— Wytrzymaliśmy, ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu... i zapewne także ich zaskoczeniu. A potem gubernator... gubernator Hastings... wysłał sir Eyre'a Coote'a z rozkazem opanowania sytuacji. Sir Eyre walczył w roku tysiąc siedemset czterdziestym piątym z pretendentem do tronu; nie zamierzał znosić żadnych nonsensów Hajdara Alego! Wkrótce skłonił go do ucieczki, jego i tego Francuza, który wspierał Alego.

Mary uznała opowieść pana Treadgilla za wspaniałą, a jego samego nazwała bardzo odważnym, jej rozmówca jednakże zakwestionował tę drugą uwagę.

— Nie wiem, czy męstwo miało z tym coś wspólnego. Po prostu nie było innego wyjścia.

— No cóż... być może. A jednak przydarzyła się panu niezwykle fascynująca przygoda.

— Tak, przypuszczam, że tak. — Pan Treadgill uśmiechnął się do swoich wspomnień, Mary zaś, widząc jego uśmiech, przyznała się, że również przeżywa pewną przygodę, chociaż

oczywiście nie może się ona równać tej z udziałem Hajdara Alego.

— Widzi pan, nigdy wcześniej nie spotkałam mojego stryja. Właściwie do dnia, w którym otrzymałam od niego list z zaproszeniem, nie miałam z nim zupełnie żadnego kontaktu.

— Wielkie nieba! — Pan Treadgill zapatrzył się na nią z otwartymi ustami. — I powiedziała pani, że... przepraszam bardzo... że on jest naprawdę jedynym pani krewnym?

_ Tak, moi rodzice zmarli trzy lata temu na influencę.

Właśnie dlatego podjęłam wtedy pracę u pani Bunbury.

Pan Treadgill uważał tę sytuację za zdumiewającą — nie to, że ktoś umarł z powodu influencji, ale że bliscy krewni mieli ze sobą tak niewielki kontakt, chociaż nie dzielił ich kontynent ani tysiące mil.

— Ale może pani stryj dużo podróżował albo zaangażował się w jakieś bardzo ważne sprawy.

— Może i tak — zgodziła się Mary. Lewą rękę trzymała w kieszeni peleryny i teraz zacisnęła palce, zdenerwowana własnym kłamstwem, mimo że właściwie nie skłamała. — W każdym razie jego list niezwykle mnie zaskoczył — dodała.

— I od razu przyjęła pani zaproszenie? Chodzi mi o to, że... oczywiście nic nie wiem o szkołach dla dziewcząt, lecz wydaje mi się, że... prośba o urlop bez ważnego powodu na pewno przysporzyła kłopotu pani pracodawczyni.

Mary miała ochotę odparować, że gdyby pan Treadgill wiedział cokolwiek o szkołach dla dziewcząt, sam pomysł odrzucenia sposobności ucieczki uznałby za szalony, jednak zamknęła usta i nic nie powiedziała. Mężczyzna marszczył brwi bardzo nieznacznie, z czego wywnioskowała, że takie niefrasobliwe zachowanie nie przysłoby do głowy żadnemu z pracowników Ashton & Howell.

— Och nie — zapewniła go, zaciskając palce po raz drugi. — Mój wyjazd nie był wcale aż taki niedogodny. No i naturalnie nie chciałam okazać się niewdzięczna w stosunku do stryja.

— Tak, to zrozumiałe.

Na twarzy pana Treadgilla pojawiła się ponownie jego zwykła łagodność, ale Mary wiedziała, że nie może być dumna ze sposobu, w jaki opuściła szkołę. Poczula, że się czerwieni, i gwałtownie szukała wzrokiem czegoś, co oderwie ją od wspomnień.

— Niektórzy twierdzą, że Francuzi płyną do Suffolku. Sądzi pan, że grozi nam poważne niebezpieczeństwo?

Pan Treadgill zastanowił się nad jej pytaniem.

— No cóż, mam szczerą nadzieję, że nie. Między nami a Francją płyną jednostki Królewskiej Marynarki Wojennej, które dają nam pewną pociechę w tych trudnych czasach. Kapitan Carlisle, który płynął ze mną na „Królowej Charlotte”, to wielki człowiek. Powiedział mi: „Możesz pan zawsze polegać na naszej marynarce wojennej, panie Treadgill” i ufam, że miał rację. Doszły do nas wprawdzie niepokojące nowiny z Indii Zachodnich co do naszych sił tamże... Mam jednak nadzieję, że chodzi jedynie o niewielkie komplikacje, które nasza marynarka jak zawsze przezwycięży.

Mary skinęła głową, marszcząc brwi. Nie знаła nowin z Indii Zachodnich, ponieważ pani Bunbury nie pochwałała gazet, ale zgodziła się, że brytyjska marynarka zawsze w końcu zwycięża. Wkrótce dowiedziała się jednak, że zagrożenie płynie nie tylko z zagranicy. Wrogie grupy działały również w samej Anglii. Pan Treadgill wymienił radykałów — Anglików tak przywiązanych do własnych wyobrażeń demokracji i wolności, że w imię tych zasad oddaliby swój kraj wrogowi — oraz przemytników, którzy nie troszczyli się o to, czy rząd składa się z prawowitego króla i parlamentu, czy też z tłumu morderczych Francuzów, póki mogli nadal z tymi Francuzami handlować.

— W Hadley, skąd pochodzę, do band przemytników należeli okropnie niemili osobnicy i sądzę, że niewiele się w tej kwestii zmieniło. Kiedy byłem chłopcem, bandą dowodził John Harvey. Zabójca, nie mam co do tego wątpliwości, a jego słowo stanowiło najwyższe prawo. Nikomu nawet nie śniło się, że można go wydać władzom, chociaż ustanowiono całkiem

dużą nagrodę. Uczciwi ludzie drżeli na myśl, co się zdarzy którejś ciemnej nocy, jeśli puszczą parę z ust. — Pan Treadgill potrząsnął głową... — Mówiła pani, że gdzie mieszka pani stryj?

— W pobliżu Lindham.

— Ach, no cóż, proszę go zatem spytać o... hm... „zwolenników wolnego handlu”...

— Panie Treadgill! — krzyknęła pani Oldworthy, która nagle się obudziła. — Dlaczego panna Finch miałaby pytać swego stryja o przemytników...?! Też coś! Czyja zasnąłam? O czym rozmawialiście?

— O Francuzach — odparła Mary. — A także o radykałach, przemytnikach i przygodach pana Treadgilla w Indiach.

Pani Oldworthy wzruszyła ramionami.

— Mam nadzieję, że te opowieści nie zmroziły ci krwi w żyłach, moja droga. Mnie przerażają. Och, uprzedzam, że nie mówię o wszystkich cudzoziemcach. Pan Oldworthy znał kiedyś jednego Walińczyka, który był osobą absolutnie godną szacunku. Ale im więcej pan Treadgill mówi o Indiach, tym bardziej myślę, że ich mieszkańcy niewiele mają wspólnego z ludźmi. Żaden z nich nie jest chrześcijaninem, oczywiście, modlą się do jakichś bożków, nieszczęsne istoty, i w ogóle zajmują się jakimiś dziwacznymi sprawami. Wie pani, panno Finch, w domu pana Treadgilla jest tak wiele zagranicznych błyskotek i świecidełek, że czasami obawiam się, iż rabusie dowiedzą się o nich i wszystkich nas dla nich pomordują. Nawet nie sześć miesięcy temu zamordowano pewnego dżentelmena na Trumpington Road. Podobno głowę wprost mu rozłupali. A teraz ci nieprzyzwoici Francuzi przyplyną do Anglii, aby postawić tu swoje gilotyny i posadzić drzewka wolności i... Na Boga! Czy to już Stowmarket?

Rzeczywiście dojechali właśnie do Stowmarket. Mary na wpół oczekiwała, że podczas zmiany koni pan Treadgill oświeci ją w kwestii różnych atrakcji miasta, ale tego nie zrobił. Może czuł, że jego ostatnie obserwacje nie były, mimo wszystko, całkiem odpowiednie, a może po prostu zbiła go z tropu własna

gospodyni, która — odświeżona dzięki drzemce — wydawała polecenia właścicielowi gospody Pod Różą. Z drugiej strony Stowmarket w zimne, deszczowe październikowe popołudnie pewnie po prostu nie nastrajało do opowieści. Niezależnie od powodów postój w Stowmarket nie okazał się przeto interesujący i wyróżniło go jedynie to, że dwóch różnych mężczyzn otworzyło drzwi, pytając, czy jest to powóz do Bungay.

Kiedy ruszyli ponownie, pani Oldworthy oznajmiła, że czas na posiłek. Wyjęła spod siedzenia wielki kosz z jedzeniem, a potem oboje z panem Treadgillem poczęli nalegać, aby Mary zjadła z nimi. Ponieważ przez cały dzień nie miała w ustach nic poza jedną bułką, z wdzięcznością przyjęła zaproszenie. We troje spożyli wesoły i niezwykle obfity posiłek, którego punktem kulminacyjnym był pudding śliwkowy pani Oldworthy.

— Nazywamy go po prostu puddingiem śliwkowym — zdradził Mary pan Treadgill — jednak jest wyjątkowy, ponieważ zawiera nie tylko zwykłe śliwki, lecz również renklody, a także nieszpuki. Pani Oldworthy przyjęła komplement z przesadnie skromnym skinieniem głowy. Ostrzegła, by nie oczekiwali zbyt wiele, ponieważ pudding jest oczywiście zimny, a z braku sosu można by go nawet ocenić jako nieco zbyt suchy.

— Nie przejmujmy się sosami i nie róbmy ceregieli — zawołał pan Treadgill, rozkładając serwetkę. — Panno Finch, da się pani skusić?

Mary dała się skusić. Tytułem próby ugryzła ciemny, lekko maziowaty kawałek, a potem drugi, już śmieiej. Deser smakował wyśmienicie! Pan Treadgill oświadczył, że pudding jego gospodyni jest lepszy, nawet zimny i bez sosu, niż jakikolwiek inny podany na gorąco.

Resztki obiadu trafiły z powrotem do koszyka, powóz tymczasem zwolnił, a później się zatrzymał.

— Coś takiego! — zauważył pan Treadgill, spojrzawszy na zegarek. — Dochodzi szesnasta. Woźnica wyraźnie nadrobił.

— Ale nie dotarliśmy jeszcze do Ipswich — odparła Mary,

wyglądając przez okno. — Jesteśmy nadal na drodze. Ciekawe, dlaczego stanęliśmy.

— Rozbójnicy — wykrztusiła pani Oldworthy, ściskając kosz zjedzeniem. — Albo Gidding wystąpiła z brzegów i zalała drogę!

— Jestem pewien, że nie ma się czym ekscytować — zapewnił obie towarzyszki podróży pan Treadgill. Wsunął głowę przez okno i zawołał do woźnicy: — Hej tam! Mamy jakieś kłopoty?

— Wygląda na to, że zdarzył się wypadek, sir — odkrzyknął woźnica. — Ned pobiegł zobaczyć.

— Ojejku — wymruczała pani Oldworthy i wsunęła koszyk pod siedzenie. — Bo ci woźnice to takie lekkomyślne stworzenia. Powinniśmy dziękować Bogu, że częściej nie dochodzi do kraks!

Po kilku minutach usłyszeli, że na zewnątrz konferują dwaj mężczyźni, potem strażnik otworzył drzwi i zdał raport. Był dużym, imponującym mężczyzną w przemoczonym szynelu i mówił cichym, lecz osobliwie dudniącym głosem.

— Paskudny wypadek tuż przed nami, proszę państwa. Jakiś dżentelmen stracił panowanie nad koniem i wpadł do rowu.

Nikt nie miał pewności, co należy zrobić. Dżentelmen wyglądał na bardzo poważnie rannego, tak poważnie, że strażnik obawiał się go ruszyć. Ale do Ipswich, gdzie można było znaleźć medyka nazwiskiem Truelove, pozostawało nadal ponad trzy mile. Powóz mógłby zanieść nowiny do Ipswich, wówczas trzeba by jednak opuścić rannego mężczyznę.

— Może ktoś zaczeka tutaj, podczas gdy reszta pojedzie po doktora? — zasugerowała Mary.

— Identycznie Sam i ja sobie pomyśleliśmy — zgodził się strażnik, drapiąc podbródek. — Może najlepiej, jeśli Sam pojedzie do Ipswich jak najszybciej i przyśle doktora do tego dżentelmena.

Zostanę tutaj i spróbuję naprawić gig. W ten sposób, jeżeli doktor nie przybędzie szybko, będę mógł przenieść dżentelmena do powozu. Bardzo delikatnie...

— Ale kto będzie doglądał rannego, kiedy pan będzie reperował gig? — naciskała Mary. Popatrzyła po swoich towarzyszach, nikt jednak nie zareagował. — Chyba powinniśmy coś zrobić? — I zanim zdała sobie sprawę z tego, że podjęła decyzję, zaoferowała się, że również zostanie.

— Och, panno Finch! — wykrzyknęła pani Oldworthy.

— To bardzo szlachetne z pani strony — zauważył pan Treadgill. — Czy jest pani wszakże pewna? Może ja powinienem...

— Z pańskimi płucami? Ależ zamarzęby pan tu na śmierć, panie Treadgill.

— A panna Finch?

— Mnie nic nie będzie — odparowała Mary, zapinając pelerynę i naciągając rękawiczki. — Może zdołam coś dla niego zrobić, a nawet jeśli nie...

Pani Oldworthy nadal wyrażała obiekcje, jednak dziewczyna już wysiadła.

— Nie martwcie się — zapewniła pozostałych. — Pan... Ned będzie w pobliżu reperował gig. Tylko proszę, pospieszcie się i przyślijcie lekarza, dobrze?

— Przynajmniej weź tę butelkę kordiału. Nigdy nie podróżuję bez niego, a może ocuci tego nieszczęśnika. Dam również pannie Finch pańskie zapasowe chusteczki do nosa, dobrze, panie Treadgill?

— Oczywiście, pani Oldworthy. Żałuję tylko, że nie możemy jakoś bardziej pomóc. Wyślemy oczywiście lekarza jak najszybciej. — Pan Treadgill popatrzył niespokojnie na niebo. — Gdybyż tylko tak szybko nie zapadały ciemności. Bardzo proszę, żeby zaopiekował się pan tą młodą damą — zwrócił się do Neda.

— Zrobię to, sir. Niech pan się nie obawia.

Mary wzięła butelkę i chusteczki, po czym odsunęła się od drzwiczek. Powóz odjechał.

— Do zobaczenia! — zawołała.

— Do zobaczenia, panno Finch. I niech cię Bóg błogosławi.

— Tędy, panienko — powiedział Ned.

Pospieszyła więc za nim, przeskakując co gorsze kałuże na drodze. Już częściowo żałowała pochopnej decyzji opuszczenia powozu. Jej doświadczenie w pielęgniarstwie ograniczało się do usuwania żądał i drzazg oraz opatrywania obtartych kolan. Co mogła zrobić dla człowieka, który doznał licznych, poważnych obrażeń? Być może krwawił albo nawet... Mary musiała się powstrzymać od imaginowania sobie wszelkich makabrycznych przypadków, do jakich jej wyobraźnia była zdolna, ażeby przerażenie jej nie sparaliżowało i nie odebrało chęci do działania. Zadeklarowała się wszak, że spróbuje pomóc, i teraz po prostu musiała dotrzymać danego słowa.

Ned zatrzymał się w miejscu, gdzie droga skręcała ostro w prawo. W rowie po lewej stronie leżał powyginany gig. Nieco dalej stała klacz. Jej przednie i tylne nogi były pocięte i pokrwawione z boku, kremowa sierść — pochłapana od błota, resztki upręży zwisały pokrzywione z łopatek. Ned pospiesznie przywiązał konia do drzewa za wodze, a następnie wskazał Mary mężczyznę leżącego w zaroślach za gigiem. Szare, zachmurzone popołudnie przechodziło już w zmierzch i nienaturalnie skrzywiona postać była z oddali trudna do rozpoznania i nawet nie przypominała człowieka.

— Tam leży, panienko. Chyba nie wyrobił się na zakręcie, a gdy próbował się zatrzymać, klacz poślizgnęła się na mokrej ziemi, przewracając gig.

— Tak, rozumiem. — Mary skrzywiła się, wyobrażając sobie tę scenkę. Prawdopodobnie wszystko zdarzyło się nagle; w jednej chwili mężczyzna jechał spokojnie przed siebie, a w następnej... — Pomoże mi pan zejść do niego?

Trzymając kurczowo rękę Neda, zsunęła się po mokrym trawiastym zboczu, usiłując nie wpaść w rosnący na dole gąszcz młodych drzewek i krzewów jeżynowych. Kiedy zbliżyła się do milczącej, leżącej bez ruchu postaci, ogarnęły ją lekkie mdłości. Na tle ciemnej ziemi zwrócona w niebo twarz mężczyzny wydała się Mary śmiertelnie blada.

— Był przytomny, gdy widziałem go po raz pierwszy — szepnął Ned. — Powiedział, że nazywa się William Tracey. Przypuszczam, że jest w dość kiepskim stanie.

Mary skinęła głową, starając się głęboko oddychać. Uklękła obok rannego, czując chłód i wilgoć przenikające szybko przez pelerynę i suknię.

— Najpierw pójde obejrzeć klacz, a potem spróbuję naprawić gig — ciągnął Ned. — Proszę wołać, jeśli będzie mnie pani potrzebowała.

— Dobrze.

William Tracey był jasnowłosym mężczyzną, już niemłodym, choć nie tak wiekowym jak pan Treadgill. Nosił przyzwoity ciemnozielony płaszcz podróżny i buty z cholewami, a jego kapelusz, teraz żałośnie zgnieciony, nie wyszedł jeszcze z mody. Gdyby ranny nie leżał w błotnistym rowie, można by go prawdopodobnie uznać za przystojnego. Mary zdjęła mu jedną rękawiczkę i dotknęła jego dłoni. Rękę miał wyziębioną, więc roztarła ją lekko. Jak długo tu leżał? Po chwili zadumy wytarła mu twarz chusteczką.

— Panie Tracey, słyszy mnie pan? — spytała. Mężczyzna otworzył oczy.

— Co się stało? — zapytał.

Wyjaśniła mu, że miał wypadek; nieświadomie mówiła powoli, wyraźnie artykułując słowa głosem zarezerwowanym dla cudzoziemców, osób niepełnosprawnych i źle słyszających.

— Posłaliśmy po lekarza, który przybędzie jak najszybciej.

— Okropny zakręt.

— Tak, i zapewne było bardzo ślisko. Czy mogę coś dla pana zrobić, aby było panu wygodniej? — Jego prawa noga wykręciła się pod nienaturalnym kątem i dziewczynę przerażała sama myśl o próbie jej wyprostowania. Zastanawiając się, czy powinna to zrobić, zapomniała o szczególnym tonie, jakim dotąd przemawiała. — Sądzę, że pańska noga może być złamana... Czy bardzo pana boli?

— Nie — westchnął. — Nie czuję jej. Kim jesteś, pani?

— Mary Finch. Nasz powóz zatrzymał się, kiedy zobaczyliśmy, że został pan ranny, a teraz pozostali pasażerowie pojechali sprowadzić lekarza.

— Co...? Gdzie jest ten drugi?

— Ma pan na myśli Neda, strażnika z powozu? Czy chciałby pan, żeby go przywołać?

— Nie — odszepnął Tracey.

Jego oczy powoli się zamykały, wargi pozostały zaś rozchylone i mężczyzna oddychał szybkimi, krótkimi sapaniami. Wyglądało na to, że za chwilę znów straci przytomność. Mary poluźniła mu szalik i rozpięła guziki płaszcza, myśląc, że to ułatwi mężczyźnie oddychanie. Potem przypomniała sobie o butelce kordiału. Etykietka na butelce głosiła: „Eliksir doktora Fairweathera. Naturalny lek wzmacniający, zawierający związki mineralne, środki ściągające i surowy spirytus. Sporządzony na zamówienie Księcia Ligurii. Tonizuje, wzmacnia i poprawia kondycję organizmu. Przyjmować jedną łyżkę trzy razy dziennie”. Tracey potrzebował raczej poważniejszego lekarstwa, lecz i środek wzmacniający z pewnością mu nie zaszkodzi. Od-korkowała butelkę i powąchała zawartość. Płyn miał lekko ziołowy zapach, nieco przypominający miętę. Z braku łyżki ostrożnie wlała niewielką ilość płynu wprost w usta mężczyzny. Prawie natychmiast Tracey otworzył oczy i zaczął kaszleć. Potem popatrzył na Mary. — Finch? — wykrztusił. Gdy potwierdziła, rozejrzał się wokół siebie niepewnie. — Czy my... czy umarliśmy?

— Nie, proszę pana. Jesteśmy na drodze do Ipswich.

— Jak mnie... Dzięki Bogu, że mnie pani znalazła. — Tracey zrobił słaby ruch ręką, a dziewczyna uścisnęła ją mocno. — Mam takie dziwne... urojenia — przyznał. — Od tamtego czasu... ale to nie była moja wina, wiesz. — Ciii — uspokoiła go Mary. — Nikt nie może pana obwiniać o ten wypadek. A teraz jest pan zupełnie bezpieczny.

— Nikt nie jest bezpieczny... już nie. Ale nie chciałem niczyjej krzywdy. Czy pani... Czy pani mi wierzy?

— Tak, oczywiście, że wierzę. Proszę się nie martwić.

— Jestem taki zmęczony... Odpocznę teraz — mruknął Tracey. — To dobrze, że... nie macie żalu.

Mary puściła jego rękę i usiadła prosto, niepewna, co robić dalej. Nie zrozumiała, o czym mężczyzna mówił, przypuszczała jednak, że powinna mu przytakiwać choćby tylko po to, aby go uspokoić. Ale czy należało go ponownie cucić? Lepiej żeby odpoczywał czy żeby pozostał przytomny? Jedna z dziewcząt u pani Bunbury często mdlała, jednak Mary nie potrafiła sobie przypomnieć, jak ją leczono, a poza tym podejrzewała ją o symulowanie. Na górze, wśród drzew, kręcił się Ned i Mary zadała sobie pytanie, czy powinna poprosić go o zrobienie łubków, żeby usztywnić nogę rannego.

Potem uświadomiła sobie, że Tracey odzyskał ponownie świadomość. Poruszył się nieco i skrzywił. Biorąc to za znak, że tamten pragnie coś powiedzieć, lecz nie ma siły, podała mu kolejną dawkę kordiału.

— Już niedługo, panie Tracey — zapewniła go, próbując mówić z przekonaniem. — Lekarz jest w drodze.

— W drodze — zgodził się, po czym dodał pospiesznie: — Może i tak, lecz cholernie się spóźnia. Jak długo jeszcze mamy na niego czekać? Straszliwie ryzykujemy.

Mary zaczęła go nakłaniać do odpoczynku, lecz w ten sposób tylko zwiększyła jego zdenerwowanie. Wymachiwał teraz niecierpliwie ręką, po czym spróbował usiąść. Powstrzymała go, kładąc mu ręce na ramionach, a on przez chwilę wpatrywał się w nią.

— Lepiej wszystko powiem — mruknął. — Pewnie zostało niewiele czasu.

„Pewnie zostało niewiele czasu”? O Boże! — pomyślała Mary, nachylając się nad nim. — Chyba nie zamierza umrzeć tutaj, w tym rowie?!

— Proszę... — zaczęła, po czym się zawahała. Jeśli miał coś konkretnego do powiedzenia, nieuprzejmie było go zniechęcać. Teraz zamknął oczy, a Mary nie miała pewności, czy

stracił świadomość, czy nie. — Proszę pana, czy pan mnie słyszy? Może pan mówić? — zawołała, znów pocierając jego dłoń. Natychmiast gdy spostrzegła, że jest przytomny, spytała głośno: — Panie Tracey, chce pan, żebym coś dla pana zrobiła?

— Wszystko jest w środku — wydyszał. — Mam klucz. Tylko ja... Dzięki Bogu, że tu pani jesteś... ale musisz uważać!

— Na co powinnam uważać? Pana klucz? Mam go dla pana przechować?

Szaleńczo potrząsnął głową.

— Nie... muszę go pilnować. Nie domyślasz się pani, co oni... ryzyko... nie wiesz... Bez wątpienia nie wiem — pomyślała Mary, ale głośno stwierdziła:

— Proszę, niech pan nic nie mówi, jeśli to pana męczy. Chciałam tylko zapewnić... że lekarz będzie tu wkrótce.

Ta informacja chyba go uspokoiła, ponieważ ucichł. Dziewczyna również lekko się odprężyła. Potem mężczyzna spytał, tym razem zupełnie innym tonem, co się zdarzyło. Powtórzyła swoje pierwotne wyjaśnienia, myśląc, że rannemu najlepiej ustępować.

— Ta droga jest bardzo niebezpieczna.

— Niebezpieczna — zgodził się. — Spróbują panią zatrzymać, jeśli się dowiedzą. Ale to my musimy ich powstrzymać! Znowu usiłowała ustalić, co miał na myśli i czego od niej chce, jednak jej pytania najwyraźniej do niego nie docierały, gdyż Tracey nadal wyrzucał z siebie kolejne chaotyczne zdania.

— Zrobię... co mogę, aby pomóc. Nie boję się. Ale, pani musisz być... gotowa iść.

Po czym znów stracił przytomność.

Jego błądność przeraziła ją, więc znowu bez wahania skorzystała z pomocy kordiału. Kolejna dawka otrzeźwiła mężczyznę, lecz teraz gdy zakaszłał, na jego ustach pojawiła się krwawa plwocina.

Dziewczyna wytarła ją, a Tracey zapytał drżącym, natarczywym głosem:

— Czy wszystko przygotowane? Nie mogę się z nim spotkać, póki nie będę miał pewności.

— Tak, tak, jestem pewna. Nie musi się pan martwić — odparła dość desperacko. Gdzie jest ten lekarz? Chyba dojechali już do tej pory do Ipswich? Przypomniała jej się ostatnia uwaga pana Treadgilla; rzeczywiście zapadały ciemności. Czy dlatego twarz rannego wyglądała tak upiornie? —

Przepraszam, panie Tracey — kontynuowała głośno — muszę pożyczyć na moment pański zegarek. Mary pociągnęła delikatnie złoty łańcuszek widoczny na kamizelce. Kiedy ich powóz się zatrzymał, dochodziła czwarta po południu, a Ned twierdził, że od Ipswich dzielą ich mniej więcej trzy mile. To by oznaczało... Aż podskoczyła, gdy z kieszeni kamizelki pana Traceya wyłonił się zegarek, po czym nieprzytomnie zagapiła się na przedmiot. Było to wyszukane urządzenie, małe jak na repeties, z delikatnymi stalowymi wskazówkami i minutami połączonymi arkadowym pierścieniem. Co również niezwykle, tarczę zegarka, o złoconej i zdobionej szylkretem kopercie, pokrywała nie zwykła biała emalia, lecz bardziej wyrafinowana kremowa. Czy to możliwe?! Nie rozpinając swojej peleryny, Mary sięgnęła pod nią gmerała, aż znalazła kieszeń sukni. Jej palce zidentyfikowały chusteczkę, sześciopensówkę, po czym wyciągnęły gładki okrągły przedmiot. Obracając go w dłoni, zapomniała o sprawdzeniu godziny czy też obliczeniu prędkości powozu. Zamiast tego przyjrzała się najpierw zegarkowi pana Traceya, potem własnemu. Były zupełnie takie same.

3

— Co się stało, moja droga? Mieliście wypadek? Cichy, przymilny głos sprawił, że Mary wręcz podskoczyła.

U jej boku kucał niewysoki człowieczek o chudej twarzy. Wyglądał okropnie w długim, przemoczonym płaszczu i powyginanym kapeluszu. Cienka biała blizna, która zaczynała się pod nosem mężczyzny, a później otaczała część ust, sięgając prawie do szczęki, przypominała koci wąs. Jego oblicze znalazło się tak blisko dziewczyny, że widziała kilkudniowy, czarny, przetykany siwizną zarost na podbródku i małe przekrwione oczy.

— Och, taaak — wyjąkała, próbując odzyskać zimną krew. Wcześniej instynktownie cofnęła się, lecz teraz przypomniawszy sobie, że obszarpany płaszcz nie czyni przecież z człowieka przestępcy, a i jej ręce nie były w tej chwili szczególnie czyste _ Obawiam się, że jest bardzo ciężko ranny. Czy pan... Czy ma pan jakiś pojazd na drodze? — spytała z nadzieją, chociaż mężczyzna nie wyglądał na kogoś, kto może sobie pozwolić na taki luksus.

— Hm — odparł tamten, patrząc na Traceya z ponurą miną. Potem odwrócił się do Mary, taksując ją ostro. — I pani go dogląda, panienko?

— Posłaliśmy... posłaliśmy po lekarza.

— To jego krew na chusteczce? Nie wygląda dobrze takie krwawienie. Przypuszczam, że pani przyjaciel nie pożyje na tyle długo, by doczekać lekarza. Wiem trochę o takich sprawach, może powinienem...

— Nie, proszę — zaprotestowała. — Nie sędzę...

— Ej!

Mężczyzna cofnął rękę i wstał szybko, kiedy Ned przepchnął się przez zarośla.

— Co tu robisz? — zapytał.

— Spokojnie, kolego. Nie miałem złych zamiarów—zapewnił go nieznajomy. — Wypełniam tylko swój chrześcijański obowiązek, próbując pomóc tej młodej damie i jej towarzyszowi.

— Chrześcijański obowiązek, co? Lepiej idź stąd i wypełniaj go gdzie indziej — warknął Ned. — Nie potrzebujemy pomocy od takich jak ty. — Rozsunął poły swego płaszcza, pokazując okazały pistolet wciśnięty za pasek. — Już dobrze, dobrze — odparł mężczyzna, rozkładając ręce i robiąc powolny krok w tył, jak gdyby usiłował umknąć przed wielkim i być może niebezpiecznym zwierzęciem. Gdy stał, wyglądał na jeszcze niższego, a poły jego ubłoconego płaszcza objęły mu się o nogi. — Nie miałem złych zamiarów — powtórzył.

— To dobrze — stwierdził Ned. — I nic złego się nie stało... jak do tej pory. Uciekaj stąd, ale to już, zanim zdarzy się coś nieprzyjemnego.

Ned utrzymywał zagniewaną minę i agresywną postawę, póki obcy nie oddalił się w kierunku przeciwnym do drogi. Potem się odprężył. — Wszystko w porządku, panienko?

— Tak, ja... Kto to był? — wykrztusiła.

— Och, jakiś włóczęga albo inny łobuz. — Strażnik wzruszył ramionami. — Nie jest bezpiecznie rozmawiać z tego rodzaju ludźmi. Skąd wyskoczył?

— Właściwie nie wiem... Po prostu się zjawił. Nie spodobał mi się — przyznała — ale może... może mógł nam pomóc?

— Chciała pani chyba powiedzieć, że chętnie zająłby się portfelem pana Traceya — zadrwił Ned. — I pani mieszkam również. Przypuszczam, że uznał was za dobry łup, samotną damę i ciężko rannego.

— Popatrzył niespokojnie na leżącego. — Kiepsko wygląda — ocenił.

— Tak. — Mary skinęła głową. — Sądzę, że jest w bardzo złym stanie. — Zbeształa się za to, że pozwoliła, by byle włóczęga oderwał ją od jej zadania, ale kiedy naradziła się z Nedem, uznali, że właściwie nie mogą zrobić dla cierpiącego nic więcej. Strażnik naprawił już gig, lecz pojazd był za mały i zbyt chwiejny, aby można wieźć nim człowieka z takimi obrażeniami. Musieli po prostu poczekać na lekarza, chociaż kiedy podczas ponownego ataku kaszlu na ustach Traceya pojawiła się krwawa plwocina, zastanawiali się, czy medyk zdoła go uratować.

Nagle z drogi nad nimi dotarł stukot końskich kopyt.

_ Hej! Ned Garrow! Hej! — wrzasnął ktoś.

Ned podniósł się.

— Czy to ty, Ned Jenkins? — odkrzyknął. — Najwyższy czas. Gdzie lekarz?

— Nie ma lekarza — odburknął drugi Ned opryskliwym, zrzędlwym tonem, jak gdyby wywołanym beużytecznym charakterem przekazywanej wiadomości. — Doktor Truekwe pojechał z wizytą domową do jakiejś chorej damy, gdzieś w okolicy Elmswell, a aptekarz twierdzi, że nie może przyjechać. — Stary Dimcock? Dlaczego nie może przyjechać?

— Mówi, że bardzo mu doskwiera reumatyzm, więc nie może podróżować ani konno, ani powozem. Kazał przywieźć tego dżentelmena do Wielkiego Białego Konia, jeśli człek ów jeszcze żyje, lub do przedsiębiorcy pogrzebowego Fletchera, jeśli umarł. Jestem wozem Toma Bamforda, więc dla mnie bez różnicy.

— Nie umarł — oznajmił Ned Garrow — choć jest bliski śmierci. — Przerwał, po czym dorzucił: — No dobra, na cóż

więc czekamy, Ned? Pomóż mi przestawić gig na drogę, a potem przeniesiemy rannego. Wiesz, że nie zdołam zrobić tego sam.

— W porządku, już idę — odburknął Ned Jenkins, schodząc ostrożnie z drogi do rowu po spadzistym zboczu. — Wstrętny gnojek — dodał pod nosem.

— Pamiętaj lepiej o manierach — pouczył go oschle Gar-row. — Jest tu młoda dama, która nie ma ochoty słuchać ordynarnego języka.

— Przepraszam, panienko — mruknął drugi Ned. — Nie zauważyłem pani.

Mary stanęła chwiejnie na nogi i otrzepała mokrą spódnicę. Nagle zrobiło jej się bardzo zimno, a kolana i pośladki bolały ją od tak długiego klęczenia nad panem Traceyem. Ciągłe zaciskając kurczowo w dłoniach butelkę eliksiru doktora Fairweathera, dziewczyna wdrapała się na skarpe i tam poczekała na obu Nedów. Kiedy położyli pana Traceya na podłodze wozu i przywiązali za wozem klacz oraz gig, zasugerowali, by Mary także wspięła się na wóz i jechała obok rannego mężczyzny, zapobiegając przesuwaniu się bezwładnego ciała w trakcie jazdy.

— Niech go panienka utuli — powiedział Ned Jenkins.

— Uważaj, co mówisz — ostrzegł go Ned Garrow. Podczas przenoszenia na wóz Tracey znowu zemdlął i kiedy

Mary usadowiła się obok niego, próbowała ponownie ocucić go eliksirem. Tym razem jednak płyn nie zadziałał, mężczyzna jedynie wciąż kaszlał krwią.

— Wszystko zabezpieczone, panienko? — spytał Ned Garrow z siedzenia woźnicy. —

Prawdopodobnie jazda będzie wyboista, ale moim zdaniem ranny nawet tego nie zauważy.

Kiedy wóz powoli niósł swój nieszczęsny ładunek ku Ipswich, Mary przyłapała się nagle na tym, że poświęca tylko połowę uwagi panu Traceyowi. Dumiała i biła się z myślami. Jak powinna zinterpretować słowa rannego? Gdyby tylko mogła zadać mu jeszcze kilka pytań!

Straszliwe ryzyko, powiedział, lecz jakiego rodzaju ryzyko? Ujawnienie, tak, z pewnością, ale ujawnienie czego? Morderstwa? Rabunku? A może chodzi o człowieka, na którego ranny czekał... który miał pomóc albo przeszkodzić? Kogoś, kto... wie coś o bardzo poważnym niebezpieczeństwie. Musi być poważne, ponieważ go przeraziło albo strasznie wytrąciło z równowagi. A są też inni — powiedział, że próbują mnie powstrzymać, jeśli się dowiedzą... O czym mogą się dowiedzieć? Kim są ci inni i co takiego będę robiła, że ktoś postanowi nie dopuścić do tego...?

Popatrzyła na Traceya, lecz jego blade, milczące oblicze niczego nie ujawniało. Tylko słabe tętno pod jej palcami potwierdzało, że mężczyzna nadal żyje. Nagle wóz zachybotał nieprzyjemnie, kiedy jedno z jego kół wpadło w koleinę, i ramię rannego ześlizgnęło się ku Mary, jak gdyby mężczyzna próbował przyciągnąć jej uwagę. Co mogłabym zrobić — zastanawiała się — albo co mogłabym odkryć, że tak bardzo zdenerwowałabym kogoś? Odpowiedź — czy też jakaś część odpowiedzi — była oczywista; Mary miała w ręku dowód, a jednak wciąż nie wierzyła w swoje podejrzenia.

Szare popołudnie ustąpiło miejsca wieczorowi i Mary poczuła znużenie. Stuk-stuk-stuk, koło giga ocierało się w miejscu, gdzie Ned Garrow je naprawił. Ten powtarzalny rytm układał jej myśli w swego rodzaju monotony zaśpiew. Powiedział, że to niebezpieczne... O jakiego rodzaju niebezpieczeństwo chodziło? Coś jest nie w porządku... zegarek to potwierdza. Kłopoty... Mój stryj ma kłopoty? Jak mogę rozwiązać jego problemy? Powtarzała sobie te pytania, raz za razem, nie bardzo świadoma, co znaczą. Jednak wraz z każdym kolejnym powtórzeniem stopniowo się uspokajała.

Obudziła się przestraszona. Światła, głosy, tłum ludzi. Usłyszała głos Neda i przypomniała sobie pana Traceya oraz jego wypadek. Mężczyźni podnosili właśnie z wozu rannego i kładli go na noszach. Ktoś pomógł Mary wstać; zeskoczyła z wozu, ciągle oszołomiona i wstrząśnięta.

— Oto ona, pani Bamford, to jest właśnie ta młoda dama — powiedział ktoś, a potem jakaś wielka, miła kobieta wzięła Mary w objęcia i nazwała prawdziwą bohaterką.

Przypominając sobie o swoich obowiązkach, dziewczyna zawołała: „Pan Tracey...”, kobieta jednak uspokoiła ją.

— Zostaw go medykom, moja droga — poleciła. — Zaopiekują się biednym dżentelmenem. — Wprowadziła Mary do środka. — Okoliczności nie są wprawdzie szczególnie miłe — kontynuowała, prowadząc dziewczynę do zatłoczonego salonu — lecz Biały Koń wita panią serdecznie. Cieszymy się, że możemy gościć panią u nas. — Pozostali goście rozstąpili się, aby zrobić im przejście. — Chodź, dziecko, siadaj przy ogniu... Ustąp, pani, tej młodej damie fotel, a ja przyniosę jej coś gorącego.

— Biały koń? — spytała Mary chaotycznie, myśląc o klaczy pana Traceya.

— Zgadza się, panienko — odparła kobieta. — Oto hotel Pod Wielkim Białym Koniem, a ja jestem pani Bamford. Siadaj, odpocznij sobie i o nic się nie martw. Twój bagaż znajduje się już na górze i kiedy zjesz kolację, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Mary wręcz zatoneła w miękkim fotelu. Bagaż! Zupełnie o nim zapomniała, a przecież tego ranka tak strasznie martwiła się, że kufer może jej się gdzieś zawieruszyć! Dzisiejszy ranek i jego problemy wydawały się teraz bardzo odległe i nieważne. Czy naprawdę zaczęłam ten dzień w swoim pokoiku u pani Bunbury? Uśmiechnęła się niepewnie do siebie, a pani Bamford doradziła jej, aby nie ruszała się z miejsca.

— Jesteś wykończona. Wcale się nie dziwię, po wszystkim, przez co przeszłaś.

Właścicielka uwijała się szybko, wchodząc i wychodząc. Najpierw przyniosła szklanekę gorącego mleka, potem misę parującej, aromatycznej zupy, przy okazji wyjaśniała Mary, jak dotarły do gospody informacje o nieszczęściu. Główną informatorką była pani Oldworthy. Pani Bamford nie mogła

się nachwalić Mary za jej dzielność i dobroć. Jakże oni wszyscy niepokoiли się o nią! Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że Ned Garrow jest człowiekiem, na którego można liczyć, ale młoda dama na takim odludnym odcinku drogi... Och, lepiej nawet o tym nie myśleć!

Mary przyjmowała dowody uznania uprzejmie, lecz w chwili obecnej zupełnie nie potrafiła ich docenić. Była wyczerpana i przejęta zdarzeniami, do których doszło na drodze ze Stowmarket, a rozmowy otaczających ją osób kłębiły się wokół niej, bynajmniej nie dodając otuchy. Wypadek pana Traceya wyraźnie rozbudził u klienteli hotelu Pod Wielkim Białym Koniem szersze zainteresowanie śmiercią i wszelkimi poważnymi obrażeniami, toteż zebrani prowadzili ożywione dyskusje na te tematy. W pobliżu baru grupka mężczyzn słuchała w oczarowaniu opowieści o Cyganie stratowanym przez wściekłego byka. W rogu jakaś starsza akuszerka relacjonowała, jak odbierała poród dwugłowego dziecka, podczas gdy dwóch marynarzy o mało się nie pobiło, spierając się o to, czy topielcy zawsze mają po śmierci otwarte oczy.

Skupione, podekscytowane twarze napępiały Mary przerażeniem. W przyćmionym świetle goście gospody wyglądali makabrycznie, a ich hałaśliwe, swarliwe głosy przyprawiały dziewczynę o ból głowy. Żadna z osób widocznie nie potrafiła pojąć, co właściwie się zdarzyło, pan Treadgill zaś i pani Oldworthy, którzy jako pierwsi poinformowali o kraksie, dawno już odjechali. Mary przez chwilę rozważała, czy zwierzyć się ze swych obaw pani Bamford, lecz stentorowe powiadomienie tejże damy, iż chirurg planuje odciąć panu Traceyowi nogę, jeśli ranny przeżyje do rana, wyperswadowało jej ten pomysł. Była więc straszliwie samotna.

Stopniowo zupa i gorący napój zrobiły swoje; Mary poczuła się nieco lepiej i chociaż nadal nie wiedziała, co robić dalej, obecna sytuacja wydawała jej się już mniej ponura. W dodatku rozmowy w salonie zeszły na tematy bardziej ogólne: wojnę, podatki i ceny zboża. Zapalono fajki, zamówiono następną

kolejkę piwa, a do Somersham odjechała dwukółka. Gdy około godziny dwudziestej pierwszej przybył powóz z Felixstowe, w zadymionym pomieszczeniu panowała już zwykła niemra-wość, typowa dla jesiennych wieczorów.

Powóz z Felixstowe opuścił tylko jeden pasażer. Jego wejście zostało poprzedzone krzykiem jednego z młodszych Bamfordów, że „pan oficer chce wiedzieć, czy nie spóźnił się na pospieszny z Norwich?”, po którym nastąpiła równie głośna odpowiedź: „Matka mówi, że nie spóźniłeś się pan, więc może wejdiesz pan do środka, ponieważ mamy pieróg nadziewany rybą lub baraniną oraz chleb ze serem”. W tym momencie do salonu wszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w granatowym szynelu. Zajął fotel przed ogniem, wyciągnął przed siebie długie nogi i skinął głową w jej kierunku. — Dobry wieczór, panienko.

Mary wymamrotała niezrozumiałą odpowiedź. Słowo „oficer” od razu przyciągnęło jej uwagę i obecnie próbowała dyskretnie przyjrzeć się przybyszowi. Mężczyznę cechowało to, co uznała za zachowanie wojskowego — był obcesowy i praktyczny. Gdy usiadł obok niej, dostrzegła inne szczegóły. Chociaż czysty, jego płaszcz okazał się z bliska znoszony i wyblakły. Oficer nie miał koronki przy mankietach ani żadnych ozdób, ręce zaś wyglądały na spierzchnięte, a knykcie były otarte. Tym niemniej te drobiazgi w niczym nie umniejszały jego poważnego wyglądu i charyzmy. Ojciec Mary zawsze uważał żołnierzy za osobników głośnych, wulgarnych i agresywnych, ten mężczyzna nie wydawał się jednak posiadać żadnej z tych wad. Mary przypomniała sobie, co powiedział pan Treadgill o marynarce wojennej — tak, oficerowie marynarki stanowili oczywiście zupełnie inną grupę.

Mary rzuciła teraz ukradkowe spojrzenie na oblicze towarzysza. Nie należał do przystojnych, zdecydowała, a wyraz jego twarzy na pewno nie był ani ciepły, ani zachęcający. Tak czy owak, uznała, że nie może po prostu zacząć rozmowy. Wszak w ogóle go nie znała, a poza tym jaki miała pretekst, aby się odezwać?

_No to co mi pani poleca na kolację?

Na dźwięk jego głosu Mary aż się wzdrygnęła.

— Ja? To znaczy... mnie pan pyta? Powtórzył pytanie.

_Nie lubię pieroga nadziewanego rybą— ostrzegł. Za dużo ości.

Poczuła się tak zaskoczona, że odpowiedziała zupełnie bezwiednie:

— I czasami się przypala. Och! Nie mówię, że tutaj, ma się rozmieć, tylko że... dostałam kiedyś taki... gdzie indziej... i był... przypalony. Ale zupa jest bardzo dobra. — Przypatrywała mu się przez moment, po czym spuściła wzrok. Czy mogłaby powiedzieć coś bardziej absurdałnego?

O dziwo, oficer nie wydawał się uważać jej wypowiedzi za absurdałną, a kiedy pani Bamford pojawiła się kilka minut później, oznajmił jej spokojnie, że — za radą młodej damy — zje zupę. Pani Bamford skinęła głową z aprobatą i zaproponowała również piwo, chleb z serem i nocleg. Mężczyzna zgodził się na to wszystko, lecz zdumiał się, że są jakieś wolne pokoje. Dodał, że gdy przybył, dziedziniec wyglądał na bardzo zatłoczony.

— Och, tak — rozpromieniła się pani Bamford — mam absolutnie uroczy pokoik na tyłach. W starym pokoju, niestety, dziś wieczorem panuje zamieszanie — zwierzyła się — a to z powodu tego nieszczęścia, mówimy jednak tylko o jednym pokoju, a wątpię, czy biedny dżentelmen będzie go jeszcze długo potrzebował. — Siąknęła nosem i przewróciła oczami, patrząc współczująco na Mary.

— Tego nieszczęścia? — spytał oficer.

— Tak, proszę pana, na drodze ze Stowmarket zdarzył się straszny wypadek. Ta biedna młoda dama — kobieta znowu skinęła głową ku Mary — była aniołem dobroci dla nieszczęsnego dżentelmena, który został ranny. Czekwała obok mego, samiutka jedna, a on na przemian mdlał albo krzyczał. Och, to naprawdę straszne. Powinieneś, sir, zobaczyć, ile było krwi... No i jego biedna noga. Gdy go wnosili...

— Chwileczkę! — Mężczyzna zmarszczył brwi, zerkając w kierunku Mary. — Ta młoda dama... na pewno nie chce tego wszystkiego słuchać.

— Ach—jęknęła pani Bamford, jak gdyby sugestia oficera wydała jej się raczej osobliwa. — Chociaż pan zapewne widział niejedno, sir. Mężczyzn ściętych w kwiecie wieku i...

— Rzeczywiście, wiele widziałem, ale, proszę, nie przed kolacją.

— A najwięcej... Co... co takiego? — Umilkła na moment, niepewna, czy kontynuować. — No cóż, sir, to było straszne nieszczęście, bez dwóch zdań. Obejrzę teraz stan pańskiego pokoju, zgoda?

— Będę pani wielce zobowiązany. I proszę nie zapomnieć o zupie.

— Ma pan rację, sir — odparła pani Bamford z udawaną gorliwością. Ale kiedy odchodziła, nie mogła się powstrzymać przed krytycznym potrząsaniem głową. Ten oficer był jakiś dziwny.

Mary z determinacją odwracała wzrok przez całą wymianę zdań tamtych dwojga, lecz w rzeczywistości słuchała z wyraźną uwagą. Kiedy rozmowa się skończyła, nie mogła sobie odmówić kolejnego spojrzenia na sąsiada, co mężczyźnie nie umknęło.

— Mam nadzieję, że pani przyjaciel nie jest w tak złym stanie, jak mówi właścicielka.

— Dziękuję panu — odparła Mary, czerwieniąc się. — Boję się, że jego rany są bardzo poważne, chociaż nie mogę rościć sobie prawa do żadnej szczególnej znajomości z nim... z panem Traceyem. To znaczy... on rzeczywiście mówił do mnie, jednak na moim miejscu mógł być każdy.

— Ale nie było pani tam, gdy doszło do wypadku?

— Nie, nie, zjawiliśmy się później. Widzi pan, nasz powóz zatrzymał się właśnie ze względu na tę krakę, a ja wysiadłam, aby pomóc.

Skinął głową, kiedy stanęła przed nim miska z zupą, po czym kontynuował:

- Poszła pani pomóc obcemu człowiekowi... zupełnie sama?

Mary odczuła nagłe pragnienie ubarwienia własnych zasług, uznała jednak, że powinna wspomnieć także o udziale strażnika Neda. Sprawilo jej przyjemność, gdy odkryła, że oficer nieszczególnie interesuje się Nedom.

— Och, ja... — plątała się, jednak oczywista aprobata słuchacza zachęciła ją do ciągnięcia opowieści.

— Zastanawiam się - stwierdziła cicho — czy mogłabym... czy to byłoby nieuprzejme z mojej strony spytać pana o radę w tej kwestii?

— Mnie o radę?! Tyle że ja nie... ale, tak, tak, w porządku. Śmiało.

Przysunęła swój fotel bliżej mężczyzny.

— Dziękuję panu, panie... kapitanie? — zaryzykowała.

— Tak, panienko. A nazywam się Holland. Kapitan Robert Holland. — Wyciągnął rękę. Nie całkiem pewna, jak zareagować, uściśnęła ją. Albo raczej wytrzymała jego mocny uścisk, który wycisnął jej dłoń niczym mokrą szmatę.

— Kapitanie Holland — podjęła, kiedy czucie wróciło do jej palców. — Jestem Mary Finch.

Naprawdę przepraszam i mam nadzieję, że nie uzna mnie pan za osobę... dziwną, ale widzi pan, wierzę, że istnieje jakaś ważna tajemnica związana z panem Traceyem.

Pochyliła się do przodu szybko, kiedy to obwieściła, jednak kapitan Holland popatrzył na nią z powątpiewaniem, jak gdyby nie wierzył w takie rzeczy jak tajemnice i jak gdyby dawał dziewczynie do zrozumienia, że uważa jej podejrzenia za niestosowne.

— Sądziłem jednak, że nie znała pani tego... Traceya.

— Nie znałam go przed wypadkiem — przypomniała mu — jednak gdy siedziałam przy nim, powiedział mi kilka rzeczy... Ostrzegł mnie przed poważnymi niebezpieczeństwami... które mogą dotyczyć mojego stryja. Kapitan Holland nadał marszczył czoło z powątpiewaniem.

— Pani stryja?

— Może powinnam opowiedzieć od początku.

— Jak pani chce. Czy nie przeszkadza pani, że będę jadł kolację?

— Och, proszę, oczywiście — odparła Mary. — Chciałam powiedzieć, tak, proszę jeść.

Kiedy chleb kapitana zniknął w jego zupie, Mary rozpoczęła dokładne sprawozdanie, jej zadanie nie było jednak proste. Oczywiście, kiedy zasugerowała: „opowiedzieć od początku”, tak naprawdę nie miała na myśli początku „wszystkiego”, nie zamierzała bowiem mówić o własnych narodzinach ani zdarzeniach wcześniejszych, ale nie mogła po prostu powiedzieć, że wyjechała z Saint Ives tego ranka, gdyż nie był to początek tej historii! Wówczas przecież nie wyjaśniłaby podstawowych faktów związanych z całą sytuacją, a przeczuwała, że bez nich kapitan Holland nie będzie prawdopodobnie szczególnie pomocny. Powiedziała zatem, że kiedy była młoda, nie miała zbyt wielu bliskich krewnych; wspomniała o rodzicach, którzy prowadzili coś w rodzaju szkoły dla chłopców.

Holland uśmiechnął się na myśl, że siedząca naprzeciwko niego dziewczyna daje do zrozumienia, iż ma za sobą swoje młode lata, lecz spytał jedynie, co rozumie przez „coś w rodzaju szkoły”.

— Nasi chłopcy byli bardzo mali, toteż nie tyle uczyliśmy ich różnych przedmiotów, ale raczej jak używać chusteczki do nosa i nie wydawać za jednym zamachem kieszonkowego. Później szli do zwykłych szkół, większość z nich... Najpierw wszakże powinni się nauczyć samodzielności i życia bez matki.

— I pomagała pani tego uczyć?

— Tak, kiedy dorosłam na tyle, aby stanowić pomoc dla moich rodziców i nie czynić zamieszania, które zachęci ich do bójek. Chłopcy mnie nawet słuchali, niestety potem, trzy lata temu, nadeszła ostra zima i oboje moi rodzice zmarli na influencę. Nie byłam w stanie prowadzić szkoły sama i przyjąłem pracę nauczycielki w szkole pani Bunbury w Saint Ives.

— Saint Ives w Kornwalii?

— Nie, w hrabstwie Cambridge. To było... No cóż, nie powinnam się skarżyć, ponieważ miałam bardzo dużo szczęścia, że w ogóle znalazłam jakąś posadę, i przypuszczam, że istnieją znacznie gorsze miejsca niż to u pani Bunbury, ale... — Mary skrzywiła się lekko. — Lepiej nie powiem nic więcej, w przeciwnym razie wydam się panu osobą niewdzięczną. Tak czy owak, przedwczoraj otrzymałam list od stryja, w którym zapraszał mnie do złożenia wizyty, co wydało mi się bardzo emocjonujące, gdyż stryj nigdy przedtem nie kontaktował się z nami.

— Skąd wiedział, gdzie pani szukać? — spytał Holland.

— Nie wiedział. Wysłał list do naszej szkoły w Bath i ktoś stamtąd przesłał go dalej... wcale nie od razu... do szkoły pani Bunbury.

— Hm...

_ Mój stryj mieszka w pobliżu miejscowości Lindham w Suffolku. Ma posiadłość, która nazywa się White Ladies*; czytałam o niej w *Atlasie Cary'ego* i ten opis był wspaniały! Od razu, rzecz jasna, postanowiłam przyjąć zaproszenie.

— Wygląda na to, że potrzebowała pani całego dnia na podjęcie decyzji.

Mary uśmiechnęła się na tę myśl.

_ Nie, nie, cały dzień zajęło mi zbieranie się na odwagę, aby powiedzieć o mojej decyzji pani Bunbury! I, oczywiście — wzruszyła ramionami — mogłam odpisać stryjowi, tyle że jego list i tak przecież szedł do mnie ponad miesiąc, a ja nie chciałam już dłużej czekać. No i pani Bunbury zrozumiała mój punkt widzenia... w końcu.

— Odbyłyście zawziętą dyskusję, czy tak? — roześmiał się.

— Nie, nie — upierała się Mary — chociaż moja pracodawczyni ma raczej donośny głos. Wyjaśniłam jej... to znaczy... całkiem dobrze zrozumiała, że powinnam wyjechać, więc wyruszyłam dziś rano.

Powóz został wprawdzie wstrzymany

* White Ladies (ang.) — białe damy.

w Newmarket z powodu wyścigów, na szczęście ostatecznie udało mi się wyruszyć w stronę Ipswich. Po południu jednakże zatrzymaliśmy się na drodze, kiedy nasz woźnica zobaczył, że doszło do wypadku. Okazało się, że poszkodowanym jest pan Tracey.

Kapitan Holland rozsiadł się wygodnie w fotelu.

— Był w złym stanie?

— Tak, jego stan był naprawdę zły i podczas gdy czekaliśmy, aż zjawi się ktoś... wtedy sądziłam, że może lekarz, niestety przybył wozem jedynie mężczyzna imieniem Ned... Tak czy owak, podczas czekania pan Tracey mówił bardzo niepokojące rzeczy.

Mary opisała tyle, ile zapamiętała z osobliwych uwag rannego, znowu pochylając się do przodu na wspomnienie jego niespokojnego, nerwowego zachowania, które zrobiło na niej tak wielkie wrażenie. Holland przyjmował jej opowieść dziwnie obojętnie, a jego mina pozostała beznamiętna, nawet kiedy Mary dotarła do wniosków. Dotknięta do żywego i zaskoczona streściła swoją relację ponownie bardziej zdecydowanym tonem, jednak kapitan pozostał chłodny. Jeszcze bardziej zdenerwowało ją jego wyjaśnienie dla wszystkich faktów, łącznie z najbardziej osobliwymi. Znajomość jej nazwiska przez pana Traceya nie była w jego opinii bynajmniej niesamowita, gdyż Mary przecież sama się wcześniej przedstawiła. Podobnie oficerowi nie wydawały się trudne do wytłumaczenia niejasne ostrzeżenia rannego — stanowiły one po prostu rezultat szoku albo ogromnego bólu. A wiadomość dla Mary nie była wcale tajemnicza... Bardzo prawdopodobne, że mężczyzna nie miał wcale żadnej informacji do przekazania.

— Jeśli siedzi się obok chorego, można usłyszeć tyrady, które wynikają często z gorączki albo otrzymanego uderzenia w głowę i często nie mają one nic wspólnego ze słuchaczem.

Mary zastanowiła się, czy pan Tracey rzeczywiście bredził w malignie. Czy słyszała tylko pozbawiony sensu bełkot cier-

piącego człowieka? Nie uważała tak, niemniej przyznała się kapitanowi, że kilka razy poczuła się zmuszona ocucić rannego kordiałem, i na dowód uroczystym gestem okazała butelkę. Teraz była ona prawie pusta, lecz Holland otworzył ją i powąchał. Potem uśmiechnął się.

— Nic dziwnego, że ten nieszczęśnik mówił najróżniejsze nonsensy, skoro poła go pani tym. To jest gin.

_ Gin — sapnęła Mary i usiadła prosto w fotelu. — Och, nie wiedziałam.

— Nic nie szkodzi, panienko, wygląda na to, że biedak tego potrzebował.

Ta interpretacja zachowania rannego mężczyzny zaskoczyła Mary. Może wszystko, co powiedział Tracey, rzeczywiście stanowiło po prostu efekt jego obrażeń i... odurzenia alkoholem? Zerknęła na kapitana Hollanda, pragnąc, aby przestał się do niej uśmiechać w ten wyniosły sposób. Potem przypomniała sobie zegarek i jej śmiałość wzrosła. Pochyliła się znowu do przodu.

— Zaraz, niech pan poczeka — powiedziała i poszperała w kieszeni peleryny. — Powinnam była powiedzieć... Proszę spojrzeć na zegarek, który nosił pan Tracey — położyła zegarek i przesunęła go po stole.

— Jego zegarek...? Niech mnie szlag, panienko! — krzyknął Holland i nagle obniżył głos. — Ukradła pani jego cholerny zegarek! — Rozejrzał się po pomieszczeniu, najwyraźniej jednak nikt nie zwracał na nich uwagi. — To nie jest jego zegarek. Niech pan zajrzy do środka. — Kiedy mężczyzna nie spełnił natychmiast jej polecenia, sama ostrożnie otworzyła szylkretowy dekiel, by ujawnić wygrawerowane wewnątrz ażurowej koperty. Odwróciwszy zegarek, wyciągnęła go ku kapitanowi; ułożony w jej dłoni przedmiot wyglądał jak mały kopiec srebra. — Ilu mężczyzn nosi zegarek z inicjałami innego człowieka? Widzi pan tu, przy nazwisku wytwórcy? E.S.F. A mój stryj nazywa się Edward Strongman Finch.

— Zastanawiające — przyznał — ale... nie powie mi pani, że jej stryj jest jedynym człowiekiem w Anglii o takich inicjałach, prawda? A pani, cholera, wzięła... Chcę powiedzieć, że nie powinna pani tego robić.

— A może to pana przekona? — upierała się Mary, sięgając do kieszeni sukni. — Niech pan popatrzy zatem na ten zegarek... Proszę chwilę poczekać. — Szybko wyłowiła drugi zegarek i otworzyła jego zewnętrzną kopertę. Potem wręczyła przedmiot kapitanowi. — I co pan myśli?

Holland porównał oba zegarki — dwa małe srebrne repetiery o kremowych cyferblatach i szylkretowych kopertach. Drugi był nieco bardziej poobijany niż pierwszy, miał ślady w miejscu, gdzie wkłada się kluczyk, oraz długą, głęboką rysę w szylkrecie, wskazówki zaś stały na godzinie kwadrans po trzeciej. — Ten wymaga nakręcenia.

Mary westchnęła i pomyślała, że kapitan nie jest chyba zbyt inteligentny. To było naprawdę wszystko, co potrafił powiedzieć o zegarkach?!

— Nie tyle wymaga nakręcenia, co jest zepsuty. Nie używam go jako chronometru, tylko... Widzi pan, to był zegarek mojego ojca. — Zrobiła krótką przerwę. — Mój ojciec nazywał się Richard Abernethy Finch... Widzi pan R.A.F.?

— Tak.

„R.A.F.” i „E.S.F.”. Nawet styl grawerunku wyglądał identycznie. Mary wyjaśniła, że zegarek jej ojca był prezentem od jego ojca i bardzo prawdopodobne, że stryj otrzymał swój od tej samej osoby. Skąd zatem jego zegarek znalazł się w posiadaniu pana Traceya?

— No cóż... — odparł Holland powoli — skoro należał do pani stryja, może oddał go komuś albo sprzedał. — Bzdury — zaoponowała Mary. — Chodzi mi o to — uściśliła — że nie jest to specjalnie prawdopodobne. Osobiście sędzę, że pan Tracey ukradł go mojemu stryjowi.

— Sama pani mówisz bzdury — odburknął Holland ze śmiechem. — Czy jest prawdopodobne, że ukradł zegarek pani

stryjowi i później ostrzegł panią przed niebezpieczeństwem? A dlaczego pani stryj nie miałby go sprzedać? Ludzie sprzedają najróżniejsze przedmioty, gdy potrzebują pieniędzy.

— Tak, ale mój stryj jest bardzo bogaty. Nie brakuje mu pieniędzy. Może... Och, nie wiem — przyznała się Mary ze złością. — Może pan Tracey odebrał zegarek osobie, która ukradła go mojemu stryjowi. Tak, może prawdziwi złodzieje ścigali go... może nawet go dopadli. Może to oni spowodowali wypadek... — pokiwała głową znacząco.

_ Dla zegarka? — spytał Holland z niedowierzaniem. —

Nawet nie jest z czystego złota.

— Nie, ale jeśli byli zdesperowani... — Mary wyprostowała się w fotelu i wyzywająco założyła ramiona na piersi. — Ale skoro wszystko zdarzyło się akurat tego dnia, gdy jadę do stryja, więc... ta sprawa musi coś oznaczać. No a w dodatku... to jego nazwisko. — Czyje nazwisko?

— William Tracey... Tak się nazywał mężczyzna, który zabił arcybiskupa Canterbury.

— Arcybiskup nie żyje?! — zawołał kapitan. — Od kiedy?!

Co się stało?!

— Nie, nie — uspokoiła go szybko — nie chodzi o doktora Moore'a. Mam na myśli Thomasa Becketa, arcybiskupa, który został zamordowany w katedrze w Canterbury.

— Zamordowany w... i pani sądzi, że Tracey miał coś z tym wspólnego?

— Nie... ma się rozumieć, że nie mógł tego zrobić.

— Sama pani jednak powiedziała, że...

— Nie, miałam tylko na myśli... — Jej mina oddawała równocześnie zniecierpliwienie i rozczarowanie. Potem kontynuowała wolniej. — William Tracey był mężczyzną... jednym z mężczyzn... którzy zabili arcybiskupa Becketa na rozkaz króla Henryka Drugiego. Wie pan... w historii! Holland przyjrzał jej się beznamiętnie.

— W historii. Czyli dawno temu.

— O tak, setki lat temu. — Mary uświadomiła sobie, że ich rozmowa staje się niedorzeczna, chociaż na pewno nie z jej winy, lecz raczej kapitana. Gdyby nie był tak niewrażliwy, nigdy nie poczułaby pokusy, aby opowiadać o Henryku II. Powinna się domyślić, że Holland jej nie rozumie. — Być może nie powinnam o nim wspominać. Zauważyłam tylko, że... to jest niezwykle, że obaj noszą to samo nazwisko, a pierwszy William Tracey był znanym przestępcą. Oczywiście wcale nie pomyślałam, że ten pan Tracey... Po prostu gdy zbierzemy wszystkie fakty i połączymy je w całość... Jestem w każdym razie przekonana, że coś jest nie w porządku. Może ranny mężczyzna miał wyrzuty sumienia i... kordiał go ośmielił. Zegarek coś potwierdza, tylko nie jestem całkiem pewna co!

Holland westchnął i potarł grzbiet nosa.

— Cóż, przeżyła pani dziś trudne chwile. Kiedy, mówiła pani, że opuściła Saint Ives? Dzisiaj rano?

— O wpół do szóstej rano.

— A teraz dochodzi dziesiąta wieczór. Od rana minęło wiele godzin, a domyślałam się, że nie jest pani codziennie świadkiem podobnych zdarzeń. Bez wątplenia jest pani zmęczona.

Jego ton był podejrzliwie współczujący i Mary zadarła zadziornie brodę. Już raczej wolała sceptycyzm kapitana.

— Tak, jestem zmęczona, ale... sądzi pan, że imaginuję sobie... różne rzeczy?

— Nie, założę się jednak, że jutro rano spojrzy pani inaczej na szereg spraw. — Milczał przez chwilę.

— Pani nigdy nie spotkała swojego stryja i on nie wie, co się pani przydarzyło ani nawet że właśnie pani do niego jedzie, prawda?

— Nie, ale...

— Może napisze pani do niego kilka słów i poczeka tutaj na odpowiedź? To jest przyzwoity hotel. Zaopiekują się tu panią, a gdy przekona się pani, że wszystko jest w porządku, wtedy ruszy pani dalej.

— Wypowiedziawszy swoją opinię, oddał zegarki Mary i założył ramiona na piersi.

Dziewczyna otworzyła usta, chcąc się z nim spierać, lecz zamknęła je, nie wypowiedziawszy ani słowa. Jego nudna, chociaż nadzwyczaj rozsądna rada była nie do podważenia. Mary pomyślała, że oficer mógłby zasugerować coś bardziej interesującego niż tylko list, a jednak gdyby rzeczywiście napisała do stryja przed wyjazdem z Saint Ives, nie napytałaby sobie biedy. I co więcej, gdyby nie wyruszyła w podróż dzisiaj, w ogóle nie spotkałaby pan Traceya!

Wydawało się ważne, aby coś powiedzieć, szczególnie że kapitan Holland siedział naprzeciwko niej, niczym Salomon, który właśnie rozsądza, komu przyznać niemowlę. Jednak zanim zdołała zebrać myśli, ponownie zjawiała się pani Bamford, jak gdyby wezwana przez wzmiankę o konieczności snu. Ona również uważała, że Mary powinna się już położyć, i powtórzyła swoją wcześniejszą wypowiedź, że młoda dama jest „wykończona”. Dalsza rozmowa z kapitanem Hollandem w cztery oczy stała się zatem niemożliwa i Mary musiała pozwolić, aby on miał ostatnie słowo. Pod uważnym okiem pani Bamford podziękowała więc jedynie za pomoc i życzyła mu dobrej nocy.

Holland pozostał sam przed ogniem, podczas gdy inni goście stopniowo udawali się do domów lub na górę, do swoich pokojów. Dumął o wielu rzeczach, lecz często wracał myślami do panny Mary Finch. Gdyby nie była tak cholernie ładna, rumieniąca się i płacząca w opowieści o śmierdzącym olejem pierogu z rybą, być może nigdy nie usłyszałby jej historii, a z pewnością była ona warta wysłuchania. Kapitan zadawał sobie jednak pytanie, co powinien z tym wszystkim zrobić. Nowiny bez wątpienia komplikowały jego sprawy.

Po jakimś czasie dołączył do niego pan Bamford i spytał, czy gość wypije z nim szklaneczkę porto. — Nie ma pan brandy? — odparował Holland z uśmiechem. — Żadnych szybkich wypraw przez Kanał po autentyczny towar?

— Nie w tym lokalu — odrzekł pan Bamford świętosz-kowatym tonem, po czym również się uśmiechnął. Chociaż

sam małomówny, kapitan miał talent do wydobywania informacji od innych i przy szklaneczce porto dowiedział się, że urzędnicy skarbowi stali się ostatnio tak przebiegli, iż panu Bamfordowi szkoda było czasu na próby przeciwstawiania się im—w każdym razie, nie w imię tego jakże małego zysku i wątpliwej przyjemności kontaktów ze szmuglerami. A zresztą rok temu powieszono w Assizes dwóch mężczyzn za przemyt, co ani chybi napędziło wszystkim porządnego stracha. Nie ma nic lepszego od wieszania, jeśli chce się skłonić ludzi do przemyślenia sytuacji i wysnucia właściwych wniosków. Inaczej było oczywiście na wybrzeżu. Tam przemytnicy nie bali się ani skarbowych, ani nikogo innego. Królewska Marynarka nie może wszak przechwycić każdej łodzi, a najbliżsi żołnierze stacjonują w forcie Landguard, nie dość blisko, aby poważnie ukrócić „wolny handel”.

— Niech im się wiedzie — mruknął Holland, ale nie wyjaśnił, kogo ma na myśli: przemytników czy władze. — To właśnie mówię, sir, żyj i pozwól żyć innym. Żaden z nich nie był w stanie przebić tego liberalnego oświadczenia i w tym momencie rozmowa na ten temat się zakończyła. Kapitan przełknął ostatni łyk swego porto i rzucił przypadkową uwagę na temat najczęściej wzmiankowanego gościa hotelu. — Słyszałem, że ranny jest w złym stanie.

— Tak, sir, to smutna sprawa. Tracey... tak chyba się nazywa.

— Nie jest stąd?

— Nie, sir, nie powiedział, skąd pochodzi.

— Ale znacie go?

— No przecie, sir, w pewnym sensie — odparł pan Bamford. — Siadywał w tym fotelu, dokładnie na pańskim miejscu, przez ostatnie cztery dni. Codziennie tak samo. Siadał, zamawiał szklaneczkę, pieścił ją przez całe popołudnie, po czym wychodził. Całkiem grzeczny dżentelmen, choć cichy.

— Nie powiedział, że czeka na kogoś, prawda?

— Nie, sir, nie powiedział, chociaż tak właśnie sobie pomyślałem już drugiego dnia. — Zanim jednak pan Bamford zdołał

dokładniej opowiedzieć wydarzenia owego dnia, oderwał go nieoczekiwany o tej porze dźwięk otwieranych drzwi do salonu. Spojrzawszy przez ramię, właściciel gospody zachmurzył czoło na widok nieciekawej postaci stojącej w wejściu — niewysokiego mężczyzny o chudej twarzy, ubranego w zniszczony i jakby zatłuszczony płaszcz, który był na niego o wiele za duży. Marsowa mina Bamforda pogłębiła się, kiedy nowo przybyły rozejrzał się po niemal pustym już salonie, a jednak zajął krzesło z dala od ognia.

— Dobry wieczór — zawołał pan Bamford tonem, który nie był szczególnie gościnny. Kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, kontynuował: — Jest zimna noc, jeśli człowiekowi brakuje wikt i opierunku albo pieniędzy, aby za nie zapłacić.

— Nie jestem żebrakiem — odburknął przybysz, garbiąc ramiona i wiercąc się na krześle. — Potrzebowałem po prostu trochę spokoju, to wszystko. Czy człowiek nie może mieć trochę spokoju, tak żeby go nikt nie nagabywał?

— Mam nadzieję, że może — odpowiedział pan Bamford. — I natychmiast, gdy mi pan powie, czy chce się napić, zjeść kolację czy może wziąć pokój na noc, odzyska pan wszelki spokój i ciszę, które tak pan ceni. — Właściciel hotelu przeszedł pomieszczenie i stanął nad swoim klientem, zakładając stanowczym ruchem ramiona na obszernej piersi.

Mały człowieczek łypnął na niego.

— Wezmę zatem kufelek piwa.

— W porządku — odparł pan Bamford — a teraz pokaż pan, że masz czym za nie zapłacić.

Przez krótką chwilę nieznajomy przeszukiwał kieszenie, a mina Bamforda stawała się coraz bardziej ponura. W końcu wymagane monety trafiły na wielką otwartą dłoń właściciela. Mężczyzna dzwonił nimi przez chwilę i zaciskając usta, wyraźnie coś rozważał. Potem ruszył niepewnie do kuchni. Kiedy kilka minut później wrócił, postawił przed obcym nie tylko duży kufel piwa, lecz również talerz chleba i sera. Gdy mały człowieczek wpatrzył się głodnymi oczyma w nie-

spodziewany posiłek, jego posępne zachowanie całkowicie się zmieniło. Zaskoczony był jedynie przez moment.

— Jestem panu wielce zobowiązany — wymamrotał, biorąc ogromny kęs.

— Drobiazg — odrzekł pan Bamford, wzruszając ramionami, po czym się obrócił. — Odkryłem, że posiadamy małe nadwyżki i tyle. Mam nadzieję, że nie wejdzie to panu w nawyk.

— Żyj i pozwól żyć innym — rzucił Holland, kiedy właściciel hotelu zajął ponownie swoje miejsce obok kominka.

— Tak, zgadza się — przyznał pan Bamford, potrząsając głową. — Włóczędzy i obdartusy, widzimy ich wielu ostatnio. Większość nie radzi sobie najlepiej, niestety. A jeśli ta przekłeta wojna potrwa dłużej, sytuacja tylko się pogorszy. — Nagle przypomniał sobie, do kogo mówi, i dodał przepaszająco: — Wojna to ciężkie czasy, wie pan. Sprowadza niejednego dobrego człowieka na złą drogę, a los tych już zdeprawowanych staje się jeszcze trudniejszy.

Holland zgodził się z nim i po odpowiednio długiej przerwie przypomniał swemu rozmówcy o Traceyu.

— Sądził pan, że czekał na kogoś?

Bamford przyznał, że wówczas tak podejrzewał, teraz zaś zastanawia się, czy Tracey nie czekał przypadkiem na pannę Finch. Podobno dziewczyna wybiera się przecież w odwiedziny do swego starszawego krewnego, więc może właśnie on wysłał jej na spotkanie Traceya. Pan Bamford spoważniał, gdy zadumał się nad tajemniczą opatrnością, która połączyła tych dwoje w tak tragicznych okolicznościach. Holland nie czuł się kompetentny, by wygłosić jakąś opinię na temat opatrności, potwierdził jednak, że w interpretacji pana Bamforda jest jakiś sens.

— Powiedz pan, czy to prawda? — dotarł głos zza nich. — Czy on umiera? — Skończywszy kolację, włóczęga niepostrzeżenie przemieścił się i teraz zajmował krzesło bliżej ognia. — Czy miał wypadek?

— Zgadza się — przyznał pan Bamford, po czym się skrzywił. — Co pan o tym wiesz?

— Nic — zapewnił go nieznajomy, a w jego głosie pojawił się charakterystyczny dla zawodowego ladaco ton pokrzywdzonego niewiniątka. — Tylko to, co mówią ludzie. Wasi ludzie na dziedzińcu mi powiedzieli. Rzekomo jegomość przewrócił się w gigu i został śmiertelnie ranny.

— No cóż — przyznał pan Bamford — tak było. — A potem dodał z odrobiną dumy: — Jest teraz na górze, zajmuje moje najlepsze pokoje.

— Sądzi pan, że umrze?

— Tak twierdzi aptekarz. Nie należy się wszakże cieszyć z nieszczęścia biednego dżentelmena.

— Nie cieszę się, tylko interesuję... trochę. Żałuję go, tak samo jak inni.

Pan Bamford sceptycznie chrząknął i wzruszył ramionami.

— Wszystko możliwe. Ale co się pan tak skradasz? Podsluchujesz prywatne rozmowy?

— Nie, panie, szczerze!

— Mam nadzieję, że to prawda... tak czy owak — zachichotał pan Bamford. — A teraz mamy cię dość, panie, szczerego czy nieszczerego, zresztą będę powoli zamykał lokal na noc. Zjadłeś, człowieku, kolację, więc czas na ciebie. Możesz przespać się w stajni, jeśli o to ci chodzi.

— Powiem, że to uprzejmie z pana strony — oznajmił włóczęga.

— Wiem, że tak. Idź już. A jeśli odkryję rano, że zginęła choć wiązka siana, pożałujesz.

— Och, panie, możesz mi zaufać, nic się pan nie bój.

— Nie boję się — odburknął pan Bamford, wyprowadzając mężczyznę na zewnątrz. — Zamknę za tobą drzwi i będę spał jak dziecko.

Chociaż Mary czuła się bardzo zmęczona, nie zasnęła od razu. Jej sypialnia była zimna i dziewczyna leżała przez pewien czas zwinięta w kłębek pośrodku łóżka, nie mając ochoty wyciągnąć

nóg w lodowatej pościeli. Drżąc, pomyślała o radzie kapitana Hollanda. Może rzeczywiście tak bardzo się pomyliła co do pana Traceya? Jego ostrzeżenia brzmiały bardzo chaotycznie, a jeśli mężczyzna był odurzony i cierpiał z bólu, cóż... To mogło rzeczywiście sporo wyjaśniać. Mary nie była przecież aż taka naiwna, widywała wcześniej pijanych mężczyzn albo słyszała ich, jak wracali hałaśliwie do domu po nocy. Lubili śpiewać, ogólnie rzecz biorąc, lub coś wykrzykiwali i nie obchodziło ich ani odrobinę, jakie kłopoty mają przez nich bardziej wstrzemięźliwi sąsiedzi. Cieszyła się jednak, że odzyskała zegarek stryja, niezależnie od tego, co myślał o tym kapitan Holland. Ten zegarek... Dowie się od stryja dokładnie, jak przedmiot trafił w ręce Traceya. Być może istniało proste wyjaśnienie.

A może przerwanie podróży do czasu, aż Mary zdoła się skontaktować ze stryjem, rzeczywiście miało jakiś sens? Na pewno byłoby to posunięcie roztropne, ona zaś uspokoiłaby się, wiedząc, że wszystko jest w porządku. W dodatku może pokrewieństwo ze stryjem zyskałoby wówczas solidniejsze podstawy. Z drugiej strony, skoro zaczęła wyprawę stosunkowo szybko, chciała zakończyć ją w ten sam sposób, natomiast kręcenie się po Ipswich w oczekiwaniu na list wydawało jej się takie... mało przedsiębiorcze. Nie wspominając o kosztach; z pewnością nie chciała wszak przy ich pierwszym spotkaniu, od razu przedłożyć stryjowi ogromnego rachunku za wydatki, które poniosła podczas podróży.

No i czekał na nią majątek White Ladies; jak zwyczajna gospoda mogła się równać z taką perspektywą? Ponieważ Mary była pewna, że za taką wspaniałą, romantyczną nazwą na pewno kryje się równie wspaniały dom. Bardzo prawdopodobne, że posiadłość ma interesującą historię i mieszkało w niej wiele pięknych kobiet. Albo zakonnice, cysterki, które w średniowieczu z powodu szat nazywano właśnie „białymi damami”. Może budynek służył kiedyś jako siedziba zgromadzenia zakonnego lub klasztor, który skonfiskował Henryk VIII.

Ależ był z niego okropny władca, skoro poślubiał kobiety, a później ścinał im głowy — pomyślała Mary o królu. — Podobnie jak Francuzi... chociaż oni nie poślubiają wcześniej swoich ofiar. Prawdopodobnie zakonnice albo jakieś piękne panie wciąż nawiedzają White Ladies, ponieważ kolor biały może się przecież odnosić również do duchów. Jakże ekscytująco jest żyć w nawiedzonym zamku... czy raczej dawnym klasztorze.

Stopniowo wyciągała się do wygodniejszej pozycji, aż wreszcie zmęczenie ją pokonało. Jednak nawet we śnie jej umysł pozostał aktywny i oczami wyobraźni dziewczyna obejrzała własny przyjazd do White Ladies. Budowla okazała się piękna, nawet majestatyczna, z wieżami i blankami, z których można było patrzeć w dół na strome klify i uderzające w nie morskie fale. W środku grupa zakonnice przyrządzała wielkie ilości pachnącego puddingu śliwkowego, gdy tymczasem na zewnątrz kapitan Holland i doktor Nichols siedzieli na zajmujących trawnik połączonych fotelach i popijali eliksir Fairweathera, wygrzewając się w wiosennym słońcu.

Tak głęboki był ten sen i tak zajmujący, że nie zbudziło jej ani otwieranie i zamykanie sąsiednich drzwi, ani stłumione rozmowy, ani ruch na korytarzach, ani hałasy, które — niezależnie od pory — były nieuniknione w tak ruchliwym przybytku jak hotel Pod Wielkim Białym Koniem. Nie zdawała sobie też sprawy, że ktoś podkradł się pod jej pokój i zatrzymał przy drzwiach, po czym nacisnął klamkę i tylko zasuwą uchroniła Mary przed wizytą nieproszonego gościa. Nie wiadomo, kim był osobnik, który chciał do niej wtargnąć, ponieważ żadna zapalona świeca nie ujawniła jego rysów, lecz kimkolwiek był, odszedł przez nikogo nierozpoznany.

4

Następnego ranka Mary obudziła służącą, blada dziewczyna o prostych, jasnych włosach, która — wraz z gorącą wodą — przyniosła dwie wiadomości. Po pierwsze pan Tracey umarł tuż przed świtem, po drugie kapitan Holland przesyła pozdrowienia i chciałby porozmawiać z panią w dogodnej dla niej chwili. Obie nowiny były niezmiernie interesujące i służąca zapatrzyła się na pannę Finch z niecierpliwością i nadzieją. Już wcześniej uważała Mary za osobę niezwykle ważną, ponieważ słyszała mocno podkolorowaną relację z jej przygody na drodze ze Stowmarket, a teraz miała okazję przekazać równie dramatyczne nowiny służbie na dole.

Pod tym względem młoda dama niestety ją rozczarowała. Zareagowała z powagą, lecz spokojnie, na wiadomość o śmierci Traceya, nawet nie zemdląca, a informacje od wojskowego dżentelmena nie wywołały u niej rumieńca. Pozory były jednakże zwodnicze, ponieważ po wiadomościach służącej Mary miała prawdziwy mętlik w głowie. Kiedy się ubrała, zadała sobie pytanie, czy czekają ją trudności — trudności, które mogą się okazać zarówno kłopotliwe, jak i niebezpieczne.

Pan Tracey odniósł wszak śmiertelne rany w wielce tajemniczych okolicznościach, a ona była świadkiem... albo prawie świadkiem. Bez wątpienia jako blisko związana ze sprawą

może teraz zostać wplątana w rozmaite procedury. Ta perspektywa nie niepokoiłaby jej, gdyby nie zegarek. Posiadanie go wydawało się w chwili obecnej znacznie mniej sensowne niż ubiegłego wieczoru, mimo wyrytych liter E.S.F. Czy to było wbrew prawu ukraść coś złodziejowi? Mary wyobraziła sobie, jakie zdanie może mieć w tej kwestii koroner, i wręcz usłyszała, jak kapitan Holland poświadcza w swój lakoniczny, nieczuły sposób, że widział ów przedmiot i że panna Finch przyznała, iż zabrała go nieboszczykowi. Mary przypuszczała, że Holland będzie musiał świadczyć przeciwko niej. To był niewątpliwie jego obowiązek, a poza tym kapitan przecież bardzo sceptycznie podchodził do kwestii zegarka i reszty jej opowieści. Niewątpliwie koroner pomyśli tak samo; każdy człowiek, który musi stale obcować z trupami, prawdopodobnie staje się z czasem bardzo srogi i obojętny. I wtedy ona zostanie aresztowana... aresztowana z powodu zegarka.

Tak—zastanowiła się—bardzo zabawne. Zostanę oskarżona o obrabowanie rabusia. Prawdopodobnie będę się z tego często śmiała w więzieniu.

Ostrożnie zeszła po schodach i wkroczyła do jadalni, gdzie podawano śniadanie gościom Wielkiego Białego Konia. Kapitan Holland dostrzegł ją od razu i dał znak, aby do niego dołączyła. Ponieważ był jedyną osobą poza nią w pomieszczeniu, Mary nie mogła go po prostu zignorować, jak bardzo by tego nie pragnęła, zbliżyła się przeto do niego z najbardziej pewną siebie postawą, na jaką potrafiła się zdobyć. Oficer prezentował się nawet bardziej imponująco, niż go zapamiętała, ale kiedy na niego zerknęła, stwierdziła, że chyba nie jest zwiastunem złych wiadomości. Przeciwnie, wyraz jego twarzy był radosny. Zauważyła, że ma niebieskie oczy, które ostatecznie zawsze wyglądają mniej posępnie niż oczy brązowe, po czym usiadła naprzeciw niego. Była dobrej myśli.

Wbrew jej obawom o liczne nieprzyjemne komentarze, jego pierwsze słowa zaskoczyły ją. Jaką decyzję podjęła? Pozostaje w Ipswich czy jedzie do stryja?

Gapiła się na niego przez krótką chwilę.

— Cóż, ja... jadę do White Ladies. To znaczy... zaprosił mnie przecież, więc do niego jadę. Tak postanowiłam. Zatrzymywanie się tutaj i pisanie byłoby... chcę powiedzieć... wydawałoby się... W końcu dojechałam już tak daleko!

Butnie uniesiony podbródek i lawina słów sprawiły, że Holland uśmiechnął się w głębi duszy, lecz kiedy był pewny, że Mary skończyła mówić, rzucił jedynie z udawaną bez-ceremonialnością:

— W takim razie mógłbym pani towarzyszyć, jeśli pani się zgodzi.

Tym razem wpatrywała się w niego przez dłuższy czas. Niespodziewana wspaniałomyślność jego propozycji, a także brak wzmianki na temat zegarka czy możliwych prawnych komplikacji były zarówno zdumiewające, jak i przytłaczające. O mało nie uściśnęła mu dłoni.

— Pojedzie pan ze mną? Naprawdę? Och, dziękuję, kapitanie. To byłoby... Czy jest pan jednak pewny? Czy to nie będzie zbyt duży kłopot dla pana?

Potrząsnął głową i teraz pozwolił sobie na uśmiech.

— Powóz do Woodbridge odjeżdża jeszcze dziś rano, a na resztę drogi mam nadzieję, że zdołamy coś wynająć.

— Tak, oczywiście. Jestem pewna, że nam się uda — odpowiedziała z uśmiechem, myśląc, że tak naprawdę Holland jest całkiem przystojny na swój szorstki, srogi sposób i... Dlaczego wcześniej sobie tego nie uprzytomniła? Może myliła się co do jego braku zrozumienia... Tak, bardzo prawdopodobne, że się myliła. Wtedy przyszła jej do głowy kolejna, mroczniejsza myśl. — Uważa pan za możliwe zatem, że istnieje jakaś tajemnica albo jakieś... kłopoty?

— Nie, niezupełnie, chociaż nie zaszkodzi zachować ostrożność.

Mary chciała natychmiast pobiec na górę spakować rzeczy, ale kapitan uważał, że chyba nic złego się nie stanie, jeśli dziewczyna poświęci kilka minut na zjedzenie śniadania.

— Słyszała pani o Traceyu? — spytał półgłosem. — Właścicielka na pewno poda mnóstwo szczegółów na temat jego śmierci i powinna pani być na nie gotowa.

Wzmianka o Traceyu ostudziła jej zapał niczym nagła ulewa i nastrój Mary zmienił się gwałtownie z entuzjazmu w poczucie winy. Jak mogła myśleć o sobie, o czekających ją przygodach, podczas gdy biedny pan Tracey leży na górze martwy? O ile oczywiście był on w istocie „biednym panem Traceyem”, a nie jakimś przestępcą. Och, nie, to było z jej strony małoduszne! Ostatecznie, naprawdę nic o nim nie wiedziała, a człowiek ów zmarł samotnie w obcym miejscu. Wszystkie te myśli przelatywały jej przez głowę, jedna po drugiej, aż w końcu dziewczyna wymamrotała:

— Tak, słyszałam. Mam nadzieję, że nie cierpiał.

— Lepiej o to nie pytać — odrzekł pospiesznie Holland. — Taka jest moja rada.

Mary kiwnęła głową, spuściła wzrok i zagapiła się w filiżankę z herbatą. Gdy tak patrzyła na powierzchnię płynu, wbrew swej woli przypomniawszy sobie wymizerowane rysy rannego mężczyzny. Stanowczo zamieszała herbatę łyżeczką.

— Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo ludzie interesują się ranami... i urazami. Ubiegłego wieczoru nie mówili tutaj o niczym innym. Z tego też względu mam pewną wątpliwość... Sądzi pan, że koroner zechce mnie przesłuchać?

— Że co? Och, nie... nie sądzę.

W rzeczywistości Holland nie znał odpowiedzi na jej pytanie i tylko kiwnął głową, kiedy Mary zwróciła mu uwagę, że to wszak nie ona znalazła Traceya, a aptekarz zdoła przecież chyba wyjaśnić przyczyny jego śmierci. Jeśli Mary zostawi pani Bamford adres stryja, będą mogli się z nią skontaktować w razie potrzeby. Pewnie jej adres wystarczy? Kapitan wzruszył wymijająco ramionami.

— Nie martwiłbym się o dochodzenie przyczyny zgonu, ale co z zegarkiem? — Ostatnie dwa słowa wyszeptał. Gdy

zobaczą pusty łańcuszek, na pewno będą się zastanawiali, gdzie jest zegarek. Mogą pomyśleć, że...

— Że został zrabowany? Tak, wiem... Właśnie dlatego zabrałam także łańcuszek.

— Co pani zrobiła?! Ale...

— Bez łańcuszka nie ma dowodu, że mężczyzna w ogóle posiadał zegarek.

— Dowodu — powtórzył Holland, marszcząc brwi. — Skąd, pani, wiesz cokolwiek o dowodach?

— Mój ojciec wyjaśnił mi kiedyś takie kwestie jak materiały dowodowe i ciężar dowodu. Bez dostatecznych dowodów strony, która posiada ciężar dowodowy, a w przypadku sprawy kryminalnej jest to oskarżyciel publiczny... Wtedy nie może zapaść wyrok skazujący.

Przyjrzała się bacznie swemu rozmówcy. Słowa, które wypowiadała, wydawały jej się absolutnie zrozumiałe, lecz każdy jej komentarz najwyraźniej zwiększał rozdrażnienie Hollanda.

— Sądziłem, że pani ojciec był nauczycielem — mruknął.

— Rzeczywiście, był nauczycielem. Wcześniej jednak miał zostać prawnikiem i, co naturalne, wyjaśniał mi różne kwestie, jeśli go o coś spytałam.

— Ale dlaczego go pani pytała?

Potrząsnął głową. Nigdy nie spotkał dziewczyny, która mówiła i robiła takie dziwne rzeczy. I to nie jedynie od czasu do czasu, lecz jedną po drugiej.

— Nie pamiętam — przyznała się Mary. — Przypuszczam, że byłam ciekawa. A prawo jest bardzo interesujące... wie pan, niektóre aspekty.

— No niech mnie szlag! Może powinna pani podczas tej podróży uważać na mnie, panno Finch.

Wyjazd do Woodbridge odbył się w nieco przygnębiającej atmosferze i tylko pogoda ducha Mary ożywiała nastrój. Pan Dimcock, aptekarz, który zajmował się panem Traceyem,

zgodził się smętnym głosem, że dziewczyna nie musi się niepokoić o śledztwo koronera. Gdyby była tak uprzejma i zostawiła adres, pod którym będzie można ją zastać, jeżeli okaże się potrzebna, wszyscy będą zadowoleni. Pan Dimcock był raczej rozczarowany, znajdując Mary wyraźnie tak mało zmartwioną z powodu tej niedawnej tragedii, że nie wymagała żadnej pomocy medycznej.

Oczywiście, nie do niego należało komentowanie takiego braku uczuć, lecz w głębi serca uważał zachowanie dziewczyny za bardzo chłodne, a osobiście oczekiwałby czegoś innego od młodej damy. Pani Bamford także pożegnała dwoje podróżnych w sposób dość powściągliwy, gdyż w hotelu Pod Wielkim Białym Koniem właśnie rozpoczynało się coś w rodzaju żałoby z szacunku dla pana Traceya. Co do Hollanda, nadal rozpamiętywał dyskusję o dowodach i ciężarze dowodowym, toteż wsiadł do powozu bez słowa.

Pani Bamford pomachała chusteczką, gdy powóz odjeżdżał i westchnęła ze współczuciem. W innych okolicznościach może powiedziałaaby, że panna Finch ma wielkie szczęście, zyskując takiego męznego towarzysza jak kapitan, dzisiaj jednak nie miała do tego po prostu serca. Zamiast tego odwróciła się do aptekarza, zamierzając go spytać, kiedy można zabrać ciało biednego pana Traceya, ponieważ na reputację Wielkiego Białego Konia nie wpływał najlepiej fakt, że w hotelu można się natknąć na zwłoki, a biedny dżentelmen zajmował wszak jeden z jej najlepszych pokoiów. Kiedy jednak otworzyła usta, by przemówić, wzdrygnęła się, ponieważ to nie pan Dimcock stał obok niej, ale znacznie mniej przyjemnie wyglądający osobnik — mały człowieczek o chudej, bladej twarzy, ubrany w długi, zatłuszczony płaszcz.

— Och, aleś mnie pan wystraszył — krzyknęła, odsuwając się od niego z instynktowną niechęcią ceniącej czystość gospodyni. — Co sobie pan myślisz, zakradając się do kogoś w ten sposób?

— Nic sobie nie myślę — odparował ze smutkiem mały człowieczek. — Nic poza tym, że chciałem zobaczyć młodą

dame, która pomogła nieszczęsnemu panu po wypadku. To ona, prawda? Słyszałem, że była niczym anioł, prawdziwy anioł, trzymając za rękę i pocieszając w ostatnich godzinach jego życia. Uważam, że to bardzo uprzejmie, naprawdę. Rysy pani Bamford złagodniały po tych słowach.

— To właśnie powiedziałam — zgodziła się — prawdziwy anioł, a w dodatku taka ładna dziewczyna. Odjeżdża teraz, jedzie odwiedzić swego stryja. Przyjechała tu z samego Cambridge, jak mówią, jej stryj zaś jest ponoć bardzo dobrze sytuowany. Zastanawiam się, czemu nie wysłał po nią powozu.

— I kim jest ten drugi pan? — spytał, kiwając głową w kierunku, który obrał powóz. — Jej znajomy?

— Nie bardzo można tak powiedzieć, jestem tego pewna — pokręciła nosem właścicielka hotelu, kiedy osłabło w niej współczucie — ale kapitan Holland, bo tak nazywa się ów dżentelmen, zatrzymywał się u nas więcej niż raz i nigdy nie miałam na niego żadnych skarg. Żadnych późnonocnych wyskoków ani wydatków ponad stan. I zawsze bardzo grzeczny. — Spojrzała z góry na pytającego, postanowiła jednak nie wspominać o braku zainteresowania kapitana wypadkiem; nie była przecież byle plotkarą. — Zawsze grzeczny — powtórzyła twardo.

— Grzeczny ten, kto grzecznie postępuje — odpowiedział mały człowieczek. — A i mnie nikt nie zarzuci, że nie spłacam swoich zobowiązań albo że próbuję zabrać coś, co do mnie nie należy. Kiedy zatem wręczam ci, pani, ten list — w tym momencie poparł swoje słowa czynem — nie oznacza to, że próbuję wyżebrać jakieś względy, ponieważ zapłacę za przysługę uczciwie.

— A cóż to jest? — spytała pani Bamford, patrząc spod przymrużonych powiek na złożoną kartkę, którą podał jej mężczyzna.

— Oczywiście jest to list, który potrzebuje tylko trochę wosku w celu odpowiedniego zabezpieczenia, a potem powinien się znaleźć w torbie z pocztą do Londynu.

— A kim jest ten „Wielmożny pan Jonathan Hicks, The Old Bell, Holborn”?

— Niech się pani tym nie troska, myślę wszakże, iż jest to dżentelmen równie uprzejmy, jak tutejsi. No i czeka on na informacje zawarte w liście. Więc ile mam pani zapłacić? Nie wysyła się obecnie listów za darmo, jak mniemam.

Pani Bamford przeniosła sceptyczne spojrzenie z listu na jego autora.

— I chcesz trochę wosku, tak mówisz?

— Tak mówię.

— Najlepiej zatem wejdźmy do środka, ponieważ nie mam przy sobie ani odrobiny wosku. —

Westchnęła znów, jak osoba, dla której pieczętowanie i nadawanie listów było zaledwie pierwszym drobiazgiem w długim dniu składającym się z uciążliwych zadań. — Trzeba go będzie zważyć i... jeśli masz czym za niego zapłacić, pójdzie wraz z resztą korespondencji dzisiejszego wieczoru.

Mary i Holland byli jedynymi pasażerami w powozie do Woodbridge. Radosny nastrój dziewczyny wkrótce przytłumiły poważne myśli. Mary wiedziała, że nie wolno jej postępować nierozważnie. Pani Bunbury zawsze ostrzegała swoje wychowanki przed nieroztropnością. Sama Mary także wygłaszała podobne ostrzeżenia, szczególnie gdy chciała ugruntować swój autorytet wśród nowych uczennic. Teraz przypatrzyła się w zadumie kapitanowi, który wyglądał przez okno, wyraźnie obojętny na jej obecność, jej roztrzepanie czy powagę. Może rozważał ważne kwestie wojskowe i nieuprzejmie byłoby mu przerywać? Z drugiej strony, Mary nie mogła traktować go jak nieznanego przez całą drogę do White Ladies, a czuła, że rozmowa stanie się tylko trudniejsza, jeśli dłużej będzie ją odwlekała.

— Mam nadzieję, że ta zwłoka nie pokrzyżuje za bardzo pańskich planów, kapitanie Holland.

W powozie kołysało mocno i Mary musiała podnieść głos, aby przekrzyczeć skrzypienie zawieszania i turkot kół.

— Co takiego? — Oficer wzdrygnął się, jak gdyby jej pytanie go zaskoczyło. — Och nie.

— A teraz z kolei boję się, że panu przeszkadzam.

— Nie, wcale nie. — Obrócił się od okna i zrobił głęboki wdech. — Czasami nie... — Wypuścił powietrze. — Jestem obecnie... na urlopie. Myślałem właśnie o tym.

Dziewczyna kiwnęła głową, myśląc, że kapitan wydaje się spięty i nieswój. Czy możliwe, że był nieśmiały? Taka cecha nie wydawała się do niego pasować, użył też zbyt wielu nieodpowiednich słów, aby można go było uznać za onieśmielonego. „Ordynarny język”, jak by powiedział strażnik Ned.

— To musi być trudne... brać urlop... to znaczy... w pańskiej profesji.

— Nie jest tak źle. Zresztą wyjeżdżam dość często w ramach moich zajęć.

Ten opis obowiązków wydawał się osobliwy, a ponieważ Mary chciała dowiedzieć się więcej, zapytała:

— Jakiego rodzaju zajęć, jeśli mogę wiedzieć? Wzruszył ramionami. Nadal wyglądał, jak gdyby nieszczególnie miał ochotę kontynuować tę rozmowę.

— Różnych. Stacjonuję oczywiście w Woolwich. Arsenał w Woolwich — kontynuował w odpowiedzi na pytające spojrzenie Mary. — Nazywamy go Warren.

— Czy tam się trzyma... armaty? — dociekała jeszcze bardziej zadziwiona.

— Armaty, moździerze, kule, wszelkie rodzaje uzbrojenia. Jego wypowiedzi stawały się dla niej coraz bardziej zastanawiające.

— Zbroje? Co ma pan na myśli?

— Nie, chodzi o uzbrojenie — poprawił ją. — Słowo to oznacza broń... różne rodzaje broni.

— Tak, rozumiem. I trzyma się je w Woolwich... W Warren.

Ma pan dużo do czynienia z tymi... arsenałami? Myślałam, że bardziej z okrętami.

— Trochę — przyznał Holland — ale chodzi o prace specjalistyczne. Siłą ognia trudniej kierować na morzu, ze względu na rozłożenie ciężaru oraz wilgoć, trzeba także nauczyć załogę... marynarzy, aby używali dział we właściwy sposób.

Jej skonsternowana mina sprowokowała w końcu jednoznaczną odpowiedź.

— Jestem kanonierem, rozumie pani, panno Finch... ar-tylerzystą.

Mary zarumieniła się, lecz po chwili zaśmiała się z siebie samej — ależ głupie było jej założenie, że ponieważ kapitan nosił mundur w kolorze granatowym, na pewno jest marynarzem!

Holland uznał jej sposób przyznania się do błędu za ogromnie uroczy i zapewnił, że taka pomyłka jest zupełnie uzasadniona. Większość żołnierzy naprawdę nosi czerwone, a nie granatowe mundury.

Istniały jednak wyjątki, na przykład pułki lekkich dragonów oraz jednostki z Yorkshire, no i artyleria. Natomiast piechurzy szkoccy noszą kilty.

— Obawiam się, że nie wiem nic o dragonach — zwierzyła się Mary. — To nazwa żołnierzy czy broni? Słowo brzmi bardziej jak określenie jakichś stworzeń mitycznych. Wystarczy wymienić „g” na „c” i skreślić końcowe „n”*.

— No cóż — roześmiał się Holland — czasami można by ich zupełnie skreślić, kiedy atakują jakieś cholerne wzgórze i nie wracają aż do końca bitwy. Dragoni stanowią część kawalerii, więc jeżdżą, dokąd chcą, nie myśląc zbyt dużo o reszcie z nas.

— Och. A marynarka wojenna?

— Wszyscy oficerowie marynarki wojennej noszą niebieskie mundury... z wyjątkiem piechoty morskiej, no ale te jednostki to właściwie żołnierze, a marynarze... Na okrętach, które

* Draco (łac.) — smok.

widziałem, rzadko nosili mundury. Panuje tam kompletna dowolność w stroju niczym na jarmarku w dzień świętego Bartłomieja*. W ogóle nie przypominają w tej kwestii wojska czy artylerii...

— To bardzo skomplikowane — oznajmiła poważnie Mary — szczególnie dla osoby postronnej, takiej jak ja. Mój dziadek był kapitanem statku handlowego, czyli przedstawicielem świata kupieckiego, a nie marynarki. Podejrzewam, że to jest jeszcze coś innego?

Holland skinął głową.

— Jeden podejmuje wszelkie ryzyko, a inny bierze całe zyski... tak to w każdym razie postrzegają oficerowie marynarki wojennej.

— Przedstawiciele marynarki wojennej są bez wątpienia bohaterami, a mój dziadek rzeczywiście bardzo się wzbogacił, więc przypuszczam, że w tym stwierdzeniu kryje się sporo prawdy — przyznała Mary. — Właśnie dlatego twierdziłam, że mój stryj nigdy nie sprzedał swego zegarka. Był najstarszym synem i po śmierci dziadka z natury rzeczy odziedziczył wszystko.

— Och!

Ta jedna sylaba spowodowała, że Mary przerwała. Nagle uznała mówienie o pieniądzach z takim zaangażowaniem i w przemądrzały sposób za strasznie niekulturalne, szczególnie że napięcie na twarzy Hollanda powróciło.

— Ale na pewno wolałabym marynarkę wojenną, gdybym była mężczyzną i musiała wybierać — kontynuowała, jak gdyby nie zauważyła tego „Och”. — Albo artylerię. W której jest również wielu bohaterów, jestem tego pewna!

Kapitan ponownie się uśmiechnął.

— Być może, ale nie wiem, czy powinna pani liczyć za bardzo na bohaterstwo. Pieniądze w garści to zawsze lepszy pewnik. Proszę mi teraz powiedzieć, co przydarzyło się tamtemu

* Obchodzony 24 sierpnia.

drugiemu Traceyowi... temu z przeszłości. To znaczy, potem, po morderstwie.

Mary zastanawiała się przez chwilę.

— Nigdy nie słyszałam, żeby coś mu się przydarzyło — odparła. — Nie sądzę, aby został kiedykolwiek ukarany.

— Ach, jest zatem sprawiedliwość na tym świecie.

— Sprawiedliwość?! Przecież ten człowiek popełnił straszliwe morderstwo!

— Wypełniał tylko rozkazy króla. Kraj byłby w cholernym stanie, gdyby żołnierze kwestionowali rozkazy dowódców.

— Tak, tyle że... król właściwie nie wydał mu rozkazu... nie tak jak w bitwie. Siedział po prostu przy kolacji, jak miemam, i denerwował się na arcybiskupa, więc rzucił: „Któż uwolni mnie od tego klechy mąciciela?”. I William Tracey wraz z kilkoma innymi pojechali z miejsca do Canterbury i zabili duchownego.

— To był rozkaz — Holland pokiwał głową — tyle że niewyrażony wprost. Kłopotliwe rozkazy zawsze wydaje się w ten sposób. Tracey i jego towarzysze mieli po prostu pecha, że go usłyszeli.

— Mogli go nie wykonać.

— Och, nie, to niemożliwe. I z tego, co wszyscy wiemy, arcybiskup rzeczywiście był buntownikiem, który wtykał nos w nie swoje sprawy i powodował kłopoty.

— Tak, sądzę, że tak — zgodziła się Mary. — Właśnie dlatego król strasznie się na niego gniewał. Faktycznie arcybiskup powiedział... — zawahała się, przypominając sobie, że w pierwszej chwili jej aluzje historyczne nie przedstawiały się szczególnie udanie, więc teraz nie dokończyła zdania. — Wciąż jednak myślę, że gdyby Tracey i jego przyjaciele byli lepszymi ludźmi, mogliby coś zrobić. Ostrzec arcybiskupa na przykład albo poczekać, aż król będzie w lepszym nastroju i... przekonać go. Holland potrząsnął głową ze smutkiem.

— Niewykonanie rozkazu... ostrzeżenie królewskiego wroga,

co go czeka... Nie wiem, panno Finch, to brzmi, jakbyś sugerowała zdradę i zaniedbanie obowiązku. Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś jakobinką... rewolucjonistką, która próbuje mnie skorumpować. Jako lojalny oficer Jego Królewskiej Mości nie powinienem cię słuchać, lecz raczej aresztować.

— Ojej — odparowała Mary ze śmiechem. — Gdybym jednak była rewolucjonistką, nigdy bym nie sugerowała przekonywania króla. Powinnam po prostu powiedzieć: „Zetnijcie mu głowę i zakończcie to raz na zawsze”.

— Może zatem jest dla ciebie jeszcze jakaś nadzieja. Mary kiwnęła głową, jak gdyby niechętnie udobruchana.

— Oczywiście, że jest. A naprawdę lojalny oficer nie czułby się dotknięty rozmową o zdradzie — dodała, zadzierając podbródek w odruchu, który Holland już nauczył się rozpoznawać jako charakterystyczny dla niej. — Wzgardziłby taką sugestią.

Kapitan uśmiechnął się.

— Też prawda.

Ustalili, że wynajmą powóz i woźnicę, który zawiezie ich z Woodbridge do White Ladies, oraz konia na podróż powrotną dla Hollanda. Woźnica, który ich przywiózł z Ipswich, zapewnił, że bez trudu zdobędą powóz Pod Koroną, natomiast przyzwoitego wierzchowca należy prawdopodobnie poszukać w gospodzie Pod Bykiem. Skutkiem tego, kiedy przybyli do Woodbridge, kapitan poprosił Mary, aby pozostała w Koronie, podczas gdy sam udał się Pod Byka.

Dziewczyna wraz ze wszystkimi bagażami usiadła w salonie i nie rozmyślała ani o powozach, ani o koniach, lecz o pieniądzech. Holland opłacił jej przejazd z Ipswich, a mina, jaką zrobił, gdy usiłowała poruszyć ten temat, przekonała ją, że koszt następnego etapu podróży kapitan również pokryje w całości. Jako oficer był oczywiście przyzwyczajony do zajmowania się sprawami, czasem zapewne mówił — niczym setnik

w Biblii — „Idźcie”, a jego ludzie szli. Tak czy owak, zapłacił za nią. A przecież na pewno nie mógł szastać pieniędzmi, nie bardziej niż Mary; wyraźnie nie wyglądał na zbyt majątnego. W rzeczywistości, był prawdopodobnie w gorszej sytuacji niż ona, ponieważ na końcu podróży nie czekał na niego bogaty stryj. Tym niemniej i mimo wszystko pomagał jej; powinna zatem zrobić, co w jej mocy, aby ułatwić mu zadanie. Rozważyła, jakie działania mogłaby podjąć, nie doprowadzając między nimi do awantury. Może gdyby wypytała o powóz, przynajmniej pokazałaby, że nie jest całkowicie zależna od bogatych krewnych i życzliwych oficerów artylerii.

W takim właśnie nastroju udała się do małej salki na tyłach gospody Pod Koroną, gdzie przebywał właściciel. Zadowolenie Mary rosło wraz z każdym jej krokiem. Holland wprowadził ją, ale i ona potrafiła być skuteczną organizatorką. Zamierzała nawet spróbować wynegocjować lepszą cenę za powóz albo uzgodnić jakiś szczegół, o którym kapitan zapomniał. Tak, plan był zaiste doskonały. Zatrzymała się na widok czterech osobników pochylonych nad stołem do gry w karty. Ich pospolite, nieogolone twarze osłabiły nieco jej pewność siebie i Mary zawahała się w wejściu. Zanim jednak zdążyła się wycofać, jeden z graczy podniósł głowę znad kart i syknął:

— Klientka do ciebie, Joe.

Mężczyzna siedzący plecami do dziewczyny odwrócił się ku niej, a następnie wstał.

— Co mogę zrobić dla pani, panienko? — Był dużym, zwalistym mężczyzną. Jego podwinięte rękawy koszuli i brudny biały fartuch potwierdzały, że naprawdę jest właścicielem tutejszej gospody, chociaż na nogach miał czerwone bambosze, które Mary uznała za obuwie raczej zaskakujące.

— Przepraszam — odparła, rumieniąc się — ale czy może mi pan powiedzieć coś o wynajęciu powozu?

— Och, tak, panienko — odpowiedział właściciel. — Tędy, proszę. — Skinął ku wielkiemu, zawałonemu papierzyskowi

biurku przy przeciwległej ścianie. — Proszę się nie przejmować tą gromadką — dodał pośpiesznie, kiedy zawahała się, czując na sobie szacujące spojrzenia pozostałych graczy. — Nie skrzywdzą panienki. No, proszę sobie usiąść i powiedzieć, dokąd chce pani jechać. — Sam usiadł na stołku, a Mary wskazał duży, głęboki fotel.

— Dziękuję panu. — Przysiadła na krawędzi fotela i wyjaśniła, co potrzebuje, tonem, który jak miała nadzieję, brzmiał rzeczowo, choć tak naprawdę był raczej nerwowym szczebiotem: — Poproszę o powóz i woźnicę do Lindham.

— Jedzie pani z wizytą, co? — spytał właściciel. Przyjrzał jej się, przymrużywszy jedno oko, jak gdyby nie mógł całkiem zaufać temu, co widział obojgiem oczu, po czym pogładził podbródek pogiętą końcówką gęsiego pióra.

Dziewczyna odchrząknęła; powietrze w tym pomieszczeniu intensywnie pachniało dymem, co stanowiło konsekwencję rzadkiego otwierania okien.

— Tak, zgadza się.

— Lindham to bardzo ładne miejsce, leży bliżej morza niż Woodbridge. Ta młoda dama — oświadczył głośniejszym głosem pozostałym graczom — jedzie z wizytą do Lindham.

Dwaj spośród mężczyzn obrócili się i przyjrżeli Mary, podczas gdy trzeci z powagą zebrał karty. Wszyscy byli zgodni co do powabów Lindham.

— O tak, Lindham to piękna, stara miejscowość, panienko — oznajmił któryś.

— Odkryje pani, że morskie powietrze jest znakomite dla zdrowia — dodał inny.

— Proszę pani — ciągnął właściciel — wynajem kosztuje jedenaście pensów za milę, czyli że cała podróż... — Wychylił się obok niej i zawołał do jednego ze swoich towarzyszy: — Do Lindham jest sześć mil, nie, Tom?

— Jakoś tak — odparł zapytany. — Ma pani rodzinę w tej okolicy, panienko?

— Taaak. — Mary nie brała pod uwagę, że jej plan podróży

stanie się głównym tematem dyskusji. Przesunęła się lekko w fotelu, sugerując, że rozmawia wyłącznie z właścicielem, lecz nikt poza nią nie zrozumiał najwyraźniej jej intencji. Każde jej stwierdzenie, jak na przykład przyznanie się, że właściwie chce podróżować dalej niż tylko do Lindham, było natychmiast przekazywane i wkrótce wszyscy mężczyźni wstali od stolika i zebrali się wokół dziewczyny, opierając się o biurko albo o ścianę. Jeden z nich przypadkowo kopnął nogę jej fotela i Mary odniosła wrażenie, że atmosfera osobliwie się zagęszcza.

— Słyszałeś kiedyś o White Ladies, Tom? — spytał właściciel. — To jest Tom Scott, panienko, o tamten. Pochodzi z Lindham.

Tom Scott potwierdził lekkim kiwnięciem głowy. Potem potarł podbródek w zadumie.

— Takie zabawne, stare domostwo, panienko? Obok Kotliny Gawronów?

Mary przyznała, że nie wie.

— Nie myśli pani chyba o domu starej Matki Tipton? — spytał mężczyzna nazwiskiem George Trotter, który wcześniej zachwalał morskie powietrze Lindham.

— Nie, nie o nim — odparła. — Nigdy nie spotkałam nikogo o tym nazwisku.

— No cóż, panienko, sądzę, że zapamiętałabyś, gdybyś ją spotkała — stwierdził George, po czym się skrzywił — ale nie ma żadnego innego dużego domu w Lindham, ja przynajmniej o żadnym nie słyszałem. Aż do samego morza żadnego nie ma.

Tom zaczął polemizować z tym stwierdzeniem czy też z jakąś jego częścią, a czwarty mężczyzna, który odzywał się po raz pierwszy, poradził George'owi, aby nie szafował tak łatwo opiniami, bo nie są one warte złamanego szeląga.

Trotter nie skorzystał jednak z tej rady, a równocześnie wszyscy mężczyźni dalej indagowali Mary: „Czy panienka odwiedza swoją rodzinę?”. „Jakie nazwisko podałaś, panien-

ko?". George Trotter i Tom Scott niemal wisieli nad nią, zasypując ją pytaniami, aż zaczęło jej się robić gorąco. Chciała odpowiedzieć cierpko, że nie podała żadnego nazwiska i że to nie jest ich sprawa, ale nie mogła się zdobyć na odwagę, skoro stali tak blisko. Ktoś ponownie kopnął jej fotel, a wtedy szepnęła, że nazywa się Finch, a jej stryjem jest pan Edward Finch.

Tom zmarszczył czoło i powiedział, że go nie zna. Mary wiedziała natychmiast, że kłamie, i jej odwaga wzrosła.

— Dlaczego pan powiedział, że White Ladies to zabawne miejsce? — spytała.

— Bez powodu. Nigdy tam nie byłeś, jak twierdzisz? Więc to jest ten stary i...

— Stary i zatechły, co nie, Tom? — przypochwilił się George.

— Och, przymknij się lepiej, George — wtrącił pospiesznie czwarty mężczyzna. — Tę młodą damę nie interesują bzdury, które gadasz.

— Więc, powiedzmy, siedemdziesiąt sześć za najem, panienko? — zapytał właściciel, najwyraźniej przypominając sobie pierwotny temat rozmowy, jednak Mary ciągle patrzyła na Toma Scotta i tylko w połowie usłyszała słowa właściciela.

— Panno Finch, czy wszystko w porządku?

Ten głos, zarówno znajomy, jak i nieoczekiwany, sprawił, że aż podskoczyła. W progu stał kapitan Holland, na jego obliczu gościły równocześnie rozbawienie i poirytowanie.

— Taaak — skinęła głową.

Kiedy Holland ruszył ku niej, Mary zdała sobie sprawę, że kapitan i właściciel wymienili znaczące spojrzenia, pozostali mężczyźni zaczęli się zaś rozchodzić. Czarnobrody podniósł dłoń z talią kart i skinął ku stołowi po drugiej stronie pomieszczenia.

— Rozdajesz, George — oznajmił głośno. — Chyba nie zapomniałeś? Wracajmy do gry. Grasz, Joe?

— Jasne — odparł właściciel pogodnie — nie krzycz!

Dzięki, sir — dodał do Hollanda, przyjmując opłatę. — Mam bardzo ładny *curricle**, który z fasonem zawiezie pana i młodą damę do Lindham.

Odprowadził Mary i kapitana do salonu, a później powlókł się, aby przygotować pojazd. Skoro tylko zostali sami, Mary zwróciła się do swego towarzysza.

— Przepraszam, że nie czekałam, tak jak mnie pan prosił — zaczęła — ale sądziłam, że pomogę, jeśli wynajmę powóz.

— W porządku. — Holland nie był zazwyczaj taki zgodny, zaczynał jednak myśleć, że panna Finch jest po prostu dziwna i lepiej jej ustępować.

— Ale musiał się pan zastanawiać, gdzie jestem.

— Nie, nie. Powiedzieli mi, że właściciel lubi pograć rano w pokera, i pomyślałem, że zaproszono cię, pani, do gry... Dla zabicia czasu, czyż nie? — spytał niewinnie.

— Och, nie — zapewniła go Mary. — Na pewno nigdy nie zagrałabym z obcymi mężczyznami, zresztą nie znam reguł pokera. Ale, ale... bo teraz straciłam wątek! Chciałam powiedzieć, że z tymi mężczyznami jest coś nie w porządku. Widział pan, kapitanie, jak się zebrali wokół mnie? Moim zdaniem są bardzo osobliwi.

Holland zastanowił się, czy nie powiedzieć Mary, że bynajmniej ci mężczyźni nie są osobliwi, zbierając się wokół dziewczyny, szczególnie ładnej dziewczyny, która wchodzi tam, gdzie wchodzić nie powinna, a gdy ktoś się do niej odezwie, rumieni się aż po same rude włosy. Zachował jednak tę uwagę dla siebie, wzruszył ramionami i zauważył, że prawdopodobnie tylko blefowali.

Nie zdziwił się, gdy zobaczył jej hardo uniesiony podbródek.

— Nie blefowali — zapewniła go, chociaż nie była zupełnie pewna znaczenia tego czasownika. — Wypytywali mnie o Lindham, o White Ladies i o mojego stryja. Wiedzą coś, nie mam najmniejszych wątpliwości!

* *Curricle* — spacerowy pojazd dwukołowy, zaprzęgany w parę koni.

Holland poprawiał rzemienie swojej torby i nie patrzył na Mary.

— No i co powiedzieli?

— Jeden z nich stwierdził, że ten dom jest dziwaczny i bardzo stary, ale maniere tego mężczyzny nie były całkiem właściwe, jeśli rozumie pan, o czym mówię. Ten sam osobnik oznajmił, że nazwisko mojego stryja nic mu nie mówi, po oczach widziałam jednak, że kłamie. Niejaki George Trotter oznajmił z kolei... Och, zapomniałam, co dokładnie mówił, ale zachowywał się bardzo nieuprzejmie. Nie spodobał mi się jego wygląd. Inny, czarnobrody, był raczej milczący, lecz ze spojrzeń, które wymieniał z Tomem Scottem... tym, który skłamał, twierdząc, że nie zna mojego stryja... Było jasne, że nie chce, aby Tom lub George powiedzieli coś więcej. Chcieli wiedzieć, co ja wiem.

Holland zareagował obojętnie na ten chaotyczny potok słów, w końcu jednak przestał regulować rzemienie.

— Co się stało później?

— Pan przyszedłeś — odparła Mary, wzdychając teatralnie — więc siłą rzeczy wrócili do gry, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło.

Popatrzyła na Hollanda, czekając na jego odpowiedź. Kapitan milczał przez moment, rozważając jej słowa, a potem odpowiedział beznamiętnym, nadzwyczaj rozsądnym tonem, który Mary uznała za szczególnie irytujący:

— Zapewne sprawił to mój mundur. Jest tu w okolicy sporo przemytników i nikt nie chce ryzykować.

— Ach, rozumiem — kiwnęła głową. Tym razem jej towarzysz przynajmniej nie próbował kompletnie zbyć jej obaw! — Oczywiście! Sądzi pan, że to zwolennicy wolnego handlu?!

— Zwolennicy... Skąd, pani, znasz to określenie?

Mary wyjaśniła, co pan Treadgill opowiadał o przemytnikach i ich nikczemności. Holland zbił ją z tropu, gdy nie potwierdził natychmiast tej opinii. Mało tego, stwierdził, że przemysł jest

przecież o niebo łatwiejszy niż obrabianie lichego poletka, dzięki czemu farmer zyskuje jedynie zgięty grzbiet i kiepski plon. No i pozostaje jeszcze kwestia dreszczyku emocji, kiedy za ledwie o krok wyprzedza się urzędników skarbowych i okręty marynarki wojennej. Niektórzy mężczyźni wiele zaryzykują dla ekscytacji i szansy na duży zysk. Popatrzyła na niego z namysłem.

— Ale chyba nie pochwała pan przemytu? — upewniła się. — Szczególnie teraz, gdy jesteśmy w stanie wojny.

— Nie ma większego znaczenia, co pochwalam, chociaż rzeczywiście jestem przeciwnikiem tego typu nielegalnych działań. Nie chcę po prostu, żeby pani sądziła, iż ci ludzie... coś szykują. Jeśli dom pani stryja jest ogromny, prawdopodobnie wszyscy dobrze go znają, jest obiektem charakterystycznym i go widzieli. Nie rozmawiają wszakże zbyt chętnie z obcymi, ponieważ nie chcą kłopotów... i tyle. Nie ma sensu mnożyć sekretów i trudności! — Zrobił lekceważący gest, jak gdyby sugerując, że Mary jakimś nieprzemyślanym ruchem ściąga na świat problemy. — Tylko się bez potrzeby denerwujesz, pani.

— Cóż, rozumiem — poddała się. Tak naprawdę nic z tego nie rozumiała, zaczynała jednak uważać, że nie wygra z kapitanem Hollandem, więc lepiej mu po prostu ustępować.

5

Ostatni etap podróży do White Ladies był początkowo na tyle interesujący, że Mary nie miała za bardzo czasu wyobrazić sobie, co ją czeka na miejscu. Nigdy wcześniej nie widziała wiatraków, a Woodbridge szczyciło się dwoma tymi wielkimi budowlami, których długie, obracające się skrzydła rzucały się w oczy ze wzgórza nad miastem. Z tej wysokości dziewczyna mogła też zobaczyć znaczny ruch panujący na zatoce. Droga poprowadziła Mary i kapitana przez rzekę około milę na północ od Woodbridge, gdzie powóz skręcił na południowy wschód. Rzeka nazywała się Deben i wpadała do morza na północ od Felixstowe. Holland wyjaśnił, że Woodbridge było kiedyś wielkim portem, jednak Deben przez stulecia zmieniła nieco swoje koryto, toteż teraz tylko mniejsze łodzie mogą wpływać tak daleko w głąb lądu. Kapitan nie wiedział, czy właśnie te łodzie preferują przemytnicy, jak zasugerowała Mary, więc tylko przyznał, że istnieje taka możliwość.

Kiedy pozostawili za sobą Woodbridge, wyjechali na otwarty, pofałdowany teren, porośnięty kolcolistami i paprociami; jedynie nieliczne drzewa zaciemniały tu horyzont. Podczas jazdy natknęli się zaledwie na jeden pojazd — wóz załadowany trzcina na strzechę — oraz dwóch mężczyzn, prawdopodobnie strażników, z psami. Za wsią Shottisham minęli człowieka

naprawiającego żywopłot. Żaden z tych widoków nie bardzo inspirował do rozmowy. Zachmurzone niebo stale mroczniało, powietrze stawało się ciężkie i lada chwila mógł spaść deszcz. Stopniowo ta ponura pogoda zaczęła oddziaływać na nastrój Mary. Nawet w normalnych okolicznościach, jadąc do White Ladies, dziewczyna odczuwałaby niepokój, a w tej szczególnej sytuacji tym mocniej na dodatek imaginowała sobie konkretne trudności. Z Saint Ives do Lindham było ponad czterdzieści mil; co Mary znajdzie, gdy dotrze do celu? Przestała już się obawiać, że w Suffolku czają się Francuzi, ale... jaka jest miejscowa ludność? Może mieszkańcy okażą się nieprzyjaźni albo będą się zachowywali zupełnie inaczej od osób, do których była przyzwyczajona? A sam stryj? Był dużo starszy od jej ojca, tyle wiedziała, ale czy dostrzeże u niego jakieś znajome zwyczaje lub wyrażenia? Bliscy krewni zachowują się czasami tak samo, nawet jeśli rozstaną się na wiele lat. Śmieją się w identyczny sposób bądź też cechują ich podobne rysy twarzy. Nie wiedziała, czy chce, aby obcy mężczyzna przypominał jej z wyglądu drogiego ojca; w pewnych sytuacjach Mary poczułaby się niezręcznie, zwłaszcza że w przypadku braci podobieństwo może być bardzo wyraźne. Ponadto była jeszcze ta dziwna sprawa z panem Traceyem, mężczyznami z Korony i zegarkiem... zegarkiem jej stryja. Jakie znaczenie miały te wszystkie zdarzenia? Czy stryj znał Traceya? Czy będzie przygnębiony, gdy usłyszy o jego śmierci? Dziewczyna odkryła, że z jednej strony pragnie, by powóz przyspieszył i jak najszybciej zawiózł ją do White Ladies, gdzie znajdowały się odpowiedzi na wszystkie jej pytania, z drugiej strony jednak coraz bardziej lękała się dotrzeć na miejsce.

— W czym kłopot? — spytał Holland, przerywając jej rozmyślania.

— Kłopot? Co pan ma na myśli?

— Umilkłaś, pani, a teraz wyglądasz jak terier, który zobaczył szczura.

Mary uśmiechnęła się, chociaż tak naprawdę jego porównanie zupełnie nie przypominało komplementu.

— Już lepiej. — Kapitan pokiwał głową. — Bo zaczynałem się martwić.

Posłała mu kolejny uśmiech, a ponieważ nie potrafiła wymyślić żadnej mądrej riposty, tylko się zarumieniła. Jakoś nie miała ochoty tłumaczyć się w tym momencie swemu towarzyszowi i zamiast tego wpatrzyła się zdecydowanie przed siebie, próbując uniemożliwić powrót niepokojących myśli. Obecny krajobraz dostarczał jednak jeszcze mniej rozrywki. Ciężka mżawka prawie przesłoniła niegościnne wrzosowiska. Woźnica zatrzymał *curricie* i wraz z Hollandem podnieśli dach.

Następnym razem przystanęli dopiero, gdy dotarli do wioski Lindham. Woźnica przypuszczał, że do White Ladies zostały jeszcze cztery mile, lecz — biorąc pod uwagę niepogodę — biadolił nad aktualnymi warunkami drogi nadbrzeżnej.

— Widzi pan, jak tu jest, sir — narzekał. — Po tutejszym piasku strasznie trudno się jedzie, a konie tylko się ślizgają. Nadchodzi następna paskudna burza — dodał smętnie.

— Na to wygląda — zgodził się Holland, spoglądając w niebo. — Ale nie zatrzymujemy się przecież tutaj, więc im prędzej ruszymy, tym lepiej. Resztę drogi przejadę konno, dzięki czemu łatwiej będzie kierować powozem.

Woźnica miał dużo więcej do powiedzenia na temat niedoskonałości drogi nadbrzeżnej, jednak mina Hollanda powstrzymała go od wypowiedzenia kolejnych opinii. Wyraził zatem swoje zdanie jedynie poprzez wzruszenie ramionami i markotne wymachiwanie batem, a w czasie gdy Holland poprawiał popręg i strzemiona swego wierzchowca, mężczyzna skarżył się własnym koniom.

— Chodź, Ben, staruszku, chodź, Tally. Nie będziemy tutaj tkwić przez cały dzień. Może burza przejdzie bokiem. Wiecie dobrze, że droga nadbrzeżna nie nadaje się do jazdy, ale cóż robić, skoro niektórzy ludzie wiedzą swoje.

Podróż wznowili przeto w kiepskich humorach. Niezadowolenie woźnicy wręcz wzrosło, kiedy deszcz przestał padać i droga z Lindham zwężyła się, choć jej stan bynajmniej się

nie pogorszył. Wolałby zapewne znosić wiatr i deszcz lub przebijać się przez grzędawisko, byle tylko dowieść swych racji. W końcu jednak jego życzenie się spełniło. Droga rozdzieliła się i powóz wjechał w odnogę, która była prawdopodobnie aleją dojazdową do majątku White Ladies. Istotnie, za drzewami majaczył dach dużego budynku. Jednakże w punkcie, w którym droga dojazdowa skręcała w prawo, dalszą jazdę blokowało zwałone drzewo i woźnica triumfalnie pokiwał głową.

— Najwyraźniej spadło w trakcie ostatniej burzy — zauważył. — A może uderzył weń piorun.

Holland zsiadł z konia i zbadał położenie przeszkody, podczas gdy Mary z woźnicą podsuwali mu rady. Woźnica stanowczo twierdził, że jeśli spróbują zjechać z alei, jego pojazd się przewróci, dziewczyna natomiast uważała, że powinni przejść resztę drogi pieszo; do domu było już naprawdę niedaleko.

— W porządku, w porządku! — odburknął kapitan, patrząc na oboje surowo. — Możesz nas pan tu zostawić... Nie, nie, ja to wezmę, panno Finch, to jest dla pani zbyt ciężkie. Niech pani po prostu prowadzi, a resztę pozostawi mnie.

Aleja, stanowiąca dotąd połączenie piasku, żwiru i opadłych liści, zmieniła się w końcu w układ dużych, często popękanych kamiennych płyt, które były zapewne pozostałością dziedzińca. Na lewo od nich znajdowała się mała stajnia i długi stary mur, którego część się zawaliła. Po prawej stronie stał sam dom.

Dla bezstronnego obserwatora opis White Ladies jako budynku starego i niesamowitego byłby na pewno trafny. Prostokątny gmach miał długi, jednopiętrowy fronton z szarego kamienia. Za fasadą widać było piętro zbudowane głównie z cegły i różnica w materiałach, a także odmienny rodzaj smoły na dachach, tworzyły bardzo niejednolity efekt. Co więcej, wiele wąskich okien z przodu domu zamieniono na nowe, otwierane pionowo. Chociaż dzięki tej transformacji pokoje niewątpliwie zyskały więcej światła, nowe okna równocześnie szpeciły starszą kamieniarzkę i zachwiały równowagę frontonu, który kiedyś był harmonijny, nawet jeśli nieco surowy.

Mary niemal nie dostrzegła tych wszystkich detali, całą uwagę skoncentrowała bowiem na bliskim spotkaniu ze stryjem. Kiedy zbliżali się do okazałego ganku, z solidnymi drewnianymi drzwiami obramowanymi przez półokrągły, kamienny łuk, dziewczyna zastanawiała się, jak się przedstawi, zależnie od tego, czy na jej pukanie odpowie pokojówka, lokaj czy pacholek. Kiedy zatem żadna z tych osób nie otworzyła drzwi, Mary poczuła niepokój. Drugie, silniejsze użycie żelaznej kołatki również nie przyniosło żadnych efektów.

— Obejdźmy dom — zasugerował Holland. — Czasami ludzie traktują wejście frontowe jak tylne, jeśli wie pani, o czym mówię. Z przeciwnej strony ten dom wychodzi na morze i może pani stryj lub dziadek bardziej lubili tamten widok.

Gdy szli, Mary odnotowała pewną liczbę niepokojących szczegółów: na dworze nie pracował nikt ze służby, na piętrze zasłony w oknach były zaciągnięte, na parterze — wszystkie okiennice zamknięte, nad żadnym z kominów zaś nie unosił się dym. Na dodatek, w nowoczesnej stajni na tyłach domu nie dostrzegli świeżych śladów ani konia, ani powozu, a domek obok stajni pozostawał niezamieszkały. Główny budynek miał dość pretensjonalne tylne wejście, jawnie dobudowane niedawno na starszej strukturze. Nawet tutaj wszystko było zamknięte, ciche i bez znaków życia. Wspiąwszy się na ganek, Mary załomotała krzepko w drzwi, aż od kontaktu z twardym drewnem rozboleła ją ręka, niestety nikt się nie pojawił.

W żadnej z prób wyobrażenia sobie powitania czekającego ją w domu stryja Mary kompletnie nie brała pod uwagę tego, że na progu White Ladies będzie mogła jedynie formułować kolejne pytania, które — podobnie jak poprzednie — pozostaną na razie bez odpowiedzi.

— Co tu się zdarzyło? Gdzie jest służba? Mój stryj nie jest młodym człowiekiem... Co mogło spowodować, że zamknął dom i nie zatrudnia nawet dozorczy? Dokąd wyjechał?

— Będziemy musieli wrócić do Lindham — odparł powoli

kapitan — i spróbować dowiedzieć się, co się stało. Możesz, pani, jechać na moim koniu — dorzucił. Mary nie odmówiła, zastanowiła się jednak, czy powinna przyznać się kapitanowi do tego, że nigdy w życiu nie jeździła konno.

— Gdyby tylko istniał sposób wejścia do środka...

— Ależ istnieje — odparował Holland, dołączając do niej na stopniach. — Możemy się włamać. Jeśli sądził, że zaszokuje dziewczynę tą sugestią, straszliwie się rozczarował, ponieważ Mary odpowiedziała mu w taki sposób, jak gdyby regularnie uprawiała taki proceder.

— Nie jestem pewna, czy włamanie jest poprawnym określeniem — oświadczyła, obrzucając krzywym spojrzeniem zamknięte drzwi — ponieważ działalibyśmy bez przestępczego zamiaru. Zagapił się na nią. Nie sądził, by kiedykolwiek słyszał kogokolwiek mówiącego o przestępczych zamiarach, a już na pewno nie młodą kobietę.

— To pani jesteś prawniczką, panno Finch, więc pozostawię całą sprawę pani. Ponieważ jednak nie mamy klucza, wybicie okna wydaje mi się jedynym znanym sposobem, niezależnie od tego, jak zechcesz ten czyn nazwać.

— Tak, przypuszczam, że tak — odparła w zamyśleniu Mary. Zaczęła znów coś mówić, przerwała, po czym spytała Hollanda, czy mógłby sprawdzić okna. — Nigdy nie wiadomo — zauważyła optymistycznie — może któreś ma luźny zatrzask lub nawet pozostało otwarte.

— Nie sądzę... — zadumał się kapitan, ale potem zmienił zdanie. — Och, w porządku—burknął i odwrócił się. Wiedział, że nic nie zyska na kłótniach z tą dziewczyną, nawet jeśli jej pomysły uznawał za dziwaczne.

Wykonywał swoje zadanie sumiennie, choć z niewielkim entuzjazmem, kiedy odkrył, że sugestia Mary wcale nie była taka dziwna. Dziewczyna pospiesznie przyszła, aby wysłuchać jego relacji.

— No i możemy się włamać — oświadczył, szarpiąc skrzydło okienne. — Może będę musiał uszkodzić trochę ramę, ale na pewno zdołam wejść do środka...

— Doskonale — przerwała mu. — Widzi pan, przyszło mi do głowy, że musi istnieć jakiś inny sposób. Służący bywają czasami naprawdę zapominalscy, szczególnie w sytuacjach odbiegających od codziennej rutyny. Właśnie dlatego pomyślałam o kluczu.

— O jakim kluczu?

— O kluczu pod wycieraczką. To całkiem powszechna metoda, wie pan, klucz pod wycieraczką przed drzwiami wejściowymi albo w pobliskim naczyniu, kiedy opuszcza się dom... o ile oczywiście nie zamierzamy wyjechać na długo, ponieważ w takim przypadku niebezpiecznie jest zostawiać klucz w miejscu, w którym każdy może go znaleźć...

— Czy znalazła pani klucz, panno Finch? — przerwał jej.

— Pod jedną z luźnych kamiennych płyt u stóp schodów.

— Czy pasuje do drzwi?

— Nie sprawdzałam. Znalazłam go akurat w chwili, kiedy mnie pan zawołał.

— Chodźmy zatem — polecił Holland, biorąc od niej wspomniany klucz. — Wolałbym nie wybijać okna w domu pani stryja, jeśli mogę użyć klucza.

— Tak, naturalnie — Mary zgodziła się z nim. — Chociaż gdybyśmy naprawdę musieli coś bardzo nieznacznie uszkodzić, nie wyobrażam sobie, że stryj chciałby wnieść oskarżenie przeciwko panu lub przeciwko mnie. — Nie? No cóż, to jest dobra wiadomość.

Tak czy owak, kwestia wniesienia oskarżenia poszła zatem w niepamięć, przynajmniej na razie. Klucz pasował, drzwi się otworzyły i oboje weszli do obszernego, zaskakująco wysokiego holu. Pobieżny ogląd pobliskich pokoi potwierdził, że dom naprawdę został zamknięty na głucho. Płachty chroniące przed zakurzeniem zredukowały wiele mebli do anonimowych kopców, a kilka dywanów zwinięto. Paleniska zostały opróżnione

z popiołu, stoły pozbawiono ozdób. Pewna ilość kurzu i utrzymujący się zapach pasty do polerowania sugerowały, że mieszkańcy wyjechali stosunkowo niedawno. Nic więcej jednakże nie było od razu oczywiste. Naturalnie nigdzie nie znaleźli żadnych wskazówek, dokąd pan Finch się udał i dlaczego. Chcąc rozwiązać tę zagadkę, Mary i Holland postanowili się rozdzielić. On dowie się, ile tylko zdoła, od sąsiadów pana Fincha, podczas gdy ona zbada gruntownie dom. Przed odejściem Holland nalegał, aby przywrócili jeden z salonów do mniej więcej zwykłego stanu komfortu i rozpalili ogień, upierał się też, by Mary — jeśli ma ochotę — pozostała w tym pomieszczeniu do czasu jego powrotu.

— Jest pani pewna, że może zostać sama?

— Ależ tak — odparła zgodnie z jego przypuszczeniami. — Dokładnie się rozejrzę. Może natknę się na jakiś list albo notatkę wyjaśniające wyjazd stryja. Coś w tym rodzaju. I spróbuję poszukać dla nas coś do jedzenia.

— W porządku. Tylko proszę zaryglować drzwi i nie otwierać, chyba że będzie pani pewna, że to ja.

— Nie sądzi pan...

— Nie, nie sądzę. Nie zaszkodzi jednak zachować ostrożność.

Mary zamknęła za nim drzwi, po czym rozpoczęła obchód domu. Budynek, tak jak to było widoczne z zewnątrz, został zbudowany na dwóch nierównych poziomach. Parter składał się z centralnego dziedzińca czy też krużganku otoczonego przez pokoje najwyraźniej przeznaczone na lektury, sport, rozmowy i administrację posiadłości. W południowym krańcu mieścił się nowy hol wejściowy i to, co pozostało z kapliczki, natomiast północny koniec zajmowały jadalnia i kuchnia. Piętro biegło tylko wzdłuż wschodniej strony domu i można było na nie wejść jedną z dwóch par schodów. Na górze dziewczyna odkryła szereg alkierzy odpowiednich dla członków rodziny, gości i służących.

Wszędzie, lecz w szczególności na parterze, dom potwierdzał swój wiek i prawdopodobną przeszłość instytucji zakonnej.

Wejścia zwieńczone niskimi łukami, masywne, wzmocnione belką drzwi, wyłożone kamiennymi płytami korytarze i wielka, interesująco staromodna kuchnia — wszystkie te elementy wskazywały na dawne czasy. W kapliczce, pomieszczeniu smutno okrojonym przez nowszy hol wejściowy, fizyczne dowody katolicyzmu zostały bezlitośnie usunięte, choć krużganek zachował atmosferę spokoju, a dużą, ascetyczną salę jadalną można by wciąż poprawnie opisać jako refektarz. Nawet na piętrze, gdzie rozmiary pokoi sugerowały ich krótszy żywot, nieobecność pościeli i bielizny oraz idealny porządek kojarzyły się z surowością klasztoru żeńskiego. Obserwując wszystkie te detale, Mary pogratulowała sobie bystrości, dzięki której powiązała nazwę White Ladies z zakonnicami, które zamieszkiwały ten gmach w odleglejszych czasach.

Kuchnie i spiżarnie również okazały się niezwykle interesujące. Kuchnia była mniej więcej ośmiokątna w kształcie, z ogromnymi otwartymi kominkami i mniejszym, ale i tak wspaniałym, owalnym paleniskiem. Otwarte kredensy mieściły mnóstwo garnków, patelni, form do pieczenia i misek, ściany zaś zdobiło wiele bardziej osobliwych i czasem prezentujących się dość okrutnie haków, rożnów, tasaków rzeźniczych i szpikulców do mięsa. Posiłki najwyraźniej przygotowywano na dwóch wielkich drewnianych stołach zajmujących środek pomieszczenia.

Mary nigdy nie była znakomitą kucharką, a w ostatnich trzech latach jej kulinarne możliwości ograniczały się do parzenia herbaty ziołowej i przypiekania chleba nad ogniem we własnym pokoiku. Gdy poddawała oględzinom duże żelazne sagany, starannie uszeregowane w jednym kominku, a także skomplikowane urządzenie, które łączono z innym, aby można było obracać rożna, bardzo wątpiła, czy potrafiłaby przygotować coś gorącego do jedzenia.

Zakładając oczywiście — dumiała — że jest tutaj jakieś jedzenie do przyrządzenia.

Przejrząwszy spiżarnię, która mieściła w sobie również masielnicę, ostatecznie zdobyła zestaw składników na dziwacz-

ny posiłek. Świeże jedzenie oczywiście spożyto lub wyrzucono, zanim dom został zamknięty. W pierwszej chwili Mary zdołała znaleźć zatem tylko takie produkty, które można było długo przechowywać: przetwory, orzechy, przyprawy i kilka woreczków z suszonym grochem. Bliższe i bardziej wnikliwe poszukiwania ujawniły kilka przeoczonych składników. W jednym z kuchennych kominów wisiał zupełnie dobry kawałek bekonu, a w pudełku z ziemią zabłąkało się parę ziemniaków, które dopiero co zaczęły kiełkować. W którymś z kredensów Mary odkryła płócienną torbę pełną bardzo twardych, lecz wyraźnie jadalnych herbatników. Jakaś kombinacja tych artykułów przynajmniej uchroni ich oboje przed głodem. Tylko w napoje byli dobrze zaopatrzeni, ponieważ dziewczyna zauważyła puszkę z herbatą, kilka butelek wina i dużą liczbę beczek, przypuszczalnie zawierających jasne lub ciemne piwo.

Zostawiła w kuchni większość swych zdobyczy i wróciła do salonu tylko z kiełkującymi ziemniakami. Umieściła je wśród rozżarzonych węgli w palenisku, dodała nieco więcej drewna i kontynuowała ogląd domu. Gdy chodziła od pokoju do pokoju, jej zapalona świeca tworzyła ukośne migotliwe cienie na ścianach i sufitach, toteż Mary szybko zaczęła doświadczać nieokreślonego, lecz męczącego zaniepokojenia. Chociaż nie potrafiła dokładnie stwierdzić, czym się martwi, pod wpływem ciemności i ciszy wyczuwała, iż może się zdarzyć coś nieprzyjemnego. W korytarzu gniewnie spoglądały na nią z góry szeregi wielkich, ponurych portretów, zwiększając jej obawy. Aby dodać sobie odwagi, Mary zaczęła nucić *Wszchemocny Panie, wiekuisty Boże* wyjątkowo śmiałym głosem.

Jako takim źródłem pociechy okazała się biblioteka. Poza salą jadalną był to największy pokój w White Ladies, a jednak ledwie mieściły się w nim pokaźne zbiory pana Fincha. Półki biblioteczek skonstruowano bardzo przemyślnie, tak aby gromadziły woluminy według rozmiaru i tematyki. Tak więc nad ogromnymi, ciężkimi księgami na temat astronomii stały mniejsze, a jeszcze wyżej całkiem maleńkie dzieła na temat filozofii

naturalnej. Arcydzieła literatury Grecji, Rzymu, Francji i Anglii ciągnęły się wzdłuż ścian ponad teologią i etyką. Prawo i historia ustępowały miejsca fizyce i matematyce, triumfując nad atlasami, słownikami i związanymi partyturami muzycznymi.

Był to dokładnie taki rodzaj pomieszczenia, w którym Mary mogłaby spędzać szczęśliwe popołudnia, przeglądając kolejne książki. Nawet teraz przez pewien czas kartkowała księgi. W końcu jednak podniosła wzrok znad napisanej w dziewiątym wieku relacji z życia Karola Wielkiego i zdała sobie sprawę, że czuje zarówno chłód, jak i głód. Przypomniała sobie wygodny salon i piekące się ziemniaki. A kapitan Holland... chyba wyszedł już dawno temu? Prawdopodobnie wróci lada chwila i nie będzie zadowolony, gdy znajdzie ją pogrążoną w poszukiwaniach tak całkowicie niezwiązanych z ich celem.

Odłożywszy ostrożnie na miejsce historię Karola Wielkiego, a także inne tomy, które zdjęła z półek, opuściła bibliotekę, stanowczo zamykając za sobą drzwi. Cóż to był za dźwięk, który właśnie wywołał u niej drugą, wyraźną falę niepokoju, sprawiając nawet, że świeca zadrżała lekko w ręce? Mary wiedziała, że można oczywiście przerazić samego siebie — poprzez opowieści o duchach albo wyobrażanie sobie, że uderzenia pędu bluszczu o szybę to obcy człowiek czający się na zewnątrz, próbujący sforsować jedno z okien do sypialni albo... Zadrżała, gdy przechodziła przez ciemny korytarz, i nieświadomie przyspieszyła kroku. Och, zachowuję się kompletnie absurdalnie! — ofuknęła samą siebie w myślach, lecz podnosząc świecę, poczuła się jeszcze gorzej, ponieważ światło częściowo odkryło fragment jednego z portretów i nagle nad głową Mary pojawiła się bezcielesna głowa, unosząca się w przestrzeni. Dziewczyna, raz pomyślawszy o tajemniczych dźwiękach i poruszających się w mroku przedmiotach, zupełnie nie umiała wyrzucić ich z głowy... Co się stanie, jeśli jej świeca zgaśnie?!

Na szczęście nie zgasła, a Mary poczuła się znacznie lepiej, kiedy wróciła do jasnego, ciepłego salonu. Zapaliła tam wszyst-

kie świece, ot tak, na wszelki wypadek, zbeształa się za zbyt bujną wyobraźnię i usiadła, aby poczekać na powrót kapitana Hollanda. Nie zamierzała mu naturalnie o niczym wspominać. W przeciwieństwie do niej kapitan praktycznie nie posiadał wyobraźni i prawdopodobnie nie wierzył w istnienie przeczuć. Mary nie da mu okazji do wyszydzenia jej. Właściwie...

Och! Aż podskoczyła, gdy Holland obwieścił swoją obecność poprzez stukanie w okno.

Deszcz znowu padał i pierwszą czynnością kapitana po wejściu do salonu było zdjęcie mokrego szynela i powieszenie go na oparciu krzesła. Potem przystawił inne krzesło bliżej ognia i usiadł. Z jego poważnej miny jasno wynikało, że dowiedział się czegoś, zaczął jednak od pytania, czy Mary odkryła cokolwiek podczas jego nieobecności, a kiedy potrząsnęła głową, wygłosił własne nowiny: pan Finch nie żyje.

Zrelacjonował zdarzenie trzeźwym tonem. Podobno pan Finch podupadał na zdrowiu już od jakiegoś czasu, a później złapał przeziębienie czy inną podobną chorobę. Silniejszy człowiek pewnie łatwo by wydobrzył, niestety, w przypadku pana Fincha problem okazał się poważniejszy. Stryj Mary zmarł prawie dwa miesiące temu.

Dziewczyna milczała przez chwilę. Wiadomość ją zaskoczyła, a jednak odkryła, że na wpół jej oczekiwała. W efekcie ogarnęło ją niezwykle uczucie odrętwienia.

— Umarł. No tak, wiedziałam... Wzmiankował w liście, że nie czuje się zbyt dobrze. List szedł długo, jak panu wspomniałam. Stryj wysłał go pod niewłaściwy adres. Tak, jego śmierć wyjaśnia stan domu. Jak... się pan tego... dowiedział?

— Na plaży byli mężczyźni.

Siedzieli przez moment w ciszy — Mary z założonymi na piersi ramionami i spuszczonej oczami, kapitan wpatrzony w płomień.

— Nie będę udawać, że oplakuję mojego krewnego — wyjaśniła powoli — ponieważ nigdy się nie spotkaliśmy. Ale... to jest... on był całą moją rodziną, a teraz nigdy już go nie

poznam. — Nie zdawała sobie sprawy, że pragnie zwierzyć się kapitanowi, jednak przebywanie w domu stryja i siedzenie przed ogniem, który Holland rozпалиł, wzbudziło w niej sympatię do nieżyjącego, której Mary nie potrafiła w sobie stłumić. Czowała niepokój i zdecydowała się o nim opowiedzieć.

— Nie wspomniałam o tym wcześniej, ale mój ojciec i jego brat posprzeczali się wiele lat temu. Właśnie dlatego nigdy nie poznałam stryja. — Zerknęła na kapitana, lecz wyraz jego twarzy nie zmienił się. — Finchowie byli bardzo bogaci. Stryj jako starszy odziedziczył wszystko, a mój ojciec kształcił się na prawnika. Zanim wszakże zdołał rozpocząć karierę adwokacką, poznał i poślubił moją matkę. Ponieważ nie miała majątku, mój ojciec musiał natychmiast zapewnić im obojgu dochód. Zwrócił się po pomoc do brata, lecz ten mu odmówił. — Przerwała na moment. — Więc mój ojciec zrezygnował z zawodu i został nauczycielem, a z bratem nie rozmawiał już nigdy.

Holland pochylił się do przodu i rozgarnął węgle w palenisku. Kiedy znów usiadł prosto, odwrócił się do Mary.

— Wie pani, dlaczego stryj nie pożyczył pieniędzy pani ojcu? Nie wiedziała; tego tematu nigdy w domu nie poruszano

i tylko raz słyszała tę historię — z wahaniem streściła ją jej matka. Mary często zastanawiała się nad powodami decyzji stryja, a ponieważ nigdy go nie poznała, przypisywała mu rozmaite niskie pobudki. Był skąpcem albo pragnął się znęcać nad bratem poprzez wykorzystywanie władzy, którą nad nim miał. A może był zazdrosny o szczęście brata lub nie akceptował kobiety, którą ten pojął za żonę. Istniały setki potencjalnych przyczyn, jeśli tylko człowiek wystarczająco intensywnie się zastanowił.

— Przez wiele lat bardzo go nie lubiłam — przyznała się. — A kiedyś wyobrażałam sobie, co mu powiem, jeżeli kiedykolwiek się spotkamy. Wie pan, wymyślałam w głowie całe rozmowy i na końcu każdej mój stryj zawsze uginał się pod brzemieniem wstydu i poczucia winy, po czym proponował,

że podzieli się z moim ojcem całym majątkiem w ramach rekompensaty za swoją dawną nieuprzejmość. Uśmiechnęła się z zalem, Holland podobnie.

— Czy dlatego pani przyjechała? — spytał. — Ażeby otwarcie wyjaśnić z nim tę sprawę?

— Po części być może tak i wiem, że mogę z tego powodu wydać się nieczuła.

— Och, chciałaś bronić, pani, swojego ojca. Nie jest tak źle.

— Nie, ale skoro nigdy nie poznałam faktycznych powodów ich kłótni, być może bardzo się myliłam. I obawiam się, że mój drugi powód przyjazdu tutaj jest jeszcze gorszy. Kiedy otrzymałam list od stryja, chyba czułam przede wszystkim zdumienie. Musiałam przeczytać go dwa razy, zanim upewniłam się, że rozumiem, co zawiera, ponieważ tak naprawdę nigdy nie wierzyłam, że kiedykolwiek spotkam stryja, a już na pewno przez myśl by mi nie przeszło, że będzie mnie szukał. I wtedy pomyślałam, że... że to jest moja szansa, aby... wyrwać się ze szkoły pani Bunbury — wypowiadając te słowa, wzdrygnęła się nieznacznie.

— A cóż jest w tym niewłaściwego? — spytał Holland logicznie. — Bogaty krewny zaprasza panią, abyś przyjechała pani do niego w odwiedziny. Tylko głupiec z miejsca odrzuciłby taką propozycję i pozostał w jakiejś cholernej szkole. Nie podobało się tam pani, prawda?

— Nie, ale widzi pan, sądziłam, że może...

— Stryj panią adoptuje albo wyznaczy pensję, dzięki której nie będzie pani musiała ponownie uczyć w szkole? Dlaczego nie? Warto spróbować, chociaż może musiałabyś, pani, przemilczeć kwestie, które miały związek z pani ojcem. To znaczy... pomijać ten temat.

— Tak, czułam się raczej winna z tego względu — przyznała Mary. — Nie mogłabym przecież najpierw palnąć stryjowi kazania, a potem poprosić o nagrodę! Och, to brzmi, jakbym była strasznie słaba, a równocześnie całkowicie pozbawiona skrupułów, i przypuszczam, że taka właśnie jest prawda. Ale

miło nie musieć przez cały czas martwić się o pieniądze i nie zastanawiać stale, co się zdarzy, gdy się zestarzejesz albo jeśli zmieni się twoja sytuacja. A my całkiem często martwiłyśmy się o tego rodzaju kwestie... my wszystkie w szkole.

Kapitan zaczął coś mówić, lecz Mary gwałtownie potrząsnęła głową.

— Lecz teraz, siedząc tutaj w gabinecie stryja, zaczęłam myśleć o moim krewnym... zamiast o sobie. Sądzę, że sprzeczka z moim ojcem na pewno go gnębiła i zapragnął w końcu nadrobić stracony czas. Na pewno właśnie dlatego posłał po mnie... Napomknął zresztą o tym w liście.

Nie czekając na odpowiedź Hollanda, przyklękła i zaczęła przeszukiwać swój bagaż. Po kilku minutach znalazła to, czego szukała, i pochyliwszy się nad krzesłem kapitana, wręczyła mężczyźnie złożoną kartkę.

Moja droga Bratanico!

Przyjmij ode mnie pozdrowienia i pełne szacunku ukłony. Ufam, że nie masz nic przeciwko przyjmowaniu ich od człowieka, który jest obecnie dla Ciebie zupełnie obcą osobą. Choć zasmuciła mnie wiadomość o śmierci Twoich rodziców, jestem jednak pełen nadziei, że coś dobrego może wyniknąć z tej tragedii i możemy się poznać, Ty i ja. Ponieważ obawiam się, że moje zdrowie nie jest najlepsze, nie mogę w tej chwili przyjechać do Ciebie. Dlatego uznałbym to jako szczególną przysługę, gdybyś zaszczyciła mnie swoją obecnością w moim domu. Mam nadzieję zobaczyć Cię przy pierwszej okazji. Łączę szczerze pozdrowienia i ukłony. Twój stryjek,

Edward Finch

Mina Hollanda nie zmieniła się, gdy przeczytał list ani gdy go zwrócił, niemniej kapitan wzruszył ramionami.

— Tak, przypuszczam, że tak — stwierdził w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie.

— A teraz już nigdy tego nie nadrobimy. — Splotła dłonie i kontynuowała cicho: — Może stryj cierpiał w swoich ostatnich dniach, ponieważ nie otrzymał od mnie odpowiedzi na list i... ja przecież nawet dzisiaj źle o nim pomyślałam!

— Nie obwiniaj się o to, pani — skrzywił się Holland. — Nie mogłaś wiedzieć. To był przeklęty pech i tyle.

Ogień wypluł prysznic iskier, więc Mary odsunęła się od gorącego paleniska i wróciła na swoje krzesło.

— Tak, a jednak... Jest mi z tego powodu przykro; i współczuję stryjowi, niezależnie od moralnego aspektu rozbratu z przeszłości. — Ponownie zamilkła, a po kilku sekundach uśmiechnęła się niewyraźnie. — Pani Bunbury mówi: „Najlepszym lekiem na kłopoty jest działanie” i to na pewno jest dobra rada. Niech pomyślę... Mój stryj na pewno miał prawnika albo przedstawiciela i przypuszczam, że może od niego dowiemy się, czy... Och — dodała pośpiesznie — ale ta sprawa wszak nie dotyczy pana. Mam na myśli, że nie powinnam narzucać się panu dłużej, kapitanie...

Holland potrząsnął głową.

— Nie narzuca mi się pani. Nie wyjadę, póki się tu pani nie zdomowisz, więc proszę kontynuuj swoje pomysły. — Niezwykle to miłe z pańskiej strony — odparła Mary. — Nie chciałabym... lecz gdyby mógł mi pan pomóc jeszcze trochę, byłabym bardzo wdzięczna.

Kapitan obserwował, jak kolejny powolny rumieniec rozkwita na jej policzkach, po czym odwrócił wzrok. — W porządku — mruknął.

Łatwiej im się rozmawiało, gdy zaczęli rozważać swoją najbliższą przyszłość, debatując nad korzyściami powrotu do Lindham bądź do Woodbridge. Mogli też odszukać lepiej poinformowanych sąsiadów pana Fincha. Żadne z nich nie mogło sobie przypomnieć, czy słyszeli coś dobrego o gospodzie w Lindham, jednak bliskość tego miejsca czyniła ją bardziej pożądaną niż lokal w Woodbridge. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali

niestety w odległości kilku mil, a zresztą dziewczynie nie podobała się sugestia proszenia o gościnę zupełnie obce osoby.

— Zawsze możemy pozostać tutaj — zauważył Holland. Mary gapiła się na niego przez chwilę.

— Pozostać tutaj?! — zapiszczała. — W nocy?

— Uhm. — Kapitan pokiwał głową, kryjąc uśmiech. Więc można było w końcu zaskoczyć tę pannę!

— W domu jest mnóstwo miejsca, no i schronimy się przed deszczem. A rano wyjaśnimy wszystko. To najbardziej praktyczne rozwiązanie.

— Taak — przyznała, próbując ukryć konsternację. Czy kapitan naprawdę uważał, że Mary może spędzić noc z nim pod jednym dachem... tylko we dwoje? Z pewnością zdawał sobie sprawę, że taka propozycja jest wysoce niestosowna... Dziewczyna jednak nie chciała go obrazić. Rozpoczęła następne zdanie bez wyraźnego pomysłu, jak zamierza je zakończyć. — Przypuszczam... To znaczy, że pewnie moglibyśmy, lecz... Przerwał jej jego śmiech.

— Nie, nie, żartuję. Oczywiście, że tu nie zostaniemy. Mary również się roześmiała i powiedziała, że wiedziała

naturalnie, iż kapitan żartuje. Szybko dodała, że Holland na pewno ma ochotę coś zjeść, zanim wyruszą? Zapewne jest bardzo głodny, a ziemniaki prawdopodobnie do tej pory dobrze się już upiekły. — Tak, lepiej zjedzmy, skoro mamy okazję — zgodził się. — Nasza sytuacja może się później zmienić i stracimy szansę. Mary zaprowadziła go do kuchni, wskazując mu różne średniowieczne cechy pomieszczenia, aż spostrzegła, że kapitana w ogóle nie interesują gzymsy i sklezione sufity. — A to jest mój dziadek — powiedziała, podnosząc świecę, by oświetlić duży portret na końcu korytarza. Twarz mężczyzny trudno było dobrze zobaczyć w migoczącym świetle, niemniej jednak Holland rozpoznał wyzywająco uniesiony podbródek. Artysta namalował mężczyznę siedzącego przy biurku; przed dziadkiem Mary leżała mapa, kompas i bezwładne ciało jakiegoś zwierzęcia. Zwierzę, prawdopodobnie bóbr, sugerowało, że

kapitan Finch zbił fortunę na handlu futrami w Ameryce Północnej. Kapitan pomyślał, że sportretowany wygląda na twardego, starego drania, zachował jednak tę opinię dla siebie. Zjedli z przyjemnością produkty, które Mary odkryła, otworzyli też butelkę wina, które zdaniem Hollanda powinno ich wzmocnić przed czekającą podróżą. Kapitan okazał się szczególnie biegły w pieczeniu plasterków bekonu nad ogniem. Nabijał je na szpikulce przyniesione z kuchni.

— Często w ten sposób przyrządzaliśmy sobie posiłki w Indiach — wyjaśnił, kiedy dziewczyna pochwaliła jego metodę.

— Och, był pan w Indiach? — spytała. — Jakie to ekscytujące! Walczył pan z... Hajdarem Alim, jak mniemam.

— Nieee — Holland zamilkł na chwilę — z jego synem, Tipu Sułtanem. Prawdopodobnie nie powinienem się dziwić, że wie pani wiele o Indiach... tak jak o wszystkim innym... a jednak jestem zaskoczony. Mary nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

— Naprawdę zupełnie niewiele wiem na ten temat, zapewniam pana. Tylko pan Treadgill opowiedział mi co nieco o Hajdarze Alim... Pan Treadgill był w Madrasie w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym i przeżył tam małą przygodę.

— Jeśli przeżył tam szturm miasta, rzeczywiście trafiła mu się przygoda.

Holland pojechał do Indii w roku 1785. Kiedy Wielka Brytania nie brała akurat udziału w żadnej wojnie, awans w wojsku można było uzyskać dopiero po wielu latach, a w tych pułkach, gdzie patentów oficerskich nie nabywano, okazywał się czasem w ogóle niemożliwy. Pułki artyleryjskie w owym czasie po prostu przestały awansować nowych podoficerów. Więc Holland, otrzymawszy promocję jeszcze w akademii w Woolwich, skwapliwie skorzystał z propozycji natychmiastowego zatrudnienia w armii Kompanii Wschodnioindyjskiej. Pozostał w Indiach przez następnych siedem lat i wrócił dopiero w 1792 roku, kiedy w końcu została zatwierdzona jego nominacja na oficera w Królewskiej Artylerii.

— Więc wszystko dobrze się skończyło — powiedziała Mary, dla której status Kompanii Wschodnioindyjskiej i relacje między jej oficerami a tymi z regularnych sił brytyjskich były kompletną tajemnicą. — Bardzo się cieszę. I wie pan... chociaż jestem pewna, że w tym kraju czeka na człowieka całe mnóstwo niebezpieczeństw i trudności... to jednak opowieści o ludziach brzmią cudownie. Prawdziwa przygoda. Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek mogła... ale sądzę, że jakieś damy tam jeżdżą? To znaczy Angielki?

— Tam nie toczą się stale walki, nie przez cały czas, a kraj rzeczywiście jest godny zwiedzenia. Pałace, świątynie i bazyliki. Tyle że w Indiach bywa cholernie... przepraszam, niezmiernie gorąco, w porze monsunowej zaś można odnieść wrażenie, że deszcz nigdy nie przestanie padać. No i to nie jest Anglia, oczywiście.

— Dlatego właśnie powinno mi się tam spodobać. — Mary pokiwała głową. — Nie ma sensu przemierzać całej tej drogi, skoro na jej końcu jest tak samo jak w domu, prawda?

— Nie, przypuszczam, że nie.

Holland uśmiechnął się, częściowo dlatego, że się z dziewczyną zgadzał, a częściowo ponieważ polubił ją za tę wypowiedź. Jego przyjazne oblicze zachęciło przeto Mary do dalszych pytań o Indie. Czy kapitan jechał kiedyś na słoniu? Czy słonie potrafią biegać bardzo szybko? Chyba nie szybciej niż konie? A co z tygrysami? Czy naprawdę są takie okrutne? Czy osobiście spotkał jakieś tygrysy ludojady?

Holland wyteżył pamięć, aby przypomnieć sobie wydarzenia z udziałem słoni. Niestety, nigdy nie jeździł na żadnym (co Mary uznała za wielki wstyd), widział ich wszakże tak wiele, że nie potrafił się już nimi zachwycać. Okazał się lepiej poinformowany, gdy chodziło o tygrysy.

— Krążyło mnóstwo legend o tygrysach porywających kozy, woły i niemal wszystkie inne gatunki zwierząt. Kiedy stawaliśmy obozem na równinach, śmialiśmy się i mówiliśmy, że to wszystko bred... nieprawda. Jednak w nocy, w dżungli, można

je było usłyszeć... Nigdy nie ryczą ani nie wydają pomruków, ale potrafią dyszeć tak głośno, że słyhać je całkiem wyraźnie. Czasami widać też ich zielone oczy połyskujące w świetle ognia. Wtedy wierzysz w te wszystkie opowieści i trzymasz przy sobie pistolet aż do rana.

— Jak można przespać takie noce — wykrztusiła Mary — kiedy słyszy się je albo widzi, jak grasują wokół ogniska?

— Nie myślę, żebym dużo tam sypiał.

Nadeszła pora wyjazdu. Mary wyprawiła się kilkakrotnie do kuchni i podczas jednej z takich wycieczek usłyszała, że Holland wchodzi i wychodzi, przypuszczalnie przenosząc ich bagaże do stajni. Zadumała się nad nielogiczną naturą mężczyzn, którzy nawet nie biorą pod uwagę ponownego przykrycia mebli płachtami, lecz upierają się, że będą nosić kobiecey kufer. Ta myśl przypomniała dziewczynie natychmiast niebezpieczeństwa rychłej podróży, ponieważ kapitan powtórzył swoje stwierdzenie, że Mary ma jechać konno. Ale być może nie będzie to wcale takie straszne. Przecież on sam będzie musiał iść piechotą, więc koń będzie po prostu kroczył obok niego, a chyba trudno spać z konia, który tylko idzie stępa.

Zanim włożyła płaszcz i kapelusz, zdecydowała się jeszcze raz zajrzeć do biblioteki. Może znajdzie tam coś, co pozwoli ustalić tożsamość prawnika stryja. Kiedy stanęła przed biurkiem stryja, po raz trzeci ogarnęło ją osobliwe uczucie niepokoju. Słyszac zbliżające się korytarzem kroki stóp, upomniała się surowo. Na pewno nadchodził po nią kapitan Holland, który niewątpliwie spyta, co zabiera jej tyle czasu.

Obróciła się, by stawić mu czoło, ale to nie był kapitan.

6

Nieznajomy stał, ledwie widoczny w kręgu światła rzucanego przez świecę Mary; był to jedynie zarys, który rozplýwał się i zmieniał, ilekroć płomień zadrżał. Dziewczyna widziała płaszcz, błysk srebrnych guzików na rękawie i fragment białego gorsu. Osobnik był wysoki, niezawodnie mężczyzna, a nie chłopiec.

— Kim... Kim pan jest? — zapytała. Zdziwienie wzmocniło jej głos, choć nie czuła w sobie tej siły. — Czego pan chcesz?

— Cicho! — polecił i wszedł do pomieszczenia. Skórzana maska i ciemna chustka skrywały jego rysy, lecz śmiały krok, obojętny na efekt ciężkich buciorów stukających na wypolerowanej podłodze, sugerował władzę i stanowczość. Zrobił szorstki gest, po czym bezgłównie strzelił palcami. — Chodź tu, dziewczyno.

Te władcze i aroganckie maniery zadziały na Mary w sposób niespodziewany i jej szok przemienił się we wzburzenie raczej niż w strach. Co ten człowiek sobie myśli, wydając polecenia w domu jej stryja? Nie zamierzała zastosować się do jego żądań i oznajmiła mu to. Lecz wraz z gniewem przyszła rozwaga. Mary cofała się, podczas gdy mężczyzna podchodził; dzieliło ich biurko.

— Trzymaj się z dala ode mnie — ostrzegła. Jej ręce szukały

po omacku czegoś, czym mogłaby się bronić. Przycisk do papieru... Rzuciła nim w stronę intruza. — Nie zbliżaj się.

Mężczyzna odskoczył na bok, aby uniknąć przycisku i w tym momencie Mary zdmuchnęła świecę. Opadając na czworaki, załomotała o podłogę, pragnąc zasugerować natrętowi, że ucieka z biblioteki, w rzeczywistości jednak wpełzła pod biurko. Nieznajomy przeklął cicho, a później dziewczyna usłyszała, że ruszył szybko w lewo, chcąc zablokować jej drogę na korytarz.

I teraz — pomyślała — nie wiesz, gdzie jestem.

Jej serce waliło, choć nadal nie odczuwała strachu ani nawet nie uświadamiała sobie, że planuje jakąś strategię. Jej cechą charakterystyczną zawsze był naturalny instynkt, który kazał raczej działać, niż pozostać bierną. Napastnik wykonał jeszcze kilka chaotycznych kroków, po czym zatrzymał się i prawdopodobnie zaczął zastanawiać.

— Chodź tu, dziewczyno, nie marnujmy czasu — warknął. — Znajdę cię, nie ma obawy, a im dłużej czekam, tym gorsza staje się twoja sytuacja.

Mary, ukryta w swej fortecy pod biurkiem, poczęła intensywnie myśleć. Co powinna zrobić?

Bezwzględnie nie należy pozostawać w tym pomieszczeniu. W każdej chwili mężczyzna może zdać sobie sprawę, że wystarczy zamknąć ofiarę w bibliotece, a następnie wrócić z dodatkową lampą.

Sekundę później dziewczyna zadała sobie pytanie, czy nie wpadł już na ten pomysł, lecz on znowu do niej przemawiał, usilnie nakłaniając do wyjścia. Obiecywał głosem umyślnie złagodzone, że jej nie skrzywdzi, więc Mary nie ma się czego obawiać.

Albo jest głupi, albo sądzi, że ja jestem głupia—powiedziała sobie w myślach i wsłuchiwała się nie w jego uspokajające słowa, ale w odgłosy jego ruchów — usiłowała ocenić, czy przemieszcza się w ciemnościach i czy przypadkiem nie podkrada się ku niej. Nie mogła dać mu okazji do zaskoczenia jej, lecz gdyby teraz się poruszyła, ujawniłaby swoją kryjówkę. Wiedziała, że on również nasłuchuje, i nawet gdyby obciągnęła

sukienkę, rozległby się odgłos materiału przesuwanego po podłodze.

Znowu zupełnie bezwiednie obmyśliła pewien plan. Po jej prawej stronie stało krzesło; gdyby przesunęła się lekko, byłaby w stanie dotknąć go stopą. Używając nogi biurka dla wsparcia, sięgnęła w górę i wymacała krawędź blatu. Jej palce natknęły się na świecznik dokładnie w chwili, gdy usłyszała kroki mężczyzny. Zrobiła gwałtowny wdech i rzuciła świecznikiem przez pokój, a równocześnie kopnęła krzesło, przewracając je w przeciwnym kierunku. Mężczyzna skoczył ku krzesłu, a Mary wygramoliła się spod biurka i wypadła na korytarz.

Przez chwilę biegła swobodnie w ciemnościach. Potem zapłonęło światło, oślepiając ją. Ktoś krzyknął, czyjeś silne ręce chwyciły ją i nie puszczały. Wściekle kopała napastnika, który chrząknął, a potem nazwał jędzą, gdy lampa rozbiła się o podłogę. Ręce, niczym żelazne obręcze, obejmowały jej ramiona, a później ktoś zakrył jej usta dłonią w rękawiczce. Mary usiłowała się uwolnić, posapując z bólu, gdyż uścisk na jej ramionach zwiększał się. I nagle nie mogła ani oddychać, ani się ruszyć.

— Uważaj na jej zęby, kamracie — zalecił jakiś głos za nią. — Chętnie ugryzie cię do krwi, jak sądzę. Ból, szok i wrażenie, że za chwilę zemdleje, sprawiły, iż przestała stawiać opór. Czy mężczyźni teraz poluznią uścisk? Nie. Mary znów zaczęła się z nimi szarpać, choćby tylko po to, by zaczerpnąć powietrza. Dusili ją! Wtedy światło ponownie się pojawiło, podniesione z rozmysłem przez mężczyznę z biblioteki. Ten w rękawiczkach, który zaciskał jej usta dłonią, również nosił maskę, trzeci napastnik zaś pozostawał za plecami dziewczyny, więc go nie widziała.

— Co się stało? — zapytał. — Usłyszeliśmy trzask i...

— Mniejsza o to — warknął drugi. W świetle świecy jego oczy błyszczały; mężczyzna gapił się na Mary z za maski. — Nie przyszła do mnie, tak jak jej kazałem, i nie była grzeczna. —

Kiwnął głową ku swoim towarzyszom. — Sądzicie, że potraficie ją uciszyć?

Mężczyzna w rękawiczkach skwapliwie przytaknął.

— Nic prostszego, szefie. — Wolną ręką wyciągnął coś z za pasa i stanowczym ruchem przycisnął do szyi Mary zimne, twarde ostrze. Przelykając ślinę, poczuła ostrą krawędź noża. — Nie hałasuj albo cię zabijemy — syknął. — Rozumiesz?

Herszt bandy odczekał, aż skinęła głową, po czym mruknął:

— Dobra. Przyprowadź ją. — Mężczyzna zdjął dłoń z jej ust. Mary odetchnęła głęboko, z wdzięcznością. Wtedy osobnik przytrzymujący jej ramiona zmienił chwyt, ściskając oba nadgarstki jedną ręką i ciągnąc jej plecy mocno ku sobie. Drugą dłonią zakrył jej usta, ale już nie tak szczelnie; mogła pod jego palcami oddychać.

— Nie ugryź mnie — ostrzegł ją, a potem pociągnął do przodu, prawie unosząc nad podłogę.

Przeszli szybko korytarzem, teraz ledwie oświetlonym przez lampę przed nimi. Mary starała się nie ulegać panice, lecz w jej głowie szalały przerażające myśli. Czy to byli rabusie? Czy zamierzali ją porwać? Dlaczego? Istniała możliwość, że doszło do pomyłki?

— Proszę, ja nie...

— Ciii, żadnego gadania — warknął przywódca, podczas gdy ten, który ją przytrzymał, dodał:

— Cicho! — Przysunął zamaskowaną twarz do jej ucha. — Ukrywałaś się przed nami, co? Sądziłaś, że cię nie złapiemy? No cóż, znamy miejsce, w którym będziesz siedziała cicho, miejsce doskonałe dla osób, które nie boją się ciemności.

Po chwili znaleźli się w kuchni, a potem w spiżarni. Jeden z mężczyzn podniósł pokrywę w podłodze. Kiedy ciężki kamień otarł się o sąsiednie, Mary skojarzyła sobie studnię w kuchniach pani Bunbury; nagle zrozumiała, co mężczyźni planują.

— Nie, nie! Proszę! — krzyknęła i zaczęła znów walczyć w desperackim przerażeniu. Jej wysiłki były bardziej niż

bezskuteczne, toteż trafiła do ciemnego otworu, łapiąc powietrze, kiedy kosteczki jej przegubów zazgrzytały o siebie.

Wyczuła wokół siebie wilgotny, zatechły zapach i zamknęła oczy, w każdej chwili spodziewając się zimnej wody. Jednak uścisk porywacza nie słabł i mężczyzna zmusił dziewczynę do zejścia po schodach. Otworzyła ponownie oczy, ale nie zobaczyła nic poza tym, że schodzili do jakiegoś pomieszczenia albo miejsca pod podłogą.

Usiadła nagle na schodach, napastnik był tuż obok niej. Owionął ją jego nieprzyjemny oddech. Znowu szepnął groźnie:

— Nie ruszaj się no! Jeśli się ruszysz, usłyszę. — Powoli przesunął dłoń z jej ust na gardło i zacisnął palce. — Zejdę tutaj i zduszę twoją szyję... o tak. — zilustrował swoje słowa mocnym uściskiem.

Mary straciła oddech i za-krztusiła się; krew uderzyła w jej skronie i wtedy mężczyzna nieoczekiwanie ją puścił. Ledwie słyszała cichnące odgłosy jego kroków i dźwięk ryglowania pokrywy. A potem została sama.

Przez kilka minut siedziała na schodach, oddychając nierównymi sapnięciami, zbyt ogłuszona, by się poruszyć czy choćby rozważyć, co właściwie się zdarzyło. Potrafiła jedynie stosować się do otrzymanych rozkazów — nie ruszać się i nie mówić. Stopniowo umiejętność niezależnego myślenia powróciła, lecz skutek tego był jeszcze gorszy. Sama w tym ciemnym, cichym pomieszczeniu? Jej lęki rosły niczym jakieś chore ciasto. Czy została tu porzucona? Pozostawiona, aby umarła z głodu? Tamci byli ludźmi gwałtownymi, bezlitosnymi, teraz zaś pogrzebali ją w tej piwnicy! Pogrzebana...! Cóż za nieszczęsne słowo, a jednak jeśli mężczyźni nie wrócą i nie pozwolą jej wyjść, kto kiedykolwiek ją znajdzie? Przełknęła ślinę, próbując złagodzić bolesną suchość gardła. Mrok wokół niej był ciężki i nieprzenikniony. Wyczuwała za sobą stopnie prowadzące w górę, do wyjścia w suficie, a także zimne, szorstkie ściany po lewej stronie, nie ośmieliła się jednak ruszyć naprzód. Skoro miała przed sobą perspektywę

samotnej śmierci, zaczęła sobie wyobrażać jeszcze potworniej sze niebezpieczeństwa. Co, jeśli nie była tutaj sama?! Co, jeśli jakieś inne stworzenie, które bez wątpienia szalało z głodu, również czaiło się tu, na dole? Inna osoba albo... To „albo” wysłało ciarki strachu w dół jej kręgosłupa, po czym pojawiła się realna, choć może niedorzeczna, obawa, że coś nagle ją złapie... Że właśnie teraz coś ku niej sięga... Niemal czuła dotyk przy stopie, pomarszczone palce łapały jej kostkę...

Na szczęście nic jej nie chwyciło. Powoli, bardzo powoli przerażenie zaczęło ustępować. Zimno i wilgoć sprawiały, że drżała, a kiedy się poruszyła, ostrość odzyskały jej pozostałe zmysły. Nadal nie widziała nawet własnej ręki przed twarzą, ale zganiła się za to, że biernie kuli się w miejscu, na schodach. Co jest dobrego w przerażaniu samej siebie?! Musiała coś zrobić... znaleźć jakąś drogę wyjścia. Wziąwszy głęboki wdech, ostrożnie przesunęła się do przodu, schodząc po jednym stopniu naraz, aż jej stopy dotknęły podłogi. Wtedy podniosła się powoli, dla równowagi przytrzymując się ręką ściany.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk — skrobanie gdzieś przed nią. Słowo „szczury” natychmiast pojawiło się w jej umyśle i pospiesznie wycofała się o kilka schodków w górę. Odgłos nie powtórzył się, lecz Mary nie potrafiła przekonać siebie, że przebywa tutaj całkiem sama. Wyteżyła słuch. Czy coś...

oddychało?! Odniosła wrażenie, że znowu coś się poruszyło i ogarnęła ją jeszcze większa panika. Najwyraźniej jest całkiem blisko... O Boże, co to może...? I nagle, przypomniawszy sobie o jego istnieniu, szepnęła:

— Kapitan Holland? — Dzięki potężnej fali ulgi zdołała zejść ostatnie kilka schodów i przekroczyć pomieszczenie. Posuwając się po omacku, uniknęła w ostatniej chwili nadeptnięcia na leżącego.

Uklękła u jego boku. — Kapitanie Holland — powtórzyła jego nazwisko, równocześnie potrząsając ramieniem oficera. — Czy to pan? Och, proszę, niech pan się obudzi.

Mężczyzna wydał z siebie bolesne westchnienie i ponownie się poruszył, tym razem unosząc się do pozycji siedzącej. — Jasna cholera... co...? Panna Finch? — spytał półprzytomnie.

— Och — wykrztusiła Mary, ściskając go za rękę. — Dzięki Bogu! Czy jest pan poważnie ranny? Kapitan znów westchnął.

— Nie, nie sędzę — odparł. — Ale... gdzie jesteśmy?

— Ciii, tamci mogą nas usłyszeć. Jesteśmy pod spizarnią.

— W domu pani stryja?

— Tak — szepnęła.

— Co takiego?

— Powiedziała, że tak. I, proszę ciszej, oni nadal są na górze.

— Ech, panienko, skoro ja ledwie panią słyszę, pani głos na pewno nie dotrze na górę. Proszę mi powiedzieć, co się zdarzyło. Czy jest pani cała i zdrowa?

Zapewniła go, że nic jej się nie stało, a później szybko wyjaśniła ostatnie minuty, bez wahania pomijając niektóre ze swoich co bardziej irracjonalnych lęków. Sam fakt mówienia pomógł jej uwierzyć w siebie i możliwość istnienia duchów prawie całkowicie zniknęła z jej umysłu.

— Czy to rabusie? Widział ich pan?

— Nie, właściwie nie. Byłem w stajni... coś spłoszyło konia i obróciłem się. Ktoś stał za mną, ale chyba mnie uderzył i ocknąłem się dopiero tutaj.

— Skąd rabusie mogli wiedzieć o tej piwnicy? Sądzi pan, że wchodzą tu sobie i wychodzą, kiedy im się podoba? — Nie wiem... — odrzekł powoli Holland. — Dom stał pusty przez dobrych kilka tygodni. Nietrudno było zdobyć klucz, skoro pani również go znalazła.

— Och, tak naprawdę wcale go tam nie znalazłam — odburknęła i natychmiast pożałowała tego wyznania. — Co takiego?! Skąd zatem...?

— Pan Tracey miał go na łańcuszku zegarka — wyjaśniła,

czując niewypowiedzianą, lecz intensywną falę rozdrażnienia emanującego od towarzysza. Puściła jego ramię. — Pomyślałam, że ten klucz może być ważny, i sam pan widzi, że był. Ja... Pan tak bardzo się rozgniewał na mnie za zegarek, że wolałam nie wspominać o kluczu.

— Nie rozgniewałem się — odparł z naciskiem. — Ale... czy jest coś jeszcze, czego mi pani nie powiedziała?

— Nie.

Atmosfera zrobiła się napięta i zapadła niezręczna cisza. Potem Holland westchnął i zaklął pod nosem.

— No, mniejsza o to. Nie ma sensu sprzeczać się, nie w obecnej sytuacji... Przepraszam, że na panią warknąłem.

Po jego słowach Mary poczuła jeszcze większe wyrzuty sumienia. Własny czyn wydawał jej się teraz śmieszny, wręcz dziecinny, chociaż wcześniej uważała się za bardzo sprytną. Spytała kapitana pokornie, co jego zdaniem rabusie zamierzają z nimi zrobić.

— Nie wygląda na to, by byli absolutnie zdecydowani. Mogli nas przecież całkiem łatwo zabić i wcale nie próbowali się dowiedzieć, dlaczego tu jesteśmy. Może nie chcą, żebyśmy widzieli, co robią, postanowili nas zatem umieścić w bezpiecznym miejscu, póki nie skończą.

— I potem nas wypuszczą? — spytała Mary z nadzieją.

— Być może. Usłyszała, że Holland wstał.

— Co pan robi?

Nie odpowiedział od razu, najpierw wziął kilka głębokich wdechów.

— Jeszcze nic, ale mam zamiar odnaleźć wyjście.

— Och, lecz z pewnością jest tu tylko ta pokrywa w suficie? — zawołała, teraz przerażona, że napastnicy mogą usłyszeć ruchy kapitana. — I właśnie dlatego umieścili nas w tym pomieszczeniu.

— Tak uważają oni — poprawił ją. — Ale może coś przeoczyli. Jak sama pani wspomniała, nigdy nic nie wiadomo.

— Tak—zgodziła się nieśmiało.—Czy mogę... jakoś pomóc? Był zadowolony z powodu jej skruchy, wąpił jednak, czy

dziewczyna długo pozostanie w tym nastroju.

— Co się właściwie zdarzyło, gdy tu panią sprowadzali? Czy coś pani zauważyła?

— Nie, nie widziałam nic oprócz kilku stopni — wyjaśniła ponuro.

Nawet ta informacja wydawała się jednak pomocna i kapitan wypytał Mary o detale. Gdzie znajdowały się schody? Gdzie mniej więcej znajdują się zewnętrzne ściany domu? Czy Mary pamięta, ażeby widziała drzwi lub okna w kuchni albo w spiżarni, oprócz tych na łączącym je korytarzu?

Odpowiadała tak dokładnie, jak potrafiła.

— Myśli pan, że mogą zejść tutaj, aby... nas sprawdzić?

— Nie. — Przez chwilę znów milczał. — Nie sędzę, żeby zapasy wnoszono do kuchni, a później, z kuchni lub ze spiżarni, przenoszono tutaj. A stare wejście do domu mieści się w zupełnie innym końcu korytarza. Więc jeśli zakonnice... jak je pani nazwała? Siostry...

— Cysterki.

— Skoro zakonnice nie przenosiły wszystkiego z jednego końca domu do drugiego, powinno tu istnieć inne wejście! Jesteś, pani, pewna, że nie widziałaś na górze nic, co by przypominało stare drzwi? Mary zastanawiała się intensywnie, przywołując w pamięci obrazy obu pomieszczeń. Widziała piekarnik, wielkie palenisko, kredensy i otwarte półki, ale same ściany nie wydały jej się w żaden sposób niezwykłe.

— Nie — odparła. — To znaczy... nie pamiętam żadnych drzwi. Jestem tego całkiem pewna.

— Prawdopodobnie zatem istnieje do tej piwnicy jakaś droga z zewnątrz. Jakiś tunel albo pochylnia, wystarczająco duże dla worków i beczek.

— I dla nas?

— Zgadza się.

— Więc musimy spróbować je znaleźć.

— Właśnie. Wyjście powinno znajdować się na jednej z dwóch zewnętrznych ścian... jeśli oczywiście istnieje.

Z braku światła musieli prowadzić poszukiwania po omacku. Ostrożnie zlokalizowali ścianę, którą uważali za jedną z zewnętrznych, a następnie badali ją dłońmi od podłogi aż po sufit, mając nadzieję na znalezienie śladu drzwi lub kraty. Początkowo Mary wyobrażała sobie, że jej ręce lada chwila zaplączą się w pajęczyny albo dotkną czegoś oślizgłego. Nic takiego na szczęście się nie zdarzyło, choć kontakt z chropowatymi, zimnymi cegłami nieprzyjemnie paraliżował. Dużo gorszy jednak był nieznośny strach, że Holland jest niezdrów, a rany, których doznał z rąk porywaczy, są poważniejsze, niż zasugerował. Co Mary zrobi, jeśli kapitan straci przytomność i ona znów zostanie sama w tym ciemnym więzieniu? Jak zaopiekuje się chorym i czy zdoła samodzielnie znaleźć drogę ucieczki? A co jeśli...

Ni z tego, ni z owego uświadomiła sobie, że dotarła do końca ściany i nie udało im się wymacać żadnych drzwi.

Badanie drugiej zewnętrznej ściany okazało się znacznie trudniejsze, ponieważ ułożono przy niej w stos drewniane skrzynie. Trzeba je było cicho przesunąć, i to w taki sposób, żeby nie stworzyły nowej przeszkody. Powoli i bardzo ostrożnie Holland i Mary wytropili i odsunęli wszystkie, po czym ponownie wrócili do ściany, świadomi, że każdy głośniejszy dźwięk bez wątpienia zaalarmuje porywaczy. Po skrzyniach napotkali kolejną zawalidrogę — wysoki, płytki kredens. Upewniwszy się, że każdy słoik i buteleczka zostały wyjęte, Mary odsunęła się, tak żeby Holland mógł przesunąć mebel po podłożu. Na szczęście wykonali te manewry względnie cicho. Kiedy przestrzeń była dostateczna, aby dziewczyna się w niej zmieściła, Mary dokonała pierwszych oględzin świeżo odsłoniętej ściany.

— Och, są tutaj! — szepnęła triumfalnie. — Rzeczywiście znalazłam tu drzwi... albo coś. Nie są zbyt duże.

Poczuła, że Holland pochyła się nad nią, i usłyszała, jak guziki jego płaszcza ocierają się o ścianę. Wzięła rękę kapitana i skierowała ją w dół, ku szorstkiej, lecz wyraźnie drewnianej powierzchni. Po dalszym podnoszeniu i obracaniu kredensu oboje klękali, by obejrzeć dokładniej swoje odkrycie. — Mogę wyczuć małą... chyba dziurkę od klucza — powiedziała Mary — ale nic więcej. Jak się je otwiera? — Usłyszała zgrzytliwy odgłos skrobania. — Co pan robi? — Cóż... próbuję... je wyważyć. — Och, udało się? Dobra robota. — Drewno jest grube — wyjaśnił Holland, obmacując zewnętrzny brzeg drzwi, w miejscu, gdzie oderwała się część zamka — ale przeważnie zbutwiało. — Odszukał rękę dziewczyny i wepchnął w nią coś twardego i ciężkiego. — Proszę potrzymać, dobrze? Mary cofnęła się, gdy poczuła ostrą krawędź. — Co to? — Nóż, ma się rozumieć. Nie chcę go zgubić w ciemnościach... Tylko nie zrań się, pani! A teraz... tam. — Kiedy kapitan całkowicie otworzył drzwi, stare zawiasy zaskrzypiały. Natychmiast zdali sobie sprawę z wilgotnego, stęchłego zapachu. — Wszystko będzie dobrze, gdy otworzę drzwi na drugim końcu korytarza — zapewnił Holland. — Zrobię to zaraz... wracam za chwilę. — Tak, powodzenia — rzekła Mary. Oddała mu nóż, a kapitan roześmiał się, pytając, czy jej zdaniem będzie musiał stawić czoło komuś nadchodzącemu z drugiego końca. Żałuję, że to powiedziałeś — pomyślała, gdy Holland wczołgał się w tunel, a ona znowu została sama. Mogli sobie oczywiście żartować, ale co Mary zrobi, jeśli kapitanowi coś się stanie tam, w środku? Albo jeśli rabusie wrócą podczas jego nieobecności? Albo jeśli Holland ugrzęźnie w korytarzu? A co, jeśli na końcu nie ma żadnych drzwi?

W trakcie tych rozmyślań usłyszała serię naprawdę głośnych głuchych odgłosów. Co się działo? Jak daleko mógł się ciągnąć ten tunel? Czy kapitan w nim utknął? Później rozległ się dźwięk szurania, a po chwili Holland dołączył do dziewczyny.

— Są drugie drzwi?! — szepnęła. — Możemy wyjść? Były drugie drzwi i mogli wyjść. Mary słuchała z niepokojem

słów kapitana wyjaśniającego, co trzeba zrobić, aby odzyskać wolność, odpowiedziała mu wszakże śmiało. Potem znów zniknął, a po krótkiej chwili dotarł do niej jego głos, który brzmiał dziwnie pusto.

— W porządku, artyleria zrobiła wyłom i piechota może wyruszać.

Mary wzięła głęboki wdech i wsunęła się ostrożnie do niskiego, pochylego tunelu. Leżąc na plecach, zaczęła się posuwać cal po calu, odpychając się stopami, tak jak poradził jej Holland. Tunel był bardzo wąski, toteż kiedy znalazła się w nim całym ciałem, uczucie uwięzienia niemal ją przytłoczyło.

Zatrzymała się na chwilę, by odzyskać pewność siebie, jednak skutek był dokładnie przeciwny. Jej serce waliło i prawie czuła, że ściany po bokach zbliżają się do siebie, a lęk ten utrudniał jej oddychanie. Dumiała, co będzie, jeśli jeden z rabusiów nagle zejdzie do piwnicy, zauważy, że uciekają, i wciągnie ją z powrotem? Na tę myśl spróbowała podciągnąć nogi wyżej i uderzyła nimi mocno o strop tunelu. Fakt ten przywrócił ją do rzeczywistości i zakazała sobie takiego tchórzostwa — bezsensownego tchórzostwa.

— Dalej — ponaglił ją Holland głosem uspokajającym, gdyż znacznie bliższym. — Już niemal koniec. Proszę podać mi rękę. — Dziewczyna wyciągnęła dłoń w górę i niemal straciła oddech, kiedy ręka Hollanda zacisnęła się najpierw na jej obolałym nadgarstku. Potem odprężyła się, ponieważ kapitan praktycznie ciągnął ją przez ostatni odcinek drogi. — Dobra robota, panno Finch — powiedział w końcu, pomagając jej wstać. — Dzielna z pani osóbka.

— Och nie... — przełknęła ślinę. — Bardzo się bałam.

— I dlatego byłaś, pani, odważna, bo zdołałaś dotrzeć aż tu.

— Być może. Ale zrobiłam tylko to, co pan mi kazał. To pan nas stąd wyciągnął.

Na moment przystanęli, kryjąc się za domem. Noc już zapadła i tylko słaba poświata księżycyca przebijała się przez chmury. Dla oczu przyzwyczajonych do ciemnej piwnicy jednak nawet tego rodzaju półmrok wydawał się niemal jasny i prawie pocieszający. Mary zauważyła, że Holland uśmiecha się do niej, i bezwiednie podniosła ręce, aby wygładzić suknię.

— Och — wymamrotała nagle onieśmielona — dobrze jest znowu... oddychać świeżym powietrzem.

— Aż zbyt rześkie, cholera — odparował, zdejmując szynel i wręczając go dziewczynie. Gdy Mary zmagala się z ciężkim, obszernym płaszczem, kapitan wyjaśnił ich sytuację. Aby dotrzeć do siedziby sędziego, musieliby podążyć jakieś sześć albo siedem mil na północ, jednak w kierunku zachodnim leżał majątek Lindham Hall, w którym mieszkała niejaka pani Tipton. Tam było bliżej, prawdopodobnie tylko około dwóch mil, jeśli pójdą na przelaj.

Holland uważał, że Lindham Hall to lepszy wybór, i Mary zgodziła się z nim. Każda jego decyzja brzmiała dla niej przyjemniej niż pozostawanie tutaj, w zasięgu rabusiów. Przecież lada chwila któryś z nich może wyjść z domu i...

— Dobrze. — Kapitan kiwnął głową. — Wejdziemy w ten zagajnik, aby ominąć dziedziniec, i przetniemy podjazd pod osłoną drzew. Tam może się czaić kilku z nich, więc bądź, pani, gotowa stanąć, jeśli ci każę. No i staraj się zachowywać jak najciszej.

Wyruszyli w drogę, posuwając się ostrożnie, póki wciąż znajdowali się w pobliżu domu, lecz w miarę jak się od niego oddalali, czuli się coraz swobodniej. Mary widziała już przed sobą podjazd, ale Holland zatrzymał ją, zanim opuścili względnie bezpieczne zarośla.

— O co chodzi? — wyszeptwała.

— Kiedy uzna pani, że bezpiecznie może przekroczyć drogę, proszę odliczyć dwadzieścia kroków do tych drzew po drugiej stronie i tam na mnie poczekać.

— Poczekać?! A gdzie pan idzie?!

— Wracam do stajni. Znacznie szybciej dotrzemy konno niż na piechotę.

— Och nie! — Mary krzyknęła, a później znowu obniżyła głos i podjęła pospiesznie: — Ale tamci pana zobaczą... Wszędzie tutaj mogą się czaić ludzie, sam tak pan powiedział. A co będzie, jeśli zejda do piwnicy i odkryją, że uciekliśmy? Na pewno poradzimy sobie bez konia. To jest zbyt niebezpieczne!

Nie zgodził się z nią, równocześnie nie pozwolił też pójść ze sobą. Poinstruował ją jedynie, że ma klęknąć w paprociach i nie ruszać się, cokolwiek się zdarzy.

Usiłowała się z nim spierać. Łatwo potrafiła sobie wyobrazić wszelkie najstraszliwsze zagrożenia, poza tym jego argumentacja nie miała sensu. Jak mógł twierdzić, że powrót do samego gniazda rabusiów nie jest niebezpieczny? A skoro taki wypad był bezpieczny, dlaczego kapitan każe jej pozostać w zaroślach? Tyle że...

— Nie! — Holland ocenił drogę, zerkając szybko w lewo i w prawo. — Zrób, jak mówię... wróć, zanim się zorientujesz. Idź! No już!

Dotknął ręką jej ramienia i ni to klepnął Mary, ni to ją pchnął. Pomknęła przez drogę w takim rozgorączkowaniu, że musiała mocno nad sobą zapanować, aby nie przebiec więcej niż wyznaczone dwadzieścia kroków. Zatrzymała się jednak i przyklękła, a gdy jej serce uspokoiło się i nie próbowało już wyskoczyć z piersi, powtórzyła sobie, nie bardzo skutecznie zresztą, że powinna zachować spokój. Holland przecież rozsądnie rozwiązał sprawę ucieczki przez tunel, więc i teraz na pewno wie, co robi... Niemniej Mary uważała za szaleństwo powrót, który groził schwytaniem kapitana, skoro dopiero co uciekli!

Ciężka chmura przesłoniła księżyc i dziewczyna z trudem opanowała dreszcz, spowodowany jedynie częściowo przez obawy. Było jej po prostu zimno; ledwo czuła zmarznięte dłonie i stopy, więc ostrożnie zmieniła pozycję wśród opadłych liści i wilgotnych kęp paproci. Nagły lekki stukot gdzieś za nią— nie, przed nią— sprawił, że się wzdrygnęła, na szczęście uświadomiła sobie, że to tylko deszcz i że nikt się ku niej nie skrada.

Wstała, aby rozprostować zeszywniałe plecy, i wcisnęła dłonie w kieszenie płaszcza kapitana Hollanda. Jej palce dotknęły noża i Mary natychmiast przypomniała sobie czas, gdy była w szponach rabusiów, którzy brutalnie wpychali ją do piwnicy. Niemal znów usłyszała ich głosy, grożące jej, i spazmatycznie przełknęła ślinę. Gdyby ponownie ją schwytali, mogliby... Odsunęła rękę od noża w daremnej próbie zapanowania nad własną wyobraźnią.

Szczęśliwym trafem nic złego najwyraźniej się nie działo. Wiedziała, że człowiekowi, który na coś czeka, minuty upływają powoli, a kapitan pewnie potrzebował dużo czasu. Właśnie tłumaczyła sobie, że Holland musi jednak zachować dodatkową czujność, wchodząc w gniazdo wroga, kiedy nagle wydało jej się, że słyszy kroki. Jej serce aż podskoczyło i poczuła ulgę, gdy uprzytomniła sobie, że odgłos — bez wątplenia były to czyjeś kroki — dochodzi z innego kierunku. Może kapitan okrążył dom albo nawet skręcił w ciemnościach w niewłaściwą stronę? Mary powtarzała sobie, że istnieje taka możliwość, a jednak nie podniosła się.

Kroki stawały się głośniejsze i teraz dziewczyna zdołała dostrzec nikłą postać obcego mężczyzny zbliżającego się do niej. Co robił na tym samotnym odcinku drogi w ciemną, zimną noc? Nie wierzyła, żeby był — obojętnie jak bardzo by sobie tego życzyła — niewinnym podróżnym. Przemieszczał się na to zbyt ostrożnie, prawie ukradkiem i niósł coś... co wyglądało prawie jak niezapalona latarnia. A przecież uczciwy człowiek wolałby chyba nie chodzić po ciemku?

Mary wstrzymała oddech, gdy mężczyzna się zbliżył. Czy wyczuje jej obecność? Spuściła wzrok, aby nie zauważył, że ona go obserwuje. Na pewno był jednym z rabusiów, ale co tu robił?! Czy przestępcy odkryli ucieczkę swoich więźniów? Czy mężczyzna jej szukał? A może rozglądał się za kimś innym, kto przypadkiem trafił tej nocy na dom stryja? Kroki najpierw zwolniły, lecz potem stały się głośniejsze, kiedy nieznajomy przeszedł na jej stronę drogi. O Boże... Najprawdopodobniej nie zobaczy jej, jeśli będzie po prostu tkwiła bez ruchu i nie zrobi niczego głupiego... Kroki zatrzymały się, ale Mary nie ośmieliła się wyrzeć, co mężczyzna robi, aż w końcu ostrożnie ruszył dalej. Jeśli dotąd czas biegł powoli, teraz zdawał się pędzić z wielką szybkością. Kroki ucichły i nagle Mary dostrzegła bladą, wręcz upiorną postać wyłaniającą się z ciemności, niemal przed nią.

— Hej tam? — syknął szeptem kapitan. — Jest pani? Na dźwięk jego głosu dziewczynę załapała ogromna fala ulgi.

— Tutaj jestem — odpowiedziała cicho, po czym wyprostowała się i chwiejnie ruszyła przed siebie. Zbyt późno zauważyła inny, większy ciemny kształt i o mało nie wpadła na stojącego konia.

— Ostrożnie! — ostrzegł ją Holland. Jego ręka przytrzymała Mary.

— Dzięki Bogu, że to pan... Widział go pan?

— Kogo?

— Mężczyznę na drodze. Och, na pewno go pan widział... był tu przed chwilą!

— Nikogo nie widziałem.

Mary zerknęła z niepokojem w lewo i w prawo, podczas gdy kapitan kończył poprawiać siodło. Deszcz bębnił wszędzie wokół, a koń straszliwie hałasował, tupiąc i podrzucając głowę.

— Albo się minęliście — upierała się dziewczyna — albo... Och, na pewno nie mógł pan przejść niepostrzeżony, nie z koniem.

Holland nie zareagował na jej słowa.

— No dobrze — powiedział — będziesz, pani, musiała usiąść najpierw bokiem, potem jednak możesz się przesunąć.

— Aleja nigdy nie jeź... Och! — Przerwała swoje wyznanie, gdyż została nagle uniesiona z ziemi i posadzona na wysokim, niestałym siedzisku. Aby utrzymać równowagę, chwyciła Hollanda za ramiona. — Jest łatwiej, jeśli nie ma się czasu o tym myśleć — oświadczył kapitan. — No, jeśli... Umilkł, gdyż Mary krzyknęła zaskoczona, nagle bowiem gdzieś za nimi błysnęło światło. Ktoś podniósł wysoko latarnię i zażądał:

— Ej! Wy tam! Zatrzymajcie się!

— Sukinsyn! — mruknął Holland. Rzucił szybkie spojrzenie przez ramię, po czym wskoczył na konia za Mary.

— Zatrzymajcie się! — powtórzył głos.

Koń zachwiał się niezdarnie i Mary wstrzymała oddech ze strachu, zaczęła się bowiem osuwać. Holland ściągnął mocno wodze jedną ręką, drugą zaś objął dziewczynę. Przyłgnęła do niego, zamknęła oczy i wystrzelili do przodu.

Ogłuszający stukot kopyt ich konia i jej własne przerażenie zagłuszyły wszelkie inne dźwięki, bez wątpienia jednak rabusie ich zauważyli. Czy ich ścigali? Wierzchowiec pędził, lecz ledwie Mary zaczęła przyzwyczajając się do dziwnego podskakiwania, zwolnił i skoczył w prawo.

— Dalej, stary — ponaglił go Holland.

Mary sapnęła, kiedy niespodziewana zmiana kierunku mocno cisnęła jej ciałem w przytrzymujące ją ramię kapitana. Przez chwilę galopowali po prostej, po czym znów skręcili i tym razem dziewczyna przechyliła się do przodu. Deszcz padał teraz intensywniej; Mary czuła, że się zsuwa, i w żaden sposób nie mogła zapanować nad swoim ciałem, zresztą była zbyt wystraszona, by spróbować. Podskakiwała i ześlizgiwała się wraz z każdym końskim krokiem.

o Boże — modliła się — proszę, niech to się skończy. I nagle rzeczywiście jazda się skończyła. Albo przynajmniej zwolnili do kłusa, a potem do truchtu. Mary wypuściła powietrze w długim, drżącym westchnieniu, a Holland usadowił ją przed sobą w wygodniejszej pozycji. Kiedy otworzyła oczy, wokół panowała cisza; jedynym odgłosem było bębnienie padającego deszczu i dyszenie ich konia, który nie był widocznie za bardzo przyzwyczajony do takiego galopu. Opuścili drogę i podążali teraz jakąś wąską ścieżką; liście na ziemi, a także karłowate drzewka i krzewy po obu stronach wydawały się tłumić wszystkie inne dźwięki.

— Jest pani cała? — spytał kapitan.

— Tak, ja... Czy... uciekliśmy im?

— Sądzę, że tak. Tamten człowiek był pieszo, wołałem jednak nie ryzykować. Rabusie mają wprawdzie konie w stajni i mogliby nas gonić, ale...

— Och, to znaczy, że nie wolno nam się zatrzymywać — krzyknęła Mary, chociaż obawiała się kolejnej dzikiej jazdy.

— Nie, nie, odczekajmy trochę. Nie ma sensu uciekać, jeśli nikt nas nie ściga... szczególnie gdy nie ma się pewności, dokąd jechać. — Zgubiliśmy się?

— Nie, ale być może nieco zawróciliśmy, kiedy zjechaliśmy z głównej drogi. Niech sobie ten stary koń odpocznie, a potem może księżyc da nam trochę więcej światła.

Zatrzymali się w małym zagajniku. Ich wierzchowiec zakasłał i podrzucił łeb, znowu skarżąc się przeciwko nieoczekiwanemu traktowaniu.

— Ojej — wykrztusiła Mary, kapitan bowiem puścił jej ramię i poczuła, że znów się zsuwa.

Holland przesunął ją z powrotem w bezpieczniejsze miejsce.

— Nie przypuszczam, żebyś mogła, pani, usiąść okrakiem w tej sukni — zauważył — byłoby wszakże lepiej... wygodniej... gdybyś trochę się obróciła i bardziej skrzyła do przodu.

— Tak, ale jak wówczas... Nigdy przedtem nie jeździłam na koniu — wyznała.

Holland nie nazwałby tej czynności, jazdą", lecz spytał jedynie:

— Czyżby? Cóż, idzie ci bardzo dobrze, musisz tylko się nieco obrócić. Tak, świetnie — kontynuował, gdy wykonała serię powolnych, krótkich ruchów, wspierając się na jego ramionach — teraz przełóż nogę... przepraszam, tam. I odchył się do tyłu. — Położył ręce na jej ramionach i przyciągnął ją mocno do siebie, aby zilustrować swoją sugestię.

— Och... przepraszam — jęknęła Mary z rozgonioną twarzą. Czuła teraz ramiona mężczyzny bardzo blisko po obu stronach, ponieważ kapitan dzierżył wodze w obu rękach. Zaledwie chwilę wcześniej trzymała się go znacznie bardziej kurczowo, tyle że wtedy była zbyt przestraszona, aby w ogóle zastanawiać się, co robi. Teraz strach ustąpił miejsca wielkiemu zakłopotaniu. Mary prawie siedziała przecież na kolanach obcemu mężczyźnie... który praktycznie ją obejmował... I jego ręka na jej kolanie... Och, to było straszne... no może niezupełnie straszne, ale... chwala Bogu za ciemności!

— Lepiej?

— Tak — bąknęła cicho. — Co się jednak stanie, jeśli będziemy musieli znowu pędzić? Co zrobię...?

— Nie martw się, nie puszcę cię.

Siedziała przy nim sztywno, jakby kij połknęła, a po chwili Holland spytał, czy nie jest jej zimno.

— Och, nie — skłamała, po czym, czując, że powinna postarać się normalnie rozmawiać, zapytała, co się zdarzyło, gdy kapitan wrócił do stajni.

Holland wyjaśnił, że w rzeczywistości jego zadanie okazało się całkiem łatwe i że, jak wcześniej wspomniał, Mary nie musi się o nic martwić. Chociaż po drodze do stajni podsłuchał rozmowę, która go zaskoczyła. Dwaj mężczyźni, palący na schodach prowadzących do tylnego wejścia, dyskutowali o warunkach przyływu i stanie fali. Chyba czekali na łódź i zastanawiali się, kiedy przybije do brzegu.

— Łódź? Więc może ci mężczyźni wcale nie są rabusiami, tylko przemytnikami?

— Tak, to samo sobie pomyślałem — odparł powoli Holland. — Jest zatem logiczne, iż nie chcieli mieć nas za świadków tego, co robimy, tyle że... wyglądało na to, że rozmawiali o odbiorze, a nie o wyładunku.

— Czy to byłoby bardzo niezwykle?

— Tak mi się zdawało, ale może się mylę. Przynajmniej nie przejmowali się nami.

— Ale teraz, kiedy wiedzą, że uciekliśmy... znowu za nami pogonią?

Wzruszył ramionami.

— Może, choć wątpię, czy jesteśmy tego warci. Milczeli przez chwilę, a potem, jak gdyby na osłode, niebo

przejaśniło się i oświetlił ich blady księżyc.

— O tak — ucieszył się Holland, spoglądając w niebo — teraz lepiej. Dobrze, sprawdźmy, czy potrafimy znaleźć Lindham Hall.

7

Jechali przez jakiś czas w ciszy i Mary, niemal wbrew sobie, zaczęła się odprężyć. Właściwie nawet niejaką przyjemność sprawiało jej, że mogła się wspierać na kapitanie, w dodatku w miarę upływu czasu pościg wydawał się coraz mniej prawdopodobny. Już się nie bała, że spadnie, a ich dalsze losy i tak były trudne do przewidzenia, więc w zasadzie nie należało się niczym przejmować. A przecież nie mieli pieniędzy, dobytku ani jakiegokolwiek pojęcia, dokąd właściwie jada, i z tego powodu zamierzali poprosić o schronienie kobietę, o której nic wiedzieli, znali tylko jej nazwisko — Tipton. Zaledwie wczoraj sam pomysł takiego postępowania zadziwiłby Mary, teraz jednak wydawał się prawie rozsądny. I ten Holland był zupełnie obcym dla niej mężczyzną, gdyby ich znajomość mierzyć wedle normalnych standardów, niemniej teraz pozostawała z nim w bardzo poufałych... okolicznościach. Czowała się niemal, jak gdyby... Nie była zupełnie pewna, czy potrafi dokończyć to porównanie.

Z wysiłkiem skupiła umysł na mniej niepokojących kwestiach i zauważyła, że ich koń — kiedy się do niego przyzwyczaić — jest naprawdę całkiem dobrze ułożony. Ale przecież konie prawdopodobnie, ogólnie rzecz biorąc, nie gryzą ani nie trują ludzi, z wyjątkiem skrajnych sytuacji. Na przykład ten, który

124

ciągnął wóz u pani Bunbury; trudno było sobie wyobrazić jakieś jego narowy, tyle że był to bardzo stary koń. Wszyscy nazywali go Starym Marudą z powodu jego częstych dolegliwości, choć jego prawdziwe imię brzmiało Ajax.

Szczęśliwym trafem Mary nie widziała twarzy Hollanda podczas tej opowieści, a kiedy kapitan spytał ją, czy kiedykolwiek wcześniej pędziła dzięki siłom mięśni potężnego rumaka, jego ton niczego nie sugerował.

— Raz jechaliśmy szybciej, kiedy spieszyliśmy się na koncert muzyki klasycznej do Cambridge, zazwyczaj jednak wozu używano jedynie w sprawach związanych z działalnością szkoły. Pani Bunbury twierdziła, że nie możemy ryzykować pęcin konia dla zwykłej rozrywki, chociaż nie wiem, dlaczego wspomniała akurat o pęcinach. Kiedyś koń kaszłał w sposób szczególny, pamiętam, że bardzo głośno... A gdy było gorąco, zakładaliśmy mu czasem kapelusz...

— Kapelusz?! — powtórzył Holland, nie mogąc powstrzymać rozbawienia.

— Tak, słomiany kapelusz, który osłaniał go przed słońcem. Pan Taft... pani Taft to gospodyni, a jej mąż wykonuje wszelkie prace, łącznie z powożeniem... więc pan Taft zrobił kapelusz dla Marudy. Przypuszczam, że dobrze mu się przysłużył, ale naprawdę... — dodała, teraz śmiejąc się wraz z kapitanem — ...wyglądał w tym kapeluszu fatalnie i jestem przekonana, że wiedział o tym, biedny stary. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że niektóre zwierzęta łatwo się peszą, przykładowo psy... I konie zapewne.

— Zapewne — zgodził się z nią Holland.

Zwolnili teraz, gdy przekraczali grząski odcinek rozległego wrzosowiska. Raz czy dwa razy kapitan spojrzął za siebie, jeżeli jednak usłyszał coś niepokojącego, nie potwierdził tego i nie zmienił ich równomiernego pochodu. Dla Mary ta jazda była jak sen, w którym nic nie ma sensu i człowiek po prostu ciągle się przemieszcza — przez tunele, na piechotę albo konno. Nawet kapelusz starego Marudy zdawał się należeć do innego

świata. Rozważyła, czy nie wspomnieć o tym dziwnym uczuciu bezbronności kapitanowi Hollandowi, ale uznała, że prawdopodobnie odparłby, że wcale nie są bezbronni, więc o co w ogóle jej chodzi? Zamiast mówić, zapatrzyła się w górę, na gwiazdy widoczne wśród chmur i błyszczące niczym cekiny. Jakże dalekie się wydawały. Jakże odległe wydawało się wszystko co zwyczajne i normalne. Zastanowiła się, skąd Holland wie, w jakim kierunku powinni jechać. Żeglarze odnajdują drogę według gwiazd i być może także żołnierze, kiedy maszerują w nocy — do czego jej zdaniem zapewne bywali czasem zmuszani. Czy kapitan obrazi się, jeśli Mary znów go spyta o ich położenie? Po krótkim rozkazie Hollanda koń się zatrzymał, a dziewczynie przez głowę przemknęło pytanie, czy nie wypowiedziała przypadkiem na głos swego ostatniego pytania. Potem uderzyła ją pewna zatrważająca możliwość i Mary wyprostowała się nagle.

— Co się dzieje? — wyszeptała. — Ktoś nadchodzi?

— Nie, chcę się tylko ponownie rozeznać, gdzie jesteśmy. Chyba już niedaleko.

Stopniowo nabrali tempa, ponieważ bagna i kępy traw ustępowały miejsca łąkom, a potem polacom nierównych ściernisk. Jechali teraz wzdłuż jakiegoś żywopłotu, który przekroczyli w szczelinie, wracając na ścieżkę. Ścieżką z kolei dotarli do dużego, ryglowego domu. We wszystkich pomieszczeniach na dole panowały ciemności, lecz w wyższych oknach paliło się światło.

— To jest Lindham Hall? — szepnęła Mary. Holland zsiadł z konia.

— Jeśli nie, nic nie szkodzi — odparł, po czym zsadził dziewczynę z siodła.

Zrobiła kilka próbnych kroków. Poza bólem szyi i przegubów była zeszywniała i miała nieprzyjemne odczucie w miejscach, których nie miała ochoty nawet wymieniać.

Jego mocne stukanie do drzwi frontowych wywołało w środ-

ku natychmiastowe poruszenie, na które składały się głównie odgłosy kilku psów, ale też wołanie starszej kobiety: „Cuff! Panie Cuff!”. Psy nadal czekały, a później się uspokoiły, gdy inny głos, męski tym razem, przywołał je do porządku. Przez chwilę panowała cisza, po czym ten sam męski głos zawołał: „W porządku, trzymaj ją mocno, Peggy”, a drzwi zostały odryglowane i otwarte. Krąg światła ujawnił krępego, siwowłosego osobnika w męskiej nocnej koszuli i płaszczu. Mężczyzna celował do nich ze staroświeckiego, lecz bez wątpienia sprawnego garłacza. Dwa psy stały przed nim, warcząc i poszczekując, natomiast na schodach nad nim stała, także w nocnym stroju, pulchna służąca w średnim wieku; miała szeroko otwarte oczy i wymachiwała zapaloną latarnią.

— Czego tu chcecie? — zapytał mężczyzna.

— Przepraszam, że państwa zbudziliśmy — powiedział Holland. — Jestem...

Zanim zdołał dokończyć, płaczliwy kobiecy głos gdzieś z wnętrza domu spytał:

— Czy to Cyganie, panie Cuff? Wypuść na nich psy. Słyszając, że o nich wspomniano, psy warknęły bardziej zdecydowanie.

— Cisza! — rzucił pan Cuff i kiwając głową Hollandowi, powiedział: — Kontynuuj, panie.

— Jestem kapitan Holland z artyleryjskiego pułku Jego Wysokości i muszę poprosić cię o obudzenie twojego pana lub pani.

— Co tam robisz, panie Cuff? — zawołał ten sam kobiecy głos. — Dlaczego rozmawiasz z Cyganami?

— Cóż, już ją, panie, zbudziłeś — odburknął Cuff, wykonując nagły ruch głową ku schodom. — To nie są żadni Cyganie, pani — zagrzmał.

— Nonsens, oczywiście, że Cyganie. A któż inny niby?

— Pewien wojskowy. Kapitan Ho...

— Holland. A ta młoda dama — kontynuował kapitan,

podnosząc głos do tonu, który dotrze na piętro — to panna Finch, bratanica pana Edwarda Fincha! Mieliśmy wypadek w White Ladies!

— Czy to bratanica pana Fincha, panie Cuff? — upewniła się kobieta. — Co ona robi z wojskiem?

— Nie potrafię tego powiedzieć, pani — zawołał Cuff, przyglądając się gościom — ale z pewnością coś im się przydarzyło.

— Peggy! Chodź tu natychmiast.

— Tak, Peggy — zgodził się Cuff — przypatrz się dobrze tym państwu i opowiedz o nich naszej pani. Zostaw latarnię.

Peggy zeszła nieśmiało, zerkając szybko i raczej podejrzliwie na Mary i Hollanda, po czym postawiła latarnię na kredensie obok drzwi i ruszyła w górę po schodach. Kiedy zniknęła, Cuff zachował złowrogą postawę, a jeden z psów przepchnął się obok niego na ganek i prychał pytająco w kierunku obcych. Po kilku minutach dało się słyszeć na schodach szuranie kapci Peggy i służąca ponownie przyłączyła się do Cuffa w korytarzu.

— Pani Tipton mówi, że macie wejść do drugiego salonu, a ona wkrótce zejdzie. Panie Cuff, ty masz zaprowadzić tego konia do stajni i zadbać o niego, ale masz wrócić do domu szybko i bez marudzenia — dodała od siebie. — Przyprowadź ze sobą Prince'a, ale nie pozwól mu wskakiwać na meble.

— Tak, tak, te niezliczone rozkazy — westchnął Cuff, opuszczając broń i usuwając się z wejścia. — Zaprowadź ich zatem, Peggy, a ja wrócę za momencik. I może rozpal też ogień.

— Przy pierwszej okazji, panie Cuff, przy pierwszej okazji — poskarżyła się Peggy, skrzętnie zapalając świece. — Tędy, panienko, proszę.

Gdy Mary przestąpiła próg domu, jej spojrzenie szybko przyciągnął wyłożony boazerią korytarz, przyjemnie oświetlony przez kilka ściennych kinkietów. Po prawej stronie znajdowały się szerokie, wypolerowane do połysku schody, z grubym, ale podniszczonym dywanem ciągnącym się przez środek. Podobny dywan pokrywał piętro, a po lewej, nad kredensem, wisiało

lustro. Jego szkło nieco zmatowiało, lecz i tak Mary zobaczyła w nim, jak nieporządnie wygląda. Włosy miała potargane, twarz pokrytą smugami brudu, a przemoczony szynel kapitana prezentował się niechlujnie. Lustro nie było wystarczająco wysokie, by pokazać również jej ubłoconą spódnicę czy brudne ręce, odbijało jednak nieco jej szoku i wyczerpania. Instynktownie wyprostowała plecy i spróbowała przybrać weselszą minę... albo przynajmniej nie robić wrażenia, że za chwilę się rozpłacze.

Idąc za Peggy do salonu i teraz boleśnie świadoma stanu swego odzienia, myślała, że powinno jej się, tak jak Prince'owi, zakazać siadać na meblach. Na szczęście, Holland nie miał takich skrupułów i skierował ją do krzesła przy kominku, w którym Peggy rozpałała drwa. Usiadła niepewnie i obróciła się do swego towarzysza. Jego białe bryczesy były brudne i ochlapane błotem, ale to widok sinych przecięć na czole i prawej kości policzkowej mężczyzny oraz smugi krwi na jego gorsie tak ją wstrząsnęły, że krzyknęła:

— Kapitanie Holland! Zostałeś pan ranny! Sądziłam... Proszę... — Odwróciła się do Cuffa, który usadowił się w fotelu blisko drzwi wraz z Prince'em, ogromnym szorstkowłosym psem, u swoich stóp.

— ...Czy kapitan mógłby dostać wody?

Holland zmarszczył brwi i potrząsnął nieznacznie głową, Mary jednak nie zwracała na niego uwagi.

— Uważam, panienko, że pan zechce się napić czegoś mocniejszego niż wody — oświadczył Cuff radośnie. — Ale najlepiej zaczekajmy, aż zejdzie pani.

Po krótkiej chwili rozległ się odgłos powolnego, miarowego stukania na schodach, a później o podłogę korytarza. Jak się okazało, odgłosy te obwieszczały nadejście pani Tipton. Poirytowanym głosem rozkazała tym psom, którym odmówiono wejścia do drugiego salonu, aby „uważały”, „odsunęły się” i „leżały”. Na dźwięk głosu właścicielki majątku Prince sam z siebie wstał i, lekliwie podkuliwszy ogon, wycofał się do najdalszego kąta.

Pani Tipton była małą, starą kobietą, która chodziła chybotliwie, pomagając sobie dwiema grubymi laskami. Kiedy szła przez salon, słabowita, chwiejna i znacznie mniejsza od każdej z osób w pokoju, wydawała się niezdolna znieść ostre słowo lub umiarkowany powiew bryzy, ale gdy usadowiła się w fotelu, który był wyraźnie jej ulubionym, natychmiast dokonała się w niej transformacja. Ciemne, roziskrzone oczy spojrzały bystro na Mary i Hollanda zza okularów w stalowych oprawkach, a schludny, ładny strój w postaci czarnej jedwabnej sukni i koronkowego czepka dały jej zdecydowaną moralną przewagę nad przemoczonymi i brudnymi gośćmi. Z laskami skrzyżowanymi przed sobą niczym para biskupich pastorałów kobieta rozpoczęła przesłuchanie.

Początkowo trzeba ją było przekonać, że pan Finch rzeczywiście posiadał bratanicę, ponieważ nigdy o żadnej nie słyszała.

— Nie przypominasz go z wyglądu, ale przypuszczam, że to nie szkodzi. A co robisz z tym osobnikiem? — Kiwnęła głową w kierunku kapitana. — Powiedziałeś, panie, że jak się zwiesz?

— Holland, pani.

— Co?! Z tych strasznych wigów?!

— Nie, pani. Nie jestem spokrewniony z lordem Hollandem. Pani Tipton przypatrywała mu się przez moment z uwagą. — Nie, oczywiście, że nie — przyznała tonem, który przyprawił go o rumieniec. — Holland... Mam nadzieję, że twoja rodzina nie jest zaangażowana w produkcję ginu?

Mary natychmiast przypomniała sobie pierwszą rozmowę z kapitanem i swój zdecydowany ruch, jakim okazała mu butelkę kordiału pani Oldworthy. Holland chyba również pamiętał tę chwilę, ponieważ zerknął przelotnie w kierunku Mary. Jego mina ani na moment nie zmieniła się jednak i odpowiedział pani Tipton swoim zwykłym szorstkim tonem.

— Nie, pani, bynajmniej.

— No cóż. A dlaczego włączysz się z tą młodą osobą, stukasz do moich drzwi w środku nocy, sprawiając, że moi

służący lękają się o swoje życie? Jeśli w ten sposób rząd chce nas ratować przed Francuzami, nie sądzę, aby to odniosło dobry skutek.

— Gdybym mógł wyjaśnić...

— Mam nadzieję się, że możesz to wyjaśnić! Wyglądasz, jak gdybyś już brał udział w wojnie. Pozwól mu mówić — doradziła Mary, której nawet nie przyszedł do głowy pomysł przerwania ich rozmowy.

— Mężczyźni zwykle wyjaśniają wszystko lepiej niż kobiety, a nawet jeśli tak nie jest, oni tak uważają i trzeba im dogadzać w tej kwestii, gdyż tylko wtedy zyskujemy spokój.

Fakt, że pani Tipton pozwoliła Hollandowi udzielić wyjaśnień, nie oznaczał, że postanowiła nie wtrącać stale podpowiedzi, komentarzy czy dalszych pytań. Niemniej jednak kapitan zdołał jakoś zdać naprawdę zrozumiałą relację z ostatnich zdarzeń.

— Więc uciekliście przez stary korytarz załadunkowy — zadumała się. — Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Wykazałeś się dużą inicjatywą, młody człowieku. Ale jeśli nie można oczekiwać inicjatywy od naszych oficerów, jakaż nam zostaje nadzieja? Panie Cuff, w pierwszej kolejności rano przeprowadzisz gruntowny ogląd naszych piwnic. Jeśli znajdziesz jakieś podobne, nieużywane przejście, masz je natychmiast zamknąć.

— Tak, pani, w pierwszej kolejności.

— A kiedy to zrobisz, z miejsca pojedziesz do Woolthorpe Manor i poinformujesz pana Somerville'a o tym akcie przestępstwa!

— Przepraszam, że ma pani przez nas kłopoty — bąknęła Mary.

— Dla mnie to żaden kłopot — odparła pani Tipton — a pan Cuff chętnie zażyje ruchu. Ale... uzbrojona grupa zbójców... rabusiów zapewne, którzy zjawili się po srebra twojego stryja.

— Sądzę, że może byli przemytnikami...

— Przemytnicy, zbóje, podejrzone łobuzy — odparowała pani Tipton z pogardą. — Co powiesz, panie Cuff? Wyobrażam

sobie, że masz jakieś pojęcie w kwestii spraw, które odbywają się nocami.

Cuff zrobił minę urażonego niewiniątka, która bynajmniej nie zrobiła wrażenia na pani Tipton.

— Pan Cuff — wyjaśniła gościom — nadal uprawia kłusownictwo, chociaż wielokrotnie go ostrzegałam. Wie, że jeśli prawo się nim zainteresuje, nie będę interweniowała. I nie mam wątpliwości, że niektórzy jego kamraci biorą się również do innych rodzajów nielegalnej działalności, ilekroć nadarzy się okazja.

— Och, pani — zaprotestował Cuff — przysięgam, że żaden z nich nie potraktowałby szorstko młodej damy — kiwnął ku Mary — ani nie rozbiłby głowy takiemu dżentelmenowi jak ten biedny kapitan.

— Wszystko jedno — ciągnęła pani Tipton. — Zaczynają od rozbijania łbów królikom, a wkrótce robią to samo oficerom artylerii. Cóż, obawiam się, że w końcu wydadzą nas Francuzom i ostatecznie cały ten motłoch zabierze się do okradania przyzwoitych ludzi, nazywając swoje poczynania rewolucją.

Holland spochmurniał, ale zauważył tylko, że chętnie porozmawia z sędzią.

— Nie jestem zaskoczona — zgodziła się pani Tipton. — Suponuję, że zechce odszukać tych drani. Ten człowiek nie ma żadnych przekonań politycznych, ale ganień po okolicy za zbójcami to inna sprawa. Hm... Co myślisz o tym wszystkim, panno Finch? Co zamierzasz zrobić? Najpierw oczywiście musisz odwiedzić grób swojego stryja i odpowiednio pożegnać zmarłego.

Mary potwierdziła, że taki ma zamiar.

— Wielebny Hunnable zjawi się tu na pewno, a pan Somerville zapewne zdoła objaśnić ci prawne aspekty sytuacji — kontynuowała pani Tipton. — Wyglądasz na miłą dziewczynę... Jak, mówiłaś, że masz na imię? Mary? Raczej staromodne, ale przypuszczam, że nic się na to nie poradzi. Teraz oboje wymagacie nieco opieki. Peggy, zobacz lepiej, co z kolacją,

i podaj kapitanowi Hollandowi coś do picia. Nie mamy ginu, ale może pan oficer zadowolony się ponczem na rumie. Pannie Finch przynieś zaś gorące mleko. Nie obudz Pollock; ta kobieta potrafi przespać trąby Sądu Ostatecznego, ale jeśli zostanie zmuszona do opuszczenia łóżka o nietypowej dla siebie porze, nigdy nie doczekamy się końca jej zrzędzenia... Więc dopilnuj wszystkiego sama. W jakim stanie są pokoje gościnne? Peggy wyglądała na przerażoną tym pytaniem.

— Och, pani, dobrze zamknęłam te pokoje natychmiast po wizycie państwa Arthurów, bo pani powiedziała, że psy stale leżą na łóżkach.

— Więc skoro tak powiedziałam, pewnie leżały, nicponie. Musisz więc od razu doprowadzić pokoje do porządku... Panie Cuff, niech pan jej pomoże. Przynieście gorącą wodę i ręczniki, oczywiście. Pani Tipton skupiła wzrok na kapitanie, jak gdyby chciała i jemu wydać jakiś rozkaz, więc szybko się zaoferował, że pójdzie należycie oporządzić swego konia.

— Oczywiście. Pan Cuff skieruje pana do stajni. Peggy, w szafie są nocne stroje należące do pana i pani Arthur. Wyłóż je dla panny Finch i kapitana Hollanda. I panie Cuff, zrób, jak poleci panu Peggy... żadnego odszczekiwania się ani twierdzenia, że jej nie rozumiesz.

— Tak, pani — dorzuciła Peggy, posyłając Cuffowi triumfalne spojrzenie.

— Dobrze, pani — zgodził się ponuro Cuff. Skończywszy tym samym wydawać rozkazy, pani Tipton oznajmiła, że dla starej kobiety takiej jak ona godzina jest późna i że teraz ich opuści. Zbyła machnięciem ręki wszelkie próby podziękowania jej za gościnę i powiedziała, że z niecierpliwością oczekuje na to, co jutrzejsze zdarzenia mogą przynieść, gdyż życie czasem bywa lepsze niż sztuka w teatrze. Dodała jeszcze, że Prince i Hero mają zostać na parterze, aby zniechęcić wszystkich przemytników do płatania tu swoich figli, po czym wyszła.

Jej odejście dało poczucie swobody osobom, które pozostały. Mary i Holland wymienili uśmiechy, a kilka psów przepchnęło się przez półprzymknięte drzwi do salonu i wtargnęło do środka.

— No, no, no, co za afera! — powiedział Cuff. — Kto by to pomyślał, nie, Peggy?

— Nigdy nie słyszałam o czymś takim, panie Cuff— przyznała Peggy.

Peggy miała bardzo zdecydowane poglądy na temat tego, jak powinien wyglądać posiłek dla gości — szczególnie osób, które doświadczyły ran lub sporo wycierpiały — a wobec braku pracodawczyni w pełni sobie pofolgowała. Dzięki temu kolacja składała się z kiełbasy z cebulą, omletu z serem, chleba z masłem oraz hojnych resztek tarty z jabłkami. Niezwykle okoliczności posiłku i to, że został podany w kuchni zamiast w jadalni, zachęciły Peggy i Cuffa, by przyłączyli się do jedzących albo przynajmniej zachowywali się bardziej otwarcie niż w innej sytuacji. Oboje rozmawiali swobodnie z kapitanem Hollandem. Wobec Mary byli raczej nieśmiali; Cuff, ponieważ była znacznie młodsza i ładniejsza od kobiet, z którymi regularnie miał do czynienia, a Peggy, ponieważ się zastanawiała — wprawdzie jedynie na początku — czy ta młoda dama jest tak porządna, jak powinna być, skoro niezależnie od powodów włóczy się z tym dżentelmenem późno w nocy.

Mary zwracała niewielką uwagę zarówno na pełne podziwu uwagi, jak i na te krytyczne. Natychmiast uświadomiła sobie bowiem, że jest głodna, i zabrała się ochoczo do kolacji. Wraz z każdym kęsem odkrywała jednak, że staje się coraz bardziej senna, aż zastanowiła się, czy nie zaśnie przypadkiem w trakcie jedzenia. Przyjemna, domowa atmosfera miała dodatkowy wpływ na jej letarg. Ciepło paleniska, którego siłę zwiększono na noc, a także widok słoików z przetworami i przyprawami, starannie opisanych takimi uspokajającymi nazwami jak „słodki dżem truskawkowy” czy „najlepszy miód z pola”, wzbudzały w niej przecucie, że już nic strasznego nie może się zdarzyć i w końcu będzie mogła się odprężyć. Zdawała sobie sprawę,

że jakaś rozmowa toczy się wokół niej, ale brakowało jej ochoty, aby wziąć w niej udział. Wreszcie pozwolono jej odejść od stołu i wejść na piętro, do izby, która została dla niej przewidziana. Chociaż pokój okazał się niezbyt duży i bardzo staroświecki, jego wyposażenie było piękniejsze niż wszystko, co wcześniej widziała, i w normalnych okolicznościach chłonęłaby każdy szczegół. Dzisiejszego wieczoru jednakże nie potrafiła docenić ani aksamitnych zasłon łóżka, ani kafli na obramowaniu kominka, ani ogromnej serwantki z drewna orzechowego, której intarsjowane drzwi przedstawiały brodate oblicza myślicieli. Zamiast podziwiać, usiadła ze znużeniem na końcu łóżka i przyglądała się własnemu odbiciu w lustrze toaletki, podczas gdy Peggy śmigła po pomieszczeniu, trzepiąc poduszki i dodając drewna do ognia. Własna twarz wydawała się Mary obca — nie po prostu zmęczona, lecz jakaś inna. Tak wiele rzeczy zdarzyło się, odkąd opuściła Saint Ives... Czy i ona się zmieniła?

Służąca wykonała wszystkie swoje zadania i stanęła z rękami na biodrach, przyglądając się w zadumie Mary. Dziewczyna miała przecież za sobą bardzo paskudne przeżycia i została niemal zaduszona na śmierć przez złoczyńców, a wydawała się przyzwoitą młodą damą, mimo iż jej suknię niejednokrotnie cerowano.

— Sądzi panienska, że będzie jej tu wygodnie? — spytała.

— O tak, dziękuję. — Mary kiwnęła głową, tłumiąc ziewnięcie. — Będzie mi tu... zupełnie wygodnie.

— Dobry sen, tego właśnie pani potrzebujesz — stwierdziła Peggy i jej wyraz twarzy stracił swoją przesadną surowość. — Dobranoc zatem, panienko, i miłych snów.

Drzwi zamknęły się. Mary zaczęła rozpuszczać włosy, ale brakowało jej energii, aby zrobić coś więcej. Kilka chwil później jej zadumę przerwało krótkie stukanie do drzwi. Myślała, że to Peggy z ostatnim pytaniem albo ponowioną propozycją gorącego napoju, i zdumiała się, gdy zobaczyła w korytarzu Hollanda. Kapitan uśmiechnął się na jej widok i przyłożył palec do ust.

— Chciałem sprawdzić, czy nic pani nie jest — szepnął.

— Tak, dziękuję... to znaczy... Jesteśmy tu bezpieczni, prawda? Tamci nie...

— Nie, nie. Prawdopodobnie cieszą się, że się nas pozbyli. Ta odpowiedź nie wydawała się całkiem zrozumiała, ale

dziewczyna kiwnęła głową i odparła, że właściwie się tym nie przejmuje. Nie było to wcale kłamstwo.

W tym momencie nagle się rozbudziła. Jak mogła sądzić, że chce jej się spać? Śmiechu warta myśl!

Ponieważ kapitan nie odchodził, starała się wymyślić temat, który przedłuży ich rozmowę.

— Pani Tipton wydaje się... Czy pan nie uważa, że jest raczej dziwna?

— Jest dziwna, zgadza się.

Ton Hollanda, mimo iż kapitan szeptał, sprawił, że Mary chciała się roześmiać i musiała zagryźć wargę, by zdusić chichot.

— Ale to ogromnie uprzejmie z jej strony, że nas przyjęła — przypomniała kapitanowi, próbując zachować powagę. — Jakże niezwykle musiało jej się wydać nasze przybycie w środku nocy.

Holland wzruszył ramionami.

— Jesteśmy dobrą rozrywką. Jak powiedziała, „lepsze niż sztuka w teatrze”. A ja jestem facetem bez żadnych przekonań politycznych, który został trzaśnięty w łeb jak królik.

Tym razem Mary zachichotała jednak, po czym dodała:

— Przynajmniej nie jesteś jednym z tych „strasznych wigów”.

— Tak, to już coś — kapitan uśmiechnął się. — A pani jesteś zaginioną krewną. W każdej sztuce jest taka bohaterka, nieprawdaż?

— Tak, myślę, że tak. „Nie przypominasz go z wyglądu, panno Finch, ale przypuszczam, że to nie szkodzi”.

Potem oboje się roześmiali i równocześnie upomnieli się, że powinni zachowywać się cicho.

— Ciii — powiedziała Mary — nasza dobrodziejka cię usłyszy.

— I prawdopodobnie powie, że produkuje alkohol — odparował kapitan.

Popatrzyła na niego nieśmiało.

— Tak, ale nie rozumiałam... co miała na myśli?

— Och, to niemądra stara kobieta. Jest taki gatunek ginu, holenderski, inny niż angielski... Nazywa się go holland, ale nikt nazwiskiem Holland go nie produkuje.

Znowu się śmiali, szczególnie gdy Mary stwierdziła, że chociaż nazwisko Holland skojarzyło jej się z pewnym rodzajem płótna, wcale nie uważała, że kapitan Holland jest krawcem albo kupcem bławatnym.

— Nie sugeruj jej tego, pani — błagał kapitan — bo każe mi cerować serwetki.

Kiedy przestali się śmiać, nastąpiła cisza, która szybko zaczęła ich oboje kępować. Dziewczyna miała świadomość, że się czerwieni, i zapatrzyła się w podłogę, tylko po to, by sobie uświadomić, że zdjęła botki, jeszcze zanim otworzyła Hollandowi drzwi, i rozmawia z nim teraz, stojąc z pończochach.

Włosy opadały jej na ramiona w burzy loków, a kiedy odwracała głowę, światło z jej świecy tworzyło na nich pasemka w odcieniach miedzi i złota. Holland widział jej loki, delikatne stopki i kostki, a także wdzięcznie wygiętą szyję. Trzymał swój żołnierski płaszcz przewieszony przez ramię i nagle zaczął wycierać z niego smugi zaschniętego błota. W końcu mruknął:

— No dobrze, dobranoc zatem.

— Dobranoc. — W jej głosie pobrzmiwała ulga. Mary uśmiechnęła się do niego ponownie. — I... kapitanie Holland?

— Tak?

— Dziękuję panu. Odpowiedział uśmiechem.

— Nie ma za co, panno Finch.

8

Pani Tipton była rannym ptaszkiem, więc siłą rzeczy wcześniej wstawali również wszyscy inni stali mieszkańcy Lindham Hall. Właścicielka jednak nie zamierzała zmuszać gości do przestrzegania tej praktyki — wręcz przeciwnie, nalegała, aby wszystkie prace domowe aż do końca śniadania wykonywano w całkowitej ciszy. Starając się zatem nie zbudzić Mary, Peggy przed pierwszym brzaskiem ukradkiem zabrała jej suknię do wyczyszczenia i odprasowania, a później, odkładając strój na miejsce, zapomniała dokładnie zamknąć za sobą drzwi sypialni. W efekcie dziewczyna przebudziła się kilka godzin później z wyraźnym uczuciem, że jest podglądana. Otworzyła oczy i odkryła, że pięć psów, różniących się od siebie wielkością i rasą, nie tylko zdołało otworzyć sobie drzwi i wejść do jej sypialni, ale trzy mniejsze dołączyły do niej w — czy raczej na — łóżku. Te trzy zwierzęta spały, nawet chrapały, natomiast ich więksi towarzysze czekali na zaproszenie lub na wolną przestrzeń — stały, gapiąc się na dziewczynę i machając z nadzieją ogonami.

Przez kilka minut po prostu na nie patrzyła i zastanawiała się nad zmiennym usposobieniem pani Bunbury. Wielokrotnie pomstując na psy jako hałaśliwe, brudne stworzenia i nigdy nie tolerując ich na terenie szkoły, najwidoczniej dziś ustąpiła

i wpuściła je do środka. Jednakże, kiedy opadły ostatnie resztki snu, Mary zaczęła rozglądać się wokół siebie uważniej. Śnieżnobiała kołdra puchowa, sztywne, haftowane zasłony na oknach, ciężkie meble tu i tam zarzucone jej mizernym dobytkiem... Tak, to nie była szkoła pani Bunbury dla młodych dam, lecz Lindham Hall. I wtedy powróciły falą wydarzenia poprzedniego dnia i nocy.

Ubrała się pospiesznie i zeszła na dół w towarzystwie psów, które zinterpretowały jej ruchy jako gotowość do zabawy. Psy były zatem rozczarowane, gdy nie wpuściła ich do jadalni, zaległy w korytarzu i skamlały, aż Peggy je przegoniła. Zamknawszy za sobą drzwi, dziewczyna stanęła wobec dużego, dębowego stołu zastawionego dla trzech osób, lecz tylko jedno miejsce było zajęte.

— Dzień dobry — zagaił kapitan Holland, wstając. — Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa?

Odpowiedziała niespokojnym uśmiechem.

— Dzień dobry. Miewam się nieźle, ale niestety zasnęłam. Długo pan czeka? Gdzie jest pani Tipton?

— Była w kościele, a teraz udała się na poranną przechadzkę, co oznacza, że usiadła na wózku, który Cuff pcha po ścieżce.

— Ojej, powinnam była... Czy pan poszedł? To znaczy... do kościoła.

— Nie, myślę, że jesteśmy oboje usprawiedliwieni z racji naszych obowiązków. Lepiej zjedz zamiast tego śniadanie, pani. — Słyszac concept, że miałyby zasiąść do solidnego posiłku, skoro nie zdołała okazać stosownej pobożności, Mary zawahała się, kapitan zaś kontynuował: — Pollock, kucharka, wścieka się, że przeoczyła ubiegłonocne zamieszanie... Stale trzaska garnkami i patelniami, więc jeśli usłyszysz, że kręciłaś nosem na przygotowane przez nią potrawy... — Potrząsnął głową. — Bardzo prawdopodobne, że w ramach zemsty nas otruje. Może przynajmniej herbaty?

Mary uśmiechnęła się wbrew sobie i usiadła naprzeciwko mężczyzny.

— Bardzo dobrze... to znaczy, tak, poproszę. Ja naleję, mogę?

Strząsnąwszy serwetkę, oceniła otoczenie: śnieżnobiały obrus z odrobiną koronki, dzbanek z czerwonymi i białymi firletkami, delikatny, porcelanowy serwis śniadaniowy... w zasadzie tylko kapitan Holland nie pasował do wystroju. Oczywiście Mary wiedziała, że dżentelmeni też muszą jadać śniadania, ale było coś z natury rzeczy kobiecego w tym posiłku, szczególnie w delikatności scenerii, która sprawiała, że każdy mężczyzna wydawałby się tu nie na miejscu. Czy mężczyzna doceni ładne noże z kościanymi trzonkami albo talerze ozdobione wizerunkami ogrodów wodnych, z długonogimi ptakami czyszczącymi sobie piórka obok łukowatych mostów? Wątpiła, czy większość dżentelmenów w ogóle zauważy takie szczegóły.

Gdy podawała Hollandowi herbatę, ponownie się uśmiechnęła, tym razem do siebie. Cóż wszak mogło być bardziej osobliwego w tej sytuacji niż jej, Mary Finch, obecność tutaj... To, że była gościem w Lindham Hall! Bez wątpienia nie taki rodzaj śniadania zwykle jadała u pani Bunbury, gdzie chleb nierzadko bywał czerstwy, a zawartość imbryczka wysoce podejrzana. Tam nigdy nie podawano bułeczek z dżemem, a jajka na bekonie, które właśnie skwierczały w naczyniu z podgrzewaczem na kredensie, były smakołykiem ściśle zarezerwowanym na śniadanie bożonarodzeniowe. Jak dziwnie czuła się w miejscu, gdzie te luksusy stanowiły codzienność. Taka wizyta mogłaby mieć sens, gdyby Mary znajdowała się w bajce i musiała ścierpieć niedostatek oraz rozliczne niebezpieczeństwa, by ostatecznie trafić do zaczarowanego zamku. Pani Tipton była na pewno osobą tak niezwykłą, że mogła odegrać rolę dobrej wróżki, a wszystko, co się działo, raczej trudno byłoby dziewczynie zaakceptować w zwykłym życiu...

Czym jednak właściwie było zwykłe życie? Po dniu wczorajszym już sama nie wiedziała. Spróbowała wyjaśnić swoje

odczucia Hollandowi, nie całkiem pewna, czy jest on odpowiednim rozmówcą, ponieważ... jak często w końcu jadła śniadanie z kapitanem artylerii, z którym wcześniej została uwięziona w piwnicy? — To jest, jak gdyby... jak gdybym gdzieś na drodze ze szkoły pani Bunbury zgubiła całe moje prawdziwe... rzeczywiste życie... i teraz nic z tego nie jest prawdziwe w ogóle, tylko to. — Rozejrzała się wokół siebie. — I dzień wczorajszy.

— Hm... — zadumał się Holland. — Tak człowiek czuje się w bitwie. Czasami, jeśli następuje przerwa w potyczce, rozmyślamy o zwyczajnych czynnościach i nie sposób uwierzyć, że je kiedykolwiek robiliśmy. A potem, wkrótce, sama bitwa jakoś zanika w pamięci. Szczególnie najgorsze momenty, co tak naprawdę jest dla żołnierza dobre... — Zawahał się. — Jest pani... to teraz pani nie martwi, prawda? Myśli o zdarzeniach dnia wczorajszego? Chodzi mi o to, że... żadnych koszmarów?

Mary potrząsnęła głową, lecz jego słowa skłoniły ją do zastanowienia, ponieważ późno ubiegłej nocy widziała coś... albo sądziła, że coś widzi z okna swej sypialni: dziwny cień przemykający się przez dziedziniec. Właściwie była to wina kapitana Hollanda, gdyż jego niespodziewana wizyta pobudziła ją za bardzo i potem Mary nie mogła zasnąć. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego podeszła do okna, nie umiała też opisać samego cienia, ponieważ dosłownie zniknął — w jednej chwili był, a potem nagle... jakby się rozplynął. Teraz więc z czystym sumieniem potrząsnęła głową. Do takich przeżyć nikt nie przyznaje się w świetle dziennym, szczególnie komuś takiemu jak Holland, który nigdy w nic nie wierzy i mógłby pomyśleć, że Mary wątpi w jego zapewnienia, iż wszystko będzie dobrze.

Oczywiście, sytuacja wyglądała w tej chwili dobrze. Chociaż Mary uznała za dziwne, że kapitan spytał ją o jej sny.

— Ma pan jakieś nowiny o sędzim? — spytała, świadomie odsuwając od siebie inne nieprzyjemne tematy.

— Tak. Cuff zostawił wiadomość, w której prosimy sędziego o przyjazd tutaj, gdy tylko znajdzie czas. A tymczasem złoży nam wizytę pastor, więc zdaje się, że nie zdążymy nawet zatęsknić za kościołem. Wielebny Hunnable rzeczywiście odwiedził Lindham Hall tego popołudnia. Był łagodnym, poważnym człowieczkiem, który w trakcie rozmów z osobami zmagającymi się z trudnościami życia potrafił wykorzystać swoje zasoby siły fizycznej, duchowej czy intelektualnej. Zdawał sobie sprawę z własnych możliwości, lecz pamiętał też, że rozmowy zarówno z panią Tipton, jak i z nieżyjącym już panem Finchem rzadko były całkowicie lekkiej, sympatycznej natury. Pan Finch miał nieszczęsny zwyczaj mierzyć wszystkie osoby oderwanym od rzeczywistości bądź nawet pogardliwym spojrzeniem i dawać do zrozumienia, że nie słucha z takim skupieniem, z jakim słuchać powinien. Z kolei pani Tipton postępowała w sposób dokładnie przeciwny. Każdy jej rozmówca zawsze wiedział, co kobieta myśli, chociaż nie zawsze miał pojęcie, jak odpowiadać na jej opinie, którymi chętnie i często się dzieliła.

Pan Hunnable nie cieszył się zatem na rozmowy w Lindham Hall, a to, że został skierowany do głównego salonu, nastroju mu nie poprawiło. Ten pokój, którego pani Tipton nie używała nigdy, o ile nie przyjmowała gości, w ogóle nie był przyjemny, gdyż nie został wyposażony w odpowiednio duży kominek. W dodatku z okazji wizyty duchownego ogień rozpalono zaledwie kilka minut temu i jego skromne rozmiary czyniły go prawie bezużytecznym w dojmującym chłódzie. Pan Hunnable nie widział wprawdzie swego oddechu w postaci pary, lecz i tak był przekonany, że w salonie pani Tipton jest zimniej niż na zewnątrz. No i ci jego — dociekliwi, jak podejrzewał — rozmówcy, którzy zebrali się wokół niego. Nie miał pewności co do charakteru panny Finch, ale kapitan Holland wydał mu się nieco nieokrzesanym, buntowniczo wyglądającym męż-

czyzną, prawdopodobnie gwałtownym, panią Tipton zaś wielebny znał oczywiście od dawna. Gdy Hunnable zdał sobie sprawę z tych wszystkich szczegółów, dostrzegł w Mary swego rodzaju sojusznika, przynajmniej co do głównego salonu. Pomieszczenie było znacznie mniej wesołe niż drugi salon, w którym znajdowały się wygodne, sprawdzone podczas wielogodzinnego siedzenia krzesła i fotele, a cechowało się chłodem, przywodzącym dziewczynie na myśl wszystkie pokoje u pani Bunbury. Nad kominkiem wisiał tu obraz przedstawiający dżentelmena w staromodnej peruce i koronkowym fularze, który spoglądał posepnie na kobietę w szarej jedwabnej sukni, zajmującą w podobnej pozie miejsce przy przeciwległej ścianie. Lekki zez z jednego oka nadawał sportretowanej podejrzliwą minę, jak gdyby dama zastanawiała się, co przybyli robią w jej salonie, i wątpiła, czy są osobami wystarczająco porządnymi, aby w nim przebywać. Mary zresztą uważała wątpliwości te za całkiem uzasadnione, z drugiej strony jednak sądziła, że skoro ludzie nie potrafią przybrać min bardziej życzliwych, nie powinno się ich w ogóle portretować.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, lekko drżąc i popijając ciepłą herbatę. Panu Hunnable'owi najżywiej doskwierała ta niezbyt przyjemna sytuacja, wszak to on powinien poprowadzić konwersację. Westchnął w końcu i zastanowił się, czy kolejny tost zdoła złagodzić jego brzemię. Uznał, że najlepiej zacząć od panny Finch, której przecież przede wszystkim należała się jego uwaga. Oznajmił zatem, jak bardzo było mu przykro, gdy dowiedział się o śmierci pana Fincha, chociaż nie mógł się pochwalić szczególną zażyłością ze zmarłym. Każdy wypełnia swoje obowiązki... i naturalnie nie należy rozpaczać w przypadku, kiedy śmierć stanowi ulgę od odczuwanego cierpienia. Cierpienie jest oczywiście, ogólnie rzecz biorąc, losem ludzkości na tej ziemi, a choroba — szczególnie gdy się przedłuża — może być srogim ciężarem. Dodał, że jego własne zdrowie nie jest najlepsze, ale nie powinien

narzekać. I czy nie jest wszak pociechą, gdy uprzytomnimy sobie, iż nasze kłopoty w obecnym życiu stanowią konieczny wstęp do większych radości niebios?

Kiedy pastor zakończył swoją perorę, Mary skinęła głową uprzejmie i odparła, że jest wdzięczna za jego współczucie.

— Czy mam przez to rozumieć, że wielebny nie był przy śmierci mojego stryja?

Niestety, pan Hunnable rzeczywiście nie był obecny, ale dowiedział się tej przygnębiającej nowiny od pani Collins, gospodyni w White Ladies. Cierpiał wtedy sam z powodu choroby i nie opuszczał domu. Mary odparła, że pragnie się spotkać z panią Collins, wielebny wszakże ubolewał nad tym, że takie spotkanie prawdopodobnie okaże się niemożliwe.

— Surowa kobieta, tak zawsze o niej myślałem, jednak bardzo poruszyła ją śmierć biednego pana Fincha. Opuściła okolicę wkrótce po pogrzebie. Widzi panienka, nie była miejscowa. — Gospodyni, jak się okazało, pochodziła z dalekiego Sudbury i służyła u pana Fincha zaledwie przez dziesięć albo jedenaście lat. Nikt się zatem nie zdziwił, że gdy słaba więź z tutejszą społecznością została zerwana, kobiecina od razu postanowiła wrócić do własnej rodziny. Bez wątpienia w Lind-ham zawsze była uważana za obcą i dlatego stała się obiektem poważnych podejrzeń...

— Podejrzeń o co?

Pytanie i bezpośredni sposób, w jaki Mary je zadała, zbiło z tropu pana Hunnable'a.

— O obce, cudzoziemskie zachowanie, jak sądzę. To całkiem powszechne w miejscach takich jak tu, gdzie ludzie niewiele wiedzą o świecie zewnętrznym.

— Czy odwołuje się pan do własnych doświadczeń, wielebny? Źle pana potraktowano, gdy pan objął parafię? A może jest pan z Lindham?

Pani Tipton wydała z siebie parsknięcie o zadziwiającej głośności, biorąc pod uwagę niewielkie gabaryty tej damy.

— Nie, nie. Pan urodził się w Oxfordshire, prawda, panie Hunnable? — spytała.

Wielebny przyznał, po czym dorzucił, że jest on oczywiście duchownym.

Mary spojrzała na niego, marszcząc czoło. Czy duchowni są szczególnie liczni w Oxfordshire? A może święcenia uodparniały ich na plotki miejscowych? Żadna interpretacja nie wydawała jej się zbyt prawdopodobna, zamiast jednak ciągnąć tę kwestię, dziewczyna wyraziła zaskoczenie, że w takim dużym majątku jak White Ladies pracowała tylko jedna służąca. Pan Hunnable sądził jednak, a pani Tipton miała wręcz pewność, że tak właśnie przedstawiała się sytuacja. Był naturalnie zarządcą, lecz posiadłość White Ladies nigdy nie słyszała ze swoich ogrodów, ani w czasach pana Fincha, ani wcześniej, podobnie zresztą jak z gościnności.

— Nie miał pan zwyczaju odwiedzać pana Fincha, prawda, panie Hunnable? — zapytała pani Tipton.

— Nie, rzeczywiście nie. A co więcej — dodał, odchrząkując — dość trudno było mi zdecydować, jaki właściwie pan Finch powinien mieć pogrzeb. Rozumie się, dobrze znam wszystkie elementy składające się na udział duchownego w tym uroczystym i ważnym rytuale, ale skoro nieboszczyk nie podał do wiadomości swoich życzeń, nie wiedziałem, jak postąpić w odniesieniu do szczegółów natury osobistej. Człowiek stara się postępować taktownie, nawet kiedy pogrzeb musi być z konieczności skromny. Szczególnie kłopotliwy okazał się wybór nagrobka i mam nadzieję, że moja decyzja, którą poczułem się zobowiązany podjąć, zadowoli panią.

Podczas tej przemowy Mary przyglądała się Hollandowi. Wątpiła, czy w ogóle słuchał. Takie roztargnienie było naprawdę nieuprzejme z jego strony i pan Hunnable na pewno je zauważył. Ta potępiająca opinia oderwała ją samą od rozmowy, toteż wielebny wyciągnął wnioski szybciej, niż przewidziała. Gdy zamilkł, Mary — niezupełnie pewna, czy powinna kiwnąć głową, czy przybrać zmartwioną minę — mruknęła:

— Jakież to kłopot dla pana. Mój stryj nie pozostawił testamentu?

— Cóż, sądzę, że zostawił. Na pewno pan Todd pieczołowicie przestrzegał zasad ostatniej woli zmarłego, skoro poinformował mnie, że wszystko ma zostać przeprowadzone jak najmniejszym kosztem. Sądzę, że takie były polecenia pana Fincha... Nie ośmieliliby się przecież podjąć własnych decyzji w tej sprawie, prawda?

Teraz Mary bacznie się przysłuchiwała, powstrzymała się jednak od wygłaszania komentarzy, póki pani Tipton nie wyjaśniła, że Todd to nazwisko doradcy prawnego pana Fincha.

— Rozumiem — dziewczyna pokiwała głową. — I, co bardzo prawdopodobne, jest on wykonawcą testamentu lub przynajmniej osobą wtajemniczoną w warunki ostatniej woli.

— Może i był wtajemniczony, mnie jednak pozostawiono samemu sobie — poskarżył się pan Hunnable. — Byłem zupełnie zagubiony. Ponadto pan Todd uznał za stosowne odrzucić wszelkie aluzje co do zapisania... a może właściwy termin to zapis testamentowy?

— Tak, wielebny, zapis testamentowy, czyli legat. Tak sądzę.

— Zapisu, zatem... natury dobroczynnej, który zapewne również pozostawał w gestii pana Todda. Nie będę wszak narzekał. Każdy stara się, jak może, a jeśli zapisy charytatywne pozostają w rękach prawników... nie żebym wątpił w pana Todda, chociaż rzadko uczestniczy on w nabożeństwach. Ale tak to już jest. W każdym razie wszyscy sądziliśmy... wszyscy założyliśmy, że biedny pan Finch nie miał żadnych krewnych. Jestem przekonany, że nasze założenia były całkiem zrozumiałe. — Hunnable pokiwał głową, po czym, jak gdyby zdał sobie sprawę, że może kogoś obraził, stwierdził pospiesznie: — Ale oczywiście bardzo się cieszę, że myliłem się w tej kwestii.

— Tak, wielebny, dziękuję. — Mary starała się mówić z powagą, a Holland przewrócił oczami i poruszył się niecierpliwie na krześle. Dziewczyna nie ośmieliła się nawet na niego zerknąć, obawiając się wymiany spojrzeń.

W tej właśnie chwili rozległo się stukanie i w progu stanęła Peggy.

— Pan Somerville do pani.

Wraz z tym stwierdzeniem atmosfera uległa całkowitej przemianie.

— Ach, w końcu — zawołała pani Tipton, a kapitan Holland podniósł się, aby wymienić uścisk dłoni nie z jednym, lecz z dwoma nowo przybyłymi.

Pierwszym gościem okazał się sam sędzia pokoju, osobnik wielki, rumiany i dość hałaśliwy. Jego ubranie, ciemnozielony surdut ze złotymi guzikami i żółtą kamizelką w paski, był równie krzykliwy jak właściciel tego stroju. Towarzyszył mu wysoki, smagły dżentelmen, zarówno od sędziego młodszy, jak i znacznie modniej ubrany. Miał egzotyczny wygląd, co potwierdził pan Somerville, przedstawiając go jako pana Paula Depreza, ostatnio z wyspy Saint Lucia w Indiach Zachodnich, a obecnie mieszkającego w Woolthorpe Manor, posiadłości sędziego.

— Mam nadzieję, że nie narzucam się paniom — odezwał się Deprez, obejmując spojrzeniem Mary i panią Tipton. — Zafascynowała mnie historia, którą mój przyjaciel Somerville opowiedział mi o wczorajszych zdarzeniach, i pozwoliłem sobie włączyć siebie w wystosowane przez panią zaproszenie.

Pani Tipton uspokoiła go, po czym szybko oceniwszy go wzrokiem, spytała, czy skoro Indie Zachodnie najbardziej słyną z produkcji cukru, gość ma tam majątek? Pan Deprez przyznał się do posiadania plantacji trzciny cukrowej; posiadałby ją nadal, gdyby nie została zniszczona podczas obecnej wojny. Nie chciał jednak przeszkadzać przyjacielowi w wypełnianiu obowiązków zawodowych, toteż wycofał się, zajmując krzesło obok pana Hunnable'a i sugerując gestem, że nie zamierza dłużej brać udziału w rozmowie.

— W samej rzeczy — kiwnął głową Somerville — obowiązki zawodowe. — Przez chwilę stał przed kominkiem, skutecznie blokując mizerne ciepło wytwarzane w palenisku, w końcu

przybrał wojowniczą minę. — Jest jedna rzecz, której nie mogę tolerować... no cóż, może dwie rzeczy... — oznajmił — ...to trudnienie się przemytem w czasie wojny i republikanizm. Patrzcie państwo, dokąd te republikańskie nonsensy doprowadziły Francuzów! A ta druga sprawa jest jeszcze gorsza, ponieważ przemyt pomaga tym samym przeklętym republikanom.

— Bardzo kłopotliwe — mruknął wielebny Hunnable.

— Bawię się w chowanego z przemytnikami przez ostatnich dziesięć lat — kontynuował sędzia — a teraz słyszę, że mieli śmiałość włamać się do domu przyzwoitego dżentelmena, który jeszcze nie ostygł... Och, przepraszam, panno Finch. Miałem na myśli tylko... To jest skandal.

— Tak, proszę pana — przyznała Mary, rumieniąc się, gdy wszystkie oczy zwróciły się na nią. — Był pan...? Dobrze znał pan mojego stryja?

— Nie śmiałym się posunąć tak daleko, by nazwać nasze stosunki przyjaźnią — stwierdził pan Somerville. — Pan Finch był człowiekiem zamkniętym w sobie... trzymał się na uboczu. Mam rację, pani?

Pani Tipton skrzywiła się i odwróciła lekko głowę, jak gdyby chciała zbyć skierowane do niej pytanie.

— Rzeczywiście tak. Cóż, pan Finch był zapalonym czytelnikiem i obchodziły go jedynie książki, a niewiele osób ma ochotę oddawać się na spotkaniach towarzyskich wyłącznie dysputom literackim. Dobrze byłoby, żebyś to sobie zapamiętała, Mary — dodała, jak gdyby odnosiła się do jakiejś uprzednio omówionej słabostki dziewczyny.

— Miałem honor spotkać pana Fincha krótko po moim przybyciu w te okolice — wtrącił Deprez i skłonił głowę w kierunku dziewczyny. — Odkryłem, że to bardzo dowcipny, inteligentny dżentelmen i ze wszech miar sympatyczny, mimo kiepskiego stanu zdrowia.

— Och tak, niewątpliwie — zgodził się z nim pan Somerville — był dość wiekowy... Ale, jeśli wybaczycie mi, panie,

sądę, że panegiryki powinniśmy pozostawić na inną porę. Proponuję natychmiast pojechać do White Ladies i zbadać... miejsce przestępstwa. Szczegóły zdarzeń, do których tam doszło, możemy przedyskutować po drodze.

— Jak najbardziej — przytaknęła pani Tipton, myśląc, że konwersacja nie należy do zbyt mocnych stron pana Somerville'a. — Niewątpliwie śledztwo jest niezbędne.

Kapitan Holland i pan Deprez mieli towarzyszyć sędziemu i dwóch z tych trzech mężczyzn zdumiało się, gdy Mary nieśmiało się wprosiła. Pan Somerville otworzył usta w zdumieniu, przyznał jednak, że nie potrafi dostrzec żadnych przeszkód. A ponieważ uważał, że obecność dziewczyny przeobrazi uciążliwe zadanie w swego rodzaju przyjemną wycieczkę, zaprosił także pana Hunnable.

— Och, ja...

— Wyśmienicie — zawołał sędzia. Poklepał Hunnable'a przyjacielsko po ramieniu, przy okazji przewracając talerz wielebnego i serwetkę, a chwilę później już był w korytarzu, prosząc Peggy o kapelusz i płaszcz.

Wszyscy wsiedli do powozu pana Somerville'a — Hunnable usiadł między Mary i Deprezem, a Holland i Somerville naprzeciwko. Mary widywała w Bath wspaniałe pojazdy, nigdy jednak żadnym nie jechała i teraz ponownie owładnęło ją wrażenie, że trafiła do bajki. Pan Somerville wprawdzie szczególnie pasował do jej wyobrażeń o księciu, lecz jego powóz szczyił się siedzeniami z jasnej skóry i oparciami o całkiem luksusowej miękkości, na zewnątrz zaś na sygnał do odjazdu oczekiwał stangret w niebiesko-srebrnej liberii. Sygnał został wydany z rozmachem, gdy sędzia zastukał laską. Koła zaczęły się obracać, a wówczas Somerville rozpoczął przesłuchanie. Po pierwsze chciał zrozumieć dokładniej, jak Mary i Holland dotarli do White Ladies i co właściwie zdarzyło się tamże po ich przybyciu. Mary odpowiedziała na większość pytań i wszyscy wydawali się tak zainteresowani jej relacją, że zaczęła się powoli rozluźniać, aż wreszcie poczuła się

swobodnie. Wrażenie bajkowości nie zniknęło, ale może Mary naprawdę należała do tej bajki. Odkryła, że całkiem dobrze czuje się, będąc w centrum uwagi, więc kiedy skończyła opowiadać, doświadczyła ukłucia żalu. Widząc, że pan Hunnable zamierza przemówić, znowu się zatem odezwała, wspominając bez szczególnego powodu złowieszcze przestrogi, które wraz z Hollandem otrzymali od woźnicy w kwestii stanu drogi przybrzeżnej. Pan Somerville potrząsnął z lekceważeniem głową. — Ten pojazd — stwierdził — jest znacznie lżejszy, niż można by sądzić, kiedy się na niego patrzy. Lekki, lecz solidny. Nie niepokoi pani ruch powozu, panno Finch? Niektórzy uważają jazdę za zajęcie niewygodne.

— Och, nie!

— Zresztą przypuszczam, że moi ludzie potrafią nas z niego wyciągnąć, jeżeli zajdzie taka konieczność. — Powozem szarpnęło nagle i pan Somerville krzyknął: — Spokojnie, człowieku! — Równocześnie uderzył w sufit laską. Potem poprawił perukę i podjął indagację: — Wiesz, panno Finch, interesuje mnie ten Tracey. Gdyby żył, moglibyśmy się od niego dużo dowiedzieć. Nie sądzę, żebyś pan kiedyś z nim rozmawiał, prawda, kapitanie Holland?

— Nie, sir. — Coś w tonie Hollanda, jakiś cień niepokoju, przyciągnął uwagę Mary i dziewczyna przyjrzała się kapitanowi z uwagą.

— Być może powiedzą nam coś o nim w Ipswich.

— Nie był miejscowy — mruknął Holland. — Tak twierdził Bamford... właściciel gospody Pod Wielkim Białym Koniem.

— Co za szkoda. Niemniej jednak popytam znajomych sędziów. — Pan Somerville zapatrzył się w okno na pociemniałe, zachmurzone niebo. — Mam nadzieję, że nie czeka nas kolejna ulewa. Najgorszy dzień świętego Michała, jaki pamiętam, jeśli chodzi o pogodę. — Długi, falisty żywopłot ciągnął się obok nich od strony Hollanda. Kapitan obrzucił krajobraz przelotnym spojrzeniem, po czym zamknął oczy.

Mary nadal go obserwowała i nagle przywołała w myślach na wpół zapamiętany obraz ich poprzedniej wspólnej podróży. Uśmiechnęła się do siebie, uświadamiając sobie łączącą ich tajemną, niewypowiedzianą więź. Kiedy powóz zwolnił na zakręcie, pochyliła się do przodu i spytała Hollanda, czy nie zechciałby się z nią zamienić miejscami.

— Dziękuję — kiwnęła głową, gdy się przesiadali. Jej oczy nie zdradzały ostatnich przemyśleń. — Ten ruch stał się dla mnie odrobinę... niepokojący.

— I woli pani usiąść tyłem do kierunku jazdy?! — zdumiał się pan Somerville. — Większość osób postępuje dokładnie odwrotnie. Oczywiście, proszę robić, jak pani uważa.

Z nowej pozycji Mary mogła dokładniej przyjrzeć się panu Deprezowi. Nie gapiła się na niego oczywiście, co byłoby niegrzeczne, ale... często na niego zerkiała. Matka Mary twierdziła, że dużo można się o mężczyźnie dowiedzieć z wyglądu jego rąk. Po pierwsze: czy jest w ogóle dżentelmenem albo przynajmniej czy postępuje jak dżentelmen. Miękkie, pulchne palce nigdy nie trzymały wodzy konia, natomiast stwardnienia i połamane paznokcie nie były efektem przewracania stronic w księgach. Dżentelmen, oczywiście, powinien czuć się jednakowo dobrze w domu, na polu i w bibliotece. Zbyt dużo biżuterii sugerowało elegancika, a postrzępione mankiety to pewny znak kłopotów pieniężnych. Według tych kryteriów pan Deprez był dżentelmenem w każdym calu. Mary nie dostrzegała u niego ani żadnych braków, ani fircykowości, w dodatku roztaczał wokół siebie spokojną elegancję, dzięki której znacznie wyróżniał się na tle swoich sąsiadów. Pomyślała, że pan Deprez być może nawet potrafiłby docenić scenerię jej dzisiejszego śniadania.

W wyniku zamiany miejsc wielebny Hunnable musiał mocniej przycisnąć się do Depreza, który spytał go teraz:

— Nie przypuszczam, żebyś pan spotykał wielu przemytników wśród swoich parafian, sir?

Pan Hunnable zaprzeczył bardzo energicznie, choć po chwili wyznał:

— Czasami późno w nocy można usłyszeć różne odgłosy, zwłaszcza jeśli ktoś, tak jak ja, ma lekki sen. I muszę powiedzieć, że w przeszłości miałem w zwyczaju trzymać się z dala od okien przy takich okazjach, gdyż... Ale naturalnie sytuacja zupełnie się zmieniła wraz z naszym zaangażowaniem w tę straszną wojnę.

— Ach tak?

Wielebny wyjaśnił, że zobowiązał się uderzyć w dzwon kościelny w przypadku przypląnięcia Francuzów, i Deprez skinął głową z aprobatą.

— Wysoce chwalebna służba.

— To może nie jest zbyt dużo — stwierdził duchowny — lecz kiedy nasza społeczność jest zagrożona, odpowiedzialność za jej ochronę spada tak samo na ludzi Kościoła, jak na ludzi miecza. Szczególnie kiedy nasi wrogowie są takimi bezbożnymi stworzeniami.

— „Wara ode mnie, Robespierre”, co? — zachichotał pan Somerville.

Wielebny zadrżał.

— Boję się myśleć, co się zdarzy, jeśli będziemy mieli pecha i rzeczywiście zostaniemy zmuszeni przeżyć inwazję. — Rozmyślał jednak przez moment nad sytuacją, po czym upewnił się nerwowo: — Nie wierzycie, że to Francuzi byli w White Ladies, nieprawdaż?

Sugestia, że może Mary była więźniem wroga, powinna ją przerazić, lecz tok wypowiedzi duchownego wywołał u niej całkiem odmienne skojarzenia. Dziewczyna odwróciła się, aby ukryć uśmiezek, po czym oświadczyła, że nie wydaje jej się, by spotkała jakichś Francuzów, a pan Somerville wyraził opinię, że gdyby przypląnęli, pan Hunnable niewątpliwie usłyszałby o tym jako pierwszy i natychmiast uderzył na alarm.

— Tak. No cóż, mam nadzieję, że tak. Nie chciałbym dać się przyłapać, jak śpię na moim posterunku.

Ta wymiana zdań przypomniawsza Mary o czymś jeszcze, więc odwróciła się ponownie do swoich towarzyszy.

— Sądzę, że pan Tracey wiedział, iż coś niezwykłego dzieje się w White Ladies. Mówił bardzo ciekawe rzeczy...

— Bo zgłupiał od ginu — dokończył Holland.

— Ach, sławny kordiał — zarechotał pan Somerville.

— Być może — zgodziła się Mary — ale przecież miał klucz do... — Zamilkła. Kapitan Holland nie był już tak niezdrowo blady jak przed chwilą i dziewczyna uznała, że rozsawniej będzie unikać jego wzroku. — Tak, istotnie, klucz, który tak zapobiegliwie pani zabrała — powiedział wesoło sędzia, jak gdyby w zupełności aprobował przetrząsanie czyichś kieszeni.

— Och, ma się rozumieć, nie zamierzałam — tłumaczyła się Mary, nadal nie potrafiąc spojrzeć na Hollanda. — I wiem, że postąpiłam bardzo niewłaściwie, zabierając go, ale kiedy zobaczyłam ten zegarek, pomyślałam... — To wielkie szczęście, że go pani zauważyła. Wyobrażam sobie, że na widok zegarka „otworzyły się pani oczy”, jak to mówią, ponieważ zegarek mężczyzny był taki sam, jak repetier pani ojca. Pewnie przeżyła pani wstrząs, widząc czasomierz na kamizelce obcego człowieka. — Tak, rzeczywiście.

Przypuszczała, że oba zegarki znajdują się obecnie w rękach przemytników wraz z resztą dobytku jej i Hollanda, a pan Somerville oznajmił, że — z oficjalnego punktu widzenia — ma wręcz nadzieję, iż faktycznie zostały skradzione. Zrabowaną własność bowiem często sprzedawano, a im przedmioty są bardziej unikalne, tym łatwiej je wytropić. Gdy zostaną odzyskane, będą stanowiły cenny dowód przeciwko łajdakom, którzy w przeciwnym razie uniknęliby kary. Większość przemytników była zapewne miejscowa, choć oficjalne oskarżenie ich okaże się prawdopodobnie niełatwe.

— To miejscowi ludzie?! — zawołała Mary, błędna na myśl o spotkaniu tego czy innego spośród napastników podczas

przypadkowej rozmowy na głównej ulicy Lindham albo nawet na frontowych stopniach Lindham Hall. Może nie rozpoznałyby ich z wyglądu, ale ich głosy... te trudno jej było zapomnieć, podobnie jak paraliżujący uścisk wielkiej, zgrubiałej dłoni na jej gardle. Przełknęła nerwowo ślinę.

Nieco z jej niepokojów udzieliło się panu Somerville'owi, który natychmiast postanowił ją uspokoić. — Nie chcę powiedzieć, że grozi pani jakieś niebezpieczeństwo. Ta cała sprawa bez wątpienia bardzo tych łotrów wystraszyła i podejrzewam, że teraz zapadną się pod ziemię. — Poklepał dziewczynę po ręce pocieszającym gestem. — A może znajdziemy w White Ladies jakaś trop, który pomoże nam ich odszukać.

Wiedząc o zwalonym drzewie, pan Somerville odpowiednio pokierował woźnicą, dzięki czemu bez trudu wjechali wprost na dziedziniec White Ladies. Wysiedli... może niecałkiem jak sfora psów myśliwskich węszących ślad, lecz na pewno aż się palili do rozpoczęcia śledztwa. Mary wzięła sprawę w swoje ręce, kierując przybyłych do tylnego wejścia i wskazując różne drobiazgi, które za pierwszym razem wzbudziły jej podejrzenia, że dom jest niezamieszkaany. Była świadoma ciszy, która ją zaskoczyła. Czuła się, jak gdyby wyjaśniała coś, co się zdarzyło komuś innemu dawno temu — na przykład jakby prowadziła lekcję historii w szkole pani Bunbury. Myśl ta nie przypadła jej do gustu i gdyby nie obecność kapitana Hollanda, Mary walczyłaby z pokusą zmyślenia jakiejś opowieści o domu bądź zdecydowanie rozwinęłaby incydent z kluczem. W obecnej sytuacji jednakże uznała, że najlepiej ten temat zmilczeć.

Drzwi były uchylone. Do środka weszli jedno za drugim. Kiedy Holland i Deprez zapalili świece, dziewczyna dokonała pierwszego, ważnego odkrycia. Jej kufer, peleryna i kapelusz nadal oczekiwały w holu wejściowym, a w kieszeni swojego płaszcza znalazła oba zegarki. Przemytnicy wykazali się sprytem; nie zamierzali zostawić panu Somerville'owi żadnego jednoznacznego tropu, za którym mógłby pójść. Sędzia wyraził

swoją frustrację wobec tej porażki w serii wymamrotanych przekleństw, a następnie ruszył korytarzem, głośno tupiąc i dźgając laską zwinięty dywan. Mary zareagowała o wiele bardziej powściągliwie. Po prostu zamknęła swój podniszczony skórzany mieszek i włożyła go z powrotem do peleryny. Tak, przemytnicy okazali się rzeczywiście ogromnie sprytni; pozostawili zegarki, ale zabrali jej pieniądze. Nie była to duża kwota, stanowiła jednak niemal cały fundusz, jaki dziewczyna posiadała. Nie będzie teraz mogła opłacić nawet powrotu do Saint Ives.

Po tym odkryciu posmutniała i zwątpiła w siebie. Ledwie dostrzegła migoczące światła, wszechobecny chłód czy stłumione rozmowy toczące się wokół niej. Zamiast poddać się bezradności, szybko ustaliła, jakie działania musi podjąć w obliczu tego nieszczęścia — powinna napisać do pani Bunbury i błagać ją o zaliczkę na poczet następnej pensji. Sądziła, że pracodawczyni udzieli jej skromnej pożyczki, wystarczającej na powrót do szkoły, będzie to jednak oznaczało porzucenie tego miłego miejsca. W dodatku Mary doskonale potrafiła sobie wyobrazić kazanie pani Bunbury po powrocie, jej protekcyjnalne spojrzenia i... własne straszliwe poczucie niepowodzenia. Gdyby tylko mogła rozwiązać ten problem tu, w Suffolku. Miała już duży moralny dług wobec pani Tipton; czy może dodać do tego jeszcze dług pieniężny?

Nie brała pod uwagę poinformowania o swojej stracie któregoś z mężczyzn. Żywiła przekonanie, że ich pieniądze popłynęłyby ku niej strumieniami i bez żadnych kazań, uważała jednak, że niestosownie byłoby zdać się na łaskę dżentelmenów... że nie takiego wyboru młoda dama powinna dokonać. Nie umiałaby wprawdzie wyjaśnić dokładnie różnicy pomiędzy taką prośbą o pożyczkę a zgodą udzieloną kapitanowi Hollandowi, aby zapłacił za jej bilet z Ipswich, czuła jednak, że jakaś na pewno istnieje. Tak czy owak, nie powiedziała nikomu o swojej stracie i po prostu dołączyła do pana Depreza i wielebnego, którzy zbierali jakieś papiery rozrzucone na podłodze.

Należały one do kapitana Hollanda, który oznajmił, że są to jedynie niezbyt ważne notatki i obliczenia; niemniej przejrzał je, wyraźnie układając w jakimś porządku, a dopiero później wepchnął do sfatygowanego skórzanego portfela. Zarumienił się, gdy Mary wręczyła mu kilka kartek odmiennego rodzaju, przyjmując je od niej bez słowa.

Z holu wejściowego przeszli do biblioteki i teraz dziewczynę znów ogarnął niepokój. Idąc korytarzem, przypominała sobie, w których miejscach stali przemytnicy. W bibliotece panował nieporządek po jej próbie ucieczki przed napastnikiem — przewrócone krzesło, roztrzaskany przycisk do papieru i wygięty świecznik. Kiedy dotarli do kuchni, wspomnienia stały się jeszcze klarowniejsze. Oprócz resztek posiłku przyrządzonego przez Mary i Hollanda stało tam kilka brudnych szklanek i dwie puste butelki po winie. Przemytnicy najwyraźniej posilili się i popili, gdy unieszkodlili swoich więźniów. Teraz uwięzienie wydało jej się jeszcze bardziej nieludzkie i chociaż stale odwracała wzrok, nie mogła się powstrzymać przed zerkaniem na różny i szpikulce do mięsa wiszące na ścianach. Obecnie nie wydawały jej się przedmiotami domowego użytku; przeciwnie, wyglądały jak straszne narzędzia tortur.

Kiedy zlokalizowali i podnieśli pokrywę w podłodze, Holland i Deprez zeszli do piwnicy, natomiast reszta towarzystwa pozostała na powierzchni. Mary trzymała się z dala od schodków i nie mogła się zmusić do zerknięcia w dół, chociaż obserwowała huśtające się światła latarni. Miała wrażenie, że jej serce podryguje nierytmicznie jak to światło.

Deprez wyłonił się pierwszy.

— Bardzo niezwykle — powiedział, otrzepując ręce — i niezbyt przyjemne.

— Rzeczywiście — zgodził się z nim z dołu kapitan. Kiedy wrócił, miał niemal wypisane na twarzy: „nie powinnaś tu przyjeżdżać, Mary” tak wyraźnie, jak gdyby wypowiedział te słowa na głos.

Dziewczyna wzruszyła w odpowiedzi ramionami, sugerując, że nikt jej nie zarzuci tchórzostwa.

— Niezwykłe! — zauważył pan Somerville, badając zewnątrz pokrywy. — Kiedy jest opuszczona i zamknięta, można swobodnie po niej chodzić i nawet nie podejrzewać, że znajduje się pod nią zejście do piwnicy. Zapewne sam chodziłem tędy niejednokrotnie, nie przypuszczając nawet... No cóż — kontynuował, gdy dźwignęli ciężką pokrywę i opuścili ją, a on naprawdę przeszedł się po niej. — Wątpię, czy znajdziemy tutaj jakieś przydatne wskazówki. Nasi przyjaciele nie zostawili po sobie zbyt wielu śladów.

Drzwi domu zamknęli kluczem Mary. Pan Somerville proponował, że przyśle tu kogoś, kto wymieni zamki, do tego czasu mogli przynajmniej zapobiec potencjalnym szkodom ze strony pogody i przypadkowych złodziei.

— Cyganów — rzuciła Mary, myśląc o pani Tipton.

— Hm? Ach tak — kiwnął głową pan Somerville. Deprez chciał obejrzeć wyjście z tunelu, więc udali się na miejsce ucieczki Hollanda i Mary. Kapitan otworzył niskie drewniane drzwi, a zamyślony sędzia wetknął łaskę w ciemny otwór w ścianie.

— Mieliście szczęście, że drzwi nie były zamknięte na kłódkę od zewnątrz — zadumał się Deprez. — Przypuszczam jednak, że wszyscy dawno zapomnieli o istnieniu tunelu, w przeciwnym razie przemytnicy sami by go używali.

— Bądźmy zatem wdzięczni za kiepską pamięć niektórych osób — zgodził się pan Somerville — i za to, że nie byliście zdani na łaskę tych nikczemników. Nie żeby — dodał szybko, bardziej jowialnym tonem — groziło wam jakieś prawdziwe niebezpieczeństwo. Bardzo niemiła przygoda jednakże. Pozostał w wesołym nastroju, kiedy wracali do powozu.

— Wiecie — zauważył — to naprawdę bardzo urocze stare domostwo. W pełni odpowiadało staremu Finchowi... to znaczy panu Finchowi. Wraz z pasażem i krużgankiem stanowi godny uwagi przykład wczesnego gotyku... Tak mi mówiono. Właściwie pan Hunnable zamierza napisać broszurkę na jego temat. Mam rację, wielebny?

— Tak — odezwał się słabym głosem pan Hunnable — takie jest moje pragnienie.

Mary szła do tej pory obok kapitana Hollanda, ale w tym momencie po jej drugiej stronie pojawił się nagle pan Deprez.

— Mam nadzieję, że tamte nieprzyjemne zdarzenia nie zraziły pani do tej posiadłości, panno Finch. Że nie znieubiła jej pani z ich powodu.

— Och nie — odparła Mary, próbując mówić z przekonaniem. Nie sądziła, by któryś z tych mężczyzn, może z wyjątkiem pana Hunnable'a, dał się zastraszyć bandzie przemytników, i nie chciała im się wydać ani trochę mniej odważna. — Pragnęłabym kiedyś dokładniej przejrzeć bibliotekę stryja — dodała nonszalancko. — Może któregoś dnia.

— Jest pani zatem, podobnie jak był jej stryj, przynajmniej w opinii pani Tipton, zapaloną czytelniczką?

— Przypuszczam, że tak, ilekroć mam okazję.

— Uznałabyś pewnie, pani, że trudno przebrnąć przez te wszystkie książki twego stryja, a nie wiem, czy znalazłabyś tam wiele takich, które mogą zainteresować młode damy — wypalił pan Somerville.

— Finch prawdopodobnie nie gustował w powieściach czy tego rodzaju lekturach... Suponuję, że ogromnie lubisz czytać powieści?

Mary zastanowiła się, czy zamiłowanie do powieści jest słabością, do której powinna się przyznać. Ze względu na zadowolony ton sędziego uznała, że nie. Kapitan Holland również wzdrygnął się nieznacznie. Pan Deprez jednak najwyraźniej widział tę kwestię w bardziej pozytywnym świetle, więc zwróciła się do niego. — W Cambridge jest bardzo dobra wypożyczalnia — wyjaśniła — i kiedy któraś z nauczycielek wypożyczyła jakąś książkę, na ogół wszystkie ją czytałyśmy.

Deprez kiwnął głową.

— Oczywiście.

— A jedna z moich koleżanek szczególnie ceniła sobie powieści.

Wygłoszone wesołym tonem stwierdzenie pana Somerville'a skłoniło ją do zapewnienia całej grupy, że lubi także poezje, dzieła historyczne i w ogóle wszelkiego rodzaju książki.

— No cóż, mam nadzieję, że pozostaje pani wierna lekturom o szczęśliwych zakończeniach. — Sędzia teraz prawie chichotał. — Romantyczna miłość i szczęśliwe rozwiązania to ten rodzaj treści, który najlepiej pasuje do młodych dam... Zgodzicie się, panowie?

Pan Hunnable wydał z siebie nieśmiały beczący dźwięk, lecz Deprez zdecydowanie pokręcił głową.

— Obawiam się, że ja nie mogę się zgodzić. Lubimy myśleć... my, mężczyźni... że damy nie potrafią zrozumieć wyższych form sztuki i zaspokajają się czymś banalnym czy sensacyjnym. Ale w ten sposób jedynie hołdujemy naszej miłości własnej, nie biorąc pod uwagę rzeczywistości.

Pan Somerville z pobłażaniem potrząsnął głową.

— To graniczy z filozofią, sir. Przypominam sobie jednak pewne wypowiedzi o płci piękniejszej, lecz słabszej... No i co z Biblią? Córki Ewy i tak dalej? Co pan powie, panie Hunnable?

— Powinienem chyba potwierdzić...

— Nie mogę naturalnie polemizować z wielebny w odniesieniu do córek Ewy — wtrącił Deprez poważnie — z moich doświadczeń wszakże wynika, iż dama o wyrobionym smaku i inteligencji jest tak samo zdolna docenić literaturę, poezję czy filozofię jak mężczyzna. A w pannie Finch, sądzę, mamy uosobienie takiego opisu.

Mary poczuła, że na twarzy wykwiła jej rumieniec, a równocześnie nie miała nic przeciwko temu komplementowi. Sprawiała jej wręcz przyjemność sugestia Depreza, że edukacja stawia ją wyżej od większości ludzi, szczególnie cechujących się techniczną lub bezrefleksyjną naturą. Uważała tak samo, zdumiała się jednak, że spotyka mężczyznę, który podziela jej opinię. Dlaczego któraś z jej znajomych nauczycielek u pani Bunbury nie ma takiego brata jak ten dżentelmen?!

— No, dosyć tego, drogi panie! — zaprotestował Somerville — zmuszasz mnie, bym stanął w szranki w obronie rodzaju męskiego. Kapitanie Holland, wspomóż mnie pan?

— Nie sędzę, żebym mógł, sir — przyznał Holland. — Obawiam się, że jestem jednym z tych tępych technicznych osobników, o których wspomniał pan Deprez.

— Wcale nie! — zawołał tamten. — Opacznie mnie pan zrozumiałeś, sir. Nie zamierzałem pana obrazić. Co więcej, cenię naukę w najwyższym stopniu, a pańska profesja wiąże się z nauką, czyż nie?

— Tak, rzeczywiście. Słyszałem wprawdzie, że określa się ją mianem bohaterskiej, jednak nie posunąłbym się tak daleko.

Ich podróż powrotna do domu pani Tipton przebiegła w odmiennym nastroju od tego, w jakim się zaczęła. Całe napięcie z nich uszło, toteż większość jadących w powozie osób poczuła się raczej ospała. Deszcz zaczął znów padać i równomierne bębnienie o dach powozu dodatkowo przyczyniło się do ciężkiej atmosfery. Próby konwersacji również niewiele pomagały. Biorąc pod uwagę ostatnie zdarzenia i doświadczenia pana Somerville'a jako sędziego, wywnioskowali, że przemytnicy bardzo dobrze znali White Ladies. Fakt, że posiadłość leżała niedaleko morza, a w pobliżu znajdowały się przyzwoite miejsca do cumowania, zmieniał ją w całkiem prawdopodobny magazyn, w którym przestępcy mogli tymczasowo gromadzić ładunek, zanim przewieźli go w głąb lądu. Takie tymczasowe składowiska były niezbędne dla działania siatki, której wpływy sięgały przypuszczalnie aż do Londynu. Kiedy pan Finch umarł, przemytnicy po prostu objęli w posiadanie jego majątek. Skoro właściciel domu nie miał w okolicy żadnej rodziny, sędzili, że budowla postoi przez pewien czas pusta.

— Co do waszej... niefortunnej przygody, po prostu przypadkowo natknęliście się na bandę — zasugerował pan Somer-

ville. — Przemysłowcy odkryli waszą obecność i zamknęli was, myśląc, że możecie okazać się niebezpieczni.

— Jakie zagrożenie moglibyśmy dla nich stanowić? — spytała Mary. — Chyba nie wyładowali przecież żadnego towaru... w domu niczego nie znaleźliśmy. Nie mogli najnormalniej w świecie pozwolić nam odejść?

— Ech, przemysłowcy to bardzo podejrzani ludzie — odparował sędzia. — I widok oficera na pewno ich przeraził. Nie zamierzam wszakże... obwiniać kapitana Hollanda za to, co się zdarzyło. Byliście oboje obcymi, to wystarczyło.

— Tak, rozumiem. — Dziewczyna pokiwała głową. — I nasz przyjazd do White Ladies nie był wcale tajemnicą, szczególnie że... och, tak, prawie zapomniałam o Koronie.

— O jakiej koronie? — spytał Déprez. — Ma pani na myśli monetę?

— Nie, gospodę w Woodbridge. — Opowiedziała o swojej rozmowie z właścicielem lokalu i jego kamratami, wspominając ich dziwaczne zachowanie, kiedy zapytała o White Ladies. O ileż bardziej podejrzana wydawała się ciekawość tych mężczyzn teraz, w świetle ostatnich zdarzeń! Mary od razu przecież zaczęła podejrzewać, że coś jest nie w porządku, teraz zaś była pewna, że szajka zbierała się właśnie w Pod Koronę.

— Nie każdy mężczyzna, który nie ma ochoty zwierzać się obcym, jest złoczyńcą — przestrzegł ich Holland. — Nie, ale złoczyńcy zazwyczaj potrafią trzymać gębę na kłódkę — odciął się Déprez. — Tak przynajmniej wynika z moich doświadczeń.

— Z moich także — zgodził się pan Somerville.

— Jestem pewna, że coś szykowali — podjęła Mary. — Mężczyzna nazwiskiem Tom Scott wiedział najwięcej, a twierdził, że mieszka w Lindham. Myślę, że należy... Och, przepraszam, panie Somerville, nie powinnam pouczać pana, jak się prowadzi śledztwo...

— Ależ nic się nie stało, panno Finch. Byłaś, pani, nad-

zwyczaj pomocna i jestem ci szczerze zobowiązany. Tom Scott, mówisz? Na pewno porozmawiam sobie z tym jegomościem.

— Może pan też spytać o Traceya — dodała pospiesznie. — Jeśli się znali... to pewnie byłoby ważne.

— Kierowała swoje uwagi bardziej do Depreza i ucieszyła się, kiedy w zadumie pokiwał głową. Odstawili najpierw pana Hunnable'a na plebanię, po czym rozdzielili się pod Lindham Hall. Chociaż zaproszeni, aby wejść do środka, panowie z Woolthorpe Manor woleli pojechać prosto do siebie i zjeść kolację w domu.

— Nie mają własny fotel przy kominku, prawda? — spytał pan Somerville, po czym odciągnął Mary na stronę na słówko. Była z tego zadowolona, ponieważ również chciała go o coś spytać, chociaż wątpiła, czy z sędzią można porozmawiać na osobności, skoro zwykle przemawiał takim tubalnym głosem.

— Zastanawiałam się—zaczęła — co pana zdaniem powinnam teraz zrobić.

— Zrobić? — Spojrzał na nią, marszcząc czoło. — Niezupełnie... Nie musi się pani martwić o żadne ze spraw praktycznych... ślusarzy i tak dalej... Zamienię też słówko ze starym zarządcą pani stryja. Będziesz oczywiście musiała, pani, zdecydować, czy chcesz go ponownie zatrudnić, nie zaszkodzi jednak poprosić, aby pochodził czasem po okolicy...

Mary pomyślała przelotnie, że prawdopodobnie nie jest w stanie nikogo „zatrudnić”, lecz tylko kiwnęła głową, a potem zadała swoje pytanie otwarcie. Czy powinna pozostać w Lindham, przynajmniej na razie?

Sędzia był błogo nieświadom głębszych problemów łączących się z tym pytaniem.

— A jakże! — odpowiedział pogodnie. — Tak będzie najdogodniej dla wszystkich, jak mniemam. Chyba że bardzo pragnie pani wrócić do Saint Ives.

— Nie, ale... — Zagryzła wargę, zastanawiając się, jak szybko zdoła zdobyć fundusze niezbędne do przedłużenia pobytu. Mogłaby napisać do panny Marchmont i panny Trent,

swoich najlepszych przyjaciółek spośród nauczycielek w szkole pani Bunbury, ale one rzadko miały nadmiar gotówki. — Naprawdę nie powinnam się już narzucać pani Tipton — dokończyła tonem kogoś, kto chce, aby go zapewniono, że właśnie tak powinien postąpić.

Pan Somerville stanął na wysokości zadania.

— Narzucać się? — powtórzył. — Ani trochę. Wątpię, czy pozwoliłaby pani wyjechać... a gdyby pozwoliła, byłaby śmiertelnie obrażona.

Tego, zgodzili się, należy unikać i Mary wydała dyskretne westchnienie ulgi. Jedną sprawę zatem załatwiła; pozostałe muszą na razie poczekać.

Uśmiechnęła się niepewnie i pan Somerville poklepał ją po ręce.

— Ustalono zatem. Pani pobyt ułatwi wszelkie procedury, kiedy trzeba będzie się zająć prawną stroną rzeczy... to znaczy prawnymi sprawami związanymi ze śmiercią pani stryja. Nic dobrego czy złego nie może się zdarzyć bez prawa wściubiającego nos, chociaż chyba nie powinienem używać takich określeń, skoro sam jestem urzędnikiem wymiaru sprawiedliwości.

Adwokat stryja Mary, pan Todd, miał biuro w Woodbridge i pan Somerville zaproponował, że od rano rano wyśle do niego kogoś z wiadomością. Perspektywa ta sprawiła, że dobrotliwie zachichotał.

— A może nawet pojedę sam. Chciałbym zobaczyć jego minę, gdy odkryje, że osoba, której szuka, ubiegła go w staraniach!

— Uważa pan, że próbuje mnie odnaleźć? — spytała Mary.

— Ma obowiązek pani poszukiwać. To duża posiadłość, wie pani, a stryj pani zapewne posiadał również inne inwestycje. Jeśli dziedziczy pani po nim, a suponuję, że tak, stanie się pani dziedziczką całkiem pokaźnego majątku.

9

— No, panno Finch, co pani myśli? — Było popołudnie nazajutrz i na dziedzińcu kościoła Świętego Jana Chrzciciela w Lindham wiał rześki wietrzyk. Wielebny Hunnable trzymał mocno rondo swego kapelusza, prawie jak gdyby oddawał komuś honory, peleryna Mary zaś łopotała i wydymała się wokół jej ciała. — Oczywiście, wygląd kamienia poprawi się, kiedy ten nieco zwietrzeje, a wiosną miejsce to znajdziesz moim zdaniem bardzo spokojnym...

Wpatrzył się w dziewczynę z niepokojem.

— Tak, jestem pewna, że ma pan rację — zgodziła się, powstrzymując dygot. Trudno było w tej chwili myśleć o wiosnie, gdy stało się w otoczeniu niemal całkowicie obnażonych drzew, na których pozostały nieliczne jedynie zeschnięte liście, i brązowej, nasiąkniętej wodą trawy, leżącej w nieporządnym stertach tam, gdzie nie została odpowiednio przycięta. — Nie prezentuje się najlepiej o tej porze roku. — Oceniała prostą kamienną płytę.

EDWARD STRONGMAN FINCH 1738—1795 *PAN JEST MOIM PASTERZEM*

— Czy dwudziesty trzeci był ulubionym psalmem mojego stryja?

Hunnable odchrząknął.

— Niedokładnie... to znaczy, nie odważyłbym się potwierdzić... Nie sądzę jednak, by stryj pani się sprzeciwił. To taki piękny zwrot. Mam nadzieję, że zgadza się pani ze mną?

Potwierdziwszy, że wybrałaby dokładnie to samo zdanie, otrzymała od wielebnego nagrodę w postaci przepelnionego ulgą uśmiechu. Właśnie miała rozwinąć tę kwestię, gdy zauważyła przy bramie jakiegoś nieznajomego.

Pan Hunnable obrócił się i zrobił krok w tył, prosto w kałużę.

— Och... do licha! — przeklął. — Dzień dobry — zawołał, machając. — Czy mogę panu w czymś pomóc?

Obcy mężczyzna odpowiedział na pozdrowienie i podszedł do nich. Był statecznie ubrany w schludne, choć wytarte spodnie i płaszcz, a upływ czasu lub praca na dworze nadały mu wygląd człowieka w podeszłym wieku, o ogorzałej twarzy. Kiedy zdjął kapelusz, wiatr potargał jego długie, siwe włosy.

— Przepraszam, wielebny. Nazywam się Hicks, Jonathan Hicks. Szukam Woolthorpe Manor. Gdyby mógł mi pan wskazać drogę. Woźnica powiedział, że to gdzieś w pobliżu.

— Tak, zgadza się — potwierdził Hunnable i podał bardziej szczegółowe wskazówki. — Powinienem wszakże powiedzieć panu, iż pan Somerville, właściciel Woolthorpe Manor, nie jest dziś obecny w domu. Pojechał do Ipswich. Hicks był zaskoczony.

— Ipswich, mówi pan? Jaka szkoda. Jadę z Londynu, więc przejeżdżałem przez Ipswich.

Prawdopodobnie minąłem go po drodze.

— Rzeczywiście szkoda — zgodził się pan Hunnable. Miał wielkie zrozumienie dla rozczarowanych nadziei. — Prowadzi pan interesy z panem Somerville'em?

— Pośrednio, sir. U pana Somerville'a wszak zatrzymał się pewien przybyły z daleka dżentelmen, nieprawdaż? — Mówi pan o panu Deprezie?

— Właśnie tak, sir. — Hicks zerknął na Mary, potem na nagrobek. —Przepraszam, panienko, że przeszkodziłem swoim pytaniem.

Dziewczyna nie miała wrażenia, że nieznajomy w czymś jej przeszkodził, wręcz przeciwnie — bardzo zainteresował ją ten osobliwy gość pana Depreza.

— Ależ nie — powiedziała jednak tylko i uśmiechnęła się.

— No cóż, jest pani uprzejma, lepiej jednak będę się zbierał. Do widzenia państwu. — Nałożył kapelusz i obrócił się, aby odejść.

Hunnable zawołał za nim.

— Myślę, że ktoś pojedzie do Woolthorpe, więc mógłby pana podwieźć. Może pan spytać Pod Słońcem.

— Och, nie, sir, nie chciałbym nikogo niepokoić. — Hicks otworzył już bramę i podniósł zniszczoną skórzaną walizę, którą tam postawił.

— Zamierza pan iść pieszo do Woolthorpe? — nie ustawał wielebny. — To jest ponad osiem mil i obawiam się, że przy tej pogodzie nie czeka pana miły spacer.

— Bez obawy, sir. Trochę deszczu mi nie zaszkodzi, a chciałbym rozprostować nogi pojeździe w powozie. Zresztą jestem tu obcy, a piesze wędrówki są w moim mniemaniu najlepszym sposobem zaznajomienia się z okolicą.

Mary obserwowała go do czasu, aż znalazł się poza zasięgiem jej wzroku, po czym zwróciła się do pana Hunnable: — Cóż za ciekawa postać. Jakie ma w pana opinii interesy z panem Deprezem?

— Ciekawa postać? Nie wydaje mi się. Zapewne jakiś dostawca.

— Tak, być może, ale czy kupiec przejechałby całą tę drogę z Londynu? Pomyślałam, że może jest jakimś urzędnikiem, uznałam jednak, że... jego głos nie był całkiem... albo może jego ton... — Trochę się zaplątała i przez moment zastanawiała się, jak ująć w słowa swoje myśli. — Nie potrafię wyjaśnić, co chciałam powiedzieć, lecz słuchając tego człowieka i nie

widząc jego stroju, nie byłabym w stanie stwierdzić, czy jest urzędnikiem, robotnikiem czy może mężczyzną doskonale wykształconym. Jego głos wydawał się połączeniem wszystkich trzech cech. — Obcokrajowcy znają mnóstwo dziwnych osób. Jeśli chce pani znać moje zdanie, sami są dość osobliwi. — Wyjątkowo gwałtowny poryw wiatru sprawił, że pan Hunnable aż się zatoczył. — Boże drogi, mam nadzieję, że wichura nie przewróci tego biednego jegomościa. Nie wyglądał na zbyt silnego. Wejźmy do środka, panno Finch, schrońmy się przed wiatrem. Moja gospodyni obiecała nam ciasto... a może woli pani racuchy?

Pan Deprez zjadł tego wieczoru kolację z panią Somerville, gdyż jej mąż został zatrzymany w Ipswich, potem jednak udał się do swojej sypialni na prywatną rozmowę z właśnie przybyłym Hicksem. Byłoby niewłaściwe nazwać tych dwóch mężczyzn przyjaciółmi; dzieliło ich wszak zbyt wiele. Deprez był młody i odnosił sukcesy, podczas gdy wiele lat minęło, odkąd Hicks wysiadł na wyspie Saint Lucia, przybity i praktycznie zrujnowany. Niemniej, każdy z nich żywił prawdziwy szacunek dla drugiego i — przynajmniej na osobności — rozmawiali jak równy z równym i bez jakiegokolwiek rezerwy.

Gdy Deprez otworzył drzwi i dostrzegł Hicksa siedzącego w fotelu w pozycji, która nie wyglądała na szczególnie wygodną, od razu wiedział, w jakim przybysz jest nastroju. Zamknął cicho za sobą drzwi i oparł się o nie.

— Zamierzasz mi powiedzieć, że nasze plany legły w gruzach — uśmiechnął się.

— Nie zamierzałem — mruknął Hicks — ale rzeczywiście legły.

— Sprawy niewątpliwie nie przedstawiają się tak, jak mógłbym sobie życzyć albo nawet jak przewidywałem zaledwie

kilka dni temu — przyznał Deprez — uważam jednak, że nie ma najmniejszych powodów do rozpaczki. Hicks wzruszył ramionami.

— Zawsze przyjmujesz nadmiernie optymistyczny punkt widzenia.

— A ty przesadnie pesymistyczny — odparował Deprez — co oznacza, że się uzupełniamy. Zimno ci?

— spytał, gdy Hicks poruszył żarzące się w kominku węgle i dołożył opału do ognia. — Zamierzałem właśnie zaproponować, że może otworzymy okno. — Rozpiął kamizelkę i zajął miejsce w fotelu, który Hicks uprzejmie odsunął od ognia. — Pani Somerville jest bardzo uprzejmą gospodynią, ale ciężkie posiłki, które serwuje, bywają chyba dla jej gości śmiertelne. Jeśli przedłużę swój pobyt w Woolthorpe Manor, nieuchronnie dostanę apopleksji.

Hicks uśmiechnął się, lecz nie wygłosił żadnej opinii na temat diety przyjaciela czy też jej prawdopodobnych konsekwencji.

— Być może mam lekki atak malarii — mruknął — spotęgowanej przez angielską wilgoć.

Zapomniałem, jaka potrafi być zabójcza.

— Nie powinieneś iść na piechotę z Lindham... To było szaleństwo!

— Nic mi nie będzie — wzruszył ramionami Hicks. — Atak zawsze mija mniej więcej po jednym dniu, a spacer dał mi szansę powęsznienia.

— Czyżby? I jakież są efekty twojego... węszenia?

— Po pierwsze, widzę, że operacja przemytnicza została zamknięta szczelniej niż najszczelniej szambeczka. Przez długi czas nie będzie żadnych ładunków. Sprawa w White Ladies położyła kres akcji.

— Odkąd dowiedziałem się o przemytnikach, zawsze wydawali się mi słabym ogniwnem. Nic jednak na to nie poradzimy. Wiesz zatem, co się zdarzyło?

— Tak. No i ta kraksa Traceya. Co za niefortunny przypadek!

Deprez wzruszył ramionami.

— Dziwny zbieg okoliczności... i osób. Panna Mary Finch na przykład, bratanica zmarłego właściciela White Ladies, która...

— Tak, spotkałem ją — wtrącił Hicks. — Tylko przelotnie, mogę wszak zrozumieć, dlaczego ci się podoba.

— Jesteś draniem. — Deprez się roześmiał. — Ale faktycznie ta młoda osóbka pociąga mnie z wielu powodów, z których nie mniej ważny jest jej związek z przyszłością naszego przedsięwzięcia. Nie musimy wszak dyskutować o tym akurat w tej chwili. To niewątpliwie urocza młoda dama, a hart ducha, jaki wykazała podczas ucieczki z White Ladies, musi jej zjednać sympatię każdego prawomyślnego mężczyzny. No dobrze, opowiedz mi lepiej o Londynie... Spotkałeś się z funkcjonariuszem policji miejskiej?

Hicks skinął głową.

— Z jegomościem nazwiskiem Hudson. Rezyduje przy Bow Street.

— I spotkanie okazało się zadowalające?

— Początkowo nie. Chyba pomyślał, że szykuję jakiś spisek albo inną intrygę.

— Ach tak. — Deprez się roześmiał. — Oznacza to zatem, że mamy do czynienia z człowiekiem inteligentnym i dyskretnym. Oczywiście, że uważa taką historię jak nasza za niewiarygodną... sam bym ją za taką uznał! Więc pokazałeś mu dowody?

— Tak, i wzmogły jego zainteresowanie, chociaż wciąż chciał wiedzieć więcej, na przykład kim jesteś i dlaczego nie powinien rozmawiać o tej sprawie z nikim innym, skoro niebezpieczeństwo jest tak wielkie. Nie martw się — dodał, gdy jego towarzysz skrzywił się i zaczął protestować. — Dałem mu satysfakcjonujące odpowiedzi w obu kwestiach. Opowiedziałem o twojej ubiegłorocznej pracy dla sztabu brytyjskiej marynarki wojennej i przypomniałem, że najlepszym sposobem zdemaskowania wojskowego szpiega jest nieinformowanie

o naszych podejrzaniach ani gwardii konnej, ani departamentu uzbrojenia. Pan Hudson nie był zupełnie szczęśliwy, gdy go opuszczałem, wydawał się jednak całkiem zadowolony.

— Nie możemy oczekiwać, że go uszczęśliwimy — zgodził się Deprez z powagą. — Ta sprawa jest na to zbyt skomplikowana. A kiedy twierdzisz, że „wydawał się zadowolony”, chcesz powiedzieć, że nam pomoże?

— Tak, postąpi zgodnie z naszymi instrukcjami. Mam go stale powiadamiać o naszych postępach.

— Doskonale. Spodziewam się, że na końcu przedstawiciele prawa okażą się ważni, nie możemy jednak pozwolić, aby funkcjonariusze z Bow Street, jakkolwiek pełni dobrych chęci, popełnili przedwcześnie typowe dla siebie błędy. Taka sprawa jak nasza wymaga roztropnego potraktowania.

— Myślę, że ta właśnie moja sugestia trochę go zdenerwowała, bo raczej drażliwe indywiduum z tego Hudsona, ostatecznie jednak obiecał nam swoje poparcie, jeśli i kiedy będziemy go potrzebować. Zapewnił mnie też, że nie ostrzeże żadnego przedstawiciela armii, póki nie zyskamy pewności, kto jest szpiegiem.

Deprez skinął głową.

— Świetnie. Dobrze się więc sprawił nasz pan Hudson, mimo twoich przytyków.

— Cieszę się, że jesteś zadowolony, ale Hudson to drobiazg — odburknął Hicks. — Cudownie się gawędzi o postępach, ale na jakie postępy możemy mieć nadzieję w obecnej sytuacji? Innymi słowy, co, u diabła, zrobimy?!

— Co zrobimy? Poczekamy na dalszy rozwój wypadków. Mam pewne pomysły i uważam za prawdopodobne, że trzeba będzie wrócić do Londynu, ale zobaczymy, co się zdarzy. Cierpliwość jest cnotą, jak to mówią. Czy Rede nadal przebywa w Ipswich? To dobrze, każ mu zatem przyjechać tutaj... niech kręci się w pobliżu na wypadek, gdybyśmy go potrzebowali, musi jednak pozostawać niewidoczny. A ty nie bądź taki przygnębiony. To nie jest przecież pierwsza trudność, jaką napotkaliśmy.

— Nie, ale... — Hicks westchnął. — Nie rozważasz pełnego ograniczenia naszej działalności? Może skoncentrujemy się wyłącznie na naszym człowieku?

— I zignorujemy szersze związki w wojsku? Nie, nie, chyba że coś takiego okaże się absolutnie konieczne. Zawsze wyznaję zasadę uderzania jednym ciosem w tak wielu wrogów, jak to tylko możliwe. Taka strategia jest skuteczniejsza.

Wygląda też lepiej, gdy się powiedzie, tyle że rzadko się udaje — pomyślał Hicks. Zadowolili się wprawdzie wzruszeniem ramionami, lecz Deprez znał go tak dobrze, że uśmiechnął się w niewypowiedzianej naganie. — Jak mawiał Wergiliusz? — spytał. — Śmiałym szczęście sprzyja? — Tak — przyznał Hicks — a przed nim Terencjusz. Wergiliusz skopiował bezwstydnie tę złotą myśl. A co powiesz na Księgę Przysłów, w której zapisano, że „przed porażką — wyniosłość, duch pyszny poprzedza upadek”^{*}?

— Powiem, że wolę Wergiliusza, nawet jeśli nazwiesz go zwyczajnym kopistą — roześmiał się Deprez.

Wiadomość dostarczono do Lindham Hall tego wieczoru, kiedy mieszkańcy przechodzili właśnie do drugiego salonu na herbatę po kolacji. Pan Horatio Todd, radca prawny, składał wyrazy uszanowania pannie Finch i miał nadzieję na zaszczyt rozmowy z nią w sprawie najwyższej wagi. Czy byłoby dogodne dla panny Finch przyjechać do Woodbridge jutro rano? Interesy zatrzymają pana Todda tego dnia w jego biurze, bo w przeciwnym razie naturalnie sam przyjechałby do Lindham i zabrał pannę Finch, a zakładał, że panienka nie zechce odwlekać tego spotkania. Pan Todd proponował zatem godzinę jedenastą.

— Co oczywiście nie jest dogodne — podsumowała pani Tipton, stawiając filiżankę z herbatą. — O tej godzinie mamy

^{*} Biblia Tysiąclecia, *Księga Przysłów* 16,18.

o wiele pilniejsze spotkanie z krawcową. Pan Todd będzie musiał poczekać, aż pozałatwiamy nasze sprawy, a swoje założenia może sobie zachować dla siebie.

Mary i Holland wymienili ukradkowe spojrzenia. Dziewczyna musiała się ugryźć w język przed odpowiedzią.

— Tak, pani. Zdaje mi się jednak, że na dole czeka na moją odpowiedź dependent pana Todda. Co mam odpisać?

Pani Tipton wypowiedziała powoli zdecydowane „hm” i przez chwilę manipulowała w milczeniu cienkimi, bladymi palcami jedną ze swoich lasek, to nerwowo zaciskając wypolerowane drewno, to puszczejąc.

— Przyzwoitość i dobre wychowanie wymagają odpowiedniego stroju przed pokazaniem się w towarzystwie... przynajmniej żałobnej sukni. Nie żeby pan Todd potrzebował jakichś szczególnych względów czy wytwornego wyglądu. W mojej opinii jest to człowiek chaotyczny... i płytki. Przekaż mu... — podsumowała — że sprawy wymagają twojej obecności w Woodbridge jutro i że racysz odwiedzić pana Todda o drugiej po południu. „Pan Todd proponuje”. Phi, też mi coś!

Mary usiadła zatem przy małym, inkrustowanym biurku w kącie pokoju i pospiesznie ułożyła bardziej powściągliwą odpowiedź. Ogromnie cieszyła się na spotkanie z prawnym doradcą stryja, ale jeszcze bardziej — do czego przyznawała się jedynie w głębi serca — na spotkanie z krawcową. Była przyjemnie zaskoczona, kiedy pani Tipton wspomniała o tym planie, chociaż wzmianka nie jest może właściwym określeniem, gdyż kobieta zarządziła po prostu, iż dadzą pannie Cheadle okazję, aby obdarowała je efektami swego talentu. Jakkolwiek jednak wyglądała sytuacja, perspektywa nowej sukni — być może jedwabnej i na pewno uszytej na miarę — wywołała u Mary wielki uśmiech; dziewczyna przypuszczała, że może nabędzie także rękawiczki, kołnierz koronkowy, a nawet pelisę. Te rozmyślania na temat luksusów i bibelotów doprowadziły Mary do myśli o zegarku ojca. Może dałoby się go w końcu

naprawić i znowu by działał?! Przedsięwzięcie niewątpliwie okaże się kosztowne, ponieważ Mary zaufa pracy jedynie bardzo zręcznego zegarmistrza, ewentualność taka nie wydawała się już wszakże beznadziejna. Wszyscy przypuszczali, że dziewczyna odziedziczy znaczny majątek po swoim stryju — nawet pan Hunnable tak twierdził — i z pewnością ten list od pana Todda potwierdzał te przypuszczenia. Majątek! Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl. Jakże była lekkomyślna—gotowa przepuścić ogromne sumy, zanim miała w ręce choćby pensa. A zaledwie kilka dni temu przecież przytłaczał ją strach przed ubóstwem! Uważała jednak, że prawnik na pewno nie pisałby listu w tak nagłym tonie, gdyby chciał jedynie przekazać złe wieści.

Taka ocena własnej przyszłości pocieszyła ją, więc dziewczyna przypieczętowała swoją odpowiedź i oddała ją dependentowi, który oczekiwał w kuchni. Nadal uśmiechała się, kiedy wróciła do salonu, gdzie usłyszała, że kapitan Holland również ma plany na następny ranek; zamierzał wyjechać. Powóz do Norwich odchodził z Woodbridge o godzinie ósmej.

Uśmiech Mary zanikł. Dziewczyna opadła na krzesło naprzeciwko Hollanda, lecz nie patrzyła na niego.

— Uważam, że jest to doskonale połączenie — potwierdziła pani Tipton tonem osoby, która sądzi, że jej dobra opinia musi naturalnie wpłynąć na wybór sposobu podróży rozmówcy.

— Tak — zgodziła się Mary słabo — pan... nie musi marnować dłużej urlopu.

— Ach, więc przebywa pan na... swego rodzaju wakacjach — krzyknęła pani Tipton. — Sądziłam, że pański przyjazd ma bardziej urzędowy cel. — Wpatrywała się przenikliwie w Hollanda, jak gdyby celowo zataił przed nią tę informację, którą niemniej jednak odkryła.

— Nie, pani — przyznał kapitan. Nie lubił rozmawiać o sprawach osobistych, zwłaszcza z kimś tak wścibskim jak pani Tipton, i usiłował uciąć dyskusję zdawkową odpowiedzią. Miał krewnych w Norfolku i akurat jechał do nich w odwiedzinę, kiedy spotkał pannę Finch.

Próba okazała się daremna, dalsze pytania zaś ujawniły interesujący fakt, że kuzynem Hollanda jest sir William Armitage, obecnie na emeryturze, lecz dawniej pracownik ministerstwa skarbu, nagrodzony za zasługi tytułem szlacheckim. Adres w Norfolkku wywołał u pani Tipton niejakie rozdrażnienie, ponieważ wyobraziła sobie, ilu znajomych będzie musiała przepytac, zanim ustali, czy znaja sir Williama, a jej zadanie dodatkowo utrudniało przyznanie kapitana, ze nie potrafi sobie przypomniec panienskigo nazwiska lady Armitage. Rodzina w kazdym razie wygladala na bardzo przyzwoita, szczegolnie gdy ustalono, ze do jej czlonkow nalezy takze wielebny Henry Armitage, ktorego pani Tipton poznala przez siostrę swego zmarlego meza. Dama przygladala sie teraz Hollandowi laskawszym okiem, niz miala w zwyczajuj na dotychczasowym etapie ich znajomosci.

Mary wkrótce przestala zwracac uwage na przesluchanie pani Tipton. Kapitan odjezdza! Oczywiscie zdawala sobie sprawe z tego, ze kiedyś wyjedzie, jednak swiadomosc ta nie byla rownoznaczna z rzeczywistym odjazdem kapitana. Z powodu tych wszystkich zdarzen nie znalazla czasu, aby przemyśleć tę kwestię i zdecydowac, jaki ma do niej stosunek. A teraz, czy mialo znaczenie, co czula... na mysl, ze Holland wyjezdza? Prawdopodobnie nigdy wiecej go nie zobaczy.

Padly imiona cerek sir Williama Armitage'a, Susannah i Charlotte, i nagle Mary przypomniala sobie slowa „najdrozsza Susannah”. Jedna z rozproszonych kartek, ktore podniosla w korytarzu White Ladies tamtego dnia, byl list. Gdy uprzytomnila sobie, ze ma do czynienia z prywatnym tekstem, starala sie nie patrzec nizzej, ale przeczytala poczatek: „najdrozsza Susannah” oraz koniec: „na zawsze twój Bobs”. Kapitan Holland powiedzial wtedy, ze to tylko obliczenia... Jakiego rodzaju obliczenia?! Mary wyobrazila sobie Susannah i Charlotte, niezmiernie piekne i starannie wykszalcone osobki mieszkajace w Norfolkku i nazywajace kapitana Bobsem. „Na zawsze twój Bobs”. Praw-

dopodobnie odwiedzał je, ilekroć miał okazję. Ilekroć jakieś głupie dziewczuchy nie wstrzymywały go swoimi tajemnicami i przygodami, które w najmniejszym stopniu go nie interesowały! Mary zapomniała o znoszonym płaszczu Hollanda i jego szorstkich manierach, i zamiast tego wyobraziła go sobie w ogromnej wiejskiej posiadłości, otoczonego służącymi, powozami i wszelkimi luksusami. Nagle przypomniała sobie, jak z zapałem opowiadała mu o zamordowaniu arcybiskupa Canterbury, i zamknęła oczy. Bez wątpienia jej spadek był zupełną drobnostką w porównaniu z olbrzymim bogactwem sir Williama Armitage'a...

W tym momencie zauważyła, że Holland i pani Tipton przerwali rozmowę i oboje jej się przyglądają. — Słucham? — spytała. — Przepraszam?

— Jest pani tak cicha, więc pomyślałam, że może pani zasnęła — wytknęła jej pani Tipton. — Kapitan Holland poinformował mnie, że panny Susannah i Charlotte Armitage kształciły się w domu, i spytałam, czy pani jako nauczycielka ma jakieś zdanie na temat takiej praktyki.

— Och, nie, ja... dotychczas się nad tym nie zastanawiałam — odparła Mary, myśląc, że określenie „nauczycielka” nigdy nie brzmiało posepniej. „Najdroższa Susannah” nie zniżyłaby się do pracy nauczycielki. Jej ojcem był sir William Armitage, dawny urzędnik ministerstwa skarbu, i pannica prawdopodobnie miała inną suknię na każdy dzień tygodnia.

Nieświadomie dotknęła nagle tkaniny własnej sukni; w dotyku zgrzebnej i nieprzyjemnej. Kapitan i pani Tipton podjęli konwersację, w którą Mary w ogóle nie próbowała się włączyć. Jak to możliwe, że wieczór zaczął się tak dobrze, a kończył tak smętnie? Zaczęła nawet wątpić, czy rozmowa z panem Toddem okaże się zadowalająca, ponieważ wszyscy wiedzą, że sprawy prawne mogą się straszliwie przeciągać i bywają kosztowne, a jeżeli Mary nie okaże się jednak spadkobierczynią stryja, jak za to wszystko zapłaci?

Pani Tipton wreszcie udała się na spoczynek, a jej odejście pozostawiło niewygodną pustkę między dziewczyną i kapita-

nem. Mary spokorniała w obliczu wyobrażonych rozkoszy Norfolku, natomiast Holland po sarkastycznym przesłuchaniu na temat rodziny zamknął się w sobie jeszcze bardziej niż zwykle. Ponieważ zapadło milczenie, Mary, usiłując uniknąć rozmowy, zaczęła głaskać jednego z psów. Kapitan nie znalazł sobie podobnego zajęcia i po kilku minutach po prostu dał upust dręczącym go emocjom.

— Mój Boże, ależ ta kobieta potrafi gadać. Dziewczyna wyprostowała się na krześle, ale natrętny pies nadal podsuwał łeb i musiała wznowić pieszczoty.

— Tak, jest bardzo... konkretna.

Holland rozważył użycie innego przymiotnika, jednak zrezygnował.

— Jesteś, pani, pewna — spytał — że to dla ciebie nie problem? To znaczy... że musisz przedłużyć swój pobyt tutaj, u tej wścibskiej baby?

Mary ani chwili nie zastanawiała się nad ripostą — odpowiedziała obowiązkowo, że jest absolutnie szczęśliwa, a kapitan zapewne niecierpliwi się, by podjąć przerwana podróż. Holland zakwestionował drugą część wypowiedzi, ale wyjaśnił, że naprawdę powinien wyjechać, choćby tylko w celu zadowolenia pani Tipton, która szczerze pragnie się go pozbyć.

— Och, nie, jestem przekonana, że pan się myli. Ona ma o panu bardzo wysokie mniemanie.

— Ha! — zadrwił — innymi słowy, teraz dama ta sądzi, że być może jednak nie wypadłem sroce spod ogona?

To bezpośrednie pytanie przedarło się przez sztywną uprzejmość Mary. Ponadto, w tym właśnie momencie dziewczyna uświadomiła sobie, że przed dzisiejszym wieczorem jej własne założenia co do jego pochodzenia również nie były szczególnie pochlebne.

— Sądzę, że pani Tipton ma taki sposób mówienia... czy też wypytywania o wszystko, co przyjdzie jej do głowy — wyjaśniła. — Żywię nadzieję, że nie czuje się pan obrażony.

Potrząsnął głową i ten jego ruch tylko częściowo był kłamstwem.

— Nie, nie mam nic przeciwko temu. Chodziło mi tak naprawdę o to, że ma pani całkiem dobrą opiekę ze strony pani Tipton, panów Somerville'a i Hunnable'a, a teraz także prawnika.

— Tak.

— Więc powinienem wyjechać.

— Tak.

— Oczekują mnie... w Norfolkku.

— Tak. — Mary pomyślała, że w ten sposób ich rozmowa bardzo szybko się zakończy, ale nie zdołała wymyślić żadnej innej odpowiedzi. Wiedziała jedynie, że nie chce, aby ten mężczyzna wyjeżdżał, i że prawdopodobnie nie może mu nawet o tym wspomnieć, skoro on wyraźnie pragnął stąd umknąć.

Gdyby tylko wykazała się dowcipem... albo przynajmniej należała do osób, które łatwo i w każdej sytuacji potrafią wymyślić, co trzeba powiedzieć, aby nie zabrzmiało to po prostu głupio... Nadal głaskała psa i szukała inspiracji.

Nie znalazła natchnienia i zaległa cisza.

— Muszę jechać — powtórzył w końcu Holland — ale... jeśli coś się zdarzy, mam na myśli, jeśli pomyślisz, pani... — Przerwał i zerknął na nią. Nie patrzyła na niego, ale jej twarz się zarumieniła i kapitan wiedział, że dziewczyna słucha go z uwagą. Nagle podjął decyzję. — Będę u mojego kuzyna jakieś dwa tygodnie... Majątek nazywa się Storey's Court, leży w pobliżu Aylsham... A potem wracam do Woolwich.

Mary wzdrygnęła się na sugestię, że mogliby korespondować — taki pomysł był oczywiście pochlebny, ekscytujący i... wysoce niestosowny. Czy ośmieli się napisać? Przelotnie wyobraziła sobie siebie piszącą słowa „najdroższy Bobs” i poczuła, że jej twarz płonie. Ale może źle go zrozumiała.

— Ma pan na myśli... napisanie do pana?—upewniła się. — Listu?

Uśmiechnął się do niej.

— Albo jakiejś proklamacji na przykład... jeśli Francuzi dokonają desantu.

— Och, nie — zaprotestowała ze śmiechem. — Pan Hun-nable poczynił już zapewne zaawansowane przygotowania na tę okoliczność. Prawdopodobnie zawarł stosowne porozumienie z drukarzem.

— Racja — zgodził się Holland. — „Mieszkańcy Lindham! Do broni!”.

— „Obóz Madianitów* jest nad wami” — dodała Mary.

I zupełnie nieoczekiwanie ich rozmowa znowu nabrała lekkości. Gawędzili o Woolwich, Indiach, pani Bunbury i niczym w szczególności. Kapitan Holland był chwilami bardzo zabawny, a Mary przyszło do głowy, że i ona potrafi konstruować całkiem interesujące zdania. Dlaczego wcześniej martwiła się, że nie ma nic do powiedzenia? Teraz czuła, że mogłaby konwersować przez całą noc. Jednak gdy Peggy weszła po raz trzeci, pytając znaczącym tonem, czy państwo czegoś potrzebują, Mary poczuła się zmuszona odejść, chociaż ani trochę nie czuła się senna. Życzyła Hollandowi dobrej nocy i przyjemnej podróży, dodając:

— I... dziękuję jeszcze raz za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Jestem panu niezwykle wdzięczna.

Kapitan stał w miejscu do chwili, aż dziewczyna opuściła pokój. Siadając znów, spytał psa:

— Co myślisz o tym wszystkim, he? Jestem bystry gość czy cholerny ze mnie głupiec?

* Za Biblią Tysiąclecia.

10

Mary obudziła się bardzo wczesnie następnego ranka i natychmiast zakradła się na ławeczkę w oknie swego alkierza. Zawinięta w dodatkowy koc, miała dość wygodny widok na dziedziniec poniżej i nawet w słabym świetle świtu mogła dostrzec każdego, kto przechodził między domem i stajniami. Nie zbudził jej żaden konkretny dźwięk, raczej jakiś szósty zmysł zasugerował, że za chwilę coś się zdarzy, i teraz czekała w napięciu. Intuicja jej nie zawiodła, gdyż niebawem drzwi do stajni rzeczywiście się otworzyły i z budowli wyłoniła się prowadząca konia postać w szynelu. Drugi osobnik nadszedł od strony domu, niosąc skórzaną torbę, którą później przytroczył do siodła konia, a następnie wziął z rąk pierwszego wodze; tymczasem ten w szynelu włożył rękawiczki. Koń chlasnął ogonem. Był wilgotny, mroźny ranek i oddechy całej trójki unosiły się w białych obłokach, jak gdyby wszyscy palili i wydmuchiwali dym. Mężczyzna w szynelu, wyższy niż drugi, ponownie chwycił wodze i wskoczył na siodło; niższy zrobił krok w tył i wcisnął ręce w kieszenie.

Jeśli o mnie myśli — powiedziała sobie Mary — niech spojrzy w moje okno... albo chociaż na jedno z górnych okien, jeśli nie jest pewny, które należy do mnie. Jeżeli jednak nie podniesie głowy, będzie to oznaczać, że jestem mu obojętna,

zaczę więc traktować go podobnie. Postanowie, że... nawet nie pomyślę o nim nigdy więcej. Jakaś wymiana zdań zaczęła się między Hollandem i panem Cuffem; ten drugi wydawał się wskazywać jakiś kierunek.

No cóż, w porządku — przyznała w sercu Mary. — Bardzo rozsądnie, naprawdę. Musi wiedzieć, dokąd ma jechać.

W tym momencie koń się zniecierpliwił i zatańczył bokiem, toteż kapitan musiał go szybko osadzić; nie mógł przecież patrzeć w górę, po oknach, skoro jego koń zachowywał się tak dziko... Mary pochyliła się do przodu i objęła rękami kolana; nos miała coraz zimniejszy, więc naciągnęła wyżej koc, tak że widać jej było tylko oczy. Nie chciała przecież, żeby Holland ją dostrzegł, ostatecznie to ona miała obserwować jego. Kapitan dokończył jednak rozmowę z Cuffem, prawdopodobnie w pełni opanował narowy konia, po czym... po prostu odjechał. Nie obejrzał się. Poczekała jeszcze kilka minut, aż całkiem zniknął, a wtedy wróciła do łóżka.

Kilka godzin później, późnym rankiem, Mary wyruszyła w towarzystwie pani Tipton we własną podróż, do Woodbridge. Jazda powozem pani Tipton bez wątpienia rozbudziłaby każdego. Pojazd ten — nie tak wielki jak powóz pana Somerville'a — najwyraźniej nie był w stanie poruszać się bez jęków, pisków i innych tajemniczych odgłosów. W dodatku siedzenia miały ruchome poduszki, które okazywały się jeszcze bardziej ruchome, ilekroć woźnica wjechał w koleinę albo skręcił. Gdyby pan Cuff zapragnął jechać naprawdę szybko, pasażerom groziłoby poważne niebezpieczeństwo ześlizgnięcia się na podłogę. Aby uniknąć tego nieszczęścia, pani Tipton podpierała się laskami, Mary zaś trzymała kurczowo krawędzi siedzenia jedną ręką, a postrzępionego rzemienia na wewnętrznych drzwiach drugą.

W napięciu oczekiwała na zdarzenia dnia. Zdumiało ją odkrycie, że w świetle słonecznym człowiek zupełnie inaczej postrzega pewne fakty. Gdy świeci słońce i gdy ma przed sobą ekscytujące perspektywy... Najpierw spotykały się z krawcową,

panną Cheadle, i ta wizyta budziła w Mary zarówno nadzieję, jak i niepokój. Wszystkie jej dotychczasowe ubrania zostały wykonane domowym sposobem; były to proste, praktyczne części garderoby uszyte z brzydkich, trudnych do zdarcia tkanin, regularnie cerowane i przeniecowywane; rzeczy zastępowano nowymi wtedy, gdy przestawały się nadawać do noszenia, a nigdy tylko dlatego, że były nie lubiane. Mary pragnęła posiadać piękną, elegancką, „frywolną” suknię — może więcej niż jedną — a równocześnie bała się, jak za nią zapłaci. Zauważyła od razu, że pracownia panny Cheadle z Woodbridge nie mogłaby rywalizować z modnymi sklepami w Bath czy nawet w Cambridge, ale Mary i tak martwiła się, że wyda się kompletną ignorantką w sprawach elegancji. Powinna jednak wiedzieć, czy w tym roku rękawy nosi się długie czy krótkie. A jakie były najmodniejsze kolory w Londynie? Co będzie, jeśli okaże się, że ma kiepski gust? Albo że jest kompletnie pozbawiona smaku...

W rzeczywistości nie musiała się przejmować takimi szczegółami — z tego prostego powodu, że pani Tipton nie zamierzała pozwolić swojej protegowanej na odegranie roli większej niż tylko symboliczna. Starsza pani miała pewne trudności z wejściem do firmy panny Cheadle, ponieważ prowadząca do drzwi ścieżka była błotnista, a sama pracownia mała, ale kiedy usiadła w wygodnym fotelu, przejęła pełną kontrolę nad wszystkim. Jej działania wyszły jednak Mary na dobre, bo pomysły kobiety na garderobę dla młodej damy — chociaż raczej staromodne — były rozsądne i, tak jak poglądy na temat wszystkiego innego, opinie związane z sukniami, halkami, półhalkami, pończochami i chusteczkami wygłaszała energicznie i stanowczo. Niemal zamęczyła biedną pannę Cheadle wielokrotnymi żądaniem o pokazanie bel tkanin, próbek guzików i wstążek oraz szkiców z licznych czasopism dla dam, które to pisma przedstawiały wszystkie elementy: od dekolatów po rąbki. Efekty okazały się jednakże warte wysiłku — panie złożyły duże, wręcz wspaniałe, zamówienie na stroje, które

miały zostać wysłane do Lindham Hall tak szybko, jak panna Cheadle i jej asystentki zdołają je uszyć. Pani Tipton gardziła zazwyczaj półśrodkami, ale w tym przypadku na jej zachowanie wpłynęło również pragnienie odpowiedniego zaprezentowania dziewczyny społeczności Woodbridge. Godny pożałowania incydent w White Ladies był już szeroko omawiany, a praca Mary u pani Bunbury nie stanowiła szczególnej rekomendacji. Dziewczyna po prostu nie mogła sobie pozwolić na żadne dalsze dziwactwa, podczas gdy hojne metry jedwabiu, koronki i atlasu z pewnością pomogłyby w udowodnieniu, że ludzie mają do czynienia z przyzwoitą młodą osobką.

— Rzecz jasna, wysoce pożądana jest stosowna oszczędność — wyjaśniła pani Tipton. — Nie możesz popaść w długi, gdyż wówczas powiadamasz wszystkich wokół, że nie potrafisz również zarządzać domem. Oszczędność wszakże musi wyglądać na coś, co przychodzi ci naturalnie, a rozmowy o skąpstwie są takie... poniżające! — Starsza pani poczekała, aż Mary skinieniem głowy potwierdzi, że rozumie, po czym dodała cieplejszym tonem: — Twój kapelusz na razie się nadaje, trzeba ci jednak poszukać porządnych butów. Te twoje to wstyd!

Świadomość, że jest przedmiotem takiego zainteresowania, zaniepokoiła Mary. Dziewczyna czuła się skrępowana w drodze do szewca i w trakcie jazdy do biura pana Todda. Każdy przechodzień wydawał się gapić się na nie obie, a powolne wysiadanie pani Tipton z powozu, z pomocą pana Cuffa, który nałożył ciekawą dzianą czapkę z nausznikami, wydawało się zamierzone, aby przyciągnąć jeszcze więcej pytających spojrzeń. Z tego też względu Mary nie mogła po prostu wbiec do kancelarii prawnika, jak by zrobiła, gdyby to od niej zależało. Zdenerwowana, chwyciła panią Tipton za drugą rękę i próbowała pociągnąć swoją dobrodziejkę szybciej ku frontowym drzwiom pana Todda. Na szczęście, uważny służący otworzył je po zaledwie jednym wściekłym stukaniu. Kiedy panie znalazły się wewnątrz,

skierowano je do wygodnego salonu, gdzie dependent prawnika podał im herbatę i mnóstwo różnych małych ciasteczek oraz kanapek. Oczekiwanie pozwoliło dziewczynie ponownie nad sobą zapanować i udobruchać panią Tipton, którą rozdrażniło wcześniejsze szorstkie potraktowanie, toteż obie były w umiarkowanie dobrych nastrojach, gdy w końcu pojawił się właściciel kancelarii.

Pan Todd wprowadził je do swojego gabinetu, małego, wyłożonego ciemną boazerią pokoju, który pachniał papierem i starą skórą, po czym skierował Mary na krzesło naprzeciwko biurka. Dziewczyna, dobrze teraz zdając sobie sprawę z posiadania „haniebnych” butów, wsunęła stopy na najniższy szczebel swojego krzesła i w ten sposób starała się je ukryć. Pani Tipton musiała niestety zadowolić się jedynym pozostałym miejscem siedzącym w pokoju — fotelem, którego zaletę stanowiła wielkość, wygoda i bliskość ognia, wadę zaś usytuowanie nieco z dala od biurka, przy którym odbywała się rozmowa między prawnikiem i klientem. Trudno powiedzieć, czy panu Toddowi, kiedy rozstawiał siedzenia, chodziło głównie o wykorzystanie tych korzyści czy tych wad.

Prawnika cechowało powolne, przemyślane zachowanie. Mówił spokojnie i bardzo grzecznie, zadając Mary serię pytań

i starannie zapisując jej odpowiedzi w notatniku. Po każdym wpisie potakiwał, niespiesznie skłaniając łysą głowę, a następnie podnosił wzrok i podejmował przesłuchanie. Znów kiwnął głową, kiedy Mary pokazała mu identyczne zegarki kieszonkowe, i gdy czytał list, który dziewczyna otrzymała od stryja. Tak, widział przedtem zegarek z inskrypcjami E.S.F. i zdecydowanie rozpoznał pismo odręczne w liście jako charakter pisma pana Fincha. Stopniowo zaczął też udzielać informacji swojej rozmówczyni. Nie wiedział wcześniej o istnieniu Mary. Słyszał, że pan Finch miał brata, Richarda, ale jedyny, oks-fordzki, adres okazał się niestety nieaktualny. Jakie to szczęście, że pan Finch pamiętał miejsce zamieszkania brata w Bath. Istnieli też dużo dalsi krewni, nikt jednak nie znajdował się

w pobliżu: rodzina nazwiskiem Bagot mieszkała w Hampshire, a kuzyn ze strony matki — w Surrey. W tym momencie pan Todd przerwał i rozważył, jak najlepiej kontynuować.

— Będą oczywiście konieczne pewne dalsze ustalenia... aby przekonać mnie jako prawnego przedstawiciela zmarłego pana Fincha do wypełnienia obowiązków powierniczych, mam jednak nadzieję, że uda nam się uzyskać je przy minimum czasu i niewygody. — Odchrząknął. — W świetle tych koniecznych ustaleń nie byłoby z mojej strony właściwe wyjawić w tym momencie szczegóły rozporządzeń testamentowych pana Fincha.

— Rzeczywiście — warknęła złośliwie pani Tipton z głębi swego fotela, a pragnienie usłyszenia szczegółów dodało gwałtowności jej stwierdzeniu. — To byłoby całkiem niewłaściwe.

— Myślę jednakże, że mogę wyjaśnić panie Finch ogólną naturę tych rozporządzeń. — Ponownie pokiwał głową. — Pan Finch, czyli, jeśli mogę zaryzykować takie określenie, pani ^{stryj}, był zamkniętym w sobie dżentelmenem, przywiązującym niewielką wagę do zbędnej paplaniny. Posiadał niewielu serdecznych przyjaciół lub krewnych. Był też dżentelmenem bardzo dobrze sytuowanym, zamożnym pod względem ziem oraz majątku ruchomego. Ta kombinacja dóbr, jak sędzę, zainspirowała go do wyboru takich, a nie innych rozporządzeń testamentowych. Wyboru, który mógłby na pierwszy rzut oka wydawać się nieco... ekscentryczny, lecz w rzeczywistości był ogromnie praktyczny i, muszę dodać, nie powinien wpłynąć w sensie materialnym na pani sytuację.

— Czy stryj zostawił testament? — przerwała mu Mary.

— I tak, i nie. Sporządził testament majątku ruchomego. Obejmuje on kilka ogólnych i szczegółowych legatów, a jako zapisobiorcę reszty spadkowej pani stryj wskazał pana Richarda Fincha.

Mary gwałtownie wyprostowała się na krześle.

— Mojego ojca... wymienił mojego ojca w swojej ostatniej woli! — krzyknęła i przez chwilę pan Todd obawiał się, że dziewczyna w nadmiarze emocji pochyli się nad jego biurkiem. To niebezpieczeństwo minęło prawie natychmiast, gdy Mary ponownie rozparła się na krześle, choć teraz dziwnie uśmiechała się do prawnika. — Och, proszę pana — wykrztusiła — ta wiadomość sprawia, że jestem bardzo szczęśliwa.

— Tak, doprawdy — zgodził się pan Todd. — Powinienem tak sobie myśleć, jako że Richard Finch zmarł przed testatorem...

— Nie, nie, nie rozumie pan, sir! Nie myślę w tej chwili o sobie, ale o moim ojcu... i o stryju. Nie kontaktowali się od wielu lat, rozumie pan, nigdy się też nie pogodzili. A jednak w końcu do zgody doszło, przynajmniej w opinii mojego stryja, ponieważ zapragnął, aby mój ojciec po nim dziedziczył.

— Oblicze Mary rozjaśniło się znów, wręcz rozpromieniło. — Właśnie z tego powodu prawdopodobnie do mnie napisał. Widzi pan, zastanawiałam się, gdyż jego list nie był dla mnie całkiem jasny. Stryj na pewno chciał pogodzić się... ze mną. Oczywiście, powie pan, że to czyni jego śmierć jeszcze smutniejszą, ponieważ nie udało nam się spotkać, i ja również tak to postrzegam. Ale równocześnie, skoro wiem bez cienia wątpliwości, że stryj usiłował naprawić pewne... sprawy, fakt ten naprawdę wszystko zmienia.

Wyraz twarzy pana Todda pozostał uroczysty, toteż Mary zwróciła się do pani Tipton:

— Rozumie mnie pani, jestem pewna.

— Doskonale rozumiem — przyznała pani Tipton, spoglądając wyniośle na radcę. — I jest to całkowicie stosowny, wytworny sentyment.

— Hm, no tak — zgodził się pan Todd. — Harmonia w rodzinie jest zawsze pożądana. — Zebrał leżące przez nim papiery, poprawił je bez potrzeby, a następnie przywrócił do poprzedniego układu, demonstrując w ten sposób swoją sympatię dla uczuć panny Finch. Zrobiwszy to, podjął wypowiedź

dokładnie tym samym tonem, jakim mówił, zanim mu przerwano. — Pan Richard Finch zmarł zatem przed testatorem, więc *residuum* wygasa, a spadek przechodzi albo na rzecz wykonawcy testamentu — mówiąc to, skłonił się — albo na rzecz najbliższego krewnego, jeśli testament wskazuje, że testator nie zamierzył takiego żądania wobec wykonawcy testamentu.

— Wyobrażam sobie, że pan Finch nigdy nie zamierzyłby takiego żądania — zauważyła pani Tipton.
— Nie byłby tak głupi.

— Rzeczywiście, pani, testament jasno się wypowiada w tej kwestii; wykonawca nie ma żadnych żądań. Odnośnie do swoich ziemskich nieruchomości, które obejmują posiadłość White Ladies oraz kilka innych wartościowych gospodarstw rolnych i kamienic, pan Finch nie zostawił ostatniej woli. Wszystko to zatem zgodnie z prawem przechodzi na jego legalnego spadkobiercę, czyli najbliższego krewnego.

— I możesz pan zidentyfikować spadkobiercę i najbliższego krewnego?

— Tak, pani, sądzę, że tak. Mimo iż trzeba będzie wykonać pewne czynności, aby dowieść prawa do dziedziczenia i pokrewieństwa, w tym przypadku dadzą one najprawdopodobniej ten sam skutek. Przyjmując, że panna Finch potrafi potwierdzić swoją tożsamość jako jedynaczki, rodzonej córki jedynego brata pana Fincha, jest ona zarówno spadkobierczynią, jak i najbliższą krewną.

— Ach. — Pani Tipton skinęła głową. — Bardzo zadowolające.

Pan Todd zgodził się z nią, szczególnie, że *residuum* majątku osobistego pana Fincha i całość jego ziemskich nieruchomości była bardzo znaczna. Zawahał się, gdy wymówił te słowa, a Mary przyłapała się na osobliwym uczuciu zawrotu głowy, które nie przypominało niczego, czego kiedykolwiek wcześniej doświadczyła. Była bogata... czy raczej, będzie bogata! Będzie posiadała White Ladies, a także „wartościowe gospodarstwa

rolne i kamienice"! Bardzo znaczne *residuum* stanie się jej własnością! Mary będzie miała służących i powóz, i... wszystko, co zechce! Wiadomość nie była w zasadzie nagła ani nawet niespodziewana... jednak do tej pory dziewczyna właściwie ani przez moment w to nie wierzyła. A teraz tak wyglądała prawda... czy raczej, taka będzie prawda. Mary poczuła, że drży, i wpatrzyła się nieruchomym wzrokiem w swoje kolana, ledwie ośmielając się podnieść wzrok czy przemówić. Nic nie powinno zniszczyć tej doskonałej chwili.

— Co z długami? — zapytała pani Tipton, kiedy bryła węgla zaskwierczała i zawałiła się na kracie.

— Bez znaczenia, pani. Jak wspomniałem, panno Finch, jestem wykonawcą testamentu pani stryja i z racji swojej funkcji muszę spełnić warunki jego ostatniej woli. Chociaż z chęcią pomogę pani w każdej sprawie, usilnie zalecam, aby zasięgnęła pani porady innego, zupełnie niezwiązanego ze sprawą prawnika i dowiedziała się od niego, jaka jest pani sytuacja oraz poznała wszelkie kruczki dotyczące testamentu. Rozumie mnie pani?

Kiwnęła głową.

— Tak, sir, pan nie może mi doradzać bez narażenia na szwank własnej pozycji jako wykonawcy ostatniej woli mojego stryja.

— Dokładnie. Wiem, że pani Tipton powierzyła swoje prawne i handlowe sprawy panu Brownlowe'owi z Bury Saint Edmunds...

— Zgadza się — wtrąciła starsza dama.

— I ja mogę go polecić jako niezmiernie wykształconego i rzetelnego radcę. Pan Brownlowe albo ktoś o jego kompetencjach powinien wziąć na siebie zdobycie i przedłożenie wymaganych dowodów pani statusu jako najbliższej krewnej, a także złożyć z pani ramienia podanie o upoważnienie sądowe ustanawiające zarządcę spadku.

Mary próbowała zachować poważną minę, ale uśmiech ciągle cisnął jej się na wargi. Zmarszczyła czoło, nie chcąc wydać

się trzpiotką, po czym pospiesznie oświadczyła, że natychmiast poradzi się pana Brownlowe'a.

— Mądra decyzja. Kiedy otrzymam potwierdzenie od pana Brownlowe'a, będziemy... dokonamy wspólnych ustaleń. Sprawy prawne nigdy nie zostają załatwione tak szybko, jak byśmy chcieli, mogę wszakże panią zapewnić, iż w tym przypadku nie przewiduję żadnych znaczących trudności.

— Dziękuję panu — powiedziała Mary z namaszczaniem i równocześnie potrząsnęła głową. — Jestem... Ledwie mogę w to uwierzyć.

W końcu pan Todd nieco spuścił z tonu.

— No, no, moja droga, przypuszczam, że z czasem bardziej się pani oswoi z tą myślą. Teraz chciałem powiedzieć... — przerwało mu dyskretne stukanie z korytarza. — Ach — kiwnął głową — to pan Sparrow z banku Collier's. Poprosiłem go, aby zaszedł.

W odróżnieniu od poważnego pana Todda, Sparrow wyglądał na człowieka, który rzadko porzuca zabawną minę. Był niski, krępy i cechował się radosnym, wesołym obliczem. Perukę miał nieznacznie przekrzywioną, co zwiększało komiczny efekt. Kiedy dependent przyniósł kolejne krzesło, pan Todd starał się uświadomić gościowi stan jego peruki poprzez serię spojrzeń i gestów, nie były one jednak wystarczająco zrozumiałe dla bankiera, a Mary, obserwując je, o mało nie roześmiała się na głos. Pani Tipton uznała oczywiście te poczynania za kolejny dowód chaotyczności, z którą od dawna kojarzyła pana Todda. Starsza dama pomyślała, że im szybciej sprawy dziewczyny trafią bezpiecznie w ręce radcy Brownlowe'a z Bury, tym lepiej.

Gdy dokonano prezentacji, pan Sparrow usiadł obok Mary i wyjął z dużej skórzanej teczki plik papierów, po czym wręczył je dziewczynie teatralnym gestem, uśmiechając się przy tym do niej i błyskając oczami zza okularów w złotych oprawkach.

— Powinny mniej więcej wyjaśnić sytuację, panno Finch. Jak pani zobaczy, stryj pani nie trzymał zbyt dużej kwoty na

swoim rachunku u nas; jedynie sumę niezbędną na aktualne potrzeby. Chętnie wypytam w pani imieniu Courts... jego bank w Londynie... jeśli zajdzie potrzeba. Albo może pan Todd wystąpi z pani ramienia? — Zerknął na wzmiankowanego dżentelmena, po czym kontynuował: — A zatem... Nie zamierzam niczego przedwcześnie proponować. Oczywiście, póki spadek pani nie nabierze mocy prawnej i nie zostanie potwierdzony fakt, iż pani nazywa się Mary Finch i jest w pełni uprawniona do przejęcia majątku po panu Edwardzie Finchu, ani Collier's, ani żaden inny szanowany bank nie może uwolnić funduszy z żadnego konta zmarłego.

Mary zastygła, ogarnięta nagłym lękiem. Bogata? Jak mogła pomyśleć, że jest bogata? Nie miała nawet pensa, a pan Todd wszak wspomniał o opóźnieniach. Wszyscy wiedzą, że postępowanie prawne może się ciągnąć miesiącami, a skutki często nie okazują się takie, jakich człowiek oczekiwał. Nagle stanęła jej przed oczyma ogromna kwota wydana tak lekkim gestem u panny Cheadle. Jak zdoła ją uiścić? A jeszcze było honorarium pana Todda... i, co bardzo prawdopodobne, zapłata za herbatę i kanapki. Nie tyle wpadła w długi, lecz wręcz w nich zatoneła! Zostanie schwytana i trafi do więzienia. I co ludzie powiedzą?

— Tymczasem jednakże pani kredyt w Collier's — dodał bankier—powinien wystarczyć na pokrycie wszelkich koniecznych wydatków.

— Mój kredyt?!

— Właściwie, może powinienem powiedzieć kredyt pana Somerville'a i pani Tipton.

Żaden tonący nigdy nie czuł większej ulgi.

— Och, pani Tipton... — zaczęła, lecz jej podziękowanie przerwał królewski gest kobiety, natychmiast ucinający dalsze próby i kierujący uwagę Mary z powrotem na gościa. Pan Sparrow wyglądał może na roztargnionego, ale niewątpliwie doskonale potrafił wykonywać swoją pracę.

— Od razu gdy pani sprawy zostaną doprowadzone do

porządku — ciągnął — Collier's będzie zaszczycony, że może zwiększyć kredyt aż do limitu... tak, właśnie tam, u dołu strony.

— Aha... Ojej... — szepnęła dziewczyna, podnosząc zaskoczony wzrok na mężczyznę. Od dziedziczki do nędzarki i z powrotem. Wszystko działo się tak szybko, że miała trudności z przyswojeniem sobie kolejnych faktów.

Oczy bankiera błyszczały.

— Teraz, jeśli chodzi o inwestycje, trzecia kartka... tak, ta... Przedstawiamy propozycje naszego banku na lokaty i inwestycje długoterminowe, gdyż pewnie zechce pani zlecić nam działanie w swoim imieniu. Na przykład cena towarów z Indii Wschodnich z pewnością podniesie się wraz z każdą dobrą wiadomością dochodzącą z kontynentu europejskiego, z kolei cena zboża na pewno pozostanie wysoka, z powodu strasznej niepogody, jakiej doświadczyliśmy, i opłat rolniczych... — Wzruszył ramionami.

— Dziękuję panu. — Skinęła głową, nadal nieco oszołomiona, starając się skupić na stosownych wpisach. Opłaty i towary... Było jasne, że będzie musiała przestudiować to wszystko z wielką starannością. Oto pierwsza odpowiedzialność łącząca się z nowo zdobytym bogactwem. — To jest takie... bardzo przydatne.

— Wspaniale — rozpromienił się mężczyzna, zamykając teczkę i wstając. — Pójdę już zatem. Czas to pieniądz dla nas, bankierów, wie pani. Suponuję, że podobnie jest z prawnikami, chociaż w ich przypadku chyba pracuje on dla nich w odwrotnym kierunku! Do widzenia państwu. Proszę przeczytać w wolnej chwili te dokumenty, panno Finch, i jeśli będziemy mogli jakoś pomóc, zapraszamy panią do nas, do siedziby Collier's. — Uścisnął rękę Mary po raz drugi. — Dwa ptaszki zawsze się dogadają, prawda, panno Finch?* — zachichotał.

* *Sparrow* (ang.) — wróbel, *finch* (ang.) — zięba.

Podczas gdy Mary piła tego wieczoru herbatę, rozważając zakup pięknego porcelanowego serwisu, kapitan Holland przybył do Storey's Court, bardzo przyjemnej wiejskiej rezydencji oddalonej od Lindham około sześćdziesięciu mil. Budynek był ładny, choć wyglądał nieco staroświecko, cechując się dwuspadowym dachem od frontu i oknami skrzydłowymi. To, że Holland mógł dorastać w tym domostwie, kapitan zawdzięczał obecnemu właścicielowi, sir Williamowi Armitage. W młodości sir William traktował Storey's Court jako miejsce odpoczynku od londyńskiego życia, teraz jednak, na emeryturze, czerpał radość ze swojskości wygodnych pokoi, widoku na jezioro i ogrody, a także rozkoszował się samymi ogrodami. Stać go było na znacznie większy dom, a lady Armitage nawet знаła kilka bardziej pożądaných majątków, które pasowałyby ich rodzinie nad podziw, sir William jednak nie dawał się przekonać żonie do przeprowadzki.

W jego charakterze dawało się niewątpliwie dostrzec upór i nieugiętość zasad. Czasami cechy te przekładały się na jego poczucie dobra i zła, a czasem po prostu pozwalały zanalizować, co można osiągnąć, a czego nie. Upór sir Williama okazał się cenny podczas długoletniej kariery w rządzie, chociaż wyniki jego działań nie zawsze były szczęśliwe albo absolutnie dla niego zadowalające. Wraz z wiekiem odczuwał to szczególnie. A jednak, nierzadko zastanawiał się, czy łagodność i sentymentalizm nie są jednakowo zgubne. Co te przymioty dały Sophii, skoro rezultatem jej miłości było złamane serce i przedwczesna śmierć?

Sophia Armitage, kuzynka sir Williama, poślubiła — ani mądrze, ani dobrze — mężczyznę nazwiskiem David Holland. Oboje zmarli młodo, a sir William posłał ich syna do akademii wojskowej w Woolwich, ponieważ taki wybór wydał mu się najsensowniej szy dla energicznego chłopca nieposiadającego żadnych innych perspektyw. Sir William nieraz dumal nad mądrością tej decyzji. Kariera w artylerii — jakiego rodzaju życie miał Robert? Po prawdzie, kanonierzy byli wojskowymi

fachowcami — jedynymi oficerami naprawdę naukowo przygotowanymi do wykonywanej pracy, awansującymi jedynie dzięki swoim umiejętnościom, co oznaczało, że nie mogli nabywać stopni — ale mieli też daleko mniej okazji do wyróżnienia się niż „dyletanci” z piechoty czy kawalerii. Kto kiedykolwiek słyszał o kanonierze kierującym bitwą albo szturmującym nieprzyjacielską pozycję? Nie, czasami wprawdzie ginęli, lecz rzadko dokonywali wyczynów, które przemawiały do społeczeństwa albo — co ważniejsze — do rządu.

Co w efekcie? Bardzo niewiele tytułów szlacheckich i jeszcze mniej godności para. Ilu dżentelmenów z artylerii — a nie wszyscy oni byli dżentelmenami — zostawało choćby członkami parlamentu? Nie trzeba być politykiem, aby wiedzieć, że zaszczyty publiczne przyspieszają karierę, a sytuacja społeczna odplaca się człowiekowi o tyleż bardziej... odpowiednio. Sir William starał się oczywiście, jak mógł, używać swoich wpływów. Robert miał obiecane stanowisko w pułkowym sztabie. Całkiem dobra robota dla kogoś, kto wiele wie o artylerii i fortyfikacjach i kto nie ma nic przeciwko perspektywie zostania wysłanym na tamten świat, jeśli sytuacja źle się ułoży. Tak, do tego rodzaju działalności potrzeba mocnych nerwów. Sir William zastanowił się nad kwestią nerwów, ich siłą i... długowiecznością. Najwyraźniej pokłady odwagi wyczerpywały się wraz z wiekiem, ponieważ on sam w młodości był człowiekiem odważnym, natomiast teraz...

Wypił łyk porto i zdecydował, że nie należy przesiadywać samotnie po obiedzie. Kiedy byli goście, to inna sprawa, ale popijając w samotności, przejawiał tendencję do zadumy, która nie służyła trawieniu. Właśnie tym się teraz zajmował — rozmyślał, a nie powinien. Robertowi wyraźnie sprawiała przyjemność wykonywana praca, a artyleria była przynajmniej niedroga. Tylko pomyśleć, ile by kosztował patent oficerski w jednym z modnych pułków — a na patencie wydatki się nie kończyły, na pewno nie! Buńczuczność, dumny krok i polor można uzyskać jedynie dzięki dużym nakładom pieniężnym.

Na szczęście Robert nie był tego rodzaju mężczyzną... Tak, wyglądał na wystarczająco szczęśliwego, a przynajmniej zadowolonego. Nigdy się przecież nie skarżył i właściwie nie miał powodów do narzekań! Wielu młodych mężczyzn znajdowało się w gorszej sytuacji materialnej niż on. Niemniej był ze strony matki Armitage'em, chociaż w obecnej sytuacji na niewiele mu się to zda...

Sir William koncentrował się akurat na tej nieprzyjemnej kwestii, gdy Jeffries, kamerdyner, ukazał się u jego boku.

— Co?! — mruknął sir William, mrużąc oczy w świetle świec. — Panna Charlotte czuje się opuszczona, zgadza się? Dołączę do niej za chwilę.

— Przepraszam, sir — powiedział Jeffries, kłaniając się uroczyście. — Pan Robert... to znaczy, kapitan Holland przybył.

— Och, naprawdę? — zawołał sir William, a jego ponury nastrój od razu się ulotnił. — Wpuść go natychmiast. I przynieś mi więcej świec. Czuję się tu jak w cholernym grobowcu!

— Oczywiście, sir. — Wprawna dłoń pod łokciem sir Williama, tolerowana tylko dlatego, że Jeffries był służącym od tak dawna, wsparła starca podczas wstawania.

— No jesteś, Bobs — krzyknął sir William, gdy Holland wkroczył do pokoju, wyglądając znacznie spokojniej niż w trakcie ostatnich kilku dni. — Jak się miewasz? Dobrze, że mamy cię znów w domu.

— Dziękuję, sir. Zawsze się cieszę, gdy tu wracam. Storey's Court rzeczywiście był domem Hollanda, o ile jakiś

miał, chociaż oprócz ciepłego powitania próżno byłoby doszukiwać się potwierdzenia pokrewieństwa między kapitanem i sir Williamem. Armitage'owie bywali zazwyczaj niscy i jasnowłosi, podczas gdy Hollandowie, o ile Robert stanowił reprezentatywny przykład — ciemni i potężniejsi z wyglądu. Sir William miał w młodości wyćwiczone mięśnie i cechował się niejaką siłą, teraz jednak należałoby jego sylwetkę określić jako wątłą, a w towarzystwie swego znacznie młodszego kuzyna prezentował się jeszcze bardziej krucho.

Holland powiedział jednak, że sir William zdaje się być w dobrym zdrowiu.

— I ufam, że reszta rodziny również?

— Och, u nas wszystko jak zwykle. Anne i dziewczynki kwitną, ja zaś czuję na karku swoje lata. Ale ty, mój chłopcze — dodał sir William, gdy usiedli — coś widzę, że wyglądasz raczej fatalnie.

Kapitan odparł, że nic się nie stało, przydarzyła mu się jedynie mała przygoda, sir William zaś nie domagał się dokładniejszego wytłumaczenia. Ale zainteresował się powodami objazdu przez Lindham.

— Cokolwiek tam robiłeś... a może moje pytanie jest niedyskretne?

Posłał Jeffriesa, aby sprawdził, co zostało z ostatniego posiłku.

— Nie, sir — odrzekł Holland. — Zostałem po prostu zatrzymany w Suffolku dłużej, niż oczekiwałem. Jeffries wspomniał, że lady Armitage wyjechała z domu. Czy pojechała do stolicy? Sir William poczuł się nieco nieprzyjemnie, gdy wyjaśnił, że żona i starsza córka odwiedzają sąsiadów, Moltonów.

— Pamiętasz chyba starego Toma Moltona? To tylko krótka wizyta, mam nadzieję... Ach, oto jedzenie — dodał z niejaką ulgą na widok kamerdynera wchodzącego do pokoju z dużą tacą w rękach.

— To tylko ja, wiesz, Jeffries — mruknął kapitan, kiedy stanął przed nim szereg półmisek. — A tym jedzeniem można by nakarmić całą kompanię.

— Tak, proszę pana — odpowiedział Jeffries, z rozmachem podnosząc każdą pokrywę. — I, proszę pana — kontynuował do sir Williama — panna Charlotte z szacunkiem życzy sobie...

— Absolutny skandal — zawołała bardzo młoda dama, przepychając się z impetem obok Jeffriesa i zarzucając ręce na szyję Hollandowi, zanim kapitan zdołał wstać, by ją powitać. — Tato — skarciła ojca — jak mogłeś zatrzymać Bobsa

tutaj, całego dla siebie, skoro wiedziałeś, że strasznie pragnę go zobaczyć?!

— Nonsens — odburknął sir William czule — i nie duś go w ten łobuzerski sposób. Uszkodzisz fotel, że nie wspomnę o szyi twojego kuzyna.

— Przepraszam, sir — wyjaśnił Jeffries. — Panna Charlotte napadła na mnie...

— Tak, tak, i wyłudziła od ciebie nowiny. Wielkie nieba, w tym domu nikt nie może mieć żadnych tajemnic.

— Nie wiem, dlaczego przyjazd Bobsa do domu miałby stanowić ukrywaną przede mną tajemnicę — zaprotestowała dziewczynka.

— Nie chodzi o tajemnicę, lecz o zasadę — oznajmił sir William bez szczególnego przekonania. — Teraz usiądź i przestań wisieć na krześle w tej absurdalnej pozie. Chcesz, żeby Robert pomyślał, że jesteś jakąś amazonką albo latawicą, która nie ma pojęcia o właściwym zachowaniu?

Charlotte usiadła, spoglądając buntowniczo. Była raczej ładną niż piękną dziewczynką, która prawdopodobnie wyrośnie na raczej ładną niż piękną kobietę. Jej rudawozłote loki były zbyt ciemne wobec panującej mody, a grzbiet nosa miała szczodrze obsypany piegami, które matka usiłowała wybielić sokiem z cytryny. Była też wesoła, samowolna i ogromnie lojalna wobec osób, które kochała. Jej mina odzyskała zwykłą słodycz, gdy Holland ścisnął pocieszająco jej dłoń, a Charlotte zatrzymała jego prawą rękę i od tej chwili musiał jeść lewą.

— Ale masz wielką kolację, Bobs — zauważyła. — Zamierzasz zjeść to wszystko?

— Oczywiście — odparł. — Tylko źle wychowane osoby nie zjadają wszystkiego, co im się podaje.

— Myślę, że zrobisz się naprawdę tłusty, jeśli zjesz to wszystko. Jak pan Fortescue, wikary. On sapie, kiedy je — dodała.

— Grozi mi sapanie, chochliku? — zapytał kapitan, uśmiechając się do niej.

— No cóż, chyba jeszcze nie. Holland wybuchnął śmiechem.

— Jeszcze nie?!

— Naprawdę, Charlotte — zbeształ ją sir William. — Zdumiewasz mnie!

Jego córka oceniała właśnie szczupłą twarz Hollanda.

— Nie przypominasz pana Grantleya Moltona. Jest młodszy od ciebie, a już ma obwisłe policzki.

— Ale przypuszczam, że twoim zdaniem powinienem trochę poćwiczyć po tej wielkiej kolacji — roześmiał się kapitan. — Co powiesz na wspólną jazdę konną jutro rano?

— Och, tak — zawołała Charlotte, a jej oczy zaśniły. Często trenuję na Clemmiem... i... Och, nie widziałeś Clemmiego! Tata kupił mi go na urodziny. Jest po prostu cudowny.

Sir William potrząsnął głową.

— Widzisz, co mam na myśli, Robercie. Amazonka! Tak błagała o to zwierzę, że nie mogłem z nią wytrzymać, póki jej go nie kupiłem. Nie muszę ci mówić, że nie słyszemy takich głośnych próśb o książki, muzykę, robótki ręczne ani nic innego, co byłoby pożądane jako pasja młodej damy. Zapewne niedługo ta pannica zacznie mnie zadrećcać, żebym pozwolił jej brać udział w polowaniach.

— Polowałeś już w tym sezonie, sir?

— Właściwie nie. Stale pada, a Tom Molton poszczuł króliki psami aż do Bożego Narodzenia. Nie żebym miał coś przeciwko starym metodom, daleko mi do tego! Bratanek Toma ma jedną z tych szybkich sfor i zapewne będziemy musieli dopasować się do niego. Taka teraz panuje moda, żeby poświęcić całą zręczność na zaspokojenie szalonego pragnienia szybkości. Bóg wie, dokąd to prowadzi.

— Ależ papo, niewątpliwie trzeba mieć dużą zręczność, aby pędzić konno na przełaj — wtrąciła pospiesznie Charlotte. Usadowiła się na krześle jak na koniu, wyciągnęła ręce i wykonała elegancki udawany kłus, po czym zerknęła ponad ramionami, jak gdyby szacowała jakąś przeszkodę. — Na

pewno

znacznie ciekawiej jest przeskoczyć ogrodzenie, niż stać w miejscu i czekać, aż psy poczujątrop, a jeden ze stajennych otworzy bramę.

— Panno zuchwała, nic o tym nie wiesz — zapewnił ją sir William, patrząc spode łba. — Każdy, kto popiera takie skoki, jest wariatem. Nie tylko bowiem stanowią one ryzyko dla życia i zdrowia, ale są również przeklętym utrapieniem dla rolnika, jeśli polujący gnają przez jego pole i powalają jego płoty. Zresztą, nikt nie chce obecnie ponosić odpowiedzialności za taką jazdę... ze względu na koszty. Zarzuty w żaden sposób nie tyczyły Hollanda, niemniej jednak kapitan poczuł się wywołany do odpowiedzi.

— Powinienem powiedzieć, sir — wyjaśnił — że żywię nadzieję, iż nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli pożyczę jednego z koni?

— Oczywiście, że nie, mój drogi — odparł kuzyn, szybko odzyskując dobry humor. — Nie musisz nawet pytać. Przypuszczam, że wszystkie wierzchowce potrzebują trochę ruchu.

Charlotte chciała wiedzieć, gdzie jest kanonier Drake i była zawiedziona, słysząc, że pozostał w Woolwich. Drake pełnił funkcję ordynansa i czasami towarzyszył Hollandowi, kiedy kapitan podróżował w sprawach pułkowych. W trakcie ich poprzedniej wizyty w Storey's Court Drake zaskarbił sobie sympatię dziewczynki, gdy pokłócił się z Jeffriesem o używanie szczotek do butów. Nie tylko podsumował tyranie Jeffriesa barwnym wojskowym językiem, lecz później odegrał także zachwycającą parodię zachowania pokonanego przez siebie rywala.

— A skąd ty wiesz o tym wszystkim? — zaciekawiał się sir William. — Może byś powściągnęła to... niestosowne zainteresowanie służącymi i ich sprawami. Pewnie znowu przesiadywałaś w pokoju pani Tompkins.

— Wcale nie — zapewniła go córka. — W ogóle nie byłam na dole. Jane i Elsie opowiedziały mi tę historię, a kiedy spotkałam Drake'a, poprosiłam go, aby mi pokazał, i on spełnił

moją prośbę. Wyglądało to bardzo zabawnie, był dokładnie taki jak Jeffries.

— Jest całkiem dobry w tego rodzaju wygłupach — przyznał Holland.

— Och, świetnie — skrzywił się sir William. — Ale nie powinnaś plotkować z Jane i Elsie... I, na litość boską, nie mów o tym wszystkim swojej matce!

Kiedy kapitan uporał się z częścią, chociaż nie z całością, postawionego przed nim posiłku, przeszli do salonu. Tutaj nieobecność lady Armitage była najbardziej oczywista, ponieważ meblom pozwolono osiągnąć rozkoszny stan nieporządku, którego pani domu nie tolerowała. Fotele zsunięto towarzysko przed dużym, marmurowym kominkiem, pudełko zaś wodnych farb Charlotte stało otwarte, a jego zawartość zawałała inkrustowany stolik. Sir William także był częściowo odpowiedzialny za bałagan, ponieważ jego gazeta leżała na stołku fortepianowym, a domowe psy, Maisie i Budge, bez oznaki najmniejszego poczucia winy rozciągnęły się w półleżącej pozycji na kanapie.

Jeffries postawił tacę z herbatą wśród szczątków artystycznych prób Charlotte, a dziewczynka nalała płyn do filiżanek w stosunkowo wytworny sposób. Odczekała, aż kamerdyner wyjdzie, a następnie zsunęła buty i zwinęła się w kłębek na ławie ze skrzynią, u boku kuzyna. W tej pozycji po raz pierwszy zauważyła jego rany i stłuczenia. — Brałeś udział w bitwie, Bobs? — spytała.

— Nie.

Uśmiechnął się do niej. Oboje wiedzieli, że im krótszej on udzieli odpowiedzi, tym więcej pytań ona zada, i żadne nie było przeciwne tej grze.

— Boli?

— Nie.

— Wygląda na bolesne.

— Ale nie jest.

— Kiedy pojedziesz walczyć z Francuzami?

— Nie wiem.

— Dlaczego nie wiesz?

— Ponieważ mi nie powiedzieli.

— Dlaczego nie spytasz?

— Komu?

— Nie wiem... jakiegoś generała albo kogoś. I mówi się „kogo”, a nie „komu”. „Kogo powinienem spytać”. Wiem, ponieważ użyłam niewłaściwej formy w zeszłym tygodniu i mama kazała mi to przepisać pięćdziesiąt razy, co, jak sędzę, było bardzo trudne.

Kapitan poddał się ze śmiechem.

— Takie ćwiczenie na pewno ci nie zaszkodzi. A gdybym spytał jakiegoś generała albo kogoś innego, powiedziałby tylko, że ma niewiele oddziałów, które może wysłać do walki... a to dlatego, że przeprowadziliśmy ewakuację Bremy. Wiesz, gdzie leży Brema, chochliku?

Charlotte myślała intensywnie.

— W Irlandii?

— W Irlandii?! Powinnaś to przepisać sto razy, skoro tak mało wiesz z geografii.

— Nienawidzę lekcji. — Dziewczynka wydeła wargi. — A geografia jest najgorsza.

— Nie sędzę, żebyś znała któryś z przedmiotów wystarczająco dobrze, aby móc go znienawidzić — roześmiał się Holland. — A geografii powinnaś się uczyć. Jest znacznie przydatniejsza niż „kogo” i „komu”. Brema zaś, jeśli chcesz wiedzieć, to wolne miasto położone niedaleko Hanoweru, który nasz król ma w swojej opiece i dokąd jedzie, gdy Anglia go zmęczy. Ale ponieważ ty jesteś szczególnie buńczucznym chochlikiem, mogę jeszcze dodać, że prawdopodobnie wkrótce dojdzie do pewnych działań w Indiach Zachodnich, ale to jest chole... niezwykle niezdrowe miejsce.

— Nie jestem buńczuczna. A dlaczego w Indiach Zachodnich jest niezdrowo?

— Z powodu tych wszystkich chorób, no i panuje tam straszliwe gorąco. Niektórzy ludzie umierają od razu, a więk-

szkość nie potrafi wytrzymać zbyt długo poza sezonem. Skoro nie uczysz się geografii, mogłabyś pojechać tam na wakacje w wełnianych pończochach i wiesz, co by się zdarzyło, gdybyś tak zrobiła? Przybrał surową minę, a ona roześmiała się z zachwytem.

— Nie.

— Nie byłoby już Lottie. Dostałabyś udaru cieplnego albo choroby zwanej angielskimi potami i taki byłby twój koniec. Ot tak, po prostu zimny trup. — Strzelił palcami przed jej nosem. — Jednak służba w takim miejscu pomaga w awansie. Jeśli masz szczęście, szychy nad tobą spadają z piedestału, a ty awansujesz aż do...

— Generała albo innego takiego.

— No właśnie.

Sir William nie bardzo nadał za ich żarcikami, jednak pomysł awansowania poprzez unikanie choroby wydał mu się szczególnie wstrętny, więc interweniował.

— Nie wierzysz zatem, że traktat z Rosjanami będzie miał jakiś większy wpływ na nasze poczynania militarne?

— Nie bardzo, sir — przyznał Holland, poważniejąc. — Nie dadzą nam żadnych oddziałów, chociaż mogą dostarczyć kilka okrętów albo służyć na naszych przy obsłudze moździerzy. Mam kolegę na jednym z nich.

— To brzmi strasznie niebezpiecznie — zauważył sir William. — Jak on to ocenia?

— No cóż, sir, używając słów parlamentarnych, mówi, że jest ogólnie ciasno i wilgotno, a poza tym trzeba się bez przerwy kłócić z tymi marynarzami o zakres dyscypliny i władzy.

— Wygląda na to, że lepiej trzymać się od tych okrętów z daleka. A co z twoją pracą? Pewnie jesteś dość zajęty? — Aha. — Holland kiwnął głową. — A jeśli wojna wybuchnie na nowo, sytuacja stanie się ciekawsza. — Ciekawsza?!

— Bardziej wyrazista.

Sir William sposepniał.

— Bardziej mordercza raczej. Wojna to nie zabawa, chociaż wy wszyscy, młodzi mężczyźni, lubicie żartować o takich sprawach... Na dodatek zdaje mi się, że ta wojna będzie jeszcze mniej... wesoła niż wcześniejsze. Francuzi nie walczą wszak o ziemię ani o władzę... mimo iż zapewne dojdzie do tego z czasem... Na razie jednak walczą o zasadę, a zasady czynią ludzi naprawdę nieprzejednanymi, o ile możemy odwołać się do historii.

Od słowa „historia” Holland zmartwiał. Właśnie to dostaję za uczenie Lottie — pomyślał. Powoli kiwnął głową, co niestety okazało się wystarczającą zachętą dla sir Williama.

— Rozważmy nasze własne doświadczenia z republikanizmem w ubiegłym stuleciu — kontynuował zatem Armitage. — Zwolennikom tej idiotycznej formy rządów nie udało się osiągnąć niczego z wyjątkiem usunięcia osób o przeciwnych przekonaniach. Armia w rękach reformatorskich rzekomo podżegaczy i ten tyran Cromwell...

Sir William rozwinął temat, objaśniając ochoczo kwestię Małego Parlamentu i ustawę o nazwie Instrument Rządzenia, dzięki której członkowie parlamentu sami siebie odsunęli od władzy.

Wzmianka o Cromwellu sprawiła, że Holland poczuł się na pewniejszym gruncie. Cromwell był naturalnie bardzo zdolnym starszym oficerem, czego dowodzą jego zwycięstwa pod Marston Moor i Naseby. Albo przynajmniej był sprytniejszy od swoich przeciwników, jako że oficerom rojalistów myślenie przychodziło zazwyczaj dość ciężko.

Pomysłowość i odrobina szczęścia — dumął Holland, podczas gdy sir William folgował swojej pasji, opowiadając rozwlekłe, jak to parlament zaferował Cromwellowi tytuł królewski w zamian za ograniczenie władzy — właśnie te dwie rzeczy się liczą. Oraz świadomość, z jakim przeciwnikiem masz do czynienia.

Charlotte westchnęła. Mało ją interesowali republikanie, zarówno ci z przeszłości, jak i obecni.

— Jeśli wojna się skończy, wówczas będziesz mógł pozostać tutaj z nami na zawsze.

— Och, nie chciałabyś, żebym pałętał się tu przez cały czas — Holland roześmiał się, pociągając za loki dziewczynki.

Szturchnęła go swawolnie.

— Możesz sobie z tego żartować, ale ja mówię zupełnie serio. Kiedy ostatnim razem wyjechałeś, płakałam całe dni.

— Naprawdę, chochliku? To miło z twojej strony, niech ci to jednak nie wejdzie w nałóg.

11

Kapitan Holland był przyzwyczajony do wczesnego wstawania, lecz nawet wojskowa dyscyplina nie mogła się równać z zapalem Charlotte, której obiecano poranną przejażdżkę. Kiedy Holland nie zjawił się na dole w porze — jej zdaniem — sensownej, dziewczynka natychmiast udała się do jego sypialni. Usłyszawszy pod drzwiami, że kuzyn rozmawia z Tibbsem, lokajem wyznaczonym jako zastępstwo dla nieobecnego kanoniera Drake'a, Charlotte otworzyła drzwi i bez najmniejszego wahania wtargnęła do środka. Tibbs odwrócił się z przesadną dezaprobatą, natomiast kapitan, który akurat się golił, zwrócił się do jej odbicia w lustrze.

— Dzień dobry, Lottie. Właśnie pytałem Tibbsa, jaką pogodę mamy, ale jestem pewny, że ty potrafisz odpowiedzieć mi na to pytanie lepiej.

— Dzień dobry, Bobs. Jest idealnie cudowny dzień na jazdę, jeśli nie zapomniłeś. Dzień dobry, Tibbs.

— Dzień dobry, panienko.

— Nie, nie zapomniałem — odparł Holland, wyraźnie koncentrując się na pokrytym pianą podbródku.

— Zamówiłem konie za pół godziny, więc nie możesz mi dokuczać z powodu spóźnienia. Ale nie powinnaś zaskakiwać mężczyzny w jego pokoju w ten sposób, wiesz — dodał, płuczac brzytwę w misce z wodą.

— Dlaczego nie?

— Mógłbym się przecież zaciąć albo nawet podciąć sobie gardło, robiąc piekielny bałagan, który właśnie ty musiałabyś posprzątać. Wątpię, czy Tibbs by ci pomógł, prawda, Tibbs?

— Przepraszam, proszę pana?

— Dobrze, skoro potrzebujesz tyle czasu... — Charlotte usiadła na pojemniku na pościel na końcu łóżka i obrzuciła krytycznym spojrzeniem pomieszczenie. Było mniejsze niż jej alkowa, naścienna tapeta wyglądała tu na podniszczoną i spłó-wiałą. Stary dywanik prawdopodobnie nie ucierpiałby szczególnie, gdyby rzeczywiście został poplamiony krwią, co jednak wcale nie ucieszyło dziewczynki. — To nie jest miły pokój — oświadczyła.

— Nie?

— Nie, jest okropny. Zastanawiam się, dlaczego mama nie odnowiła go w ubiegłym roku. Nasze pokoje, moje i Susannah, zostały odnowione. Chciałam mieć granatowe zasłony, ale się nie zgodziła.

— No cóż — powiedział Holland — przypuszczam, że twoja mama uznała, iż nie bywam tu wystarczająco często, aby zauważyć zmiany. Widzisz, mężczyźni nie przywiązują za bardzo wagi do takich drobiazgów. — Znowu opłukał brzytwę. — Ja jednak zauważyłem, że wyglądasz bardzo ładnie.

Charlotte miała na sobie ciemnozielony damski strój do jazdy konnej i czarny trójgraniasty kapelusz obsyty futrem z bobra.

— Tak, ślicznie — zgodziła się z uśmiechem. Usiadła prosto i wyciągnęła ręce, by kapitan mógł jej się lepiej przyjrzeć. — Nie nosiłam go jeszcze, tylko przymierzałam. Żakiecik miał być wzorowany na mundurze gwardii. Widziałeś gwardzistów... sądzisz, że jest podobny?

— No tak, oprócz koloru.

— Cóż, wiem, ale przecież nie mogłabym mieć czerwonego stroju. Byłabym *outré*... To francuskie określenie na coś nadzwyczajnego i nie bardzo przyjemnego. I nie uwierzysz, jak

trudno było ułożyć odpowiednio moje włosy pod tym kapeluszem. Myślisz, że wyglądam dobrze?

— Pierwszorędnie. Przypuszczam, że ten... strój był prezentem urodzinowym?

— Tak, chociaż mama kupiła też kostium Susannah, co moim zdaniem nie było właściwie w porządku, ponieważ to ostatecznie ja miałam urodziny, a Susannah rzadko kiedy jeździ konno. — Dostrzegła, że kuzyn zmarszczył czoło, gdy wytarł twarz ręcznikiem i dodała: — Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za egoistkę. Moja siostra wygląda w swoim bardzo pięknie.

Kapitan przyznał, że urodziny to urodziny, a Charlotte podkreśliła swoją przewagę nad siostrą, pokazując, że nosi również prezent od niego — małą srebrną broszkę. Odsunęła Hollanda od lustra, aby ją obejrzeć.

— Hm — mruknął kapitan, wiążąc sobie krawat. — Tak, Tibbs, wiem, że popsulem ten węzeł... ale dajmy spokój. Nie sądzisz, że jest za mała, ta... szpilka? — spytał Charlotte. W pierwszej chwili, gdy zobaczył przedmiot w sklepie, uznał go za śmiesznie mały, niestety nie stać go było na nic większego. Jubiler wprawdzie zapewnił go, że szpilka jest w stylu greckim, a skoro tak, jej wielkość nie ma znaczenia, Holland jednak miał wątpliwości.

— Jest absolutnie śliczna — zapewniła go dziewczynka — i lubię ją najbardziej ze wszystkich moich prezentów. Najbardziej po Clemmie. Jesteś w końcu gotowy? Starszym ludziom wszystko zajmuje tak dużo czasu.

— Prawie. Pozwól, że znajdę swoją laskę, i już mogę za tobą pokuśtykać.

Kapitan narzucił mniej formalny ze swoich dwóch cywilnych płaszczy, podczas gdy Tibbs krążył za nim, niepewny, czy powinien czyścić strój, czy też wygładzać. Zamiast tego podsunął nieznaczenie wysłużony kapelusz, znaleziony wśród rzeczy, o których mówiono, że należą do kapitana Hollanda, ponieważ nikt nie mógł sobie przypomnieć, aby widział je u sir Williama.

Holland przyjął kapelusz i kiedy wtykał go pod pachę, po raz pierwszy zauważył cerkę na rękawie. Boże, ilekroć przyjeżdżał do Storey's Court, zawsze czuł się jak cholerny strach na wróble.

— Na pewno chcesz się ze mną pokazać? — spytał Charlotte, gdy schodzili po schodach. — Niezupełnie pasuję do twojego nowego kostiumu.

Patrzył tak twardo i nieubłaganie, że trudno było się z nim drażnić, więc dziewczynka po prostu wzięła go przyjacielsko pod ramię.

— Och, Bobs — złążała go — wiesz, że to nie ma znaczenia. Teraz chodź i zobacz Clemmiego.

Ze względu na gest Charlotte i fakt, że kapitan zazwyczaj nie miał w zwyczaju niczego rozpamiętywać, wkrótce poprawił mu się nastrój i gdy dotarli do stajni, był skłonny uważać, że tak naprawdę nie mógłby doszukać się niczego niewłaściwego w związku ze Storey's Court. Nie twierdził, że wie dużo o zasłonach czy meblach, ale znał się nieco na oświetleniu, proporcjach i podstawach konstrukcyjnych. Wygodna nieruchomość musi spełniać pewne podstawowe warunki i Storey's Court spełniała je aż nadto. Kiedy dodać dobry smak takiej osoby jak lady Armitage, dom stawał się również elegancki. Otaczające główną budowlę tereny i zabudowania gospodarcze były utrzymywane starannie, lecz dyskretnie. Słowo „utrzymywać” było właściwe, ponieważ nic nie wyglądało tu na nowe, nic też jednak nie wymagało naprawy. Posiadłości niestraszne były wiatr czy niepogoda, które w żaden sposób nie burzyły ustalonego porządku, wszędzie czuło się nastrój trwałości i pewności.

Trudno się temu dziwić — dumiał Holland, gdy Charlotte wydawała polecenia głównemu stajennemu — ponieważ Armitage'owie są rodziną ludzi pewnych siebie. Żadnemu z jej przedstawicieli nigdy nie przyszłoby do głowy zwątpić w swoje miejsce w świecie albo zazdrościć komuś innemu jego pozycji.

— No więc co myślisz? — zapytała dziewczynka, gdy

z boksu wyprowadzono mocnej budowy kasztanowatego wałacha. — Widziałeś kiedyś takie чудо? — Niezły — przyznał Holland w zamyśleniu — ale zobaczymy, jak chodzi. Zwrócił się do stajennego i spytał, czy jest coś, o czym powinien wiedzieć. — Na północnej łące grunt jest trochę ciężki, proszę pana, jeśli tamtędy pojedziecie, ale poza tym nic. Panienska jeździła na Clemmie całkiem niedawno... sędzę, że już się poznali. Clemmie odrzucił głowę, jak gdyby dotknięty do żywego, że ktoś kwestionuje jego wiarygodność, nie zademonstrował jednak żadnych dalszych humorów. Co więcej, okazał się zwierzęciem absolutnie dobrodusznym, wystarczająco pełnym życia, by zaspokoić pragnienie ekscytacji Charlotte, a równocześnie niedającym się sprowokować przez jej skłonność do szarpania za wodze. A kiedy para królików przebiegła mu nieoczekiwanie drogę, wierzchowiec zachował się jak dżentelmen i ustąpił im miejsca. Z siodła jednego z koni, których sir William używał do polowań, Holland wyraził swoją aprobatę dla nowego nabytku. — Lubię jeździć konno — przyznała Charlotte, chociaż na widok jej zarumienionej twarzy i zadowolonej minki każdy uznałby te słowa za zbędne. — I wiem, że ty również kochasz przejażdżki. Tata powiedział, że bardzo się rozżłościłeś, gdy nie pozwolono ci się przenieść do artylerii konnej, i chociaż jestem pewna, że postąpili niesprawiedliwie, nie zrozumiałam, co właściwie miał na myśli. Chyba zawsze używasz koni? Jak inaczej mógłbyś przemieścić armatę? — Co takiego? Ach tak. — Tak naprawdę Holland rozmyślał w tym momencie o ostatniej sytuacji, kiedy jechał z dziewczyną konno. Jakże odmienne były tamte okoliczności. Przypomniawszy sobie Mary ściskającą kurczowo jego rękę, kiedy galopowali na oślep w deszczową ciemność, niemal znów poczuł, jak opierała się wtedy o niego, ilekroć zapomniawszy o swojej nieśmiałości. Jej miękkie włosy przy jego szyi... Z westchnieniem

wyjaśnił różnicę między transportowaniem różnych rodzajów artylerii, czyli sytuowaniem ciężkiej broni na początku bitwy i przewożeniem nowych, lekkich dział nawet kilkakrotnie podczas potyczki. Jedna trzecia jego wypowiedzi natychmiast uzyskała aprobatę Charlotte. Dziewczynka miała tylko mgliste pojęcie, z czym tak naprawdę wiąże się bitwa, ale bardzo szybkie przemieszczanie się i być może strzelanie podczas jazdy wydawało jej się niezmiernie pożądane.

— Masz wielkie szczęście, że możesz robić takie fascynujące rzeczy. To znaczy robiłbyś, gdyby nie byli tacy nieuczciwi w sprawie twojego przeniesienia. — Westchnęła nagle i przez chwilę bawiła się wodzami. — Nie wyobrażasz sobie, jak strasznie tu może być nudno. — Kolejne westchnienie i spojrzenie w jego kierunku. — Właśnie dlatego pragnę spróbować poskakać.

— Chcesz skakać? — zapytał Holland z roztargnieniem, jak gdyby nigdy o tym pomyśle nie słyszał. Podniecona, kiwnęła głową.

— Tak! Drogi Bobs, nauczysz mnie? Jestem pewna, że Clemmie doskonale sobie poradzi.

— I ty sobie również poradzisz, prawda? A co z twoim ojcem? Słyszałaś, co mówił wczoraj wieczorem. Jest absolutnie przeciwny skakaniu.

— Tak, ale mam na myśli małe skoki, a nie jakieś wielkie susy — wyjaśniła Charlotte. — Takie całkiem malutkie. Jestem pewna, że jazda jest bezpieczniejsza, jeśli potrafisz wykonywać małe skoki. Kiedy kapitan wypytał dziewczynkę dokładniej, przyznała się, że jest mało prawdopodobne, aby lady Armitage popierała skoki czy susy, Charlotte uznała jednak ten fakt za mało znaczący. Gotowość, z jaką usprawiedliwiła swoje zamiary, sugerowała, że obmyśliła wszystko wcześniej.

— Nie spytałam jej — wyznała — więc właściwie nigdy mi nie zabroniła. A jeśli spróbujemy teraz, podczas nieobecności mamy, nikt nie może nas winić za to, że nie spytaliśmy

o pozwolenie. A poza tym — ciągnęła, widząc po minie kuzyna, że nie jest całkowicie przekonany — mama nic nie wie o koniach. Ona i Susannah zupełnie ich nie rozumieją. Mama odmówiłaby, ponieważ zawsze mi odmawia, jeśli proszę o coś interesującego, a nie dlatego, że uważa to za niewłaściwe.

— Jakoś nie sędzę...

— A kiedy już nauczę się skakać, nie może przecież kazać mi tego zapomnieć, prawda?

Holland zaśmiał się krótko.

— Zapominasz, kto dostanie cięgi, jeśli coś się nie uda.

— Ale co może się nie udać? A byłoby tak zabawnie — naciskała Charlotte.

— Myślisz o skokach czy uniknięciu za nie kary?

— No cóż — mruknęła w zadumie, a potem się uśmiechnęła. Kapitan odwzajemnił jej uśmiech. Nie przypuszczał, by bardzo zaszkodziło poddanie Clemmiego prostej próbie, jeśli zachowają odpowiednią ostrożność. — Och, Bobs, jesteś kochany.

— No już dobrze. Tylko pamiętaj, że ja tu dowodzę, póki ćwiczymy, i co powiemy, jeśli ktoś się dowie.

— Zapamiętam — obiecała Charlotte. Podała mu rękę i wykonali uścisk dłoni, wymyślony przez siostry Armitage do pieczętowania ważnych przedsięwzięć i tajemnic, do których dawno temu dopuściły kuzyna. Podczas drogi powrotnej do domu dziewczynka przyznała się, że była dość przygnębiona, kiedy Susannah i lady Armitage wyjechały — nie miała absolutnie nic do roboty — ale teraz wcale jej nie obchodzi, kiedy wrócą. Czy lekcje skakania mogłyby się zacząć jeszcze tego popołudnia? Holland kiwnął głową. — Często odwiedzają Moltonów?

— Och tak. Odkąd tylko pan Grantley Molton... to bratanek pana Moltona... przyjechał i zamieszkał w Fordham. Jego ojciec handlował z Turkami i zrobił się kolosalnie bogaty, ale teraz nie żyje i jego brat, czyli nasz pan Molton, usynowił pana

Grantleya Moltona jako swego spadkobiercę. Czy to nie miło z jego strony?

— Ogromnie. Jaki jest ten pan Grantley Molton, poza tym że jest kolosalnie bogaty i odziedziczy Fordham?

Charlotte rozważyła jego pytanie.

— Jest wspaniałym sportowcem i był na uniwersytecie, a mama mówi, że całkiem ucywilizował swego stryjka. Wiesz, jak szorstki i nieokrzesany pan Molton zawsze był... A pamiętasz ten okropny stary płaszcz, który nosił? W Fordham w pełni lata odbył się wielki bal i wszyscy sądzą, że zorganizował go pan Grantley Molton. My nie byliśmy obecni, papa i ja, ponieważ papę bolał ząb, a mama powiedziała, że jestem za młoda. Ale ona i Susannah pojechały i Susannah opowiedziała mi potem wszystko. Mama założyła swoje brylanty, a Susannah twierdziła, że o mało nie zemdląła podczas podróży tam i z powrotem z obawy przed rozbójnikami. Mnie by się bardziej podobało, gdyby rozbójnicy rzeczywiście się pojawili.

— Mnie także. Co Susannah mówiła o panu Grantleyu Moltonie?

— Nie pamiętam, żeby Susannah coś mówiła, za to mama stale o nim opowiada. Widzisz, on jest bardzo dobrą partią, a Susannah musi w końcu kogoś poślubić. Strasznie jest zostać starą panną.

— Hm...

— Teraz chodźmy na śniadanie — zakończyła Charlotte pogodnie, chwytając rękę kuzyna i ciągnąc go. — Mam nadzieję, że papa nie zjadł wszystkich kiełbasek... Zdaniem doktora Chilcote'a nie są dla niego zdrowe, a ja jestem głodna.

Mary również wstała bardzo wcześnie tego ranka. Pogoda była bezwietrzna i dopiero świtało. Każdy, kto by ją zobaczył, jak się skrada w dół po schodach w pończochach i bez butów, a później ubiera się do wyjścia na dwór we frontowym korytarzu, wiedziałby, że dziewczyna zamyśliła sobie wyraźny,

sekretny cel. Nikt jej na szczęście nie zauważył, toteż spokojnie opuściła Lindham Hall i ruszyła samotnie w drogę do Woodbridge. Miała tam ważną sprawę i była zdecydowana załatwić ją bez pomocy czy nawet wiedzy pani Tipton. Naturalnie z tego powodu musiała się także obejść bez powozu gospodyni, ale sądziła, że przejście sześciu mil — a prawdopodobnie bliżej czterech, jeśli wybierze trasę przez pole — to niska cena za prywatność. Pani Tipton była bardzo kochaną starszą damą, skrywającą niezmierną hojność pod pozorem grymaśności i zrzędlivosti, lecz za bardzo lubiła się wszystkim zajmować i Mary czuła, że w trakcie ostatnich kilku dni zupełnie przestała o czymkolwiek sama decydować. Dlatego dzisiaj postanowiła inaczej. Jej sprawy w Woodbridge nie miały nic wspólnego z panią Tipton, dziewczyna nie potrzebowała więc opinii staruszki na ten temat. Poza tym, Mary miała nadzieję, że zakończy wizytę i wróci do Lindham, zanim ktokolwiek odkryje jej nieobecność.

Tak zmotywowana, ruszyła żwawym krokiem ścieżką, która powinna zaprowadzić ją do wsi Lindham i stamtąd na trakt do Woodbridge. Ścieżka była błotnista i nierówna, a pod drzewami wisiały jeszcze pozostałości wiotkiej, chłodnej mgły, Mary jednak ledwo zauważała te niewygody. Przywykła do chodzenia przy każdej pogodzie; pracując w szkole pani Bun-bury, spacerowała często, gdy tylko obowiązki jej pozwalały. Ponadto, jako że przechadzała się przeważnie samotnie, nabrała zwyczaju recytowania poezji, by zabić czas, jeśli okolica wydawała się zbyt monotonna. Teraz była w takim nastroju, że wyobraziła sobie siebie żeglującą z sir Patrickiem Spensem, a kiedy minęła sękatę, bezlistne drzewo tuż przed zakrętem do Woodbridge, zastanowiła się, czy może jest to Eildon Tree, gdzie harfista Tomasz spotkał królową elfów. *W każdym loku grzywy jej konia / Wisi pięćdziesiąt srebrnych dzwonek i dziewięć**. Ależ musiały brzęczeć!

* Z *Ballady o Tomaszu Rymopisie* (XIII w.).

Większość mieszkańców Woodbridge dopiero się budziła, kiedy Mary zatrzymała się przed dużym, wyglądającym na wygodny domem z kamienia, poprzedzonym schludną żwirową aleją dojazdową i porośniętym na jednej ścianie czerwonym bluszczem. Na budynku nie wisiała żadna tabliczka, lecz dziewczyna wiedziała, że trafiła pod dobry adres. Wyprostowała ramiona, weszła na trzy stopnie prowadzące do frontowych drzwi i zastukała ostro mosiężną kołatką. Poranni goście nie byli wyraźnie niczym niezwykłym dla Ivy House, ponieważ na stukanie natychmiast zareagowała statecznie ubrana służąca i Mary weszła do środka.

Jakiś czas później drzwi się otworzyły i zamknęły znów, kiedy dziewczyna wyszła. Marszczyła brwi w zamyśleniu, naciągając na palce rękawiczki, i aż drgnęła na dźwięk znajomego głosu, który przebił się przez chrzęst żwiru.

— Czy to pani, panno Finch?

— Och... Dzień dobry, panie Deprez. — Jego nagłe pojawienie się zakłóciło ciąg niezbyt miłych myśli, teraz jednak Mary bez wysiłku uśmiechnęła się do mężczyzny. Lubiła Depreza na tyle, na ile go znała, a w jego wyglądzie i słowach na pewno nie było niczego, co zniechęcałoby do zawarcia bliższej znajomości. Mary właściwie przyszło do głowy, że jest bardzo przystojny. Zauważyła oczywiście już wcześniej jego przymioty, szczególnie ciepłe, brązowe oczy, które niezwykle łagodziły ostro rzeźbione rysy twarzy mężczyzny, jednak podświadomie odsuwała od siebie wszelkie myśli o nim.

— Bardzo przyjemny ranek, naprawdę. I jakie szczęśliwe spotkanie. — Zaczął uchylać przed nią kapelusza, ale przerwał w pół gestu i spytał z troską: — Ale czy to nie jest dom doktora Mallory'ego? Mam nadzieję, że wszyscy w Lindham Hall pozostają w dobrym zdrowiu?

— Och tak, wszyscy czujemy się doskonale — zapewniła go. — A rozmawiałam z doktorem Mallorym o moim stryju. Był lekarzem stryja, wie pan.

— Tak, naturalnie, a ja nie powinienem zatrzymywać pani

rozmową na dworze, w przeciwnym razie sama może się pani stać jego pacjentką. Gdzie zostawiła pani panią Tipton? Czy mogę panią do niej odprowadzić?

Wyciągnął rękę i ten ruch bądź też drobne zakłopotanie spowodowane koniecznością tłumaczenia się sprawiło, że Mary się zawahała.

— Nie, dziękuję, ale to całkiem niepotrzebne. Chodzi mi o to, że nie ma jej tutaj. Przybyłam sama.

— Ach. Ale powóz... gdzie pani... — Jego spojrzenie wyrażało zaskoczenie, aż nagle pojął i w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki. — Nie przyszła pani chyba z Lindham, panno Finch, i to sama... Dlaczego pani to zrobiła?

— Dlaczego nie? — odcięła się, lecz jej ton był psotny, a nie obrażony. Tak naprawdę czuła zadowolenie, że go zaszokowała. — Odległość nie jest szczególnie duża i przemierzyłam ją bez trudu. Mieszkając w Saint Ives, często pokonywałam na piechotę znacznie większe dystanse.

Deprez uznał jej przekomarzanie się i sposób, w jaki wyprostowała się butnie, by stawić mu czoło, za dziwnie ujmujące. Sam nie wiedział, kiedy jego nastrój się zmienił. Początkowo okazywał dziewczynie jedynie uprzejme zainteresowanie, teraz zaś jej towarzystwo zaczęło mu sprawiać wyraźną przyjemność. — Nie wątpię w pani sprawność fizyczną, ale... Zaryzykuję stwierdzenie, że nie jest to prawdziwe wyjaśnienie dla tej szczególnej... przygody.

— Nie? — spytała. Jej ton pozostał wyzywający.

— Nie. — Zastanawiał się przez chwilę, przypatrując jej się z uśmiechem. — Właściwie zadaję sobie pytanie, czy nie wyrwała się pani spod czujnego oka pani Tipton.

Tym razem Mary się zdumiała.

— Skąd pan wie?

— Po prostu odwołałem się do własnych odczuć. W pani sytuacji irytowałbym się tym jej wiecznym nadzorem. Jednakże — dodał, gdy dziewczyna otworzyła usta, aby zaprotestować — zastanawiam się, czy decyzja pani była mądra. Brała

pani pod uwagę, co powie, kiedy ktoś odkryje fakt tej porannej przechadzki? Myślisz, pani, że zdołasz wejść po kryjomu? To możliwe. Ale nie możesz mieć nadziei, że umkniesz powszechnej uwadze podczas podróży powrotnej do Lindham, no chyba że zamierzasz przekradać się pod żywoplotami. Każdy przechodzień może bez wątpienia rozpoznać panią i zdziwić się... Może już ktoś panią dostrzegł. — Spojrzał ukradkiem w okna Ivy House. — Jestem pewny, że widziałem w jednym z okien na piętrze poruszenie zasłon.

— Och, tak pan sądzi? Może lepiej przypomnę doktorowi Mallory'emu...

— Nie, nie — zalecił usilnie Deprez, śmiejąc się. Położył rękę na jej dłoni, hamując zapędy dziewczyny. — Albo jest honorowym mężczyzną, a w takim przypadku obrazisz go nawet samym przypomnieniem tego tematu, albo nim nie jest... a wówczas nic, co powiesz, nie powstrzyma go przed rozgłoszeniem dowolnych plotek na prawo i lewo, i wszystkim znajomym.

— Nie chciałabym, aby o mnie plotkowano — skrzywiła się Mary — a doktorzy znają tak wiele osób. — Rzeczywiście.

— Niemniej, postąpiłby bardzo podle, zdradzając mnie... Gdybym tylko mogła być pewna pani Tipton! Widzę, że powinnam uważniej sobie przemyśleć powrót do Lindham Hall.

— To jest pierwsza reguła dobrego generała — zgodził się Deprez. — Nigdy nie wyruszaj, póki nie wiesz, jak wrócić.

— Tak, świetnie, tyle że ja już wyruszyłam. Co powinnam teraz zrobić?

— Niech się pani trzyma drugiej zasady — odparł, kłaniając się lekko. — Kiedy jesteś w trudnej sytuacji, wezwij kawalerię.

— Ale nie ma kawalerii... — zaczęła Mary, po czym potrząsnęła głową z uśmiechem.

— I jestem bardzo wdzięczna panu za to — podsumowała, gdy Deprez podał jej rękę, pomagając wsiąść do powozu pana

Somerville'a. — Na pewno pańskie sprawy w Woodbridge nie są aż takie pilne?

— Na pewno. — Deprez usiadł na przeciwległym siedzeniu i dał sygnał stangretowi, aby ruszał w drogę. — Nie mogę oczywiście obiecać, że dotrzemy do Lindham Hall, zanim pani nieobecność zostanie zauważona.

— Nie, ale... Przypuszczam, że to było głupie z mojej strony, jednak bardzo chciałam porozmawiać z doktorem Mallorym sam na sam. Nikt najwyraźniej nie znał mojego stryja zbyt dobrze, więc pomyślałam, że jego doktor przynajmniej będzie mógł mi coś powiedzieć.

— I powiedział? Och, przepraszam, nie zamierzałem być wścibski.

Mary uśmiechnęła się do niego.

— Wolę ludzi dociekliwych... to znaczy, nie plotkarzy, lecz osoby, które interesują się dziwnymi sprawami.

— Na przykład?

— Na przykład ostatnia choroba stryja. Sądzę, że już od jakiegoś czasu nie cieszył się dobrym zdrowiem... może nigdy nie był szczególnie krzepki. Tak czy owak, chciałam wiedzieć, czy jego śmierć była skutkiem tej ogólnej... słabości, czy też raczej czegoś innego.

Uniosła brwi.

Deprez również miał pytanie, j ednak Mary nagle osunęła się na siedzenie i kontynuowała monotonnym, niezadowolonym tonem:

— Doktor Mallory powiedział, że kiedy mój stryj umierał, miał zapalenie płuc, czyli że cierpiał na konkretną chorobę. Prawdopodobnie nadwyreżyła ona jego serce, a serce było już zapewne osłabione.

— Rozumiem. — W zwykłych okolicznościach Deprez nie uważałby za interesujące omawianie symptomów ostatniej choroby starszego pana. Z jakiegoś powodu jednak był coraz bardziej oczarowany opowieścią Mary. Może z powodu uniesionych brwi dziewczyny. — Najwyraźniej ta diagnoza nie zadowoliła pani, ale czy oczekiwałaś czegoś innego?

— Nie wiem, czego oczekiwałam — przyznała się — ale nie mogę zapomnieć, że pan Tracey miał zegarek mojego stryja i klucz do White Ladies. Mój stryj był człowiekiem schorowanym i nie przyjaźnił się właściwie z nikim w okolicy, ani ze swoim lekarzem, ani z doradcą prawnym. A przecież dał Traceyowi rodzinną pamiątkę i klucz od swego domu. Te fakty wydają mi się bardzo ciekawe, chociaż nikt inny nie chce zwrócić na nie uwagi. Coś mi się zdaje, że cała sprawa ma wiele wspólnego z przemytnikami z White Ladies. Być może Tracey należał do bandy... albo próbował pokrzyżować plany jej członkom. Może usiłował mnie przed nimi ostrzec, ale nie potrafiłam go zrozumieć... z powodu kordiału.

— Doktor Mallory nic nie wiedział o Traceyu, jak mniemam?

— Nie. — Mary uśmiechnęła się z żalem. — I wcale nie zainteresował go stan mojego stryja... to znaczy nie ciekawiło go, co miało wpływ na jego stan albo jak stryj mógł zachorować na zapalenie płuc. Jedyne, co mogę powiedzieć o reakcji lekarza, to to, że zaniepokoiło go moje przyjście i moje pytania! Powóz zwolnił na zakręcie, a potem konie trzeba było łagodnie popędzić naprzód, ażeby pojazd nie wjechał w głęboką, błotnistą koleinę. Deprez obserwował tę sytuację z okna, a kiedy podjęli jazdę, spuścił zasłonkę i zwrócił się do Mary:

— Może dobry doktor uznał, że prawda jest najczęściej nudna, a poza tym, ciekawa czy nudna, nie zmieni tego, że pani stryj nie żyje. Nie mogłam pani w żaden sposób pocieszyć, a mam wrażenie, że właśnie pociechy jego zdaniem pani szuka.

— Tak, ale nie mogę znaleźć pociechy w czymś, czego nie rozumiem. Myśli pan, że moje zachowanie jest bardzo niezwykle?

— Nie, choć nie jest również być może zupełnie zwyczajne, ponieważ postępuje pani niebezpiecznie... przez co rozumiem, że niepokoi pani osoby, które pragną spokoju. Nie wiem na przykład, czy pani Tipton uznałaby taką cechę za pożądany atrybut. — Mary uśmiechnęła się szelmowsko i Deprez pomyś-

łał, że jeśli dziewczyna kiedykolwiek zda sobie sprawę ze swojej urody, stanie się naprawdę groźna dla męskiego rodzaju.

— Pani Tipton już niejednokrotnie ostrzegała mnie przed ekscentrycznością — zauważyła. — Sądzę, że mogę zostać ekscentryczką... Taka osoba może zachować się dokładnie tak, jak tego pragnie.

— Nie, nie chciałybyś tego, pani — zapewnił ją szybko — ponieważ ekscentrycy są przecież zdolni jedynie do ekscentrycznych wypowiedzi. Wszystko, co powiedziałybyś, odrzucano by lub pojmowano w sposób opaczny.

— Jak w przypadku Kasandry.

— No właśnie. A dla kogoś o pani temperamencie, jestem przekonany, taka rola byłaby nieznośna.

— Tak, chyba rzeczywiście. Ale może pan Tracey był swego rodzaju Kasandrą.

— Może i tak.

Mary kiwnęła głową. Czowała się lepiej, chociaż jej pytania związane z Traceyem i stryjem wciąż pozostawały bez odpowiedzi. Pan Deprez był człowiekiem mądrym. Cieszyła się, że przyjęła jego pomoc; gdyby oszacowała ją zbyt nisko i odrzuciła, naprawdę dużo by straciła.

12

Dzięki zupełnie przypadkowej kombinacji dwóch elementów — migreny pani Tipton i poluźnionych dachówek — wyprawa Mary do Woodbridge nie została w Lindham Hall odkryta. Ból głowy zatrzymał dobrodziejkę dziewczyny w łóżku na długo po zwykłej porze wstawania, z powodu zaś tej drugiej sprawy pierwszym domownikiem, który spostrzegł powrót Mary, był pan Cuff. Wykrzywił usta, gdy zobaczył ją wysiadającą z powozu pana Somerville'a, nie skomentował jednak tego faktu. Co ważniejsze, nie uległ pokusie oświecenia w tej materii pracodawczyni ani nikogo ze służby i nawet pomógł dziewczynie wejść do pokoju przez okno, dzięki czemu uniknęła spotkania z osobami kręcącymi się przy frontowych drzwiach. Ma się rozumieć, że nikt nie lubi wchodzić na drabinę, jednak Mary nie zachnęła się na tę sugestię pana Cuffa i ta decyzja okazała się ze wszech miar słuszną. Niemniej jednak, po trzeźwym zastanowieniu, dziewczyna zdała sobie sprawę, że jedynie o włos uniknęła skandalu, i zdecydowała, że powinna — jeśli tylko będzie to możliwe — unikać takich działań w przyszłości.

Większą część następnego dnia spędziła w domu. Deszcz znowu padał, przede wszystkim wszakże pani Tipton uznała, że powinny tego popołudnia przyjąć gości. Pomysł ten wystawił

na próbę jej sumienie. Mary była przecież w żałobie po stracie stryja i nie bardzo mogła się rzucić w wir obowiązków towarzyskich. Z drugiej strony, bratanica nie jest aż tak bliską krewną, więc istniała możliwość pogodzenia żałoby z regułami etykiety. Spokojna herbatka z kilkoma paniami o pewnej pozycji wyglądała na złoty środek. Damy zaspokoją swoją ciekawość, Mary zaś zrobi cenny pierwszy krok na drodze towarzyskiej i zostanie wprowadzona w społeczność hrabstwa, a nikt nie będzie uważał, że tańczą na grobie pana Fincha.

Mary ze znacznie mniejszym przekonaniem podeszła do tego przedsięwzięcia. Szanowała życie towarzyskie hrabstwa, które w jej opinii na pewno składało się z balów, spotkań i eleganckich przyjęć, nie miała jednak ochoty poddawać się ocenie surowych dam, z których niejedna przypomniała jej pannę Nichols, a biorąc udział w ich wymuszonych konwersacjach, po prostu niezmiernie się męczyła. Ich rozmowy bowiem albo były sztuczne, albo dotyczyły osób, których nie знаła. Ktoś z zewnątrz, szczególnie srogi krytyk, którego niewiele obchodziła społeczność hrabstwa, mógłby nazwać to spotkanie po prostu nudnym. W dodatku pani Tipton nieustannie wtrącała taki czy inny komentarz lub próbowała wpłynąć na spostrzeżenia Mary poprzez pełne ekspresji marsowe miny bądź znaczące mrugnięcia okiem i te ingerencje — wraz z niekończącymi się filiżankami herbaty — zmieniły popołudnie w kompletną udramę.

Ze szczególną przyjemnością dziewczyna odnotowała zatem przybycie pana Depreza. Mężczyzna przyjechał po panią Somerville, lecz jako jedyny mężczyzna w gromadce kobiet szybko został przez nie namówiony do pozostania. Mary przyglądała się, jak swobodnie i grzecznie konwersował z każdą z dam, a także uprzejmie wysłuchiwał ich odpowiedzi — również tych zaprawionych kokieterią lub chichotem; jedna z pań nawet chwyciła go za rękę, kiedy usiłował przejść. Jakie głupie potrafią być niektóre kobiety, kiedy pojawi się wśród nich mężczyzna — pomyślała Mary, choć jej serce także niepokojąco

zatrzepotało, gdy Deprez przeciął pokój, by dołączyć do niej na herbatę, tam gdzie schroniła się, twierdząc, że pragnie być pomocna.

Deprez zauważył, że Mary ma na sobie znacznie ładniejszą suknię, niż przypuszczał, że dziewczyna posiada, jeśli miał osądzać po okropieństwie, które nosiła w dniu ich wspólnej jazdy do White Ladies. (Brał poprawkę na jej wizytę w Woodbridge, wielkodusznie wmawiając sobie, że wybrała stary strój, przewidując spacer w błocie). Dziś nosiła prostą, lecz dobrze uszytą suknię z czarnej wełnianej krepy, którą panna Cheadle przygotowywała przez całą ubiegłą noc.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, panno Finch. — Uśmiechnął się. — Pan Somerville nie wspomniał mi, że pani będzie... brylowała wśród tak wielu naszych wspaniałych pań dziś popołudniu — a ciszej, bardziej do siebie niż do niej dodał: — *Duszki porywcze wnet wśród ognia staną... **
— *Pouczone spędzają godziny / Mówiąc, kto wydał bał, a znów kto inny / Złożył ostatnio wizytę... ***
— zgodziła się Mary.

— Ach, widzę, że czytała pani pana Pope'a — zauważył Deprez, unosząc brew. — Podobają się pani jego poezje?

— Tak, ale nie powinniśmy chyba rozmawiać o... sekut-nicach. — Mary natychmiast uprzytomniła sobie, że jest stanowczo zbyt bystra, aby mogło jej to wyjść na dobre. Wzruszyła ramionami i napełniła jego filiżankę.

— No cóż, sam podałem ten cytat i słusznie przywołuje mnie pani do porządku. — Wypił łyk i wskazując na siebie, mruknął: — *Groźne świętoszki się kryją pod ziemią / By jako Gnomy, w które się zamienia, / Szukać... ****. A mówiąc o po-

* Alexander Pope, *Porwany lok. Poemat heroikomiczny*, s. 8. Przeł. Juliusz Kydryński. Wyd. Lit., Kraków 1982. ** *Op. cit.*, s. 28—29. *** *Op. cit.*, s. 87—88.

szukiwaniach, mam nadzieję, że nie było żadnych... nieprzyjemnych konsekwencji wczorajszej wyprawy?

Mary potrząsnęła głową i odpowiedziała podobnie konfidencyjnym tonem:

— Pani Tipton w ogóle nie dowiedziała się o mojej wycieczce. Póki więc żadna z dam mieszkających w Woodbridge nie doniesie na mnie... zapewne z powodu tych obaw jestem dla nich trochę niegrzeczna... — Kiwnęła głową poważnie w stronę kręgu kaszmirowych szali, w którego centrum perorowała żona burmistrza.

— Ach, tak — zgodził się Deprez. — W takim razie będę się starał zmienić temat, jeśli tylko zauważę, że któraś zamierza na panią donieść.

Rozstali się tedy — mężczyzna podjął spokojny obchód sali, a Mary przyglądała mu się, równocześnie powtarzając sobie, że nie powinna. Kiedy wrócił, poprosił o kawałek placeka.

— Ta dama w nocnym czepku zapewniła mnie, że będzie to najlepszy placek, jaki kiedykolwiek jadłem.

Mary postanowiła wcześniej zachowywać się z rezerwą, jego uwaga jednak natychmiast zburzyła wszelkie postanowienia.

— Ciii! — powiedziała pospiesznie, tłumiąc chichot. — To nie jest nocny czeppek!

— Nie? Wygląda bardzo podobnie do czepka, ale cieszę się, że mnie ostrzegłaś, pani. Nie chciałbym obrazić tej damy poprzez pochwalenie jej okrycia. — Ugryzł kawałek placeka. — Smaczny, ale odrobinę zbyt suchy. Co powiesz, pani, o pierniku?

— Och, ja znacznie bardziej lubię piernik! — Ukroiła mu plasterek. — Czy o tym one wszystkie dyskutują? O ciastach?

— Tak — uśmiechnął się — o ciastach i prawnikach. A w szczególności o ciastkach serwowanych przez pana Todda, a także o jakości jego porad i o tym, które są najlepsze... mam na myśli ciastka...

— Pani Tipton i ja odwiedziłyśmy pana Todda — wyjaśniła

Mary, znów ścisząc głos. — Rozmawialiśmy na temat ostatniej woli mojego stryja. Deprez kiwnął głową i zanim zdołał ją zapewnić, że nie musi mu się zwierzać w tej kwestii, dziewczyna zaczęła opowieść. Lubiła rozmawiać z Deprezem, a testament stryja stanowił temat szczególnie bogaty w informacje. Mężczyzna z kolei uznał jej entuzjazm za bardzo pociągający, zwłaszcza że tak naprawdę nie miał ochoty na kolejny spacer wśród „sekutnic”. Wkrótce zatem wraz z Mary omawiali takie fascynujące szczegóły, jak praktyka kościelnych sądów, które miały ochotę rozdysponować własność pana Fincha, a także zastanawiali się, dlaczego stryj dziewczyny spisał wolę odnośnie do majątku osobistego, lecz nie odnośnie do posiadanych nieruchomości. Deprez uznał tę decyzję za zadziwiającą, Mary — dzięki wcześniejszemu spotkaniu z panem Toddem — mogła mu wyjaśnić przyczyny takiego wyboru.

— Jeśli człowiek życzy sobie, aby jego ziemia przeszła na jego spadkobiercę, najlepiej podobno uzyskać ten efekt wcale nie poprzez testament, lecz pozwalając, by cały majątek przeszedł drogą dziedziczenia, ponieważ ten drugi tytuł prawny jest silniejszy. W rzeczywistości, nawet jeśli ziemia jest zapisana testamentem, ostatnia wola jest w zasadzie bezużyteczna i zostanie odrzucona, tak aby spadkobierca mógł przejąć całość na drodze dziedziczenia ustawowego.

— Doprawdy?

— Chodzi też o to, że jeśli ktoś stwierdza w testamencie: „Zapisuję wszystkie moje dobra osobiste i ruchomości... na przykład panu Deprezowi”, wówczas zapis ten oddziałuje na wszystko, co ten człowiek posiada w chwili śmierci, jeżeli jednak spíše to samo oświadczenie odnośnie do swoich nieruchomości, będzie ono dotyczyło jedynie tej własności, jaką posiadał w momencie spisywania woli. Za każdym razem zatem, gdy nabędzie nową własność albo choćby obciąży hipoteką dotąd posiadaną, jest zobowiązany sporządzić nowy testament.

Deprez uśmiechnął się do niej z podziwem.

— Widzę, że masz, pani, całkiem sporą wiedzę na temat praw dziedziczenia.

— To naprawdę interesujący temat — stwierdziła nieśmiało — a ja... bardzo lubię dowiadywać się nowych rzeczy. — Rozumiem. To absolutnie rozsądne podejście. Nie czułabyś się, pani, po prostu... przyjemnie w stanie niewiedzy. I planujesz kontynuowanie swoich badań?

— Och, nie — uśmiechnęła się Mary — rezygnuję z prawa, przynajmniej w tej chwili. Postanowiłam jednak pomóc panu Toddowi w inny sposób. Jego dependenci jadą do White Ladies jutro, aby sporządzić inwentarz domu. Jadę z nimi.

Mężczyzna nawet nie usiłował kryć zaskoczenia.

— No słowo daję, panno Finch, po wszystkim, co tam się zdarzyło?! Jestem... Oczywiście, szanuję pani odwagę, lecz... A może wczorajsza przygoda zainspirowała panią do większych wyczynów?

— Ależ nie — zaprotestowała — i wcale nie jestem taka odważna. Powinnam panu wyjaśnić. Pan Mycroft, zarządca mojego stryja, będzie tam także wraz z kilkoma swoimi pracownikami. Sprawdzą, czy dom jest właściwie zabezpieczony.

— Ach, to dobrze w takim razie. Ale jakie to ponure zajęcie! Liczyć krzesła i spisywać naczynia stołowe... — Ktoś może nazwać mnie pazerną — przyznała Mary, lekko się czerwieniąc — proszę mi jednak wierzyć, że tak naprawdę nie myślę o White Ladies jako o swojej własności... w jakimkolwiek sensie... tyle że wszystko jest takie interesujące.

— Tak, oczywiście — zgodził się. — Nie zamierzałem pani krytykować. Dlaczego nie miałyby pani wziąć udział w tych działaniach, skoro ma pani ochotę? — Zawahał się, marszcząc brwi. — Jednakże... czy pozwolisz, że ci coś zasugeruję, pani?

— Naturalnie.

— Mam współnika. Pomaga mi zarządzać moją plantacją na Saint Lucii, musiał jednak opuścić wraz ze mną wyspę z powodu tamtejszych kłopotów. To bardzo zdolny sekretarz. Może mógłby pani pomóc w inwentaryzacji?

Mary odparła, że chyba nie może przyjąć tak wspaniałomyślnej propozycji, natomiast Deprez uważał, że powinna. Jego argumentacja — jako bardziej logiczna — zwyciężyła, a mężczyzna dodatkowo uśmiechnął się do dziewczyny i to przeważyło. Jakoś nie potrafiła mu odmówić.

— Dobrze zatem — oświadczyła — skoro sądzi pan, że pański wspólnik nie będzie miał nic przeciwko temu. Dziękuję.

— Nie, nie, ucieszy się z tego, jestem pewny. Nazywa się Hicks. Wydaje mi się, że spotkał panią w dniu swego przybycia do Lindham. Na cmentarzu przykościelnym... pytał o drogę do Woolthorpe Manor.

— Ach tak. — Mary zastanawiała się przez chwilę. — Myślałam...

— Wydał się pani nieco niesamowity? Często robi takie wrażenie na obcych, ale nie powinna się pani przejmować. Miał pewne ciężkie... doświadczenia w swoim czasie, jest to wszakże absolutnie godny zaufania człowiek i ma spore doświadczenie.

Było coś w tonie Depreza, kiedy wypowiadał ostatnie słowa, co przyciągnęło uwagę Mary. Czy próbował jej przekazać jakąś informację? Spojrzała na niego, lecz wyraz jego twarzy już się zmienił i teraz nie potrafiła go zinterpretować.

— Uważa pan za ogromnie... niewłaściwy mój wyjazd do White Ladies?

— Och, nie, nie niewłaściwy, jednak...

— Jednak nie zaszkodzi zachować ostrożność?

— Właśnie — kiwnął głową Deprez. — Dlaczego pani się uśmiecha?

— Nic, nic. Dokładnie to samo zalecał kapitan Holland, ilekroć odnosiłam się do czegoś podejrzliwie.

— Czyżby? No cóż, bo to mądre słowa.

Kiedy następnego ranka Mary przybyła do White Ladies, wnętrza posiadłości prezentowały się zupełnie inaczej. Z mebli zdjęto płachty, dywany rozwinięto, a w kominkach głównych pokoiów płonął ogień. Obecność kilku aktywnych, przyjaznych urzędników i robotników również przyczyniła się do zmiany atmosfery. Mary wędrowała przez dom, często wchodząc mężczyznom w drogę, i stale zachwycała się różnicami, które dostrzegała pomiędzy obecnym stanem White Ladies i wspomnieniem pierwszego spaceru po majątku. Dom wciąż nie wyglądał wprawdzie na zamieszkały, wydawał się jednak jakby zbudzony i wzięty pod opiekę, a odkąd przywrócono światła i doprowadzono do porządku meble, dziewczyna prawie zaczęła wyczuwać obecność stryja. Czy obraziłby się za tych obcych ludzi w swoim domu, za urzędników z wykazami i księgami rachunkowymi? Żył tu sam przez te wszystkie lata i pewnie często doskwierała mu samotność. Nie po raz pierwszy Mary pomyślała, jak niewiele brakowało, by ulżyła stryjowi w brzemieniu samotności i przyjemnie zburzyła jego spokój.

W trakcie swojej wędrowki spotykała pana Hicksa, współnika Depreza, i początkowo mężczyzna raczej ją onieśmielał. Odkryła, że jego maniery są niezwykle, czasami bowiem zachowywał się szorstko i można mu było zarzucić niemal nieokrzesanie, innymi razy zaś był zaskakująco grzeczny, a wszelkie gesty przychodziły mu zupełnie naturalnie. Niewątpliwie bardzo się różnił od Mycrofta, małomównego przedstawiciela pana Fincha, który wiedział wszystko o wycince drzew i pastwiskach, lecz listę dzierzawną prędzej by wyrecytował z pamięci, niżli ją przeczytał. Plantacja trzciny cukrowej na Saint Lucii łączyła się z całkowicie innym rodzajem działalności niż posiadłość w Suffolku; dlaczego zatem zarządcy tych dóbr nie mieliby być zupełnie inni? Ale Hicks nawet nie mówił jak mieszkaniec Indii Zachodnich czy też — Mary poprawiła się—jego wymowa nie przypominała wymowy pana Depreza; przynajmniej nie przez cały czas.

Zaprzyjaźnili się jednakże nad zastawą stołową White Ladies. Pan Todd wysłał ich oboje do spiżarni, sugerując, aby Hicks spisał pod kierownictwem Mary elementy porcelany, talerze, szkło i sztuce. Okazało się wówczas, że jego znajomość tej dziedziny znacznie przewyższa wiedzę Mary. Kiedy zabrali się do przedmiotów nieco bardziej skomplikowanych, dziewczyna przyłapała się na tym, że nie jest w stanie ich rozpoznać. Wkrótce jednak uświadomiła sobie, że Hicks nie tylko zna nazwy wszystkich akcesoriów, lecz także bardzo stara się nie wprawić w zakłopotanie swej towarzyszki. Stopniowo rozpoczęła się między nimi swego rodzaju gra, w której przerzucali się aluzjami i domysłami. W trakcie tej gry Mary pozwalała sobie na ekstrawaganckie propozycje, natomiast Hicks subtelnie sprowadzał ją na ziemię. — Teraz ta łyżka... — Mary przyjrzała się zdumiona przedmiotowi, którego długi, zaostriżony uchwyt był niemal równie osobliwy jak jego zaokrąglona, przedziurawiona czarka. — Po co komu łyżka z otworami?

— Dlaczego widzisz tę drzazgę w oku brata swego? — odparował Hicks i wykonał dyskretny ruch picia.

— Kiedy posiadasz... filiżankę pełną ich — uśmiechnęła się Mary. — Panie Hicks, proszę odnotować parę srebrnych łyżeczek do herbaty... to znaczy „łyżeczek z drzazgami”.

— Doskonale, panienko.

— I ta mała szufe...

— Łopatka do sera stilton? Która, ktoś mógłby się zastanawiać, do czego się, do licha, nadaje? Tak, zapiszę ją, panienko. Mam dużą słabość do tego sera... po posiłku, z kilkoma owocami... panienska zapewne również.

— Taak, to bardzo przyjemne. Zatem łopatka do sera. A te szczypcy są moim zdaniem bardzo przydatne po posiłku. — Zamachała jednymi w zadumie. — Używa się ich do... do trzymania cygara, tak żeby dżentelmen mógł wypalić każde swobodnie do samego końca, bez ryzyka poparzenia sobie palców.

— Ach tak — Hicks pokiwał głową, zauważając równocześnie, że tych pomyslowych urządzeń jest aż dwanaście. — Podczas posiłku mogą dodatkowo służyć do podnoszenia szparagów i innych warzyw. — Tak, to dobry pomysł. Sądzę, że właśnie dlatego użyję ich do szparagów podczas pierwszego obiadu, jaki wydam w White Ladies.

Stopniowo przedzierali się przez pojemniki do produktów sypkich, podstawki pod szklanki, tacki, dzbany, kompotierki i patery, szklanki do wody, kufle do piwa, kieliszki do kordiału i wódek, aż dotarli do porcelanowych miseczek i talerzy we wszelkich możliwych rozmiarach i kształtach. Hicks odkrył, że kolekcja sreber pana Fincha jest szczególnie piękna, a Mary na serio zaczęła planować pierwszą swoją uroczystą kolację.

Dowiedziała się też więcej o swoim towarzyszu. Raczej nieśmiało Hicks przyznał, że przeznaczone mu było życie niezbyt odległe od tego w White Ladies. Jego ojciec był ważną osobistością i syn powinien się cieszyć zupełnie przyzwoitym życiem. Przyznając, że takie początki trudno skojarzyć z jego obecnym stanem, krótko opisał swój upadek. Jego historia nie była bynajmniej wyjątkowa, jednakże Mary niewiele wiedziała o moralnej degeneracji i słuchała uważnie opowieści.

W sumie Hicks niewiele szczegółów wyjawiał w swojej relacji, gdyż wiedział, kim jest jego słuchaczka, ledwie więc wspomniał o swoim złym prowadzeniu się. Niemniej jednak, Mary usłyszała, że podczas pobytu na uniwersytecie zaprzyjaźnił się z grupką młodych ludzi prowadzących hulaszczy i rozpustny tryb życia. Nie posiadając innego doradcy czy też odrzucając podsuwane mu wskazówki, postępował nierozważnie, samolubnie i, ogólnie rzecz ujmując, „zatracił swój kompas moralny”. Tak czy owak, został relegowany z Cambridge i pojechał do Londynu, gdzie nie przestał sobie folgować. Przez jakiś czas jego życie było szczęśliwe, a na pewno ekscytujące i puste,

co uznawał w tamtych czasach za szczęście. Do upadku, rzecz jasna, dojść musiało prędzej czy później, a w wyniku oszukańczego planu inwestycyjnego Hicks stracił cały majątek i uniknął więzienia tylko dzięki ucieczce z kraju.

Wtedy zaczął się dla niego naprawdę trudny czas — choroba, samotność i brak środków do życia. Uświadomił sobie wówczas, w jakie popadł tarapaty, był jednak zbyt zagubiony, by cokolwiek zmienić; potrafił jedynie uzalać się nad sobą z powodu swego nieszczęścia. Właśnie pan Deprez dał mu wtedy szansę, czy raczej drugą szansę, wyciągając go z rynsztoka i oferując pracę na swojej plantacji. Z jakiegoś powodu Deprez zaufał mu i Hicks postanowił nie nadużyć zaufania swego dobroczyńcy. Stopniowo podleczył się i nawet stał się przydatny na swój skromny sposób. I tak teraz żył, nie całkiem tak, jak pragnął jego ojciec, lecz starając się z całych sił.

Słuchając tego opowiadania, Mary doświadczyła szeregu różnych emocji: sympatii dla młodego wówczas człowieka sprowadzonego na złą drogę przez nieodpowiednich znajomych i jego własne słabości, współczucia dla rodziców, którzy na pewno byli okrutnie rozczarowani, a także podziwu dla mężczyzny, który podjął ryzyko pomocy drugiemu. Jakże szlachetnie postąpił pan Deprez, gdy uwierzył w Hicksa, podczas gdy większość osób pozostawiłaby kogoś takiego swemu losowi! A co się dzieje, kiedy ktoś zrobi coś dobrego... coś szlachetnego dla drugiego? Deprez uratował po prostu Hicksowi życie!

Nieco z tych emocji ujawniło się na twarzy Mary i jej rozmówca poprosił pospiesznie, aby dziewczyna nie wspomniała o jego zwierzeniach panu Deprezowi. To była prywatna sprawa, tak naprawdę, i nie chciał stawiać w kłopotliwym położeniu swojego dobroczyńcy.

— Och, nie, oczywiście, że nie — zgodziła się i ścisnęła sękatą rękę Hicksa.

Wczesnym popołudniem ostatecznie spisali całą zastawę stołową White Ladies, a wtedy każde z nich skierowano do

innych obowiązków — Hicks trafił do spiżarni, Mary zaś do biblioteki. Pan Todd wyjaśnił, że większość książek została skatalogowana przez dotychczasowego właściciela, nie wiedział jednak, czy lista jest kompletna. Jeden z dependentów miał to sprawdzić, ponieważ, chcąc dotrzeć do wyższych półek, trzeba było wejść na drabinę, a zatem nie było to odpowiednie zadanie dla młodej damy. W bibliotece stało też biurko pana Fincha uginające się pod książkami, papierami i pudłami z korespondencją. Czy panna Mary zechciałaby na nie zerknąć?

Biblioteka! Doświadczyła nieznacznego niepokoju na myśl o powrocie do tego pomieszczenia, na szczęście światło w korytarzu dodawało otuchy, w samej bibliotece urzędnik studiował mocno sfatygowany katalog, a z okien dziewczyna mogła dostrzec pana Mycrofta wydającego na trawniku instrukcje. Wszystko wydawało się świetnie zarządzane i zorganizowane; żadne niebezpieczeństwo nie było chyba prawdopodobne.

Monotonia tej pracy jeszcze bardziej uspokoiła Mary. Jej stryj najwyraźniej zachował mnóstwo listów na niezbyt interesujące tematy: część jakiejś wymiany zdań z Mycroftem o chorujących drzewach, bogate opisy dwóch lekkich dubeltówek, które nabył od pana Nocka z Ludgate Street 10 w Londynie, pokwitowania za tuzin męskich koszul i pół tuzina gładkich chusteczek z batystu... Gdy przebrnęła przez zawartość najmniejszej szuflady, zajrzała krótko do innych. Wszystkie były wypchane szczątkami codziennych zapisków; jeśli chciała je przejrzeć, musiała oczyścić biurko i zrobić dostatecznie dużo miejsca na ich wyłożenie.

Chwilę później znajdujący się po przeciwnej stronie pomieszczenia Adams, dependent pana Todda, usłyszał cichy, ostry pisk. Był w połowie drabiny i spojrzął za siebie przez ramię.

— Wszystko w porządku, panno Finch? — spytał.

— Tak, tak — zapewniła go. — Ja tylko... przecięłam sobie palec o kartkę papieru, nic więcej.

— Och, pech — odparł Adams. — Przecięcia od papieru są takie nieprzyjemne. Kiedyś się przeciałem i poplamilem krwią spis poleceń dla adwokata. Pan Todd nie był zadowolony.

— Co? Ach tak... Chciałam powiedzieć, że to bardzo przykre. Ze mną nie jest wszakże tak źle. W ogóle nie ma krwi. — Mówiła wesoło i na potwierdzenie swoich słów nawet podniosła rękę.

Mężczyzna słabo chrząknął na potwierdzenie i wrócił do swojego zadania. W tym momencie mina Mary natychmiast się zmieniła i dziewczyna przyglądała się, zaintrygowana i zdumiona, czterem kartkom. Znalazła je na biurku stryja, pod stertą książek, które dźwignęła. Na każdej kartce napisano serię liter w przypadkowym na pozór porządku. Na pierwszej zajmowały jedynie kilka linijek, podczas gdy pozostałe karty były prawie pełne. To wszystko wyglądało jak jakiś szyfr.

Rozsiadła się na krześle i poddała oględzinom dziwny zbiór. Dlaczego stryj miałby coś szyfrować i dlaczego trzymał takie dokumenty ukryte pod księgami? Co mógłby chcieć zachować w tajemnicy? Nie miał przecież żadnych poufnych transakcji handlowych — przynajmniej tak zakładała Mary — a nie mieściło jej się w głowie, by pisał... listy miłosne.

Ciężka cisza biblioteki, przerywana jedynie tykaniem zegara, wydawała się spowijać dziewczynę, która zaczęła odczuwać osobliwe napięcie, chociaż zupełnie nie знаła jego powodów. Pragnęła coś zrobić — porozmawiać z kimś, otworzyć okno albo pochodzić po pokoju. Oczywiście, nie mogła zrobić żadnej z tych rzeczy — co pomyślałby sobie o niej pan Adams? I co się z nią działo? Dlaczego te kartki tak bardzo ją zaniepokoiły?

Popatrzyła na pochłoniętego inwentaryzacją urzędnika. Może powinna mu pokazać swoje znalezisko? Albo panu Toddowi. Ale co im powie? Że znalazła jakieś sekretne dokumenty? Wątpiła, czy prawnik zrozumie z nich więcej niż ona. Czy papiery mogły mieć coś wspólnego z posiadłością? Ale dlaczego ktoś miałby pisać o sprawach posiadłości szyfrem? Te kartki

na pewno dotyczyły spraw, które powinny zostać utrzymane w tajemnicy. Wtedy przypomniła sobie Traceya... zegarek, klucz, wyszeptane ostrzeżenia na temat White Ladies. I Toma Scotta, który wiedział, że coś jest nie w porządku...

Przemytnicy! Poczula zimny dreszcz, jak gdyby cała krew uciekła jej w pięty. Tajne informacje dla przemytników! Oczywiście! To zupełnie naturalne, że komunikowali się przy użyciu szyfru, który miał ukryć ich przestępcze transakcje. Ale skąd u stryja ich papiery?

Drzwi pomieszczenia otworzyły się i do środka wsunął głowę Wallace, młodszy urzędnik.

— Właśnie zaparzyliśmy herbatę, jeśli ktoś ma ochotę. Daję słowo, jest tu cicho jak w grobowcu.

— Ma się rozumieć, że jest cicho — odciął się Adams, kiedy zszedł z drabiny — ciężko tu pracowaliśmy... nie tak, jak niektórzy.

Otrzepał ręce.

— Och, nie wiesz, co mówisz — poskarżył się Wallace. — Podczas gdy ty przebywałeś wewnątrz przy trzaskającym ogniu, ja tkwiłem w stajni. — Spojrzał w kierunku Mary. — Och, korespondencja.

— Zadrżał na samą myśl. — Wygląda na to, panno Finch, że wyciągnęła pani krótką zapałkę w trakcie popołudniowego losowania. Czy ma pani ochotę na filiżankę herbaty?

Mary pozdrowiła młodzieńca skinieniem głowy i uśmiechem. Szybko schowała kartki, czując się okropnie na myśl, że zataja dowody.

— O tak, bardzo chętnie.

Za dwoma mężczyznami przeszła do salonu. Była kompletnie skołowana. Urzędnicy nadal sprzecali się, który z nich wykonuje cięższą robotę, ale Mary niemal ich nie słyszała, a filiżankę z herbatą odebrała od Hicksa w ogromnym roztargnieniu. Jedynie dzięki maksymalnemu wysiłkowi usłyszała sprawozdanie pana Todda z doskonałych postępów, jakie poczynili. Radca był bardzo zadowolony.

— Tak, to wspaniale — zgodziła się Mary, a równocześnie w głębi duszy zapytywała siebie, czy to możliwe, że stryj miał jakieś związki z przemytem. Przypomniała sobie, co pan Treadgill mówił o przemytnikach — o ich przemocy i gwałtowności. Czy konszachty stryja z nimi były możliwe?! Cóż, nie da się ukryć, że przemytnicy świetnie znali White Ladies. Wiedzieli na przykład o piwnicy. Zadrżała na wspomnienie tego, jak ją potraktowali... a przecież natknęli się na nią przy biurku! Może wiedzieli o tych zaszyfrowanych kartkach! Może nawet przyszli do White Ladies, aby ich poszukać! A czy pan Tracey nie twierdził, że...

— Co? Przepraszam — powiedziała na głos, ponieważ pan Todd przerwał ciąg jej myśli. — Och, nie, nie mam nic przeciwko pracy. — Rozparła się na krześle, jak gdyby właśnie poczuła się swobodniej. — Jest całkiem interesująca.

Czy Tracey wiedział o papierach? — dumiała. — A może szukał ich? Tylko po co? I dlaczego stryj trzymał takie rzeczy na biurku? Ukryte, tak, jasne, lecz nie pod kluczem. Czy dopiero co je otrzymał? A może zamierzał je właśnie przekazać?

Kwestie związane z zaszyfrowanymi kartkami, pytania, dlaczego znajdowały się u stryja i co mogły znaczyć, nie przestały nurtować Mary przez resztę popołudnia. Wiedziała, co powinna zrobić, ale wzbierała się przed oddaniem dokumentów. Kiedy dom został zamknięty i wszyscy się pożegnali, nie czuła satysfakcji z dobrze wykonanych zadań; nie myślała już zupełnie o takich drobiazgach, jak szczypcy do szparagów.

Podróż powrotną do Lindham Hall odbyła w milczeniu, a po powrocie poszła prosto do swojego pokoju, ledwie zamieniwszy słowo z Peggy i z panem Cuffem. Zamknęła za sobą drzwi, zdjęła kapelusz i pelerynę, po czym wyciągnęła z kieszeni sukni złożone papiery. Dużo ją kosztowało zabranie ich z White Ladies i oszukanie pana Todda; prawdopodobnie przy okazji popełniła też kilka innych wykroczeń. Niewątpliwie majst-

rowała przecież przy dowodach, teraz jednak było za późno, aby się o to martwić. Mary postanowiła poznać treść papierów, dzięki czemu dowie się, na co są dowodem, a to oznaczało rozszyfrowanie ich. Na pewno istniał tajny kod, lecz ponieważ wiadomość musiała być zrozumiała zarówno dla nadawcy, jak i dla odbiorcy, bez wątpienia szyfr posiadał klucz. Mary wyobraziła sobie, że otrzymała takie wiadomości; jak by je rozszyfrowała? Z pozoru cztery kartki nie miały ze sobą nic wspólnego — ale czy tak było? Przyjrzała im się ponownie. W prawym górnym rogu pierwszego dokumentu znajdowały się liczby 1, 217 i 12, drugi nosił numery 1, 247 i 16, trzeci — 1, 299 i 9, czwarty zaś — 4, 412 i 24. Co te liczby mogły oznaczać? Czy stanowiły część wiadomości? I dlaczego użyto liczb, a nie liter? Jeśli piszący stosował stale ten sam klucz, przypuszczalnie dostarczał go wraz z zakodowaną informacją. Mary zbadała zestawy liczb. Może tworzyły jakąś łamigłówkę? Trzy razy seria rozpoczynała się od cyfry jeden i trzy razy kończyła się wielokrotnością cyfry cztery. Czy te fakty były ważne? Spróbowała dodawać poszczególne szeregi liczb, dodawała nawet pierwsze, drugie i trzecie liczby w każdej serii, jej działania, niestety, nie przyniosły żadnych efektów. Ponownie przyjrzała się liczbom. Skoro nie były łamigłówką, czym były?

— Przepraszam, panienko. Kolacja jest na stole i pani pyta, czy przyjdiesz?

Mary wzdrygnęła się.

— Och, Peggy, nie usłyszałam cię. — Poczula, że się czerwieni i z udawaną niefrasobliwością zabrała się do porządkowania papierów. — Tak, już skończyłam. Proszę, powiedz pani Tipton, że zaraz przyjdę.

— Tak, panienko — odparła Peggy, zastanawiając się, co może być tak interesującego w tych arkuszach papieru. Pukała wcześniej dwukrotnie, a ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, weszła do pokoju i znalazła pannę Finch siedzącą na łóżku

nad rozłożonymi papierami i wpatrującą się w nicość takim wzrokiem, jak gdyby wpadła w jakiś amok.

— Jak gdyby wpadła w jakiś amok — powtórzyła później Peggy, zwracając się do Pollock, kucharki, która przygotowała właśnie pierwsze danie do zanieśienia. — I aż mi ścięło krew w żyłach na jej widok, mówię ci!

— Co się stało potem? — spytała Pollock, nieruchomiejąc z chochlą uniesioną w ręce.

— No cóż — odrzekła Peggy — panienska ocknęła się, poukładała te wszystkie kartki, po czym zesła. Pollock zasznurowała wargi. Oczekiwała jakiejś reakcji sugerującej wyrzuty sumienia lub przynajmniej omdlenia.

— Ale była strasznie blada — dodała Peggy, świadoma, że jej opowieść wypadła raczej kiepsko. — Nigdy też nie widziałam nikogo, kto by szedł tak sztywno i trzęsąc się na całym ciele.

— Hm... — pokręciła nosem kucharka. — Tylko uważaj, żebyś nie rozlała zupy przez podobne drżaczki.

Tego wieczoru Pani Tipton położyła się do łóżka wcześniej, w dużej mierze z powodu kompletnej obojętności Mary. Pani Tipton lubiła czuć, że jej słowa docierają do każdego słuchacza, a z Mary niemal nie mogła dziś nawiązać kontaktu, toteż uznała, że równie dobrze może przestać sobie zdzierać gardło i udać się na spoczynek.

W Storey's Court sir Williamowi Armitage też niełatwo się konwersowało — nie dlatego jednak, że brakowało mu rozmówcy, lecz ponieważ powinien poruszyć krępujący temat. On i lady Armitage podejrzewali, że ich starsza córka, Susannah, stała się przedmiotem afektu Roberta Hollanda — uczuć, które nie były już całkowicie braterskie. Póki Robert i Susannah pozostawali rozdzieleni, sir William mógł uważać ten problem

za odległy, prawie abstrakcyjny. Perspektywa bliskiego powrotu żony i córki wymagała radykalnej decyzji. Sir William powinien zamienić słówko z Robertem i prawdopodobnie nie czekała go miła pogawędka, ponieważ ci dwoje, oczywiście, nie mogli się pobrać. Robert był wspaniałym człowiekiem, jednak wszystkie okoliczności — urodzenie, dochody, sytuacja, nawet usposobienie — przemawiały na jego niekorzyść. Nie, jego małżeństwo z Susannah nie było możliwe. W ogóle nie wchodziło w rachubę! Ale jak to obwieścić w sposób, który nie zrani tego młodego mężczyzny? Słowa „cholernie niezręczny” formowały się w umyśle sir Williama, ilekroć wyobrażał sobie tę rozmowę, i teraz również przemknęły mu przez głowę. Zaciągnął się cygarem w zadumie. Charlotte poszła spać i okazja wydawała się idealna na tę rozmowę z kuzynem — żadnych skomplikowanych czy nاپuszonych fraz, ot tylko proste stwierdzenie faktów.

— Eee, ciesz się cygarem, mój chłopcze — poradził — ponieważ to twoje ostatnie tutaj. Możesz naturalnie nadal palić w ogrodzie, ale nie wydaje mi się to przyjemne, nie przy tej pogodzie.

— Zgadza się, sir.

Palili przez chwilę w ciszy, podczas której sir William rozmyślał nad ojcowską odpowiedzialnością i tchórzostwem moralnym. Nagle Holland przerwał milczenie uwagą, która sugerowała umiejętność czytania w myśl kuzyna.

— Cieszę się, że znów zobaczę Susannah.

— Och, no... — padła nieco zaskoczona odpowiedź.

— Już prawie rok jej nie widziałem.

— Tak, rzeczywiście — przyznał sir William. — Nie byłeś w domu od Bożego Narodzenia, prawda?

— Prawda, sir.

Ojcowska odpowiedzialność przeważała i sir William wyprostował się z determinacją w fotelu. Emocje osłabły jednakże prawie równie szybko, jak się pojawiły, więc Armitage tylko całkiem niepotrzebnie dźgnął pogrzebaczem drwa w kominku.

— Ten przeklęty komin nie ciągnie jak należy — poskarżył się. — Muszę sprowadzić Wainwrighta, aby nań zerknął.

— Tak, sir. Myślałem, że Susannah i lady Armitage przyjadą do miasta ubiegłej wiosny, na sezon balów, ale chyba nie przyjechały.

— Rzeczywiście — przyznał sir William, otrzepując ręce — Susannah nie była szczególnie chętna do wyjazdu i w końcu Anne zdecydowała, że nie pojedą. A gdy już mówimy o Londynie, to... wydzierżawiliśmy dom w Cavendish Square admirałowi Verneyowi. Bardzo towarzyski jegomość, choć ma poważne problemy z wątrobą. Znasz go?

— Nie, sir.

Znowu zapanowała cisza i kiedy Holland znów zaczął coś mówić, sir William przerwał mu z udawaną swobodą.

— Nie... nie opowiedziałeś mi jeszcze o przygodzie, którą miałeś w Suffolku po drodze tutaj.

— Nie, sir... zapomniałem.

Armitage nie musiał nic więcej dodawać, aby kapitan zdał sobie sprawę z tego, że temat Susannah jest dla niego zakazany, więc poddał się, przynajmniej na razie. Zamiast tego wyjaśnił, co mu się przydarzyło, a sir William słuchał — najpierw z niewielkim entuzjazmem, a później z prawdziwym zainteresowaniem.

— Cóż za nadzwyczajna sytuacja — zauważył, kiedy dowiedział się o piwnicy w White Ladies. — Charlotte na pewno zechce posłuchać o twojej ucieczce... Bardzo dobrze sobie poradziłeś. — Dumął przez chwilę, po czym stwierdził: — Być może nie powinieneś jej jednak mówić. Nawet bez opowieści o przemytnikach i tajnych przejściach jest wystarczająco dzika. Ale wróćmy do twojej historii. Zostawiłeś pannę Finch pod opieką pani... Tipton?

Holland kiwnął głową, dodając, że obiecał wrócić do Lindham, gdyby coś się zdarzyło... nie żeby uważał jakiegokolwiek zagrożenie za prawdopodobne.

— Zdaje mi się, że to bardzo niezwykła młoda osoba ta twoja panna Finch.

Kapitan uważał, że Mary rzeczywiście jest niezwykła. Przypomniał sobie rzeczy, które mówiła, sposób, w jaki się z nim kłóciła i w jaki go wyśmiewała. No i nie unikała niebezpieczeństwa, nawet kiedy się bała. Lubił to w niej. I lubił jej uśmiech. Uznał wszakże za szalone rozmyślanie w tym momencie o takich sprawach, więc odpowiedział na sugestię kuzyna inaczej.

— Trochę... buja w obłokach, wiesz, sir, jak to dziewczęta — zauważył po prostu. — Ale jest dzielna. Miała dość odwagi na to wszystko.

— Ładna? — Ledwie sir William zadał to pytanie, natychmiast zapragnął je cofnąć. Wszelkie dyskusje na temat kobiecego piękna na pewno ponownie przywiodą ich do Susannah. Zanim przeto Holland zdążył zrobić coś więcej, niż kiwnąć głową, sir William pospiesznie zmienił temat. — Finch, to nazwisko brzmi znajomo. Jak, mówiłeś, miał na imię jej stryj?

— Edward... Był samotnikiem, również z powodu stanu zdrowia. A dziadek nazywał się Thomas Finch i był kapitanem żeglugi morskiej. Pływał po północnym Atlantyku i... handlował futrami. Zarobił rzekomo masę pieniędzy i Edward Finch je odziedziczył.

Sir William słyszał o Thomasie Finchu. Człowiek ów był przedstawicielem wojskowej odnogi starej rodziny z Hampshire i członkiem parlamentu, reprezentującym East Salton w czasach, gdy sir William rozpoczął pracę w ministerstwie skarbu. Finch nieczęsto przemawiał w parlamencie i zazwyczaj głosował po linii rządowej. Przez chwilę Armitage zastanawiał się, co o nim powiedzieć.

— Pewnie sporo zarobił, tak jak mówisz. Te kornwalijskie gminy są cholernie kosztowne. A jednak poradził sobie w życiu i w świecie. Na jego przykładzie widać, co może osiągnąć przedsiębiorczy człowiek.

Holland słuchał w milczeniu, po czym spytał:

— Słyszałeś kiedyś, sir, o człowieku, który zabił arcybiskupa Canterbury z rozkazu króla? W przeszłości, mam na myśli.

Sir William popatrzył na niego zaskoczony.

— W prze... A tak, Henryk Drugi i Thomas Becket. „Któż uwolni mnie od klechy mąciela?”.

— Właśnie ten.

— Tak, to bardzo sławna historia, tak jak opowieść o królu Alfredzie i ciastkach*. Ale dlaczego o nim pomyślałeś? Planujesz jakieś morderstwo?

— Skądże znowu, sir. — Holland uśmiechnął się. — Nic takiego nie chodzi mi po głowie.

* Alfred Wielki (849—899) — król Anglii. Ukrywał się rzekomo u pewnej kobiety, która, nie poznawszy go, kazała mu pilnować piekących się ciastek. Alfred zadumał się jednak nad nieszczęściami królestwa i ciastka się spaliły. Po powrocie kobieta wyzwała go, lecz gdy zorientowała się, z kim ma do czynienia, przeprosiła. Wówczas król odrzekł, że to on powinien prosić o wybaczenie.

13

Panie wróciły do Storey's Court następnego popołudnia. Holland był akurat przy składzie drewna i obserwował wysiłki Charlotte, która starała się skłonić Clemmiego do przeskoczenia bardzo skromnej konstrukcji, gdy jeden ze stajennych ogłosił, że powóz lady Armitage znajduje się już w alei dojazdowej. Natychmiast podjęto niezbędne środki ostrożności — konstrukcję rozebrano, Clemmiego odprowadzono do boksu, a Charlotte otrzymała polecenie powrotu do domu, zmiany stroju i ostudzenia euforii. Holland wykonał pospieszną toaletę, przechodząc przez ogród kuchenny, gdzie opłukał ręce w studni. Kiedy przybył przed dom, z powozu wyniesiono właśnie spore bagaże. Wsiadły też obie pasażerki. Bagażami zajmowało się dwóch lokajów pod nadzorem Jeffriesa. Sir William i pani Ramsay, gospodyni, witali panie, kapitan więc stanął dyskretnie po ich lewej stronie. Od razu przyciągnął spojrzenie Susannah, która zaszczyliła go zachwyconym uśmiechem. Kilka chwil później u jego boku pojawiła się Charlotte. Wyglądała poważnie w sukni z morelowego muślinu; niosła nawet robótkę.

— Nie bądź głupia, chochliku — mruknął Holland. — Twoja matka nigdy nie uwierzy, że harujesz nad tym paskudztwem, i domyśli się, że masz coś do ukrycia.

Ledwie to powiedział, lady Armitage zawołała, że jest o wiele

zbyt zimno, aby dziewczynka mogła tu stać w takiej lekkiej sukni i Charlotte powinna jak najszybciej wejść do środka. Kobieta, widocznie przy okazji zauważywszy po raz pierwszy kapitana, podeszła go powitać. Lady Armitage była wysoką, piękną kobietą, postawną i energiczną, chociaż może o nieco zbyt surowym wyglądzie, który łagodził nieco modny, kosztowny ubiór. Lady Armitage zniosła sześciomilową podróż z Fordham ze spokojem, który zawdzięczała wygodzie powozu i swemu zdyscyplinowanemu usposobieniu, teraz zaś prezentowała się nienagannie: ani jednego zagniecenia, ani jednego luźnego kosmyka.

— Ach, Robercie — zagaiła, wyciągając do niego rękę w rękawicze. — Jak cudownie cię widzieć.

— Dziękuję, pani — odrzekł. — Mam nadzieję, że przyjemnie spędziłaś czas?

— Tak, całkiem przyjemnie. Nie zamierzałyśmy zostawać tyle czasu, ale Susannah tak bardzo przepada za Moltonami, że nie miałyśmy wyboru. Żywię nadzieję, że zadomowiłeś się... Kiedy przyjechałeś?

— We wtorek w nocy.

— Och, jaka szkoda, że nas tu nie było. Chyba pobędziesz z nami jeszcze przez jakiś czas?

— Kilka dni. Później muszę wracać do Woolwich.

— No tak, obowiązki wzywają. Nie wolno się irytować na obowiązki, jakkolwiek by przeszkadzały w naszych prywatnych przyjemnościach, szczególnie w okresie wojny. — Kiwnięciem wezwała starszą córkę. — Susannah, twój kuzyn.

— Drogi Bobs, jak cudownie — zawołała Susannah, spiesząc ku niemu. — Bardzo chcieliśmy cię zobaczyć. — Dziewczyna była delikatniejszą i łagodniejszą wersją swej matki, a przy tym bardzo piękną młodą kobietą.

Uśmiechnął się do niej, biorąc ją za rękę i prawiąc stosowny komplement. Wtedy lady Armitage nazwała ich powitanie „czarującym”, a następnie krzyknęła, że sir William nie powinien nawet próbować podnosić bagaży... Naprawdę martwiła

się o niego. Kiedy Holland obrócił się, aby dopilnować bagaży osobiście, lady Armitage wzięła córkę pod ramię i natychmiast wprowadziła do domu. Gdy mężczyźni weszli do środka, panie zniknęły już na piętrze, aby odpocząć i przygotować się na wieczór.

Wymowa tych manewrów byłaby oczywista nawet dla mało inteligentnego człowieka, a kapitan nie był mało inteligentny.

— Nie zaskoczyłoby mnie — poinformował swoje odbicie w lustrze, podczas następnego boju, który toczył z krawatem — gdyby zakazała odświętnych strojów. Nic tylko papiloty i szlafroki, do czasu aż wyjadę, a na moje miejsce zjawi się pan Grantley cholerny Molton.

Ponowne pojawienie się pań w olśniewających strojach z jedwabiu i koronki zniweczyło tę przepowiednię, chociaż suknia Susannah, wysoko zapięta pod szyją i z obszernym białym kołnierzem, miała w sobie coś wyraźnie purytańskiego. Holland uśmiechnął się do siebie po raz kolejny na widok rozmieszczenia zastawy na stole w jadalni. Musiał zająć miejsce obok lady Armitage i naprzeciwko Charlotte na końcu stołu, toteż znaczna odległość dzieliła go od sir Williama siedzącego u szczytu. Susannah, po lewej stronie ojca, nie miała naprzeciwko siebie nikogo.

Niezależnie od początkowych ograniczeń, posiłek przebiegł w przyjemnej atmosferze. Wszyscy cieszyli się, że są w domu i razem. Holland był tak bardzo związany z Armitage'ami, że uważali oni jego pobyt w Storey's Court za stan naturalny, jego długie nieobecności zaś za wyjątki. Sir William czerpał radość z obecności „swojej ulubionej grupki młodych”, z których żadne nie było milkliwe czy nietowarzystkie. Lady Armitage również, kiedy instynkt macierzyński nie mieszał jej w głowie, była łaskawą i troskliwą gospodynią. Nie protestowała, kiedy obserwacje męża na temat kości świętych przesunęły ogólną rozmowę o duchach ku dyskusji o egzekucjach i dotyczących ich przesądów. Sir William widział w młodości kilka egzekucji i informował teraz zebranych, że niektórzy

ludzie uważają, iż posiadanie kawałka sznura lub fragmentu odzieży powieszzonego przynosi szczęście. Dotknięcie skazańca albo —jeszcze lepiej — uściśnięcie mu dłoni zapewnia podobno szczyt powodzenia.

— Dlaczego wiesz się ludzi? — spytała Charlotte. — To znaczy... przestępców.

— Ach, dobrze, że pytasz — odparł jej ojciec, kiwając głową, zanim jednak zdołał rozpocząć orację na temat reformy prawa karnego, dziewczynka dała mu jasno do zrozumienia, że nie interesuje jej, dlaczego przestępców skazuje się na śmierć, lecz dlaczego wieszanie ma pierwszeństwo przed innymi metodami.

Wybity z rytmu sir William nie znalazł żadnego gotowego wyjaśnienia; przypuszczał, że wieszanie cechowała zaleta niedużych kosztów.

Charlotte rozważyła to wyjaśnienie.

— Co jest gorsze: być zastrzelonym czy zawie... powieszonym?

Coś w jej tonie z niewiadomych powodów przypomniało Hollandowi o pannie Finch. Potrafił sobie świetnie wyobrazić Mary zadającą takie pytanie i — w oczekiwaniu na odpowiedź — rozglądającą się poważnie po zebranych przy stole. Ale jak mógł myśleć o Mary Finch, skoro jego kuzynka Susannah była z nim w jednym pokoju? Wytłumaczył Charlotte, że śmierć przez powieszenie jest uważana za bardziej haniebną, a kiedy to powiedział, zastanowił się, czy w tym momencie Mary opowiedziałyby anegdotę o jakimś człowieku z przeszłości, którego zrzucano z klifu albo ugotowano w oliwie, po czym spytałaby, co kapitan o tym myśli?

— To mi przychodzi na myśl niezwykłą historię, którą słyszałem w forcie Landguard — powiedział.

— Nie o przestępcach w ogóle, lecz o... dłoni pewnego martwego mężczyzny.

Uśmiechnął się niesamowicie.

— Och, Boże mój — wykrztusiła Susannah, podczas gdy Charlotte bez wahania zawołała:

— Opowiedz nam o tym!

— Ostatni wicegubernator fortu nazywał się Thicknesse, kapitan Thicknesse — zaczął Holland cichym głosem. — Był osobliwym, naprawdę dziwnym... osobnikiem. Bardzo uczony i inteligentny, a równocześnie po kryjomu pisywał pamflety i stale kłócił się z ludźmi, szczególnie z własnym synem, lordem Audleyem. Kiedy Thicknesse umarł, przejrzeni jego papiery i jak myślicie, co znaleźli? Że zostawił lordowi Aud-leyowi... swoją prawą rękę.

— Ojej — sapnęła Susannah.

— W testamencie napisał, że kiedy umrze, należy mu odciąć prawą rękę i wysłać jego synowi.

— Ale jaki był powód tego nadzwyczajnego zachowania? — spytał sir William.

— Thicknesse miał nadzieję, że widok tej ręki przypomni lordowi Audleyowi o jego obowiązkach wobec Boga, które zacznie wypełniać lepiej niż obowiązki, które miał wobec ojca.

— Nadzwyczajne — ocenił sir William.

— Odcięli mu rękę? — zainteresowała się Charlotte.

— Nie wiem — odparł Holland zwykłym tonem. — Umarł we Francji, więc może rzeczywiście. Francuzi bardzo lubią odcinać głowy, więc cóż dla nich znaczy ręka czy dwie.

— Och — jęknęła Charlotte. — Zastanawiam się, co zrobił lord Audley, gdy otrzymał rękę.

Przypuszczasz, że przyszła pocztą, tak jak list? Wyobraźcie sobie, że dostajecie odciętą rękę, chociaż myśleliście, że w paczce jest pudełko czekoladek!

— Ależ poczta nigdy by chyba nie dostarczyła czegoś takiego — zaprotestowała Susannah. — Bobs, jesteś pewny, że ta opowieść jest prawdziwa?

Kapitan zadał sobie pytanie, czy ktoś inny mógłby tak pięknie prezentować się w zdenerwowaniu. Nie miał wątpliwości. — Zarzekali się w Landguard, że Thicknesse chciał, aby mu ucięto dłoń, a później ją wysłano. — Wzruszył ramionami. — Jeden z oficerów widział ostatnią wolę.

— Oświadczam, że po tych okropnościach będziecie wszys-

cy mieć w nocy koszmary — powiedziała lady Armitage, podnosząc się w końcu z miejsca. — Moje drogie, odzyskajmy dobry humor przy herbacie, a panów zostawmy przy winie.

W sobotni wieczór pan i pani Somerville wydawali małą uroczystą kolację, na którą zostały zaproszone Mary i pani Tipton. Na skali obowiązków towarzyskich pani Tipton, w których można wziąć udział (lub nie) podczas żałoby, to spotkanie znalazło się szczęśliwym trafem po właściwej stronie.

— Prywatne przyjęcie na osiem przyzwoitych osób — zauważyła z satysfakcją— absolutnie stosowne. Musisz włożyć tę suknię z czarnego jedwabiu, Mary... tę z półokrągłym dekoltem. Mary ogromnie podziwiała wspomnianą suknię i z niecierpliwością oczekiwała na możliwość włożenia jej; niemniej jednak, wolałaby raczej odrzucić zaproszenie. Nie miała nastroju na spotkania towarzyskie, jakkolwiek przyzwoite by były. W gruncie rzeczy „wielka przyzwoitość” tego spotkania zwiększyła jedynie jej skrepowanie. Odkąd znalazła tajemnicze papiery, jej samopoczucie zmieniało się, czasami gwałtownie, ale, ogólnie rzecz biorąc, była przygnębiona. Po uldze, którą poczuła na myśl, że nikt nie znalazł innych zaszyfrowanych kartek, ogarnęło ją poczucie winy z powodu oszustwa, czyli zachowania w sekrecie tych czterech. Prawie roześmiała się na głos, kiedy uprzytomniła sobie, że ciąg liczb zapewne się odnosi do jakiejś książki, pierwsza liczba może wskazywać rozdział, druga — stronę, a trzecia linijkę albo wers. Kiedy jednak ani Stary, ani Nowy Testament nie pasowały do tego planu, Mary zaś nie mogła nawet być pewna, czy Biblia jest właściwą książką, ponownie posmutniała.

Same dokumenty nie stanowiły jedyne go zmartwienia dziewczyny. Jeśli rzeczywiście dotyczyły przemytników, gdzie stawiały jej stryja? A także ją samą? Przypuśćmy, że Edward

Finch był łajdakiem. Jeśli zaangażował się w przemysł, może jego bogactwo — czyli dziedzictwo Mary — ma podłoże przestępcze? Jakie byłoby w tych okolicznościach jej „prawowite miejsce” w społeczności hrabstwa? Pani Tipton cofnie swój patronat... może nawet zastanowi się, czy pozwolić Mary pozostać w Lindham Hall. A pan Somerville? Jako sędzia zupełnie przestanie się nią zajmować. Każde z nich poczuje się oszukane. Albo będą jej współczuli, tak jak się współczuje obdartusom i włóczęgom, których mija się na ulicy, nawet na nich nie patrząc. Tak, człowiek lituje się nad takimi, lecz nie zaprasza ich na przyjęcia!

Mary wyobrażała sobie swój upadek podczas podróży do Woolthorpe Manor. Dotarła właśnie w wyobraźni do punktu, gdy pan Hunnable wygłaszał grzmiące kazanie, wymieniając paniom z podwieczorku grzechy jej stryja, kiedy pani Tipton szturchnęła dziewczynę jedną ze swoich lasek i spytała, czy Mary źle się czuje.

— Nie, pani — zapewniła ją, prostując się i żywiej rozglądając wokół siebie. Powóz stękał, więc poczuła się zmuszona do głośnego oświadczenia: — Wszystko dobrze.

— Jesteś zatem zmęczona — obwieściła pani Tipton. — Cała ta praca cię wyczerpuje. Kiedy ona się skończy?

— Och, sądzę, że pan Todd już prawie skończył inwentaryzację. — Mary nie miała zielonego pojęcia, czy tak się sprawa przedstawia, odpowiedź ta wydała jej się jednak bezpieczna.

— Pan Todd, też coś — prychnęła pani Tipton. — Chociaż masz pełne prawo go pilnować. Gdyby pan Brownlowe był tutaj, rzecz miałaby się inaczej, ale ten Todd... No a Todd nie będzie ostatnią osobą, która zechce ci się narzucać, możesz być pewna. Jako dama majątna... w dodatku młoda... przyciągniesz wszelkiego rodzaju niepożądany element. To spora odpowiedzialność, wiesz. Chodzi też o sprawy... osobiste. W tej kwestii musisz szczególnie mieć się na baczności. — Znowu przerwała. — I oczywiście jest też ten mężczyzna.

— Ten mężczyzna?! — Mary powtórzyła prawdziwie zdumiona, po czym intensywnie się zarumieniała.

— Oj, dziewczyno — zadrwiła pani Tipton. — Nie jestem aż tak stara, żebym zapomniała, jaki efekt może wyrzucić na kobiecie wojskowy mundur. A jeśli oficer, o którym mowa, jest dziarski i dokonuje bohaterских wyczynów, efekt jest... podwójny albo i potrójny.

Mary nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Odkąd kapitan Holland wyjechał, myślała o nim znacznie więcej, niż powinna, zwłaszcza że surowo sobie tego zakazała, jednak wzmianka o nim w rozmowie wywołała u niej prawdziwy chaos emocjonalny.

— Wydawał mi się bardzo... szlachetną osobą — bąknęła z wahaniem.

Pani Tipton wyraziła swoją opinię na temat szlachetności Hollanda pogardliwym „phi”.

— Przyznaję, że zachował się godziwie, i mam nadzieję, że podziękowałeś mu za to z właściwym dystansem. Ale wszelki związek poza tym... — Potrząsnęła głową. — Nawet najgłupszy człowiek od razu zauważy, że twój kapitan nie posiada żadnego majątku, a co właściwie wiemy o jego charakterze? Jego maniere są bez wątpienia szorstkie. Z jednej strony rodzinę ma bez zarzutu... mówię o sir Williamie Armitage ze Storey's Court w Norfolkku...

— Tak.

— Są to jednak stosunkowo dalecy krewni, podczas gdy ci Hollandowie... kupcy, zapewne. Jedna panna Armitage o ptasim mózdzku pozwoliła sobie na okropny mezalians. Nie mam cierpliwości do takich ludzi, a ty na pewno nie powinnaś dać się usidlić jakiemuś... piwowarowi czy oberżyscie. To byłaby katastrofa. Cóż, bliższy ideałowi wydaje się pan Deprez. Ma bardzo dobre dochody, a jego przyjaźń z panem Somerville'em też za nim przemawia. Poza tym jest przystojny i zachowuje się godnie. Nie jak ten drugi... który wygląda na zadziornego żołnierzyka.

Aluzja do Paula Depreza jedynie spotęgowała dyskomfort Mary, która nerwowo zamachała ręką. Kapitan Holland był przecież żołnierzem.

Pani Tipton zignorowała ją.

— Tak, no cóż, ale ma wygląd awanturnika. Poza tym, aparycja mężczyzny to nie wszystko i nie powinnaś się nią sugerować. Atrakcyjny wygląd może być zwodniczy, a za brak przezorności zawsze później płaci kobieta.

— Tak, pani.

Powóz zwolnił i zakołysał się. Mary o mało nie zsunęła się z siedzenia.

— Ach — ucieszyła się pani Tipton, wyglądając przez okno — dotarliśmy.

Woolthorpe Manor był znacznie większy niż Lindham Hall, a dla niewprawnego oka Mary niemal przesadnie majestatyczny. Lindham Hall cechował się wygodą, lecz miał również nieznacznie zabiedzoną prezencję, jak gdyby przedstawiciele kolejnych pokoleń Tiptonów tak bardzo się przyzwyczaili do luźnej poręczy i niedomykających się drzwi do drugiego salonu (które nie zamkną się, póki nie zostaną lekko uniesione i pchnięte), że przestali zauważać, iż coś wymaga naprawy. Posiadłość pana Somerville'a natomiast była idealnie utrzymana — od zadbanych terenów i pól aż po eleganckie, pięknie umeblowane pokoje. Chociaż imponująca, elegancja ta nieco obezwładniła Mary. Wszystko bardzo ładne, ale czy nie było tego za dużo? Wiele mebli wyglądało na zbyt delikatne, by ktoś odważył się ich używać, a z powodu ogromnej liczby luster i połączonych powierzchni pomieszczenia po prostu lśniły. Gdy dziewczyna wlokła się za lokajem w liberii, czuła się skrępowana w nowej sukni. Może taka nieśmiałość ogarnia osobę, która ma zostać przedstawiona na dworze królewskim? W tym momencie Mary wyobraziła sobie, że wykonuje bardzo niskie i pełne szacunku dygnięcie, po którym nie może się z powrotem podnieść. Czy na dworze jest jakiś urzędnik, który pomaga ludziom w takich momentach wstawać? Coś takiego musiało się zdarzać przez

cały czas różnym cierpiącym na reumatyzm damom, a nikt wszak nie mógł oczekiwać, że król będzie je podnosił.

Ten obraz Jego Wysokości towarzyszył jej przez całą drogę bardzo długim korytarzem. W jego dalekim końcu otwarte drzwi ujawniały salon, gdzie wszystkie elementy nieożywione wyglądały na pomalowane, inkrustowane lub owinięte w różowy jedwab. W tym pomieszczeniu Mary i pani Tipton dołączyły do reszty gości. Mieszkańcy Woolthorpe Manor nie prezentowali się tak olśniewająco jak ich posiadłość. Grupka składała się z gospodarza i jego żony, wielebnego Hunnable'a i jego ciotki, pana Depreza i starszego dżentelmena nazwiskiem Goudge, który był sąsiadem Somerville'ów. On i pani Tipton z miejsca rozpoczęli rozmowę, Mary zaś nie bardzo wiedziała, co ze sobą począć. Jej doświadczenie w prowadzeniu pogawędek towarzyskich było żadne, a stara panna Hunnable miała wyraźne trudności ze słuchem, toteż Mary odniosła wrażenie, że wykrzykuje swoje kolejne bezsensowne uwagi do wszystkich zebranych.

Do jadalni wprowadził ją Paul Deprez, co stanowiło niejaka pociechę, i stopniowo kombinacja smacznego jedzenia, jeszcze lepszego wina i miłych uwag ze strony mężczyzny poprawiła jej humor. Mary zaczęła się całkiem dobrze bawić, nieźle sobie radząc z dezorientującym zestawem szkieł, sztucców i niezwykłych dań, toteż nawet zapomniała o problemach związanych z potencjalną zdradą stryja. Jeśliby spytać o opinię panią Tipton, kobieta potwierdziłaby, że Mary, odkąd ją poznała, nie prezentowała się tak ładnie. Ale czyż pani Tipton nie powtarzała stale, że panna Finch byłaby naprawdę uroczą dziewczyną, gdyby tylko korzystnie podkreśliła swoje atuty? W każdym razie, aż miło było na dziewczynę popatrzeć. Pani Tipton musiała też przyznać, że Cornelia Somerville ładnie nakryła stół (choć wyglądała w tym różowym atłasie jak świnia idąca na wojnę). Mary po prostu—jeżeli nie była w najlepszym nastroju — potrzebowała czyjś zainteresowania, które podsycałoby jej wewnętrzny blask, a pan Deprez wyraźnie ją

adorował, zdecydowanie poprawiając humor i działając jak balsam.

Mary i Deprez gawędzili o poezji, podczas gdy pozostali panowie prowadzili rozwlekłą rozmowę o pogodzie i prawdopodobieństwie utwardzania gleby, które pozwoli na jakąś przyzwoitą rozrywkę przed Bożym Narodzeniem.

— Nie żebym się nadawał — narzekał pan Goudge — jeśli ta nieszczęśliwa podagra mi nie minie. Miewam ataki od czasu do czasu.

— Och, sir, mam nadzieję się, że nie cierpisz bardzo poważnie — powiedziała pani Somendlle. Była dużą, przyjemnie prostą kobietą. Kiedy po raz pierwszy powiadomiono ją o przybyciu Mary w okolicę, zastanowiła się, czy nie ona powinna zaopiekować się dziewczyną. Zanim jednak doszła do konkretnych wniosków, pani Tipton zajęła się Mary i to, w opinii obu kobiet, przekreślało wszelkie dalsze dyskusje na ten temat.

— Co to było? — spytała panna Hunnable, przechylając się z niepokojem, by dosłyszeć wypowiedź pana Goudge'a. — O co chodzi?

— Podagra, ciociu — odpowiedział jej bratanek. — Pan Goudge ma atak podagry.

— Ach. Lepiej niech od razu się jej pozbędzie — kiwnęła głową. Między wielebny i panną Hunnable fizyczne podobieństwo było tak wielkie, że Mary przyszło do głowy, iż wielebny mógłby bez trudu podawać się za swoją ciotkę, gdyby udał głuchotę i zmienił strój. Na tę myśl uśmiechnęła się i pożałowała, że nie ma kapitana Hollanda, z którym mogłaby się podzielić tym żartem, po czym przypomniała sobie, że miała o nim wcale nie myśleć.

Przelotnie rozważyła, czy nie wspomnieć o tym panu Deprezowi, zdecydowała jednak, że nie zna go wystarczająco dobrze, aby zaryzykować.

— Hart ducha, pani S., hart ducha — powiedział pan Goudge, uśmiechając się z trudem. — Rzymianie uczynili go

swoją dewizą, a my nie możemy zrobić nic lepszego poza ich naśladowaniem.

— Nie musi mu pani współczuć — orzekła pani Tipton — ponieważ choroba jest wyłącznie jego winą. Mężczyźni rujnują sobie zdrowie używkami, które im smakują, a nierzadko port-wajnem. Myślałby kto, że wraz z wiekiem przychodzi mądrość, która każe unikać nadmiaru, niestety takie przypadki są rzadkie.

— Niektórzy na pewno tak sądzą, pani — kiwnął głową Deprez — ale czyż nie powiedziano nam, że „kiedy mężczyźni stają się na starość cnotliwi”, jeśli pozwoli mi pan, sir, na cytat, „składają oni jedynie ofiarę Bogu z diabelskich rozkoszy”?

— Ha! W moim wieku nie sposób o tym zapomnieć — zawołał pan Goudge. — Ale jak to było z ofiarami składanymi diabłu? Lepiej spytajmy o to wielebnego.

— Czyżby odwoływał się pan do druidów? — spytał niepewnie pan Hunnable, mrugając z uwagą. Mary popatrzyła w dół, na swój talerz.

— Ta myśl brzmi jak słowa naszego przyjaciela, pana Pope'a — zasugerowała, podnosząc wzrok dopiero, gdy była pewna, że zachowa poważne oblicze. — Chociaż nie rozpoznaję cytatu.

— Masz pani rację — przyznał Deprez z uśmiechem, w którym odbiło się szczere rozbawienie. — Cytat pochodzi z jego *Myśli na różne tematy*. Co za szkoda, że Pope jest tak mało modny obecnie. Od Pope'a przeszli do Swifta, Drydena i Graya.

— Ach, jego *Elegia* to wspaniały przykład angielskiej poezji — entuzjasmował się Deprez.

— Zdaje mi się, że był ulubieńcem generała Wolfe'a — odparła Mary — bardzo bohaterskiego dżentelmena. Powiedział, że raczej napisze Graya *Elegię*, niż zdobędzie Quebec, co udało się w roku tysiąc siedemset pięćdziesiątym dziewiątym.

— Po tym życzeniu sędzę, że podzielał poglądy swego przeciwnika, dowódcy Francuzów. Jakżeż on się nazywał?

Montcalm? Ten też wolałby, aby jego przeciwnik ograniczył się do wysiłków literackich — roześmiał się Deprez.

— Fantazyjny pomysł czytać poezję podczas bitwy — mruknęła pani Somerville. — To ledwie wydaje się właściwe, choć mawia się, że Francuzi są bardzo poetyczni.

— Nie, nie, moja droga — wtrącił pan Somerville — źle zrozumiałaś. Wilsonie — dał znak ręką lokajowi — talerze pań są puste. Dołóż im więcej wołowiny.

Po wołowej połodwicy pojawiły się kolejne przysmaki: duszona dziczyzna, ostrygi, smażone pędy selera naciowego, cielęcina, plastry mięsa indyjskiego w sosie z suszonych śliwek — a to było zaledwie pierwsze danie. W tym czasie Deprez przedstawiał swoje poglądy na temat sztuk teatralnych, które oglądał podczas ostatniego pobytu w Londynie. Przyznał się do wielkiego podziwu dla sceny, jeżeli tylko Jest się świadkiem zmagania uzdolnionego zespołu z dziełem jednego z pierwszorzędných dramaturgów". Kiedy Mary szepnęła, że chciałaby zobaczyć Londyn, Deprez zachęcił ją:

— Z pewnością pojedziesz, pani, do Londynu w trakcie karnawału i będziesz mogła do woli uczestniczyć w koncertach i sztukach dramatycznych oraz spędzać czas na zakupach. Tego przede wszystkim pragną młode damy z towarzystwa w trakcie londyńskiego sezonu balów.

— Mówi pan jako człowiek dobrze zaznajomiony ze stolicą, sir. Wnoszę z tego, że nie jest to pańska pierwsza wizyta w Anglii? — spytał pan Goudge.

— Nie, proszę pana. Spędziłem jakiś czas w tym kraju, gdy byłem chłopcem.

— Był taki Francuz, nie, dwóch Francuzów... Mieszkali w Bury kilka lat temu — opowiadała pani Tipton. — Pan Brownlowe mówił mi o nich. Pan Brownlowe zarządza moimi interesami jako radca prawny — wyjaśniła Deprezowi. — To bardzo zdolny i przyzwoity człowiek — dodała ze znaczącym kiwnięciem głową.

— I co mówił Brownlowe o tych dwóch gościach?

— Och, myślę, że byli całkiem niegroźnymi, potulnymi istotami — oświadczyła. — Bardzo interesowali się marchwią.

— Sponuję, że angielskie metody upraw wydały im się wspaniałe wobec tego, co widzieli we Francji — oznajmił pan Goudge, a jego wypowiedzi towarzyszyły potwierdzające pomruki porozumienia innych osób.

— Pamiętam ich — dorzucił pan Somerville. — Hrabia de la Rochefoucauld i jego brat. Był też trzeci... Polak chyba albo może Rosjanin. Biznesmeni. Przyjechali zobaczyć nasze konie pociągowe... nazywamy je *punchami**, panno Finch. Tak, i byli pod wielkim wrażeniem. Jeden z moich dzierżawców miał parę tych koników, niezrównanych jako siła pociągowa i o tak słodkim charakterze jak żadne zwierzę. Zorganizowano pokaz specjalnie dla tych dżentelmenów, którzy ledwie mogli uwierzyć w to, co widzą. — Potrząsnął głową, przypominając sobie tamtą okazję, i nagle jego twarz się zachmurzyła. — Zastanawiam się, gdzie są dzisiaj. Nie żyją najprawdopodobniej lub zostali republikanami.

Perspektywa tragicznego losu, jaki być może stał się udziałem dwóch Francuzów, a nawet Polaka czy Rosjanina, zmała miły nastrój rozmowy i pani Somerville gestykulowała teraz szybko, aby podano drugie danie. Szybkie nadejście tart, deseru ze śmietanki ubitej z winem i żółtkami, duszonych gołębi, puddingu ziemniaczanego i tostów z sardelą rozproszyło wszystkich, jednak pani Tipton wkrótce powróciła do tematu. Stwierdziła, że wie, iż ogromna liczba francuskich arystokratów, w tym kobiet, a nawet dzieci, została zgiloty-nowana, ale — spytała — ilu wyraziło sympatię dla nowego reżimu? Pan Goudge odparł, że musieli to zrobić, aby ocalić głowę, chociaż uważał taki wybór za dość tchórzliwy.

— Podobno dżentelmeni nie wychodzą stosownie ubrani

* Suffolk punch — koń najczystszy rasowo ze wszystkich angielskich ras ciężkich.

na ulice Paryża z obawy, że zostaną zatrzymani i ścięci jako arystokraci.

— I w ten sposób mamy tyranie krawców, co? — zachichotał pan Somerville.

— Skoro kobiety i dzieci giną w ten okropny sposób — zadrżała jego żona — myślę, że trzeba się ukrywać... Co pan myśli, panie Hunnable, z teologicznego punktu widzenia?

Pan Goudge odpowiedział w jego imieniu.

— Och, Francuzi odrzucili religię, kiedy pozbyli się monarchii i wszystkiego innego, co było przyzwoite i honorowe. W tym tkwiło sedno ich rewolucji. Odrzucić stare, niech przyjdzie nowe... I nie mam nadziei, że spodoba im się świat, który stworzyli!

— Wiecie, to jest właśnie najgorsze w obcokrajowcach — zgodził się pan Somerville. — Wymyślą te swoje dzikie plany i nic ich nie powstrzyma przed realizacją, a potem, gdy efekt jest koszmarny... co zresztą wiadomo było od początku... nie wiedzą, co począć. W ogóle nie mają charakteru... Innymi słowy, całkiem tracą głowy, cha, cha!

— I ta wojna będzie taka sama — zgodziła się pani Tipton.

— O tak, pani — powiedział pan Goudge. — Bez wątpienia.

— Amen — zakończył monotonnym głosem pan Hunnable. Mary już dawno przestała jeść i teraz przesuwiała tylko jedzenie na talerzu, odnosząc wrażenie, że jej rodacy rozgrywają między sobą zawody na najbardziej nietaktowną uwagę. Przypomnieli jej się nagle hałaśliwi goście Wielkiego Białego Konia. Zwracając się do Depreza, który przyjmował wszystko z dużą tolerancją, spytała:

— Czy czuje się pan skrepowany, panie Deprez, będąc w Anglii teraz, gdy prowadzimy wojnę z Francją?

— Skrepowany? Nie, panno Finch, wcale nie. Ale dlaczego, pani, o to pytasz?

— Przepraszam — bąknęła, czerwieniąc się — sądziłam wszakże, iż... Czy Deprez nie jest nazwiskiem francuskim?

Wzruszył ramionami.

— Mój dziadek pochodził z Montreuil, a babcia z Hampshire. Jest pani zaskoczona, widząc we mnie rodaka? Po prawdzie jednak jestem obywatelem Indii Zachodnich. Zarówno mój ojciec, jak i ja urodziliśmy się na Saint Lucii, toteż kiedy ta wojna się skończy i będzie tam można pędzić spokojny, przyzwoity żywot, nie obawiając się o swój dobytek czy życie, wrócę na wyspę.

— A tymczasem pozostajesz pan w Anglii? — spytała pani Tipton.

Deprez uważał to za bardzo prawdopodobne. Zresztą, gdzie indziej mógłby pojechać?

— Kontynent europejski jest zbyt niebezpieczny dla kogoś takiego jak ja, przyjmując, że mógłbym sobie pozwolić na podróż. Nie jestem... szermierzem, a jeśli człowiek podróżuje, powinien uprawiać to zajęcie. Myślę, że najlepiej pozostanę tutaj przez jakiś dłuższy czas. Może odwiedzę moich kuzynów w Hampshire. Mieszkają w miejscowości Minsted. Zna ją pani, panno Finch?

Mary nie знаła, więc zaczęli wymieniać się informacjami na temat zalet Hampshire i Somerset, a szczególnie Bath, gdzie Mary dorastała. Deprez nie wiedział nic o jej życiu poza tym, że była nauczycielką w szkole, i spokojna, beznamiętna opowieść o uporządkowanym dzieciństwie i śmierci rodziców, którą teraz od niej usłyszał, ugruntowała jego dobrą opinię o niej. Deprez doświadczył nawet rzadkiego u siebie przyływu czułości dla dziewczyny.

— Bardzo pani wszyscy współczuliśmy z powodu tego, co wycierpiałaś po przyjeździe do Suffolku, jeśli wybaczysz mi tupet — powiedział cicho.

Uśmiech Mary obudził czujność pani Tipton, która pomyślała, że nawet najlepszy balsam może czasem zadziałać zbyt silnie, po czym ostro zastukała laską o podłogę.

— No właśnie — stwierdziła — co z kampanią przeciwko złoczyńcom, którzy zaatakowali pannę Finch w domu jej stryja? Mam nadzieję, że organy ścigania nie spoczęły na swych niewielkich laurach? Czy coś się robi w tej sprawie?

— Ależ tak, pani... — zaczął pan Somerville — to znaczy... dowiedziałem się czegoś o tym panu Traceyu, chociaż może kolacja nie jest najlepszym momentem, żeby o tym wspominać.

— Nonsens — zaprzeczyła pani Tipton. — Proszę nam powiedzieć. Nie zaszokuje nas pan. — Zasugerowała gestem, że mówi w imieniu kobiet lub przynajmniej tych, które były obecne w Woolthorpe Manor.

Pan Somerville odchrząknął i oznajmił, że przez kilka dni przed wypadkiem Tracey odwiedzał gospodę Pod Wielkim Białym Koniem i wyraźnie na kogoś tam czekał... na jakiegoś współnika. Sędzia przerwał, aby dać swoim słuchaczom czas na docenienie wagi tego słowa, i pan Goudge natychmiast zadał odpowiednie pytanie. Dlaczego współnika?

— Czy ten pan Tracey był — i tutaj Goudge zastanowił się nad określeniem odpowiednim, czyli takim, które nie obrazi kobiet — jakimś zbirem?

Pan Somerville odparł, że użył słowa współnik, ponieważ zmarły William Tracey był dobrze znany sędziom z Essex jako złodziej, oszust i, ogólnie, pomniejszy przestępca, więc na pewno miał współników.

Mary milczała przez chwilę, bawiąc się nożykiem do owoców.

— Myśli pan, sir, że Tracey mógł mieć coś wspólnego z przemytnikami z White Ladies? O ile oczywiście to byli przemytnicy.

Pan Somerville zastanowił się nad jej pytaniem.

— Przypuszczam, że istnieje taka możliwość, choć taki nicpoń jak Tracey mógł się oddawać najrozmaitszym procederom.

— Tak, naturalnie, tyle że musiał jakoś... ukraść zegarek mojego stryja i...

— Ach tak, zapomniałem, że miał klucz. Cenna uwaga, panno Finch! Może zatem należał do szajki. Dziewczynę znów ogarnęło przygnębienie. Należał do szajki! Do tej samej szajki, do której być może należał również jej stryj! Może stryj po prostu dał Williamowi Traceyowi klucz

do White Ladies i zegarek. Może byli dobrymi przyjaciółmi, może drzemali przed ogniem w zimowe wieczory, rozmawiając o przemyśle i układając zaszyfrowane wiadomości do swoich współników... W tym momencie usłyszała głos Depreza, cichy i natarczywy, a potem poczuła dotknięcie jego ręki na swoim ramieniu.

— Panno Finch, czy wszystko w porządku?

— Tak, tak. Ja tylko...

— Stawiam gwineę, że żadne z was nie potrafi się domyślić, co Tracey miał w kieszeni płaszcza — kontynuował pan Somerville, uśmiechając się triumfalnie do zgromadzonych.

Jego żona zmarszczyła czoło z niepokojem, lecz mąż podniósł rękę, by ją uspokoić.

— Nie masz się czego obawiać, moja droga — uśmiechnął się. — To były fragmenty *Komentarzy Blackstone'a*¹. Możecie to sobie państwo wyobrazić?!

Pan Goudge docenił żart.

— Doprawdy, sir, słowo honoru! Cóż może być lepszego do czytania dla zatwardziałych łotrów?

— Ale, sir — wtrąciła pospiesznie pani Somerville — nie powinien pan być taki srogi dla tego biednego człowieka... te kartki to chyba dowód jego dobrych intencji. Pewnie mężczyzna zapragnął się poprawić, skoro nosił ze sobą komentarze.

Pan Goudge zagapił się na nią przez chwilę, a następnie uśmiechnął czule.

— Nie, nie, pani S., myli się pani... chociaż taka wielkoduszność przynosi ci jedynie zaszczyt! Nie mówimy o dziele... nabożnym, lecz...

— To księga na temat prawa, pani — dopowiedziała Mary prawie szeptem. — *Komentarze do prawa angielskiego*².

249

¹ William Blackstone, angielski prawnik i jurysta (1723—1780).

² Oryginalny tytuł dzieła Blackstone'a to *The Commentaries on the Laws of England*.

— O co chodzi? — zawołała panna Hunnable. — Chcę, żebyś mówiła głośno, panno Finch. O czym opowiadasz?

— To największy angielski kodeks prawny, panno Hunnable — zagrział pan Somerville. — I nie wiem, czy moja droga żona nie ma trochę racji, w pewnym sensie, ponieważ ta książka jest darem niebios dla tych z nas, którzy muszą stosować prawo. Nie nazwę jej biblią sędziów, przynajmniej nie w obecności pana Hunnable'a, ale fraza jest trafna, jak sądzę. To dzieło niejednokrotnie pomogło mi wybrnąć z trudnej sytuacji na sesjach kwartalnych, kiedy Henry Rushmore usiłował odgrywać prawnika przed resztą. Jedno zdanie z księgi Blackstone^a zamknęło mu usta, tyle mogę państwu powiedzieć.

— Wszyscy prawnicy są takim samym utrapieniem — mruknęła pani Tipton.

— Książka na temat prawa — szepnęła pani Somerville, zadowolona, że nie zaryzykowała jakiegoś komentarza na temat „wielebnego” Blackstone'a. — Ale skąd pani wie takie rzeczy, panno Finch? — Nie zamierzała oczywiście krytykować gościa, jednak znajomość spraw sędziowskich wydała jej się raczej zastanawiająca u młodej kobiety uczestniczącej w przyzwoitej kolacji.

Mary wyczuła niepokój gospodyni, odpowiedziała więc najbardziej zdawkowo, jak potrafiła, równocześnie wciąż usiłując mówić wystarczająco głośno, by jej słowa dotarły do panny Hunnable.

— Mój ojciec posiadał wiele książek prawniczych, łącznie z *Komentarzami* Blackstone'a.

Przygotowywał się kiedyś do zawodu adwokata i uważał, że *Komentarze* są dobrym ogólnym wprowadzeniem do przedmiotu. — Oparła się pokusie dodania, że właściwie przeczytała niektóre rozdziały.

— No, no, no, może ten Tracey też zamierzał zmienić zawód — zawołał pan Goudge. — Chociaż mówi się, że adwokaci to najgorszy rodzaj złodziei, ponieważ okradają człowieka i jeszcze oczekują od niego zapłaty!

Pan Goudge i pan Somerville wybuchnęli śmiechem po tej

ciętej uwadze, a Mary znowu musiała podnieść głos, aby wszyscy ją usłyszeli. Czy pan Somerville, spytała, przypomina sobie, którą część *Komentarzy* posiadał pan Tracey?

— Ponieważ dzieło liczy wiele tomów, jak sądzę?

— Rzeczywiście... cztery grube tomiska — przyznał sędzia, nadal się uśmiechając. — Ale Tracey miał tylko kilka stron... wyrwanych z czyjegoś egzemplarza zapewne. Część rozdziału na temat sądów cywilnych. Rozpoznałem go natychmiast. — Znowu zachichotał. — A przecież ten zbój powinien raczej zamiast tego przeczytać rozdziały z zakresu procedury karnej.

— Tak, tak, no właśnie! — roześmiał się pan Goudge.

Mary skupiła się ponownie na swoim nożyku do owoców, przesuając nim po obrusie i wydając się badać blask światła świec odbitego w ostrzu. I znowu cichy głos pana Depreza zakłócił ciąg jej myśli.

— Wybacz mi, pani, ale bardzo pobladłaś. Może kieliszek wina?

Podniósł się, aby jej dolać.

— Dziękuję, nie — odparła cicho. — Naprawdę nic mi nie jest. To tylko... — Obserwowała go przez chwilę, myśląc intensywnie. Jeśli zwierzy mu się, poniesie oczywiście pewne ryzyko, potrzebowała jednak pomocy. — Kiedy... odejdziemy od stołu, mogłabym zamienić z panem słowo na osobności? Kiwnął głową nieznacznie i nawet pani Tipton nie dosłyszała jego szeptu.

— Oczywiście, że tak.

— Wygląda na to, że nieboszczyk Tracey przydał się jako trop, ale nie zazdroszczę ci, Somerville, śledztwa w sprawie żyjących członków bandy — zauważył pan Goudge. — Podejrzewam, że dranie dawno się ulotnili, wiedząc o wrzawie, jaką wywołała ich akcja w White Ladies.

— Rzeczywiście — wtrącił się Deprez głośniej. — Podobno też jakiś duży morski statek widziano w zatoce Hollesley.

W tym momencie pewnie zbirom odechciało się dalszych łotrostw.

— Bardzo prawdopodobne — zgodził się pan Somerville. — Sądzę, że trafi mi się niedługo kolejna sprawa: kłusownictwo albo złodziejstwo. Każde przestępstwo to woda na młyn dla sędziego pokoju, a złoczyńcy zawsze pozostaną złoczyńcami. Rajski ogród i tak dalej. Mam rację, panie Hunnable?

— Tak, niestety tak — przyznał wielebny. — Żyjemy w upadłym świecie.

14

— Zaszifrowane dokumenty?! —powtórzył Deprez pełnym niedowierzania szeptem. — Jak...
Mary rozejrzała się wokół.

— Ciii — ostrzegła. — Inni zauważą i spytają, o czym rozmawiamy.

— No tak, w samej rzeczy — mruknął Deprez, po czym całkiem innym tonem dodał: — Doktor Johnson, jak sędzę, wygłosił tę samą uwagę... w jednym ze swoich esejów *Wędrowiec* albo być może w *Rasselasie*.

— Tak, to był drugi esej *Wędrowca* — Mary miała świadomość, że pani Tipton obserwuje ją z oddali, więc mówiła, byle mówić. — Mieliśmy egzemplarz tych esejów w domu.

Reszta towarzystwa prowadziła wprawdzie pogawędkę — rozważali akurat możliwość rozegrania partyjki wista — nie sposób było jednakże całkowicie umknąć badawczemu spojrzeniu pani Tipton. Wcześniej, gdy wstali od stołu w jadalni, damy przeszły do bogato wyposażonego salonu, gdzie pani Somerville rozstawiła filiżanki z herbatą. Mary czekała tam w napięciu i niecierpliwie na przybycie dżentelmenów, a kiedy pan Deprez dołączył do niej na kanapie, nie marnowała czasu, lecz natychmiast streściła ostatnie zdarzenia, przynajmniej te podstawowe.

— A *Komentarze* Blackstone'a zawierają klucz... jestem o tym przekonana — oznajmiła pośpiesznie.
— Ciągi liczb na kartkach zawsze rozpoczynają się od jedynki bądź czwórki, a istnieją cztery tomy *Komentarzy*. Kolejność musi się wiązać z tekstem umieszczonym na konkretnych stronach w którymś z tych tomów. Kiedy obejrzymy te stronicy, będziemy potrafili zrozumieć, co przekazują zaszyfrowane dokumenty.

— Ale same dokumenty... gdzie są?

— W Lindham Hall.

— W jakimś bezpiecznym miejscu, mam nadzieję?

— Tak, oczywiście. Wiem, że powinnam poinformować o nich pana Somerville'a, lecz...

— Nie, nie — zgodził się z nią Deprez. — Nie pora na to... lepiej zachować ostrożność. Potem może mu pani wszystko wyjaśnić. — Pokiwał głową w zamyśleniu. — Więc... sądzisz, pani, że pan Tracey miał w kieszeni aż dwa klucze.

— Tak. Na pewno zamierzał coś zaszyfrować albo może przybył Pod Wielkiego Białego Konia odebrać jakąś wiadomość. W każdym z tych przypadków potrzebowałby tych stron z dzieła Blackstone'a.

Deprez znów pokiwał powoli głową i przez chwilę zdawał się oglądać stojący przed nim na stole porcelanowy dzbanuszek. Przemówił dopiero, kiedy pojawił się służący z tacą słodczy.

Zniecierpliwiona Mary siedziała przez ten czas jak na rozżarzonych węglach, lecz jej towarzysz wyglądał na zadowolonego z tej przerwy. Proponował jej różne delikatesy i zachęcał, aby poczęstowała się owocami w cukrze lub pozwoliła sobie na biszkopty. Przyznał się, że uwielbia słodczy, i szybko napełnił własny talerzyk. Gdy znów zostali sami, dodał jednakże ściszym głosem:

— I muszę pani powiedzieć, panno Finch, że bardzo mnie interesują te papiery, bardziej, niż może pani to sobie wyobrazić. I... myśli pani, że potrafi je rozszyfrować?

Coś w jego minie, jakaś sugestia pośpiechu, ale i niepewności, natchnęło ją do udzielenia odpowiedzi z pełnym przeświadczeniem. — Tak, jestem w stanie zbadać *Komentarze*. Deprez zawahał się.

— Czy mógłbym zobaczyć te dokumenty...?

— Tak, lecz nie wcześniej niż jutro. Gdybym miała egzemplarz *Komentarzy*... tylko tom pierwszy... mogłabym zacząć pracę nad szyfrem jeszcze dzisiaj wieczoru.

— Tak, być może.

Mary upierała się przy swoim. Bardzo prawdopodobne, że egzemplarz dzieła jest tutaj, w Woolthorpe Manor, pan Somerville wszak potwierdził, jak ważny to tekst... Gdyby tylko mogli go dostać w swoje ręce. Wówczas miałyby podstawę szyfru. Tyle że Mary nie była obznajomiona z biblioteką Woolthorpe Manor, zresztą nie mogłaby niezauważona opuścić salonu. W przypadku Depreza sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. On mógłby... pożyczyć dla niej tom bez najmniejszych trudności. Deprez ugryzł placek migdałowy i żuł go w zadumie.

— Wiesz, pani, nawet jeśli masz rację, że liczby na dokumentach odnoszą się do stron w tej księdze, użycie ich do rozszyfrowania dokumentów może nie być wcale takie proste.

— Wiem, niemniej chciałabym spróbować.

— Dobrze zatem.

Obmyślili plan. Deprez wkrótce wyjdzie z salonu pod jakimś pretekstem i pójdzie poszukać pierwszego tomu *Komentarzy*. Jeśli go znajdzie, ukryje księgę pod siedzeniem z tyłu powozu pani Tipton. Reszta w rękach Mary.

— I zobaczymy się jutro? — spytała. Oczy błyszczały jej z emocji. — Abym mogła panu zrelacjonować postępy?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Och, tak. Niezawodnie.

Jakiś czas później Deprez opuścił zebranych, znajdując sobie

jako wymówkę konieczność poszukania szala starej panny Hunnable. Ponury, ciemno ubrany osobnik spotkał się z nim w korytarzu i razem skierowali się bynajmniej nie ku wystawnemu salonowi, gdzie szal panny Hunnable zsunął się za krzesło, lecz do biblioteki.

— Nadal jesteś zdecydowany to ciągnąć? — spytał Hicks.

— Tak. Musimy zachęcić kapitana Hollanda do powrotu.

— W ogóle nie powinniśmy pozwolić mu wyjechać!

— A jak właściwie twoim zdaniem mieliśmy go zatrzymać? Hicks stropił się i wzruszył ramionami, przepraszając za swój wybuch.

— Ale to... skomplikowane spróbować ściągnąć go z powrotem... Sądysz, że postępujemy mądrze? Deprez rozłożył bezradnie ręce, jego ton jednakże cechowała niecierpliwość.

— Nie, być może nie, ale jestem prawie przekonany, że wszystko się uda i że ta decyzja jest ważna. Mówię ci, Hicks, jest jedna taka dziewczyna na tysiąc... mało kto równie szybko jak ona kojarzy fakty.

— Więc znalazła dokumenty?

— Tak, oczywiście, że znalazła, choć do jej inteligencji przekonała mnie bardziej jej reakcja dziś wieczorem. Stary Somerville poinformował zebranych jedynie, że Tracey miał w kieszeni fragment *Komentarzy*, a panna w mig zrozumiała znaczenie tej nowiny. Jest niesamowicie bystra! Teraz na pewno nas nie zawiedzie.

— Cóż, przypuszczam, że masz rację — przyznał Hicks posępnie. — Chodzi tylko o to, że... nasze działania wydają mi się takie pokrętne. Szkoda, że musieliśmy w to wszystko wciągnąć dziewczynę.

— Ach, wiedziałem, że panienka poruszy twoje stare serce, chociaż ze mnie sobie kpiłeś! Naturalnie, nie życzę jej źle... daleko mi do tego... jednak w naszej obecnej sytuacji potrzebujemy sojusznika, ona zaś idealnie nadaje się do tej roli. Wiesz, że Holland nie jest głupcem, a już zdarzyło się wy-

starczająco wiele rzeczy, które niewątpliwie wzbudziły jego podejrzenia. Musimy go zatem skusić, lecz w taki sposób, żeby niczego się nie domyślił.

— Tak, tak, wiem. Tyle że mi się to nie podoba.

— Działamy wstrętne — zgodził się Deprez — ale nasz cel jest dostatecznie ważny, abyśmy mogli zaryzykować lekkie wyrzuty sumienia.

Podczas jazdy z Woolthorpe Manor do Lindham Hall w powozie było zimno i ponuro, szczególnie że przez okno wsączała się jedynie odrobina księżycowej poświaty, a pani Tipton drzemała na przeciwległym siedzeniu, lecz Mary, przejętej czekającym ją zadaniem, w ogóle nie chciało się spać. Dosłownie wyczuwała obiecany wolumin pod poduszką obok siebie i za każdym razem, gdy położyła dłoń na tym niezwykle ważnym wybrzuszeniu, ogarniała ją mieszanina emocji, na którą składały się rozgorączkowanie, ciekawość i determinacja. Jaką informację tak naprawdę zawierały znalezione kartki? W jaki sposób je rozszyfrować? Miała nadzieję, że wkrótce znajdzie odpowiedzi na oba pytania. *Komentarze Blackstone'a. Komentarze Blackstone'a!* Te dwa słowa w kółko przelatywały jej przez głowę w rytm stukotu końskich kopyt. Później stukot stracił swój rytm, gdyż pan Cuff zagwizdał na zaprzęg. Mary uśmiechnęła się z zadowoleniem. Dla niej ta podróż powinna trwać zaledwie sekundę.

Dzięki Bogu za modę na te ogromne okrycia — pomyślała, wchodząc do Lindham Hall z tomiskiem ukrytym pod licznymi fałdami. W środku na moment zapanowało lekkie zamieszanie; podczas gdy ziewająca Peggy uwalniała panią Tipton z kapelusza, szala, chusty i pelisy, Mary skorzystała z okazji, by przewiesić sobie przez ramię pelerynę, stanowiącą kolejną z kreacji panny Cheadle, a następnie pospiesznie udała się na piętro. Kiedy w końcu znalazła się w swoim alkierzu, szybko oczyściła toaletkę z grzebieni i wstążek do włosów, a na

uzyskanej w ten sposób pustej przestrzeni rozłożyła bardziej przydatny obecnie zestaw — pióra, papier, atrament, cztery zaszyfrowane kartki oraz oprawiony w jasną skórę tom *Komentarzy* pośrodku. Przycięła jeszcze knot świecy, aby uzyskać więcej światła, po czym zabrała się do pracy.

Każda z czterech zaszyfrowanych kartek zawierała sekwencję trzech liczb — kolejno: 1, 217, 12; 1, 247, 16; 1, 299, 9 oraz 4, 412, 24. Jeśli Mary domyślała się właściwie, tom pierwszy *Komentarzy* powinien pozwolić na rozszyfrowanie trzech spośród czterech dokumentów, przy czym zasadnicze informacje muszą mieścić się na stronach 217, 247 i 299.

Mary otworzyła wolumin na pierwszej ze wskazanych stron. W samej stronicy nie było niczego nadzwyczajnego. Jak brzmiało dwunaste słowo? „Zdrada!”. Mary o mało nie przewróciła butelki z inkaustem z gorliwością odnalezienia następnej wskazówki — szesnastego słowa na stronie 247 — i natychmiast natrafiła na problem. Pierwszy wyraz na tej stronie został przedzielony — powinna go zatem liczyć czy nie? Gdyby uznała go za pierwszy, szesnasty brzmiałby „niegdyś”, jeśli zaś nie — brzmiałby „wskazana”. Żadne z tych słów nie było tak elektryzujące jak pierwsze, niemniej jednak Mary spróbowała nie tracić nadziei i przewróciła tekst na stronę 299. Niestety, dziewiąte słowo na tej stronicy okazało się całkowicie niezadowolające: „ten”. Na czystej kartce papieru napisała: „zdrada nigdyś” i „zdrada wskazana”, po czym to przekreśliła. Jak jedno słowo, nawet tak interesujące jak „zdrada”, mogłoby rozszyfrować cały tekst? Obrała najwyraźniej zupełnie niewłaściwą metodę. Wróciwszy do strony 217, przeczytała zdanie, które zaczynało się w wersie dwunastym.

Królowa wdowa jest wdową po królu i jako taka ma cieszyć się większością przywilejów należących się jej jako królewskiej małżonce.

Na stronie 247 w wersie szesnastym Mary znalazła, co następuje:

Oдноśnie do procesów cywilnych, wszyscy zagraniczni juryści zgadzają się, że ani konsula, ani nikogo z jego otoczenia czy urzędników, póki tu rezydują, nie można sądzić z powodu długu ani zlecenia w sądach królestwa.

A potem otworzyła stronę 299, gdzie wers dziewiąty zawierał tekst:

Inne dawne opłaty przypominały nowoczesny podatek gruntowy; możemy sięgnąć do genezy tego obciążenia, czyli obowiązków wojskowych, kiedy to każdy dzierżawca lenna, jeśli wezwany, musiał odsłużyć w armii królewskiej czterdzieści dni w roku.

Mary przeczytała każdy z tych akapitów ponownie. Dwa ze zdań wspomniały o królu, poza tym jednak nie znalazła niczego znaczącego w ich treści. Chyba nie istniał między nimi żaden łącznik. Czyli że podstawą szyfru musiało być coś innego... Same litery? Spróbowała dodać litery w każdym słowie w pierwszy zdaniu. Uzyskała ciąg liczbowy, ale co dalej? Przekonała się zresztą, że taki proces byłby zbyt skomplikowany; łatwo można by się pomylić. Była pewna, że bezpieczeństwo szyfru tkwi w odrębności użytej księgi, której tytuł byłby trudny do odgadnięcia bez przesłanek — przecież Mary również nie potrafiła się domyślić, o jakie dzieło chodzi! Jeśli jednak ktoś już miał właściwą książkę, szyfr był prawdopodobnie bardzo prosty do złamania.

Może i szyfr jest łatwy — dumiała Mary — ale skoro te zdania z *Komentarzy* mają dostarczyć kluczy trzem dokumentom... jak działają? Szyfr używa liter, lecz nie we właściwej kolejności. A zatem każde zdanie klucza musi pasować do tego porządku. Aby tak było, zdanie powinno zawierać wszyst-

kie litery alfabetu albo przynajmniej wszystkie, które występują w tej konkretnej zaszyfrowanej wiadomości, z którą jest powiązane. — Potrząsnęła głową. — Nie, nie, na pewno zawiera wszystkie litery, w przeciwnym razie czytający musiałby wiedzieć, co jest w wiadomości jeszcze przed zastosowaniem klucza i rozszyfrowaniem jej.

To oznaczało, że istniały dwa alfabety — prawdziwy oraz ten, którego używał szyfr. Ponownie spojrzała na najkrótsze ze zdań Blackstone'a — czy może ono dostarczyć podstawy szyfru? Przepisała zdanie i wykreśliła wszystkie powtarzające się litery. A zatem:

KRÓLOWA WDOVA JEST WDOVA PO KRÓLU I JAKO TAKA MA CIESZYĆ SIĘ
WIEKSZOŚCIĄ PRZYWILEJÓW NALEŻĄCYCH SIĘ JEJ JAKO KRÓLEWSKIEJ MAŁŻONCE.

tworzyło:

KRÓLO WAD JE S TAPUIMCZYĆĘ ŚNLŽH

W ten sposób zabrakło jej pięciu liter. Jak miała ustalić odpowiedniki z prawdziwego alfabetu, skoro ten tutaj zawierał tylko dwadzieścia siedem liter? Które litery powinna opuścić? Te, których nie ma w tekście, czyli B, F, G, Ż, Ń? Nie była przekonana. Być może tych liter rzeczywiście rzadziej się używa, lecz nie były też absolutnie niezwykle. A może zakończyć alfabet wcześniej, wpisując tyle liter, ile się zmieści? Postanowiła spróbować. Wstawiła zatem alfabet z „królowej wdowy” pod prawdziwy, lecz krótszy.

K	R	Ć	L	O	W	A	D	J	E	S	T	A	P	U	I	M	C	Z	Y	Ć	Ę	Ś	N	L	Ž	H
A	A	B	C	ć	D	E	%	F	G	H	1	J	K	L	Ł	M	N	N	0	0	f	R	S	Ś	T	U

Następnie wróciła do stosownego zaszyfrowanego dokumentu.

Wystarczyło tylko kilka prób i Mary ustaliła, że ten plan nie działa. Zaszyfrowany fragment rozpoczynał się od liter bezsensownych (C Z Ę Y L Ź U M N Y C Z K N J K E R S A Ę I C I Ę Ź), które — po zastosowaniu podstawy kodu ze zdania „królowa wdowa” — przekładały się na podobnie niespójny ciąg (N Ń A O Ś T L M S O N Ń A S F A G A I J Ł N Ł P Ś).

Mary wyraźnie zrobiła gdzieś błąd, i to duży, była jednak pewna, że same założenia pomysłu są dobre. Zdanie rozpoczynające się od „Królowa wdowa” miało dwadzieścia siedem różnych liter... Czy to miało znaczenie? Mary popatrzyła na pozostałe dwa zdania, a następnie poprzez wykonanie tej samej procedury przepisania ich i wykreślenia wszystkich powtarzających się liter, odkryła, że w drugim zdaniu brak czterech liter spośród tych samych pięciu, a w trzecim trzech. Czyżby zatem rzeczywiście jej pomysł na rozwiązanie szyfru był poprawny? Pominięte litery w zdaniach Blackstone'a po prostu nie występowały w powiązanych z nimi zaszyfrowanych wiadomościach? Cóż, niektóre z pominiętych liter należały do używanych dość często, być może przeto Mary nie była tak bliska rozwiązania, jak sądziła.

Zrobiła głęboki wdech i usiadła prosto na krześle. Od wpatrywania się w litery rozboleła ją głowa, a umysł pracował teraz ospale i powoli. Rzuciła okiem na zegarek stryja. Godzina była późna. Nic dziwnego, że Mary czuła zmęczenie. I zimno! Ogień tlił się słabo i już od dawna nie ogrzewał pokoju, do którego przesączało się chłodne, nocne powietrze.

Tak bardzo wszak pragnęła uporać się z szyfrem, że zabrała się do pracy natychmiast po powrocie z Woolthorpe Manor, nie zatrzymując się nawet, aby powiesić pelerynę czy zmienić strój. Teraz, kiedy wstała, by rozciągnąć napięte mięśnie, poczuła się nie tylko senna, ale także znużona i niespokojna. Postanowiła, że przygotuje się do snu i może w tym czasie przyjdzie jej do głowy jakiś nowy pomysł. Zgodnie z zasadami panującymi w Lindham Hall nikt nie

powinien dokładać do ognia po godzinie dwudziestej drugiej, no chyba że znajdą jakieś nadzwyczajne okoliczności. Do dwudziestej drugiej wszyscy powinni leżeć w łóżkach, przykryci ciepłymi kołdrami. Mary dotychczas ani razu nie sprzeciwiła się tej regule; u pani Bunbury przyzwyczała się do znacznie surowszych warunków, ze względu na cieńsze koce i częstsze przeciągi. Dzisiejszego wieczoru jednak podsyciła ogień prawie lekkomyślnie. Jeżeli mogła kiedykolwiek mówić o nadzwyczajnych okolicznościach, to właśnie teraz.

Gdy chowała ubranie i szczotkowała włosy, bardzo starała się nie myśleć o zaszyfrowanych papierach czekających na nią po drugiej stronie pokoju. Zadanie wszakże było ogromnie trudne. Po każdej myśli na inny temat po prostu — prędzej czy później — jej umysł ponownie wracał do kartek, choć usiłowała dumać o White Ladies, swoim dziedzictwie, a nawet o szkole pani Bunbury. Cóż, gdyby nie opuściła pani Bunbury, naturalnie nigdy nie spotkałaby pana Traceya, nie dotarłaby do White Ladies i nie zostałaby wmieszana w tę całą sprawę.

No cóż, nie było sensu rozpamiętywać w tej chwili przeszłości. Cokolwiek się stało, została już w to wmieszana i tyle. W zadumie przypatrzyła się swemu odbiciu w ręcznym lusterku i stopniowo zaczęła wspominać wieczorne przyjęcie, przypomniawszy jej się również pan Deprez. Był istotnie bardzo przystojny — chociaż bez wątpienia nie powinna się interesować takimi sprawami — ale też inteligentny, życzliwy, no i mieli nieco wspólnych zainteresowań. Niechcący Mary wyobraziła sobie podobną rozmowę z kapitanem Hollandem na temat poezji i nie mogła się powstrzymać przed uśmiechem. Gdyby zrobiła aluzję do dzieł Alexandra Pope'a, prawdopodobnie pomyślałby, że Mary ma na myśli jakiegoś popa! Na pewno nie czytał *Rasselasa* ani nie byłby w stanie podyskutować o eseju Addisona *O przyjemnościach wyobraźni*. Pan Deprez natomiast wyraźnie znał się na sztuce, muzyce, literaturze,

teatrze... W momencie gdy te myśli ukształtowały się w głowie Mary, dziewczyna doświadczyła natychmiast poczucia winy. Z pewnością nie powinna porównywać kapitana Hollanda i pana Depreza, a poza tym czy kapitan nie był także bardzo inteligentny... tylko w nieco inny sposób? Prawdopodobnie posiadał dużą wiedzę o wszystkich sprawach wojskowych, które były bardzo ważne, tyle że nie nadawały się do omawiania przy stole podczas kolacji. No i kapitan uratował ją wszak w White Ladies, a coś takiego miało ostatecznie większą wagę niż poezja!

Ten nagły chaos emocjonalny sprawił, że rzuciła lusterko na łóżko i zdecydowanym krokiem zaczęła chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Powiedziała sobie, że jest bardzo głupiotką panienką, skoro martwi się o dwóch mężczyzn, których ledwie знаła i którzy za mniej więcej miesiąc zupełnie znikną z jej życia. Jak mogła być taka durna? I dlaczego ich porównywała, na litość boską?! Kapitan Holland prawdopodobnie nigdy nie powróci do Lindham, a pan Deprez... To były tylko mrzonki...

Usiadła jeszcze raz przy toalecie i przejrzała swoje bezowocne zapiski. Trzy klucze — ponieważ zdania Blackstone'a na pewno dostarczają kluczy dla trzech zaszyfrowanych dokumentów! Tyle że każde zdanie zawierało zbyt krótki alfabet. Jak uzupełnić brakujące litery? Jej spojrzenie padło na tom *Komentarzy*, który był otwarty na stronie 104, i Mary zaczęła czytać na chybił trafił o wyspach zależnych od Korony Brytyjskiej, lecz znajdujących się w obrębie sąsiedniego hrabstwa. Jedno mieści się zatem w drugim... Nagle przyszedł jej do głowy inny pomysł. Zamiast pomijać litery z prawdziwego alfabetu, może należało je stosować wymiennie z innymi?

Drukowany tekst *Komentarzy* podsunął jej wskazówkę, gdyż niektóre litery stosowano w nim na przemian, przynajmniej czasami. Czy istniało wiele takich par? Serce Mary zaczęło łomotać szybciej.

— Myśl, myśl, myśl! — poleciała sobie na głos. Wyprostowała palce i przycisnęła jedną dłoń do drugiej, po czym postukała sobie łagodnie opuszkami o usta. — Myśl.

Wyprostowała się na krześle, uśmiechając się lekko. „N” i „Ń” stosuje się czasami wymiennie, podobnie „S” i „Ś”, na przykład w wyrazach „pospieszny” i „pośpieszny”. „I” oraz „J” można zamieniać — na przykład po łacinie. Czy to było prawdopodobne, że szyfr przemytników odwoływał się do szczególnej właściwości łaciny? Może nie, chociaż nic nie wydawało się niemożliwe. Mary wzięła świeży arkusz papieru i zaczęła wymieniać brakujące litery w pierwszym z zaszyfrowanych dokumentów, opierając się na zdaniu z „królową wdową”. Nagle pomyślała, że może pominięte litery wymienia się z ich poprzednikami lub z następcami.

Z tą myślą stworzyła alfabet alternatywny, obejmujący wszystkie litery alfabetu.

K	R	Ć	L	O	V	A	D	J	E	S	T	A	P	U	I	M	C	Z	Y	ć	E	ś	N	L	Ż	H
A	A	ć	Ć	D	E	E	H	I	J	K	L	L	M	N	O	Ć	P	R	S	ś	T	U	V	Y	Z	Ż
/					/	/						/											/			
B					F	G						Ń														Ż

A wtedy bezsensowny początek szyfru, czyli litery

C Z E Y L Ż U M N Y C Z K N J K E R S A I C I E Ź , przełożyła na zestaw

P R A S Y Z N Ó W S P R A W I A J A K Ł O P O T Y . Rozdzieliła słowa i otrzymała:

PRASY ZNÓW SPRAWIAJĄ KŁOPOTY.

Udało się! Złamała szyfr.

Mary nie była jedyną osobą, która nie spała tej nocy z powodu sekretnych wiadomości. W spokojnej, przyzwoitej dzielnicy na północnych przedmieściach Londynu stał przed swoim domem spokojny, przyzwoity człowiek, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Starannie zapiął szynel, poprawił kapelusz, a potem zamknął za sobą drzwi. Gdy włożył rękawiczki, sprawdził drzwi i poklepał się po kieszeni. Słyszając uspokajające brzęczenie kluczy, ruszył w drogę. Jego wędrówka nie miała

żadnego konkretnego celu poza tym, że po prostu podczas spacerów mężczyźni lepiej się myślało. Szedł zatem przed siebie, przemieszczając się cicho obok zaciemnionych okien sąsiadów. Trzymał głowę w charakterystycznej pozie, sygnalizującej, że jest głęboko pogrążony w zadumie.

Sąsiedzi na pewno byliby zaskoczeni treścią jego rozmyślań, które skupiały się wokół otrzymanej kilka godzin wcześniej informacji. Pojedyncza kartka złożona i zapieczetowana w taki sposób, że tworzyła kopertę, trafiła do jego gabinetu wsunięta przez nieznaną rękę w szparę między oknami. Mężczyzna często otrzymywał tego rodzaju wiadomości, lapidarnie sformułowane instrukcje albo zapytania, łatwe do rozszyfrowania, pod warunkiem, że zawierały właściwy klucz alfabetyczny i zostały starannie opracowane. Nigdy jednak nie dostał nowiny takiej jak ta.

OPERACJĘ PRZERWAĆ. POWAŻNE RYZYKO KOMPROMITACJI. ZACHOWAJ SPOKÓJ I OCZEKUJ DALSZYCH INSTRUKCJI.

Mężczyzna nadal szedł, zadając sobie oczywiste pytania. Co się zdarzyło? Jaka kompromitacja mu grozi? Był pewny, że nie zrobił nicz niewłaściwego. Może ktoś inny postąpił nieostrożnie, ktoś wyżej postawiony... Ach ci niezdyscyplinowani ludzie o niedbałych manierach i pewnie pijacy! On sam nie miał cierpliwości do osób, które nie potrafiły się kontrolować, i teraz był wściekły z powodu niesprawiedliwego obrotu spraw. Cóż to wszystko jednak znaczyło, skoro w efekcie właśnie jemu groziło niebezpieczeństwo? I co się teraz stanie? „Dalsze instrukcje”? Jakie? Czy będzie musiał opuścić dom? Porzucić wygodne życie? Życie z pozoru tak spokojne i zwykłe, że nikt nigdy nie podejrzewał, iż on ma jakieś... dodatkowe zajęcia?

Ogarnęło go przerażenie. Słyszał wcześniej opowieści o agentach, którzy stali się... w jakiś sposób trudni czy kłopotliwi

albo szefowie zaczęli ich postrzegać jako źródło kłopotów. Łatwiej zawsze pozbyć się agenta, niż go wypłatać z problemów. Oczywiście były to tylko plotki, ale słyszał niejedną taką historię, a teraz, gdy je sobie przypominał, serce zabiło mu szybciej. Potem zasepił się i świadomie zwolnił krok. Nonsens, skarcił się w duszy. Ostrzeżenie wysłano, aby go chronić. Jeśli sądzili...

Zatrzymał się nagle, słysząc krótki, ostry dźwięk gdzieś za sobą, i bezwiednie skręcił w najbliższe wejście. Jak na tak mocno zbudowanego osobnika, poruszał się bardzo zwinnie. Słyszając dzikie miauczenie i widząc dwa małe, szare kształty przemykające obok, odetchnął głębiej i ostrożnie wyszedł z kryjówki. Ależ z niego cholerny głupiec, jak mógł się wystraszyć kotów! Zmienił jednak trasę spaceru, aby uniknąć oberży, którą miał przed sobą. Lokal powinien być zamknięty o tak późnej nocnej porze, ale nie było sensu igrać z niebezpieczeństwem. Nawet w przyzwoitych dzielnicach działali przecież rabusie i awanturnicy.

Zastanawiał się, co należało teraz zrobić. Wiadomość mówiła „Zachowaj spokój”, ale czy sugerowała, że ma pójść w poniedziałek rano do pracy, jak zwykle? Jeśli istniało jedynie ryzyko kompromitacji, oznaczało to, że nikt jeszcze tak naprawdę niczego nie odkrył, jeżeli zaś on nagle zacznie żyć inaczej, być może zmiany w jego zachowaniu po prostu potwierdzą czyjeś podejrzenia. Ale czyje? Szpiegów ministerstwa spraw wewnętrznych? Agentów związanych z wojskiem? Każdy rząd, czy to rojalistyczny, czy republikański, miał swoje tajne wydziały i biura bezpieczeństwa publicznego, których zajęcia łączyły się z wykrywaniem wrogów kraju. Zatrudnieni w takich wydziałach i biurach mężczyźni, pracujący w ukryciu i często nieuznawani przez oficjalne władze, bywali niezmiernie wytrwali, gdy natrafili na jakiś ślad. Być może nawet teraz otaczali go albo czekali, aż się pojawi, aby go... aresztować. Jeśli tak, może zachowywał się jak głupiec, który idzie ślepo w pułapkę, a przecież szczyił się tym, że nie jest głupcem.

Okrażył skwer i zawrócił do domu. Mimo szybkiego tempa odczuwał zimno i pomyślał o przytulnym salonie. Ciepły napój i pół godzinki przed ogniem, a potem do łóżka. Na uspokojenie emocji nie było lepszego lekarstwa jak dobry, nocny sen. Tego właśnie potrzebował; o reszcie pomyśli jutro.

Ze szczytu zaułka dostrzegł front swego domu. Wsunął rękę do kieszeni, szukając klucza od drzwi wejściowych. Monety, chusteczka, kawałek ołówka... Dlaczego klucze zawsze znajdował jako ostatnie? Zagapił się na światło widoczne w oknach na piętrze — w jego sypialni! Chyba nie zostawił zapalanej świecy?

Przeszedł szybko na drugą stronę zaułka, wciąż wpatrując się w okno sypialni. Zastłony były zaciągnięte, ale... Nieznaczny ruch, jakiś cień, potem światło przyćmiło się, wracając dopiero po chwili, jak gdyby ktoś przeszedł między lampą a oknem. O Boże! Zjawili się po niego!

Przez moment tkwił w miejscu zmrożony ze strachu, po czym przykucnął, przemknął za niskim murem, aż w końcu oparł się o niego plecami, nagle zziębnięty; pot lał się po jego okrągłej, błyszczącej twarzy. Marzenia o dobrym, nocnym odpoczynku i spokojnej porannej decyzji natychmiast się ulotniły. Musiał uciekać... teraz... zanim ktoś go zobaczy. Ponownie gorączkowo przeszukał kieszenie — tak, dzięki Bogu, miał przy sobie portfel. Ale dokąd powinien się udać? Do centrum Londynu? A jak się tam dostanie o tej godzinie?

Nie będę się teraz o to martwić, powiedział sobie. Po prostu muszę uciekać!

Ostrożnie zerknął najpierw w jedną stronę zaułka, potem w drugą, po czym prześlizgnął się szybko przez wąską szczelinę między budynkami naprzeciwko swego domu i zniknął w ciemnościach.

15

Niektórzy ludzie nie są rano w najlepszej formie; wyglądają na zmęczonych albo tak się czują, kręcą się bezładnie po domu i potrzebują kilku godzin, zanim zaczną funkcjonować na pełnych obrotach. Lady Armitage nie należała do takich osób. W pastelowej nocnej koszuli i podomce, z indyjską chustą udrapowaną ramionach i w koronkowym czepku niecałkiem skrywającym złote loki, przedstawiała elegancki obraz dezabilu. Jej poranny nastrój był równie wyrafinowany jak strój, a gdy sączyła gorącą czekoladę i obserwowała ogród z okna swojej garderoby, jej humor stawał się jeszcze lepszy. Od czasu gdy dziewczynki opuściły pokój dziecinny, spożywała swój pierwszy dzienny posiłek na piętrze. Nie lubiła ich hałaśliwego zachowania, które — zależnie od chwili — łączyło się z wprowadzaniem do jadalni psów lub wnoszeniem węży, a nawet świeżo złowionych ryb. Lady Armitage nie tylko zresztą chodziło o spokój, chętnie także korzystała z okazji przedyskutowania ważnych spraw w cztery oczy ze swoim mężem, zanim sir William odda się własnym sprawom.

— Mój drogi — mówiła teraz, wręczając mu talerz z posmarowanym masłem chlebem — nie sądzisz, że Susannah wygląda bardzo pięknie od naszego powrotu z Fordham?

Sir William zgodził się, gdyż miał niezwykle wysokie mnie-

manie o urodzie córki. Zdając sobie jednak sprawę z tego, że żona wymaga od niego dłuższej wypowiedzi, spytał, czy lady Armitage potrafi wyjaśnić ten szczególnie stopień rozkwitu. Zgodnie z jego oczekiwaniami rzeczywiście umiała go wyjaśnić: Susannah i lady Armitage zdobyły podziw Moltonów, a towarzystwo sąsiadów okazało się równie miłe.

— Nie wiedziałem, że jesteś taką wielbicielką Toma Mol-tona, moja droga.

— Tak, przyznaję, że może byłam raczej surowa dla niego w przeszłości, ale wiesz, że Tom prowokuje wszystkich, aby uważali go za najzwyczajniejszego wieśniaka. Naprawdę dobrze ukrywa swoje zalety. Z przyjemnością wszakże odkryłam, iż myliłam się w swoich sądach, a Jane Molton to bardzo praktyczna kobieta.

— A młody pan Grantley Molton? — wtrącił sir William, uśmiechając się zza serwetki. — Mam nadzieję, że okazał się dokładnie taki, jak sobie życzyłaś.

— Ach, mój drogi, przyznaję, że nie jest z niego żaden efeb... i nie sądzę, że nie widzę tego twojego znaczącego uśmiechu. Ale to dobry człowiek i nadzwyczaj odpowiedni. Poza tym, szczerze hołubi Susannah.

Ta ostatnia obserwacja, chociaż sama w sobie satysfakcjonująca, spowodowała, że uśmiech sir Williama zamarł na jego wargach. Mężczyzna rozumiał teraz, do czego ta rozmowa zmierza, i uświadomił sobie, że żona wkrótce odkryje fiasko, które poniósł. Wbrew najlepszym chęciom, nie zdołał bowiem „rozmówić się” z Hollandem na temat starszej córki i ta wiadomość niewątpliwie zirytuje jego żonę.

Nie mylił się w żadnym punkcie, w dodatku reakcja lady Armitage sugerowała coś więcej — żona wyraźnie wątpiła w jego możliwości, i to nie tylko w tej sprawie. Czyż nie zgodzili się, pytała, że małżeństwo między Robertem i Susannah nie jest możliwe? Że takie „nierówne” związki nigdy się nie udają? Wszak rozmowa z Robertem sam na sam była chyba najbardziej uprzejmym rozwiązaniem?

Czy sir William może zapomniał, co przydarzyło się jego kuzynce, Sophii? Czyżby życzył sobie podobnej katastrofy dla Susannah?

— Wiem, że dobrze myślisz o Robercie, ja również go lubię... na swój sposób. Zrobiłeś już tak dużo dla niego... byłeś bardziej niż hojny. Ale musimy myśleć przede wszystkim o naszej córce. Jej los może być znacznie lepszy.

— Tak, tak — zamachał ręką — oczywiście, że masz rację. W gruncie rzeczy...

— W gruncie rzeczy — przerwała mu lady Armitage, obrzucając go twardym jak stal spojrzeniem — jestem przekonana, że wystarczy najdrobniejsza zachęta i sympatia Susannah do pana Grantleya Moltona zdecydowanie się rozwinię. W pewnym momencie naszej wizyty byłam prawie pewna, że doszli do porozumienia... Tak się o nią troszczył. Nie zdołałam wprawdzie, niestety, dowiedzieć się, czy coś właściwie zaszło, jestem jednak całkiem spokojna o nią.

— To pocieszające — mruknął sir William. W myślach dodał, że żona może dziękować Bogu, iż w tej sprawie chodzi o Susannah, nie zaś o Charlotte, z którą nikt nie może sobie dać rady. Gdyby Charlotte zażyczyła sobie poślubić biednego jak mysz kościelna kawalera, wszyscy w domostwie musieliby porzucić myśli o spokoju... Ale tragedia Sophii nie musi się powtórzyć. Oczywiście Robert nie do końca przypominał swego ojca, nigdy jednak nic nie wiadomo. Jabłko niedaleko przecież pada od jabłoni. Sir William zastanowił się, kto jako pierwszy użył tego określenia. Może Newton? Uśmiechnął się na myśl o swoim małym żarciku, a nawet rozważył, czy by go nie ujawnić, ale porzucił zadumę, kiedy odkrył, że jego żona nadal mówi.

— Tak, sądzę, że jego przyjazd tutaj byłby całkiem do rzeczy — podsumowała kobieta.

— Przyjazd? Gdzie?

— Do Storey's Court, oczywiście. Nie powiedziałam tego?

— Nie. Masz na myśli młodego Moltona, tak? I jego przy-

jazd tutaj? Dobry Boże, myślałem, że dopiero co uwolniliśmy się od tego jegomościa. Jest jak cholerna ośmiornica.

— Ośmiornica? Co masz na myśli?

Sir William zrobił wymijający gest. Żałował, że wypowiedział tę ostatnią uwagę; jego słowa zabrzmiały dziwacznie.

— Czepia się tymi... no wiesz... mackami, czułkami... czy jakkolwiek się nazywają.

— Proszę cię, sir Williamie, nie ekscytuj się — zaleciła mu lady Armitage, spoglądając takim wzrokiem, jak gdyby również uważała jego słowa za naprawdę dziwaczne. — Nic nie zostało ustalone. Po prostu przyszło mi do głowy, że całkiem dobrym pomysłem byłoby nie zostawić sprawy... pod znakiem zapytania. Susannah poczuje się swobodniej, przyjmując oświadczyzny tutaj, we własnym domu, choć jeśli napiszę do niego, zasugeruję mu oczywiście jedynie wizytę towarzyską. Nie mam wątpliwości, że pan Molton bardzo chętnie przyjmie zaproszenie.

— Tak, nic nie powstrzyma tych młodych Romeów. Tyle że póki przebywa u nas biedny Bobs, będzie mu cholernie trudno patrzeć, jak na jego oczach inny mężczyzna jest przyjmowany... z otwartymi ramionami. To będzie jak... rozdrapywanie ran.

— Przeżyje to — wzruszyła ramionami lady Armitage i potwierdziła, że zaraz napisze do pana Grantleya Moltona. Tymczasem najważniejsze wydaje się dopilnowanie, aby Holland i Susannah nie przebywali zbyt dużo w swoim towarzystwie i nigdy bez nadzoru. Na tym etapie każda deklaracja byłaby niezmiernie pechowa. Lady Armitage miała nadzieję, że jej mąż przedsięwzięcie konieczne kroki. Popatrzyła na niego znacząco, zanim raczyła napełnić ponownie jego filiżankę.

— Tak, tak, bardzo dobrze — sir William skrzywił się, pragnąc już zakończyć tę rozmowę.

Kiedy sir William i lady Armitage ustalali los młodszych członków rodziny, Mary Finch i pani Tipton zajmowały się

bez wątpienia mniej ważnymi sprawami. Dokładniej mówiąc, siedziały wśród wiernych parafii Świętego Jana Bożego i czekały, aż wielebny Hunnable znajdzie odpowiedni ustęp w notatkach i rozpocznie kazanie. Pozory mogły jednak mylić. W swojej długiej historii ławka rodziny Tipton była już sceną radości, smutku, nudy, a nawet pewnego stopnia religijnej żarliwości, rzadko jednak przebywał w niej ktoś, kto z takim trudem powstrzymywał całkowicie świecką ekscytację, jak Mary w ten konkretny niedzielny ranek. Odkrywszy sekret alfabetów z *Komentarzy* i rozszyfrowawszy dokumenty, dziewczyna zdołała nawet przespać parę godzin, teraz jednak aż się paliła do wykonania następnego kroku. Uwagi pana Hunnable'a na temat Dobrego Samarytanina przeszły zatem niezauważone, a poza tym Mary musiała stale walczyć z narastającą pokusą spojrzenia za siebie i sprawdzenia, czy pan Deprez wszedł już do kościoła. Kiedy wszyscy wstali, by zaśpiewać *Obudź nasze dusze!*, rzeczywiście zerknęła, lecz nie mogła zobaczyć nic poza obszerną kamizelką opinającą brzuszysko osobnika siedzącego tuż za nią. Mężczyzna ów uznał jej spojrzenie za krytykę jego śpiewu i jako człowiek z natury wojowniczo usposobiony zwiększył w efekcie natężenie głosu. W końcu nabożeństwo dobiegło końca i wielebny pobłogosławił przybyłych. Mary odwróciła się szybko, próbując zobaczyć cokolwiek obok ryczącego grubasa. W tym momencie prześlizgnęły się szybko wzdłuż kościelnej ławki, gdyby nie odradzający jej taki ruch mocny uścisk, który poczuła na swoim przedramieniu. Odwróciła się z powrotem z nieśmiałym uśmiechem i pomogła pani Tipton wstać.

— Uważaj! — ostrzegła ją kobieta, kiedy dziewczyna wręczyła jej laski. — Jeśli stracisz głowę, z pewnością stracisz także wszystko inne.

— Tak, oczywiście — przyznała Mary, starając się utrzymać poważny ton, a równocześnie kiwając znacząco głową panu Deprezowi, którego właśnie wyłowila wzrokiem kilka rzędów za swoim. — Proszę mi wybaczyć.

— To bardzo grzeczny młodzieniec, niewątpliwie — ciągnęła pani Tipton — i mogłabyś trafić gorzej niż na najbogatszego człowieka z Saint Lucii... Tak w każdym razie nazywa go pan Somerville.

— Co? Och. — Dziewczyna prawie zapomniała o tym aspekcie sytuacji. Przypomniała sobie o nim jednak żywiej, kiedy Deprez uśmiechnął się do niej i niedbałym gestem wskazał tylne wyjście z kościoła. Perspektywa zaimponowania mu przydała w opinii Mary dodatkowego znaczenia posiadanym przez nią informacjom. — Przepraszam, pani Tipton, ale... Nie chciałabym robić niczego wyjątkowego, ma się rozumieć, czy myśli pani jednak, że... Czy mogłabym przejść się... z panem Deprezem po kościelnym dziedzińcu? Tylko się przejdziemy.

Pani Tipton zacisnęła usta.

— No dobrze — westchnęła w końcu — tylko bez żadnych chichotów czy wygłupów. Nie wolno przecież flirtować na dziedzińcu kościelnym, a już na pewno nie w niedzielę! Peggy? Gdzie ta Peggy?

— Kiedy służąca podeszła, aby odprowadzić swoją pracodawczynię, pani Tipton pouczała dalej Mary autorytatywnym szeptem: — No, nie zrób z siebie pośmiewiska! Ostatecznie, nie jesteś jakąś dojarką. Poczekam na ciebie na ganku. Peggy, uważaj na mój szal. Czuję, że się zsuwa.

Kiwając głową, Mary pospieszyła do wschodnich drzwi. Rumieniła się pod zaciekawionymi spojrzeniami mijanych osób, lecz nikt jej nie zatrzymywał. Deprez spotkał się z nią w przedsionku, nie mogli jednak od razu rozpocząć rozmowy, gdyż najpierw dziękowali panu Hunnable'owi za kazanie, a później zamienili kilka słów z panią Somerville. W końcu wyszli szybko na zewnątrz, obeszli kościół i dotarli na dziedziniec. Wiał zimny wiatr, który Mary wydawał się ożywczy.

— No i? — spytał Deprez w chwili, gdy zostali sami. — Ma je pani?

— Tak — odparła z uśmiechem — oryginały i wyjaśnienia.

— Rozszyfrowała je pani? — upewnił się, potem przerwał

i przez chwilę zagapił się na nią bez słowa. — Proszę mi pokazać.

Wiatr poruszył jej peleryną, kiedy dziewczyna wyjmowała z mufki kilka złożonych kartek, które następnie wręczyła mężczyźnie. Gdy wyraz twarzy Depreza zmienił się ze sceptycyzmu w zaskoczenie, Mary podeszła bliżej i opowieść o zmaganiach z szyfrem sama popłynęła z jej ust. Mężczyzna podniósł na chwilę rękę, próbując przeczytać efekty jej pracy, potem jednak uśmiechnął się i rzucił:

— Och, proszę mi wszystko opowiedzieć.

Słuchał uważnie i coraz większe wrażenie robiła na nim inteligencja i upór jego rozmówczyni.

Dokładnie tak samo rozwiązałyby ten problem, tyle że ta młoda dziewczyna nie miała wszak żadnego doświadczenia w tego rodzaju działaniach.

— Nie nauczała pani przypadkiem kryptografii w swojej nieocenionej szkole, co? — dociął jej.

W sumie pytanie nie wydało się Mary szczególnie zabawne, ponieważ jednak jej towarzysz się uśmiechał, więc i ona się zaśmiała. Wyczuła, że jej wysiłki zadziwiły go, i rozkoszowała się jego zachwytem.

— Och, nie — zapewniła go wesoło — ale gdy zrozumiałam, że istnieją raczej wymiany liter niż opuszczenia, praca stała się całkiem łatwa. Każdy dokument miał inny klucz, zapisany na trzech różnych stronach, wszystkie jednak zostały przygotowane według tej samej zasady.

— Tak, tak, całkiem łatwe — zadrwił, potrząsając głową. — Panno Finch, jestem zaskoczony, że... Nie, nie, muszę panią pochwalić. Naprawdę świetnie się pani spisała. — Obejrzał ponownie zaszyfrowane oryginały, a później jej przekłady. Potem opuścił rękę z kartkami i popatrzył ostro na dziewczynę. — Wie pani, co te papiery znaczą?

PRASY ZNÓW SPRAWIAJĄ KŁOPOTY. ZAGROŻONY NIE JEST CAŁY PROCES, ALE MAMY OBAWY CO DO KONSYSTENCJI WYPIEKU. MÓWI SIĘ

0 DELIKATNIEJSZEJ GWINTARCE, ABY ZWIĘKSZYĆ, A NAWET WYRÓWNAĆ NAPIĘCIE, CO MOŻE ROZWIĄZAĆ DRUGI PROBLEM, POZOSTAJE JEDNAK KWESTIA BEZPIECZEŃSTWA, KTÓRE POWINNO WZROSNAĆ PO ULEPSZENIU MECHANIZMU. PRAWDOPODOBNY NASTĘPNY CEL DO PONOWNEGO OFICJALNEGO ROZPATRZENIA. PIECE NALEŻY ZASTĄPIĆ PRZEZ NOWY APARAT PAROWY. PODOBNO NOWE PIECE SUSZĄ PROCH GRANULOWANY SZYBKO I RÓWNO. JEŚLI TO MOŻLIWE, PRZESŁAĆ PLAN PIECA. ZANOTUJ, ŻE PRESJA MOŻE SPROWOKOWAĆ SALTA. POWAŻNE RYZYKO. ZAMÓWIENIA NALEŻY POTWIERDZIĆ ALBO USUNAĆ. POGŁOSKI O NOWEJ ŁĄCZNOŚCI Z BISKUPEM WATSONEM PO DALSZYCH TESTACH ULEPSZONEJ DESTYLACJI. PODOBNO REZULTATY MAJĄ BYĆ ZASKAKUJĄCO DOBRE. TINKLER, BRIDGES, PIGOU NIECH WEZMĄ UDZIAŁ W POKAZACH W WALTHAM ABBEY. NAJBARDZIEJ OBIECUJĄCE PRACE PROWADZI SIĘ OBECNIE NAD OLCHĄ I WIERZBĄ. W NOWOCZESNYCH PROCHOWNIACH BARDZO RZADKO UŻYWA SIĘ TERAZ WĘGLA DRZEWNEGO.

NAJNOWSZE WYNIKI:

BATTLE 10 12 10

DOUBLE BATTLE 16 15 18

PROCH GRUBOZIARNISTY 13 12 12

PROCH DROBNOZIARNISTY 23 20 24

DROBNOZIARNISTY SPECJALNY 21 20 20 STANDARDOWY MOŹDZIERZ

282

— Tak naprawdę nie — przyznała, zerkając znów na kartki, choć niemal znała teksty na pamięć. — Pomyślałam może, że mają coś wspólnego z bronią, ale...

Znów jej słowa go zaskoczyły.

— Skąd możesz to wiedzieć, pani? — zapytał.

— Z odniesień do artylerii. Pamiętam, że kapitan Holland użył tego słowa, gdy opowiadał o arsenale w Woolwich. Nie rozumiem, co znaczy „wypiek” ani dlaczego w sprawie bierze udział biskup, ale... czy moździerz nie jest typem działa albo może armaty?

— Tak, rzeczywiście — Deprez kiwnął głową. — Jednak to interesujące, że wspomniała pani kapitana Hollanda. Czy on... czy mówił jeszcze coś... o uzbrojeniu?

Mary zastanawiała się przez chwilę.

— Nie sądzę, choć być może. Jest przecież żołnierzem.

— Tak, oczywiście, a poza tym Anglia znajduje się w stanie wojny. Masz pani rację, te dokumenty rzeczywiście dotyczą broni, musisz więc rozumieć ich wagę.

Naturalnie, że ją rozumiała, lecz wahała się do tego przyznać. Przemycnicy przekazywali zatem informacje Francuzom! Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy wymawiała te słowa. Zdrada! A oni dwoje dyskutowali teraz o tych sprawach takim tonem, jak gdyby mieli do czynienia z najbardziej naturalną rzeczą na świecie! — Wiem, że straszne jest przekazywanie danych wrogowi ojczyzny, ale czy sądzisz pan, że te informacje są bardzo ważne?

— Nie wiem, tyle że szpiegostwo to ogromnie niebezpieczny proceder i trzeba go przerwać! —

Deprez zamilkł na moment. Minę miał ponurą. — Powiem wprost, gdyż... zasłużyła pani na prawdę.

Wspomniałem ubiegłej nocy, że interesują mnie te dokumenty i tak rzeczywiście jest. Jakiś czas temu dowiedziałem się o pewnych wyciekach informacji w kręgach wojskowych... najpierw na Saint Lucii, a potem tutaj, w Anglii. Nie znam jeszcze rozmiaru korupcji... zdrady... ale to odrębna kwestia.

Okazało się, że Francuzi wykorzystują jako pośred-

ników angielskich przemytników i zdołałem wytropić przeciek tutaj. Właśnie dlatego przyjechałem. Mary zastanawiała się przez chwilę.

— Jest pan kimś w rodzaju... agenta?

— To jest duże słowo — upomniał ją Deprez. — Powiedzmy raczej, że interesują mnie takie sprawy, a czasami ciekawość bierze nade mną górę i wciąga mnie w coś, co równie dobrze mógłbym zostawić w spokoju.

— Ależ nie wtedy, jeśli może pan zapobiec... zdradzie! — zawołała Mary, chwytając go za ramię. — Musisz działać, nie ma co do tego wątpliwości! To bardzo szlachetne z twojej strony i prawe!

— Zobaczymy.

— Pan Somerville wie o pańskiej działalności?

— Tak, do pewnego stopnia. To naturalnie bardzo dobry człowiek, lecz moim prawdziwym współnikiem jest... — Hicks!

— Tak, Hicks.

— Więc właśnie dlatego wysłał go pan do White Ladies — wywnioskowała Mary. Myśl, że jej stryj ukrył te papiery spowodowała u niej falę nieprzyjemnych wyrzutów sumienia, jednak dziewczyna opanowała się i spytała: — Czy oczekiwał pan... że Hicks coś znajdzie?

— Ach, nie sposób mieć sekretów przed panią. — Deprez roześmiał się. — Prawdę mówiąc, nie byłem pewny niczego, co wiąże się z White Ladies, jednak posiadłość stała się już przecież sceną jednego bardzo zaskakującego wydarzenia... Tak czy inaczej, chciałem mieć kogoś na miejscu, a Hicks mógł dołączyć do ludzi pana Todda łatwiej niż ja. Nie sądziłem, że okażesz się pani uważniejszą... agentką niż któryś z nas. Mary zarumieniła się na ten komplement, lecz rewelacje Depreza na temat jego działalności interesowały ją bardziej... Mogły wszak wszystko zmienić, więc ważne pytania szybko przysły jej do głowy. Czy pan Deprez również wiedział o Tracey? Czy pan Tracey oczekiwał kogoś Pod Wielkim

Białym Koniem? Pewnie tak! Czy Deprez zna tożsamość człowieka, na którego Tracey czekał? Odpowiedzi mężczyzny były dość zachowawcze. Słyszał co nieco o Traceyu, ale nie znał nazwiska jego współnika i chociaż jest to informacja zasadnicza, chcąc ją zdobyć, muszą oboje postępować bardzo ostrożnie.

— Najpierw trzeba rozszyfrować ostatni dokument. Na pewno pójdzie całkiem łatwo teraz, gdy pani wskazała właściwą metodę, a ta wiadomość powinna dać nam jakąś podpowiedź. Natomiast co do kolejnego etapu... Sądzę, że musimy podjąć poszukiwania. Sytuacja tutaj stała się zbyt niewygodna dla przemytników, więc jeśli Francuzi nie zdecydują się zupełnie zrezygnować, sądzą, że przesuną swojego człowieka w inne miejsce.

— Ale dokąd? — Mary westchnęła. — Łódź do Francji może zapewne odpłynąć z bardzo wielu punktów na angielskim wybrzeżu.

— Tak, dokładnie, więc... musielibyśmy zgadywać. Tym razem dopisało nam szczęście i wytropiliśmy tych ludzi... albo niektórych z nich. Wątpię, czy taki szczęśliwy traf się powtórzy. Zdaje mi się zatem, że trzeba zapomnieć o punkcie przelotowym i poszukać źródła przecieku.

— Rozumiem — dziewczyna pokiwała głową — i potrafi pan to zrobić?

— Będzie trudno... w chwili obecnej. — Deprez potwierdził jej obawy. — Może jednak istnieje sposób, aby zwiększyć nasze szanse.

Nalewając mężowi herbatę następnego ranka, lady Armitage oznajmiła, że napisała do pana Grantleya Moltona. Sądziła niewątpliwie, że wzbudzi tą informacją wielkie zainteresowanie sir Williama. Pomyliła się w tej kwestii, gdyż sir William był całkowicie pochłonięty listami i ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że żona w ogóle się odezwała. Przez lata wykształcił

w sobie zdolność do ukrywania własnego braku skupienia, co na pewno stanowiło jeden z powodów szczęśliwego pożycia małżonków.

— Doprawdy, moja droga?

— Tak, i oczekuję bardzo szybkiej odpowiedzi. Jej mąż kiwnął głową z roztargnieniem.

— No cóż, zapewne otrzymasz... to znaczy... wszystko dobrze się skończy.

— Zapewne — przyznała lady Armitage ostrzej, po czym popadła w zadumę. Musiała z ogromną starannością rozważyć, czym pan Molton będzie się zajmował podczas wizyty u nich. Och, gdybyż tylko była wiosna, on i Susannah mogliby chodzić na spacer. Nie ma nic bardziej romantycznego... lecz przy złej pogodzie wycieczki były zdecydowanie niebezpieczne i wiązały się z najrozmaitszymi klęskami — od głębokiego błota po deszcz i silny wiatr. Dżentelmen nie zaproponuje małżeństwa, jeśli wpadnie w błoto, ani nie oświadczy się młodej damie o czerwonej od mrozu twarzy lub fryzurze przypominającej wiecheć słomy. Zatem zajęcia w domu: przyjemne gry rodzinne... Susannah może też dla niego zagrać coś na fortepianie. Gra wystarczająco dobrze i ładnie wygląda podczas gry. Dobrym pomysłem byłoby podawać w trakcie wizyty pana Moltona jego ulubione dania. Jedzenie zazwyczaj wprawia mężczyzn w dobry nastrój, szczególnie słodyczne. Trzeba będzie pomówić w tej sprawie z kucharką.

— Mam nadzieję, że nie jest szczególnym zwolennikiem ostryg — zauważył sir William, przełamując pieczęć na małej kopercie z czarną obwódką. — Ach, biedny Willoughby umarł w końcu. No, no, no. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze wytrzyma. Cierpiał strasznie z powodu paraliżu, wiesz, te ostatnie dwa lata... Bo ostatnim razem, gdy Susannah je zjadła, dostała wysypki.

— Ach, tak, pamiętam. — Lady Armitage skinęła głową. — Żadnych ostryg.

Na obliczu Susannah nie było w tej chwili z pewnością

żadnej wysypki, gościła za to na nim wyraźna melancholia. Dziewczyna wstała wcześniej i spacerowała apatycznie po zasypanych liśćmi ścieżkach ogrodu warzywnego. Powietrze było wilgotne, wiatr porywisty, a otoczenie okropne — wszędzie wokół ciągnęła się jedynie niemal naga ziemia, pokryta co najwyżej rzadkimi, martwymi badyłami. Chrząst stóp przyciągnął uwagę Susannah, więc zamachała krótko do kuzyna i siostry.

— Idziecie pojeździć konno? — zawołała.

— Taki wspinały ranek! — Charlotte zamachała w odpowiedzi. — Chodź z nami.

— Nie jestem odpowiednio ubrana na jazdę.

— Więc idź się przebrać — odparował praktycznie Holland. — Poczekamy na ciebie.

Susannah obdarzyła oboje bladym uśmiechem.

— Nie, nie, jedźcie sami. Za zimno na jazdę. Charlotte zaleciła dobry galop jako najlepszy sposób na rozgrzewkę i powtórzyła zaproszenie. Niestety znów nie uzyskała pożądanego rezultatu, toteż szybko straciła cierpliwość do ospałego zachowania siostry.

— Och, jesteś taka staroświecka! Chodź, Bobs, idziemy. Szarpnęła za ramię kuzyna, który jawnie zwlekał, kapitan nie zważał jednak na dziewczynkę. — O co chodzi, Suz? — spytał.

— O nic.

— Chodźmy — powtórzyła Charlotte.

— Nie, idź pierwsza — odburknął. — Dogonię cię. Charlotte obrzuciła wściekłym spojrzeniem plecy Hollanda,

kiedy ten szedł ku jej siostrze. Potem prychnęła niecierpliwie i pobiegła wzburzona.

— Nie będę czekać wiecznie, wiesz — wrzasnęła.

— Wiem — przyznał kapitan, odkrzykując jej przez ramię. — Ale nie wyjeżdżaj sama. Weź ze sobą jednego ze stajennych. — Kiedy stanowcze kroki rozdrażnionej dziewczynki ucichły, ponowił pytanie do Susannah. — I nie mów mi, że nic — dodał.

Kuzynka uśmiechnęła się do niego przepraszająco, ale nie odpowiedziała. Bez słowa schyliła się, podniosła długą, cienką gałązkę i przez moment obracała ją powoli w palcach. Holland obserwował ją w zadumie, założywszy ramiona na piersi.

— No dalej, mów — ponaglił ją.

— Och, Bobs — westchnęła w końcu. — Dlaczego sprawy nie mogą pozostać takie, jakie są? Dlaczego wszystko musi się stale zmieniać?

Chociaż osobliwe, pytanie właściwie nie zaskoczyło go.

— No cóż, sprawy byłyby diabelnie nudne, gdyby się nie zmieniały.

— Tak, wiem, jednak... — Znowu westchnęła. — W twoim przypadku jest inaczej.

Kapitan wyjął gałązkę z jej dłoni i odrzucił na bok. Potem wziął dziewczynę pod ramię i ruszyli przed siebie.

— Oczywiście, że moja sytuacja jest inna — zgodził się. — Co nie oznacza, że musisz snuć się tutaj, czekając, aż poślubisz tego Moltona. Zwłaszcza jeśli nie chcesz.

Wcześniej pozwoliła mu się ciągnąć naprzód bez szczególnych protestów, teraz szarpnęła głową ze zdziwieniem.

— Skąd o tym wiesz?

— Nie jestem kompletnym głupcem, stąd wiem. Zamierzasz to zrobić?

— No... sądzę, że tak.

— A cóż to za odpowiedź, na litość boską? — odburknął. — Tak sądzisz? A czy on cię o to spytał?

— Tak. — Zawahała się, a potem zaczęła tłumaczyć szybko i nie całkiem spójnie. Pan Molton ujawnił swoje uczucia podczas wizyty obu pań w Fordham, chociaż nie domagał się od niej natychmiastowej odpowiedzi. Chciał dać jej czas na przemyślenie oświadczyń, tylko że ona nie chciała o nich myśleć. Teraz jednak przypuszczała, że musi się zastanowić, ponieważ czuła się kłamczuchą, skrywając ten fakt przed papą, więc ubiegłej nocy wyznała mu wszystko! Oczywiście powinna mu

się zwierzyć, tak było najwłaściwiej, niestety po rozmowie z ojcem nie poczuła się ani trochę lepiej i miała nadzieję, że Bobs nie zirytuje się na nią. Popatrzył na nią.

— Miałoby znaczenie, gdybym się zirytował?

— Jak to?! No jasne, że tak — odparła, unikając jego spojrzenia. — Ja nigdy nie... Ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Wiesz, to bardzo honorowy, przyzwoity młody mężczyzna i jestem przekonana...

— Chcesz raczej powiedzieć „przekonywana przez lady Armitage”.

— Właściwie papa również mnie do tego namawia. Powiedział, że mogę zrobić tak, jak zechcę, ale że to jest bardzo rozsądna partia i on nie odmówi mi swojej zgody. Więc rozumiesz... — Podniosła wolne ramię i wzruszyła nim w geście bezradności.

Holland nie wiedział, co niby miał rozumieć. Dla niego sprawa była całkiem prosta — albo kuzynka chciała wyjść za tego mężczyznę, albo nie. Susannah jednakże postrzegala to inaczej. Tak wielki komfort psychiczny dawała jej świadomość, że wszyscy wokół niej byliby z jej pozytywnej decyzji zadowoleni albo przynajmniej nie byliby niezadowoleni, że nie potrafiła zrobić czegoś, co mogłoby się stać źródłem... niezgody. Ta konkretna decyzja była zatem trudna, gdyż Susannah czuła, że cokolwiek wybierze, kogoś rozeźli.

Nie zgodziłaby się naturalnie poślubić pana Moltona, gdyby był złym człowiekiem, w tym przypadku bez wątpienia sytuacja tak się nie przedstawiała. No i majątek Fordham znajdował się niedaleko, co było bardzo dogodne, a stary pan Molton zawsze okazywał tyle uprzejmości. Wszyscy najwyraźniej uważali, że ona powinna... Okropnie byłoby ich rozczarować.

Gdy mówiła, wpatrywała się w Hollanda z nadzieją.

— Myślisz, że jestem w błędzie?

— Nie chcesz wiedzieć, co myślę.

— Oczywiście, że chcę — zaprotestowała Susannah, chociaż

jeszcze bardziej chciałyby uniknąć otrzymania jakiejś surowej reprimendy z jego strony.

— Posłuchaj, myślę, że twoja matka wie, iż masz w nosie tego... Moltona, i dlatego każe ci szybko podjąć nieodwołalną decyzję.

Zatrzymali się i Susannah uwolniła się od ręki Hollanda.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiedziała, że przyjeżdżam tutaj, nieprawdaż? — spytał kapitan. — Zrobi wszystko, aby utrzymać mnie z daleka od ciebie. — Przerwał, obserwując rumieniec rozkwitający na policzkach dziewczyny, po czym podjął łagodniejszym tonem: — Sądzi, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry.

— Och, nie! — zawołała dziewczyna.

— Wszyscy tak uważają i mają rację. Ale... twoja matka... dostrzegła bez wątpienia jakieś ryzyko, w przeciwnym razie nie starałaby się tak mocno uratować cię przede mną.

Znów poczekał minutę, czy Susannah mu coś odpowie, dziewczyna pozostała jednak milcząca i tylko bawiła się nerwowo fałdami sukni. W końcu Holland zrobił głęboki wdech.

— Słuchaj, Suz. Wiem, że nie jestem... odpowiedni w taki sposób, w jaki jest Molton, lecz przypuszczam, że... gdybym miał więcej pieniędzy... A chyba mógłbym trochę zdobyć.

— Ale... mógłbyś? — Podnosiła oczy w zdumieniu. Bobs był biedny, wszyscy o tym wiedzieli. Był bardzo kochany i nie chciała go zranić, lecz nie miał nic poza swoim żołdem, a oficerom obecnie nie płacono zbyt dobrze.

Nie odpowiedział na to pytanie wprost, a jego sugestia źródła, z którego mogliby czerpać ten tajemniczy dochód, jeszcze bardziej zadziwiła jego rozmówczynię.

— Mam wyjechać do Indii? — powtórzyła, gapiąc się na niego. — Ja?

— Dlaczego nie? Mogłabyś... polować na tygrysy zamiast zajmować się księgami. Jeździć na słońiach... odwiedzać bazy. Polubiłabyś to.

— Ale ja lubię prowadzić księgi. A mama twierdzi...

— Czy przestaniesz w końcu myśleć o swojej matce?!

— Nie wolno ci tak mówić, Bobs — odburknęła. — I oczywiście mama mi doradza... ma do tego prawo. Co nie znaczy, że...

— Po prostu mi odpowiedz — przerwał. Wypowiadał powoli słowa, równocześnie kładąc ręce na jej ramionach. — Czy gdybym miał pieniądze, coś by to zmieniło?

Popatrzyła na niego bojaźliwie, zagryzając wargę, i nie odpowiedziała nawet, gdy ponownie poprosił.

— No cóż, co jednak, jeśli... Och Charlotte... — szepnęła i szybko odsunęła się od Hollanda. — Kim jest ten człowiek? Kapitan obrócił się. Charlotte machała do nich z drugiej strony ogrodu.

— Bobs! Bobs! — wołała dziewczynka.

Obok niej stał jakiś nieprezentujący się najlepiej, wyglądający dość staro, siwowłosy i zmęczony po podróży jegomość.

— Co...? Tak? — zawołał Holland. — O co chodzi?

— Oto on — powiedziała Charlotte do swojego towarzysza, Hollanda zaś poinformowała: — On pyta o ciebie, Bobs!

— Dobrze, już dobrze, nie musisz stawiać na nogi całej okolicy — marudził kapitan, podchodząc do obojga.

— Kapitan Holland, zgadza się? — spytał nieznajomy. — Dzień dobry panu, jeśli łaska. Nazywam się Hicks. Uchylił kapelusza z szacunkiem. Holland kiwnął głową.

— Czy ja pana znam?

— Nie, sir, ale sądzę, że zechce pan mnie poznać, jeżeli mogę się ośmielić. Przyjechałem z Lindham z ważną wiadomością od pewnej znanej panu młodej osoby. Może mógłbym z panem o tym rozmawiać? Kapitan wzdrygnął się, a potem znów kiwnął głową.

— Lottie, zabierz Susannah do domu. Myślę, że powinna zjeść śniadanie. No dalej! — polecił, ponieważ dziewczynka wyraźnie zwlekała z odejściem. Poczekał, aż siostry znikną

mu z oczu, a wtedy ponownie zwrócił się do Hicksa. — Masz wiadomości od Mary Finch? — spytał.
— Zgadza się, sir.
— Przysłała cię?
— Poniekąd. Ona i pan Deprez.
— Deprez? Co, do diabła... — Holland potrząsnął głową. — W porządku, chętnie posłucham w czym rzecz.

Ranek, który wstał bezchmurny i zimny w Norfolku, do Londynu przyniósł wilgotny ziąb. John Hudson czuł chłodne powietrze przeciskające się przez szczelinę pod drzwiami i przez źle dopasowane okno, a temperatura w jego biurze przy Bow Street 4 była dość niska. W poniedziałki Hudson zwykle zaczynał pracę wcześniej. Niedziela może i została ustanowiona jako dzień odpoczynku, jednak w niedzielne noce miejska policja dostawała zazwyczaj sporo zgłoszeń, co oznaczało, że Hudson zawsze miał do napisania jakiś raport. Ponieważ nienawidził tego zadania, odsuwał je od siebie jak najdłużej. Dziś zatem wypił kilka łyków herbaty, gorącej i posłodzonej hojną porcją cukru, po czym z westchnieniem wrócił do sprawozdania.

Wyraźnie nie był stworzony do pracy biurowej. Ciężka budowa ciała i złamany nos nadawały mu wygląd zawodowego boksera na emeryturze, a wybuchowe usposobienie mogłoby uzupełniać ten obraz, lecz prawda była inna. Doświadczenie, zdobyte przez lata działalności policyjnej, przyczyniło się do znacznego rozwoju umiejętności praktycznej analizy, czyniąc go osobnikiem wnikliwym, a nawet refleksyjnym, przynajmniej w kwestiach związanych z wykrywaniem przestępstw. Niemniej jednak Hudson nienawidził tych przeklętych raportów, a gdy je pisał, jego mina twardniała. Gwałt, włamanie, kłótnia uliczna, która skończyła się pchnięciem nożem, nieistotne kradzieże; cóż za paskudna lista powstawała! I jaka przygnębiająca. Mimo ciężkiej pracy funkcjonariuszy, przestępstwa wciąż popełniano z tą samą posepną regularnością.

Nagle usłyszał ciche stukanie do drzwi.

— Tak, wejść. — Kontynuował pisanie, podnosząc jedynie na moment wzrok, gdy drzwi do jego gabinetu otworzyły się i w progu stanął jeden z dyżurnych. — O co chodzi? — spytał, odkładając pióro. — Mam nadzieję, że przyniosłeś węgiel... Tu jest zimniej niż w pierd... niż w Tower. — Zmarszczył brwi, gdy dokonał tej kompletnie niezadowolającej poprawki, jednak miał do czynienia ze starszym człowiekiem; a w dodatku Hudson znał go nieźle i wiedział, że dyżurny należy do przeciwników alkoholu i przekleństw, toteż poczuł się zmuszony zapanować nad językiem. — Ktoś chce się z panem zobaczyć, sir — odparł tamten obojętnie. — Twierdzi, że przychodzi w sprawie Saint Lucii.

Saint Lucia! Hudson był w ostatnich kilku tygodniach tak zajęty, że zupełnie zapomniał o rozmowie z Jonathanem Hick-sem, jednak wzmianka o Saint Lucii przypomniała mu wszystko z detalami: szpiegów, tajne szyfry i przeciek ważnych informacji wojskowych. „Saint Lucia” stanowiła sygnał, który uzgodnili, sygnał poprzedzający wszelkie kontakty policjanta z Hicksem i jego współpracownikami. Cholerne sprawozdanie może poczekać!

— Saint Lucia! — powtórzył Hudson, odrzucając pióro. — Przyślij go tu, człowieku!

— Tak, sir, proszę bardzo. I bezzwłocznie zajmę się węglem. Hudson już się zerwał i obchodził właśnie biurko, lecz zatrzymał się nagle, gdy jego wzrok padł na przybysza — nie był to Hicks, lecz niewysoki osobnik o chudej twarzy. Ciemne ubranie gościa, jego tłuste, czarne włosy i jasne oczy przywiodły Hudsonowi na myśl szczura; nieprzyjemnego wizerunku dopełniała blizna obejmująca usta przybysza niczym koci wąs.

— Kim pan, do diabła, jesteś? — zapytał ostro. Człowieczek posłał mu nerwowe, rozbiegane spojrzenie. — Jestem Rede, szefie. Przysyła mnie pan Hicks. — Nazwisko Hicksa wydawało się wystarczającą rekomendacją, jednak Hudson chciał zyskać pewność. Stojące przed nim indywiduum kompletnie nie wzbudzało zaufania.

— W związku ze sprawą Saint Lucii? — spytał.

— To hasło, szefie. Saint Lucia.

— Gdzie Hicks?

— W Suffolku, ale mam coś... pewne informacje, które mogą być ważne dla sprawy, i pan Hicks powiedział, że powinienem natychmiast przyjść tu i wszystko panu przekazać. Tak właśnie zrobiłem i dlatego tu jestem.

Hudson usiadł znów i wskazał gościowi krzesło naprzeciwko biurka.

— Dobrze zatem, słucham.

Rede zajął krzesło, lecz nie rozsiadł się na nim wygodnie — wręcz przeciwnie, przysiadł na brzegu, jak gdyby w każdej chwili planował zerwać się na równe nogi.

— Zgadza się, szefie, to jest hasło — powtórzył. — Sądzi pan, że mógłby... Jestem na nogach całą noc, a panuje przejmujące zimno.

— Powiedz mi, co wiesz — polecił mu oschle Hudson — a zobaczę, co da się zrobić.

— Nie mam przed panem sekretów, szefie — zapewnił go Rede. — Proszę bardzo. — Wyjął zza pazuchy plik papierów i wręczył je Hudsonowi. Każda kartka, złożona kilka razy, nosiła znak pieczęci i zawierała kilka linijek zaszyfrowanych liter oraz serię liczb. Papiery wyglądały bardzo podobnie do tych, które Hicks pokazał Hudsonowi przed dwoma tygodniami i które obecnie spoczywały w jednej z zamkniętych szuflad policyjnego biurka.

— Są napisane szyfrem — wyjaśnił Rede.

— Wiem o tym — odparł Hudson lodowatym tonem. — Potrafisz je rozszyfrować?

Gość potrząsnął głową, a potem wzdrygnął się nerwowo, gdyż ktoś zastukał do drzwi. Był to konstabl z metalowym koszem pełnym węgla. Zamienił go ze stojącym na palenisku pustym, po czym wyszedł ciężkim krokiem, choć wcześniej nie omieszkał obrzucić sceptycznym spojrzeniem Rede'a.

Kiedy drzwi się zamknęły, przybysz ponownie zwrócił się do Hudsona.

— Ten człowiek mi przeszkodził — poskarżył się. — A zamierzałem powiedzieć, że te kartki mają związek ze szpiegami. — Zrobił jakiś niejasny gest.

— Może i tak. Skąd je masz? Od Hicksa?

— Nie, mam je od jegomościa nazwiskiem Sault... Wyniosłem je w sobotnią noc z jego domu w Waltham Abbey. Pan Hicks powiedział, że ten człowiek szpieguje dla Francuzów, więc kazał mi pójść po nie i je zabrać.

Hudson uniósł sardonicznie brew.

— Polegając bez wątpienia na twoich doświadczeniach włamywacza? A gdzie jest ów Sault teraz?

— Nie wiem, szefie, i to jest prawda. Nie było go w domu, kiedy go... odwiedziłem, więc tylko wziąłem papiery i dałem drapaka. Kręciłem się trochę po okolicy, aż do rana, ale jegomość nie wrócił. Przypuszczam, że pewnie coś zwietrzył... jakoś. Nie odszedł jednak dawno, bo kiedy się pojawiłem, w domu było dużo jedzenia, a ogień płonął w kominku. Bardzo przytulne gniazdko, zresztą.

— Hm. No tak. — Hudson milczał przez chwilę. Dobrze znał kreatury pokroju Rede'a, drobnych złodziejasków, których osoby obawiające się schwywania lub nieposiadające odpowiednich „talentów” zatrudniały do wypełniania poufnych i rzadko legalnych zadań. — Skąd wiedziałeś, gdzie szukać tych papierów?

Rede uśmiechnął się skromnie i wygodniej rozsiadł na krześle.

— To łatwe, jeśli ma się trochę... wprawy. Na dziewięć razy z dziesięciu wszystko, czego szukasz, znajduje się w sejfie, ułożone starannie i równiutko. A jeśli nie znajdziesz tego w sejfie, jest zwykle pod łóżkiem albo w szufladzie biurka. Jeśli zaś rozchodzi się o damy, trzeba szukać w toalecie.

Sault okazał się nieznacznie ostrożniej szy, chociaż nikt nie nazwałby pudła z tyłu szafy oryginalną kryjówką.

— I nie sędę teź, żeby zamek w drzwiach frontowych stanowił dla ciebie jakiś problem.

— Niezbyt wielki, szefie.

— Taak. — Dokumenty przewiązano długą fioletową wstążką z aksamitu. Hudson bawił się nią przez chwilę, zanim ponownie związał plik. — Wygląda na to, że pan Sault jest elegantem. No, chyba że to twoja wstążka.

— Nie moja — uśmiechnął się Rede.

Hudson usiadł prosto na krześle, a potem otworzył jedną z szuflad biurka, z której wydobył butelkę i szklanę.

— Nie wiem, co z tego będzie, Rede, ale wykonałeś dobrą robotę. — Nalał miarę przezroczystego płynu. — I myślę, że zarobiłeś na drinka... Sędę, że zadowolisz się ginem?

— Na pewno, szefie — kiwnął głową Rede i jego spojrzenie spoczęło na butelce. — Mam właściwie słabość do ginu, całkiem przypadkowo. Bardzo panu dziękuję.

— Będę chciał rysopis tego Saulta — ostrzegł Hudson — jeżeli go widziałeś. Przed odejściem opiszesz go jednemu z moich ludzi. — Poczekał, aż Rede kiwnie głową, po czym pchnął ku niemu szklanę.

Mężczyzna przytrzymał ją w dłoniach.

— Pan Hicks mówił teź, że przyjedzie się z panem zobaczyć natychmiast, gdy będzie mógł. Powinien zjechać do miasta w ciągu następnych kilku dni. Założę się, że powie panu więcej o Saulcie. Bardzo honorowy dżentelmen jest z pana Hicksa... bardzo chętnie wypełnia swoje zobowiązania. — Podniósł szklanę. — Do dna, szefie. Pańskie zdrowie.

16

Charlotte siedziała w pokoju śniadaniowym i właśnie sięgała po dżem, kiedy usłyszała odgłos kroków kuzyna na schodach. Odepchnąwszy krzesło, z łoskotem puściła łyżkę i pospieszyła za mężczyzną, głucha na wołanie siostry. Holland zniknął w swojej sypialni, kiedy dziewczynka dotarła do podestu, niemniej jednak wpadła za nim do pomieszczenia i wskoczyła na jego łóżko.

— Co się stało? — zapytała, próbując złapać oddech.

— Co masz na myśli? — odpowiedział pytaniem kapitan, który szukał czegoś w szafie. Obrócił się, stanął przed Charlotte i dodał: — Dlaczego coś się miało stać?

— Susannah jest w rozterce, praktycznie we łzach, a teraz ty też wyglądasz... zabawnie. Kim był ten człowiek? Nie spodobał mi się.

— Nie ma powodu, dla którego miałby ci się nie spodobać. Przyniósł mi wiadomość... i ja przynajmniej nie sapię.

— Bo biegłam całą drogę. Czy to ważna wiadomość? Czego dotyczy? Czy ty... Chyba nie wyjeżdżasz, prawda? To jest takie niesprawiedliwe!

— Cóż, niestety tak. — Rozpinał kamizelkę i wyciągał koszulę ze spodni. — Teraz uciekaj, chochliku, muszę się przebrać.

— Nikt mi nigdy nic nie mówi — zezłościła się, siadając prosto na łóżku i ściskając jedną z poduszek.
— Mama zeszła na dół i chciała wiedzieć, dlaczego Susannah beczy, od czego Susannah rozplakała się jeszcze bardziej i teraz mama jest także strasznie wściekła.

Holland uśmiechnął się krótko.

— Dobrze jej tak! A gdzie twój ojciec?

— Nie wiem. Prawdopodobnie czeka w bibliotece, aż to wszystko się skończy. Właśnie zazwyczaj tam się ukrywa, gdy któraś z nas odstawia fochy.

— Mądry człowiek.

— A my nie pojeździliśmy.

— Tak, przykro mi z tego powodu. Może następnym razem. — Usiadł obok dziewczynki i przytulił ją. Pozwoliła mu na to, chociaż niezbyt łaskawie. — To mi przypomina — kontynuował — że musimy pomyśleć o twoim skakaniu i ustalić strategię teraz, gdy twoja matka wróciła.

Charlotte nie odpowiedziała, lecz nadąsane wzruszenie ramionami bardzo wymownie informowało, iż — w opinii dziewczynki — nieunikniony koniec kariery amazonki jest po prostu kolejną w serii niesprawiedliwości niszczących jej życie, a zresztą Hollanda i tak to na pewno nie obchodzi. Kapitan rzeczywiście pozostał znacząco nieporuszony jej popisem. Wyjaśnił po prostu spokojnie, że wszystkie niedozwolone działania należy od tej pory przenieść na północną część łąki, która znajdowała się w bezpiecznej odległości od domu, a także poza regularną sferą wpływów lady Ar-mitage. Łąka nie została jednak tak dobrze osuszona jak okolice składu drzewnego, więc Charlotte musi brać pod uwagę, że czasami nie będzie mogła tam poskakać. Ostatnie słowo w tej kwestii ma należeć do Chaplaina, głównego stajennego.

— I posłuchaj, chochliku, wiesz, jaki jest najlepszy sposób utrzymania skoków w sekrecie?

— Nie.

— Staraj się przede wszystkim, aby nikt cię o nic nie podejrzewał. Zachowuj się grzecznie i nie sprawiaj kłopotów. Jeśli twoja matka domyśli się, że coś knujesz, problem ten zacznie zaprzętać jej umysł, nawet jeśli nie będzie wiedziała, o co chodzi. I prędzej czy później weźmie się za ciebie, Chaplaina albo jednego z chłopców stajennych i wszystko się wyda.

Charlotte przyjmowała te rady sceptycznie, wyczuwając, że tak naprawdę Holland usiłuje ją skłonić do aktywniejszego uczestnictwa w lekcjach geografii. Z większym entuzjazmem kiwnęła jednak głową, gdy kapitan przyznał, że musi ona oczywiście kontynuować regularne przejażdżki na Clemmie, ponieważ nagła i wyłączna preferencja lekcji byłaby niezwykle podejrzana i być może w rzeczywistości uzyskaliby w ten sposób skutek odwrotny do zamierzonego. Z drugiej strony poczynienie — przynajmniej pewnych — ustępstw na rzecz nauki okaże się prawdopodobnie całkiem pomocne.

— A co do Susannah — ciągnął Holland — jestem przekonany, że możesz jej zaufać, ale...

— Ale ona wygada się, jeśli ktoś ją choćby nieznacznie przyciśnie — dokończyła Charlotte i jej wiara w kuzyna wróciła. — Susannah jest kiepskim spiskowcem... nie tak jak my.

Uśmiechnęła się do niego radośnie.

— Nie, nie jest w tym dobra — przyznał. — I chochliku, nie ma potrzeby mówić cokolwiek o mężczyźnie, który przyniósł mi wiadomość. Wątpię, czy Susannah zwróciła szczególną uwagę na niego i... może ty również mogłabyś zapomnieć o nim... to znaczy, oficjalnie.

— Wiedziałam, że jest w nim coś niesamowitego — zawołała Charlotte. Teraz uśmiechała się porozumiewawczo. — Wypełniasz tajną misję?

— Coś w tym rodzaju. I ty jedna o niej wiesz. — Podniósł rękę, aby uprzedzić jej triumfalny okrzyk.

— I pamiętaj, żadnych podejrzanych działań... zgoda?

— Tak, zgoda.

— To dobrze. Teraz naprawdę muszę jechać. Postaram się przyjechać znów wkrótce, ale obawiam się, że to może okazać się niemożliwe.

Zgrabny powóz, jedynie w kilku miejscach opryskany błotem drogi, czekał na podjeździe. Należał do pana Somerville'a, który — ze względu na brak odpowiedniego połączenia — pożyczył go Hicksowi, aby przywiózł szybko kapitana. Hicks sądził, że przy odrobinie szczęścia powinien wrócić do Wool-thorpe Manor wczesnym wieczorem.

Holland wsiadł do powozu.

— Komu przyszło do głowy, aby spytać mnie o te papiery? — zapytał, kiedy woźnica przyhamował zaprzęg, zanim wziął zakręt, objechał fasadę Storey's Court i dotarł na drogę.

— Myślę, że panna Finch i pan Deprez wspólnie — wyjaśnił Hicks. — Ja i pan D. jesteśmy od pewnego czasu na tropie przemytników, ale żadnego z nas nie można nazwać wojskowym. Więc kiedy panna Finch rozszyfrowała wiadomości, potrzebowaliśmy kogoś, kto potrafi ocenić, co znaczą i skąd mogą pochodzić. I naturalnie pomyśleli o panu.

— Hm.

Hicks odwrócił się i spojrzał na dom.

— To właśnie nazywam elegancką posiadłością, jeśli nie ma pan nic przeciwko, że tak mówię. Te nowoczesne budowle z tymi ich nowoczesnymi stylami! I co zyskujemy...? Nic ciekawego.

— Doprawdy?

— Zgadza się, sir. Nie twierdzę, że White Ladies jest dokładnie w moim guście... ponure stare gmazysko, oczywiście... ale z tych innych, a widziałem dość sporo w życiu, większość nie dorównuje takiemu majątkowi jak ten. Bardzo piękna posiadłość, z której strony by na nią nie spojrzeć.

Przepraszam, że pana stąd zabieram, kapitanie.

Holland wepchnął swoją torbę pod siedzenie.

300

— Nie ma za co. Moje związki ze Storey's Court są żadne.

— Czyżby? Jest zatem o czym pomarzyć, jak mniemam, i... O, sir — zawołał nagle — ktoś do pana macha.

Wskazał i kapitan obrócił się szybko, dostrzegając przelotnie postać w jednym z okien górnego rzędu. To była Charlotte, która kurczowo trzymając się okna wśród wydymających się od wiatru zasłon, machała do niego chusteczką.

Holland obrócił się z krzywym uśmiechem.

— Jeśli chcesz pan znać moje zdanie, marzenia są tylko i wyłącznie cholerną stratą czasu.

Pan Somerville i Paul Deprez czekali tego wieczoru w holu Woolthorpe Manor, kiedy zajechał powóz właściciela. Sam pan Somerville otworzył drzwiczki i zajrzał do środka.

— Ach, kapitan Holland, doskonale. Hicks, dobrze się pan sprawiłeś. Żadnych kłopotów po drodze, jak widzę?

— Żadnych, sir. Szybko zmieniliśmy konie, a reszta poszła równie gładko. Wspomniałem pańskie nazwisko w Halesworth, tak jak kazałeś.

— Wyśmienicie, wyśmienicie. — Pan Somerville poklepał Hollanda po ramieniu, kiedy tamten wysiadł z powozu. — Cholerna sprawa, co? Ale wejdźmy do biblioteki. Sponuję, że zechcesz się pan czegoś napić, no i tam będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Biblioteka w Woolthorpe Manor została właściwie przeznaczona bardziej do sportowych pasji niżli do zajęć literackich. Czterej mężczyźni, którzy się tam zebrali, stanęli wokół mahoniowego stołu zarzuconego najrozmaitszym sprzętem. Były tam zatem: rozłożony na części pistolet, pudełko z wędkarską przynętą, psie obroże skórzane i część korespondencji z Tattersalls³. Gdy pan Somerville uprzątnął środkową część stołu, kontynuował:

294

³ Tattersalls — dom aukcyjny założony w 1766 roku.

— Mam nadzieję, że Hicks poinformował pana ogólnie o sytuacji, kapitanie Holland?

— Tak, sir. — Holland kiwnął głową. Na przeciwległej ścianie, dokładnie na wysokości jego oczu, wisiał portret gospodarza, najwyraźniej usadowionego wśród ruin jakiejś świątyni. Różnica między młodym podróżnikiem na portrecie a korpulentnym sędzią sugerowała, że dobrych kilka lat minęło od czasu, kiedy pan Somerville odbywał Grand Tour⁴. Niewiele jednakże zmieniła się jego pogodna, żywiołowa i nieco naiwna ekspresja.

— To dobrze. Deprez jest specjalistą od całego tego... Zostawiam więc resztę jemu.

— Och, żaden ze mnie specjalista—poprawił go Deprez. — Z tego właśnie względu wrócił kapitan Holland. A tutaj — dodał, otwierając dużą skórzaną teczkę i kładąc ją otwartą na biurku — są te dokumenty.

Holland badawczo przyjrzał się czterem rozszyfrowanym wiadomościom, podczas gdy pozostali mężczyźni pochylili się do przodu, koncentrując się na jego twarzy. Tylko ogień szumiący w palenisku zakłócał ciszę. Kapitan przeczytał dokumenty drugi raz, wolniej, a potem popatrzył na Depreza.

— Rozumie pan coś z tego? — spytał surowo.

— Nie za wiele, ale — zawahał się tamten — jeśli mogę zgadywać, powiedziałbym, że te dokumenty mają coś wspólnego z prochem strzelniczym.

— Zgadza się. Z produkcją prochu strzelniczego i testami.

— Proch strzelniczy, na Boga! — wtrącił pan Somerville. —

I ta informacja jest tajna? Czy jest cenna?

— Nie powinna trafić do żabojadów. — Holland chciał zobaczyć oryginały, a kiedy je otrzymał, położył na stole obok tekstów rozszyfrowanych.

295

⁴Grand Tour — typ podróży, w jaką wyruszali młodzi arystokraci i intelektualiści europejscy w celu zdobycia wiedzy o świecie i kulturze. Zwyczaj ten pochodzi z XVII-wiecznej Anglii.

Pan Somerville wpatrywał się w nie z zainteresowaniem.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem, jak potraficie pojąć te słowa. Mimo iż teksty są napisane prostym angielskim, ja nic nie rozumiem.

— No cóż, sir — przyznał się Holland, przybierając nieco łagodniejszą minę — przypadkowo wiem dość sporo o prochu strzelniczym, więc te sformułowania są mi całkiem dobrze znane. — Obrócił się znów do Depreza. — Twierdzi pan, że panna Finch rozgryzła ten szyfr?

— Tak, sir. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, muszę przyznać. To niezmiernie spostrzegawcza młoda dama.

Pan Somerville nie potrafił powstrzymać chichotu.

— A jakże! Całkiem nadzwyczajna osóbka. Zawsze wiedziałem, że kobiece mózgi działają inaczej niż nasze, ale nie mogę sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek wcześniej był za tę różnicę wdzięczny.

— Tak, sir — zgodził się kapitan. — Panna Finch jest cholernie bystra. — Ciągłe patrzył na Depreza i w końcu spytał półgłosem: — Czy może mi pan powiedzieć, jak się w to wpakował?

Pierwsze wyjaśnienia Depreza, akcentujące sympatię i zaufanie, jakie zrodziły się między nim i panną Finch, ani nie zadowoliły, ani nie zaspokoily ciekawości Hollanda, więc Deprez przyznał, że jego udział w sprawie miał poważniejsze podłoże.

— Podczas pobytu na Saint Lucii wykonywałem pewne usługi dla sztabu marynarki wojennej. Właśnie dlatego musiałem wyjechać, kiedy wyspę opanował wróg. Nie należałem do ulubieńców Francuzów. Kiedy dotarłem do Anglii, wziąłem na siebie sprawdzenie pewnej informacji, którą zdobyłem, a z której wynikało, że w brytyjskiej armii działa szpieg. I oto widzi pan rezultat, czyli cenne informacje, które najwyraźniej ktoś przekazuje Francji. Podążyliśmy tym tropem i dotarliśmy tutaj, teraz jednak ślad się urwał. — Wzruszył ramionami. — Sądziłem, że może pan pomóc nam wytropić przeciek od drugiej strony... to znaczy u źródła.

— Hm. — Kapitan pochylił się wcześniej do przodu i wsparł ręce na blacie stołu, teraz jednak cofnął się i założył ramiona na piersi. — Wytropić przeciek u źródła... To mogłoby oznaczać Warren. Ale im więcej myślę, tym jestem mniej pewny.

— Jak to? — spytał Deprez.

— Otóż wszystkie te informacje wiążą się z prochem strzelniczym...

Pan Somerville kiwnął głową.

— Tak, sam pan nas co do tego zapewnił.

— Ale gdyby dokumenty pochodziły z Woolwich, oczekiwałbym przynajmniej czegoś na temat broni. Arsenał to coś więcej niż sam proch. Zastanawiam się, czy nasz szpieg nie pracuje zamiast tego w jednej z prochowni. — Jego oświadczenie wyglądało na punkt zwrotny w śledztwie, więc wszyscy pokiwali głowami, Holland jednak szybko wyjaśnił, że to raczej rozszerza krąg poszukiwań, niż zawęża. Oprócz dwóch należących do rządu istniał szereg prywatnych prochowni, które również mniej lub bardziej regularnie sprzedawały proch artylerii. W każdej z nich mogło dojść do wycieku informacji.

— Co zatem powinniśmy zrobić? — spytał Deprez. Holland zastanawiał się przez chwilę.

— Byłoby trudno zbadać wszystkie prochownie bez wprowadzenia do nich własnych szpiegów, którzy by powęszyli, a poza tym moje obowiązki są zrozumiałe. Powinienem pojechać prosto do Woolwich i przekazać te papiery mojemu dowódcy. — Zawahał się znów, a potem wskazał na czwarty dokument. — Ale jest też ten.

Oryginalną wiadomość rozszyfrowano jako:

SALTA JESZCZE NIE ZDOŁANO USUNĄĆ. JEŚLI KONIECZNE — MACZUGA I CELE,
ALEJA ŚW. KATARZYNY, GODZINA DZIEWIĘTNASTA, PIERWSZA KWADRA.

Pan Somerville zerknął na kartkę.

— Zgubiłem się, niestety. Co to znaczy? Jakies kolejne terminy na temat prochu strzelniczego z pańskiego żargonu?

Holland i Deprez wyjaśnili, że dane te być może dotyczą spotkania, podczas którego zostaną wymienione informacje. Maczuga i Cele to prawdopodobnie nazwa jakiegoś lokalu, w którym miało się odbyć spotkanie o godzinie siódmej wieczór. Pan Somerville skrzywił się sceptycznie. Cała rzecz wydawała mu się bardzo naciągana.

— Czy ktoś kiedyś słyszał o oberży Pod Maczugą i Celami? Deprez przyznał, że nie słyszał, kapitanowi za to zdawało

się, że w Londynie może istnieć lokal o takiej nazwie. Znał okolice alei Świętej Katarzyny niedaleko Tower. Uzgodnili, że takie miejsce spotkania w Londynie było bardzo prawdopodobne i że „pierwsza kwadra” odnosi się do fazy Księżyca. To ustalałoby konkretny dzień w każdym miesiącu, co miałoby sens, jeśli spotkania odbywały się regularnie.

Ciągle pełen wątpliwości pan Somerville znalazł almanach i po kilku próbach oznajmił, że Księżyc wejdzie w pierwszą kwadrę dwudziestego pierwszego października, czyli za dwa dni. Przyznał wtedy, że ten bliski termin przekonuje go, iż należy potraktować notkę z należytą powagą i że wcześniej mylił się, ignorując ją. Ale przecież sprawy szpiegowskie nie były jego specjalnością.

Można by przypuszczać, że Holland i Deprez pogratulują sobie swoich wysiłków, nie doszło jednak do tego. Chociaż rozmawiali grzecznie, ich relacjom brakowało serdeczności i obaj wyglądali na skrepowanych. Trudno powiedzieć, czy ich zakłopotanie wynikało z tej konkretnej sytuacji, czy też po prostu nie darzyli się sympatią. Człowiek bardziej spostrzegawczy niż pan Somerville mógłby wyczuć napięcie. Hicks na pewno je wyczuwał, ale jego zadaniem było milczeć. Pokładał wielką ufność w metody Depreza, nawet jeśli ich w pełni nie zrozumiał.

Niewygodną ciszę przerwało jeszcze jedno pytanie sędziego.

— Ale co z „saltem”? — spytał. — Czy to jakiś rodzaj instrukcji? Ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem? Może chodzi o zwrot w produkcji prochu strzelniczego albo w planach konspiratorów.

Pytanie jawnie zdenerwowało Depreza.

— Na Boga, co to znaczy?! — Popatrzył po zebranych gniewnie. — Nie możemy się spodziewać, że rozszyfrujemy na tym etapie wszystkie szczegóły. W każdym razie nie wolno stracić tej szansy, musimy odnaleźć Maczugę i Cele.

— Ach tak.

— My? — zapytał Holland, jego rysy stwardniały. Przyjrzał się zebranym. — To jest moja sprawa, a nie któregoś z panów. Żywię nadzieję, że nie obrazisz się, panie Somerville, jednak teraz nie chodzi już o przemytników z Lindham. A co do pana, Deprez, pamiętam, co mówiłeś o swoich działaniach dla sztabu marynarki, tyle że nie jesteśmy na Saint Lucii i te dokumenty nie mają z panem absolutnie nic wspólnego. Naprawdę.

— Nie, oczywiście, że nie — zgodził się Deprez i tym razem to on pochylił się do przodu, a jego palce prawie dotykały najbliższej pary dokumentów. — Ale nie jestem również nieobznajomiony ze sprawą, szczególnie w jej szerszym kontekście. Nie chciałbym w tym momencie zrezygnować z pogoni. Będzie pan pewnie usiłował złapać szpiega na miejscu spotkania?

Somerville spojrział najpierw na jednego mężczyznę, potem na drugiego. Zachmurzył czoło, intensywnie starając się wymyślić odpowiedni komentarz, i nawet otworzył usta, aby przemówić, lecz zrezygnował z tego, kiedy Hicks lekko dotknął jego łokcia.

— Hm — mruknął tylko.

— Nie wiem — odparł zimno kapitan. — Nie ma sensu wpadać gdzieś i knocić wszystko. Nawet nie wiemy, czy mamy rację, że to nazwa lokalu. A moim obowiązkiem jest złożyć doniesienie dowódcy i zrelacjonować mu wszystko, co wiem.

— Ale musi pan...

— Co?

Deprez rozpoznał niebezpieczną nutę w głosie Hollanda i świadomie złagodził ton.

— Przepraszam, ale czy na pewno nie ma ryzyka w powrocie do Woolwich i ujawnianiu tego odkrycia? Wiemy, że ktoś przekazuje informacje, nie znamy tylko zakresu przestępstwa ani tożsamości zdrajcy. Może jest to tylko jeden człowiek działający samodzielnie, a może kilku — kto wie, czy nie zajmują wysokich stanowisk...

— Twierdzisz pan, że starsi oficerowie z Woolwich to szpiedzy i zdrajcy? — warknął kapitan. — Ponieważ jeśli tak...

Deprez znowu starał się uniknąć konfrontacji.

— Nie, nie, sugeruję jedynie, że istnieje taka możliwość, a jeśli wrócisz pan teraz w sposób nieprzemyślany do Woolwich, ryzykujesz, że przysłużysz się im, składając właśnie ten dowód, który ukreśliły dla nich stryczek.

Holland potrząsnął głową.

— Nie mogę uwierzyć w coś takiego. Pojadę do Londynu jeszcze dziś wieczorem. To nadal da dużo czasu na ustalenie faktów przed spotkaniem... Jeśli tu chodzi o spotkanie.

— Chciałbym pojechać z panem, jeżeli pan się zgodzi — powiedział Deprez.

Sądząc po minie, kapitan zamierzał odmówić, w końcu jednak niechętnie ustąpił.

— W porządku, o ile obieca mi pan, że nie będzie próbował działać na własną rękę.

— Ma pan moją obietnicę, sir. Oddam się oczywiście pod pańskie rozkazy.

Somerville spojrział na zegarek z ulgą, że wreszcie może się na coś przydać. Dylizans do Londynu odjeżdżał z Ipswich o godzinie dziewiątej, a on miał parę osiodłanych koni. Kapitan Holland niewątpliwie chciałby coś przekazać przed wyruszeniem w drogę i na szczęście był na to czas.

— Dziękuję, sir, ale lepiej już pojadę. Jest... kilka rzeczy, których muszę dopilnować przed opuszczeniem Lindham.

Deprez skrzywił się, nic jednak nie powiedział.

— No cóż — zauważył po chwili pan Somerville — nie radziłbym podróżować o pustym żołądku, lecz to pańska decyzja. Proszę powiedzieć Coombesowi albo panu Greena-wayowi... bardzo prawdopodobne, że będzie w stajniach... aby osiodłał Trumpetera. Może pan na nim pojechać do Woodbridge w stosownym czasie albo do Ipswich, jeśli spóźni się pan na dyliżans.

— Dziękuję, sir. Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony. — Holland umówił się z Deprezem, że spotkają się albo w Woodbridge, albo Pod Wielkim Białym Koniem, gdzie wsiądą do powozu pocztowego do Londynu. Potem zebrał papiery, zarówno oryginały, jak i przekłady. — Będę miał na nie oko — powiedział.

We dwóch poszli długim korytarzem do stajni. Gdy przechodzili, seria luster złowiła ich odbicia. Kapitan wyglądał poważnie, a jego zniszczony mundur smutnie kontrastował z eleganckim ubiorem towarzyszącego mu mężczyzny. Mina Depreza była trudniejsza do zinterpretowania: zamyślona, wyrachowana, ale też pełna obaw. Ich kroki tłumił gruby dywan, który zajmował środek korytarza.

— Zobaczysz się z panną Finch? — spytał Deprez cichym, nieco natarczywym tonem.

Zmiana tematu bynajmniej nie ułatwiła ich rozmowy. Holland wiedział, że jego spotkanie skomplikuje wiele spraw, a w dodatku nie miał zamiaru konwersować o niej z Deprezem.

— Zgadza się — odpowiedział krótko.

— Nie chciałem jej wykluczać z naszych dyskusji — kontynuował Deprez — i naturalnie, paliła się, aby ją włączyć do sprawy, jednak każda jej wizyta w Woolthorpe wzbudziłaby podejrzenia pani Tipton.

Kapitan zatrzymał się w pół kroku.

— Podejrzenia o co?

— Och, o wszystko — odparował Deprez z uśmiechem. On także się zatrzymał, a potem dał Hollandowi znak, żeby szli dalej. — Ta dama zachowuje się jak kura z jednym pisklęciem. Ma wielkie plany wobec panny Finch i... obserwuje ją bardzo uważnie.

— Proszę się nie martwić, poradzę sobie.

— Jestem przekonany, że tak. No i dotarliśmy, stajnie są po drugiej stronie dziedzińca, po prawej. — Deprez otworzył drzwi i świece wokół mężczyzn zamigotały. — Bądź w Ipswich przed dziewiątą, nie zapomnij. Holland kiwnął głową i zniknął w mroku. Zatrzasnąwszy za nim drzwi, Deprez stał przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad ostatnimi odkryciami. Czy to było mądre — ujawniać siebie i swoją misję? Jeśli kapitan teraz ucieknie, może być trudno odzyskać tak obiecującą pozycję, jeśli jednak nie ucieknie, wyraźne zaufanie, które Deprez właśnie mu okazał, może stać się naprawdę wartościowe. To było precyzyjnie wypośrodkowane, choć ryzykowne przedsięwzięcie, lecz przyzwyczajony do hazardu Deprez świetnie się w nim sprawdzał.

— A więc? — zapytał głos tak blisko niego, że Deprez wzdrygnął się mimo wieloletniego doświadczenia.

— Mój Boże — fuknął, patrząc gniewnie na Hicksa — musisz się tak zakradać? I co masz na myśli przez tę... bezużyteczną uwagę? Sam słyszałeś, co postanowiliśmy.

— Tak. To była cholernie głupia decyzja. Mogłeś jej uniknąć.

— Doprawdy? Najwyraźniej sądzisz, że kapitan Holland nie ma własnej woli i można nim kierować — warknął Deprez. — Ten człowiek nie jest moim podkomendnym, wiesz.

Hicks wzruszył ramionami. Doskonale zdawał sobie sprawę z obaw przyjaciela, lecz tym razem nie zamierzał odpuścić.

— Teraz nie, na pewno. Ale zdajesz sobie sprawę, że możemy go utracić?

— Nie jest jeszcze nasz, żebyśmy mogli go utracić.

— I ma dokumenty... jeśli teraz ucieknie, znajdziemy się w okropnym położeniu.

— Kolejna bezużyteczna uwaga — odburknął Deprez. — I pozwól mi zauważyć, że jeśli nie ucieknie, wtedy powiemy sobie, że zaryzykowaliśmy wiele, aby zyskać wszystko.

Wbrew sobie Hicks uśmiechnął się. Nie potrafił nie podziwiać śmiałości swego przyjaciela, mimo że ta jego cecha prowadziła do horrendalnych trudności.

— Lubiłbyś tak bardzo tę robotę, gdyby nie łączyła się z ryzykiem?

— Ha! Sugerujesz, że robię to... choćby część z tego... dla przyjemności? — Deprez wyglądał przez chwilę na szczerze rozgniewanego, potem jednak i on się uśmiechnął. — Czasami myślę, że jesteś adwokatem diabła, zdecydowanym sprawić, abym widział w sobie tylko to, co najgorsze.

— Nie, jestem raczej twoim aniołem stróżem... jeśli pozwolisz na takie porównanie. Aniołem stróżem ostrzegającym cię przed niebezpieczeństwem.

— Rzeczywiście, pozwolę ci na nie — roześmiał się Deprez — chociaż nie zawsze mogę rozważyć ostrzeżenie. Ale czasem biorę je pod uwagę.

Hicks nie odpowiedział, lecz Deprez nie obraził się za tę ciszę. Zamiast tego odwrócił się stanowczo od drzwi i wskazał korytarz.

— Chodź, wracajmy do pana Somerville'a. — Idąc, uniósł wyzywająco podbródek w odruchu nie innym niż gest Mary Finch, chociaż wcale nie zdawał sobie z tego podobieństwa sprawy. — A co do kapitana Hollanda, pojedzie do niej, a później do Ipswich. Jestem tego pewny.

Jego pewność siebie zachwiała się jednak nieco, gdy skierował myśli ku innemu aspektowi tej sytuacji. Panna Finch nie była pierwszą młodą kobietą, którą kiedykolwiek podziwiał, ale cechowała ją... nieprzewidywalność i to znacznie dodawało jej uroku. Deprez nie chciał jej zranić, niestety istniało duże prawdopodobieństwo, że dziewczyna dozna krzywdy, jeśli jej związki z Hollandem zacieśnią się jeszcze bardziej. Mimo iż okazała się taka pomocna, Deprez nieomalże żałował, że ją wmieszał w tę sprawę.

Nie wspomniał o tym Hicksowi, który pouczywszy go, stapał teraz wiernie obok niego. Deprez wzruszył ramionami i powiedział sobie, że łagodnieje, a słabość bez wątpienia zwiększa niebezpieczeństwo. Co do panny Finch, dziewczyna musi ponieść ryzyko, tak jak reszta grupy.

Holland wyruszył prosto do Lindham. Jego koń, Trumpeter, świetny wierzchowiec, potrafił przebiec kawał drogi. Tyle że kapitan był zdenerwowany, a i pogoda robiła się dziwnie niespokojna; porywisty wiatr zaciął w ostrych, nieregularnych zrywach, po niebie toczyła się mozaika siwoczarnych chmur. Bez wątpienia zanosilo się na burzę i koń to przeczuwał. Kładł po sobie uszy, kręcił się niespokojnie i szarpał, nawet gdy galopował. W rękach mniej zdecydowanego jeźdźca łatwo mógłby się znarowić. Jeździec był jednakże naprawdę stanowczy i potyczka między nimi nie trwała zbyt długo. Poprzez serię dobrze wykonanych przyhamowań Trumpeter został przywołany do porządku i pouczony, że najpewniejszym sposobem uniknięcia niebezpieczeństwa jest nie wyprzedzenie burzy, lecz wypełnianie rozkazów swego pana. Do czasu, gdy Holland wjeżdżał na dziedziniec Lindham Hall, wierzchowiec stał się prawie uległy.

W stajniach panował spokój, więc kapitan wprowadził konia do pustego boksu i poluźnił jego popręg. Właśnie kładł na jego grzbiet derkę, kiedy pierwsze krople deszczu zaczęły lekko bębnić o dach, a równocześnie od strony domu dał się słyszeć odgłos kroków. Holland wycofał się w ciemność, potem zaś wystąpił naprzód, gdyż rozpoznał głos nadchodzącego, który pogwizdywał przez zęby i mówił do siebie.

— Panie Cuff — szepnął kapitan.

Cuff wzdrygnął się i o mało nie upuścił wiadra z ciepłą paszą. Nosił stary płaszcz i teraz spojrzął w mrok zza podniesionego kołnierza i szala.

— Święty Boże, sir, aleś mi pan stracha napędził. Myślałem w pierwszej chwili, że to duch jakiś.

— Nie jestem duchem, przynajmniej jeszcze nie, ale tak czy inaczej, mnie dziś nie widziałeś.

— Oczywiście, sir, rozumiem. To tajemnica. Przypuszczam, że mam poprosić pannę Mary, zgadza się?

— Właśnie. Możesz ją powiadomić, że tu jestem?

— O tak — powiedział Cuff, uśmiechając się szeroko. — Dam jej znać. Pewnie pana oczekuje?

— Być może, w każdym razie wątpię, czy wiadomość ją zaskoczy. Bądź jednak ostrożny, panie Cuff.

— Bez obawy, sir. Nie urodziłem się wczoraj. Wiem, co robić. Po tych słowach odszedł, a mniej więcej dziesięć minut później

drzwi stajni otworzyły się cicho i do środka zajrzała Mary. Holland zapalił wcześniej latarnię i dziewczyna ruszyła z wahaniem właśnie ku światłu. Zarzuciła wełniany szal na suknię, a krople deszczu błyszczały na jej włosach i ramionach. Sprawdziwszy, czy przyszła sama, kapitan wyłonił się z pustego boksu. Mary poczuła na jego widok ogromną ulgę, a dokładniej ulgę, podekscytowanie i nieśmiałość; wszystkie te emocje przyprawiły ją o bicie serca i pomieszały myśli. Uśmiechnęła się do niego nerwowo i nie mogła wymyślić nic, co mogłaby powiedzieć poza wyszeptanym: „Witaj”. Holland również się uśmiechnął, chociaż pierwsze słowa wypowiedział szorstko, jak gdyby nie był pewny siebie.

— Przepraszam za to wszystko i że w deszczu, ale... Zimno ci, pani?

— Och, nie, całkiem ciepło — zapewniła go — ten szal jest bardzo gruby.

Usiadła na beli siana, a po chwili kapitan do niej dołączył.

— To dobrze. Otóż pragnąłem panią zobaczyć, powiedzieć... — Zawahał się, niepewny, co właściwie chce jej powiedzieć.

Ta nieśmiałość zadziałała uspokajająco i Mary przerwała jego kulawe wysiłki niecierpliwymi zachętami.

- Widział pan dokumenty? Wie pan, co znaczą?
- Tak... właśnie jadę z Woolthorpe.
- I jest szpieg?
- Wygląda, że tak... albo w Woolwich, albo w jednej z prochowni. A może w obu miejscach. Nie mam pewności.
- Prochownie — powtórzyła Mary niepewnie.
- Fabryki, w których wytwarza się proch. Nie wydobywa się go przecież z ziemi.
- Nie, naturalnie, że nie. — Przypomniała sobie odniesienia do pieców i wypieków; te terminy rzeczywiście mogły mieć coś wspólnego z produkcją... czy nawet wypiekaniem... prochu strzelniczego? Brzmiało to bardzo dziwnie, lecz, jak przyznała się kapitanowi, cóż właściwie o tym wiedziała? Posłała mu uśmiech, kiedy oznajmił, że cieszy się, iż ona wreszcie czegoś nie wie, po czym spytała, czy proces produkcji jest trudny. — Niełatwo jest dobrze wykonać proch. Źle zrobiony nie sprawdzi się... albo nie zadziała we właściwy sposób, dlatego musimy poddawać go testom. W jednym z dokumentów są wyniki testów różnych gatunków prochu: gruboziarnistego, drobnoziarnistego... — Tak, pamiętam — wtrąciła Mary. — *double battle*.
- Ten proch produkuje się w miejscowości Battle. W Sussex.
- Ach, a ja sądziłam... — Uśmiechnęła się do siebie. — Jak gin Hollandów.
- Właśnie.
- Ale pewnie wszystkie te informacje trzyma się w sekrecie... Mam na myśli, że powinny być trzymane w sekrecie. Kto mógł je odkryć?
- Tak, są tajne. — Przerwał na chwilę. — Trudno powiedzieć, kto jest w stanie zdobyć takie informacje, to znaczy... kto poza mną.
- Poza panem?! — zawołała i nagły, okropny strach chwycił jej serce.
- Tak, widzisz, pani... ja... O cholera, panno Finch, nie

uwaga mnie pani chyba za szpiega, nieprawdaż? Niech pani nie będzie niemądra.

Jego przepełniona oburzeniem odpowiedź sprawiła, że Mary poczuła się naprawdę głupio.

— Nie, jasne, że nie — przyznała. — To tylko... Wszystko jest takie... Nie bardzo wiem, co myśleć.

Przepraszam.

— Mniejsza o to — odburknął Holland nieprzyjaźnie. — Chodziło mi o to, że proch strzelniczy łączy się z moimi zajęciami. Departament uzbrojenia ma laboratorium w Woolwich i ja tam pracuję.

— Nad prochem?

— Tak, no i nad innymi rzeczami.

Jego wyznanie zabrzmiało strasznie ważnie... i ogromnie niebezpiecznie, szczególnie gdy przyznał, że nawet mała ilość prochu może spowodować eksplozję, a do wybuchu wystarczy pojedyncza iskra.

— Może Francuzi zamierzają wywołać eksplozję w jednej z naszych prochowni! — krzyknęła Mary, obniżając w połowie zdania głos do natarczywego szeptu, jak gdyby ich rozmowę mogli podsłuchać wrogowie.

— Być może, lecz w takim przypadku musieliby wiedzieć, jak dostać się do prochowni albo do składu prochu. Wiemy wszak, że są zainteresowani naszymi metodami. Ale to nie jest dla nas żadne zaskoczenie.

— Nie?

Potrząsnął głową.

— Francuzi mieli kłopoty ze swoim prochem z powodu braku saletry potasowej. Najlepsza saletra, składnik niezbędny do produkcji prochu strzelniczego, znajduje się w Indiach. Jednak jakiś czas temu... przed ostatnią wojną... zabroniliśmy Francuzom kupować indyjską saletrę, więc się wku... zasmucili. Próbowali znaleźć inne dobre źródło i strasznie chcieliby wiedzieć, co robimy, że nasz proch jest skuteczniejszy.

— Rozumiem — odparła Mary — i te informacje w dokumentach byłyby im pomocne.

— O ile dotarłyby do Francji. To może być trudne, przecież nasza marynarka wojenna regularnie patroluje wybrzeże, ale przemytnicy... którzy już i tak kontaktują się z Francuzami, mają szybkie łodzie i potrafią unikać skarbowych... tak, przemytnicy mogliby je przeszmyglować. Te same łodzie, które ładują francuską kontrabandę, mogą bez trudu przerzucić tajne angielskie dokumenty albo nawet szpiegów.

Mary kiwnęła głową. Deprez mówił to samo, sugerował też, że przemytnicy wystraszyli się teraz, więc te tajne informacje opuszczają Anglię w inny sposób. Niestety, na tym etapie pomysły Depreza się kończyły. Jaką drogą informacje mogą podróżować i kto kontroluje przerzut? Właśnie niewiedza na ten temat skłoniła Depreza, by poprosić o radę kapitana Hollanda.

— Ale wszystko, co już się stało... wszystko, co zostało ujawnione... czy powiedziałby pan, że są to bardzo ważne informacje?

— Niestety tak, do diabła! Zresztą, nawet jeśli informacje, które pani znalazła, nie są katastrofalne, pozostaje kwestią czasu, zanim wymkną się rzeczywiście znaczące dane.

Dziewczyna skinęła głową. Znowu ocena kapitana dokładnie zgadzała się ze słowami Depreza.

Właściwie Mary nie dziwiła się. Nie można być wyrozumiałym dla szpiegów tylko dlatego, że nie zdołali ujawnić żadnych naprawdę ważnych informacji.

Popatrzyła na Hollanda; jakże srogi wydawał się w tej chwili. I taki odległy. Miała wrażenie, że kapitan jest myślami bardzo daleko i ledwie jej słucha. A jednak jakoś czuła, że łatwiej jej się z nim rozmawia niż z Deprezem. Pan Deprez wydawał się człowiekiem, który nie popełnia błędów — przynajmniej trudniej było sobie wyobrazić, że je popełnia — i prawdopodobnie nie miałyby szczególnego zrozumienia dla osoby, która się myli. Kapitan Holland natomiast stale robił jakieś błędy lub czegoś nie wiedział. A przecież niedoskonałym ludziom łatwiej się zwierzyć — o ile zbyt liczne wady nie czynią ich osobami głupimi bądź niegodnymi zaufania.

— I wszyscy Anglicy wmieszani — spytała, jak gdyby w ich rozmowie nie nastąpiła żadna przerwa — wszyscy, którzy pomagali przekazać te informacje Francuzom... Czy oni są zdrajcami? — Holland zaczął odpowiadać, lecz szybko dodała: — Mój stryj miał w swoim posiadaniu te dokumenty. Musiał być jakoś zamieszany.

Wyznanie to było dla niej jak zdzieranie bandaża z zakażonej rany — bolało, a równocześnie ujawniało całą jej niepewność i wszystkie sekretne lęki, które zatruwały jej myśli przez ostatnich kilka dni. Jej słowa zrobiły także wrażenie na kapitanie i sprawiły, że skupił się ponownie na rozmowie z dziewczyną.

— Pani stryj? Nie pomyślałem o tym. Ale może... może nie wiedział, co oznaczają. Były ostatecznie zaszyfrowane.

Na zewnątrz deszcz nie przestawał padać, a zimny podmuch wiatru szarpnął przymknięte drzwi do stajni, otwierając je. Pogrążona w konwersacji para dostrzegała własne oddechy.

— Musiał jednak podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Przekazywanie zaszyfrowanych wiadomości, kiedy nasz kraj jest w stanie wojny... Musiał wiedzieć. — Mary zacisnęła ręce w pięści i wpatrzyła się we własne kolana. Było dla niej ważne, aby Holland usłyszał jej wyznanie ze wszystkimi okropnymi szczegółami. Nie dała sobie nic wyjaśnić — próbowała zrobić to sama i nie udało jej się.

Holland nic nie powiedział i po długiej przerwie dziewczyna kontynuowała:

— I czułam się taka rozgniewana, taka zażenowana, i to nie tylko z powodu samej niestosowności tej sprawy, ale także dlatego... Co ludzie pomyślą sobie o mnie, kiedy dowiedzą się, co zrobił mój stryj. Holland popatrzył na nią, marszcząc brwi.

— A cóż jego postępowanie ma wspólnego z panią? A poza tym złamała pani szyfr. Gdyby nie pani...

— Ale on był moim stryjem. Mieć taką osobę... zdrajcę... jako jedyne krewne... może pan sobie wyobrazić, co powiedzą inni. Wszyscy szanowani...

— I cholernie wścibscy.

— Jeśli coś jest niezwykle, zabawne albo... niegodziwe, ludzie zawsze o tym mówią — wytknęła Mary. — Jednakże nie tylko o to chodzi. Rozmyślałam... zastanawiałam się... Proszę nie sądzić, że jestem interesowna... ale czy nie jest prawdą, że osoba, która popełniła zdradę, cechuje się „złą krwią”, więc jej własność przejmuje państwo i nie przechodzi ona na spadkobierców?

Holland prychnął.

— Nie wiem.

— Kiedy po raz pierwszy ktoś mi oświadczył, że bez wątpienia dziedziczę po stryju, trudno mi było uwierzyć, że coś takiego się dzieje, że to jest realne. Poczułam się bardziej jak bohaterka jakiegoś romansu... bajki prawie... ponieważ nigdy nie byliśmy zamożni, a ostatnio... Później jednak sytuacja zaczęła mi się wydawać coraz bardziej prawdziwa. Mój stryj chciał się pogodzić i zapisał wszystko mojemu ojcu... Pani Tipton mówiła o „obracaniu się w towarzystwie”, kupowałyśmy nowe stroje. Już sobie powoli wyobrażałam życie w White Ladies, wydawanie przyjęć i zapraszanie gości... Myślałam o tych sprawach jako o swojej przyszłości. I zaczęłam zwracać uwagę na różne rzeczy, dokonywać porównań i myśleć, że będę miała taki właśnie powóz, lecz nie tego rodzaju kredens. Nie dumałam o odległych przedmiotach w urojonym świecie, lecz o tym, co naprawdę zrobię, kiedy otrzymam spadek. To było bardzo głupie z mojej strony, wiem, tyle że...

— Nie, wcale nie było głupie — wtrącił Holland, potrząsając głową. — Pieniądze zmieniają cholernie wiele rzeczy. Byłabyś, pani, głupia, gdybyś o nich nie myślała. — Po chwili dodał: — Ja myślę o pieniądzach przez cały czas.

— Gdy odkryłam te dokumenty, zastanowiłam się, jak dużo mojego dziedzictwa pochodzi z... z działalności przestępczej, i poczułam się strasznie winna, że chciałabym z nich korzystać. To było uczciwe z mojej strony... takie myśli. Niestety jednocześnie...

Zagryzła wargę i zaczęła wyciągać luźne kawałki słomy z beli leżącej obok niej. Kapitan położył delikatnie dłoń na jej ręce, uspokajając ją.

— Proszę mówić dalej — powiedział cicho.

— Jednocześnie — powtórzyła powoli — bałam się, że ktoś się o tym dowie. Myślałam o mojej pozycji... to znaczy, o pozycji w tutejszej społeczności... i nie chciałam, żeby wszystko zostało zniszczone, jeszcze zanim się zaczęło. Chyba jestem najbardziej samolubną dziewczyną na świecie... albo przynajmniej ogromnie samolubną. — Zaczekała, aż Holland cofnie rękę, lecz nie cofnął, więc uznała to za lekki znak poparcia, które pozwoliło jej dokończyć. — A teraz, jeśli mój stryj rzeczywiście dopuścił się zdrady i mamy rację co do zasady... „złej krwi”, być może w ogóle nie dostanę żadnego spadku.

— Nie, może nie.

Rzeczowy ton mężczyzny i pewny siebie nacisk jego ręki wpłynęły na dziewczynę w zadziwiający sposób. Mary nagle przestała myśleć o sobie i zamiast tego skoncentrowała się na swoim towarzyszku — jakże niezręcznie z pewnością czuł się, zmuszony wysłuchiwać tego wszystkiego i obarczony koniecznością zaoferowania jej pociechy. Sekundę później stało się dla niej ważne, aby go uspokoić. Uśmiechnęła się pewniej.

— Oczywiście, tak naprawdę nie mam nic przeciwko temu. Nie będę biedniejsza, niż byłam dotąd... zawsze przecież pozostaje szkoła u pani Bunbury.

Holland odpowiedział uśmiechem. Mary była odważna, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

— Tak, zawsze pozostaje szkoła.

— No i z drugiej strony, skoro nie odziedziczę fortuny, nie będę też szczególnie interesująca dla społeczności hrabstwa. Wszyscy potrzásną tylko głowami i powiedzą coś o próżności ludzkich marzeń. Trudno wprawdzie być przedmiotem umoralniających lekcji, nie przypuszczam jednak, żebym usłyszała ich osobiście zbyt wiele.

— Wkrótce znajdą sobie inny obiekt plotek — przyznał kapitan — może pani być tego pewna. Myliłem się... mówiąc, że pieniądze mają znaczenie. Może dla społeczności hrabstwa, ale któż by dbał o takie osoby! Fakt ten nic by nie znaczył dla... dla pani przyjaciół.

Nadal trzymał jej dłoń i teraz Mary czuła się z jego ręką najwygodniej na świecie.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, iż mówię o tym wszystkim.

— Nie, nie — zapewnił ją Holland. — Cieszę się, że mi pani to wyznała.

— Było mi bardzo ciężko, ponieważ nie chciałam, aby ktoś się dowiedział, a równocześnie pragnęłam komuś o tym powiedzieć. Bo nie... Nie chciałam zwierzać się z tego problemu pani Tipton.

— Boże, nie!

W tym momencie chichot nie wydawał się stosowny i Mary bardzo starała się nad sobą zapanować, aby tego nie zrobić. Zamiast tego spytała więc Hollanda o jego plany.

— Raport dla mojego szefa w Woolwich. — Spojrzał na zegarek i wstał. — Lepiej już wyruszę.

Muszę dotrzeć do Ipswich i złapać dyliżans do Londynu.

Dziewczyna również się podniosła.

— Szkoda, że nie mogę pojechać z panem, ale pani Tipton nigdy by mi na to nie pozwoliła.

— Zawsze możesz, pani, schować się w powozie i podróżować na gapę — odparł Holland, uśmiechając się do niej. — Nie, nie sugeruję, żebyś to zrobiła! — dodał szybko. — Wątpię, czy znalazłabyś w Woolwich cokolwiek interesującego.

Ruszył do boksu, w którym pozostawił swego konia, a Mary podążyła za nim.

— Tam się pan udaje? Do Woolwich?

— Jasne, a dlaczegóż by nie? — Zdjął derkę z grzbietu Trumpetera i zaczął zaciskać jego popręg. — Spokojnie, koniku — powiedział szybko, gdy wierzchowiec przestępował

nerwowo, nieszczęśliwy z powodu perspektywy jazdy w deszczu.

— Ale jak pan złapie zdrajców? I co z Maczugą i Celami? Holland zerknął na nią ostro nad siodłem, a następnie wyszedł

z boksu i stanął u jej boku.

— Co o tym wiesz, pani? — zapytał ostro.

Coś w jego tonie — zdenerwowanie, a może podejrzliwość — sprawiło, że Mary zrobiła krok w tył.

— Pan Deprez uważał, że Maczuga i Cele mogą się odnosić do spotkania między szpiegiem i przemytnikami albo może między szpiegiem i francuskim kontaktem.

Wyszli z kręgu światła lampy i Mary nie potrafiła teraz dokładnie zinterpretować wyrazu twarzy Hollanda.

— Tak, być może — zgodził się — ale może nie. Deprez nie wie wszystkiego.

— Och.

Zatrzymał się, po czym położył Mary rękę na ramieniu. Kiedy znów się odezwał, najwyraźniej zapomniał o swoim rozdrażnieniu, ale jego dotyk niósł w sobie teraz inne emocje. Nie był taki pocieszający jak wcześniej, a jednak dziewczyna odkryła, że nadal sprawia jej przyjemność.

— Jest pani zimno — wyszeptał. — Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała?

— Jest mi całkiem ciepło, proszę mi wierzyć — zaprotestowała.

— Nie, nieprawda... trzęsiesz się, pani. Powinnaś wejść już do domu.

Jego uścisk nie wydawał się wystarczająco mocny, aby ją wstrzymać, niemniej wywarł taki efekt.

Mary przyjrzała się mężczyźnie czy też raczej jego ramieniu i mruknęła:

— Tak, pójdę, ale... Chciałam... Naprawdę mam nadzieję, że złapie pan tego szpiega. I dziękuję, że pan wrócił.

— W porządku. — Holland uśmiechnął się. — Uznałem, że nie byłoby uczciwie pominąć panią...

Zamierzałem powiedzieć wcześniej, że jest pani cholernie bystra, skoro zrozumiała szyfr.

— Przecież miałam książkę. Przypuszczam, że każdy zdołałby go złamać.
Zarumieniła się i przesunęła nerwowo pod jego ręką. Przyglądał jej się jeszcze przez moment, a potem pochylił głowę do przodu, ku niej.

— Hej! Psst! — dotarł do nich natarczywy szept od strony wejścia. Holland wyprostował się, a Mary szybko wycofała.

— Masz cholerne wycucie czasu — poskarżył się Holland.

— Wiem, sir, ale...

— O co chodzi, panie Cuff?

— Najlepiej niech panienka wraca do środka — ostrzegł. — Moja pani o panią pytała. Wyjdzie tutaj lada chwila. A wtedy wszystkim nam się oberwie za to spotkanie i tak to się skończy!

— Ojej — wy dyszała Mary. — Tak, naturalnie. — Obróciła się pospiesznie do Hollanda. Twarz miała nadal zarumienioną. — Muszę iść, lecz... proszę... bądź ostrożny.

— Będę. — Uśmiechnął się do niej i dotknął jej ręki. — Masz cholernie mocne nerwy, panno Finch. Nie trać zimnej krwi.

17

Paul Deprez podniósł wzrok znad egzemplarza „Ipswich Journal”, którego wcale nie czytał, i kiwnął głową z ulgą, widząc, że Holland wszedł do salonu gospody Pod Wielkim Białym Koniem. Deprez zastanawiał się jeszcze przed sekundą, co zrobi, jeśli kapitan się nie zjawi, i teraz z radością porzucił te rozważania.

— W ostatniej chwili — zauważył, gdy Holland przyłączył się do niego przy ogniu. — Powóz ma przybyć lada moment.

Tego wieczoru Pod Wielkim Białym Koniem panował spokój. Niepogoda zatrzymała wielu regularnych klientów w domu, a nieliczni podróżnicy znaleźli sobie wygodne kąciki, gdzie siedzieli, trzymając się na uboczu i pilnując bagażu. Uważny widz mógłby się dziwić temu spotkaniu dwóch mężczyzn, których z pozoru nic nie łączyło.

— Myślałeś, że się nie zjawię? — odparował kapitan. Jego szynel był przemoczony i obryzgany błotem. Zdjąwszy wilgotne rękawiczki, Holland wepchnął je do kieszeni i wyciągnął ręce ku ogniu. Deprez rozsiadł się w fotelu, krzyżując nogi. Musiał wyciągnąć szyję, aby odpowiedzieć obróconemu bokiem kapitanowi.

— Nie, ale zdarzają się wszak wypadki, zwłaszcza w taką paskudną pogodę. Nadal zostało dość czasu na jakiś posiłek, jeśli się pośpieszysz.

Holland potrząsnął głową.

— Nic mi nie potrzeba — oznajmił, po czym, wpatrując się we własne ręce, dodał otwarcie: — Jazda powozem przyprawia mnie o mdłości. Czasami... Jest gorzej, jeśli coś zjem.

— Ach tak — odparł Deprez, nieco zaskoczony — jakież pech. To pewnie coś w rodzaju... choroby morskiej, jak sądzę. — Kiedy kapitan nie odpowiedział, kontynuował: — Zdołałeś... uniknąć pani Tipton, mam nadzieję? Jest bardzo opiekuńcza, jeśli chodzi o wszystko, co wiąże się z panną Finch.

— Skoro tak mówisz.

Deprez nie zraził się szorstkim tonem towarzysza.

— No cóż, to zrozumiałe — ciągnął. — Panna Finch jest, jak by nie patrzeć, uroczą dziewczyną, lecz brakuje jej życiowego doświadczenia. A teraz będzie w dodatku bogata. Mogłaby łatwo stać się przedmiotem niegodnych, nieodpowiednich ludzi...

— Nieodpowiednich? — warknął Holland i jego spojrzenie zapłonęło jak papier w palenisku. — Co masz, do diabła, na myśli, mówiąc coś takiego? Czy mnie ostrzegasz?

— Na pewno nie. W życiu bym sobie nie pozwolił na taką bezczelność.

Kapitan wciąż marszczył czoło, ale gdy się odezwał, było widać, że postanowił nie dać się wyprowadzić z równowagi. Wyjaśnił, co Mary powiedziała mu o złej krwi. Deprez był jeszcze bardziej zaskoczony takim zwrotem w ich rozmowie i — w rzadkiej chwili szczerości — obaj mężczyźni przyznali się do nieznajomości większości norm prawnych i niechęci do tych, które znali.

— Słuchaj — zaczął Holland — mam te papiery... Naprawdę nie jest ważne, gdzie Mary je znalazła. Jeśli jej stryj był zamieszany...

— Może jednak nie był — przypomniał mu Deprez. —

Przyznaję, że fakty świadczą przeciwko niemu, ale nikt jeszcze niczego nie udowodnił.

— No cóż, nawet jeśli był w coś zamieszany — ciągnął kapitan — co za różnica? Ten człowiek już nie żyje. Dlaczego nie zostawić zmarłych w spokoju? Cokolwiek stary Finch zrobił, jego uczynki nie powinny krzywdzić dziewczyny.

Deprez nie odpowiedział natychmiast.

— Przypuszczam... — stwierdził w końcu od niechcena — ...że jeśli był wplątany... otrzymał sowite wynagrodzenie za swoje wysiłki.

— I to właśnie martwi pannę Finch — wyjaśnił Holland, potrząsając ze smutkiem głową. —

Dziewczyna nie chciałaby odnosić korzyści z jego przestępstwa. Ale to jest durne.

— Sądzisz, że powinna z niego korzystać?

— Nie, sądzę, że głupie jest zastanawianie się, czy z niego skorzystać. Jej stryj miał dużo pieniędzy, zanim doszło do tego wszystkiego... odziedziczył je i nie podzielił się ze swoim bratem, a to zdarzyło się wiele lat temu. Nie uwierzę, że utrzymywał White Ladies tylko dzięki sprzedaży żabojadom jakichś sekretów.

— Być może nie.

— Więc uzgodniliśmy, tak? Nie wciągamy pana Fincha w sprawę?

Deprez w zamyśleniu obserwował twarz Hollanda.

— Zrobiłbyś to? Oszukałbyś swoich zwierzchników? Jestem zaskoczony... po tym, co powiedziałeś wcześniej o swoich obowiązkach.

— Działania pana Fincha w żaden sposób nie wiążą się z moimi obowiązkami — odrzekł kapitan szorstko. — Nie ma dla mnie różnicy, czy był szpiegiem, a pominięcie go pomoże Mary... pannie Finch. Ty zaś możesz przekonać Somerville'a.

— Przekonać go? — Deprez skrzywił się z niesmakiem.

— Och, wiesz, co chcę powiedzieć... każ mu milczeć. Zrobi to, co będziesz chciał.

Odpowiedź Depreza przerwało wołanie pana Bamforda, że dyliżans z Londynu przybył i oczekujący nań pasażerowie powinni natychmiast wyjść przed gospodę, ponieważ powóz pocztowy nie czeka na maruderów.

Wstając, Deprez pospiesznie narzucił płaszcz.

— No dobrze — skinął głową — zgadzam się. Jeśli to możliwe, nikt nie wspomni o panu Finchu. Teraz chodźmy. Lepiej spróbuj zdobyć sobie miejsce przodem do kierunku jazdy, w przeciwnym razie będziesz miał kiepską podróż.

Deprez zapomniał, jak bardzo jest zimno — zimno, mokro i nieprzyjemnie. Przypomniał sobie o tym, kiedy przekraczali ciemny dziedziniec. Krople mżawki wirowały na wietrze, jak gdyby próbowały utorować sobie drogę w fałdy i kieszenie, a zryta ziemia zaczęła z wolna zamarzać, tworzyły się więc koleiny i dziury, które utrudniały podróż. Wsiadali do powozu jako pierwsi, toteż Holland usiadł przodem do kierunku jazdy, Deprez natomiast zajął miejsce naprzeciwko. Wkrótce dołączyli do nich dwaj pozostali pasażerowie: pan Allenby, pulchny dżentelmen w średnim wieku, i bankier nazwiskiem Jacobson. W czasie, który zajęła zmiana koni, pasażerowie dokonali wzajemnych prezentacji, a bagaż pospiesznie załadowano, po czym dyliżans odjechał w noc.

Warunki nie zachęcały do rozmowy i po kilku niezobowiązujących uwagach czterej mężczyźni zrezygnowali z prób konwersacji. Zamiast tego skupili się na zachowaniu ciepła; ręce wepchnęli w kieszenie, podbródki opuścili i skryli w postawionych kołnierzach, stopy zaś zagrzebali w głęboką słomę, która pokrywała podłogę powozu. Jeszcze przed Stratfordem, gdzie dyliżans czekała kolejna zmiana koni, panowała niemal kompletna cisza — słychać było jedynie ciche pochrapywania Allenby'ego.

Mimo panującego milczenia, a może właśnie z jego powodu, Holland pozostał całkowicie rozbudzony. Łatwo było czuć się anonimowo w zimnym mroku, gdzie kapitan nie był narażony na ciekawskie spojrzenia, a kiedy się odprężył, jego myśli

podryfowały swobodnie. Zła krew, o której mówiła Mary Finch... Przypuszczał, że jego krew również uznano za „złą” i dlatego nie mógł mieć Susannah... to znaczy, gdyby oczywiście zapragnął jej, bo czy właściwie jej pragnął? Zła krew — zastanowił się. — Cóż, dobra krew jest ważna... wysoce pożądana. *Bon sang*, tak to nazywają Francuzi, chociaż może w chwili obecnej nie przejmują się za bardzo takimi sprawami. Król Francji miał dobrą krew i proszę, co mu się przydarzyło. Z drugiej strony wszakże żabojady... to osobliwi ludzie.

Charlotte uczyła się francuskiego i Holland uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie jej płynące prosto z serca skargi.

— Jestem pewna, że to jest nielojalne, musisz się uczyć francuskiego w chwili, kiedy walczymy z tym krajem... I ten język jest taki trudny. Nie wiem, jak ktoś potrafi go opanować, o ile w ogóle nie jest Francuzem. Ludzie mówią o *le mot juste*⁵... to jest francuskie określenie, wiesz... tak naprawdę jednak potrzebujesz znacznie więcej niż tylko właściwe *mots*** . Są jeszcze akcenty i inne rzeczy... Jeśli pomyli ci się jedna jedyna literka, powiesz coś zupełnie innego niż to, co zamierzałeś. I francuski wcale nie przypomina angielskiego!

Jedna litera... brakująca... niewłaściwa... lub przekręcona, tak jak przykładowo w „komu” i „kogo” — myślał Holland. — A zatem francuski wcale tak bardzo nie różni się od angielskiego. Och, Bobs, jesteś głupim gnojkiem... Ale pewnie Lottie nigdy nie użyłaby słowa „gnojek”.

W końcu zamknął oczy. Obudziła go zmiana w tempie jazdy powozu. Klakson krótko zatrąbił, a strażnik energicznie zapukał w dach.

— Chelmsford, panowie.

Pan Allenby obudził się; to był jego przystanek. Gdy powóz zatrzymał się na dziedzińcu gospody Pod Murzynkiem, mąż-

* *Le mot juste* (fr.) — właściwe słowo. ** *Mots* (fr.) — słowa.

czyzna poszukał po omacku kapelusza, rękawiczek i torby stojącej u jego stóp. Rwące się ku stajni konie szły naprzód, aż je wyprzęgnięto, toteż dylizansem nagle wstrząsnęło i pan Allenby opadł na przeciwległe siedzenie między Hollanda i Jacobsona. Ten drugi poderwał się gwałtownie obudzony. — Gdzie jesteśmy? — zapytał sennym głosem. — Już dojechaliśmy?

— Nie — odparł kapitan, pomagając wrócić Allenby'emu na jego miejsce. — Do Londynu zostały jeszcze cztery godziny jazdy.

Ingatstone. Brentwood. Rumford. Stratford. Kiedy powóz toczył się przez Mile End, Jacobson usiadł prosto i zaczął się interesować otoczeniem. Wyjrzał przez okno i zagapił się w poprzedzający świt mrok. Teraz można było mierzyć postęp dzięki zmieniającym się scenom za oknem: spokój okolic Szpitala Londyńskiego zmienił się w hałasy pracującej odlewni dzwonów na dalekim końcu Whitechapel Road. Mijali po drodze składy tapicerskie i księgarnie na Fenchurch Street, a smród zarżniętych zwierząt oznaczał, że zbliżają się do targu Leadenhall. Kiedy przejeżdżali obok kościoła Świętego Dionizego⁶, Deprez zauważył ciekawy fakt, że kościół w Londynie poświęcono francuskiemu świętemu. Holland wzruszył ramionami, jednak Jacobson poinformował ich, że znajdują się też niedaleko sławnej synagogi Bevis Marks.

— Która została zbudowana przez jakiegoś kwakra — dodał, wyraźnie zainteresowany tematem.

Dylizans zatrzymał się wreszcie przy urzędzie pocztowym, którego dziedziniec był pełen koni, gońców i pojazdów; z wielu wysiadali pasażerowie lub wynoszono worki z przesyłkami. Zwierzęta i ludzie prezentowali się podobnie — wszyscy byli znużeni i wymęczeni podróżą. Konie okazywały entuzjazm jedynie, gdy prowadzono je do boksów, pasażerowie zaś zmuszali się do działania, aby pozłatwić swoje sprawy. Jacob-

320

⁶Pełna nazwa kościoła to St Dionis Backchurch.

sonowi wyraźnie działanie przychodziło łatwo. Wsiadł zwinnie, ściskając kapelusz i torbę.

— Do widzenia, panowie, i dobrego dnia wam obu — zawołał, zamachał i zniknął.

W tym momencie z powozu wypakowano worki z pocztą i w okno zajrzał urzędnik pocztowy.

— Pod Lecącego Orła, panowie? — zawołał strażnik, głucho stukając w dach powozu. — Kierujemy się Pod Lecącego Orła.

Holland odpowiedział uderzeniem w sufit i słowem „Dalej”. Dylizans skręcił gładko i wkrótce jechali z powrotem ku Gracechurch Street.

Kapitan nieczęsto nocował w Londynie, lecz kiedy mu się zdarzało, zwykle zatrzymywał się właśnie Pod Lecącym Orłem. Było tam czysto, ceny rozsądne, w dodatku gospoda miała dobre połączenie zarówno z Woolwich, jak i z innymi większymi miejscowościami na północy i na wschodzie. Teraz Holland wyskoczył z powozu i wszedł szybko do ruchliwej sali frontowej. Deprez podążył tuż za nim.

— Jedziesz do Woolwich? — spytał kapitana.

— Nie, do Waltham Abbey. — Odpowiedział mu przez ramię Holland. — To jedna z naszych prochowni... rządowa... jakieś dwanaście mil od Londynu.

— Ale, po co...?

— Z powodu pomyłki w rozszyfrowaniu jednego ze słów. Myślę, że panna Finch zgubiła „U”.

— Co takiego?

— Sądzę, że w jednym z dokumentów nie chodziło o żadne „salto”, lecz wspomiano tam o usunięciu Saula, no i muszę pojechać do Waltham Abbey, aby się upewnić. — Dotarli do lady i Holland zwrócił się do właściciela: — Jak mogę się dostać do Waltham Cross dziś rano?

— No cóż, sir — odparł właściciel, przeglądając wiszący nad nim rozkład jazdy — najlepsze, co mogę panu oferować, to stary Regulator. Powóz chodzi jak w zegarku. Odjeżdża o godzinie dziewiątej i gwarantuję, że dotrze pan do Waltham

Cross kwadrans przed jedenastą. Gwa-ran-tu-ję, sir! Nawet dyliżanse nie są szybsze.

— Czyli odkryłeś błąd — syknął Deprez. — Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Teraz ci mówię — odparł Holland, odsuwając tamtego, który napierał na niego ramieniem. — Nie ma nic wcześniej?

— Nie z tego dziedzińca, sir — odrzekł właściciel. — I chociaż nie mam zwyczaju lekceważyć konkurencji, mniej więcej wiem, że inni nie zadowolą pana w tej kwestii.

— Dlaczego?

— Jest zwykły powóz o ósmej spod Dzikusa ale weź, panie, pod uwagę, że musisz najpierw dotrzeć na Ludgate Hill, co jest prawie niemożliwe o tej porze dnia, a poza tym, nawet jeśli zdążysz przed odjazdem, będziesz podróżował w tłoku. Ponadto ten powóz przemieszcza się bardzo powoli, a słyszałem, że w ubiegłym tygodniu zgubili koło na północ od Hoxton. Nie utrzymują swoich maszyn we właściwym stanie Pod Dzikusem i to jest fakt.

— Masz miejsce w Regulatorze?

— Dwa miejsca — poprawił go Deprez. — Nie pojedziesz beze mnie — poinformował Hollanda, na co kapitan znów wzruszył ramionami i rzucił: — Rób, co uważasz.

— Dwa miejsca, sir — uśmiechnął się właściciel. — Wewnątrz, oczywiście. Gdybyście chcieli zajść, macie dość czasu na gorące śniadanie. Nie ma nic lepszego przed podróżą niż dobry posiłek.

Holland nie miał zamiaru zastosować się do tej rady, więc udał się wprost do poczekalni. Deprez jednakże nie zadowolił się niechętnym wyjaśnieniem towarzysza.

— Skąd wiedziałaś, że panna Finch popełniła pomyłkę? — naciskał, kierując kapitana do spokojnego kąta. — Dyskutowałeś to z nią?

Holland potrząsnął głową.

— Niczego nie wiem, mam tylko podejrzenia. Właśnie dlatego jadę do Waltham Abbey. Aby je sprawdzić.

— Ale z jakiego powodu utrzymujesz tę sprawę w tajemnicy? Byłem z tobą całkiem szczery, a ty...
— A ja nie jestem? Być może nie wspomniałem o tej sprawie dlatego, że wyklarowała mi się dopiero ubiegłej nocy, kiedy ty spałeś i marzyłeś o szpiegach.
Spróbował obejść Depreza, ten jednak szybko zablokował mu drogę.
— Wydajesz się bardzo przewrażliwiony — zauważył — powinieneś jednak pamiętać, że niczemu nie zawiniłem.
Obrzucili się piorunującymi spojrzeniami, a potem Holland odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.
— Masz rację — przyznał. — Przepraszam. Wszystko to... mnie zirytowało.
— Obawiam się, że żaden z nas nie rozbudził się jeszcze w pełni dziś rano — odpowiedział Deprez i również się odprężył. — Chodź — nalegał, klepiąc Hollanda po ramieniu bardziej przyjacielskim gestem — wiem, że nie masz ochoty na śniadanie przed podróżą, lecz napijmy się przynajmniej kawy.

Rozpacz byłaby zbyt mocnym określeniem na opisanie emocji, jakie towarzyszyły Mary po przebudzeniu tego ranka, ale na pewno dziewczyna czuła się bardzo przybita. Kapitan Holland odjechał i skończyło się coś, co w duszy nazywała przygodą, w każdym razie jeśli chodziło o jej skromną osobę. Miała wrażenie, że przez jakiś czas odbywała ekscytującą podróż — na pewnym etapie nawet kierowała powozem — a teraz wysadzono ją na szczególnie nieciekawym przystanku i pozostali odjechali bez niej. Mary przypuszczała, że ktoś w końcu przyjdzie i powie jej, jak wszystko się zakończyło — prawdopodobnie pan Someralle albo ktoś równie nudny. A poza tym znów padało. Deszcz padał chyba codziennie, więc dziewczyna tym bardziej wątpiła, czy coś ekscytującego jeszcze kiedykolwiek jej się przydarzy. Przygody trafiają się wszak naprawdę rzadko. W porównaniu z ostatnim okresem wszystko

wydawało się nijakie. Siedząc przez dobre dziesięć minut przy oknie, zdołała jedynie zauważyć kosa szamoczącego się wśród opadłych liści i deszczówkę spływającą po ścianie stajni z pękniętej rynny. Ubrała się i zeszła na dół, zastanawiając się, czy wygląda równie ponuro, jak się czuje.

Podczas śniadania pani Tipton udzieliła jej odpowiedzi na to pytanie.

— Jesteś dzisiaj raczej skwaszona — stwierdziła, przyglądając się dziewczynie znad okularów. — Czyżby rezultat zbyt długiego dumania o pewnym dżentelmenie?

Mary wolałaby, żeby jej gospodyni wybrała przynajmniej inny czasownik. Słowo „marzyć” nie sugerowało może szczególnie mądrego zachowania, lecz „dumanie” brzmiało po prostu śmiesznie.

Dziewczyna była pewna, że nigdy czegoś takiego nie zrobiła.

— Och, nie, proszę pani — odparła.

Pollock, kucharka, raczyła tego ranka upiec tłuste, małe maślane bułeczki, które stanowiły jej specjalność. Mary zazwyczaj się nimi zajadała, toteż pani Tipton podała — wraz z tą uwagą — parujący kosz z ciepłymi bułkami. Przy tej okazji bułki nie całkiem się sprawdziły, tym niemniej Mary wybrała jedną, a potem drugą, aby udowodnić, że w żaden sposób nie cierpi. Wiadomo wszak, że porzuceni nigdy nie mają apetytu.

Pani Tipton nie dała się jednak tak łatwo przekonać i zaczęła wygłaszać wykład na temat powściągliwości, jakiej wymaga się od młodej kobiety wystawionej na męskie atencje. Co jakiś czas wspominała o panu Deprezie.

— Wygląda na bardzo dobrze wychowanego dżentelmena — przyznała — i nie powiem nic przeciwko niemu, ale chcę cię ostrzec. Mężczyźni, nawet dżentelmeni, bywają niefrasobliwi. Jest to cecha większości z nich i nikt nie myśli gorzej o nich z jej powodu. Ale kobieta, jeśli jest damą, nie może postępować nierozważnie.

— Tak, pani — powiedziała Mary, myśląc, jak odległe było

niebezpieczeństwo beztroski. — Chociaż nie oczekuję znów zobaczyć w najbliższym czasie pana Depreza.

— Naprawdę? Cóż, zasada pozostaje. Nie zapominaj o zasadach, Mary. Mogą ci się bardzo przydać, kiedy zaczną zwracać na ciebie uwagę wszyscy inni młodzi mężczyźni z okolicy. Ponieważ możesz być pewna, że zaczną, gdy tylko się dowiedzą, że jesteś dziedziczką.

— Tak, pani.

Po śniadaniu zabłąkała się do małego pokoju w skrzydle domu; pani Tipton szumnie nazywała to pomieszczenie salonem przedpołudniowym, lecz w rzeczywistości był on rupieciarnią i trafiały do niego wszystkie dziwaczne meble, które właścicielka Lindham Hall nieszczególnie lubiła, ale których nie potrafiła wyrzucić. Ogień dogasał, więc Mary dołożyła polano, gdyż uważała, że byłby to wstyd trudzić z takiego błahego powodu Peggy. Gdy się wyprostowała, szczerze zdumiała się na widok sponiewieranego egzemplarza znajomego dzieła Blackstone'a — albo przynajmniej jego części. Tom pierwszy służył jako podpora *Historii Wielkiej Brytanii* Hume'a w biblioteczkę, która z kolei opierała się dość niepewnie o gzyms kominka.

A zatem *Komentarze* znajdowały się w Lindham Hall od samego początku! Mary nie musiała się naprzykrzać panu Deprezowi. Seria obrazów przemknęła jej szybko przez głowę — pełne aprobaty spojrzenie Depreza, kiedy pokazała mu rozszyfrowane dokumenty, i kapitan Holland trzymający jej rękę w stajni — ale koniec końców użyte przez panią Tipton słowo „dziedziczka” sprawiło, że jej myśli pobiegły w dużo mniej interesującym kierunku. Nadal istniała niepokojąca kwestia „złej krwi” i Mary zastanowiła się ponuro, czy nie powinna przypadkiem poczytać na ten temat. Być może ostatecznie nie zostanie dziedziczką i niefrasobliwi młodzi mężczyźni z sąsiedztwa skierują swoje atencje gdzie indziej.

Poszukała czwartego tomu *Komentarzy*, w którym omawiano

prawdopodobnie tego rodzaju sprawy karne, niestety nie zdołała go znaleźć.

Tom pierwszy nie wyglądał na szczególnie pomocny w tym względzie, a Mary naprawdę nie miała ochoty czytać o zdradzie. Przerzuciła jednak kartki aż do strony 217, gdzie wcześniej znalazła pierwszy z alfabetów szyfru w zdaniu rozpoczynającym się od: „Królowa wdowa jest wdową po królu”. W końcu zdanie to okazało się ważne... Tyle że zdania tego na stronie 217 nie było.

Spojrzała znów, na górę i na dół strony, nigdzie jednak nie znalazła „królowej wdowy”.

Zastanawiające. Cofnęła się o kilka kartek — nic, a potem o kilka do przodu i wreszcie odkryła je: *„Królowa wdowa jest wdową po królu i jako taka ma cieszyć się większością przywilejów należących się jej jako królewskiej małżonce”*. Mieściło się na stronie 224. Marszcząc czoło, odszukała stronę 247. W połowie tej strony powinno zaczynać się zdanie: *„Odnośnie do procesów cywilnych, wszyscy zagraniczni juryści zgadzają się...”*, nie dostrzegła go jednak. Fraza ta znajdowała się dopiero u dołu strony 254. A na stronie 309 odkryła zdanie o „innych dawnych opłatach”, które powinno zajmować samą górę strony 299. Co się działo? Pamiętała dokładnie liczby. Dlaczego paginacja nagle się zmieniła?

Przez chwilę rozmyślała. Trzymała w rękach książkę, absolutnie potwierdzającą fakt, że popełniła błąd, chociaż bynajmniej nie miała takiego odczucia. Była pewna, że numery stron dla pierwszego tomu brzmiały 217, 247 i 299, a jednak konkretne odnośniki w *Komentarzach* należących do pani Tipton nie tworzyły poprawnych zdań. Jak zatem...? Otworzyła pierwszą stronę tomu i przeczytała dane dotyczące wydania:

WILLIAM BLACKSTONE WYDANIE CZWARTE OXFORD Druk: CLARENDON PRESS

M.DCC.LXX

333

No tak, teraz sprawa się wyjaśniła. Numeracja stron zmieniała się prawdopodobnie w różnych wydaniach, być może nawet u różnych drukarzy. Pani Tipton kupiła czwarte wydanie, a pan Somerville najwyraźniej inne. Mary zamknęła księgę i przez moment siedziała z nią na kolanach. Czyli jej stryj, skoro umiał odczytać szyfr, miał zapewne to samo wydanie co pan Somerville. A jednak...

Nagle doświadczyła osobliwego, przerażającego wrażenia, że zapomniała o czymś ważnym — nie, może nie zapomniała, raczej nigdy coś takiego nie przyszło jej do głowy. Skąd tak naprawdę wiedziała, że jej stryj potrafił odczytać szyfr?

Co za nonsens — zbesztła się w myślach — oczywiście, że potrafił go odczytać... miał wszak u siebie te teksty. Był pośrednikiem; przekazał przemytnikom dokumenty od szpiega.

A jednak... Oczywiście wyobraźni zobaczyła zaszyfrowane kartki, każdą z rzędami starannie zapisanych znaków. Istniały różne wydania *Komentarzy* i nie wszystkich można było użyć do rozszyfrowania tekstów... ale które wydanie posiadał stryj?

Wstała tak szybko, że książka ześlizgnęła jej się z kolan i spadła na podłogę, zanim zdążyła ją złapać. Podniosła tom i pospieszyła do kuchni, wołając Peggy.

Służąca wyłoniła się z pomywalni, wycierając ręce.

— Tak, panienko, o co chodzi?

— Widziałaś dziś pana Cuffa? Wiesz, gdzie jest?

— Nie widziałam go od śniadania, panienko — odparła Peggy. Zawołała przez ramię: — Nie widziała pani Cuffa, pani Pollock?

— W stajniach, najpewniej — odkrzyknęła kucharka. Uderzała kopcami ciasta o posypaną mąką stolnicę, a później je kształtowała; podczas jej pracy w górę i na boki wznosiły się delikatne białe chmury. W dzień pieczenia ciast Pollock zawsze miała zły humor. — Wychodzi od razu rano, mówiąc, że ma

coś do naprawienia, i przepada na całe godziny. Znajdziesz go tam, panienko — dodała, zwracając się do odchodzącej już Mary — pali tę swoją starą fajkę i odpręża się. Proszę mu powiedzieć, że w domu też jest dużo do zrobienia!

Dziewczyna przebiegła dziedziniec, ślizgając się na oblodzonych kałużach i o mało nie mocząc butów, gdy cienka warstwa lodu pękła pod nią. Tak jak przewidziała kucharka, Cuff był w stajniach, gdzie gawędził cicho z Sally i Whiskersem, bardzo pojętymi końmi zaprzęgowymi pani Tipton. Kiedy Mary ukazała się w wejściu, Sally zastrzygła uszami i wydała ostrzegawcze parsknięcie. W tym momencie Cuff podniósł gwałtownie głowę i błyskawicznym ruchem wyjął fajkę z ust. Na widok Mary uspokoił się i zamachał do niej przyjaźnie.

— Och, to pani, panno Mary — powiedział. — Tylko czyszczę tę starą uprząż. Co panienka taka poruszona dziś rano?

Natychmiast przedstawiła mu swoją prośbę — pożyczyć wóz pani Tipton bez jej wiedzy. Zabrzmiało to podejrzenie, nawet dla niej samej, nie miała jednak czasu na długie wyjaśnienia, zresztą sprawa i tak była zbyt skomplikowana dla kogoś niewtajemniczonego. Musiała liczyć na sympatię pana Cuffa dla niej i jego ogólną gotowość do naginania reguł, ilekroć to możliwe.

Mężczyzna potarł podbródek w zadumie, co stanowiło niezawodny wstęp do zgody.

— Uważam, że mógłbym zaryzykować, panienko.

— Och, dobrze. Dziękuję, panie Cuff. Czy teraz możemy pojechać?

— Tak, jeśli się pospieszymy. O tej porze moja pani zawsze przez dłuższą chwilę odpoczywa i jeśli Peggy nas nie zdradzi, możemy się po prostu wymknąć. Dokąd się skierujemy?

— Do White Ladies.

— Do White Ladies?! — powtórzył Cuff z niedowierzaniem. — Dlaczego w ogóle chce tam pani jechać?

— Muszę... coś zrobić, na coś zerknąć — odparła Mary. —

Och, nie mogę tego tłumaczyć, ale sprawa jest bardzo ważna, a nie zajmie mi nawet minuty. Cuff jednakże stał się w tym momencie ostrożniejszy. Przypomniał jej o przemytnikach i nie przekonało go jej nonszalanckie zapewnienie, że nie są przecież głupi i na pewno już nigdy nie wrócą do majątku.

— Może — przyznał z powątpiewaniem — może. Ale niektórzy ludzie zachowują się całkiem głupio, tak wynika z moich doświadczeń. Na pewno chce tam panienka pojechać? Przyniosę więc moją starą strzelbę, ot na wszelki wypadek.

— Bardzo dobrze... ale pospiesz się!

Jazda do White Ladies była niespokojna. Mary trzymała egzemplarz pierwszego tomu *Komentarzy* pani Tipton niczym talizman i starała się nie podejmować żadnych decyzji, dopóki nie zobaczy, jakie wydanie książki miał stryj. Na przekór tym mądrym postanowieniom jej wyobraźnia działała, toteż dziewczyna stale zadawała sobie pytania i rozważała rozmaite hipotezy. Co będzie, jeśli się okaże, że posiadane przez stryja wydania Blackstone'a nie można wykorzystać do rozszyfrowania dokumentów? A co, jeśli w ogóle nie posiadał egzemplarza *Komentarzy*?

W końcu Cuff położył kres jej męczącym rozmyśleniom.

— No to jesteśmy, panienko — zawołał ze swego miejsca na koźle. Do siebie zaś mruknął: — I uczciwie przyznam, że naprawdę przechodzą mnie ciarki.

Mary wychyliła się z okna. W rzeczy samej, szare kamienie wyglądały złowrogo.

— Wewnątrz jest przyjemnie — zapewniła go. — Objedź dom i zatrzymaj się przy tylnym wejściu, dobrze? Tam jest mniejsze niebezpieczeństwo, że ktoś zobaczy... chociaż nie sądzę, żeby tu ktoś był — dodała szybko.

Gdy zatrzymali się przed tylnym gankiem, dziewczyna wysiadła i od razu zaczęła szukać w kieszeni klucza. Kiedy spytała, czy konie można zostawić same, Cuff przytaknął, lecz dodał, że Mary nie powinna kręcić się po domu zbyt długo.

Słyszac tę radę, zastygła z kluczem w ręce.

— Pan nie idzie?

— Sądę, że zostanę tutaj, przy powozie — odrzekł Cuff uparcie, nie patrząc na nią. — Na wypadek intruzów.

Nie spodziewała się tego zupełnie i nie przyjęła z zadowoleniem proponowanej zmiany planów. Nie żeby naprawdę sądziła, iż ktoś czai się w domu, po prostu nie miała szczególnej ochoty wchodzić do budynku sama. Przypomniała Cuffowi, że kapitan Holland przebywał akurat na zewnątrz, kiedy został zaatakowany.

— Tak, ale na pewno... zaszli go nagle... kiedy się ich nie spodziewał.

Wiedza, że Cuff jest tak samo przestraszony jak ona, wzmocniła jej postanowienie.

— Bardzo dobrze, proszę zatem zostać tutaj — oznajmiła. — Pójdę sama i... i wrócę za kilka minut.

Nie boję się — powiedziała sobie.

Na schodach usłyszała jego głos za sobą.

— W porządku, panienko, w porządku. Niech pani tak nie pędzi, już idę.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Dziękuję, panie Cuff. Och, i wzięłeś latarnię. Jakże to uprzejmie z pana strony.

— Niech pani ją potrzyma, a ja załaduję broń.

Cuff zajął stanowisko obok Mary, kiedy przekręcała klucz w zamku, gotów rozprawić się z wszelkimi wrogimi siłami, które mogły na nich urządzić zasadzkę wewnątrz. Drzwi otworzyły się i dziewczyna przestąpiła próg, natomiast Cuff odwrócił się na wypadek, gdyby ktoś podkradł się do nich niepostrzeżenie z tyłu. Weszli, zatrzymali się w holu i Mary zapaliła latarnię.

Po chwili wydało jej się, że słyszy, jak mężczyzna głośno pociąga nosem. W pierwszej chwili zignorowała to, nie chcąc się wydawać niegrzeczna, ale kiedy siąknął po raz kolejny, nie mogła się oprzeć i spytała:

— Panie Cuff, co robisz?

— Wdycham dobry, stary zapach — odparł. — Człowieka zaskakuje, jak pewne miejsca zaczynają dziwnie pachnieć, jeśli ktoś się do nich włamał albo zdarzyło się w nich coś podejrzanego. — Rozglądał się wokół siebie niczym stary i raczej osobliwy pies gończy.

— I tu... pachnie tak, jak powinno?

— Tak... jak do tej pory.

Mary nie wiedziała, czy ta diagnoza ją uspokaja. Nic nie mogła poradzić na to, że od tej pory stale się zastanawiała, czy nagle jej nosa nie uderzy obrzydliwy wyziew... zapach zepsucia, który może okazać się nawet bardziej przerażający niż jakiś widok czy dźwięk. Nie miała jednak wyboru; jeśli chciała rozwiązać tajemnicę, musiała przeprowadzić to, co sobie zaplanowała.

— Będę... poprowadzę, dobrze?

Cuff bąknął krótko na potwierdzenie i wyruszyli.

Kiedy opuścili hol wejściowy, Mary przypomniała sobie, że jej ostatnia wizyta w White Ladies nie była przecież wcale straszna. Teraz płachty znów skrywały meble, toteż dom sprawiał wrażenie, jak gdyby ponownie zapadł w sen. Płachty wyglądały upiornie, tylko mgliście widoczne na krawędzi światła rzucanego przez latarnię, Mary zdawała sobie sprawę, że lęk przed nimi jest bardzo głupi.

— Wiesz, panie Cuff — zauważyła — to całkiem ładny dom. Powinnam powiedzieć nawet „bardzo piękny”. Przyjadę tu prawdopodobnie i zamieszkać któregoś dnia.

— Nie, panienko. Na pewno nigdy nie chciałybyś pozostać w takim odludnym, starym domu jak ten.

— Nie będzie odludny, jeśli w nim zamieszkać — wyjaśniła, starając się tymi słowami dodać odwagi sobie samej. Pomyślała o szczególnie imponującym kominku, boazerii w jednym z mniejszych salonów, no i były też krużganki. — Przecież w ładny dzień...? Ojej! — Przystanąła, gdy wielki pajak przebiegł przed nią po kamiennych płytach.

— O co chodzi? — zawołał Cuff.

— Och... to tylko pajak — przyznała z zakłopotaniem. — Przepraszam, ale był ogromny i... Obawiam się, że mnie przestraszył. — Okropnie nienawidziła pajaków, niemniej dorzuciła: — Podobno przynoszą szczęście, tak sadzę.

— Tak, panienko — zgodził się ponuro mężczyzna. — Szczęście.

— To biblioteka — pospiesznie przeszła obok miejsca, gdzie widziała pajaka, po czym otworzyła drzwi i zebrała odwagę, aby wejść. Gdyby Cuff nie szedł za nią, posapując ciężko, chyba nie zdołałaby się zmusić. — Bardzo by mi pan pomógł, gdyby odsunął pan zasłony.

Chociaż słońce nie świeciło, nikłe późnoporanne światło nadało bibliotece nieco weselszy wygląd — mniej przypominała obecnie pomieszczenie, w którym można się było stać celem czyjegoś ataku. Cuff usiadł przy pustym teraz biurku, trzymając na kolanach strzelbę, tymczasem Mary badawczo przyglądała się półkom biblioteczek zajmujących trzy ściany pokoju.

Znalazła wszystkie cztery woluminy oprawione w piękną skórę cielejącą; na grzbiecie każdego widniał wyraźnie wydrukowany tytuł — *Komentarze*.

Zdjęła z półki tom pierwszy i otworzyła go na stronie tytułowej; jej oczy natychmiast przyciągnął napis u dołu: WYDANIE CZWARTE. M.DCC.LXX. Zatrzasnęła księgę drżącymi palcami, a potem zamknęła oczy. Edward Finch nie był zatem w stanie ani odczytać, ani napisać szyfru.

— Czy znalazła panienka to, czego szukała? — spytał Cuff.

— Tak, tak, chwileczkę — odparła pospiesznie. — Prawie skończyłam. — Ponownie otworzyła tom, porównując go z księgą pani Tipton. Wiedziała, że czwarte wydanie nie pasuje do szyfru, ale sprawdziła.

W tej chwili przyszło jej do głowy coś jeszcze. A może stryj miał jeszcze jeden egzemplarz? Istniała słaba szansa, jednak Mary pragnęła zyskać absolutną pewność.

— Czy mogę panience jakoś pomóc? — naciskał Cuff, gdy zaczęła znów przeszukiwać półki badawczym wzrokiem.

— Tak, szukam książki pod tytułem *Komentarze. Black-stone'a* — odrzekła. — Takiej jak ta — dodała, pokazując mu wolumin.

— Nie z tych, które stoją tam na górze?

— Nie, nie z tych, ale całkiem takich samych.

Oboje metodycznie przejrzeni półki — Cuff w stanie zdumienia, a Mary oszołomiona pędem i chaosem własnych myśli. Edward Finch nigdy nie przeczytał tych dokumentów. Nie był szpiegiem. Nie ponosił odpowiedzialności za nic złego.

Ogarnęła ją wielka ulga, po której natychmiast pojawiło się — zalewając ją niczym fala — poczucie winy. Nigdy nie powinna w coś takiego uwierzyć! To przecież był jej stryj, a ona uznała go za zdrajcę! Oczywiście, teraz cieszyła się, że to nieprawda — na litość boską, wszak nigdy nie chciała, aby okazał się szpiegiem. Więc co miał wspólnego z tymi papierami?

— Nie widzę niczego takiego tutaj, panienko — oświadczył Cuff z przeciwnej strony pokoju.

— Ani ja — przyznała Mary — ale proszę, niech pan zerknie jeszcze raz.

Czy stryj mógłby przekazywać te papiery, nie wiedząc, co znaczą? Istniała taka możliwość, chociaż nie wydawała się szczególnie prawdopodobna. Mary stanęła, kiedy dotarła do końca ostatniego rzędu półek. Dlaczego te papiery znajdowały się w White Ladies? To nie miało sensu.

— No i, panienko? — spytał Cuff, znowu przerywając jej zadumę.

— Co? Ach tak, przepraszam, panie Cuff, już skończyłam. — Wzięła głęboki wdech. — Musimy jak najszybciej pojechać do Woolthorpe Manor. Doprowadźmy pomieszczenie do ładu i możemy jechać.

— Do Woolthorpe, panienko?

— Tak. Muszę natychmiast porozmawiać z panem Somerville'em. Och, pośpiesz się, panie Cuff — ponagliła go, ponieważ zaskoczony zastygł bez ruchu pośrodku pokoju.

Pomógł jej zaciągnąć ostatnią zasłonę, po czym wziął strzelbę i poszedł za Mary korytarzem.

— No tego to bym się nie spodziewał! — mruknął. — A co powiemy pani?

Dziewczyna wysunęła szczękę na znak zdecydowania. Na pewno nie prawdę, w każdym razie — pomyślała.

— Będziemy... będziemy musieli coś wymyślić — oświadczyła, gdy zamykała kluczem frontowe drzwi domu.

Z Londynu do Waltham Cross było tylko dwanaście mil i Regulator przybył o czasie, dokładnie co do sekundy. Holland i Deprez wysiedli przy gospodzie Pod Czterema Łabędziami, której właściciel znał Hollanda z jego poprzednich wizyt w pobliskiej prochowni. Mężczyzna znacznie mniej przyjaźnie potraktował Depreza, dając mu nawet do zrozumienia, że odpowiednich wierzchowców posiada niewiele, przybysz nie mógł zatem oczekiwać, że podejdzie do lady i wynajmie dobre zwierzę, chociaż żadnego sobie wcześniej nie zarezerwował.

Holland spierałby się z nim, ale Deprez przyjął bardziej pojednawcze podejście, komplementując właściciela za wyposażenie lokalu i interesujący szyld. Pochwalił też wybitny przykład rzeźbiarstwa, który znajdował się nawet nie o rzut kamieniem od Czterech Łabędzi.

— Bez wątpienia to pewnie wielka historyczna relikwia, jak mniemam?

Właściciel zapewnił go, że rzeźba jest naprawdę „bardzo” historyczna; postawił ją w dawnych czasach król Edward ze względu na swoją żonę.

— Wtedy takie posągi... krzyże, jeśli pan wolisz... stawiano prawie wszędzie, ale te tutaj są najlepsze.

Wielu dżentelmenów tak twierdzi. — Zwrócił się z kolei do Hollanda: — Mówi

pan, kapitanie, że kierujecie się do prochowni? — spytał w zadumie. — Domyślam się, że możesz wziąć Jessa, a Folly⁷ będzie dla pańskiego przyjaciela. Tym koniom nie przeszkadzają wybuchy.

— Hm, Folly — mruknął Deprez z krzywym uśmiechem, kiedy szli do stajni. — Powiedz mi, kapitanie Holland, często dochodzi do wybuchów w prochowni Waltham Abbey?

— Zwykle nie, ale jeśli się denerwujesz, zawsze możesz poczekać na zewnątrz.

— Nie, wejść wszędzie, gdzie będzie mi wolno wejść. Holland oszacował strój swojego towarzysza i ostrzegł go,

że po wejściu do prochowni będą musieli się przebrać. Każdy twardy metal, nawet guzik czy gwóźdź może wywołać iskrę i dlatego stanowi zagrożenie. Prawdopodobnie oni dwaj nie wejdą do żadnego z niebezpiecznych budynków, ale...

— Ale nie zaszkodzi zachować ostrożność? — dokończył Deprez.

— Zgadza się.

Jess i Folly były mocnymi, wytrzymałymi końmi i dotarły na miejsce odpowiednio szybko. Holland nie rozpoznał mężczyzny dyżurującego przy bramie, ale nazwisko kapitana było tu znane, więc bez trudności otrzymał zezwolenie przekroczenia bramy zarówno dla siebie, jak i dla Depreza.

Zostawili wierzchowce w stajniach wraz z tutejszymi końmi, które odpoczywały między zmianami, spędzanymi na pracy przy kruszeniu kamieni. Po zdjęciu płaszczy i wymianie obuwia na kalosze odporne na iskry Holland i Deprez weszli do centralnej części obiektu, na który składała się przetwórnia węgla drzewnego i warsztaty stolarskie. Lekki wiatr przyniósł cierpki zapach saletry potasowej, który stał się silniejszy bliżej przetapialni. Holland rozpoznał jednego z robotników i zamachał mu na powitanie, po czym skierowali się do głównego

342

⁷ *Folly* (ang.) — głupota, szaleństwo.

budynku administracyjnego. Tam powinni znaleźć pana Johna Marshalla, głównego majstra i kierownika placówki Waltham Abbey.

W progu zatrzymał ich jeden z młodszych sekretarzy, blady młodzieniec, w którego głosie pobrzmiwało coś w rodzaju początków przeziębienia.

— Och, kapitanie Holland, sir — jękał się — nie spodziewaliśmy się... Mam na myśli, to nie jest dla pana zwykła pora, prawda? — Rzeczywiście. Panie... Turner, nieprawdaż? Chcę się zobaczyć z panem Marshalllem — Holland mówił zimnym, bezkompromisowym tonem, którego używał zwykle w sprawach zawodowych albo w kontaktach z irytującymi cywilami.

— Proszę wybaczyć, sir, ale nie ma go tutaj.

— A pan Sault?

Kapitan przemknął obok Turnera i otworzył drzwi biura oznaczonego tabliczką z nazwiskiem Jos. Sault. Wewnątrz znajdowało się małe biurko, na którym wszystko — księgi, papier i pióra — było starannie ułożone; za biurkiem stało puste krzesło.

— Pana Saulta również nie ma — odparł Turner.

— Sam widzę. A gdzie jest?

— Nie wiem, sir. W ogóle się dzisiaj nie pojawił.

— A Marshall?

Turner wytarł nos i nerwowo wyjaśnił, że pan Marshall jest nieobecny tylko chwilowo, gdyż musiał udać się do pyłowni. — Poszedł już dawno, sir. Czy chciałby pan, żebym go sprowadził? — Zanim Holland zdążył odpowiedzieć, Turner otworzył okno i krzyknął: — Wilson! — Ukazał się chłopczyk, którego brudna twarz i kalosze sugerowały, że często wchodzi do różnych budynków fabryki. — Biegnij i powiedz panu Marshallowi, że jest tutaj kapitan Holland i chce się z nim zobaczyć. Sądzę, że pan Marshall jest w pyłowni. Pospiesz się, no już.

Holland rozejrzał się po głównym biurze. Nie było miejsc,

które mogliby zająć, chyba że przysiedliby na stołkach obok Turnera, wydmuchującego ciężko nos w chusteczkę.

— Zaczekamy w biurze Marshalla.

— Och, tak, sir, proszę bardzo — padła nieco przytłumiona odpowiedź.

W gabinecie kierownika stało masywne dębowe biurko, które mogłoby się przydać jako barykada w przypadku zagrożenia eksplozją, a także kilka mniej więcej wygodnych krzeseł i przeszklona szafa. Ta ostatnia zawierała księgi, w których odnotowywano różne aspekty typowego procesu produkcyjnego, a także niektóre z prac doświadczalnych prowadzonych w Waltham od momentu przejęcia fabryki przez rząd w 1787 roku.

— Nie dałbym dużo za regulacje dotyczące bezpieczeństwa w tym biurze — zauważył Deprez. Zastukał w drzwi szafki, które wyglądały, jakby mogły się stłuc przy bardziej energicznym potraktowaniu.

— Nie, ale pamiętaj, że wpuszczono cię tu tylko dlatego, że jesteś w moim towarzystwie.

— To prawda, a ty wyraźnie pozostajesz poza podejrzeniami. — Deprez zamknął za nimi drzwi. — Opuuszczona litera. Zamiast niezrozumiałego „salta”... usunięcie Saulta. Łatwa pomyłka panny Finch, ale, dzięki Bogu, zdałeś sobie z niej sprawę. Znasz tego Saulta?

— Właściwie nie. Spotkałem go kiedyś... jest głównym sekretarzem Marshalla. Rejestruje wyniki próbnych wystrzałów i domyślam się, że sporo spraw przechodzi przez jego ręce. Gdyby Francuzi chcieli odkryć, co dzieje się w prochowni, Sault potrafiłby im odpowiedzieć na wiele pytań. Ale poznamy zdanie Marshalla na ten temat.

Usiedli, aby poczekać, lecz na dźwięk podniesionych głosów docierających z korytarza wkrótce znowu wstali. Holland otworzył drzwi biura, gdy Turner pytał małego Wilsona, czy przekazał wiadomość.

— Nie ośmieliłem się, proszę pana.

— O co chodzi? — zapytał kapitan. Turner nie mógł odpowiedzieć, gdyż akurat kichał, więc Holland zwrócił się niecierpliwie do chłopca: — Powiedz mi, co się stało — polecił. — Coś w pyłowni? Wilson potrząsnął głową; jego twarz była blada pod brudem.

— W głównej sali fabrycznej, proszę pana. Fredowi Buck-landowi wciągnęła rękę jedna z kruszarek. Okrutnie go poharatała i pan Marshall nie chciał go ruszać.

— Jest tam lekarz? — spytał Deprez.

— O tak, proszę pana — odparł Wilson. — Posłali po niego. Wszędzie wokół krew — dodał, w nagłym przypływie natchnienia — a Fred Buckland płacze i błaga, żeby nie dotykać jego ramienia. Boi się, że mu je odetną. — W porządku — uciał kapitan, marszcząc brwi. — Teraz pobiegiesz i poczekaasz na doktora przy bramie. I nie pozwól mu wnieść żadnych metalowych narzędzi.

Chłopiec popędził do frontowej bramy, a Holland ruszył w kierunku fabryki.

— Och, kapitanie Holland, dokąd pan idzie? — zawołał Turner, stając w wejściu. — Niech pan będzie ostrożny! — dorzucił, kiedy na jego pytanie kapitan odpowiedział jedynie lekceważącym machnięciem ręki. Deprez przepchnął się obok młodzieńca i pospieszył za Hollandem. Właśnie go dogonił, kiedy inny głos zawołał:

— Kapitanie! Sir! Kapitanie Holland!

Holland nie odpowiedział, ale koniec końców zatrzymał się i uśmiechnął, rozpoznając kuśtykającego ku niemu mężczyznę.

— Tom! — zawołał. — Jakie nowiny o Fredzie Bucklandzie?

— Kapitanie, sir! Czy to pan?

— A któżby inny? Trzymajcie się, lekarz jest w drodze. Czy bardzo źle z nim?

Te pytania Holland zadawał starszemu człowiekowi, siwemu i nieco zgiętemu na bok. Starca dawno by posłano na emeryturę, gdyby nie to, że nadzwyczajnie sobie radził z tutejszymi końmi. Zazwyczaj towarzyszył zwierzętom w drodze do pracy i z pracy

w głównej hali fabrycznej, a sądząc po jego zmartwionej minie, był również obecny podczas wypadku. Teraz uściśnął dłoń kapitanowi i obrzucił go ostrym, lecz przyjaznym spojrzeniem.

— Tak, sir, biedny Fred jest w kiepskim stanie.

— Straci rękę?

— Prawdopodobnie tak.

— Biedaczysko — mruknął Holland. — Jak do tego doszło? Tom wzruszył ramionami.

— Nieostrożność, uważam, albo pośpiech. Fred bardzo lubił gadać w trakcie roboty. Rozmowy zaś są niebezpieczne, jeśli trzeba wykonać poważne zadania. Ale co u pana, sir, czy wszystko w porządku?

— Oczywiście... Byłem w Walton's House.

— Dzięki Bogu za to — powiedział Tom, dla podkreślenia swoich słów klepiąc rękę Hollanda. — Tak się martwiłem... nie że powinienem... wiem, ale czasami ludzie potrafią tak skołować człowieka... tymi wszystkimi pytaniami...

— Ale o co chodzi, Tom? Kto cię wypytywał?

— Nie przedstawił się. Sądziłem, że jest z departamentu uzbrojenia, z pułku albo gdzieś z rządu, chociaż wyglądał dla mnie bardziej jak prywatny śledczy... Kręcił się wokół głównego wejścia i po wsi. Jednak jeśli pan widział pana Marshalla...

— Poczekaj — przerwał mu Holland, podnosząc rękę. — Nie widziałem się jeszcze z Marshalllem. Lepiej powiedz mi, o co chodzi. Tom zerknął na Depreza.

— Możesz przy nim mówić, Tom, śmiało! — zapewnił go kapitan.

— Skoro pan tak twierdzi, sir — zgodził się stary, a potem wciągnął obu mężczyzn za składzik, w miejsce osłonięte od wiatru. Tam opowiedział szeptem, że jakiś obcy człowiek węszył po fabryce, zadając najrozmaitsze pytania na temat prochowni, ludzi i... kapitana Hollanda.

— Pytał o mnie? O co konkretnie?

— Och, tak, sir, miał mnóstwo pytań. Chciał wiedzieć, jak

często przyjeżdżasz tutaj, od jak dawna i wszystko inne, co mógłbym mu powiedzieć. — Holland milczał, więc Tom kontynuował: — Niech się pan jednak nie martwi, sir. Może pan na mnie liczyć... Nic mu nie powiedziałem. — Skinął głową przebiegle.

— Cholera, stary, co niby miałbyś mu powiedzieć?!

— Nie, sir, nic. Chcę tylko podkreślić, że nie wyniknęło mi się nic niewłaściwego! — Poklepał kapitana uspokajająco po ręce. — Ale chciałem się upewnić, że wszystko jest w porządku. Prawda, sir, że tak?

— Oczywiście, że tak... — Holland przerwał i podjął łagodniejszym tonem: — Oczywiście, że wszystko jest w porządku. Nie sądzisz chyba, Tom, że się od czegoś migam, prawda?

Tom chciał się uśmiechnąć, lecz na jego twarzy pojawił się raczej niespokojny grymas.

— Och nie, sir.

— Powiedziałeś, że ten człowiek wyglądał jak śledczy — zauważył Deprez. — Możesz opisać go dokładniej? — No cóż, był niewysoki i taki nerwowy, jeśli rozumiesz, panie, o czym mówię. I miał bliźnę. O tutaj. — Tom wskazał miejsce nad ustami. — Nie należał do ludzi, których od razu się lubi. Wyglądał, jakby wiedział, co człowiek ma w kieszeniach.

— W porządku — Holland kiwnął głową — dobrze. Teraz powiedz mi, Tom, czy ten człowiek pytał o pana Saulta?

— O pana Saulta, sir?

— Tak. Wiesz, sekretarza pana Marshalla. Niecierpliwość w głosie Hollanda sprawiła, że starzec bardzo starał się udzielić pożądaney odpowiedzi. Przyznał, że być może niektóre spośród pytań dotyczyły Saulta, ale nie miał pewności. Myślał raczej o kapitanie. Nie mógł też sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem widział Saulta, chociaż chyba było to w ubiegłym tygodniu... albo w jeszcze poprzednim. Pomyślał przez chwilę, marszcząc czoło intensywnie i z wysiłkiem, aż w końcu mruknął, że Sault chyba wyjechał do Londynu.

Deprez spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Dlaczego tak pan sądzisz?

— Otóż, sir, chyba słyszałem, że pan Sault ma tam rodzinę, w dzielnicy Marylebone. Tak, sir, właśnie tam — kontynuował Tom coraz śmieiej. — Chyba jeździ tam regularnie odwiedzać matkę... To ładnie z jego strony...

— Rzeczywiście — zgodził się z nim Deprez. — Matka w Marylebone... cóż może być dogodniejszego?

Tom przyjrzał się Hollandowi z niepokojem.

— Mam nadzieję, że postąpiłem właściwie, sir.

— Co? Och, tak. I dziękuję, że mi o tym mówisz. — Holland zwrócił się do Depreza: — Ten człowiek... ten, który wypytywał... na pewno był przyjacielem Saulta. Prawdopodobnie chcieli wiedzieć, czy ktoś Saulta o coś podejrzewa.

Mina Depreza pozostała sceptyczna, niemniej jednak mężczyzna kiwnął głową.

— Bardzo prawdopodobne — powiedział. — Wyczuli, że jesteśmy na ich tropie.

— Ale co to wszystko znaczy? — spytał Tom. — W czym kłopot?

— Obawiam się, że teraz nie mogę ci tego wyjaśnić. Właściwie — ciągnął Holland — chyba ostatecznie zrezygnujemy ze spotkania z Marshallem. Jest zajęty i... Temat, na który teraz rozmawialiśmy, Tom, najlepiej zachowaj dla siebie.

Stary znów kiwnął głową, powoli, lecz zdecydowanie.

— Tak, kapitanie, może pan na mnie liczyć.

— Dziękuję za to — odparł Holland, ściskając starcowi dłoń. — Rób to, co robiłeś do tej pory i... zaopiekuj się Fredem Bucklandem.

— Tak, sir, a pan niech na siebie uważa. I mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce, jak zwykle. — Potrząsnął głową, gdy Holland i Deprez odchodzili szybkim krokiem. — Ci młodzi ludzie stale się spieszą. A to najlepsza droga do wypadków, bez dwóch zdań.

18

Około mili od White Ladies wąski, kręty trakt łączył się z główną drogą, która prowadziła do Woolthorpe Manor. Gdy wóz pani Tipton pokonał zakręt, Mary rozsiadła się na siedzeniu, mimo niebezpieczeństw związanych z szybką jazdą tym starym powozem, zadowolona, że w końcu mogą przyspieszyć na prostej. Zastanawiała się właśnie, co dokładnie powie panu Somerville'owi, kiedy po kilku chwilach znów poczuła szarpnięcie do przodu. Dlaczego zwalniali? Powóz zakołysał się i zaskrzypiał, jakby on także się skarżył, więc otworzyła okno, a wówczas zaskoczona zobaczyła nadjeżdżający z przeciwnego kierunku pojazd, który bardzo przypominał powóz pana Somerville'a. Zamachała niecierpliwie ręką i zawołała do Cuffa, aby się zatrzymał. Kiedy drugi powóz zrównał się z nimi, jej przypuszczenia potwierdziły się. Powóz należał rzeczywiście do pana Somerville'a, choć właściciela nie było w środku. Zamiast niego dziewczynę powitał, równie jak ona zdumiony, Hicks. Widząc, że Mary nie towarzyszy pani Tipton, spytał, dokąd się wybiera.

— Do Woolthorpe Manor! Chodzi o to, że... zamierzałam porozmawiać z panem Somerville'em, lecz być może lepiej opowiem wszystko panu.

— No cóż — zagrał na zwłokę — trochę się spieszę. Wychyliła się z okna.
— Tak — syknęła głośnym szeptem — ale to jest bardzo ważne. Jest coś nie tak... z szyfrem.
Hicks nerwowo bawił się zegarkiem, którego teraz o mało nie upuścił.
— Co powiedziałaś, pani? — Zanim jednak zdążyła powtórzyć odpowiedź, wysiadł i energicznym ruchem otworzył drzwi jej powozu. — Poczekaj chwilę, poczekaj — szepnął i wyciągnął rękę. — Chodźmy. — Potem wciągnął Mary do swojego powozu i podjął zadyszczanym głosem: — Dużo bezpieczniej tutaj... na osobności. Teraz... proszę mi powiedzieć, co się zdarzyło.
— Pomyliłam się—wyrzuciła z siebie — nie chodzi o tekst, lecz o źródło. — Krótko opowiedziała mu o odkryciu, które poczyniła, czyli o rozbieżnościach między pierwszym i czwartym wydaniem *Komentarzy*. — Więc widzi pan, że zmienia to wszystko, co... naszym zdaniem... się wydarzyło. Związki mojego stryja ze sprawą i... tak dalej!
Hicks siedział przez chwilę w milczeniu ze skrzyżowanymi rękami i podbródkiem wspartym na zaciśniętej w pięść ręce, po czym odezwał się szorstkim, spiętym ze zdenerwowania głosem.
— Tak się złożyło, że jadę właśnie do Londynu i nie mogę zwlekać. Jednak... to, co mówisz, pani... Czy możesz przejechać ze mną część drogi... tylko do Woodbridge? Chciałbym poznać wszystkie szczegóły pani odkrycia.
— Tak, oczywiście — zgodziła się natychmiast. Nastawienie mężczyzny całkowicie ją uspokoiło. Zanim wyruszyła w drogę z White Ladies, miała nieco wątpliwości, że pan Somerville nie do końca pojmie jej punkt widzenia bądź nie potraktuje jej poważnie. Z Hicksem jednakże czuła się pewniej. Rozumieli się dobrze i przekazując mu informacje, odniosła wrażenie, że ktoś zdjął z jej pleców wielki ciężar. Uśmiechnęła się do niego i był to uśmiech ulgi.

— Bardzo dobrze. — Mężczyzna poklepał ją po dłoni, a potem znów wysiadł. Wrócił po chwili i wtedy pojazdy rozdzieliły się: jeden pojechał na południe, do Woodbridge, a drugi na północ, do następnego zakrętu, później zaś z powrotem, drogą nadbrzeżną do Lindham.

— Teraz co do szyfru — podjął Hicks, gdy ruszyli ze stukotem kół. — Mówi pani, że jej odkrycie zmienia wszystko, nie jestem wszakże pewny, czy jest tak w istocie. Fakt, że pani stryj posiadał czwarte wydanie *Komentarzy*, nie znaczy, iż nie miał także wydania pierwszego... Po prostu nie znaleźliście go w bibliotece.

Mary przyznała, że gdzieś w White Ladies może oczywiście leżeć inny egzemplarz dzieła Blackstone'a, musiała się też zgodzić, że jej stryj mógłby pośredniczyć w przekazywaniu dokumentów, których treści nie potrafił odczytać. Niektórzy ludzie wcale nie są aż tak ciekawscy jak ona, nawet jeśli nie mogła sobie tego wyobrazić. Hicks przypomniał jej, że informacje były tajne, a szyfrowanie dokumentów nie miałyby sensu, gdyby każdy, kto się z nimi zetknie, potrafił je przeczytać.

— Tak—podsumował. — Jestem przekonany, że wszystkie te osoby zostały wynajęte i sownie opłacone za wykonanie zadań, które im wyznaczono. I żadna z nich nie wiedziała, co robi.

Określenia „wynajęte” i „sownie opłacone” spowodowały, że serce dziewczyny nieprzyjemnie załomotało i musiała odchrząknąć, zanim była w stanie cokolwiek odpowiedzieć.

— Przypuszczam, że tak — wymamrotała.

— I, widzisz pani, czasami ludzie wolą nie myśleć zbyt dużo — kontynuował Hicks.

Podeksytowanie wywołane niespodziewanym pojawieniem się Mary już ustąpiło i teraz mężczyzna mówił spokojniej. — Kiedy postanawiają coś zrobić, nie mają ochoty przeciągać dyskusji nad swym czynem. A czasami wolą nie słuchać z obawy, że utracą zimną krew.

— Tak. — Mary zawahała się. Zaledwie przed chwilą własne

odkrycie wydawało jej się przełomowe, teraz natomiast czuła, że prawdopodobnie nie oznacza ono nic. Być może jej stryj był jednak zdrajcą i nic się nie zmieniło. Ostatecznie, szyfr naprawdę działał, a kapitan Holland uważał, że fakty zawarte w dokumentach są prawdziwe.

Mimo iż w zasadzie uznała ten stan rzeczy, pomyślała, że poddaje się zbyt łatwo. Skoro coś nie miało dla niej sensu, dlaczego, jedynie z czystej uprzejmości, miałyby twierdzić, że jest inaczej, lub udawać, że wszystko w porządku. Uznała, że nie zna wszystkich szczegółów, więc dalej wypytywała Hicksa. A jeśli jakiś wróg stryja z zemsty zostawił dokumenty w White Ladies, co wtedy? Wiadomo, że William Tracey był przestępcą i posiadał klucz od domu. Czy nie mógłby ich podrzucić, na przykład podczas jakiejś poprzedniej wizyty? To zapewne podważałoby wiarygodność samych dokumentów... A wiadomość dotycząca pierwszej kwadry? Mary zajrzała do almanachu pani Tipton i wiedziała, której nocy Księżyc będzie w pierwszej kwadrze — czy spotkanie jutro wieczór nie wydaje się dziwnie bliskie?

Ani pytania, ani ich porządek nie były całkowicie logiczne, ponieważ zadawała je, gdy przychodziły jej do głowy, a kobiecy umysł — zgodnie z tym, co powiedział pan Somerville — działa inaczej niż męski. Niemniej jednak Hicks odpowiadał tak dobrze, jak potrafił. Wątpił, czy wróg czekałby na śmierć pana Fincha, by szukać zemsty... Zresztą, zemsty za co? Gdyby pan Finch nie był zamieszany w przemyt informacji, dlaczego ktoś miałby zrzucać na niego odpowiedzialność za... taki czyn? Jeśli Tracey doznał jakichś krzywd z rąk pana Fincha, to jakim cudem nikt w Lindham nigdy o nim nie słyszał, no i właściwie dlaczego w ogóle pan Finch miałby się wiązać z takim prostym osobnikiem? Co do terminu spotkania Pod Maczugą i Celami, Hicks powiedział tylko, że jeśli chodzi o niego, rzeczywiście wolalby mieć więcej czasu niż dwa dni na zastawienie zasadzki na szpiegów. Cała rzecz była niezmiernie niezręczna i Hicks nie wiedział, jak sobie poradzą.

Mary słuchała go uważnie. Jej niepokój nie był całkiem rozsądny, lecz nie mniej przez to realny.

— Nie mogę zupełnie... To wszystko jest takie... dziwne — mruknęła.

— Jest dziwne — przyznał Hicks, po czym umilkł. Powozem pana Somerville'a jechało się wygodnie.

Mary

nie musiała się szczególnie skupiać na jeździe, więc wypatrywała przez okno. Zdawała sobie sprawę, że się przemieszczają, jednak jej umysł nie zarejestrował żadnego konkretnego widoku, koloru czy dźwięku; postrzegala tylko zimny, płaski krajobraz, do którego nie czuła żadnej sympatii. To poczucie oderwania od rzeczywistości bynajmniej nie ułatwiało jej analizy własnych myśli, a milczenie, które zapadło między nią i Hicksem, również nie pomagało. Po pewnym czasie Mary zaczęła odczuwać przymus podjęcia rozmowy, cóż jednak mogłaby powiedzieć poza ponownym wyrażeniem niepokoju? Otworzyła usta, lecz zanim zdołała zacząć, Hicks powiedział:

— Zaraz, zaraz! — A potem, ciszej, dodał: — Proszę poczekać! Chyba muszę w pełni zaufać pani w tej sprawie.

Mary była tak zaskoczona tą uwagą, że nie odezwała się ani słowem. Po kolejnej chwili ciszy mężczyzna podjął opowieść, przy czym wyraźnie porzucił gburowaty i nieokrzesany sposób bycia.

— Jak pani wie, panno Finch, chociaż dopiero niedawno zjechaliśmy za szpiegiem do Suffolku, pan Deprez i ja jesteśmy na jego tropie od dłuższego czasu. Nie twierdzę, że rozwiązaliśmy każdy element tej zagadki, kilka niewiadomych stopniowo nam się jednak wyjaśniło. I muszę powiedzieć, że nie usatysfakcjonował nas udział kapitana Hollanda w tej sprawie.

— Nie usatysfakcjonował?! — zawołała Mary, jeszcze bardziej zadziwiona. — Co pan ma na myśli?

— Że choć ty, pani, uważasz kapitana za bardzo walecznego mężczyznę, który udzielił ci pomocy i wyprowadził z White Ladies, a także wyjaśnił rozszyfrowane dokumenty i zabezpieczył je, jego działania można by odczytać całkiem inaczej.

— Nie sądzicie chyba, że kapitan Holland jest jakoś zaangażowany w ten... spisek — prychnęła pogardliwie. — To znaczy... ja w to nie wierzę.

— Proszę wziąć coś pod uwagę — odparł Hicks. Jego spokojny ton stanowił skuteczny kontrpunkt dla podniesionego, zdenerwowanego głosu Mary. — Spotkałaś go, pani, przez przypadek w Ipswich i natychmiast zgodził się towarzyszyć ci do White Ladies... mimo że nie było mu po drodze. Oba te fakty uderzają mnie jako nadzwyczaj godne uwagi. Ale być może nie są dziwne, jeśli przypomnimy sobie, że William Tracey, który brał udział w przemyśle i należał do siatki szpiegowskiej, również w owym czasie przebywał w Ipswich. Dlaczego tam był? Dlaczego czekał w gospodzie Pod Wielkim Białym Koniem dzień po dniu? Pewnie miał się spotkać ze swoim współpracownikiem... kimś wyżej postawionym albo może nawet samym szpiegiem.

— Ale nie z kapitanem Hollandem! — upierała się Mary. — Kapitan był całkiem przeciwny podejrzeniom, jakoby pan Tracey znał mojego stryja albo że stryj był zamieszany w coś niestosownego...

— Jakże mógłby twierdzić coś innego, skoro sam się wmieszał w coś... niestosownego. Znacznie łatwiej mu było wyperswadować pani wszelkie pomysły tego rodzaju. Ale śmierć Traceya pokrzyżowała wszystkie dotychczasowe plany. Kapitan Holland musiał przyjechać tutaj i spotkać się bezpośrednio z przemytnikami. I proszę nie zapominać, co się zdarzyło w White Ladies. Zostawił cię samą w majątku i poszedł szukać informacji o twoim stryju... przynajmniej tak powiedział. Byłoby interesujące dowiedzieć się, co jeszcze wtedy robił.

— Ale... przecież został uwięziony w piwnicy wraz ze mną. Nie twierdzi pan chyba, że to wszystko było... farsą? Jakiemu celowi miałyby taka farsa służyć?

Hicks grał na czas, wzruszając ramionami.

— Nie dotarliśmy do podstaw tej intrygi i nie chciałbym niczego mówić na pewno. Może to był podstęp, chociaż

podejrzewam, że wzięto go po prostu za kogoś innego. Bardzo prawdopodobne, że przemytnicy z Lindham w ogóle nie znali Hollanda, ponieważ zawsze kontaktował się przez Traceya. Pani śledztwo obudziło ich czujność, więc pojechali za wami do White Ladies i zamknęli was oboje w piwnicy, nie uświadamiając sobie, że źle potraktowali jednego ze swoich towarzyszy.

Mary wysłuchiwała tej interpretacji z pochmurną miną; takie wyjaśnienie było oczywiście możliwe, lecz nie wydawało jej się zbyt prawdopodobne.

— Jeśli jednak tak się stało, dlaczego kapitan w żaden sposób nie... próbował wyjaśnić wszystkiego tamtym ludziom? Dlaczego ryzykował ucieczkę?

— Tego typu złoczyńcy działają w sposób przemyślany — przypomniał jej Hicks. — Lepiej przemawiają do nich czyny niż słowa. A pani obecność stanowiła, ma się rozumieć, dodatkową komplikację. Jak Holland miałby wytłumaczyć swoją pozycję przemytnikom bez skompromitowania się w pani oczach? Natomiast poprzez zorganizowanie śmiałej ucieczki, a także zarobienie ciosów w głowę i w nos stał się niewinną ofiarą i mężnym wybawcą. Nie istniał chyba lepszy sposób dowiedzenia swej wiarygodności wobec nas wszystkich.

— Ale to nie było tak — spierała się Mary. — Pan nie rozumie. — Nawet jednak wymawiając te słowa, zaczęła doświadczać dręczących wątpliwości. Interpretacja Hicksa nie pokrywała się z jej własnymi wspomnieniami, lecz czy miała pewność, że dobrze wszystko zapamiętała? Przeżycie było niepowtarzalne i przerażające — mogła naprawdę zapomnieć, co się zdarzyło.

— I być może zdołał wyjaśnić im te sprawy, kiedy wrócił sam po konia — podsunął Hicks. — Ta kwestia jest raczej zadziwiająca, muszę powiedzieć. Dlaczego narażał waszą ucieczkę, wracając?

— No taaak — przyznała Mary. — Ja... Pomyślałam tak wtedy — zastanawiała się przez chwilę, przygryzając wargę.

Rzeczywiście tak wtedy pomyślała. A tamten człowiek na drodze... ten, który przeszedł tuż obok niej na podjeździe White Ladies, ale na którego Holland rzekomo się nie natknął, mimo że mijał go zaledwie kilka sekund później. Zapewnił ją w każdym razie, że nikogo nie spotkał. — Ale uciekliśmy — upierała się, odsuwając od siebie wątpliwości. — Ktoś usiłował nas zatrzymać...

— Krzykiem? I z tego, co słyszałem, raczej łatwo ustąpił. Nikt nie oddał przecież w waszą stronę nawet jednego strzału, a z pogoni przemytnicy zrezygnowali. Później zaś Holland zostawił panią u pani Tipton, zyskując sobie w oczach nas wszystkich reputację wielkiego bohatera... bardzo bohaterskiego żołnierza.

Mary przypomniała sobie, jak Holland uśmiechał się do niej ich ostatniego wspólnego wieczoru w Lindham Hall, wtedy, gdy zasugerował korespondencję. Wspomnienie jego słów i drżenia, z jakim ich wtedy słuchała, wywołały teraz u niej żywy rumieniec. Czyżby była głupia, że mu wierzyła?

— Nie mógł wiedzieć, że znajdę te dokumenty — zaprotestowała.

— Nie, lecz prawdopodobnie uważał za wielce prawdopodobne, że jakieś podejrzane papiery gdzieś się pojawią. A jakież to interesujący zbieg okoliczności, że te, które pani znalazła, dotyczyły akurat spraw znajdujących się w jego zawodowych kompetencjach. Kapitan jest prawdopodobnie najbardziej kompetentnym człowiekiem w całej Anglii, jeśli chodzi o wyjaśnienie treści zawartej w tych tekstach.

— Tak — Mary przyznała półgłosem — sam mi to powiedział.

— Ach tak? Czy mówił coś jeszcze?

Mary kiwnęła głową i prawie wyszeptała następujące słowa:

— Zapewnił mnie, że nie jest szpiegiem.

— Powiedział to?! — zawołał Hicks. Potem rozłożył ręce, jak gdyby wszystko nagle stało się jasne.

— Najwyraźniej wiedział, że go podejrzewamy, i próbował wprowadzić panią w błąd.

— Tak, ale... Nie wiem. — Potrząsnęła głową, przypominając sobie własne nagłe podejrzenia z poprzedniej nocy, zdecydowała jednak, że w chwili obecnej nie ujawni ich Hicksowi. — Te papiery... dlaczego miałby ich pragnąć?

— Moja droga panno Finch, ażeby odłożyć je w bezpieczne miejsce... przez co rozumiem miejsce z dala ode mnie, pana Depreza, a nawet z dala od pani. Ponieważ, pani, sama miałaś wątpliwości od samego początku. Po prostu trochę czasu zajęło ci poskładanie wszystkich faktów w całość.

— Tak, tyle że ja nigdy... nie tak! — Usiadła prosto, przyciskając łopatki do oparcia siedzenia. — A co myśli pan Deprez?

— Pan Deprez od pewnego czasu nie ufa kapitanowi Hollandowi. Widzisz, pani, kapitan nie jest bogatym człowiekiem, a zdobyte informacje dałyby mu możliwość zarobienia dużej kwoty. To wielka pokusa.

Mary kiwnęła głową i równocześnie niemal usłyszała głos Hollanda, tłumaczącego jej, że byłaby głupia, gdyby nie rozmyślała o pieniądzach stryja... Powiedział wówczas, że on myśli o pieniądzach przez cały czas. Wspomnienie było tak żywe, że Mary przegapiła początek następnego zdania, które wygłosił Hicks. Odwróciła się do niego nagle, kiedy usłyszała wzmiankę o „młodej damie”.

— Jaka młoda dama? — zapytała.

— Jego kuzynka albo inna dalsza krewna. — Hicks wzruszył ramionami. — Zdaje mi się, że jest majątna i pochodzi z dobrej rodziny. Jej rodzice nigdy nie pozwolą jej poślubić takiego gołodupca jak Holland i on na pewno o tym wie. Fakt ten mógłby go dodatkowo skłonić do pilnego podreperowania własnych finansów.

„Najdroższa Susannah!”

— Ponadto, proszę wziąć pod uwagę jego zachowanie po powrocie do Woolthorpe — kontynuował Hicks. — Holland przyznał się, że zawarte w tekstach informacje są tajne, ale kiedy rozmawialiśmy o konieczności zdemaskowania zdrajców,

polemizował z nami w każdym punkcie. Oznajmił, że to jego sprawa i on zdecyduje, jakie kroki należy przedsięwziąć, a co zostawić w spokoju. Pan Somerville i pan Deprez mogliby jego zdaniem usiąść i zbijać baki. Kiedy zatem nagle postanowił pojechać do Londynu, zabierając wszystkie obciążające dokumenty ze sobą, pan Deprez postanowił mu towarzyszyć. Londyn, pani, to wielkie miasto, jak wiesz, i kapitan mógłby bez trudu po prostu tam zniknąć.

Hicks podczas swojej przemowy coraz bardziej się zapalał, teraz jednak westchnął, gdyż zdał sobie sprawę, jaki skutek wywarły jego rewelacje na Mary. Dziewczyna pobladła i zamknęła oczy.

— Przepraszam, panno Finch. Nie uwierzyła pani w to wszystko wcześniej i nie winię pani za to — powiedział łagodnie. — Myślałaś, pani, że kapitan ci pomaga i...

— Naprawdę mi pomógł. — Otworzyła oczy i uśmiechnęła się słabo do Hicksa. — Próbuję być rozsądna — broniła się — ale to trudne... Wielu rzeczy nie rozumiem, a niektóre... proszę mi wybaczyć... w ogóle nie mają dla mnie sensu.

Hicks zgodził się z nią.

— Sprawa jest bardzo skomplikowana, ale Deprez na pewno wie, jak postąpić.

Mary kiwnęła głową w zamyśleniu. Tak, pan Deprez zrozumie tę... tajemnicę. Najwyraźniej oboje pokładali w nim wszystkie nadzieje.

Powóz zwolnił i Hicks pochylił głowę, aby wyrzeć przez okno.

— Ach, oto i Woodbridge. Będziemy tu zmieniać zaprzęg, a potem pojedę dalej, do Ipswich, ale wcześniej załatwię dwukólkę, która odwiezie panią do Lindham Hall.

Sprzeczne obrazy nadal atakowały jej umysł, ale Mary trzymała się jednego bezspornego i zrozumiałego dla niej faktu — szyfr nie działał albo przynajmniej niezupełnie. Co właściwie zawdzięczała kapitanowi Hollandowi? Jeśli zrobił coś niestosownego, dlaczego miałyby się o niego martwić, skoro są

inne, ważniejsze względy? Zdrada i szpiegostwo... W tym momencie powóz się przechylił, gdyż konie zostały wyprzęgnięte, a woźnica pana Somerville'a zaczął wykrzykiwać instrukcje związane z „tym cholernym wędzidłem”.

Pod wpływem impulsu dziewczyna odwróciła się do swojego towarzysza.

— Panie Hicks, wzięłbyś mnie pan ze sobą?

— Wziąć panią... do Ipswich?

— Nie... do Londynu.

Mężczyzna zaczął się właśnie podnosić, lecz jej słowa sprawiły, że opadł znów na siedzenie i zagapił się na nią z niedowierzaniem.

— Chce pani jechać do Londynu? — powtórzył.

— Tak. Zgadza się z panem co do... mojego stryja, ale myślę, że do rozważenia jest wiele ważniejszych kwestii. Wszyscy całkowicie polegaliśmy na szyfrze... kapitan Holland i pan Deprez...

— Ale...

— Tak, wiem, że pan nie ufa kapitanowi, i być może ma pan rację. — Wymawiała te ostatnie słowa szybko i z coraz większym zapałem. — Ja nie jestem pewna... Chodzi mi jednak o to, że pan Deprez podjął decyzje, których być może by nie podjął, gdyby wiedział, że szyfr nie jest całkiem właściwy. Trzeba powiadomić go o tym natychmiast. Może będzie musiał przemyśleć ponownie pewne kwestie albo... znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie, jeśli zamierza po prostu działać tak jak dotąd!

— Rozumiem — Hicks zgodził się z nią—jednak... przecież ja mu powiem o pani odkryciu.

Oczywiście, że mu powiem w chwili, gdy go zobaczę. W jaki sposób ta informacja będzie lepsza, jeśli ty mu, pani, ją przekażesz?

Otwarcie się uśmiechnęła.

— Nie przypuszczam, żeby była lepsza. Zdaję sobie sprawę z tego, że brzmi to strasznie samolubnie z mojej strony, lecz po tym, co się zdarzyło, trudno mi stać z boku, szczególnie że

nie doprowadziliśmy jeszcze wszystkiego do końca. Wydaje mi się, że trzeba ustalić pewne szczegóły. A poza tym ja naprawdę wiem strasznie dużo o tym szyfrze.

— Tak, tyle że... — Hicks skrzywił się z niechęcią. Lubił Mary, ale nie potrafił pozbyć się prześladowającej go myśli: „zawzięte kobiety, których nie sposób przekonać”. Zdołał na szczęście nad sobą zapanować, a po chwili wpadł nawet na pewien pomysł, dzięki któremu mógłby wykorzystać tę kobiecą cechę. — A co z panią Tipton? Jak zamierzasz jej to wszystko wyjaśnić?

Myśl o gospodyni podziałała trzeźwiąco. Mary wiedziała, że nie zdoła niczego wyjaśnić pani Tipton, na pewno nie w sposób, który zyska jej aprobatę. Ale po prostu odjechać, uciec bez słowa... to było bardzo złe... niegrzeczne i niewdzięczne. Niestety, wyjazdu do Londynu nie da się ukryć.

— Powiadomię ją, że zostałam zmuszona... niespodziewanie zmuszona wyjechać do stolicy w wielkim pośpiechu, lecz jestem absolutnie bezpieczna, a sprawa — najwyższej wagi i... przyzwoita. Mogę teraz napisać notkę, a ktoś z gospody ją dostarczy.

— I wierzysz, pani, że to ją zadowoli? Poczwała, że się rumieni.

— Nie, lecz... przynajmniej nie będzie się zamartwiała od samego początku. No i nic więcej nie mogę zrobić, jeśli nie chcę skłamać. A zatem — dodała po krótkiej przerwie — zabierze mnie pan ze sobą do Londynu albo... będę musiała pojechać sama.

— Sama?! — wykrzyknął Hicks, wyraźnie zgorzony.

— Tak — odparła i wraz z kolejnymi słowami jej ton stawał się śmielszy. — Dostanę kredyt na pokrycie opłaty w banku Collier's. Wie pan przecież, że jestem dziedziczką. Mogę sobie pozwolić na wynajęcie pojazdu... nawet na zakup jakiegoś, jeśli zajdzie potrzeba. — Potem uśmiechnęła się. — Ale wołałabym pojechać z panem.

Niezadowolony mężczyzna westchnął, jednak zdecydowanie na twarzy Mary przekonało go, że dalsze dyskusje są daremne.

Kobiety! — pomyślał. — Niezależnie od ich zasług, stale były z nimi kłopoty.
— Więc dobrze — stwierdził szorstko. — Przypuszczam, że muszę się zgodzić.

Holland i Deprez wrócili do gospody Pod Czterema Łabędziami przez osadę Waltham Abbey, nie dlatego, iż któryś z nich sądził, że naprawdę znajdą Josepha Saulta w domu, ale ponieważ chcieli sprawdzić, czy sąsiedzi sekretarza pomogą w jakiś sposób w jego zlokalizowaniu. Objazd okazał się stratą czasu. Nikt nie widział, jak Sault wyjeżdżał, nikt też nie potrafił dostarczyć żadnych wiarygodnych informacji, dokąd mógłby się udać. Był spokojnym, szanowanym człowiekiem, który nie sprawiał żadnych kłopotów. Właśnie te cechy wszyscy podkreślali i ludziom trudno było go sobie wyobrazić w innej roli.

Ponieważ ich aluzje i pytania albo ignorowano, albo rozumiano niewłaściwie, Hollandowi i Deprezowi nie pozostało nic innego, jak tylko wrócić do Londynu. Nie byli sami w powozie z Waltham Cross, więc nie mogli przedyskutować kwestii, która interesowała ich najbardziej. Natychmiast gdy wysiedli przy Lecącym Orle, Deprez jednakże zwrócił się niecierpliwie do swego towarzysza, by podjąć przerwana rozmowę.

— Co teraz? — zapytał. — Jaki jest nasz kurs?

— Nie ma żadnego kursu — odparował szorstko kapitan. — Nigdy już nie wyśledzimy Saulta.

— Moglibyśmy pojechać do Marylebone. Holland potrząsnął głową.

— Jeśli nie poznali się na nim w Waltham Abbey, nie będą go znali i tam. A nawet nie wiemy, gdzie spytać.

— Ale ten stary... ten Tom powiedział, że on ma tam rodzinę.

— Myślisz, że pojechał odwiedzić matkę?

— Być może. Człowiek w kłopotach, szukający bezpiecznego schronienia... dlaczego nie? Oddana matka jest najlepszym

wspólnikiem, jakiego może mieć przestępca. — Deprez mówił natarczywym tonem, niemniej nie otrzymał w odpowiedzi niczego oprócz niezdecydowanego wzruszenia ramionami. — o co chodzi? Wydajesz się bardzo zmęczony.

— Może i jestem zmęczony — przyznał kapitan. — Zbyt zmęczony, aby tracić więcej czasu. — Westchnął i przetarł oczy. — Co z Maczugą i Celami? Powiedziałeś, że taki lokal mieści się blisko londyńskiej Tower, przy alei Świętej Katarzyny.

— Aleja Świętej Katarzyny jest rzeczywiście blisko Tower i powiedziałem, że być może gdzieś tam mieści się oberża o nazwie Pod Maczugą i Celami — poprawił go Holland. — Chyba warto sprawdzić? Jeśli wiadomość odnosiła się do jutrzejszego spotkania, może Sault będzie na nim obecny. Ostatecznie, w tekście wspomniano o nim.

Kapitan przyjrzał się z ciekawością swemu towarzyszowi. — Jesteś bardzo zdeterminowany. — A ty nie?

Pytanie spowodowało zmianę w zachowaniu Hollanda. Wszelkie zainteresowanie pobudkami Depreza nagle zniknęło, a mina kapitana stała się pełna rezerwy i chłodna.

— W porządku. Rzućmy okiem, ale na tym koniec.

— Zgoda. Pójdziemy piechotą?

Skierowali się na południe, ku rzece, lecz za radą Hollanda skręcili w Eastcheap, unikając w ten sposób zarówno tłumów przy Monument, jak i zamieszania wokół rynku Billingsgate. Mimo to wielokrotnie ktoś wchodził im w drogę, gdyż na tych wąskich ulicach o miejsce współzawodniczyły pojazdy i ludzie. O tej porze dnia większość oddalała się od rzeki; zarówno handlarze ryb, którzy zamknęli swoje stragany, jak i przewoźnicy wiozący towary z doków. Kapitan zapewnił, że na Thames Street byłoby jeszcze gorzej.

— No tak, ruch w okolicach urzędu celnego jest na pewno bardzo duży — kiwnął głową Deprez. — Miałem pewne niewielkie doświadczenia kilka lat temu, kiedy towarzyszyłem

ładunkowi mojego cukru. Ogromnie interesująca podróż, więc tym bardziej uciążliwa wydawała się robota papierkowa po dotarciu. Papierkowa robota to najgorszy element interesów... no i straty oczywiście. Wiesz, musiałem zapłacić sporo pieniędzy, ażeby od razu wyładowano mój cukier. Dowiedziałem się, że zwykłą praktyką jest gromadzenie nieoclonionych towarów na lichtugach, więc jeśli chce się je mieć na brzegu, trzeba zapłacić.

— Myślę, że płacąc, wykazałeś się mądrością — wtrącił kapitan. — Złodziejstwo na Tamizie to wielki interes. Gdyby twój ładunek pozostał na pokładzie albo na lichtugach, straciłbyś większą jego część.

— Tak też zrozumiałem. A tutejsze bandy mają absolutnie cudaczne nazwy, na przykład „Mudlarks” albo „Scuffle Hunters”. Zastanawiam się, jakie może być pochodzenie tych słów? A to przed nami — dodał, gdy Holland nie wyraził żadnej opinii — musi być londyńska Tower.

Deprez szedł, a równocześnie patrzył w górę na ponury gmach.

— Gdzie wielu złoczyńców i morderców — zauważył i Holland złapał go za ramię, aby nie wpadł pod nadjeżdżający wóz. — Och... jestem ci zobowiązany — powiedział z zakłopotaniem. Przebiegli ruchliwą ulicę, po czym Deprez kontynuował, tłumacząc: — Londyn jest ulubionym tematem ludzi pióra. Poeci często o nim pisali... chociaż nie zawsze pochlebnie.

— Ach tak? — spytał kapitan bezbarwnym, obojętnym tonem, a potem naturalniej szym głosem odradził Deprezowi przekraczanie ulicy, skoro idą dalej przed siebie. Kiedy minęli tłum zebrany wokół wozu, którego oś się złamała, przyznał się: — Obawiam się, że nie wiem zbyt wiele o tego rodzaju rzeczach. To znaczy... mam na myśli poezję i... historię.

Deprez zerknął na niego. Oto miał do czynienia z kolejnym z tych niespodziewanych zwrotów, które stale znaczyły rozmowę z Hollandem. Czy były zaplanowane? Czy kapitan zamierzył je, aby jakoś rozbroić go i zyskać jego sympatię?

Deprez nie podejrzewał o to Hollanda, lecz bez wątpienia takie wtręty utrudniały mu pracę. Musiał zrozumieć kapitana i przewidzieć jego potencjalne działania, a ten — chociaż zapewne nieświadomie — stale wytrącał go z równowagi.

— Naprawdę? — odpowiedział teraz podejrzliwie. — Zaskakujesz mnie. Mogę się oczywiście mylić, sądziłem jednak, że oficerowie artylerii uczęszczają do akademii, zanim otrzymają stopień.

— Jest tak. Trafiłem do akademii jako dwunastolatek. My, chłopcy, rzeczywiście mieliśmy się uczyć przedmiotów... artystycznych, niestety nasz nauczyciel chodził pijany przez większą część czasu, a kiedy był trzeźwy, bił nas. W następnych latach z kolei podobni do tamtego mężczyźni uczyli nas fortyfikowania, matematyki i hydrografii...

— Wiem, że to ważne przedmioty — przerwał mu Deprez. — Ale...

— Tak, wiedza z zakresu sztuk czyni człowieka bardziej wytwornym — odparował Holland. — Jeśli potrafisz mówić o Szekspirze, ludzie uważają cię za lepszą partię.

— Być może, choć tak naprawdę myślałem raczej o sztuce jako przyjemności. O pięknie i sile wielkiej literatury. — Poczekał na ripostę, lecz żadnej nie otrzymał.

W okolicach Tower panował innego rodzaju ruch. Kręcili się tam turyści spoglądający w górę, na średniowieczną budowlę, albo czekający w kolejce, by obejrzeć dzikie zwierzęta; wałęsali się tu też żołnierze po służbie. Wśród nich wędrowali uliczni sprzedawcy, handlujący piernikami i gorącymi kasztanami, a grupki obdartych dzieci polowały na jałmużnę i zasadzały się na nieuważnych.

— Lepiej pilnuj portfela — poradził Holland, kiedy przepchali się przez tłum. — Podwędzą ci go, jeśli nie zachowasz ostrożności.

Deprez już wcześniej poczuł więcej niż raz, że ktoś próbuje dostać się do jego kieszeni, ponieważ jednak wierzył w swoją zdolność do psucia szyków przestępcom, postanowił ignorować

nieszczęsne dzieciaki, zamiast z nimi walczyć. Spytał więc teraz spokojnie kapitana, która to Brama Zdrajców.

— Znajduje się na innej ścianie. Ważnych więźniów przywożono do Tower drogą wodną.

— Tak, rozumiem — odparł Deprez, rozglądając się. — Zapewne tak było dużo bezpieczniej.

Gdy opuścili okolice Tower, ich droga stała się mniej przyjemna. Po części stało się tak dlatego, że zbliżało się popołudnie i niebo pociemniało do szarości. Co więcej, ulice były tu wąskie, zabudowane wysokimi, zrujnowanymi budynkami, które przesłaniały resztki światła. Wiele zostało opuszczonych, inne zaś były rzadko zaludnione i tylko jakaś szmata zwisająca z górnego okna lub sznur do bielizny rozwieszony wysoko nad ulicą potwierdzały, że w tych domach nadal ktoś mieszka. Większość sklepów dawno zamknięto, na te ciągle handlujące zaś składały się głównie lombardy i oberże, a obecność bladych, ordynarnie ubranych kobiet i dziewcząt stojących w wejściach sugerowała konkretny zawód mieszkank tej dzielnicy.

— Mój Boże, co za miejsce — mruknął Deprez. Zatrzymali się, gdyż Holland wypytał krótko handlarza starzyzną. — Nie trzymałbym psa w takiej ruderze, a teraz... Boże, ale smród.

— Nie jest tu zbyt miło — przyznał kapitan, kiedy handlarz zarzucił sobie na plecy ładunek starych szmat i ruszył w kierunku, z którego przyszli. — Chodź, to tam.

W tym momencie kierunek wiatru się zmienił, przynosząc nie tylko drażniący smród brudu i taniego opału, lecz również kłęby dymu z częściowo zapchanych kominów i ta mieszanina zapachów przyprawiła Depreza o kaszel i łzy w oczach. Podniósł wzrok na ponure, anonimowe okna. Były przeważnie ciemne, choć w niektórych migotała świeca albo przesuwiał się jakiś cień i Deprez miał nieprzyjemne uczucie, że jest obserwowany przez nieprzyjazne oczy.

— Jeśli jeden z nas dostanie jakiegoś ataku — dumął — przypuszczam, że może tu zostać jedynie obrabowany, a nie zabity, ale wolałbym tego nie sprawdzać.

— Ani ja. A najlepiej nie wyglądać na zbyt ciekawskiego, bo kogoś zdenerwujemy naszym wścibstwem.

Na końcu mrocznego, wąskiego pasażu, którego popękany bruk tonął głęboko w błocie, znaleźli Maczugę i Cele. Osobliwa nazwa lokalu miała rzekomo przypominać sławną przygodę króla Henryka V. Wieś, gdzie Anglicy obozowali przed bitwą pod Azincourt, nazywała się Maisoncelles i na starość pewien weteran tej kampanii otworzył pub blisko Tamizy, skąd mógłby nadal obserwować ruchy żołnierzy i marynarzy. Nazwał swój lokal Maisoncelles na część wspaniałego zwycięstwa, lecz niedouczeni przedstawiciele następnych pokoleń zredukowali tę nazwę do bardziej prozaicznej i dziwacznej formy.

Tak w każdym razie głosiła legenda, która być może nawet i była prawdziwa. Na pewno oberża Pod Maczugą i Celami zajmowała bardzo stary budynek, który dzięki otynkowanemu frontowi i małym, ciemnym oknom nie wydawał się tak bardzo zubożały jak otaczające go nowsze, przytłaczające przykłady ubóstwa. Budowla należała do szeregu konstrukcji, które zbudowano po obu stronach uliczki; wszystkie prezentowały się nieco krzywo, toteż trudno było powiedzieć, czy nie zawałyby się, gdyby nie wspierały się jedna o drugą.

— Tam jest — zauważył Holland, kryjąc się w progu jednego z domów w połowie uliczki. — Nie podchodź bliżej — ostrzegł, kiedy Deprez ruszył przed siebie.

— Nie zamierzasz wchodzić do środka? Kapitan potrząsnął głową.

— Dwaj obcy mężczyźni zjawiający się nagle natychmiast obudziliby czujność wszystkich gości lokalu. Szczególnie mężczyźni tak ubrani jak ty.

— Czy już ich wszak nie zaalarmowałeś? — odparował Deprez. — Przecież spytałeś o kierunek.

— Ale nie pytałem o Maczugę — wyjaśnił tamten, szczerząc zęby. — Pytałem o dom, ten tam, z czerwonymi drzwiami. Handlarz powiedział mi, że na pięterku czeka kilka dziewcząt, które zaspokoją... wszelakie gusta.

— Rozumiem — odparł Deprez, nie mogąc się powstrzymać przed uśmiechem. — A mogę wiedzieć... pytałeś dla mnie czy dla siebie?

— Dla ciebie — przyznał Holland. — Wyjaśniłem, że jesteś zbyt nieśmiały, abyś potrafił sam się dowiedzieć.

— Do licha z tobą—Deprez roześmiał się. — Skąd w ogóle wiedziałeś, że jest tu taki dom?

— Nie wiedziałem. Powiedziałem mu, czego mniej więcej szukam... czego ty szukasz... i dodałem, że słyszałem o jakimś domu w pobliżu alei Świętej Katarzyny. To był szczęśliwy traf.

— Rzeczywiście, bardzo szczęśliwy. — Deprez spojrzał w zamyśleniu na kapitana. — Jeśli nie zamierzamy sprawdzić, czy reputacja młodych pań jest zasłużona, przypuszczam, że zakończyliśmy naszą działalność tutaj.

— Ty tak. — Głos Hollanda odzyskał zwykłą szorstkość.

— Przecież nie możesz tego tak zostawić... nie po tym, co odkryliśmy.

— Nie zamierzam. Jadę teraz do Woolwich, ta sprawa wszakże nijak ciebie nie dotyczy. — Holland zawahał się. — Pamiętaj, co uzgodniliśmy. Że nie będziesz próbował żadnych akcji na własną rękę.

— Nie zapomniałem — odparł Deprez. — Nie... nie ufasz mi, prawda?

— Ależ ufam... tyle że nie lubię, gdy cywile wpychają nosy w sprawy wojskowe. Przejdę teraz przez most, chociaż mogę cię wcześniej odprowadzić do Tower, jeśli chcesz.

Deprez potrząsnął głową.

— Nie, nie musisz się trudzić. Poradzę sobie sam.

— Do widzenia zatem. Uścisnęli sobie ręce.

Holland nie zrobił jednak więcej niż kilka kroków, gdy nagle oślepiło go białe światło. Zatoczył się i przez chwilę czuł straszliwy ból. Potem upadł na ziemię.

Deprez pochylił się nad nim, sprawdził puls leżącego, a na-

stępnie odwrócił go na plecy. Jedną stronę twarzy kapitan miał ubłoconą, a po czole spływała mu strużka krwi.

— Jesteś trochę za bystry, przyjacielu, ażebym mógł pozwolić ci uciec — mruknął do nieprzytomnego Hollanda — i obawiam się, że to ci się po prostu nie uda.

Po przybyciu do Londynu Joseph Sault nie udał się natychmiast do kryjówki. Z Waltham Abbey uciekał zbyt pośpiesznie, groźba schwytania zaś nadal wydawała mu się zbyt realna, aby mógł pojechać tam, gdzie go znano, nawet do miejsca, w którym zawsze otrzymywał schronienie. Przez pewien czas zatem ukrywał się — najpierw w jakiejś nieznanej oberży, gdzie miał nadzieję pozostać niewidoczny i obcy, a kiedy zaczął się obawiać, że oszaleje w czterech posepnych ścianach, opuścił lokal i kręcił się po ulicach stolicy. Chodził w tę i z powrotem po Oxford Street, ledwie zerkając na sklepy, albo zachodził do Hyde Parku, gdzie żołnierze ćwiczili musztrę. Obserwował ich niechętnie: tam i z powrotem, tam i z powrotem, pozornie zapominając o swoim otoczeniu. Wzbudzali u niego niewielkie zainteresowanie i na pewno żadnej sympatii. Podczas wojny zawsze są ofiary, a przyznawanie wrogowi prawa do posiadania myśli i ludzkich uczuć mogło człowieka zgubić. Wróg był po prostu wrogiem, pojęciem abstrakcyjnym lub, jeśli „składał się z” jednostek — na przykład maszerujących w ten bezmyślny sposób żołnierzy — wówczas takie jednostki eliminowało się bez współczucia i już. Bydło wszak ubija się codziennie i nikt po nim nie płacze. Przeciwnie, tych, którzy zrećnie je zabijają, dobrze opłaca się za ich pracę.

Saultowi zaczęły marznąć stopy, więc z wyuczoną pewnością siebie przespacerował się między gospodarstwami warzywnymi przy Edgware Road, następnie zaś skręcił w prawo i ruszył z powrotem do Marylebone, kierując się do gmachu przy Orchard Street.

Na jego stukanie odpowiedziała ta sama bezbarwna, nijaka kobieta, która zawsze otwierała mu drzwi. Wszedł do środka. Dom był dobrze wyposażony; rzekomo mieszkał tu emerytowany dżentelmen o jako takich dochodach. Wchodząc do salonu, Sault zauważył, że od czasu jego ostatniej wizyty nabyto mały fortepian.

Pomyślał, że wszedł w świat zupełnie odcięty od hałasu, brudu i obskurności okolicznych ulic; jego nogi od razu ugrzęzły w głębokich dywanach, podczas gdy płuca wypełnił przyjemny aromat wosku pszczelego i lawendy. Na stole stała misa ze świeżymi kwiatami, a na kredensie leżały interesująco wyglądające książki, ułożone w niedbały stos. Przede wszystkim w mieszkaniu panowała cisza — mężczyzna słyszał tylko modulowane tykanie zegara stojącego w korytarzu. Jeden ze służących odprowadził go do jego pokoju, którego Sault często używał, a później przyniósł mu filiżankę herbaty. Kojąca była już sama regularność tego miejsca, atmosfera spokoju i kompetencji, toteż Sault zaczął powoli odzyskiwać nieco ze swej zwykłej pogody ducha.

Mniej więcej pół godziny później odbył spotkanie z jednym z tych młodych ludzi, którzy ogólnie pilnowali „interesów”. Sault znał go i cieszył się, że nie musi tłumaczyć się komuś obcemu.

Opowiedział swoją historię dokładnie, nie pomijając żadnych szczegółów.

— A więc musiałem uciekać — podsumował. — Wiem, że kazano mi czekać, ale...

— Nie, nie, postąpiłeś absolutnie właściwie — oświadczył młody człowiek, gdy zapisał słowa Saulta w notesie. — Nic innego nie mogłeś zrobić.

— Zawsze stosowałem się do rozkazów — stwierdził Sault. Nie chciał nikogo winić, czuł jednak, że może sobie pozwolić na wzmiankę o swoich zasługach.

— Oczywiście, że tak. Paryż zawsze był zadowolony z twoich wysiłków. Przypuszczam, że nikt nie byłby w stanie wytropić twojej podróży z Waltham Abbey?

— Nie, zachowałem dużą ostrożność.

— A twoje rzeczy? Zakładam, że ten kapelusz i okrycie nie są twoje.

Sault zerknął na zatłuszczony surdut i wysłużony trój graniasty kapelusz, które nosił od przyjazdu do Londynu. Kupił je w sklepie w Clerkenwell. Kamizelka w jaskrawe pasy pochodziła z podobnego miejsca i nieco strapił się na myśl, że młody rozmówca mógłby je uznać za elementy jego zwykłego ubioru.

— Nie, wszystkie moje rzeczy zostawiłem w Bolt-in-Tun przy Drury Lane... ale nie zatrzymywałem się tam. Pomyślałem, że to zbyt oczywiste.

— Tak, chociaż czasami łatwiej schować się w tłumie.

— No cóż, w każdym razie sądzisz, że... mógłbyś je odebrać? Obawiam się niestety, że nie zostały mi żadne pieniądze... rozchodzą się tak szybko.

Młody mężczyzna uśmiechnął się uspokajająco i kazał się Saultowi nie martwić — powiedział, że wszystkim się zajmie. Co więcej, pochwalił go za to, że świetnie sobie poradził w tej niezwykle denerwującej sytuacji.

— Spodziewam się, że dalsze instrukcje zostaną przesłane w ciągu kilku dni, może w związku z nowym przydziałem. Na razie powinieneś się odprężyć.

Zebrał swoje przybory do pisania, a kiedy wstał, Sault postąpił podobnie.

— Czy sprawy... w Waltham Abbey mają się bardzo źle? — zapytał. — To znaczy w prochowni? Wiem, że mój wyjazd... tak nagły... ściągnie kłopoty na naszą akcję.

— Nie jestem absolutnie pewny, jak przedstawia się stan operacji — wzruszył ramionami młody człowiek. — Sądzę, że prawdziwe problemy tkwią gdzie indziej, a ostrzeżenie dla ciebie było jedynie ich konsekwencją. No... jeszcze czegoś potrzebujesz?

— Nie, mam wszystko, dziękuję. Może odpocznę... jestem trochę zmęczony.

Naprawdę był zmęczony i kiedy się położył, zapadł w tak głęboki sen, że nie słyszał, jak służący wchodzą, by zabrać okropne ubranie, w którym tu przybył, i zastąpić je jego własnym, starannie wyprasowanym strojem, a później — po raz drugi — by wyłożyć ręczniki i zestaw męskich przyborów toaletowych. Sault zauważył je, kiedy obudził się kilka godzin później, i ogarnęła go fala szczęścia. Jakże był głupi, że w nich wątpił. Okazali się tacy troskliwi i tacy dyskretni. Nie pozwolą, żeby mu się coś stało. Wszystko będzie dobrze.

Gdy mył twarz i ręce, uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze. Jak wspaniale znów czuć się czystym; nienawidził zarostu na swoim podbródku. Potem ponownie zawiązał krawat, sprawdził na zegarku godzinę i włożył płaszcz. Drzemka go odświeżyła i uznał, że zanim się ściemni, warto wybrać się na przechadzkę.

Popołudnie było takie ponure, że szczerze wątpił, czy w parku spotka o tej porze wiele osób, toteż skręcił w Oxford Street. Po co bez powodu szukać guza? Zaczął myśleć o przyszłości. Bardzo prawdopodobne, że otrzyma nowe zadanie, być może ważniejsze od poprzedniego. Przeniesienie człowieka niewątpliwie kosztuje, ale był przecież wartościowym agentem. Skoro wyplątał się z trudnej sytuacji, skoro się wyratował, udowodnił własną wartość. Na pewno był dla siatki cenny. Zachowywał się jak jeden z wielu mężczyzn oglądających wystawy sklepowe, przyglądając się właśnie ze zdumieniem półkom ze srebrnymi cygarnicami, kiedy poczuł, że został uderzony, a potem odepchnięty. Automatycznie sięgnął pod płaszcz, aby chronić portfel, zapominając, że jest pusty, a wtedy czyjaś ręka chwyciła go mocno za łokieć i szarpnęła na bok. Niski osobnik o chudej twarzy z blizną przywodzącą na myśl koci wąs przeszył go wzrokiem pełnym nienawiści i Sault cofnął się przed napastnikiem dokładnie tak samo, jak cofnęła się Mary, kiedy spotkała tego samego człowieka na drodze ze Stowmarket.

— Oj! — stęknął Sault, potykając się. Zanim zrozumiał,

co się dzieje, niski osobnik zaciągnął go za róg do jakiejś bocznej uliczki. Napadnięty zastanowił się, czego chce ten żaloszny, mały włóczęga, postępujący z nim tak paskudnie. Na próżno próbował pozbyć się napastnika, więc przez chwilę ślizgali się i popychali na zrytym koleinami gruncie. Jakoś nie przyszło mu do głowy, by krzyknąć. Uważał pewnie, że nie musi się obawiać takiego niepozornego człowieczka.

— Pozwól mi odejść... nie mam pieniędzy — ostrzegł go.

— Wiem o tym — zadrwił z niego Rede. Cechował się żylastą siłą, której nikt by nie podejrzewał u osobnika o jego gabarytach, toteż teraz rzucił Saultem mocno o ścianę i przycisnął go do niej ręką i ramieniem. — Opuściłeś dom w niejakim pośpiechu, nieprawdaż?

Sault zamarł.

— Och, mój Boże... Kim jesteś? Czego chcesz?

— Tego, co jesteś mi winien, a czego nie mogę zabrać, dopóki się z tobą nie rozprawię — odwarknął Rede. Poszukał czegoś w kieszeni, równocześnie nadal przypierając Saulta do ściany. — Sprawiasz mi dużo kłopotów, gdy tak się włóczysz po całym mieście. Jestem już prawie wykończony.

— Proszę — błagał Sault. — Pozwól mi odejść. Ja nigdy... Moje informacje zawsze były rzetelne! Zawsze postępowałem zgodnie z instrukcjami.

— Czyżby? Dla mnie to nic nie znaczy.

Człowiek z blizną wyłowił z kieszeni mały pistolet, ledwie widoczny w jego dłoni, jednak Sault ujrzał go w przelocie. — Nie! — zawołał i ze wszystkich sił odepchnął Rede'a. Napastnik się zachwiał, upadł ciężko, a pistolet wyślizgnął mu się z ręki. Jednak znów chyżo zerwał się na nogi. Sault potknął się, odzyskał równowagę i popędził co tchu uliczką, akurat gdy prześladowca pochwycił swoją broń i skoczył za nim. Podczas krótkiego biegu Sault na przemian sapał i pokrzykiwał. Rede był od niego szybszy, ale lżejszy, toteż kiedy go dopadł, nie zdołał go powalić. Walczyli przez jakiś czas. Człowiek z blizną trzymał go mocno, a Sault szarpał się,

zawzięcie usiłując się wyrwać po raz drugi. Właśnie ciągnął napastnika na stertę skrzyń po drugiej stronie uliczki, gdy Rede podstawił mu nogę. Upadli obaj, nadal się tarmosząc.

— Proszę, pozwól mi odejść! — błagał Sault.

Dostał z całej siły w twarz i poczuł, że siły go zawodzą, a wtedy Rede przygniótł jego ciało swoim, jednocześnie przyciskając pistolet do boku ofiary. Sault wił się bezradnie.

— Nie... zaczekaj! Mam pomysł!

— Ja mam lepszy — wysyczał Rede i pociągnął za spust.

19

W ciemnym, pełnym przeciągów pokoju, ogołoconym z mebli z wyjątkiem prymitywnie wykonanego drewnianego stołu i krzesła o prostym oparciu, Paul Deprez siedział bez ruchu, głęboko zatopiony w myślach. Nie na tyle głęboko jednakże, by nie zważyć na otoczenie — zamknięte drzwi przed nim, blady snop księżycowego światła, które wpadało przez małe okno i przecinało podłogę, oświetlając piaszczyste odciski butów i śmieci, a także odległy kąt pokoju, gdzie znajdował się ciemniejszy cień, który od czasu do czasu poruszał się niespokojnie lub drżał. W pomieszczeniu było zimno, więc Deprez nie zdjął płaszcza. Na stole stał świecznik, obok zaś leżał pistolet o dwóch lufach, który teraz mężczyzna pochwycił, zrywając się na równe nogi, gdyż usłyszał słabe stukanie do drzwi. Przeszedł szybko i cicho przez pokój, unikając poświaty, po czym odciągnął zasuwę. Drzwi otworzyły się powoli i mniejsza postać wsunęła się do środka, pchnięciem zamykając za sobą drzwi. — No i? — szepnął Deprez. W tych dwóch lakonicznych sylabach pobrzmiwał niepokój. — Wszystko dobrze, szefie — odparł Rede. — A na zewnątrz jest zupełnie cicho... tak cicho, jak mógłbyś sobie życzyć. Czy... zrobiłeś to, co konieczne?

— Rzeczywiście, zrobiłem, chociaż było cholernie trudno. Zapal świecę i sam rzuć okiem. Przybysz zrobił, jak mu polecono, i wkrótce w słabym, migoczącym blasku ukazał się stół i chuda, blada twarz Rede'a trzymającego jedną ze świec. Deprez zapalił drugą i podniósł ją tak gwałtownie, że nieruchome dotąd cienie przemieściły się szybko po podłodze i ścianach.

— Tam — kiwnął głową.

— Ach — wydyszał Rede, kiedy w zacienionym kącie dostrzegł niski siennik czy też stos worków, na których spoczywał człowiek przykryty ciemnym płaszczem. Rede klęknął obok niego i skierował nań światło świecy. Oczy leżącego pozostały zamknięte, ale chyba nie spał, ponieważ jego oddech był urywany, a mimo chłodnego powietrza mokre włosy kleiły się do twarzy. — Kapitan Holland — mruknął. — Mam przyjemność go wreszcie poznać. — Po chwili podniósł płaszcz i choć zachował milczenie, jego wargi ułożyły się jak do gwizdu, dostrzegł bowiem ciemną, mokrą plamę na białej koszuli mężczyzny. — Stoczyliście walkę, co, szefie?

Deprez pochylił się nad ramieniem Rede'a i karcąco zerknął na Hollanda.

— Tak, rzucił się na mnie, niech go szlag trafi, chociaż to była właściwie moja wina. Sądziłem, że jest nieprzytomny, lecz najwyraźniej tylko go ogłuszyłem i kiedy przytargałem go tutaj, napadł na mnie jak człowiek przytomny. Zaskoczył mnie, a poza tym byłem sam... — Deprez sapnął i wzruszył niepewnie ramionami. — Może nie wygląda dobrze, lecz wcale tak tego nie zaplanowałem.

— Dopadłeś go, szefie... w pewnym sensie. To jest w każdym razie coś.

— Tak, dopadłem go... I będę miał dużo szczęścia, jeśli nam tu nie zemrze. Jakie mamy twoim zdaniem szanse znaleźć lekarza... tutaj... w nocy?

Rede potrząsnął głową.

— O prawdziwego doktora... przyzwoitego... może być

trudno. Nie zbliżają się do takich miejsc, ani w nocy, ani w dzień. Mogę spróbować poszukać kogoś... rzeźnika na przykład albo człowieka, który ubija konie.

— Do licha z tobą, nie chcę, żeby ktoś go pociachał na kawałki — obruszył się Deprez. — Połatałem go tak, jak umiałem, nie zdołałem jednak usunąć kuli... Wygląda na to, że naruszyła mu żebra, więc kapitan wymaga fachowej opieki medycznej, i to raczej prędzej niż później. — Milczał przez chwilę.

— Będziesz musiał kogoś poszukać... Zrób, co w twojej mocy, ale przyprowadź go szybko.

— Co mam powiedzieć o postrzale?

— Nie mów nic... i nie przyprowadzaj człowieka, który zapyta. No dobra, pomóż mi go podnieść. Ja go chwycę pod pachami. Dasz radę nieść jego nogi i światło?

— Hm — mruknął Rede, po czym, kiwając głową nad związanymi przegubami i kostkami rannego mężczyzny, dodał: — Cóż... nie sądzę, żeby nadal musiał pozostawać związany.

— Być może nie... ale nie mówiłbyś tak, gdybyś widział go wcześniej. Zresztą, związanego łatwiej nieść. Gotowy?

Podnieśli powoli bezwładne ciało. Światło ze świecy Rede'a zadrżało i zamigotało w wąskim korytarzu, oświetlając najpierw Depreza, stąpającego ostrożnie tyłem, potem bladą twarz Hollanda zwisającego pod ramionami tamtego, w końcu lewą rękę i ramię Rede'a, który trzymał nogi kapitana mocno pod prawym ramieniem, a teraz oparł się o ścianę, aby nie stracić równowagi podczas wchodzenia po schodach. Kawałki szorstkiego, odpadającego płatami tynku wbiły się w jego płaszcz albo spadły na schody w piaszczystym deszczu.

— Ostrożnie — zalecił, zerkając w górę. — Jeszcze stopień i jesteśmy.

W małym pokoju na szczycie schodów znaleźli zdezelowane łóżko, krzesła i umywalkę. Gdy położyli Hollanda, Rede rozпалиł ogień w palenisku, po czym zszedł na dół po wiadro wody. W trakcie jego nieobecności Deprez rozpiął rannemu koszulę i oglądał bandażę.

Później Rede przesunął palcami po miejscu, gdzie bandaż był grubszy od dodatkowego opatrunku.

— Myślę, że masz rację co do jego żeber. Co zamierzasz z nim zrobić?

Deprez zanurzył ręce w wiadrze i, nie znajdując niczego lepszego, wytarł je w brudną narzutę.

— To zależy, co powie lekarz, byłbym wszakże szczęśliwszy, gdyby ustało krwawienie. Żadnych wiadomości od Hicksa, jak sądzę?

— Nie, sir, jeszcze nie. Byłem w King's Arms, ale nie zostawił tam żadnej wiadomości. Jest jednak jeszcze stosunkowo wcześnie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że przybywa z innej strony Woodbridge.

— Teraz nie możemy się o niego martwić. Hicks wie, co ma robić, a ja tymczasem potrzebuję twojej pomocy tutaj. Ale przede wszystkim znajdź doktora!

— Znajdę, szefie. Możesz na mnie liczyć.

□ □ □

— Dokąd idziemy? — spytała Mary, spiesząc się, by dotrzymać kroku Hicksowi, gdy ten przeciskał się przez zatłoczony salon King's Arms. Zadanie było trudne, ponieważ dwie grupy pasażerów dopiero co wysiadły z powozów i weszły tłumnie do oberży, podczas gdy Mary i jej towarzysze usiłowali wyjść na dziedziniec.

— Do siedziby miejskiej policji — rzucił mężczyzna przez ramię. Skinął głową Mary, kiedy przebiła się przez tłumy i ukazała u jego boku. — Udało się, panno Finch. Teraz ostrożnie. — Biorąc ją pod ramię, skierował dziewczynę przez dziedziniec i na Leadenhall Street.

Hałas, rozmaite zapachy, ścisk; tak prezentował się Londyn w każdy ruchliwy ranek, jednak Mary nigdy wcześniej tego wszystkiego nie doświadczyła. A przecież sądziła, że wiele wie o miastach. W Bath panował bez wątpienia duży ruch, jednak rojność w Londynie należałoby mierzyć chyba według

zupełnie innej skali. Mary ociągała się, przerażona dziesiątkami przeładowanych wozów, powozów i mężczyzn na koniach, wrzeszczących sprzedawców ulicznych i szczekających psów, urzędników, sprzedawczyń i obszarpanych dzieci. Każda twarz wydawała się zmęczona, wiele było wymizierowanych i chyba nikt tu nie potrafił poruszać się spokojnie czy też okazywać — tak Mary podejrzewała — jakiegokolwiek uprzejmości.

Chaos tym bardziej przerażał dziewczynę, że była jedynie na wpół rozbudzona. Przybyli do stolicy o wpół do trzeciej nad ranem, a ich pokoje w King's Arms okazały się zimne i niewygodne. Ponieważ Mary nie spodobał się stan koców i narzuty, położyła się w ubraniu przykryta peleryną, a po zaledwie kilku godzinach została zbudzona z niespokojnego snu. Wtedy naszkicowała notkę do pani Tipton, ale ponieważ list mógł wyrażać niewiele więcej poza faktem jej bezpiecznego dotarcia do stolicy, nie uznała tego zadania za zbyt miłe. Ogólnie rzecz biorąc, jej pierwszy wypad do Londynu nie zaczął się dobrze i Mary była wdzięczna, kiedy Hicks zatrzymał przejeżdżającą dorożkę i pomógł jej do niej wsiąść.

— Bow Street — poinformował woźnicę i usiadł obok dziewczyny.

Chociaż nadal docierał do nich hałas z ulicy, podróż odbyli w milczeniu. Hicks był przejęty i czujny; najwyraźniej wypoczął, gdyż wcale nie wyglądał na zmęczonego, wręcz przeciwnie, prezentował się prawie młodzieńczo. Był jednak mocno spięty, przez co wydawał się odległy, niemal niedostępny. Mary nie czuła, że mogłaby z nim pogawędzić, zwrócić jego uwagę na interesujące widoki lub zadać kolejne pytania. Zatrzymała więc swoje opinie dla siebie i zastanawiała się, co będzie dalej. Co może dodać do tej dziwnej, zagmatwanej historii o przemytnikach i szpiegach policja miejska? I gdzie są kapitan Holland i pan Deprez?

W biurach przy Bow Street również panował wczesnoporan-ny ścisk, ponieważ konstable wrócili właśnie z nocnych patroli. Kilku policjantom towarzyszyły ofiary, świadkowie bądź prze-

stępcy, przy czym czasami Mary trudno się było domyślić, do której kategorii kto należy. Na przykład ten wyglądający na odurzonego mężczyzna z podbitym okiem — został obrabowany czy przewrócił się po pijanemu? A te dwie kłójące się kobiety — nie wydawały się wcale zaskoczone, że znalazły się na posterunku. Przyjrzała się prowadzonemu mężczyźnie, który miał ręce związane przed sobą sznurem. Jego twarz była posiniaczona i pokrwawiona, a brudny płaszcz zwisał luźno z jednego ramienia. Mężczyzna próbował przyciągnąć spojrzenie Mary, lecz ona unikała jego wzroku i niemal mechanicznie przesunęła się bliżej stanowiska umundurowanego dyżurnego, gdzie poczuła się bezpieczniej.

Hicks był wyraźnie osobą znaną władzom policyjnym, ponieważ kiedy podał swoje nazwisko i wspomniał o swoich związkach z Saint Lucią, mina urzędnika zmieniła się natychmiast ze zblazowanej i znudzonej w zainteresowaną.

— Oczywiście, sir — kiwnął głową. — Pan Hudson właśnie wszedł, ale jestem pewny, że natychmiast zechce widzieć pana u siebie.

Na nią najwyraźniej nikt nie zwracał uwagi, więc weszła za Hicksem po schodach na pierwsze piętro. Tam została przedstawiona surowemu, nieprzejednanie wyglądającemu mężczyźnie, który popijał poranną herbatę.

— Panna Finch — wyjaśnił Hicks — była bardzo zaangażowana w naszą akcję, sir.

— Doprawdy? — spytał Hudson. Sprawiał wrażenie zaskoczonego, lecz ani z jego tonu, ani z wyrazu twarzy nie wynikało, czy zamierza wskazać dziewczynie krzesło, czy też raczej każe założyć jej kajdanki.

— Niewinnie zaangażowana, powinienem dodać — kontynuował Hicks. — Nie z własnej winy... ani niczyjej... poza tym, że jest bardzo inteligentną młodą damą.

— Sir, nie zamierzam się wtrącać w pańską pracę — dodała Mary pospiesznie — ja tylko... — Nagle uznała za śmieszny próbę wyjaśnienia, że przyjechała z tak daleka do Londynu,

ponieważ chciała zrozumieć, co się dzieje, i nie miała ochoty pozostać w tyle. Z tego też względu przerwała w połowie zdania.

— Oczywiście, że nie — odparł Hudson, bardziej z uprzejmości niż zrozumienia, po czym wskazał jej krzesło obok biurka. Na siedzeniu zalegały stosy papierów, a oparcie służyło częściowo jako wieszak na płaszcz. — Proszę usiąść wygodnie i żywię nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, iż Hicks i ja przedyskutujemy pewne sprawy.

— Nie, sir, naprawdę — odparła, a kiedy zdjęła papiery i przesunęła płaszcz Hudsona, przemknęło jej przez głowę, że teraz ten funkcjonariusz policji uważa ją prawdopodobnie za osobę jedynie nieznacznie ważniejszą dla niniejszej sprawy. Niemniej wygodnie jej było tkwić nieco na uboczu i obserwować, lecz nie czuć się obserwowaną. Będzie zatem słuchała i dowie się, ile zdoła... Pomyślała jednak, że chętnie przyjąłaby filiżankę herbaty i na tę myśl aż zaburczało jej w brzuchu.

— Dobrze — powiedział Hudson. — Teraz, Hicks, zacznę, ponieważ mam nadzieję, że moja opowieść jest krótsza niż twoja. Ten Rede, który przyszedł się ze mną spotkać dwa dni temu z większą liczbą tych zaszyfrowanych dokumentów...

Hicks podniósł wzrok w zaskoczeniu.

— Większą liczbą dokumentów, sir?

— Tak. Powiedział, że należały do kogoś nazwiskiem Sault, kto szpieguje dla Francuzów.

— Ach, tak, sir, zgadza się. Ale co z samym Saultem?

— Rzekomo zaginął. Nie było go w domu, kiedy Rede złożył mu wizytę... naturalnie zamknięte na klucz drzwi frontowe najwidoczniej nie sprawiły temu człowiekowi żadnych trudności!

— Rzeczywiście, sir. — Hicks patrzył, jak Hudson otwiera szufladę biurka i wyjmuje z niej teczkę, z której z kolei wydobywa dwa pliki papierów. Położył je na biurku. — Tutaj są te pierwsze, które mi daliście, a tu te drugie. Teksty różnią się charakterem pisma, lecz szyfr jest podobny w kwestiach podstawowych.

Hicks kiwnął głową, zaciskając mocno wargi, jednak spojrzenie Hudsona było sceptyczne.

— Co oznacza, że jest to nadal dokładnie ten sam bełkot, no, chyba że potrafisz go pan rozszyfrować.

— Zgadza się, sir, potrafię — zapewnił go Hicks. — To znaczy... o ile pozwoli mi pan zdać się na eksperta w tych sprawach. Widzi pan, właśnie panna Finch złamała pierwszy szyfr.

Mary uśmiechnęła się, ale uznała pełen szacunku gest Hicksa za odpychający. Widok następnych zaszyfrowanych dokumentów na pewno wzmógł jej zainteresowanie i była ogromnie dumna ze swoich osiągnięć, szczególnie wobec Hudsona. Jednak miała uczucie, że Hicks potraktował ją jak dziecko, które łatwo przekupić, lub jak prestidigitatorkę, którą prosi się o wykonanie ciekawej sztuczki. A teraz policjant gapił się na nią; prawie zaczęła siebie zapytywać, czy nie powinna się aby uklonić.

Na Hudsonie jednakże naprawdę wywarły wrażenie rekomendacje Hicksa.

— Na Boga, panno Finch — zawołał. — Błagam panią! Jeśli potrafi pani rozszyfrować te teksty, proszę powiedzieć nam natychmiast... powiadomić nas, na czym stoimy! — Szybko pochwycił pierwszy plik papierów i pospiesznie rozwiązał urzędową czerwoną taśmę, którą sam go wcześniej zabezpieczył. — To te, które znalazłeś, Hicks, więc zapewne są najwcześniejsze.

Mary odkryła, że się czerwieni, i przesunęła się nieco na krześle, aby płaszcz pana Hudsona nie ocierał się o jej ramię. Papiery naprawdę wyglądały bardzo podobnie do tych, które rozpracowała.

— Sir, jeśli zdoła mi pan dostarczyć egzemplarz *Komentarzy Blackstone'a*, powiem panu, co napisano na tych kartach — potwierdziła. — Chociaż być może nie znajdziemy na nich odpowiedzi na wszystkie pańskie pytania.

— *Komentarze Blackstone'a*? — powtórzył Hudson. — Tak, a jakże!

— I to musi być pierwsze wydanie — dodała, zerkając na Hicksa.

Minęło trochę czasu, zanim znaleziono wymagane tomy, więc w trakcie oczekiwania Hicks zaczął swoją część historii. Wyjaśnił, że Joseph Sault zajmował poufne stanowisko w prochowni Waltham Abbey — jednej z placówek należących do rządu, z czego pan Hudson na pewno zdaje sobie sprawę. W Waltham Abbey Sault dowiedział się dużo o testach i ulepszeniach dokonywanych przez departament uzbrojenia.

— Od pewnego czasu podejrzewaliśmy Saulta — ciągnął Hicks. — Innymi słowy, mieliśmy go na oku. Ale nie byliśmy pewni, póki nie znaleziono tych dokumentów w Suffolku... tych, które rozszyfrowała panna Finch. Ujawniły one udział Saulta w tej sprawie.

Hudson nic nie wiedział o Waltham Abbey ani o żadnym innym aspekcie produkcji prochu, niemniej jednak kiwnął z powagą głową. Mary zareagowała ze zdecydowanie mniejszą rezerwą.

— Co pan ma na myśli? — zastanowiła się. — Nie pamiętam, żebym widziała choćby słowo o człowieku nazwiskiem Sault.

Hicks wzruszył ramionami i uśmiechnął się niechętnie.

— Ach, no cóż — przyznał — była tylko bardzo drobna pomyłka w pani pracy. — Zgubiła pani „U”. Nikt nie może pani za to winić, ponieważ skoro nie znała pani nazwiska „Sault”, mogła pani inaczej ułożyć litery. Jeśli popatrzy pan na te kartki — kontynuował Hicks, zwracając się ponownie do Hudsona — kopie papierów z Suffolku, które panna Finch rozszyfrowała, zrozumie pan, o czym mówię.

Hudson badawczo przyjrzał się podanym dokumentom.

— Ale Sault — nie ustawała Mary — Joseph Sault... czy pan... czy wiedzieliście o nim już? Czy wiedzieliście, że wybrałam niewłaściwe litery?

— Domyśliliśmy się tego — odparł Hicks, a potem ciągnął półgłosem: — ale musieliśmy milczeć w tej kwestii, pan D.

i ja, ponieważ zamierzaliśmy pokazać te papiery... komuś innemu, jeśli rozumie pani, kogo mam na myśli, a nie chcieliśmy się dzielić z nim naszym odkryciem.

— Kapitanowi Hollandowi — szepnęła.

— Właśnie. Byłoby... interesujące dowiedzieć się, czy ktoś próbował się kontaktować z Saultem, aby go ostrzec, po tym jak kapitan Holland zyskał wgląd w dokumenty. — Hicks milczał przez chwilę. — Rede pojechał do Waltham Abbey w sobotnią noc, więc Saulta musiał ktoś ostrzec jakiś czas przedtem. Bardzo ciekawe jest... to wszystko.

— Więc Joseph Sault jest człowiekiem, którego poszukujemy — powiedział Hudson, podnosząc wzrok znad dokumentów z White Ladies. — To wiele wyjaśnia, nawet bez rozszyfrowania reszty. Ale wiemy też, że Sault wziął nogi za pas, zanim Rede zdołał go dopaść, a teraz... Bóg jeden wie, gdzie zniknął.

— Sault jest tylko jednym z poszukiwanych przez nas ludzi — poprawił go Hicks. — Nie działał sam.

— Oczywiście, byli również przemytnicy, którzy wywozili dokumenty z kraju.

— Tak, sir, i zlokalizowaliśmy ich w miejscowości Lindham, na wybrzeżu Suffolku. — Hicks zerknął na Mary. — Nie możemy być do końca pewni, kto jeszcze był zamieszany tamże...

— Rzeczywiście — przyznał Hudson. — Przemytnicy... zamierzałem powiedzieć „znają się jak łyse konie”, ale to raczej przesada. Stwierdzą raczej, że moim zdaniem niełatwo ich wytropić. Ale przemytnicy to płotki. Zwyczajne płotki, niewarte wysiłków.

— Tak, sir, to prawda, zgadzam się z panem. Nie miałem jednak na myśli przemytników. Kiedy oznajmiłem, że Sault nie działał sam, chodziło mi o to, że przynajmniej jeszcze jeden inny człowiek pracuje w tym samym fachu... Nie tylko przekazuje informacje Francuzom, lecz także zbiera je dla nich!

— I znasz tożsamość tego drugiego człowieka? — zapytał ostro Hudson.

Hicks znów spojrzał na Mary.

— No cóż, sir...

— Nie wiemy na pewno — wtrąciła pośpiesznie.

— Nie, na pewno nie wiemy — potwierdził Hicks — dowody wszakże wskazują na oficera artylerii nazwiskiem Holland... kapitan Robert Holland. — Odchrząknął i pochylił się do przodu na krześle. — Gdybym mógł wyjaśnić sytuację, sir...

— Tak, tak, kontynuuj. — Hudson zmarszczył brwi. Chciał, żeby ci dwoje przeszli wreszcie do rzeczy; nie mógł znieść tych cierpkich spojrzeń i przemądrzałych sugestii.

— Kapitan Holland nie jest zwykłym kapitanem artylerii. Przez ubiegły rok pełnił raczej ważne stanowisko w laboratorium departamentu uzbrojenia w Woolwich... Jest praktycznie prawą ręką pułkownika Congreve'a.

— Kim, u diabła, jest pułkownik Congreve?

— Przepraszam... to wyższy oficer odpowiedzialny za laboratorium, które jest właściwie małym skarbcem... w sensie wojskowym. To tam właśnie prowadzi się tajne badania i kapitan Holland tkwi w samym ich środku. Jaką zdobyczą byłby on dla Francuzów... gdyby zyskali jego usługi! A z tego, co wiemy, kapitan składa raporty na temat testów prowadzonych we wszystkich rządowych prochowniach i z tej racji odwiedza je regularnie, wśród nich także placówkę Waltham Abbey, gdzie służy Joseph Sault. Na pewno się znają.

Hudson wyjął kartkę papieru i zapisał kilka zdań.

— Tak, rozumiem, że ów kapitan Holland miałby sposobność przekazać informacje — zauważył powoli. — Jakie dowody ma pan, że faktycznie tak postąpił?

Hicks przyznał, że jednoznacznych dowodów nie posiada, ale, ogólnie rzecz biorąc, przeciwko kapitanowi przemawiało bardzo wiele argumentów. Swoją wypowiedź Hicks poprzedził przedmową, w której stwierdził, że prosi o uważne wysłuchanie

tych argumentów i że to wszystko, o co prosi, jednak Mary wkrótce w ogóle przestała go słuchać. Nie chciała znać jego podejrzeń, podejrzeń, które szczegółowo wyliczała sobie sama od poprzedniego popołudnia. Nie życzyła też sobie widzieć reakcji pana Hudsona na nie. Powtórzyła w myślach więcej niż raz, że najważniejsza jest prawda i liczy się tylko odkrycie tej prawdy. Brała jednak pod uwagę bolesność tej lekcji. Cała ta sprawa była okropna i paskudna, wszyscy wydawali się oszukiwać wszystkich, a każde nowe odkrycie, zamiast rozwiązywać tajemnice, komplikowało je jeszcze bardziej.

Ponieważ nie słuchała, wróciła do zaszyfrowanych papierów, które dał jej Hudson. Spośród tych nowych, podobnie jak w przypadku tamtych z White Ladies, każdy dokument miał ciąg liczb w jednym rogu. Mary zerknęła na Hudsona, ale on słuchał sprawozdania Hicksa, więc otworzyła czwarty tom *Komentarzy* na stronie 412, gdzie zdanie zaczynające się w dwudziestej czwartej linijce dałoby jej alfabetyczny klucz do tekstu na pierwszej kartce.

Pracowała szybko. Znała swoje zadanie, a niektóre fragmenty były naprawdę krótkie. To, co ujawniły, jednak nie złożyło się na przyjemną lekturę. Przeważnie stanowiły instrukcje lub potwierdzenia otrzymanych informacji. Niektóre z odniesień Mary rozumiała albo przynajmniej rozpoznawała, na przykład eksperymenty biskupa Watsona z destylacją węgla drzewnego czy spotkanie właścicieli prochowni w celu przedyskutowania udziałów w produkcji. Wzmianka o Williamie Traceyu w jednym z dokumentów nie zaskoczyła jej, podobnie jak polecenie, aby wyniki pewnych testów pozostawić dla Traceya w „zwykłym miejscu”. Inne wiadomości były mniej jasne. Dwie z nich odnosiły się konkretnie do Woolwich i padały tam nazwiska, których nie znała — nazwiska oficerów. Kim byli ci ludzie? Czy również przekazywali informacje wrogowi? Bez wątplenia krąg konspiratorów wyglądał na bardzo duży.

Gdy Mary skończyła dokument, odkładała go na bok i brała następny. Ostatni używał tego samego klucza co jeden z wcześniej rozszyfrowanych: 4, 266, 20. Wiedziała, że ta zbieżność na pewno ułatwi jej zadanie, a w dodatku dziewczyna odzyskała alfabet, który być może wykorzysta ponownie.

Słowa szybko pojawiały się pod jej piórem: „SPRAWDZIĆ, CZY OSTATNIE INFORMACJE Z WARREN SĄ KOMPLETNE. PROŚBA O POTWIERDZENIE OD”, a potem wolniej: „HOL”.

Przerwała, po czym przygryzając wargę, zmusiła się do napisania „LA”. Sprawdziła każdą literę dwukrotnie, ale nie było na to rady. „NDA”. Jej serce waliło, gdy popatrzyła na to słowo. Nagle dźwięk jej własnego nazwiska przerwał jej skupienie i dziewczyna podniosła wzrok.

— ...kiedy panna Mary Finch dostarczy najważniejszy element do naszej sprawy — zakończył Hicks.

— Panna Finch — powtórzył Hudson. — Tak. — Zapisał kolejną uwagę i zerknął na dziewczynę, a wtedy jego pióro zawisło w powietrzu.

Odwróciła się do niego z pobladłą twarzą. Nie miała pojęcia, o czym mówili albo jaki wkład miała dostarczyć.

— Myślę... że powinniście to zobaczyć — wydukała. Jej obowiązkiem było obnażyć zdradę, ale sama czuła się jak zdrajczyni. — I... tam są inne nazwiska wymienione.

Hudson przeczytał szybko dokumenty. Gdy upewnił się, że przekłady są poprawne, odłożył je na biurko.

Hicks pochwycił je; jego oczy zwężyły się, kiedy badawczo przyglądał się wiadomościom.

— Myślę, że to potwierdza moje słowa — obwieścił. — Holland na pewno jest tym, kogo poszukujemy, a dokumenty stanowczo dowodzą, że w sprawę zaangażowany jest co najmniej jeden wysoki rangą oficer z pułku. A te inne nazwiska: MacLeod i Shrapnel... też zapewne należą do starszych oficerów. Mój Boże, co za odkrycie!

— Spokojnie, spokojnie — przestrzegł Hudson. — Być może mamy rzeczywiście do czynienia z łącznikiem, chociaż każdy niegodziwiec może napisać imię uczciwego człowieka na kartce papieru. Hicks otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zamknął je po chwili i przesunął szorstką ręką po podbródku.

— Zgadza się — przyznał półgłosem. Oddał dokumenty.

— Z drugiej strony — kontynuował Hudson — imię uczciwego człowieka nie pojawia się wśród zdrajców bez konkretnego powodu. Musimy znaleźć Josepha Saulta, zanim jednak nam się uda... Tak? — zakończył z irytacją, gdy przeszkodziło mu stukanie do drzwi.

— Przepraszam, sir — wymamrotał dyżurny — ale chłopcy zeszli z nocnego obchodu i pomyślałem, że zechce pan to zobaczyć.

Podał jakiś papier i Hudson przeczytał go, krzywiąc się niemiłosiernie.

— Cholera, cholera, cholera — wyszeptał, a kiedy popatrzył znad kartki, minę miał ponurą. — Myślę, że będziemy musieli się obejść bez Josepha Saulta — poinformował swoich gości. — Z tego, co mówi raport, najwyraźniej człowiek ów został zabity ubiegłej nocy. Ktoś go zastrzelił w bocznej uliczce w Marylebone.

Hicks wyprostował się na krześle. Wyglądał żałośnie.

— Nie żyje! Czy jest pan pewny?

— Wszystko na to wskazuje. Żadnych świadków oczywiście.

— Wątpię, żebyś pan ich potrzebował — jęknął Hicks. — Idę o zakład, że to robota Rede'a. Ach, co za przekłety głupiec! Powinienem wiedzieć, że nigdy nie należy mu ufać w ważnych sprawach.

— Rede? — spytał Hudson. — Wysłałeś go po Saulta?

— Nie, nie dokładnie, ale to, co powiedziałem, kiedy kazałem mu pojechać do Waltham Abbey... mógł źle zrozumieć. Powiadomiłem go, jak znaczącą postacią jest Sault, a potem, kiedy Rede nie zastał Saulta po raz pierwszy... Widział pan sam, jakiego pokroju jest to człowiek.

— Tak, bez wątpienia.

— Pewnie sam postanowił odszukać Saulta i naturalnie nie potrafił się obyć bez noża czy pistoletu, na wypadek gdyby tamten się opierał, a sprawy wymykały się spod kontroli... Ale żeby go zabić! — Hicks wyglądał w tym momencie, jak gdyby uszła z niego cała energia. Nagle był po prostu stary i zmęczony. — Nie rozumie pan... To jest dla pana, sir, tylko jedna sprawa z wielu, ale pan D. i ja tropimy Saulta i jego przyjaciół od miesięcy. Nigdy nie ustawaliśmy, zawsze pozostawaliśmy czujni, stale wypatrując każdego nowego tropu... A teraz...

Hudson miał pewne doświadczenie w kwestii rozczarowań zawodowych, więc wykazał się zrozumieniem na widok rozpaczy Hicksa.

— Co za pech — zgodził się ze zmęczeniem. — Dwukrotnie sprawdzano, kiedy przynieśli ciało. Wyobrażam sobie, że pan potrafi potwierdzić bez cienia wątpliwości, czy to rzeczywiście Sault. Ale tymczasem nie powinniśmy się poddawać. Co zrobimy z kapitanem Hollandem? Powiedziałeś, pan, że twój przyjaciel Deprez opuścił wraz z nim Suffolk i udali się do Londynu.

— Sir, powiedział pan „Deprez?” — spytał dyżurny, który nadal tkwił w wejściu. — Mężczyzna o takim nazwisku czeka na dole.

Wszyscy krzyknęli natychmiast, najgłośnieżej Hudson.

— Dobry Boże, człowieku! — ryknął — dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? Sprowadź go tu! Przyślij go natychmiast!

Kroki na schodach zabrzmiały niecierpliwie, lecz postać, która otworzyła drzwi, wyglądała zupełnie inaczej niż Paul Deprez, którego Mary czy Hicks ostatnio widzieli. Płaszcz mężczyzny był ubłocony, natomiast gors i mankiety nosiły ślady krwi. Deprez wyglądał po prostu nędznie i słał się ze zmęczenia. Nie golił się też ostatnio, a jego twarz była pocięta i posiniaczona.

— Paul! — zawołał Hicks. — Mój drogi! Jesteś ranny! Co się stało?

— Nie, nie, mniejsza o to, wyjaśnię za chwilę — zaprotestował Deprez. — Ale najpierw, panowie... mamy go.

— Kapitana Hollanda? — spytał więcej niż jeden głos. — Jak? Co się stało? Gdzie on jest?

Przybyły zaczął odpowiadać, kiedy nagle zauważył Mary i zagapił się na nią w zdumieniu.

— Panna Finch! Skąd, u licha... Co pani tutaj robi? Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, podszedł do niej

wielkimi krokami; wyraz jego twarzy zmieniał się szybko od przyjemności, przez zaskoczenie, aż po coś w rodzaju rozdrażnienia.

— Jak, u licha...?! — mruknął znów, obchodząc biurko.

— Przyjechałam ubiegłej nocy z panem Hicksem — wyjaśniła Mary, gdy Deprez wziął jej dłonie w swoje. Poczula taki dreszcz ulgi na jego widok, że przez chwilę nie mogła mówić, a potem wyrzuciła z siebie jednym tchem: — Było coś nie tak z szyfrem, ale to nie ma już teraz znaczenia. Co się panu przydarzyło? Nic panu nie jest?

— Nie, nie, proszę się nie trapić — zapewnił ją, po czym jego spojrzenie padło na otwarty tom *Komentarzy* i stos dokumentów. — Coś... niewłaściwego z szyfrem, powiedziała pani? A cóż takiego? I wtedy cała trójka znowu zaczęła mówić jedno przez drugie.

— To są papiery Rede'a — wyjaśnił Hudson — ale nie mieliśmy okazji jeszcze do nich przejść.

— Nie z szyfrem, miałam na myśli książkę — tłumaczyła Mary — A dokładniej wydanie!

— Sault nie żyje, więc obawiamy się... — oznajmił Hicks. — Cholerny pech, ale proszę popatrzeć na to... Holland jest wymieniony z nazwiska!

Deprez nadal marszczył czoło, gdy patrzył na pospiesznie wykonane przez Mary notatki, kiwając głową na potwierdzenie

słyszanych słów. Aż w końcu wzmianka na temat kapitana Hollanda przypomniła mu o prawdziwym celu, z jakim przybył na posterunek.

— Chodźcie — zawołał — to wszystko może poczekać. Mówię wam, mamy kapitana w garści... albo będziemy go mieli, jeśli wyruszymy natychmiast!

W jednej chwili wszyscy skupili się na sprawie kapitana. Gdzie Deprez zostawił Hollanda? W melinie przy alei Świętej Katarzyny? Tak, Hudson znał te tereny. A sam Holland? Czy jest dobrze zamknięty? Tak, związany i pod strażą. Mężczyźni zajęli się wtedy szczegółami logistycznymi — transportem, wyborem konstabli i poszukianiem chirurga, który udzieli pomocy medycznej kapitanowi, rannemu podczas szamotaniny z Deprezem. Podczas tego nagłego przejścia od słów do czynów wszyscy zapomnieli o Mary, która poczuła się nieistotna; jak mebel. Cokolwiek się stanie, zrobią to bez niej. Po kilku minutach mężczyźni wyszli; Deprez zwlekał w progu jedynie przez moment, jak gdyby chciał coś powiedzieć Mary, po czym zrezygnował i zbiegł po schodach za pozostałymi. Dziewczyna podskoczyła do dużego, zakurzonego okna i patrzyła, jak na ulicy poniżej Deprez rozmawia z Hudsonem. Gestykulował, najwyraźniej udzielając wskazówek, podczas gdy Hicks przyglądał się, kiwając głową z niepokojem i zaciskając ręce. Potem przyłączyło się do nich kilku innych mężczyzn; sądząc po sposobie, w jaki Hudson zwracał się do nich, byli to prawdopodobnie funkcjonariusze policji. Jeden z nich przywołał dwie dorożki i wszyscy wsiedli. Cała akcja odbyła się bardzo szybko. Odjechali, a towarzyszył im stukot końskich kopyt na bruku i ostry dźwięk gwizdków, ostrzegających przechodniów i wozy, aby zeszli z drogi.

Mary cofnęła się od okna i usiadła. Gdy mężczyźni opuścili pokój, nagle zrobiło się w nim zimno. W pomieszczeniu pozostała tylko filiżanka z ostygłą herbatą pana Hudsona, ogień tłący się słabo na palenisku i czyjaś porzucona rękawiczka —

najprawdopodobniej Hicksa, który tak bardzo się spieszył do wyjścia. Oczywiście, Mary była tu nadal, ona jednak już się nie liczyła.

Hicks i Deprez jechali w drugiej dorożce wraz z dwoma policjantami. Deprez ostrzegł ich, by uważali, kiedy będą mieli do czynienia z kapitanem Hollandem. Chociaż ranny, nadal pozostawał niebezpieczny,

Funkcjonariusze kiwnęli głowami.

— Będziemy ostrożni, sir, może pan na nas liczyć.

— Nie udadzą mu się żadne sztuczki z nami.

— Nie, jasne, że nie. — Po chwili Deprez zwrócił się do Hicksa: — Żałuję, że panna Finch jest tutaj.

— Tak, nie zamierzałem jej wciągać, ale...

— To nie jest właściwe, żeby była narażona na takie rzeczy. — Deprez zadumał się. — Młoda dziewczyna, wrażliwa... jakżeby mogła nie poczuć się dotknięta i przygnębiona z powodu tego, co się zdarzyło? — Potrząsnął głową. — Niektórych z tych spraw nie mogła uniknąć, jednak przeżywać to wszystko znowu... tak blisko...

Policjanci zrozumieli tym samym, iż młoda dama czekająca na posterunku stała się w jakiś sposób ofiarą zdrajcy, który wykorzystał jej ufną naturę, i ich wrogość do Hollanda wzrosła. Ten drań kapitan nie może oczekiwać od nich litości. Wśród ich pomruków Hicks szepnął:

— To był przypadek, wiesz. Spotkałem ją po drodze, wracała właśnie w White Ladies i udawała się do Woolthorpe Manor, aby wyjaśnić coś, co odkryła w związku z wydaniem Black-stone'a! Bóg wie, co podsunęło jej pomysł, aby martwić się o takie rzeczy, była jednak wyraźnie zdenerwowana. Przekonywałem ją, że to nie ma znaczenia, wydawała się niestety... wytracona z równowagi, mówiła chaotycznie. Powiedziała nawet... A kiedy napomknąłem o udziale Hollanda...

— Ach, więc wyjawiliś jej nasze podejrzenie?

— Tak, pomyślałem, że tak będzie lepiej. — Deprez nie odpowiedział, więc Hicks dodał: — No i chciała pojechać... aby wytłumaczyć to wszystko. Przyjechałaby sama!

— Do Londynu? O mój Boże, ależ ona ma silny charakter— zadumał się Deprez.

— Tak, cóż... Myślałem, że jesteśmy jej to winni.

— Być może. Może rzeczywiście jesteśmy. — Deprez wyjrzał za okno. Londyńska Tower wynurzyła się obok nich; nawet na tle bezchmurnego, porannego nieba prezentowała się imponująco, lecz i ponuro. Deprezowi przypomniła się rozmowa, którą odbył wcześniej z Hollandem... „Brama Zdrajców. Ważnych więźniów przywożono do Tower drogą wodną”. Opuścił okno. Obecność czterech niezbyt czystych mężczyzn zagęściła atmosferę, a w dodatku w dorożce pachniało ostro i nieprzyjemnie, jak gdyby poprzednim jej pasażerem był ktoś jeszcze mniej porządny.

— A potem okazało się, że dziewczyna się przydała — kontynuował Hicks. — Hudson... pan Hudson... nie dał się łatwo przekonać, ale kiedy rozszyfrowała dokumenty, które przekazałem mu na początku, i znalazła w nich nazwisko Hollanda, uwierzył.

— No tak — zgodził się Deprez. — Dobra robota.

Gdy to powiedział, dorożka zwolniła i zaczęła skręcać w wąską aleję. Deprez wyjrzał z okna i kiwnął głową.

— To tam, panowie, oberża Pod Maczugą i Celami. Całkiem odpowiednia nazwa na lokum dla kapitana Hollanda, jak sądzę. — Otworzył drzwi, kiedy pojazd się zatrzymał. — Chodźcie. Nasi przyjaciele już przybyli.

Policjanci wysiedli i przez chwilę dwaj mężczyźni zostali sami.

— Ach, ten cholerny gwizdek — mruknął Deprez, kiedy rozdzierający jazgot odbił się echem od ścian spokojnej uliczki raz, a potem drugi. — Czy oni nie mogą zrobić niczego cicho? Lepiej chodźmy i popatrzmy.

Grupka funkcjonariuszy zgromadziła się przed drzwiami

lokalu. Deprez wysiadł z dorożki i zaczął rozpytywać, co się zdarzyło, lecz na widok Hudsona, który przepychał się, aby wyjść z tłumu, pospieszył naprzód.

— Co się dzieje? — zawołał. Hudson podbiegł do niego.

— Holland uciekł!

Po chwili dwaj mężczyźni stali już naprzeciwko siebie.

— Co takiego? — zapytał Deprez. — Co pan... — Przerwał, przebiegł obok Hudsona, w pośpiechu ślizgając się po zabłoconym bruku. Wpadł przez otwarte drzwi i ruszył w górę po schodach. W małym pokoju w szczycie znalazł krajobraz jak po bitwie: przewrócone krzesła, rozbitą umywalkę i ani śladu Rede'a. Materac tkwił częściowo na ramie łóżka, a częściowo na podłodze, koce zaś i narzuta leżały zwalone na kupę. Deprez dostrzegł szynel Hollanda, a także postrzępione kawałki sznura, którym kapitan był związany. Jego samego jednak nie było.

Hudson szybko wydał swoim ludziom rozkaz gruntownego przeszukania budynku i najbliższego sąsiedztwa. Na Boga, Holland nie miał przecież dużej przewagi nad nimi... i na dodatek był ranny! Nie zdołał zająć daleko.

Taką przynajmniej Hudson żywił nadzieję. Spojrzał w górę; nawet ta uliczka wyglądała jak cholerny labirynt. Było tu tysiące miejsc, gdzie zbieg mógłby się ukryć.

— Sierzancie Harris! Dopilnujcie, żeby sprawdzono także poddasza.

Po chwili uwagę Hudsona przyciągnęło jakieś zamieszanie w jednym z budynków. Krzyki, głuchoe odgłosy, a potem otworzyły się drzwi i na ulicę wybiegła wysoka, wychudzona, potargana rudowłosa kobieta w postrzępionej sukni. Przeklinała wściekle i dwóch konstabli usiłowało ją uspokoić.

— Tam jest burdel, sir, na samym szczycie — zawołał jeden. — Myśleliśmy, że może uciekinier ukrył się na górze i...

— Nie miałeś prawa! — wrzasnęła oburzona burdelmama i zaczęła bić jednego z konstabli czymś, co wyglądało jak skręcona halka. — Nic nie zrobiłyśmy! — wołała, nie przestając uderzać w głowę i ramiona policjanta. — Zostawcie nas w spokoju!

— Och, mój Boże — wymamrotał Hudson. — W porządku, w porządku. Ucisz się, kobieto!

Kiedy Hudson poszedł załagodzić sytuację, Deprez dał Hicksowi ledwie widoczny znak i w ten sposób odciągnął go na stronę. Tam szepnął mu w sekrecie, że wszystko poszło zgodnie z planem i Holland w rzeczywistości jest teraz dobrze pilnowany i pod kluczem. Hicks wyraźnie się odprężył, słysząc tę wiadomość, ale jęknął skonsternowany, gdy dowiedział się, że rana kapitana jest faktycznie całkiem poważna.

— Cholera! Rana od kuli może być groźna, jeśli nie zostanie odpowiednio opatrzona... Zresztą nawet właściwie opatrzona może być niebezpieczna. Co teraz zrobimy?

— Hudson nie będzie się tu kręcił zbyt długo — przepowiedział Deprez. — Wróci na Bow Street, choćby tylko po to, aby zorganizować szersze poszukiwania. Pojadę z nim. Mam nadzieję, że nie czekają nas dalsze problemy z naszym przyjacielem Saultem? Że nic nie oderwie Hudsona?

— Nie, nie, sprawa Saulta została wystarczająco wyjaśniona. — Wtedy jednak Hicks coś sobie przypomniał i skrzywił się ze złością. — Dobrze byłoby jednak odzyskać również jego papiery.

— Papiery? Jakie papiery masz na myśli? — Do tej pory Deprez jednym okiem obserwował kłótnię policjantów z prostytutką, ale teraz jego uśmiech znikł.

— Papiery Saulta — wyjaśnił Hicks. — Ten cholerny głupiec Rede zebrał wszystkie informacje, które otrzymał Sault, i przez pomyłkę przekazał je Hudsonowi. Bóg jeden wie, co temu idiocie zdawało się, gdy to robił. Nie przypuszczam wprawdzie, żeby tam było coś...

— Przekazał je?! — zawołał Deprez. — Przekazał papiery Saulta policji, zanim je sprawdziłeś?

Hicks kiwnął głową i jego oblicze zaczęło odzwierciedlać wściekły niepokój, który pobrzmiewał w głosie drugiego mężczyzny.

— Ale...

— Mój Boże, człowieku! Postradałeś zmysły? Zostawiłeś te papiery na posterunku? Wiadomości do Saulta? Pomyśl, co mogą zawierać!

— Ale nikt inny nie potrafi ich przeczytać... nie zostały rozszyfrowane.

— Nie zostały rozszyfrowane... jeszcze! Cholera, człowieku, zapomniałeś o panie Finch?

20

Zniknął. Uciekł. Zaginał. Mary była ogłuszona tym, czego się dowiedziała, i widokiem pokrwawionego szynela—jedynej rzeczy, która pozostała po kapitanie. Wyszła przed posterunek, kiedy dotarło do niej, że wróciła jedna z dorożek, i wtedy usłyszała zwięzłe wyjaśnienie Hudsona. Przez chwilę stała na schodach, zawadzając przebiegającym obok niej policjantom, potem zaś poczuła na ramieniu czyjąś rękę i zatroskany głos przebił się przez jej zadumę. Ocknęła się i nawet uśmiechnęła słabo, gdy Deprez spytał z niepokojem, czy nic jej nie jest.

— Nie, nie — kiwnęła głową. — To tylko...

— Oczywiście — zgodził się, reagując z typowym dla siebie zrozumieniem i szczerą sympatią.

Naprawdę jej współczuł i te emocje dodatkowo utrudniały jego zadanie. Musiał wiedzieć, czy już stała się niebezpieczna... czy też będzie musiał ją po prostu powstrzymać, zanim zacznie stanowić zagrożenie. Przyglądając jej się z góry, zmarszczył czoło w zadumie i uznał, że raczej ma do czynienia z tym drugim przypadkiem. — To był okrutny cios dla nas wszystkich — powiedział — a znacznie gorszy dla ciebie, pani, gdyż czekałaś tu na wiadomość. Ale teraz powinnaś trochę odpocząć. — Zwrócił się do Hudsona — Jest w pobliżu jakieś spokojne miejsce, gdzie pannie Finch byłoby wygodnie?

396

— Co? — Hudson rozdziawił usta.

— Nie, proszę — wtrąciła pospiesznie Mary, kładąc rękę na dłoni Depreza — nie powinien pan zajmować się mną. Naprawdę czuję się zupełnie dobrze. Co się stanie, kiedy... znajdziecie kapitana Hollanda?

— Jeśli go znajdziemy — mruknął Hudson, kiedy Deprez się skrzywił. Ręka Mary była ciepła, a sama dziewczyna wyraźnie okazywała mu zaufanie. Musiał być cierpliwy.

Mary wpatrywała się w dwóch mężczyzn, próbując zinterpretować ich ponure miny.

— Nie ma zupełnie żadnej nadziei? — spytała półgłosem. Ostatecznie była kobietą, więc obaj starali się zapanować

nad przygnębieniem, jednak przyznali, że nie podchodzą do sprawy kapitana zbyt optymistycznie.

Hudson wysłał ludzi, aby przeszukali doki i zatrzymywali wszelkie podejrzone łodzie, zauważył jednak, że szanse znalezienia Hollanda w ten sposób są nikłe. Istniało wiele miejsc, w których zbieg mógłby się ukryć, a policja nie jest w stanie przeszukać ich wszystkich. A gdyby udało mu się dotrzeć w dół rzeki, na wybrzeże, bez trudu wynajmie tam łódź rybacką, na której dopłynie do Francji.

Hudson wzruszył ramionami.

— Ale z drugiej strony, jeżeli jest zbyt poważnie ranny, aby podróżować, może zniknąć... zapaść się pod ziemię gdzieś w stolicy... w jakiejś kryjówce.

— Kryjówce? — powtórzyła Mary.

— Jakimś przytulnym schronieniu, gdzie może się schować, wraz z przyjaciółmi, którzy zaopiekują się nim do czasu, aż będzie mógł się przemieścić bez przyciągania naszej uwagi. Przypuszczam, że mają takie miejsca... Ta szajka najwyraźniej nie zadowala się półśrodkami... Dla nas taka sytuacja jest równie beznadziejna. Przeczesań Londynu w celu odnalezienia takiej kryjówki jest jak szukanie cholerycznej igły w stogu siana; nie mogę zaangażować wszystkich moich ludzi do tej jednej sprawy, a szczególnie kazać im przez całe tygodnie czekać, aż coś wypłynie.

— Nie, na pewno nie — zgodził się Deprez. Następnie oświadczył władczyni tonem, że niczego nie osiągną, jeśli będą mitrężyli czas, stojąc wraz z Mary na schodach wejściowych. — Hudson, jeśli mamy znaleźć kapitana Hollanda, musimy z miejsca ustalić plan działania. Może jeśli we dwóch... Mary dostrzegła, że mężczyzna wskazuje w górę i zwróciła się do Hudsona.

— Co zamierzacie zrobić? — spytała policjanta. Deprez skrzywił się, gdy Hudson wyjaśnił, że zamierzają

rozszyfrować pozostałe wiadomości, w nadziei na to, że dostarczą one dalszych wskazówek na temat działania bandy. Deprez nie dostrzegał w tej czynności niczego dobrego, wiedział natomiast, jakie wiąże się z nią dla niego bardzo realne niebezpieczeństwo. Następne pytanie Mary jeszcze bardziej go zdenerwowało.

— Pozwolicie, żebym wam pomogła?

— Panno Finch, szczerze sędzę... — zaczął, potrząsając głową, ale dziewczyna przerwała mu i niecierpliwie naciskała na Hudsona:

— Proszę, rozszyfrowałam tamte, pamięta pan? Niech mi pan pozwoli dokończyć pracę. Tak bardzo chciałabym zrobić coś użytecznego — nalegała.

— ...że nie powinna się pani męczyć — dokończył Deprez swoje zdanie szeptem.

Słowa te wypowiedział mechanicznie i z małą wiarą w ich skutek. Rozważył słowa Mary i ocenił ryzyko jej propozycji. Uznał, że jest naprawdę spore, więc zrobił długi, powolny wydech, usiłując się uspokoić. Sault, ty głupcze — pomyślał — dlaczego nie zniszczyłeś tych papierów? Czuł się pas-kudnie — tak wiele zrobił, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, a teraz nagle znów groziła mu katastrofa. Ponieważ wąpił, czy Hudson, mimo całej swej opryskliwości, oprze się prośbom Mary.

— Nie jestem wcale zmęczona! — zapewniła dziewczyna

ich obu. — A co trzy głowy to nie dwie, prawda? Poza tym myślę, że potrafię rozszyfrować te papiery szybciej niż któryś z was.

— Tak, pewnie pani potrafi — odburknął Hudson. — No cóż, chodźmy zatem.

Wkrótce rozlokowali się w biurze Hudsona. Mary usiadła na tym samym krześle co wcześniej, teraz nieobciążonym przez płaszcz Hudsona, natomiast Deprez zajął pozycję przy przeciwległym końcu biurka, blisko ognia. Każde z nich miało przed sobą otwarty tom *Komentarzy*; pozostałe woluminy, zapalona świeca i mały stosik zaszyfrowanych dokumentów zajmowały resztę miejsca na biurku.

Hudson wziął wprawdzie pióro w rękę, ale nie przyłączył się do pracy nad zdekodowaniem tekstów — albo z powodu braku wolnej przestrzeni na biurku, albo z braku zdolności. Obserwował więc jedynie trudy pozostałej dwójki, bezwiednie owijając sobie wokół palców fioletową wstążkę.

Zdecydował, że na pewno dobrze zrobił, spełniając prośbę panny Finch. Podczas gdy Deprez działał tak powoli, że niemal nie posuwał się do przodu, ręka Mary poruszała się szybko i stale po kartkach, zmieniając zaszyfrowany bełkot w rozpoznawalne słowa. Niejednokrotnie Deprez przerywał własną pracę i przyglądał się dziewczynie, a kiedy skończyła jakiś dokument, od razu, nawet przed samym Hudsonem, sięgał po efekty i badawczo przeszukiwał rozszyfrowane treści.

— Niech się pan uspokoi — polecił mu ostro policjant, gdy tamten z pośpiechu o mało nie przewrócił świecy.

Jeśli Mary uważała zachowanie Depreza za osobliwe, nie dała tego po sobie poznać. Nagle podniosła oczy i spytała zaskakująco chłodnym głosem:

— Panie Hudson, może mi pan powiedzieć, gdzie znajdziemy Orchard Street? Czy jest taka ulica w Londynie?

— Co?! — spytali równocześnie obaj mężczyźni. Powtórzyła pytanie, po czym przesunęła kartkę, nad którą

pracowała, przez biurko, w wyciągniętą rękę Depreza.

— Nie wiem... — zaczął Hudson powoli, a potem zawahał się. — Znalazła pani coś? Może być... Tak, sądzę, że jest Orchard Street w Marylebone, blisko Edgware Road. Co pani znalazła?

— Wzmiankę o domu przy Orchard Street — odparła Mary nadal tym samym spokojnym tonem. — Czy nie powiedział pan, że pana Saulta zabito właśnie w Marylebone?

Hudson szybko pochwycił papier, nie zauważając, że Deprez lekko poczerwieniał.

— Proszę mi to pokazać.

— Myślicie, że warto sprawdzić ten adres? — spytała, zerkając na nich. — Nie ma tu konkretnego wskazania, tym niemniej...

— Tak, oczywiście, że warto go sprawdzić — uciał Hudson, a jego rozdrażnienie zmieniało się w entuzjazm. — Na tym etapie byłbym skłonny aresztować moją starą babcię, gdyby wspomniały o niej te cholerne papiery!

— Być może pan Deprez słyszał o Orchard Street — kontynuowała Mary. — To znaczy... podczas swojego wcześniejszego śledztwa.

Mimo że Deprez wielokrotnie już wychodził z trudnych sytuacji, jego serce waliło teraz jak oszalałe, lecz kiedy zapatrzył się nad stołem na dziewczynę, wyraz jej twarzy pozwolił mu się odprężyć.

Upewnił się, że Mary w żaden sposób go nie oskarżała. Jej pytanie miało sens, a była przecież inteligentną młodą kobietą; i tyle. Potrząsnął głową, jak gdyby się zastanawiał.

— Nie, nie pamiętam, żebym słyszał gdzieś nazwę tej ulicy. Hudsona bynajmniej nie zbiło z tropu to oświadczenie.

— Nie? I tak uważam, że taka konkretna wskazówka to już coś! — zawołał. — Związek z Marylebone może być ważny. Kontynuuj, panno Finch. Dajesz nam nadzieję!

— Tak — powtórzył Deprez. — W rzeczy samej... nadzieję. Och, Orchard Street i nic więcej — przypomniał sobie surowo — nie jest aż tak źle. Cóż to ma zresztą za znaczenie,

czy Sault jest powiązany z jakąś Orchard Street? Uda nam się mimo wszystko, jeśli tylko zachowam ostrożność, a dziewczynie pozostały przecież już tylko dwie kartki.

Mary podjęła swoją pracę i rozszyfrowała jak należy ostatnie dwa teksty. Były to krótkie wiadomości — jedna miała coś wspólnego z płatnościami, a w drugiej pytano o datę spotkania; nie można było jednak ocenić, kogo dotyczą te informacje: konspiratorów czy też ich zdobywczy. Dokumenty nie okazały się szczególnie interesujące ani bogate w wyjaśnienia. Dziewczyna odłożyła pióro i obserwowała obu mężczyzn, odnotowując w pamięci ich zmieniające się miny — od zainteresowania, troski, frustracji po... ulgę?

Nie zdążyła się nad tym zastanowić, kiedy Deprez podniósł się i poszedł do ognia. Kiedy odwrócił się ponownie do Mary, jego twarz pozostawała w cieniu i dziewczyna już nie potrafiła zinterpretować wyrazu jego twarzy, udawanego czy prawdziwego. Westchnęła i przeciągnęła się lekko, myśląc, że czas spędzony na deszyfracji dokumentów nie okazał się szczególnie pożyteczny. Ale czego się spodziewała? I co się teraz zdarzy? Wiedziała, że wprawiła w ruch coś, nad czym przestała panować, ale czy miała inny wybór? Zanim całkowicie przeanalizowała tę kwestię, podzieliła się z mężczyznami bardziej oczywistą troską.

— Te papiery pana Saulta nie zbliżyły nas do kapitana Hollanda.

— Niestety — przyznał Hudson. Brak postępów po Orchard Street zniechęcił go nieco i teraz zastanawiał się, w jaki sposób rozdzielić dostępnych mu policjantów, aby przeprowadzić gruntowne poszukiwania w stolicy. Poszukiwania gruntowne i — co bardzo prawdopodobne — daremne.

— Ale warto było wysilić się i rozszyfrować te teksty — oznajmił Deprez. — W tej sprawie musimy zbadać każdy trop i niczego nie pozostawić przypadkowi.

Jego ton był teraz spokojny i oddany, tak jak wcześniej, jednak drażnił uszy Mary.

Nie — powiedziała sobie w myślach — nie zostawiamy niczego przypadkowi. Zerknęła na Hudsona, lecz jemu najwyraźniej wypowiedź Depreza nie wydawała się podejrzana. Uświadomiła sobie, że policjant nie zacznie niczego podejrzewać, jeśli ktoś mu w tym nie pomoże, a pomoc mogła tylko ona. Gdyby tylko miała pewność...

— Przypuszcza pan, że kryjówka, o której pan wspomniał, może się mieścić przy Orchard Street? Czy właśnie tam powinniście szukać kapitana Hollanda? — Kierowała swoje pytania do Hudsona, ale sprawdzała efekt, jaki wywrą one na Deprezie. Mężczyzna wzdrygnął się — tylko nieznacznie, lecz nie umknęło to jej uwadze. Tak, teraz się upewniła. Ledwie słuchała odpowiedzi Hudsona i ostrożnego potwierdzenia Depreza. Musiała przemówić, nie istniał żaden powód do dalszej zwłoki...

— Zanim wszakże podejmiecie jakieś decyzje — kontynuowała, wyjmując z kieszeni sukni złożone kartki — powinniście zerknąć na te dokumenty. — Sama była zaskoczona, że nie drży jej ani ręka, ani głos. Wręcz przeciwnie, odnosiła wrażenie, że wszystkimi zmysłami skupia się teraz na tym jednym zadaniu. — Napisano w nich — dodała ze śmiertelną powagą i chłodem — „W następnych dwóch tygodniach oczekuj instrukcji związanych ze sprawą Saint Lucii”. Albo tu: „Mężczyźni z Saint Lucii wkrótce przybędą. Do czasu otrzymania poleceń od nich należy przerwać wszystkie operacje”.

Podniosła oczy na Depreza i przyjrzała mu się uważnie.

— Pan jest z Saint Lucii. O co pańskim zdaniem tu chodzi?

— Dlaczego ty, mała...

Zrobił krok ku niej, a Mary cofnęła się szybko, przewracając krzesło. Wszystkie jej zmysły natychmiast się wyostrzyły i dziewczyna doświadczyła zarówno przyływu emocji, jak i świadomości, że walka jeszcze się nie skończyła.

— Trzymaj się z dala ode mnie! — ostrzegła mężczyznę, szybko podnosząc księgę, jak gdyby zamierzała nią w niego rzucić.

Deprez zatrzymał się, Hudson zaś jednym szarpnięciem otworzył szufladę biurka i wyciągnął pistolet.

— Pozostań, panie, tam, gdzie stoisz — warknął. — Oboje spokój! Panno Finch, o czym pani, u diabła, mówisz? Skąd masz te papiery?

— Od pana Saulta... Były w pliku, który pan otrzymał. Rozszyfrowałam wszystkie wiadomości podczas waszego wyjazdu, ale te dwie odłożyłam, ponieważ wynika z nich niezbitie, że pan Sault wiedział o ludziach z Saint Lucii! I że przyjmował od nich rozkazy... od pana Depreza. Współdziałali od samego początku!

— Panno Finch! — jęknął Deprez. Z najwyższym wysiłkiem zdołał się zmusić do poirytowanego tonu, jak gdyby sugerował, że ktoś zrobił mu jakąś paskudną, choć może nieszkodliwą sztuczkę, a tymczasem przez jego myśli błyskawicznie przelatowały kolejne pomysły na wybrnięcie z tej kłopotliwej sytuacji, którym towarzyszył akompaniament w postaci słów: „Niech cię szlag, niech cię szlag, niech cię szlag!”.

— Sault i Deprez współdziałali? — warknął Hudson. — To niemożliwe.

— Ależ możliwe — zawołała Mary, nadal cofając się przed Deprezem. Jej serce znów uderzało swobodnie i była zdecydowana stawić czoło wyzwaniu. — Proszę mi powiedzieć, panie Hudson, kto panu zasugerował powrót na Bow Street w celu przejrzenia papierów pana Saulta? Deprez, prawda? Jestem pewna, że tak.

— Uważał, że może się w nich znajdować jakiś trop...

— Raczej bał się, że może się w nich znajdować jakiś trop! — poprawiła go Mary. — I miał rację. Są aż dwa... Orchard Street i Saint Lucia. Gdyby znalazł je przede mną, na pewno by ich panu nie zdradził.

Hudson nachmurzył się, tym niemniej odwrócił się do Depreza.

— Sault przyjmował zatem rozkazy od ludzi z Saint Lucii, czy tak? Może nam pan to wyjaśnić?

— Chyba nie jestem odpowiedzialny za to, co zawiera jakiś... anonimowy dokument — odburknął Deprez. Mówił do Hud-

sona, lecz nie odrywał spojrzenia od dziewczyny. Jego wzrok był twardy i przenikliwy. Mierzył teraz Mary wzrokiem jako rzeczywistego przeciwnika. Jeśliby ją jakoś skłonił do ustąpienia, sytuacja mogłaby się jeszcze obrócić na jego korzyść. — Więc sądzi pani, panno Finch, że zarówno kapitan Holland, jak i ja jesteśmy winni.

— Tak — kiwnęła głową z przekonaniem, tyle że nie miała tak wielkiej wprawy w tego rodzaju polemikach jak Deprez, więc się zawahała. — Nie... Nie jestem pewna co do kapitana Hollanda.

— Och, ależ i jego bez wątpienia należy obarczyć winą — ciągnął Deprez i teraz w jego tonie pojawiła się lekka perswazja. Mężczyzna odzyskał pewność siebie i stanął prosto, założywszy niedbale ramiona na piersi. — Ostatecznie, wzmianka o nim także pojawia się w tych papierach. W pani ocenie powinien być równie winny jak ja... a nawet bardziej, ponieważ został wymieniony z nazwiska.

— Być może. Ale nie wspominają o nim papiery pana Saulta — odparowała Mary — tylko te, które Hicks dał panu Hudsonowi. Skąd je wzięliście? Skąd mamy wiedzieć, że są prawdziwe?

Deprez popatrzył na dziewczynę z zaciekawieniem.

— A skąd wiadomo, że w ogóle któreś z nich są prawdziwe? I zapominasz, panno Finch, że ja poluję na zdrajców od wielu miesięcy. — Przełomie rozważył protekcyjny ton, ale odrzucił go jako kiepską strategię. Wątpił, czy Mary kiedykolwiek pozwoliłaby komuś na protekcyjne potraktowanie, a jeśli nawet, na pewno nie w obecnym nastroju. Zamiast tego postanowił więc użyć racjonalnych argumentów: — Dlaczego, do cholery, miałbym sobie zadawać tyle trudu, skoro mogłem po prostu spłodzić dokumenty z zaszyfowanymi nazwiskami? I co zyskałbym, tworząc fałszywe teksty?

— Nie wiem — przyznała. Ten problem już wcześniej zmusił ją do naprawdę dużego wysiłku umysłowego, toteż zastanawiała się nad nim przez dobrą chwilę, gdy siedziała sama w biurze

Hudsona. Teraz jednak wyczuła, że Deprez próbuje wprawić ją w zakłopotanie lub oderwać jej uwagę od jakiegoś innego ważnego punktu, toteż tylko potrząsnęła głową. — Dlaczego Sault miałby w takim razie wspominać o mężczyznach z Saint Lucii? I dlaczego chciał pan tak bardzo zobaczyć jego papiery? Ponieważ wiedział pan, że są prawdziwe, i bał się pan, że was zdradzą!

Potem oboje zaczęli mówić jednocześnie i Hudson znów przywołał ich do porządku.

— Sprawdzę, czy rozumiem — popatrzył na Mary z ponurą miną. — Panno Finch, twierdzisz, że dokumenty od Saulta są autentyczne i oskarżają Depreza.

— Tak.

— Ale te drugie... te, które znalazłaś, pani, w White Ladies i te, które wręczył mi Hicks... nie są.

— Tak... być może.

— Chociaż szyfr jest dokładnie ten sam...

— Tak, wiem — przyznała Mary — i kapitan Holland przyznał, że informacje zawarte w papierach z White Ladies są prawdziwe.

— Jedno jest pewne, mamy zbyt wiele tych cholernych papierzyk — mruknął Hudson. — Fakt jednak pozostaje faktem, że na razie poszukujemy kapitana Hollanda, a wydaje mi się, że istnieje spora szansa, iż przebywa on w Marylebone. Więc właśnie tam musimy pojechać.

— Tak, oczywiście — odparła Mary. — Ale... co z panem Deprezem? — Czy było możliwe, że policjant nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa? Nie mógł być chyba tak mało pojętny... Może jednak jej nie uwierzył?

— Pan Deprez będzie tak miły i pozostanie tutaj. — Hudson podniósł rękę, by uciszyć tamtego. — Na razie usłyszałem już dość pańskich tłumaczeń, sir. Myślę, że musimy poczekać, aż kapitan Holland poda nam własną wersję. Panno Finch, bądź tak dobra i pobiegnij na dół. Poproś konstabla Burta, aby przyszedł do nas, a tobie, sir, radzę nie utrudniać sytuacji.

— Nie powiesz pan, że wierzysz w te nonsensy? — wybuchnął Deprez. — Niech pan pamięta, człowieku, że próbowałem panu pomóc! Kto złapał Hollanda, kiedy chciał zniknąć? Ja. Panna Finch przeżyła wszak bolesny wstrząs, sam pan tak mówiłeś! Ta dziewczyna nie wie, co opowiada.

— Ależ wiem!

— Spokój! — polecił Hudson. — Opieraliśmy się na jej słowach w przypadku reszty tych przeklętych dokumentów, będziemy więc na niej polegali także w kwestii tamtych.

— Chcesz pan powiedzieć, że... zaaresztujesz mnie, zanim pojedziesz po Hollanda?

— Dokładnie to chcę panu powiedzieć, sir.

— Ponieważ uważasz pan, że jestem... Kim... dokładnie? Szpiegiem?

— Ponieważ nie wiem, kim jesteś, i zamierzam się tego dowiedzieć.

— Popelniasz błąd! — ostrzegł go Deprez. — Przypuszczam, że słyszałeś o bezprawnym pozbawieniu wolności.

— Tak. I zaryzykuję. — Hudson kiwnął głową w stronę drzwi. — Proszę iść, panno Finch.

— Och, na miłość... Nie zniżajmy się do gry niczym w amatorskim teatrze. — Deprez gestykulował gniewnie, milcząc przez chwilę, po czym podjął twardo: — Zamykając mnie pod kluczem, niczego nie osiągniecie. Oczywiście, jedźcie na Orchard Street, jeśli sprawi wam to przyjemność, lecz nie znajdziecie tam dokładnie nic, a możecie bardzo zaszkodzić...

— Dlaczego? — zapytał Hudson i posłał Mary ostre spojrzenie, zatrzymując ją w progu. Deprez przyciągnął do siebie krzesło i usiadł na nim. Hudson również zajął swoje miejsce, ale pochylił się do przodu, kładąc łokcie na biurku; pistolet położył tuż obok siebie.

— Ponieważ — kontynuował Deprez — wasza... wizyta będzie niezmiernie niebezpieczna... dla kapitana Hollanda.

— Ach, więc on tam jest — zawołała Mary. Deprez ponownie zawahał się przed odpowiedzią.

— Przypuśćmy, że tak, czysto teoretycznie. W takim wypadku nie będzie wam łatwo wyciągnąć go... żywego. Znacie ulicę, nie znacie jednak numeru domu, w którym kapitan jest przetrzymywany.

— Ale pan go znasz, jak sądzę — dociął mu Hudson. — Cholera, ten człowiek jest na Orchard Street od samego początku, nieprawdaż? Całe to puste gadanie o Maczudze i Celach to jedynie pański wybieg.

— Właściwie nie. Daję panu moje słowo, że kapitan Holland został przeze mnie schwyty w oberży Pod Maczugą i Celami. Kwestia ta jest obecnie zupełnie nieistotna dla sprawy... Kapitana nie ma już w oberży, jak sam pan odkrył... Wróćmy do pańskiej hipotezy z Marylebone. Jeśli Holland rzeczywiście przebywa gdzieś na Orchard Street, jest bez wątpienia dobrze strzeżony i te straże trudno będzie zaskoczyć. Obserwowałem metody pańskich ludzi w alei Świętej Katarzyny... stanowią przeciwieństwo subtelności... więc ich akcja w Marylebone bez wątpienia zakończy się nieszczęściem. Podczas gdy pańscy ludzie będą biegali po całej ulicy, stukając do kolejnych drzwi i dmuchając w swoje piekielne gwizdki, „opiekunowie” kapitana Hollanda będą mieli dość czasu na... przeprowadzenie go niepostrzeżenie w inne miejsce albo zabicie.

— Dlaczego mieliby go zabijać? — spytał Hudson.

— Ponieważ wraz z waszym pojawieniem się kapitan stanie się dla nich ciężarem. Jestem pewny, że zna pan wyrażenie: „Nie ma honoru wśród złodziei”. Bez wątpienia podobnie jest ze szpiegami.

Ostatecznie, Holland jest ranny i łatwiej byłoby go zabić, niż wydać w wasze ręce. — Deprez przerwał, widząc, jak Mary blednie, lecz szybko uodpornił się na ten widok. Pora nie była odpowiednia na współczucie, więc bez wahania podjął jeszcze twardszym tonem: — Nie zapominajcie o człowieku, który zabił Saulta... jest tam prawdopodobnie, a nie należy do osób, które wzdragają się przed morderstwem, jeśli tylko uznają, że ktoś zagraża ich bezpieczeństwu.

— Tak, ten człowiek nie cofnie się przed niczym. — Hudson

mówił powoli, był jednak prawie zadowolony z obrotu, jaki przybrały sprawy. Wszystkie te szyfry i dziwne aluzje zdenerwowały go tylko; zupełnie nie wiedział, co z nimi robić. Obecnie sytuacja pozostawała bardzo groźna, wszystko jednak wreszcie się wyjaśniło, a on sądził, że zrozumiał całą sprawę. — No dobrze — skinął szorstko głową — jak zatem wyprowadzimy kapitana?

— Wy nie zdołacie go stamtąd wyciągnąć, lecz ja tak. Mogę posłużyć się pewną taktyką, która okaże się skuteczna w przypadku strażników Hollanda.

— Pewną taktyką — zadrwił Hudson. — Chce pan powiedzieć, że wyda pan tym ludziom rozkazy.

— Jak zwykle, sir, wyolbrzymiasz sytuację—odparł Deprez. Mary straciła już do nich obu cierpliwość. Jaki był sens

w okrażaniu podstawowego pytania?

— Potrafi pan zatem zabrać go z Orchard Street! Zrobi pan to? — zapytała wprost.

— Tak — odpowiedział Deprez — o ile pan Hudson zgodzi się w zamian zrezygnować z pewnych... oskarżeń przeciwko mnie. Proponuję... moją wolność w zamian za wolność kapitana Hollanda.

— Widzę, że to jest cholernie zła wymiana — warknął Hudson.

— Przeciwnie, jest nadzwyczaj dobra!

— Równie dobra jak przyznanie się do winy...

— Do niczego się nie przyznałem. Nie jest jeszcze zbrodnią przyznać się do wiedzy, iż jakiś człowiek przebywa w Marylebone. Cała reszta to domniemania. Bez Hollanda nie możecie mi niczego udowodnić, a bez mojej pomocy nigdy go nie odnajdziecie... żywego. — Hudson nie odpowiedział, więc Deprez ciągnął swoją kwestię: — Jeszcze pięć minut temu jedyne, czego pan pragnął, to aresztować tego człowieka. Powinien pan nadal tego chcieć. Być może kapitan jest jednak winny... Być może jest niebezpiecznym szpiegiem.

— Nie bardziej niż pan jesteś, jak mi się zdaje.

Deprez wiedział, że nie może zaryzykować uśmiechu; jego próżność nie była aż tak wielka, a Hudson nie był kompletnym głupcem. Zadowolił się wzruszeniem ramionami.

— Ale koniec końców może okazać się zupełnie niewinny i w takim przypadku warto go odbić. Czyli że tak: albo jest winny i możecie go oskarżyć, albo jest niewinny i uratujecie go.

Hudson zachował milczenie, Mary zaś musiała zagryźć wargę, aby powstrzymać się przed wtrąceniem swoich trzech groszy. Jak policjant mógł się wahać? Muszą przecież spróbować uwolnić kapitana Hollanda i jeśli oznacza to konieczność zaufania Deprezowi, no cóż, trzeba będzie mu zaufać. Nie wytrzymała i zaczęła coś mówić, lecz zamilkła na widok kamiennego oblicza Hudsona. W tym momencie rada, nawet bardzo dobra, mogłaby nie zostać uprzejmie przyjęta.

Cisza przedłużała się. Deprez znał myśli Mary tak dokładnie, jak gdyby je wypowiedziała, ale nie miał pewności co do policjanta. Hudson niewątpliwie rozumiał wszystkie okoliczności i potrafił rozważyć stratę i zysk, a jednak w podjęciu decyzji mogły mu przeszkodzić skrupuły czy poczucie obowiązku. A wtedy wszystko stracone!

— Nie zawieram umów z łajdakami — oznajmił w końcu Hudson. — Ale... niech tak będzie.

Przypuszczam, że masz pan plan?

Deprez odetchnął z autentyczną ulgą, lecz skrycie.

— Tak, przypadkowo mam plan. Jest bardzo prosty. Kilku pańskich ludzi może mi towarzyszyć przez większą część drogi... aż do chwili, gdy ich obecność mogłaby stanowić zagrożenie. Zabiorę Hollanda do Hyde Parku, gdzie pan będzie czekał. Kapitan przejdzie pod pańską opiekę, a ja odejdę.

Obaj mężczyźni wiedzieli, że oferta ta zostanie odrzucona, i zaczęli negocjować. Mary przysłuchiwała się ostrożnej wymianie zdań z niewielką wiarą w pozytywny rezultat. Deprez był jak dzikie zwierzę, na pozór spokojne i świadome bliskości pułapki, niemniej niezmiernie niebezpieczne, natomiast Hudson przyjął rolę myśliwego, niepewnego, czy po kuksańcu jego

zdobycz zaskamle, czy raczej pokaże kły. W końcu jednakże uzgodnili kompromis — jeden z ludzi Hudsona miał towarzyszyć Deprezowi aż na Orchard Street, pozostając niewidocznym i nie mieszając się w sprawy. A potem ten sam funkcjonariusz odprowadzi Depreza i Hollanda do Hyde Parku.

— I to musi odbyć się w nocy — ostrzegł Deprez. — Dzisiaj wieczorem, jeśli pan chce, ale moje działania nie mogą się tamtym wydać... niezwykle. Staliby się podejrzliwi, gdybym zasugerował, że chcę wyprowadzić Hollanda w biały dzień. To zbyt niebezpieczne.

— Ależ to pan przecież nimi kierujesz — wytknął mu otwarcie Hudson. — Możesz nakazać, aby wypełniali twoje polecenia.

Deprez wzruszył ramionami, pomniejszając własne zasługi.

— Sądzę, że mogę osiągnąć pożądaną skuteczną, jeśli nie przeszkadzają mi bezsensowne warunki.

Kiedy policjant kiwnął niechętnie głową na zgodę, Deprez spojrział najpierw na niego, a potem na Mary.

— I wymagam jeszcze jednej rzeczy. Panna Finch musi być obecna.

— Co takiego? Czy pan oszalał? — zagrzemiał Hudson. — Absolutnie nie! To jest zbyt duże ryzyko. Nawet nie chcę o tym słyszeć.

Mężczyźni znowu zaczęli się sprzeczać, teraz jednak dziewczyna odniosła wrażenie, że dostrzega zmianę w tonie negocjacji. Deprez zdawał się szydzić z Hudsona, dając mu do zrozumienia, że policja nie powinna mu wszak ufać, potrzebny jest zatem wiarogodny świadek, taki jak panna Finch, a Mary zastanowiła się, czy jest to część jakiejś nowej intrygi Depreza. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ryzykował układ z Hudsonem, nie ufała mu jednak na tyle, aby to sprawdzić. Deprez wyglądał na zbyt spokojnego, podczas gdy Hudson niemal nie posiadał się z gniewu.

— I jeszcze kwestia praktyczna — dodał Deprez.

— Jaka?

Mary zrozumiała, więc się wtrąciła.

— Potrafię zidentyfikować kapitana Hollanda — stwierdziła tonem, który zarówno popierał Depreza, jak i rzucał mu wyzwanie. Ze wszystkich sił pragnęła pomóc, lecz bez solidaryzowania się z tym łotrem.

— O to właśnie chodzi — przyznał Deprez. — Przypuszczam, że nie chciałby pan dostać niewłaściwego człowieka, prawda?

Hudson wybuchnął oburzeniem, ale dziewczyna mu przerwała.

— Proszę — powiedziała pospiesznie. — Jestem pewna, że on dotrzyma słowa, ale pójdę, jeśli to pomoże... w planie. — Och, bardzo dobrze, rób zatem, pani, jak uważasz — mruknął gderliwie policjant i ze złością odchylił się na krześle. Nagle inna myśl przyszła mu do głowy. — A skąd wiem, że nie zabijesz pan Hollanda, sir?

Deprez znów wzruszył ramionami.

— Nie wiesz pan tego.

Kiedy podjęto decyzję, szybko rozpoczęły się konieczne przygotowania. Mary miała w nich bardzo niewielki udział, niemniej jednak następne godziny miały dla niej z dziwną, senną płynnością, a zwyczajne zdarzenia nabierały w tych osobliwych okolicznościach cech niezwykłości. Wczesnym wieczorem Hudson uprzytomnił sobie, że dziewczyna nie zjadła nic oprócz kromki chleba w King's Arms. Powiedział jej, że zamierza natychmiast naprawić ten błąd i chwilę później Mary siedziała w ruchliwym pubie przy King Street nad żylastym stekiem z ziemniakami i gotowaną kapustą oraz puddingiem owocowym; opiekę nad nią sprawował konstabl w średnim wieku, któremu zdumienie z powodu wspaniałomyślności szefa całkiem odebrało mowę.

Obserwowała więc w milczeniu swoje otoczenie — zajmujących krzesła przy okolicznych stołach urzędników i ter-

minatorów, przysłuchiwała się rozmowom o towarach i zaopatrzeniu, kupowaniu i sprzedawaniu. To był zupełnie inny świat od tego, który знаła, toteż dziwiła się, że sama do niego należy, choćby przez krótki czas. Co jednak mogła zrobić, z wyjątkiem przystosowania się do sytuacji najlepiej, jak potrafiła? A wkrótce będzie miała do czynienia z wyzwaniem znacznie większym niż twardy kawałek mięsa. Wybawienie z rąk przestępców czy raczej wymiana jednego złoczyńcy na innego?

Przypomniała jej się ucieczka z White Ladies — czy naprawdę zaledwie jedenaście dni temu wmixowała się w nadzwyczajne wydarzenia, daleko wykraczające poza jej codzienne doświadczenia? Starła się nie myśleć o kapitanie Hollandzie. Pragnęła wierzyć w jego niewinność, wiedziała jednak, że pragnienia niczego nie załatwią. Kiedy rozważyła fakty z maksymalnym obiektywizmem, trudno jej było uwierzyć, że kapitan nie brał żadnego udziału w spisku. Co się zdarzy, gdy trafi w ręce policji? Czy odbędzie się sprawa sądowa przeciwko niemu? A jeśli zostanie skazany, co wtedy? Och, po co myśleć o tak odległej przyszłości, skoro nawet nie wiedziała, czy operacja ratunkowa zakończy się sukcesem. Deprez wydawał się przekonany, ale jaką Mary mogła mieć z tego pociechę? Deprez był przecież łajdakiem — tym właśnie słowem określił go pan Hudson i tak bez wątpienia wyglądała prawda. Ale to było takie nadzwyczajne... i takie okropne. Dziewczyneę przerażała myśl, że Deprez przedstawił tak fałszywy obraz siebie, że prowadził życie tak kompletnie odmienne niż to, które widział świat i ona! W dodatku Mary wyraźnie poczuła sympatię nie tylko do jednego... oszusta, lecz aż do dwóch.

Wyruszyli w drogę z Bow Street tuż przed godziną dwudziestą dwoma ciemnymi, nieoznakowanymi powozami. Dwaj konstable jechali w pierwszym, a Hudson, Deprez i Mary — w drugim. Cała trójka była niezmiernie spięta, chociaż Deprez starał się narzucać pozostałej parze atmosferę spokoju. Zerkał z zaciekawieniem za okno i rzucał uwagi na temat mijanych widoków. Żadne z jego towarzyszy nie dało się jednak wciągnąć

do rozmowy, a Mary uznała wręcz jego zachowanie za niezmiernie męczące. Jak mógł oczekiwać, że będzie z nim gawędziła, jak gdyby nic się nie zdarzyło? Jak gdyby to, co właśnie robili, było absolutnie zwyczajne? Jej rozdrażnienie miało też inne źródło. Chociaż nie potrafiła tego racjonalnie wyjaśnić, odniosła wrażenie, że tylko dzięki jej pełnej koncentracji wokół nie rozprzestrzenia się chaos. Innymi słowy, gdyby nagle przestała się skupiać na czekających ich zdarzeniach, stałoby się coś niespodziewanego i akcja by się nie powiodła... Powozy skręciły za róg i konie zwolniły do stępa. — Cholerny ruch — wymamrotał Hudson. Przesunął się drażliwie na siedzeniu i skrzywił na widok ludzi kręcących się wokół powozu. — Która godzina?

Mary nosiła zegarek stryja na łańcuszku przy pasie i teraz, gdy otworzyła kopertę, jego cyferblat zaśnił w przyćmionym świetle.

— Jest prawie dwadzieścia minut po ósmej.

— Ach, sławny zegarek — uśmiechnął się Deprez. — Mógłbym rzucić na niego okiem? — Zwinnie odpiął zegarek od łańcuszka i obrócił go w ręce. — Robi wrażenie, przyznam. Jak sądzę, wszystko zaczęło się wtedy, gdy go zauważyłaś i zastanowiłaś się, jak trafił do kieszeni Williama Traceya. Co za głupota z jego strony, że go wziął.

Mary kiwnęła głową, a potem się wzdrygnęła i zacisnęła palce na ramieniu Depreza.

— Nigdy nic... nie zrobił... Nie skrzywdził mojego stryja, prawda?

Jej dotknięcie i natarczywość w jej głosie poruszyły go.

— Nie — odparł cicho.

— I wy nigdy...

— Nie.

Milczała przez chwilę, po czym puściła ramię mężczyzny. Mruczając coś pod nosem, odwróciła się. Deprez przyglądał jej się obojętnie. Blade światło na tle ciemnych ścian powozu rozjaśniało jej profil niczym kameę. Mężczyzna zauważył delikatność rysów i pochyłość podbródka, która nadawała jej

wygląd upartego dziecka. Ta dziewczyna była przecież bardzo młoda; bystra, oczywiście, lecz umysł miała zasadniczo dziecinny. Właśnie teraz, gdy te myśli przysły mu do głowy, sprecyzował je. Był uważnym obserwatorem i umiał obserwować samego siebie tak dobrze, jak innych ludzi, toteż odkrył właśnie, że nie potrafi niefrasobliwie odprawić własnych uczuć. Gdyby o nich zapomniał, obraziłby ich oboje.

— Chciałbym wyjaśnić ci wszystko—powiedział łagodnie, pochylając się ku dziewczynie. — Doceniłabyś to, co jest rzadkim przymiotem... Teraz jednak boję się, że nie mam dość czasu.

— Ona nie chce słuchać żadnych pańskich tłumaczeń! — oświadczył oschle Hudson. Deprez podniósł bezradnie ręce. Nie miał zamiaru narzucać swoich uwagi tam, gdzie nie były mile widziane.

Powozy zatrzymały się w połowie Oxford Street. Tam Deprez miał się zamienić miejscami z jednym z konstabli i kontynuować jazdę ku Orchard Street, pojazd Hudsona zaś kierował się na miejsce spotkania w Hyde Parku. Gdy Deprez wysiadł, stał przez chwilę na ulicy, rozglądając się niedbale. Potem pochylił się ku oknu powozu i przemówił do Hudsona.

— W porządku, teraz was zostawię. Żadnego policjanta przez resztę drogi... oprócz mojego opiekuna. I woźnicy, oczywiście — dodał z uśmiechem.

Hudson wzruszył gniewnie ramionami.

— Nie mógłbym polegać na cywilu.

— Och, naturalnie, że nie. No cóż, ufam, że zgodnie z pańskimi rozkazami, ów funkcjonariusz pozostanie na swoim miejscu.

— Zrobi to... chyba że będzie potrzebny.

— Lepiej niech żaden z nich się nie rusza, cokolwiek się zdarzy — ostrzegł Deprez — albo nie odpowiadam za konsekwencje. Do widzenia, panno Finch, myślę... / *wszelką moc moich roszczeń traci karta*8.

Wyciągnął rękę, a ona ją przyjęła. Kiedy ich palce się zetknęły, poczuła nagle istniejący między nią a Deprezem związek, który był rzeczywisty, a teraz się skończył.

— Proszę, powiedz mi... czy wszystkie te papiery są prawdziwe? — spytała błagalnym tonem. — Te, w których pojawia się nazwisko kapitana Hollanda?

— Ach, niestety on sam będzie musiał to wyjaśnić — odparł Deprez — jeśli zdoła. Do widzenia.

— W porządku, wystarczy! — warknął Hudson. — Niech pan wyrusza.

— Do widzenia — wymamrotała Mary i Deprez odsunął się.

— Co miał na myśli, mówiąc o tych roszczeniach? — spytał Hudson podejrzliwie. — Mam nadzieję, na Boga, że nie knuje czegoś.

— To był prawdopodobnie jakiś wiersz — odparła dziewczyna, potrząsając głową. — Nie rozpoznałam go.

— Poezja — zadrwił Hudson — oto wszystko, czego potrzebujemy. — Następnie zastukał w sufit. — W porządku, Taylor! Jedźmy.

Powóz Depreza zatrzymał się przy skřęćie w Orchard Street i tam mężczyzna wysiadł.

— Zaczekaj na mnie tutaj — polecił. — Nie rób niczego aż do mojego powrotu. — Potem podniósł wzrok na woźnicę i dodał: — I postaraj się nie wyglądać jak cholerny policjant.

— Ale Pan Hudson powiedział, że...

— Rób, człowieku, jak ja ci mówię, w przeciwnym razie zaryzykujesz więcej niż jego reprimendę! Rozejrzał się ostrożnie po ulicy. Najpierw wydawała się pusta, jednak gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku, spostrzegł jeden... nie, dwa kształty, które stopniowo okazały się postaciami mężczyzn. Hudson wyraźnie nie ryzykował. Deprez uśmiechnął się cierpko.

Światła paliły się w kilku domach, a z jednego z nich dotarły

słabe dźwięki fortepianu. Deprez zbliżył się właśnie do tego budynku i zastukał kołatką raz, a potem — szybko — dwa razy. Po chwili drzwi się otworzyły i złote światło oświetliło gościa. Deprez zamienił kilka słów ze służącą, przez cały czas słysząc kroki zbliżające się ku niemu od strony ulicy. Ktoś zrównał się z nim, a potem minął go i poszedł przed siebie. Służąca odsunęła się i Deprez wszedł, stanowczo zamykając za sobą drzwi.

Orchard Street wydawała się niezwykle spokojna, szczególnie na tle rozgardiaszu panującego na Oxford Street. Fortepian był wyraźnie słyszalny — ktoś zagrał pasaż, powtórzył, a potem zagrał po raz trzeci, jak gdyby ćwiczył lub uczył grać kogoś innego. Ciszy nie przerywał żaden inny dźwięk, nawet odgłos zimnego wiatru. Po kilku minutach muzyka przeszła w gamy, a woźnica na zewnątrz zaczął się niespokojnie wiercić na koźle. Wtedy drzwi budynku otworzyły się i zamknęły. Tym razem nie paliło się światło, więc dwie postaci zeszły po frontowych stopniach w ciemnościach. Gałka drzwi powozu przekreśliła się, najpierw w lewo, potem w prawo. Pierwszy mężczyzna wsiadł, a pojazd niezgrabnie ugiął się pod jego ciężarem.

Deprez stał na schodkach i szeptał coś do woźnicy a jego twarz wydawała się blada i spięta.

— Teraz powoli. Wiesz, dokąd jechać, ale nie wolno ci tracić głowy, na litość boską!

Po czym wsiadł do powozu.

Zdenerwowanie nie pozwoliło Hudsonowi pozostać w bezruchu. Krótco po przyjeździe w uzgodnione miejsce wysiadł z powozu i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Wjechali głęboko do parku i zatrzymali się pod drzewami, toteż jego buty niemal bezgłośnie przesuwały się po wilgotnej, zasypanej liśćmi trawie. Po kilku minutach do Hudsona dołączyli pozostali. Mary bała się, że coś może się zdarzyć podczas jej nieobecności, a kon-

stable nie potrafili się rozsiadać, skoro ich szef chodził. Zresztą, powóz nie był zbyt wygodny, ale zasada pozostawała zasadą. Na dworze czekanie okazało się jeszcze trudniejsze. Mary czuła zimno, które w niewytłumaczalny sposób wspięło się od ziemi w górę, po nogach, a równocześnie opadało na nią w postaci wilgotnej chmury; w dodatku przez cały czas musiała wsłuchiwać się intensywnie w każdy dźwięk, który mógłby obwieszczać zbliżanie się powozu. Kiedy pocierała ramiona pod peleryną, pomyślała o swoim pospiesznym wyjeździe z Lindham Hall i kapeluszu oraz rękawiczkach, które tam zostawiła. Chwała Bogu, że wyruszyła w drogę do White Ladies w starych butach — może i wyglądały nędznie, ale przynajmniej były ciepłe.

— Chciałbym, żeby się pospieszyli — poskarżył się jeden z funkcjonariuszy, przytupując dla rozgrzewki. — Cisza! — warknął Hudson. — Która godzina?

— Za kwadrans dwudziesta pierwsza, sir... prawie — odparł policjant.

W tym samym momencie Mary zawołała:

— On ma mój zegarek!

— Co takiego?

— Deprez... oglądał zegarek mojego stryja i zabrał go!

— Rzeczywiście, to podejrzany typ — zgodził się Hudson — ale nie martw się, panno Finch, na pewno odzyskamy pani zegarek. — Westchnął, próbując dodać sobie pewności. Miał nadzieję, że Deprez wie, co robi, i że można mu zaufać. Plan wydawał się prosty, ponieważ Hudson nie wątpił, że mężczyzna był szycią wśród szpiegów i mógł zrobić, co zechce. Jednak nawet najlepsze plany zawodzą. Policja wyjdzie na bandę skończonych głupców, jeśli straci zarówno Hollanda, jak i Depreza. — Do cholery z tym zimnem! — mruknął. Zrobił kolejny zwrot i powstrzymał się przed zadaniem kolejnego pytania o godzinę.

Wraz z upływem następnych minut Mary próbowała wyobrazić sobie, co się dzieje przy Orchard Street. Jak długo to

może trwać? Czy coś poszło źle? Co się stanie, jeśli ci ludzie — kimkolwiek byli — zaczną coś podejrzewać i Deprez nie zdoła się wymknąć? Albo jeśli kapitan Holland jest w zbyt ciężkim stanie, aby można go było wyprowadzić?

Cicha wymiana zdań między dwoma konstablami przerwała jej zadumę. Hudson przystanął i słuchał uważnie.

— W porządku, to chyba oni — powiedział. — Przygotujcie się, obaj, a pani, panno Finch, proszę wrócić do powozu i trzymać się z dala od całej sprawy.

Mary teraz również usłyszała odgłos końskich kopyt i stukot kół na drodze. Jej serce zaczęło walić i zapomniała o zimnie. Zapomniała też o poleceniu Hudsona, chociaż rzeczywiście cofnęła się kilka kroków. Nagle zdała sobie sprawę, że wokół niej zapanowało zamieszanie. W mroku poruszali się jacyś mężczyźni, dotarło do niej kilka kliknięć, jak gdyby odbezpieczano pistolety, a także stłumione głosy. Później błysnęła osłonięta latarnia.

W końcu powóz pojawił się na drodze i zatrzymał prawie przed nimi. Hudson i dwaj konstable natychmiast skoczyli ku niemu. Jeden szarpnął drzwiczki, a drugi wsunął latarnię do środka. Zgiełk przestraszył konie, które zatańczyły nerwowo, a wówczas pojazd zatoczył się w tył. Ktoś potknął się i przeklął, woźnica uspokoił zaprzęg.

Mary usiłowała podejść bliżej, lecz mężczyźni przed nią byli zbyt wysocy. Nagle Hudson zawołał:

— Czy to on, panno Finch? Czy to Holland?

— Tak, tak — odkrzyknęła. Stając na palcach i wspierając się na ramieniu konstabla, mogła ledwo, ledwo widzieć rannego w przesuwającym się świetle. Kapitan, blady i nieogolony, osunął się w rogu powozu, obok niego siedział Deprez. Trzeci osobnik, policjant, majaczył nad nimi z pistoletem w ręce. Hudson także był uzbrojony.

— Szybko teraz, wyciągnijmy go — rozkazał, a wtedy mężczyźni przesłonili Mary widok. Cofnęła się, dumając, jak pomóc, podczas gdy Hollanda ostrożnie wyjmowano z powozu.

Chyba mógł iść samodzielnie, ale był zgięty wpół i ścisnął sobie prawy bok lewą ręką. Hudson trzymał jego drugie ramię, nagle jednak odepchnął rannego na bok i rzucił się przed powóz, zderzając się tam z konstabłem.

— Och! Deprez!

Holland potknął się i o mało nie upadł. Hudson przepchnął się obok konstabla i wsiadł do powozu. W środku było pusto! Wyskoczył z drugiej strony.

— Deprez! — ryknął i dmuchnął ostro w gwizdek. — Deprez! Niech cię diabli!

Wrócił do pozostałych, a tymczasem z ciemności wyskoczyli kolejni funkcjonariusze; kilku niosło w rękach latarnie.

— Szybko! Za nim — krzyknął. — Nie uciekł daleko. Sierzancie Clark, każ swoim ludziom rozstawić się z lewej, reszta niech pójdzie ze mną. Złapiemy tego drania. Gwinea dla człowieka, który schwyta go... żywego lub martwego!

— Ale powiedział pan... — krzyknęła Mary.

— Powiedziałem, że nie zawieram umów z łajdakami — odciął się Hudson. — Sierzancie Riley!

— Tutaj, sir!

— Zostaniesz z Hollandem. A jeśli się poruszy... zastrzel go. Hudson zniknął w ciemnościach razem z resztą policjantów. Mary, Holland i sierżant Riley zostali sami. Kilka pozostawionych latarni dostarczało nikłych kręgów światła. Przez chwilę cała trójka po prostu stała w miejscu, a kiedy w parku ponownie zapadła cisza, kapitan osunął się powoli na ziemię.

— Niech się pan nie martwi, sierzancie — powiedział półgłosem. — Nie mam zamiaru się ruszać.

— No przecież widzę, jak jest — odpowiedział Riley, lecz gdy Mary przemknęła obok niego, ostrzegł ją: — Niech panienka będzie ostrożna. Nie należy podchodzić zbyt blisko.

Dziewczyna zignorowała tę radę i klękła obok Hollanda, który dopiero teraz ją zauważył.

— Mary... panno Finch — wysapał. — Co tu robisz?

— Czy jesteś poważnie ranny? — zapytała, podnosząc go do wygodniejszej pozycji. Cokolwiek zrobił, nie obawiała się go. Jego widok zagłuszył wszystkie myśli poza tą jedną — że Holland tu jest i wygląda tak strasznie niezdrów. — Chcesz się położyć?

— Nie, jestem... Pozwól mi się o coś oprzeć. — Był zmęczony, prawie ogłuszony, a rana w boku rwała boleśnie.

Z pomocą Rileya Mary podparła Hollanda o drzewo i rozpięła mu koszulę. Sierżant położył pistolet na ziemi, z dala od ręki kapitana, po czym podniósł latarnię. Światło ujawniło szeroki bandaż wokół pasa rannego. Bandaże były grubsze po prawej stronie, gdzie wykwitiała duża ciemna plama.

— Krwawisz! — zawołała Mary. — Och, co powinniśmy zrobić? Czy trzeba odwinąć bandaże?

— Najlepiej go tak zostawić — doradził Riley.

— Nie jest tak źle — zgodził się z nim Holland. — Oni tylko... majstrowali trochę, wyjmując kulę. Teraz... od ruchu rana znów zaczęła krwawić.

— Kulę! Ja nie... Deprez powiedział, że jesteś ranny, ale nie, że... — Dziewczyna zwróciła się do Rileya: — Nie możemy tu zostać. Jego musi obejrzeć lekarz... przecież pan to widzi!

Sierżant spojrział, marszcząc zawzięcie brwi.

— Dostałem rozkazy, panienko... Mamy tu czekać, aż wróci pan Hudson.

— Ale to absurd! — wyrwało się jej. — Chcę powiedzieć, że pan Hudson może gonić zbiega przez kilka godzin! Nie możemy czekać tutaj tyle czasu. Ziemia jest mokra, a powietrze takie lodowate... — Podniosła wzrok. Jeden z powozów odjechał, ale drugi pozostał, chociaż bez woźnicy. — Potrafi pan powozić?

— Być może — odparł Riley. — Lecz co z nim? Nie mogę zostawić go samego w środku, samego z panią... bez nikogo, kto by panienkę chronił. Ten człowiek może być niebezpieczny albo może uciec, tak jak ten drugi jegomość. A ja mam swoje rozkazy.

Mary zaczęła się z nim sprzeczać, ale Holland zatrzymał ją.

— Lepiej nie ruszajmy się... przez chwilę. Tamci prawdopodobnie wkrótce wrócą. Wątpię, żeby schwytali Depreza.

Riley najeżył się na ten brak wiary w jego szefa. Nie chodziło przecież o jakiegoś pospolitego śledczego, lecz o pana Hudsona z policji miejskiej! A pan Hudson najczęściej wie, co robić, aby złapać przestępcę.

Wbrew jego oświadczeniu Holland pozostał nieprzekonany. Czuł, że Paul Deprez wie z kolei bardzo dobrze, jak nie dać się złapać. Nie chciał się jednak kłócić na ten temat. Obrócił się zamiast tego do Mary i powtórzył wcześniejsze pytanie. Skąd dziewczyna się tutaj wzięła?

Zdała mu krótką i umiarkowaną spójną relację — pomyłka w wydaniach, dodatkowe zaszyfrowane papiery, morderstwo Saula. Kapitan nie mógł nadażyć, lecz zatrzymał się przy ostatnim punkcie.

— Na pewno zabił go Deprez... albo zlecił. — Potem przypomniał sobie, co powiedział Riley, i spojrzał na niego ostro. — Nie myśli pan chyba, że ja to zrobiłem, prawda? Czym pan się teraz zajmuje pańskim zdaniem? Pilnuje pan zdesperowanego zabójcy?!

— Nie wiem, w co pan jest zamieszany — przyznał się Riley. — Wiem tylko, że mówiło się dużo o szpiegach i tajnych papierach, i że pan tkwisz w tym wszystkim po szyję. Więc na pańskim miejscu uważałbym na słowa, chyba że chce się pan do czegoś przyznać. Mamy mnóstwo dowodów, wie pan.

— Niech pan nie będzie cholernym głupcem — westchnął Holland. — Szpiegzy i tajne papiery, niech to szlag. To Deprez jest szpiegiem, on i jego przyjaciele. — Odwrócił się do Mary. Na jej twarzy rysowało się napięcie i kapitan zmarkotniał. — Nie uważasz chyba, że brałem udział w tych knowaniach, prawda?

— Czy dlatego do ciebie strzelał? — spytała. — Bo go złapałeś?

— Nie, to była pomyłka. On próbował... złapać mnie!

— Ale powiedziałaś...

— Chciał mnie przekazać Francuzom. To był jego plan od samego początku...

— Tak, i najwyraźniej mu się nie udało — przemówił ktoś i z mroku wyszedł Jonathan Hicks.

Trzymał w ręce pistolet dwulufowy, który teraz podnosił. Z miejsca, w którym stał, mógłby bez trudu zastrzelić każde z nich.

— Hicks! — wykrztusiła Mary. Aż do tej chwili zupełnie o nim zapomniała. Był rozczochrany i wyglądał dziko, zupełnie inaczej niż jej towarzysz od sztucców z White Ladies. Ścisnęła ramię Hollanda częściowo ze strachu, a częściowo z troski.

Zaskoczony sierżant Riley zerwał się na równe nogi i zastygł niezdecydowany. Mierzył dystans z własnej broni i zastanawiał się, czy nowo przybyły to zauważył.

— Jestem policjantem — ostrzegł — i rozkazuję ci odłożyć broń.

Hicks skrzywił się z irytacją.

— Radzę panu zachować spokój, panie policjancie. Akurat w tej chwili nie jestem w nastroju, aby wysłuchiwać poleceń władzy.

— Cze... czego pan chce? — szepnęła Mary. Jej głos trząsł się, ale nie odrywała wzroku od pistoletu.

— Kiedy coś nie wyjdzie, zazwyczaj zostają pewne wątki, które trzeba doprowadzić do końca — wyjaśnił Hicks. — i kapitan Holland jest jednym z nich. Podobnie jak pani, niestety. Nie zamierzam cię skrzywdzić, panienko, ale cholernie niedobrze, że przyjechałaś do Londynu. Radziłem, żebyś nie przyjeżdżała, prawda? Mary potrząsnęła głową.

— Nie myśli pan logicznie — powiedziała pospiesznie, zresztą Hicks rzeczywiście wyglądał dziwnie. Zmusiła się, aby mówić powoli. — Kapitan Holland jest niewinny, wszyscy o tym wiemy. Wie o tym pan Hudson... i wszyscy. Krzywdząc kogoś z nas, nic pan nie osiągnie. Proszę, niech pan odłoży broń.

— Nie rozumiesz, pani, że zabicie go jest nam bardzo na

rękę. Nie musieliśmy tego robić, ale Deprez... Powiedziałem mu, żeby nie wracał na Bow Street, nie posłuchał mnie jednak. Jest taki cholernie ambitny... i uparty... No i mamy tego efekty. Ale przecież tak jak pani, panienko... pani też jesteś uparta. Tyle że to nie jest moja wina. Po prostu odsuń się od Hollanda, bądź tak dobra.

Kapitan nie ufał Hicksowi, który coraz bardziej chwiał się na nogach; uważał, że ów mężczyzna jest niczym bomba i lada chwila może wybuchnąć.

— Mary... zrób tak, jak ci mówi — polecił więc dziewczynie. — Zejdź mu z drogi. — Spróbował ją odsunąć, lecz nie mógł się ruszyć.

— To pan nie rozumie, panie Hicks! Pan Deprez uciekł — tłumaczyła szybko Mary. — Jego plan nie wypalił, a pan... nie może zrobić nic więcej... Proszę...

— Ratuje swoją skórę, a ciebie zostawił, żebyś wziął za wszystko odpowiedzialność — dodał Holland. Hicks, słysząc to szyderstwo, prychnął gniewnie.

— Zobaczymy, kto poniesie odpowiedzialność. Teraz odsuń się, pani, od kapitana — powtórzył, marszcząc czoło — w przeciwnym razie zostaniesz ranna. — Zamachał pistoletem, lecz dziewczyna odmówiła.

— Jeśli pan to zrobi — ostrzegła — proszę pomyśleć, co się stanie. Policja... pan Hudson... na pewno pana złapie. Funkcjonariusze są tu wszędzie wokół... w całym parku. Nigdy pan się stąd nie wydostanie. A nie wierzę, że potrafi pan zastrzelić... rannego... z zimną krwią.

— Nie prowokuj mnie, panienko, bo nie odpowiadam za... Zacznę strzelać i to będzie twoja wina, a nie moja!

— Mary, uciekaj! — rozkazał Holland.

Nikt się nie ruszył i pistolet Hicksa zadrżał nieznacznie w jego ręce. Mężczyzna zbierał się na odwagę, aby wprowadzić swoją groźbę w czyn. Równocześnie Riley odmierzał odległość między nimi.

Wziąwszy głęboki oddech, gotował się właśnie do skoku.

— Chwileczkę, stary — ostrzegł tymczasem kolejny głos. Niewysoki mężczyzna o chudej twarzy ukazał się u boku policjanta i przystawił lufę pistoletu do jego piersi. Niedbale kopnął w zarośla broń sierżanta, a jego samego pchnął na ziemię. — Ten gnojek planował jakieś brawurowe popisy — poinformował Hicksa.

— Och, nie, nie powinniśmy mu na to pozwolić — zgodził się z nim Hicks. Przełknął spazmatycznie ślinę. — Lepiej zakończ ten impas, Rede.

— Jak sobie życzysz. — Rede podskoczył szybko do Hollanda i stanął za nim, Mary zaś skuliła się ze strachu, gdy wyciągnął ku niej rękę. Rozpoznała go — mężczyznę, który przestraszył ją, gdy pilnowała na drodze ранego Traceya. — Głupia suka! — rzucił z szyderczym uśmiechem, po czym przełożył pistolet do drugiej ręki, chwycił dziewczynę za ramię i odciągnął.

— Jeśli go zabijesz, popełnisz morderstwo — ostrzegł Riley. — Zawisniesz za to.

— Będę daleko, zanim ten gnojek ostygnie — odparował Rede. — Widzę, że mamy nawet transport. Może ty, funkcjonariuszu, nie lubisz powozić, ja jednak nie mam nic przeciwko temu. Hicks otarł rękawem twarz.

— No, Holland, wstawaj — polecił, dając znak ręką z pistoletem. — Wstawaj, mówię. Kapitan potrząsnął głową.

— Dobra, dopadłeś mnie. Chodź tu i mnie zastrzel, jeśli chcesz, głupi sukinsynu. Zastrzel mnie i weź winę za Depreza.

— Hicks! Proszę! — zawołała Mary.

— No, dalej, wstawaj — nalegał Hicks.

— Wiem, jak sprawić, żeby facet się ruszył — warknął Rede, obrócił się i wymierzył w bok kapitana szybkiego kopniaka.

Mary wrzasnęła, gdy Holland stracił oddech i przewrócił się; jasnoczerwona plama na jego bandażach szybko się rozszerzała.

— Ha! To na niego wystarczy — roześmiał się Rede. — Nawet nie potrzebuję kulki. Kopnę go znów może. — I jego but trafił kapitana po raz drugi.

Zachichotał, kiedy pochylił się do przodu, by chwycić rękę Hollanda i podciągnąć go znów do pionu. — Chodź, teraz, kapitanie, stary skurczybyku. Pomogę ci wsiąść. Nie możesz powiedzieć, że nie mam dobrego...

— Rede! — krzyknął Hicks.

— ...serca. — Swoje zdanie Rede dokończył bulgoczącym krzykiem, gdyż Holland wykonał nagłe pchnięcie w górę. Rede cofnął się, chwytając się za brzuch, a kapitan odtoczył się od niego z długim, cienkim nożem w dłoni. Mary odskoczyła, gdy Rede ruszył chwiejnie ku niej. Nagle upadł i jego ciało zadrgało, dziewczyna zaś wrzasnęła i znowu cofnęła się o krok. W tym samym momencie Riley skoczył na Hicksa, powalając go. Broń Hicksa wzleciała w powietrze, a uderzając o ziemię, wypaliła. Przez chwilę panowała cisza, potem Hicks zaczął szlochać.

— Spokój! — polecił sierżant. Usiadł na leżącym Hicksie i znieruchomiał, łapiąc powietrze. Potem zawołał przez ramię: — Wszystko w porządku, panno Finch? Kiwnęła głową, cała dygocąc, po czym odpowiedziała: — Tak.

— Świetnie. Czy tamten drugi nie żyje? Proszę nie podchodzić zbyt blisko, tylko powiedzieć mi, czy zupełnie przestał się ruszać? — Tak.

— Co z kapitanem?

Zgięty w pół Holland leżał na zdrowym boku w miejscu, w którym upadł. Nadal trzymał w rękach zakrwawiony nóż. Oddychał krótkimi, bolesnymi sapnięciami.

— Jestem tu... nadal.

— Cieszę się, że pana słyszę. Skąd pan wziął nóż, sir?

— Zabrałem... doktorowi... który mnie opatrywał.

— Ach, mieliśmy szczęście, gdybym jednak wiedział, że

pan go masz, byłbym ostrożniej szy. A zatem, panno Finch, wokół leżą trzy pistolety. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zdołała je pani odszukać i przynieść tutaj. Chyba jeden z nich widzę, a mój leży tam, w wysokiej trawie. Wtedy będę mógł zejść z tego nieszczęśnika i wszystkim nam zrobi się trochę wygodniej.

— Tak, oczywiście. — Mary odniosła wrażenie, że zupełnie nie panuje nad drżącymi nogami, a jednak poniosły ją same w pożądanym kierunku. Czuła się odrętwiała, niemniej jednak pozbiierała pistolety i wręczyła je Rileyowi. Każdy trzymała za rękojeść i podawała jeden po drugim, tak jak ją pouczył sierżant.

— Świetnie — powiedział Riley, kiedy podała mu ostatnią sztukę, jednolufowy pistolet Rede'a, z perłową rękojeścią. — Och, czyż nie jest ładny? Nie wygląda na całkiem prawdziwy, prawda? Z pewnością jednak spełniły swoje zadanie. A teraz może lepiej niech się pani zajmie trochę kapitanem, panno Finch, jeśli nie przeszkadza pani widok krwi.

— Nie, nie... nie mam nic przeciwko.

— Dobra dziewczyna — uśmiechnął się sierżant. — Nie chcemy, żeby coś jeszcze mu się przydarzyło, zgadza się?

I właśnie tam znaleźli ich policjanci, przyciągnięci przez odgłosy walki. Sierżant Riley pilnował Hicksa, a Holland leżał na ziemi, z głową na kolanach Mary.

21

Nie aresztowano Depreza. Tej nocy funkcjonariusze przeszukali gruntownie park, a w ciągu następnych kilku dni także doki i inne potencjalne meliny, niestety bez skutku. Nikt nie wiedział, czy mężczyzna nadal przebywa w Londynie czy też przedostał się do Francji jedną z tras wspomnianych wcześniej w związku z Hollandem, kiedy kapitan jeszcze był podejrzany. Najwyraźniej zniknął bardzo skutecznie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Pan Hudson początkowo wpadł we wściekłość, że wymknął mu się taki ważny szpieg, stopniowo jednak odzyskał humor. Chociaż stracili Depreza, schwytali przecież Hicksa, a kapitan Holland szybko dochodził do siebie, więc sprawę można było uznać za rozwiązaną. A dzięki śmierci Rede'a i ujawnieniu kryjówki przy Orchard Street zarobili dodatkowe punkty. Hudson tłumaczył to wszystko Mary, kiedy złożył jej wizytę, by spytać o zdrowie, gdyż ogólnie wiadomo, że panie zawsze dotkliwiej cierpią z powodu szoku i przemocy niż mężczyźni.

— Mówiąc nieoficjalnie i tylko między nami — poinformował ją z figlarną miną, która wyglądała osobliwie na jego sponiewieranym obliczu — podobno niektóre z papierów, które pani rozszyfrowała, okazały się bardziej znaczące, niż sądziliśmy.

— Naprawdę? — Mary sprawiała wrażenie zaskoczonej. — Ale przecież kapitan Holland stwierdził, że nie zawierają żadnych szczególnie ważnych sekretów.

— I zapewne miał rację... ale pamiętaj, pani, że nie widział wszystkich, a tylko te, które ty znalazłaś w White Ladies. Kiedy przejrzał dokumenty, które otrzymałem od Hicksa, pobladł jak ściana.

— Właśnie w papierach Hicksa pojawiło się wszak nazwisko kapitana.

Hudson kiwnął głową.

— Tak, podobnie jak nazwiska innych oficerów... i pewnych, najwidoczniej bardzo ważnych osób...

Wszyscy byli niewinni, tak jak Holland, jednak sytuacja stałaby się dla nich trudna, gdybyśmy nie pokrzyżowali szyków temu diabłu wcielonemu, Deprezowi, i nie ukrócili jego działań.

Przesłuchujemy obecnie Hicksa, który przyznał, że ich plan nie ograniczał się jedynie do kapitana.

Miał niewątpliwie być ich główną zdobyczą, ale nie jedyną.

— Pamiętam, że Hicks coś mówił o tym w parku — odparła Mary i skrzywiła się na to wspomnienie.

— Że... pan Deprez był zbyt ambitny.

— Może i był. Na jego usprawiedliwienie muszę jednak powiedzieć, że cholernie pomysłowy z niego facet i prawie osiągnął to, co sobie zamierzył. Zastanówmy się, co by się stało, gdyby kapitan Holland został uznany za zdrajcę, który uciekł do Francji. Przypuśćmy, że mamy papiery, które wyglądają na prawdziwe i w których oprócz nazwiska Hollanda pojawiają się również nazwiska innych oficerów.

Jaki byłby efekt?

— Przyjęto by założenie, że ci oficerowie także są winni.

— Właśnie. A im byłoby diabelnie trudno udowodnić, że nie są zdrajcami.

— Przeciwnieństwo domniemania niewinności — rzuciła Mary.

Patrząc na nią, Hudson otworzył lekko usta, po czym się uśmiechnął.

— Jak widzę, nie potrzebuję zbyt dużo pani wyjaśniać, panno Finch. Nie w sprawach prawnych.

— Rzeczywiście — mruknęła.

— Więc wybuchłby skandal i każdy obwiniałby kogoś innego za nieudaną akcję. Nie ma nic gorszego jak fuszerka, aby rozbudzić w ludziach najgorsze instynkty... wszyscy natychmiast szkalują wszystkich i ich oskarżają, starając się zrzucić odpowiedzialność jeden na drugiego... Paskudna sytuacja, na którą nie możemy sobie pozwolić w obecnym stanie wojny...

— A my zapobiegliśmy temu wszystkiemu — przerwała Mary słowotok policjanta. — Och, nie zdawałam sobie sprawy ze znaczenia tego... — Uniosła podbródek i uśmiechnęła się. — To było bohaterskie działanie z naszej strony, jeśli przyjrzeć mu się dokładnie.

— Rzeczywiście — zgodził się z nią Hudson, uśmiechając się w odpowiedzi. — I cieszę się, że ta myśl podtrzymuje panią na duchu, panno Finch, ponieważ sądzę, że nie dostaniemy innej nagrody i mało kto w ogóle dowie się, czego dokonaliśmy... czego przede wszystkim pani dokonała.

— Nigdy nie oczekiwałam nagrody — odparła Mary, rumieniąc się, gdyż wbrew stwierdzeniu Hudsona przez głowę przemknęła jej wizja wspaniałego ceremoniału, podczas którego król przy dźwiękach trąb obdarowywał ją jakimś niesprecyzowanym zaszczytem. — A pan?

— Nie, nie, aleja podchodzę do takich kwestii filozoficznie. „Nie miej wysokich oczekiwań, a nie poczujesz się zawiedziony”, właśnie tak sobie powtarzam raz za razem. Bo jeśli nie spojrzysz się filozoficznie na taką pracę jak moja — wyjaśnił — człowiek tylko łamie sobie serce.

Mary nie wiedziała, do jakiej filozofii mężczyzna się odwołuje, zgodziła się z nim jednak, że stanowi ona wartościową ochronę przeciwko rozczarowaniu. Czowała, że filozofowie raczej rozmyślają, niż działają, więc właściwie każda osoba może o swoim działaniu myśleć w sposób filozoficzny. Przy okazji

Mary zauważyła, że póki schwywanie Depreza wydawało się jeszcze możliwe, pan Hudson w ogóle nie filozofował. Nie wspomniała mu jednak o swoich przemyśleniach.

Sama też nie pozwoliła sobie na filozofowanie. Podczas następnych kilku dni spędzała zresztą czas głównie na spotkaniach i rozmowach z dżentelmenami z ministerstwa spraw wewnętrznych, ministerstwa spraw zagranicznych, departamentu uzbrojenia i różnych agencji, których funkcję w rządzie nie zawsze pojmowała. Wszyscy ci ludzie bardzo interesowali się tym, co zaszło, wiedzieli, co trzeba zrobić teraz i w jaki sposób Mary powinna opowiadać o swoim udziale. I wszyscy odczuwali ulgę, odkrywając, że dziewczyna nie tylko była niezmiernie pomocna w pierwszej kwestii, lecz także potrafi postąpić ogromnie rozsądnie w związku z trzecią. Mary doskonale rozumiała, że sprawa Saint Lucii musi pozostać poufna i zgodziła się „przyjąć” wyjaśnienie, które przesłaniało lub wręcz pomijało pewne ponure szczegóły. Prokurator generalny, z którym spędziła długie popołudnie, użył określenia „całkowicie niewinne, ale absolutnie chwalebne oszustwo”.

Jedyną osobą, której nikomu nie udało się wprowadzić w błąd, był sir William Armitage. Gdy otrzymał informację o ranach kuzyna, od razu przyjechał do Londynu rozstawnymi końmi. Kiedy dotarł, wykorzystał swój dawny status w ministerstwie skarbu, dzięki czemu uzyskał dostęp do pewnych poufnych informacji. Dowiedział się na przykład, że Holland był w niebezpieczeństwie i zachował się dzielnie, a Mary Finch pomogła mu wyjść z opresji bezpiecznie i z chwałą. Być może z tego powodu między sir Williamem i Mary natychmiast zrodziła się sympatia. Armitage zapamiętał też, co sam Holland mówił o panie Finch — że odważna, bystra i ładna — i rozmowa z dziewczyną potwierdziła zdanie kuzyna we wszystkich tych kwestiach. Dlatego nalegał, żeby zamieszkała w Dorant's, wielce przyzwoitym hotelu, który znajdował się blisko klubu sir Williama. Pomógł jej także uzupełnić do

mniej więcej dostatecznego stanu garderobę, ponieważ wyjechała przecież z Suffolku tak, jak stała. Kiedy rozmowy się zakończyły i ludzie ze wszystkich departamentów powrócili do swoich biur, ażeby przedstawić raporty, Mary przypomniały się słowa Hudsona. Teraz miała czas dla siebie, mogła wiele spraw przemyśleć, więc rozmyślała — nie tyle o tym, co się zdarzyło, lecz raczej o przyszłości. Przebywała już prawie dwa tygodnie w Londynie i sir Armitage uznał, że najwyższa pora, aby oboje wrócili do domów. Dziewczyna zgodziła się z nim, zastanawiała się jednak, czy przed opuszczeniem stolicy otrzyma zgodę na spotkanie z kapitanem Hollandem. Wiedziała, że kapitan wymagał dalszej pomocy medycznej i przebywał obecnie w Woolwich. Ale Woolwich nie znajdowało się wcale zbyt daleko od Londynu (sprawdziła to w atlasie otrzymanym z ministerstwa spraw wewnętrznych) i istniało regularne połączenie (rozkład powozów sprawdził jej z kolei pewien uczynny sekretarz z departamentu uzbrojenia).

Fakt, że pragnęła zobaczyć Hollanda, nie podlegał dyskusji, czuła jednak, iż powinna staranniej przeanalizować swoje uczucia. Sprawa była trudna, gdyż Mary sama nie wiedziała, co czuje do kapitana. Lubiała go, to na pewno, ale lubiała także pana Depreza. Nawet porównywała ich w pewnym okresie ze sobą i wyniki nie zawsze były korzystne dla Hollanda. Z De-prezem łączyły ją wspólne zainteresowania i pasje, natomiast z kapitanem nie miała nic wspólnego z wyjątkiem udziału w przygodzie i przeżyciu jej.

Wyjęła z kieszeni sukni kawałek papieru. Zawierał wiersz, którego wers Deprez zacytował jej w powozie i którego tytuł poznała w trakcie rozmowy ze szczególnie poetycznie nastawionym do życia dżentelmenem z ministerstwa spraw zagranicznych. Przeczytała go teraz w całości.

Zegnaj! Tyś jest zanadto dla mnie cenna. Być może wiesz, jak wiele jesteś warta, Dziś wartość twa uwalnia cię od lenna

wszelką moc mych roszczeń traci karta. Bo czym Cię dzierzę krom Twego nadania? A za twe skarby gdzież są me zasługi? Nic nie masz we mnie, czym bym płacił za nie, Ustają więc z tą chwilą twoje długi. Oddałaś się nie znając swej wartości Albo też moje zbyt ważąc przymioty, Więc dziś twój dar, omylny dar miłości, Zważywszy go oddaję ci powrotem.

Tak byłaś moja niby w sennej zjawie, We śnie człek królem, inaczej na jawie⁹.

Kapitan Holland bez wątpienia nigdy nie zacytowałby takiego pięknego wiersza — ani, właściwie, żadnego innego. A jednak... Mary czuła się z nim dobrze, wbrew dzielącym ich różnicom. Z Deprezem było inaczej, bardziej chciała wyrzucić na nim wrażenie... Jakież to było poniżające, przyznać się, że pragnęła wzbudzić podziw we... francuskim szpiegu! Zresztą, Deprez nie napisał przecież tego sonetu. Nie — dumiała z żalem — on tylko potrafił docenić piękną poezję i piękne zegarki. Po raz kolejny zjeżyła się na myśl, że elegancki srebrny repetier jej stryja prawdopodobnie odmierzał teraz czas paryski.

Po chwili zgmiotła kartkę i wrzuciła ją do ognia. Tak, skończyła z jednym, jednak pozostał jeszcze ten drugi. Czy... kochała kapitana Hollanda? (Pytanie to, nawet zadane w myślach, przyprawiało ją o rumieniec). Śmiesznie byłoby mówić o miłości od pierwszego wejrzenia, ponieważ Mary nawet nie polubiła kapitana podczas ich pierwszego spotkania, ale może jej opinia o nim rozwinęła się z czasem do czegoś bliskiego tej tajemniczej emocji? Pamiętała ich ostatnie wspólne chwile, kiedy leżał milcząco na jej kolanach, cierpiąc znaczny ból, lecz doświadczając także niejakiej otuchy, trzymała go bowiem za rękę.

432

⁹ Szekspir, sonet 87, tłum. St. Barańczak.

Na wspomnienie tej nocy odwołała się jednak do zdrowego rozsądku — albo do czegoś, co nazwała zdrowym rozsądkiem. Być może Holland zapomniał tamten moment — był wszak wówczas poważnie ranny. A poza tym, Mary prawdopodobnie wyobrażała sobie zbyt wiele. Panowie bywają niefrasobliwi, jak mówiła pani Tipton. Więc jaki sens analizować własne serce, skoro nie znała jego uczuć? Takie postępowanie wydało jej się naprawdę bardzo głupie i postanowiła przestać o tym wszystkim myśleć.

Podobnie jak wiele postanowień wątpliwej natury, tak i to zostało wkrótce poddane próbie. Bez jakiegokolwiek wcześniejszego ostrzeżenia sir William zaproponował, że po południu ostatniego dnia ich pobytu w stolicy pojedą do Woolwich.

— Nie mógłbym wyjechać bez zobaczenia się z Robertem — wyjaśnił — a dopiero co otrzymałem oficjalną zgodę. Pomyślałem, że mógłbym go zabrać do Storey's Court, nie wydaje się to wszakże możliwe. Wizyta będzie niestety krótka. Biedak nie wydobrał jeszcze całkowicie i nie wolno go męczyć.

Sir William rzucił swoją propozycję od niechcienia, ponieważ nie wiedział, jak Mary się do niej odniesie. Dziewczyna nie wspomniała wprost, że pragnie odwiedzić Hollanda, i to go zaskoczyło. Czy miał do czynienia z przykładem kobiecego niezdecydowania? Znane mu kobiety nigdy nie bywały niezdecydowane, jeśli chodziło o wypowiedanie własnych pragnień, toteż Armitage postrzegał Mary jako raczej niezwykły okaz.

Chociaż na tę sugestię serce aż podskoczyło jej w piersi, spróbowała odpowiedzieć spokojnie.

— Nie, oczywiście, nie powinniśmy wyjeżdżać bez pożegnania — zgodziła się. — A długa podróż nie byłaby zapewne dla niego dobra.

Mary nie była jednakże szczególnie biegła w maskowaniu swych uczuć i sir William uspokoił się.

— Na pewno by nie była — zachichotał. — Robert nie-

nawidzi jeździć powozami w najbardziej nawet sprzyjających okolicznościach, biedaczek. I, widzisz, ma te kłopoty od dzieciństwa.

W tym samym dobrym nastroju sir William przyjechał następnego dnia odebrać Mary z Dorant's Hotel. Przyrównał się w myślach do jednej z tych życzliwych postaci z literatury, które interweniowały, aby ułatwić drogę młodej parze. Niestety, jedynymi literackimi postaciami, jakie przychodziły mu do głowy w tym kontekście, byli niania i zakonnik z *Romeo i Julii*. Żadne z nich nieszczególnie pasowało do emerytowanego urzędnika ministerstwa skarbu i posiadacza tytułu szlacheckiego, zresztą ten dramat w ogóle chyba nie był najlepszym wzorem, do którego należałoby się odwoływać. Niemniej sama zasada zasługiwała na pochwałę, a Armitage czerpał z niej pociechę. Podczas jazdy do Warren powtórzył, że ich wizyta będzie naprawdę bardzo krótka, ale Mary była w stanie takiego rozgorączkowania, że zwróciła na jego ostrzeżenie niewielką uwagę, ledwie kiwając mechanicznie głową. Przy głównej bramie powitał ich nerwowy, siwy żołnierz nazwiskiem Drake — z tego, co Mary zrozumiała — swego rodzaju służący czy też ordynans kapitana Hollanda. Drake najwyraźniej znał sir Williama i pozdrowił go niemal poufale, był jednak bardzo zaskoczony widokiem wysiadającej z powozu dziewczyny.

— Przypuszczam, że nie ma żadnego pułkowego zakazu co do... dam odwiedzających oficerów w tej placówce? — spytał Armitage swoim najbardziej pompatycznym tonem.

— Och, nie, sir — odparł wciąż zdumiony Drake — chodzi tylko o to, że nie wiedzieliśmy, to znaczy... kapitan Holland nie mówił nic o żadnych paniach.

— Ach. Być może moja wiadomość nie była całkiem jasna — przyznał się sir William bardziej typowym dla siebie głosem.

— To może ja... może lepiej poczekam tutaj — wtrąciła Mary, zwracając się najpierw do sir Williama, a potem do Drake'a z nadzieją, że jeden z nich odrzuci jej sugestię.

Obaj mężczyźni stanęli na wysokości zadania.

— Nic podobnego! — obruszył się sir William.

— Kapitan zechce panienkę zobaczyć, nie mam co do tego wątpliwości — zapewnił ją z kolei Drake.

— Po prostu zdziwiłem się, to wszystko. Zaskoczyliście mnie, państwo. Proszę za mną.

Poprowadził ich przez dziedziniec do budynku, w którym mieli swoje kwatery niektórzy oficerowie.

Pokoje kapitana Hollanda mieściły się na szczycie schodów i Drake usilnie nakłaniał gości, aby weszli prosto do salonu i usiedli tam na moment, podczas gdy on zamieni słówko z Hollandem.

— Czy jest na tyle zdrow, aby nas przyjąć? — spytał Armitage.

— Och, tak, sir, kapitan cieszy się na to spotkanie. Chodzi tylko o to, że... proszę teraz usiąść, panienko, a ja zobaczę, czy kapitan nie śpi.

„Salon”, jak go Drake nazwał, okazał się małym, posępnym pomieszczeniem. Jego ściany i podłoga były nagie, a na wyposażenie składały się dwa poobijane, skórzane fotele, mała biblioteczka w połowie wypełniona nieco podniszczonymi książkami, kredens i kwadratowy stół z jednym krzesłem o prostym oparciu. Na palenisku płonął ogień, a poza tym w pomieszczeniu panował absolutny, prawie nienaturalny porządek. Fotele ustawiono pod ostrymi kątami w stosunku do paleniska, jedną ścianę zajmowała biblioteczka, a stół i krzesło stały przy drugiej. Na kredensie rozmieszczono w starannych stosach i rzędach niezrównaną kolekcję talerzy, szkielec i sztuców. Mary objęła te szczegóły jednym spojrzeniem i doświadczyła przelotnej, niespokojnej empatii dla człowieka, który tam mieszkał.

Uczucie było naprawdę przelotne, ponieważ dziewczynę wkrótce wyrwał z zamyślenia dźwięk sprzeczących się głosów.

Głosy były dwa, oba męskie i oba dość głośne. Chociaż nie każde słowo docierało do Mary, odkryła, że spór dotyczy bez wątpienia stopnia negliżu, w jakim mężczyzna może przyjąć młodą damę. Przy słowach „dodatkowe okrycie” i „nawet nie będzie wiadomo, że leżysz w łóżku” dziewczyna podeszła do okna po drugiej stronie pokoju, lecz nawet z tej odległości nie sposób było nie wyłapać prostej odpowiedzi: „I nie chcę dodatkowego okrycia, do licha z tobą, chcę moje pieprzone spodnie”.

— Hm — mruknął sir William, a głośniej dodał: — Być może znajdziemy tu coś do czytania na czas, póki... — Jego oko przyciągnął tytuł jednego z tomów *Broń i maszyny używane podczas wojny*. — Czekaj, czekaj. Cóż... No może nie.

— Nie miałam pojęcia, że Warren jest taki duży — zauważyła Mary, korzystając z przewagi swej pozycji przy oknie.

— Tak — zgodził się Armitage — to ogromna placówka. Wymienili jeszcze kilka żarcików na temat arsenału, podczas

gdy sporadyczne uwagi, takie jak: „Nie masz kamizelki, panie, a tak zostać nie może”, informowały ich o rozwoju wypadków w sąsiednim pomieszczeniu. W końcu oboje odwrócili się na dźwięk otwieranych drzwi.

— Ach, Robercie — zawołał sir William. — Jesteś z nami. Doskonale.

— Dziękuję, sir, przykro mi, że musieliście czekać. — Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i Robert spojrział obok kuzyna na Mary. — Dzień dobry, panno Finch. Przepraszam, że... pani czekała.

Mary była zdecydowana odpowiedzieć mu spokojnie, aby uniknąć jakichkolwiek deklaracji, aż będzie wiedziała... aż dowie się więcej...

— Och nie, wcale nie — odparła. — Przyglądaliśmy się osobom wchodzącym tu... i wychodzącym... Ależ tu panuje ruch... Mam jednak nadzieję, że nie sprawiliśmy kłopotu. — Kierowała swoje uwagi w jakiś punkt tuż obok ramienia Hollanda, niewyraźnie świadoma, że kapitan przecież nie nosi

kamizelki, a równocześnie zadowolona ze swojej pierwszej wypowiedzi, która wydała jej się stosunkowo wyciszona. Potem wszakże ich oczy się spotkały i dziewczynę opuściła wszelka śmiałość.

— To żaden kłopot — zapewnił ją — a poza tym może usiądziecie?

— Myślę, że tak — odparł sir William.

Holland wskazał gościom stare fotele, sam natomiast usadowił się ostrożnie na krześle. Wyjaśnił, że czuje się całkiem dobrze, tylko nie wolno mu się bez potrzeby schylać ani zginać.

— Więc jeśli nie usiądę wyprostowany niczym struna, będę miał zaraz na karku Drake'a, który zacznie jęczeć o zaleceniach doktora i robić zamieszanie.

— Przypuszczam, że Drake wie, co dla ciebie najlepsze — powiedział sir William.

— Tak mu się zdaje. Kiedy dostaje jakieś oficjalne zalecenia, jest jak pies z kością. Przestrzega wszystkich zaleceń wydanych i... różnych niewydanych, lecz jego zdaniem koniecznych.

Armitage przez kilka minut wypytywał kuzyna o stan zdrowia, aż Drake pojawił się z herbatą i talerzem bułeczek. Postawił je na kredensie, rzucając Mary znaczące spojrzenie. Dziewczyna była aż nadto zadowolona, że ma coś do roboty, i chętnie naląła herbaty, a Drake porozstawiał pełne filiżanki i talerzyki. — Nie pozwólcie mu zjeść ani jednej bułki — ostrzegł, zanim odszedł. — Doktor twierdzi, że nie dla kapitana jeszcze takie delikatesy.

— Och, na pewno nie — zgodziła się Mary. Uśmiechała się, wracając na miejsce, jednak pod wpływem

ostatnich słów sir Williama mina jej zrzędła.

— ...straszną wrzawę, kiedy nie pozwolono jej przyjechać tutaj ze mną. Sądzę, że myślała, iż jesteś na progu śmierci, i uważała za obrzydliwą tyranie odsuwanie jej od twojego łóżka.

— Dobrze jej tak — uśmiechnął się Holland — chociaż przykro mi, że wymknęła się spod kontroli.

Sir William chrząknął, po czym zwrócił się do Mary:

— Pamiętasz, wspominałem ci o Charlotte, mojej młodszej córce? Mam dwie, starszą, która... no cóż, hm... młodsza natomiast stale pakuje się w jakieś tarapaty, a zdaje mi się, że Robert dodatkowo ją zachęca do wygłupów. Jest oczywiście jej bohaterem... Nie twierdzę, że nie powinien nim być, ale mamy z nią kłopoty.

— Rozumiem, sir — odparła Mary oględnie. Przyglądała się Hollandowi zza swojej filiżanki z herbatą. Czy miał nadzieję na jakąś wiadomość od „najdroższej Susannah”? Nie wydawał się rozczarowany przez zawołowaną aluzję sir Williama na jej temat, a teraz podniósł się i wyjmował coś z tylnej kieszeni. Czy to był list do niej?!

— Może to przywróci cię do łask u Lottie, sir — powiedział wesoło. — Zużyta kula z pistoletu.

— Wielkie nieba! — zawołał Armitage, ostrożnie wyciągając rękę, aby wziąć spłaszczony kawałek ołowiu. — To nie jest chyba...

— Nie, nie, to nie ta, ale Lottie nie zauważy różnicy i chętnie ją zachowa.

— Przypuszczam, że tak — mruknął sir William z powątpiewaniem, po czym dodał: — I właśnie to mnie martwi. — Starannie zawinął pocisk w chusteczkę, którą wsunął sobie do kieszeni płaszcza. Siedział w milczeniu przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien wspomnieć o zaręczynach Susannah, po czym nagle obwieścił, że zejdzie na dół. Nigdy przedtem nie był w arsenale i był bardzo wszystkiego ciekaw. Przejdzie się po pasażu, po placu apelowym czy jak to się tu nazywa. W Warren niewątpliwie można wiele zobaczyć, człowiek zaś nigdy nie jest zbyt stary, aby się czegoś nauczyć. Holland zaoferował usługi Drake'a jako przewodnika, ale sir William nie uważał niczyjego towarzystwa za konieczne. Sądził, że doskonale potrafi sam się sobą zająć.

— A potem naprawdę musimy jechać, moja droga — dodał do Mary.

Dziewczyna poczuła, że rumieni się wściekle, i zdawała

sobie sprawę, że z tego powodu tym bardziej obaj mężczyźni jej się przyglądają. Nie podnosząc głowy, kiwnęła nią lekko, jednak jej myśli kłębiły się i plątały. Sir Armitage był łaskawy, że zostawił ich samych, lecz zostać pozostawioną w taki sposób...! Z poręczy jej fotela wystawało trochę wyściółki i Mary zdecydowanym ruchem położyła sobie ręce na kolanach, starając się powstrzymać przed wrywaniem pluszu. Co powie kapitanowi Hollandowi? Co on powie jej?

Drzwi zamknęły się mocno za sir Williamem i przez kilka minut ani Holland, ani Mary nie odzywali się, po czym on zauważył półgłosem:

— Miło z twojej strony, że przyjechałaś dziś.

— Och, chcia... chciałam — odpowiedziała nerwowo, a jej ręka bezwiednie powędrowała do sterczącej wyściółki. — Słyszeliśmy... sir William i ja... że mieszasz się lepiej, no i oczywiście chcieliśmy cię zobaczyć... sir William i ja.

— A teraz zobaczyłaś również Woolwich albo raczej pewną jego część. Co myślisz?

Zagryzła wargę. To było jego miejsce zamieszkania i zastanawiała się, jak je pochwalić.

— Jest dość... głośnie — przyznała. — Ale tak samo Londyn, natomiast tutaj... w Warren... hałas jest bardziej uporządkowany i zapewne ważniejszy. Masz bardzo dobry widok ze swojego okna na odbywające się poniżej... prace. To musi być... to z pewnością jest bardzo interesujące.

Jeśli nie słowa, to niewątpliwie ton jej odpowiedzi sprawił, że kapitan się uśmiechnął.

— Mój kuzyn mówi, że wracasz do Suffolku. Nie będzie jakiegoś kłopotu tam co do... dziedzictwa i tak dalej?

Przynajmniej to pytanie należało do łatwych i Mary odpowiedziała kapitanowi uśmiechem. Oficjalnie potwierdzono, że pan Finch nie był zamieszany ani w przemyt, ani w szpiegostwo, a majątek White Ladies został użyty do niecných celów dopiero po śmierci właściciela. Nie przewidywano zatem dalszego dochodzenia w tej kwestii. Kiedy Mary opowiadała,

poczuła, że jej pewność siebie powraca; to było prawie fizyczne wrażenie.

— Oczywiście, jestem przekonana, że mój stryj w nic takiego się nie wplątał... Bardzo niewłaściwe z mojej strony było kiedykolwiek wyobrazać sobie coś innego! A teraz muszę tylko przekonać panią Tipton co do konieczności mojego wyjazdu! Wie, że jestem bezpieczna, oczywiście, ale sir William też napisał do niej i wraca teraz wraz ze mną, aby wyjaśnić wszystkie kwestie... o tyle, o ile wolno nam je komukolwiek wyjaśnić. Bo ludzie z rządu bardzo stanowczo zakazali nam ujawniania pewnych danych...

— Tak... — odparł Holland. — Podobnie rozmawiali ze mną... jak gdybym potrzebował ostrzeżenia! I tak przecież nic bym nikomu nie powiedział. Miałbym się chwalić, że dostałem w głowę... znowu... a potem leżałem związany niczym przekłeta paczka świąteczna...

— Nie, z pewnością nie brzmi to zbyt bohatersko — przyznała Mary niewinnym tonem.

Lubił, kiedy drażniła się z nim, i ostrzegł ją ze śmiechem:

— Nie, ale ja koniec końców naprawdę jestem tchórzem. Nie miałbym ochoty na przesłuchanie przez panią Tipton. Nie myślała o mnie najlepiej wcześniej, a teraz pewnie dojdzie do wniosku, że coś knułem. Bez wątpienia jednak spodoba jej się sir William.

— Tak, jestem tego pewna. No a potem czeka mnie White Ladies... Przypuszczam, że będzie chciała mi doradzać.

— Wątpię, żebyś mogła ją powstrzymać! Ale polubisz to... mam na myśli nie jej doradztwo, lecz... renowację majątku. — Zrobił jakiś niejasny gest. — Zmienisz White Ladies we wspaniałą posiadłość, tak jak sobie wyobrażałaś.

— Nie wspaniałą — poprawiła go — lecz po prostu wygodniejszą. Ale ponieważ żyłam w... niewygodnych warunkach przez tak długi czas, przyznaję się, że mogę być trochę rozrzutna, jeśli będę miała okazję. — Pod wpływem tej perspektywy w jej oczach zamigotały wesołe ogniki. —

Spodziewam

się, że dość szybko uznam to wszystko za raczej nudne i zbyt spokojne. Chcę powiedzieć... to nie będzie ani trochę tak interesujące jak twoje zajęcia.

— Czyżby?

— Oczywiście. Ty będziesz miał znów swoją pracę, a sir William sądzi, że dostaniesz regularne dowództwo... Och, czy użyłam właściwego określenia? Na pewno na nie zasługujesz.

— Być może — zgodził się Holland, jak zwykle wyważony i sceptyczny.

— I nic, co się stało, nie będzie miało na to wpływu? — spytała Mary z niepokojem. — Nie uprzedzi ich do ciebie? Te wszystkie zdarzenia powinny się naturalnie liczyć jako twoje zasługi, ale wiesz, czasami niewinnych ludzi mogą... plamić ich kontakty...

Holland uśmiechnął się. Troska dziewczyny podobała mu się jeszcze bardziej niż jej docinki.

— Wcale nie było tak trudno przekonać wszystkich, że jestem niewinny, kiedy wyszła na jaw wina Depreza. Jeden głupi gnojek ze sztabu marynarki wojennej chciał mu nawet dać referencje z powodu współpracy Depreza w Indiach Zachodnich.

— Ale czy naprawdę pomagał tam naszym wojskom?

— Może i tak, założę się jednak, że gdyby lepiej się przyjrzeć, odkrylibyśmy, że nam pomagał trochę, Francuzom zaś znacznie bardziej. Czasami szpiegdy muszą pracować na dwa fronty, czyli zrobić coś również dla wroga, aby zyskać jego zaufanie.

— Tak jak faktyczne szpiegostwo, które uprawiał w Waltham Abbey.

— Zgadza się. Najprawdopodobniej Francuzi już wcześniej postanowili zakończyć operację w Waltham Abbey, więc nie doznali jakiegś rzeczywistej szkody, kiedy zdradził nam pewne dane, a dzięki temu zyskał prawdziwe informacje, prawdziwego szpiega i prawdziwy szyfr. I wykorzystał wszystkie te elementy cholernie dobrze. — Holland zamyślił się. — Zdziwiłaś się,

kiedy zobaczyłaś moje nazwisko w tych papierach, które Hicks sprokurował, nieprawdaż?
To był bardzo trudny moment. Mary zamierzała przyznać się do swoich wątpliwości, co okazało się niełatwe, kiedy kapitan spytał ją wprost. Zawahała się, a to dodatkowo pogorszyło sytuację, ponieważ Holland już zaczął przeklinać siebie za postawienie dziewczyny w niezręcznym położeniu. Jego kolejne zapewnienia jednakże jeszcze mniej się udały, ponieważ teraz Mary z kolei potępiła się za błędną ocenę jego postępowania.

Konsekwencją tych gaf była bolesna cisza, którą na szczęście przerwało szczere wyznanie Hollanda.

— Myślałem, że jesteś na mnie nieco wściekła, bo ignorowałem twoje podejrzenia i plany.

— Wściekła?!

— Och, oczywiście tylko na samym początku — roześmiał się.

— Myślę, że raczej dłużej! — odparowała. — Ale czy mogłabym ci zadać... inne pytanie?

— Tylko jedno?

— No cóż... Chciałabym zrozumieć całą sprawę, a wiele kwestii nadal pozostaje niejasnych.

— Pytaj zatem. Śmiało!

— Rozumiem, że pan Tracey czekał na ciebie w gospodzie Pod Wielkim Białym Koniem i chciał cię zabrać do White Ladies, żeby przemytnicy mogli cię wywieźć do Francji, ale dlaczego w ogóle miałbyś pojechać z Traceyem? Czy zamierzał cię zmusić?

— Przypuszczam, że planował mi powiedzieć coś o szpiegach i szyfrze, podejrzewając, że uznam za swój obowiązek sprawdzić jego rewelacje. Prawdopodobnie pojechałbym z nim.

— Tyle że... skoro czekał... Skąd wiedział, że przyjedziesz do Ipswich?

Holland wzruszył ramionami.

— To nie było takie trudne. Przyglądali mi się już od

pewnego czasu, a mój rozkład zajęć jest dość regularny. Sault wiedział, kiedy oczekują mnie w Waltham Abbey. Okazało się jednak, że zajęcia w Landguard Fort zajęły mi więcej czasu niż zwykle, a wtedy Tracey miał wypadek. To pomieszało wszystkim szyki, jednak mimo to sytuacja rozwinęła się w zasadzie zgodnie z planem, ponieważ i tak przyjechałem z tobą do White Ladies.

— Gdzie dostałeś w głowę po raz pierwszy.

— Tak, dziękuję, że mi przypominasz. A zatem plan niemal się powiódł, chociaż nie całkiem i tamci musieli wymyślić coś jeszcze... albo kogoś. Nie mogli wykorzystać White Ladies po raz drugi, a potem wyjechałem do Norfolk. To musiała być próba dla nerwów Depreza, że tak spuścił mnie z oka. Pomyśleli zatem, że jeśli zasugerują mi podróż do Londynu, zdołają mnie... schwytać, więc zdecydowali się użyć prawdziwych dokumentów jako przynęty i przedstawili mi je poprzez ciebie, ponieważ wiedzieli, że przełknę... to znaczy, że uwierzę w twoje słowa.

— Doprawdy! Postąpili przeto bardzo lekkomyślnie, bo nigdy nie wierzyłeś w nic, co mówiłam! Nigdy nie spotkałam tak... sceptycznie nastawionej osoby jak ty.

— Nie jestem sceptyczny, tylko ostrożny — zaprotestował Holland.

— I naprawdę znasz tak wiele... sekretów, że zadali sobie tyle trudu, aby cię porwać? I to dwukrotnie? Och, nie myśl, że wątpię w ciebie, oczywiście.

— Och, nie, oczywiście, że nie — zgodził się, lecz nie odpowiedział na jej pytanie.

— A gdyby zdołali zabrać cię do Francji, jak odkryliby te sekrety? Nie powiedziałabyś im przecież, wiem o tym.

— Przypuszczam, że usiłowałiby je jakoś ze mnie wydusić. Mimo jego żartobliwego tonu, a może właśnie z tego powodu,

Mary pobladła i kapitan szybko przypomniał jej, że nie warto się martwić czymś, co się nie zdarzyło.

— Nie, ale... postępowali bezwzględnie — mruknęła. —

Groziło ci wielkie niebezpieczeństwo. Zabili przecież Saulta... a był jednym z nich. Wiem, Hicks mówił, że zaszła pomyłka, ale...

— Naprawdę?

— A tak. Kiedy pan Hudson otrzymał wiadomość, że znaleziono ciało Saulta, Hicks zareagował, jak gdyby strasznie się tym zmartwił. Obwinił tego okropnego człowieka, Rede'a, powiedział, że Rede źle zrozumiał jakieś jego instrukcje...

Holland uśmiechnął się do niej.

— Tak powiedział? Cholera! Dziwię się, że od razu nie wyczułaś pisma nosem!

— Dlaczego? Co masz na myśli?

— No bo znowu kłania się stary arcybiskup Canterbury. „Któż uwolni mnie od tego przeklętego klechy?”.

Roześmiała się, gdy zrozumiała jego aluzję.

— Tak, tak, jakże to głupio z mojej strony. Rzeczywiście powinnam zacząć wtedy coś podejrzewać. Co jednak potwierdza, że miałam rację, opowiadając ci tę historię podczas naszego pierwszego spotkania, chociaż jestem pewna, że wtedy uznałeś moje słowa za bardzo dziwne. A klecha był „mścicielem”, a nie przeklęty. Tak właśnie Henryk Drugi go określił.

— Być może tak go określił — poprawił ją kapitan. — Ale nie założyłbym się o to.

— Ech, przypuszczam, że nigdy nie poznamy prawdy. — Z wyrazu twarzy Mary wynikało jasno, że zamierza ciągnąć rozmowę, zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, rozległo się rytmiczne stukanie do drzwi. — Och! — krzyknęła dziewczyna, obracając się w kierunku dźwięku. — Co to?!

Holland wstał powoli, a Mary, niezupełnie pewna, dlaczego tak postąpił, poszła za jego przykładem.

— Sir William wraca — wyjaśnił. — Drake mnie powiadamia. Ma lepsze wycucie czasu niż pan Cuff. — Co? Och... — powiedziała Mary, rumieniąc się z powodu tego wspomnienia oraz zdenerwowania nagłą zmianą sytuacji. Sir William już wrócił?! Co miała zrobić? Wszystko działało

się tak szybko! Niczego jeszcze nie zdecydowali, a teraz nie będzie już czasu...

— Wejdzie tu za chwilę — potwierdził kapitan — a później odjedziecie. Lepiej od razu się pożegnajmy.

— Tak — kiwnęła głową. Powinni powiedzieć sobie „do widzenia” i już. Tyle że serce łomotało tak osobliwie, że nagle zaczęło jej z trudem przychodzić mówienie lub choćby myślenie. Ale nie mogła stracić tej ostatniej szansy. — Zamierzałam powiedzieć... Chciałam ci... —Niestety, zanim zdążyła cokolwiek wyznać, głos jej się załamał.

Holland zakaszłał nagle, a później przeklął cicho.

— Och! — zawołała. — Twoja rana... Boli cię!

— Nie, nic mi nie jest — odparł. — Tylko trochę mi doskwiera. Nadal.

— Musisz być ostrożny — zaleciła Mary. Kapitan poczerwieniał i wyglądał na cierpiącego. Czy się rozchoruje? Ruszyła ku niemu. — Może powinienesz usiąść.

— Nie, to nic — upierał się, niemniej przyciągnął ją bliżej. Wiedziała, że przygląda jej się z uwagą, lecz nie ośmieliła się podnieść głowy. Holland kontynuował półgłosem: — Zastanawiałem się, czy ty... to znaczy... to, co powiedziałaś wcześniej, że może uznasz Suffolk za nudne... Pomyślałem, że dom i wszystko... Sądziłem, że młode damy lubią tego rodzaju zajęcia.

Mary uśmiechnęła się wbrew sobie.

— Nie wszystkie młode damy, jak sądzę. Albo nie przez cały czas.

— Tak... Uważasz, że... mogłabyś przyjechać czasami do Londynu? Nie chcę powiedzieć, że sama, ale z kimś... choćby z panią Tipton, jeśli potrafisz znieść jej paplaninę. Aby pozwiedzać... Albo na sezon balów. — Wzruszył ramionami, świadom, że nie potrafi podać sensownej definicji tego corocznego okresu wiru życia towarzyskiego. — To jest bardzo... modne i wtedy odbywają się wszystkie te rzeczy... artystyczne. Przypuszczam, że spodoba ci się.

— Może bym przyjechała, gdybym miała przyjaciół w Londynie... albo w pobliżu — szepnęła.

— Woolwich leży blisko stolicy. Przyjedziesz mnie odwiedzić?

Pytanie było cudowne i przerażające równocześnie, i to połączenie dziwnym trafem sprawiło, że Mary miała ochotę zaśmiać się albo powiedzieć coś zabawnego.

— Tutaj? Czy nie uznano by tego za skandal? Jestem pewna, że Drake miałby wątpliwości, a pani Tipton byłaby na pewno...

Holland chwycił ją za ramiona i zapomniała resztę zdania.

— Nie dbam ani trochę o panią Tipton czy o kogoś innego... ani o to, co sobie pomyślą... Ważne jest tylko to, co ty myślisz.

Stukanie do drzwi powtórzyło się, tym razem bardziej natarczywe, jednak Holland nie ruszył się, niechętny ani objąć Mary, ani pozwolić jej odejść.

— Powiedz mi.

Zadarła głowę i wytrzymała jego spojrzenie. Nie zdołała jednakże przemówić, gdyż rozległ się hałas na schodach.

— To sir William — szepnął Holland. — Nie rumień się teraz.

Wtedy Mary się uśmiechnęła.

— Myślę — zaczęła — och, bądź ostrożny... miałeś się nie schylać.

Zarumieniła się lekko, gdy Holland się prostował.

— Miałem się nie schylać bez potrzeby — poprawił ją i obdarzył wielkim uśmiechem.

Nota od autorki

Chociaż jest to dzieło fikcyjne, akcja *Szyfru Blackstone 'a* została mocno osadzona w historii Anglii. W trakcie ostatniego ćwierćwiecza XVIII wieku brytyjscy i francuscy naukowcy wnieśli ważny wkład w rozwój przemysłu militarnego swoich krajów. Mianowanie Antoine'a Lavoisiera do *administration royale des poudres* w 1775 roku poskutkowało ogromnym wzrostem francuskiej produkcji prochu strzelniczego i zwiększeniem liczby eksperymentów mających na celu stworzenie chemicznego substytutu saletry potasowej, której Francja nie mogła ani produkować, ani importować w ilościach dostatecznych dla celów wojskowych. Na bengalską saletrę potasową monopol miała bowiem Kompania Wschodnioindyjska, co stawiało Wielką Brytanię w korzystniejszej sytuacji, w dodatku w latach osiemdziesiątych XVIII stulecia naukowcy angielscy, na przykład Richard Watson, profesor chemii w Cambridge, koncentrowali wysiłki wokół problemu wzmocnienia siły produkowanego prochu. Gdy nad Królewskim Laboratorium w Woolwich objął kierownictwo pułkownik William Congreve, w arsenale zwiększono nadzór nad produkcją i zintensyfikowano testy, co w 1787 roku zaowocowało

decyzją rządu brytyjskiego, aby znacząco zwiększyć własną produkcję prochu strzelniczego, zamiast polegać wyłącznie na prochu kupowanym od prochneri prywatnych.

Kiedy wiosną 1793 roku wybuchła wojna między Francją i Wielką Brytanią, we Francji wzrosło zapotrzebowanie na godny zaufania substytut saletry potasowej. Niestety rok później Komitet Ocalenia Publicznego skazał Lavoisiera na śmierć; podczas procesu sędziowie informowali go, że Republika nie potrzebuje już naukowców. Tymczasem Wielka Brytania kontynuowała badania, produkcję i testy prochu strzelniczego, a w arsenale Woolwich prowadzono eksperymenty nad ulepszonymi lawetami i nowymi rodzajami broni, na przykład wybuchowymi pociskami Henry'ego Shrapnela. Czy odpowiedzią Francji na postępy brytyjskiej nauki mogło być szpiegostwo? Kto wie. Warto odnotować, że w nocy 13 października 1795 roku miało miejsce włamanie do budynku w pobliżu katedry św. Pawła. Ofiarą był hrabia Rumford, urodzony w Ameryce angielski naukowiec i wynalazca, którego zainteresowania obejmowały również wiedzę artyleryjską i badania nad materiałami wybuchowymi. Sam hrabia nie został poszkodowany, złodzieje zabrali tylko duży kufer z papierami. Pisząc o tym incydencie następnego dnia, hrabia skarżył się: „Najbardziej żał mi, że utraciłem wszystkie moje papiery naukowe — oto efekty wielu lat intensywnych badań i opisy niezliczonych eksperymentów zniknęły bezpowrotnie”.